

christopher g.
moore

• GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA •

ulice
Bangkoku



Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Podziękowania

**christopher g.
moore**

• GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA •

ulice Bangkoku

Z angielskiego przełożył
Andrzej Leszczyński


Świat Książki

Tytuł oryginału
PAYING BACK JACK

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Redakcja
Ita Turowicz

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta

Ewa Grabowska

Maciej Korbasiński

First published in United States of America in 2010 by GROVE/ATLANTIC, INC.

Copyright © Christopher G. Moore, 2009

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Leszczyński, Warszawa 2013

Świat Książki

Warszawa 2013

Świat Książki Sp. z o.o.

02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: Fabryka.pl

Skład i łamanie

Akces, Warszawa

Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. k.a.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

email: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-7943-367-4

Nr 11028099

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

Dla Busakorn Suriyasarn

1

Ostatnia sportowa marynarka Calvina uległa zniszczeniu, gdy krople krwi Nicky'ego „Ropuchy” Marrasa nie tylko zaplamiły klapę, lecz także ściekły aż do kieszonki na piersi. Ale dzięki temu łatwiej było zapamiętać brutalną prawdę na temat Nicky'ego, który pozostał przy życiu, ponieważ Calvino jedynie rozkwaślił mu nos, gdy „Ropucha” sięgnął po nóż schowany w cholewce buta. Była to tandetna podróbka noża nepalskich Gurkhów, pochodząca zapewne z ulicznego straganu. „Ropucha” miał słabość do noży. Sięgał po nie, kiedy się wdał w pijacką kłótnię albo gdy go wkurzały statystyki baseballowych rozgrywek World Series. Tego roku nie mógł przeboleć, że Joe DiMaggio spełnia wszelkie warunki, by wejść do panteonu sław, więc już pół butelki whiskey przeważało szalę. W takim stanie „Ropucha” był zdolny zabić każdego oponenta.

Gospoia Calvina oddała marynarkę do pralni chemicznej, lecz ta wróciła z dołączoną notatką. Wyglądało na to, że krew Nicky'ego „Ropuchy” jest równie trudna do usunięcia, jak i on sam. W żaden sposób nie dało się wywabić plam. Można było co najwyżej naszyć jakieś łatki, ale wtedy marynarka straciłaby wygląd oryginału z salonu Gucciego, a zaczęła przypominać tandetną podróbkę rodem ze szwalni w Bangkoku. I ta różnica między oryginałem a podrzędną kopią także nieźle charakteryzowała Nicky'ego „Ropuchę”, który zdecydowanie za dużo naoglądał się filmów gangsterskich.

Trochę się pozmieniało w życiu Calvina od tamtej nocy w Bangkoku, tak samo jak w życiu Nicky'ego, który wrócił do Nowego Jorku. Calvino podciągnął owo zdarzenie pod jedną ze swoich życiowych maksym. Uznał, że po trzydziestu latach bez żadnego kontaktu każdy byłby zaskoczony nieoczekiwaną wizytą dawnego szkolnego kolegi w Bangkoku, gotowego nawalić się jak nietoperz, zacząć wyciągać stare żale, wreszcie sięgnąć po broń, by wyrównać rachunki. Trzeba go było zdzielić całkiem mocno, w tym celu poświęcając nawet świetną sportową marynarkę. W końcu życie to ciągnęła seria takich ciosów, lecz tylko krew na zawsze plami

zarówno ubrania, jak i pamięć.

Lekka mżawka rozpraszała popołudniowe słońce rozświetlające wnętrze „Venice Tailors”, podrzędnej pracowni krawieckiej w Sukhumvit mieszczącej się pod szeroką betonową estakadą szybkiej kolei miejskiej. Wszyscy powtarzali, że nagłe załamanie pogody to efekt globalnych zmian klimatu. Vincent Calvino, jedyny klient pracowni, stanął przed wielkim lustrem na końcu pomieszczenia. Zbliżały się wybory i ludzie coraz bardziej oszczędzali na zakupach. Woleli zachować większe rezerwy finansowe na wypadek konieczności nagłej ewakuacji. Nie dotyczyło to Calvina, który nie miał się dokąd ewakuować. Wyciągnął więc ręce na boki, zamknął oczy i pogrążył się w rozmyślaniach medytacyjnych. Wokół niego uwijał się Tony, tajski krawiec pochodzenia chińskiego, z centymetrem przewieszonym przez szyję i kawałkiem niebieskiej kredy w ręku. Ostrożnie zdjął marynarkę z drewnianego wieszaka, naciągnął najpierw lewy rękaw na rękę klienta, potem wprawnie nakierował prawą dłoń w wylot drugiego rękawa. Szczercząc zęby w uśmiechu i bez przerwy kiwając głową, popatrzył na końcowy efekt swojej pracy w odbiciu w lustrze. Jedynym nawiązaniem do Włoch poza nazwą sklepu były porozwieszane na ścianach włoskie plakaty. Niemniej klienci ochoczo wczuwali się w narzucone im role, udawali, że Tony rzeczywiście ma tak na imię i wywodzi się ze znanego rodu włoskich krawców, którego korzenie sięgają czasów Leonarda da Vinci.

Pomocnik Tony’ego, starszy Taj zwany po prostu Wujkiem, siedział przy dużym stole do krojenia i palił skręta. Szyję i dłonie miał tak gęsto pokryte ciemnymi plamami wątrobowymi, jakby dostał śrutem z obu luf dubeltówki. Popijał dodającą energii zieloną herbatę, pokazując przy tym poźółkłe od nikotyny zęby. Przed nim leżały sterty podniszczonych magazynów męskiej mody, kupowanych zapewne z drugiej ręki od pracowników pięciogwiazdkowych hoteli. Na okładkach dominowały krzykliwe reklamy najbardziej znanych światowych marek, takich jak Zegna, Brioni czy Kiton. Tony spoglądał na nie wzrokiem fałszerza mającego przed sobą banknot studolarowy. Niestety, w tej branży podróbki były marnej jakości. Ale Tony w swojej był prawdziwym artystą.

Dał znać pomocnikowi, żeby zapalił światło. Świetlówki pod sufitem zamigotały, omywając coraz jaśniejszym blaskiem wyblakłe plakaty przedstawiające Canale Grande w Wenecji, Koloseum i Palazzo Vecchio. Tony nigdy nie był we Włoszech, ale nie miało to większego znaczenia. Był fałszerzem doskonałym. Do perfekcji doprowadził kopiowanie nawet najdrobniejszych szczegółów z przedstawianych na zdjęciach części garderoby i używał podobnych tkanin, a to wystarczyło, żeby wyprowadzić w pole nawet najbardziej czułych na firmowe stroje nowojorczyków. Jego reputacja przysparzała mu wielu klientów.

– Niech pan jeszcze nie patrzy, szefie – ostrzegł, układając marynarkę na ramionach i zapinając ją na środkowy guzik.

Miał zaczesane do tyłu i nabłyszczone włosy, na palcu sygnet z różowawym diamentem. Na zapleczu pracowni jego żona zapewne siedziała w otoczeniu gromadki dzieci i razem z nimi oglądała telewizję.

Calvino jednak otworzył oczy i popatrzył w lustro. To pułkownik Pratt mu wmówił, że już najwyższa pora podjąć zarzucony styl bycia. Calvino był półkrwi Włochem, więc nie trzeba było specjalnego wysiłku, żeby go przekonać do kupna nowej stylowej sportowej marynarki. A Tony słyszał z doskonałych podróbek luksusowych marynarek marki Brioni. Ta też wyglądała na wyrób pięciogwiazdkowy – popielatogranatowa, z kremową lamówką, z łączonej tkaniny kaszmirowo-jedwabnej, z podwójnym rozcięciem z tyłu i ręcznym obszyciem. Tony potrafił wyczarować wprost magiczne rzeczy.

– Podoba się? – zapytał.

Calvino podniósł rękę, patrząc, jak układa się rękaw pod pachą.

– Poprawiłem go – wyjaśnił szybko krawiec, jako że była to już trzecia przymiarka.

– Teraz jest w porządku.

Tony obciągnął marynarkę z tyłu, przez co zarysowało się jej przewężenie w talii.

Jego pomocnik zaśmiał się gardłowo i wyciągnął przed siebie pięść z kciukiem wyprostowanym ku górze.

– Bardzo ładnie, Khun Winee.

Chwilę później zza rogu wyjrzała żona krawca, oderwawszy się od ekranu telewizora z konieczności dorzucenia swoich trzech groszy:

– Wygląda pan na młodzieńca, bardzo przystojnie. Teraz jest pan człowiek z wyższych sfer. I kobiety bardzo, bardzo pana lubią.

Calvino rozpiął marynarkę i obrzucił ją krytycznym wzrokiem na odbiciu w lustrze. Ostatnią rzeczą, jaką chciałby usłyszeć, byłoby porównanie do odpicowanego chińskiego handlarza niepotrafiącego odróżnić wśród trunków merlota od shiraza. Ale marynarka mu się podobała. Aż nadto spełniała oczekiwania, chociaż jej koszt poważnie nadwierał budżet. Nawet po rozpięciu doskonale maskowała kaburę z bronią.

– Naprawdę świetna robota, Tony.

Przez chwilę miał wrażenie, że krawiec rzuci mu się na szyję, uściska go serdecznie i ucałuje w oba policzki. Istniały jednak granice, których nawet tak wytrawny naśladowca włoskiego stylu bycia nie mógł przekroczyć. Zamiast tego złożył razem palce w znaku *wai* i skłonił się lekko klientowi. W końcu wszystko, co wiedział o Włochach, pochodziło ze zdjęć w żurnalach mody i z amerykańskich filmów gangsterskich. Doskonale rozumiał za to istotę sztuki krawieckiej, która zawierała się w zdaniu, że marynarka świadczy o mężczyźnie. Wymowa idealnej marynarki sportowej oscylowała gdzieś między „odwal się” a „daj spokój” i to

właśnie Brioni wypracował formułę ubioru człowieka wkraczającego na ową ziemię niczyją.

Tony odznaczał się szczególnym darem świetnego doboru tkanin, miał palce zaprawione w bojach z igłą i nitką, a do tego z prawdziwą dumą odtwarzał najlepsze włoskie kroje. Styłowe wyroby w umiarkowanych cenach od lat były w Bangkoku elementem przyciągającym obcokrajowców. Wystarczyło choć trochę okłamać samego siebie, a reszta mogła już pochodzić z Tajlandii. W dodatku Tony zdawał sobie sprawę, że garnitury nie są najlepszym rozwiązaniem w klimacie Bangkoku. Skwar, niekiedy wypalający do cna, nasuwał wrażenie, że człowiek znalazł się w gęstym strumieniu pary powstałym w kosmicznym wybuchu. Calvino zwykł był mawiać: „Tu nie ma czym oddychać”. Tak więc chodzenie po mieście w marynarce przypominało ciężką pracę fizyczną wewnątrz przenośnej sauny. Stąd też Tony wynalazł marynarkę bez podszewki, a tę stosował tylko do uszycia kilku wewnętrznych kieszeni. Wyczytał gdzieś, że ludzie białej rasy, zwani tu farangami, lubią kreatywność, dlatego stał się kreatywny.

Calvino obrócił się i popatrzył na swoje odbicie z profilu. Półtwardziel, przemknęło mu przez myśl. Tony celowo tak dobrał krój marynarki, żeby nie było widać pod nią kabury ze specjalnym policyjnym rewolwerem kalibru 9,65 milimetra. Żaden prawdziwy twardziel nie musiał się afiszować z tym, co nosi pod marynarką. Popatrzył na duży ścienny zegar. Był umówiony na spotkanie z nowym klientem, generałem Yosapornem, który już przed laty przeszedł na emeryturę, a Vincent Calvino miał zostać pierwszym najętym przez niego prywatnym detektywem. Generał bez zastrzeżeń zgodził się na jego stawkę. A powszechnie szanowany w Królewskiej Tajskiej Policji pułkownik Pratt, który polecił Calvina generałowi, zasugerował mu, by wykorzystał część tego honorarium na zakup nowej marynarki. Miała robić wrażenie na wszystkich nowych klientach. Jednakże w tym zawodzie korzystanie z nazbyt szykownych strojów mogło tylko niepotrzebnie przyciągać uwagę.

– Muszę już iść, Tony.

Zapłacił za usługę i wyszedł na Sukhumvit Road. Otworzył parasol i ruszył do przejścia dla pieszych. Dobrze się czuł w nowej marynarce. Specjalnie wybrał jasnobłękitną koszulę z żółtym krawatem w szare prążki, które dobrze mu się komponowały z czarnymi skórzanymi włoskimi pantoflami. Idąc ulicą, pomyślał, że nawet nie przeszkadza mu deszcz, ten bowiem dodawał tylko smaczku, czynił scenerię nieco tajemniczą i wzmacniał poczucie intrygi. Uznał, że mokre włosy jedynie zbliżą go do gatunku noir, jeśli przedtem nie zostanie wzięty za kogoś, kto przed chwilą wyszedł z siłowni.

W większości dużych miast solidny mosiężny kastet był wart dużo więcej niż dziesiątki złotych sygnetów. Powędrował myślami do specjalnej kieszonki na kastet, którą Tony przezornie umiejscowił po wewnętrznej stronie marynarki. Dotarł do

przejścia w Europie nazywanego powszechnie zebra, co nadzwyczaj trafnie pasowało do Bangkoku, gdzie chyba tylko dzikie zwierzę mogło bezpiecznie przejść przez ulicę w wyznaczonym miejscu. Kierowcy aut osobowych, motocykli, taksówek, ciężarówek i autobusów dodawali tylko gazu, zbliżając się do przejścia. Rozejrzał się uważnie. Pułkownik Pratt powtarzał mu, że w Bangkoku naprawdę liczy się jedynie złoto. Tylko za nie chudzi mądrze mogli sobie kupić ochronę osiłeków. Tuż przed nim przejechał autobus, zostawiając za sobą gęsty obłok czarnych spalin. Calvino, który popadł w filozoficzny nastrój, wsadził ręce do kieszeni i zapytał siebie w duchu: Co było pierwsze, kura czy jajko? Więc co jest ważniejsze, kastet czy złote sygnety? Tego typu dylematy uwielbiała jego matka. Jednak do czego człowiekowi jest potrzebna wiedza, która uświadamia mu tylko, jak mało wie i jak mało będzie w stanie poznać? Czemu miałoby służyć jej zdobywanie?

Dostrzegł lukę w sznurze pojazdów. Ruszył śmiało przed siebie i był już w połowie szerokości Sukhumvit Road, gdy niespodzianie pojawił się przed nim szary mercedes benz – jeden z najnowszych modeli, z przyciemnianymi szybami, który kosztował tu tyle, co cała duża wioska na prowincji. Spojrzał na siedzącą za kierownicą kobietę, która nie dość, że rozmawiała przez telefon komórkowy, to jeszcze zajadała się porcją kurczaka satay w bułce (a może to była kanapka z szynką) i ewidentnie go nie widziała. Samochód niemal otarł się o niego, zaledwie musnął połą marynarki, ale on poczuł się jak toreador, którego szarżujący byk zahaczył rogiem o brzeg peleryny. Obrócony tym impetem, stracił równowagę i poleciał w bok, aż musiał się oprzeć ręką o asfalt. Grupa uczennic, które mogły go wziąć za podstarzałą gwiazdę rozgrywek NBA, parsknęła gromkim śmiechem. Przemknęło mu przez myśl, że na użytek kibiców lepiej się podnieść z ziemi zakrwawionym niż półprzytomnym. Wyprostował się powoli. Po mercedesie nie było już śladu. Otrzeptał ręce o spodnie i schylił się po sprasowany kołami parasol, który nie nadawał się do niczego. Spoglądając na gołe druty, pokiwał głową i przymknąwszy oczy, oddał się na krótko medytacji, usiłując znaleźć w sobie tę wąską przestrzeń zależną wyłącznie od jego decyzji. Nie znalazł jej jednak, a gdy otworzył oczy, ujrzał przed sobą te same dziewczęta czekające na jego następne posunięcie.

Zatrzymał się naprzeciw 7-Eleven u wylotu Soi 33 i przeglądając się w witrynie, poprawił marynarkę i krawat. Ubranie właściwie nie ucierpiało, toteż poczytał to sobie za wygraną. Po raz kolejny przeszedł przez Sukhumvit Road, z szeroko otwartymi oczami i mocno bijącym sercem, odpychając od siebie podejrzenia, że mogą to być objawy stresu pourazowego. Pułkownikowi Prattowi powinna się spodobać ta historia. Wyprostował się więc, ściągnął łopatki i z dumnie uniesioną głową skręcił w Soi 33. Miał podwójny dług wdzięczności wobec generała, który nie tylko zapewnił mu pieniądze na marynarkę, ale wcześniej wprowadził w tajniki medytacji. Poddał się jej, będąc w Venice Tailors, kiedy Tony uwijał się wokół niego

z ostatnimi poprawkami. Zdołał oczyścić umysł i otworzyć go na wszelkie możliwości, gdy krawiec zapytał, o czym tak myśli. A on nie myślał o niczym. Zatrzymał się przy stoisku ulicznego handlarza, który w dużym glinianym garnku gotował na palenisku długie i cienkie, poskręcane jak sprężyny kiełbaski o wątrobianym kolorze. Zamknął oczy i postanowił spojrzeć na *soi* wzrokiem nowo przybyłego turysty, który dopiero co wysiadł z samolotu. Pułkownik Pratt ostrzegał go, że po tylu latach spędzonych w tym kraju z pewnością zapomni o wszystkim, co go na początku dziwiło.

Zastanowił się nad tym chwilę. Po upływie tysiąca dni rzeczywiście nie dziwił go już żaden aspekt życia ulicy. Pod tym względem pułkownik Pratt miał rację, a generał w pełni się z nim zgadzał. Obaj zaproponowali, żeby postarał się patrzeć na wszystko oczyma nowo przybyłego, człowieka wychowanego w innym miejscu i czasie.

Dopiero tu przyleciałem, nigdy wcześniej nie widziałem na własne oczy żadnej azjatyckiej ulicy. Po chwili na ustach Calvina pojawił się lekki uśmiezek, a on sam ruszył dalej. Z każdym krokiem zagłębiał się coraz bardziej w istny pokaz dziwolągów, poczynając od masywnego pnia baniana. Był gruby i poskręcany, pokryty dziesiątkami różnobarwnych nylonowych chust, a z rozłożystych konarów zwieszały się nad ulicą długie włókniste pędy, przypominające sękaty macki wrastające w ziemię. Na nierównym, popękany chodniku przed barem stał karzeł w białej koszuli, muszce i eleganckiej kamizelce. Trzymając nad głową tablicę reklamującą darmowe piwo podczas *happy hour*, dreptał po parę kroków w jedną i drugą stronę za każdym przechodzącym. Zmęczony przystawał na parę sekund przed powrotem pod drzwi baru.

– Zapraszamy do środka! – wykrzykiwał. – Dużo ładnych dziewczyn!

Nie kłamał. Przy barze kręciło się kilkanaście wyzywająco umalowanych nastolatek w nazbyt krótkich spódniczkach, które paliły papierosy, flirtowały z klientami i obrzucały taksującym spojrzeniem nowo przybyłych, nim zaszczyliły ich promiennym uśmiechem. Ale o tej wczesnej popołudniowej porze klientów było niewiele.

Przejeżdżający ulicą *tuk-tuk* z motorem wyjącym na najwyższych obrotach skłonił Calvina do cofnięcia się o krok od krawężnika. Para wyraźnie podchmielonych turystów farangów na tylnym siedzeniu pojazdu zanosila się krzykliwym śmiechem, kiwając się w przód i w tył, jakby ujrzeli swoją przyszłość i bardzo im się spodobała. Calvino pomachał im ręką. Zatrzymał się przed kolejnym wózkiem ulicznej sprzedawczynie przysmaków, oferującej w oddzielnych pojemniczkach skąpanych w blasku silnych jarzeniówek sterty pieczonych koników polnych, skorpionów oraz dużych pluskwiaków wodnych. Kobieta ustawiła swój wózek przed wejściem do japońskiego baru karaoke z wielkim napisem nad wejściem, że lokal jest dostępny wyłącznie dla Japończyków. Oczywiście napis był po tajsku. Z daleka przywołała

dwie *ying* ubrane na wzór japońskich gejszy. Najwyraźniej spodobała im się jego marynarka sugerująca duże pieniądze.

– Nie jestem Japończykiem! Nie mogę wejść! – zawołał po tajsku.

– Nie ma sprawy. Nie musi pan wchodzić. To my wyjdziemy do pana.

Gdyby faktycznie dopiero co tu przyleciał, pewnie by osłupiał na widok okazałej sterty pancrzyków wodnych pluskwiaków, zatrzymał się więc, by uważnie ocenić uliczny stragan.

Sprzedawczyni zachęcała:

– Spróbować. Jak dobre, kupić. Jak niedobre, nie ma o czym mówić.

Wyciągnęła w jego kierunku dużego owada i Calvino przyjął poczęstunek. Zrobiła z tego małe przedstawienie na użytek *ying*, które przyjęły to oklaskami. Dla nich farang chętny do skosztowania pieczonego pluskwiaka był prawie jak wrota rajów w deszczowe wtorkowe popołudnie na *soi* pełnym barów poświęconych zmarłym artystom. Chociaż w mieście było mało muzeów, na jego *soi* nie brakowało barów nazwanych imieniem takich sław, jak Renoir, Degas, Monet czy Cézanne, przy czym odwiedzający je ludzie nie mieli zielonego pojęcia, kim byli owi artyści.

Niemniej mglista, przymglona aura, jaka łączyła sprzedawczynię przysmaków z *ying*, całkiem się Calvinowi podobała. Popatrzył na trzymanego pluskwiaka, jakby to była tabletki multiwitaminy, i bez namysłu włożył go do ust. Między zębami szybko wyczuł szczelinę między zewnętrznymi płytami pancrzyka, lecz zanim zdążył poczuć na języku smak wnętrza owada, dostrzegł samochód generała podjeżdżający do wilgotnego krawężnika na wysokości Myny Lizy. Odstąpił na krok od ulicznego stoiska, by przyjrzeć się parkującej limuzynie. Generał należał do tej klasy starszych osób, które stanowiły idealną klientelę: nie dość, że płacił za jego usługi, to jeszcze gotów był wyłożyć pieniądze na zakup nowej marynarki. Doszło wówczas do niezręcznej sytuacji, kiedy starszy pan wyciągnął gotówkę. Calvino poprosił, by ją schował i potraktował jego usługi jako wyraz uprzejmości. Tak byłoby po tajsku, ale generał energicznie pokręcił głową i powiedział, że za wszystko zapłaci. Kiedy teraz zadzwonił do Calvina i poprosił go o spotkanie przy popołudniowej kawie, ten postanowił godnie się zaprezentować. Uznał, że nowa marynarka będzie stanowiła wyraz szacunku dla generała. Wszelkie spotkania w porze lunchu dobiegły już końca, rozmowy biznesowe przeniosły się z powrotem do biur, gabinetów i mieszkań prywatnych, toteż na *Soi 33* o tej porze panował wyjątkowy spokój.

Zaraz za czarną toyotą camry pojawił się motocykl, najwyraźniej podążający za samochodem. Zwolnił, gdy wóz generała zahamował, a po chwili jadący nim człowiek skierował czerwony promyk laserowej latarki na auto. Generał powinien się zatrzymać między Goyą a barem Papa's. Calvino obejrzał się przez ramię i ujrzał drugi motocykl, srebrzysto-niebieską hondę, którą dwóch ludzi skreśliło właśnie w *soi* z Sukhumvit Road. Obaj mieli ciemne gogle, czarne kombinezony, a pasażer

dodatkowo kominiarkę zakrywającą mu całą twarz. W tej sytuacji nie można było dłużej udawać turysty świeżo przybyłego z lotniska i patrzącego na wszystko po raz pierwszy. Nadjeżdżający szybko motocyklista sięgnął pod poję kurtki i wyciągnął pistolet. Ten widok wraz z obecnością promienia laserowego namiernika nasunął Calvinowi wniosek, że motocykliści muszą działać razem. Czerwona plamka spoczęła na tyle głowy człowieka siedzącego w limuzynie.

Czas od chwili sięgnięcia po broń do jej wycelowania mierzy się w sekundach. Rzuciwszy okiem wzdłuż ulicy, Calvino zaczął w myślach błyskawiczne odliczanie, ale nim doszedł do dwóch, ramieniem odsunął na bok sprzedawczynię pieczonych owadów i pchnął jej wózek w kierunku zbliżającego się motocykla. Zarówno jego pasażer, jak i kierowca koncentrowali się na człowieku siedzącym w toyocie, toteż dopiero w ostatniej chwili spostrzegli zbliżający się wózek. Grzmotnął w środkową część motocykla z takim impetem, że trzymający kierownicę natychmiast stracił równowagę. Próba zahamowania w ostatniej chwili tylko przyspieszyła upadek. Obaj mężczyźni wraz z maszyną runęli na asfalt, sunąc jeszcze bezwładnie po mokrej i śliskiej nawierzchni. Motor, obracając się gwałtownie wokół osi i rozsiewając na boki snopy iskier, z pracującym nadal silnikiem pomknął w bok i z impetem trafił w inny zaparkowany motocykl z przytroczonymi do bagażnika czterema metalowymi butlami przypominającymi małe torpedy. Dwaj mężczyźni odczekali chwilę, jak gdyby sądząc, że mimo wypadku wciąż uda im się wypełnić zadanie, zabić generała i zniknąć niepostrzeżenie w głębi Soi 33. Gdyby popatrzyli na całe zdarzenie oczyma świeżo przybyłego turysty, z pewnością nie popełniliby tego błędu. Dostawca gazu w butlach zaopatrujący ulicznych sprzedawców znajdował się kilka metrów dalej, odtaczał na bok pustą butlę, żeby w wózku handlarza założyć pełną. Ścierał właśnie rękawem pot z czoła, gdy doleciał go huk zderzenia, i ledwie zdążył podnieść głowę, by dostrzec strzelający iskrami i wirujący jak bąk motocykl ślizgający się po jezdni w stronę jego motoru zaparkowanego przy pniu baniana.

Trzask zderzenia obu maszyn wydał się ogłuszający. Jedna z butli spadła z bagażnika, strzelił zawór, iskry wznieciły eksplozję, a jej ognisty podmuch błyskawicznie ogarnął trzy pozostałe butle, które także eksplodowały. Wzdłuż pnia baniana pomknęła w górę gigantyczna pomarańczowa kula płomieni. Sprzedawczyni pieczonych pluskwiaków rozszerzonymi oczami patrzyła na wrak swojego wózka i rozsypane na jezdni przysmaki, po czym przeniosła wzrok na płomienie błyskawicznie pochłaniające koronę drzewa, którego suche pędy zwieszające się ku ziemi zajmowały się z impetem i deszczem iskier, niczym noworoczne fajerwerki. Zniszczone motocykle i obaj mężczyźni zniknęli w gigantycznym palenisku pod drzewem. Na chwilę tylko wyłonił się z płomieni czarny kask, który pękł z hukiem, a odłamki plastiku i zakrwawionej szarej masy rozprysły się po jezdni, docierając aż do nóg dziewcząt zbitych w gromadkę po drugiej stronie ulicy.

Były to *ying* stojące przed wejściem do japońskiego baru karaoke. Odskoczyły, piszcząc ze strachu i przerażenia. Sprzedawczyni pluskwiaków z zaciśniętymi pięściami zapatrzyła się na wielką kulę płomieni, a w jej oczach zabłyśły łzy. Najwyraźniej zniszczeniu uległo jedyne źródło utrzymania jej rodziny. Tymczasem Calvino sięgnął pod marynarkę, wyciągnął z kabury swój policyjny rewolwer kalibru 9,65 milimetra i pognął ulicą. Ominął łukiem rozszalały żywioł i dopadł limuzyny generała. Ten skinął na niego ręką. Ale detektyw ujrzał nad jego ramieniem zbliżającego się motocyklistę, który wciąż celował w emerytowanego oficera promieniem laserowego namiernika. Zdołał wyhamować i zatrzymać się kilka metrów za toyotą, żeby nie wjechać w szalejące płomienie. Trudno było ocenić, czy po wyeliminowaniu głównej grupy uderzeniowej zdecyduje się przejąć jej zadanie. W każdym razie Calvino wolał się nad tym nie zastanawiać. Nie wiedział, czy tamten również nie jest uzbrojony, chociaż do tej pory nie sięgnął po broń. Kiedy jednak spostrzegł, że biegnący Calvino zatrzymuje się, przyklęka na kolano i zaczyna mierzyć do niego z rewolweru, z impetem zawrócił motocykl i oddalił się tam, skąd przyjechał. Detektyw schował broń do kabury i dopiero wtedy otworzył drzwi auta generała.

– Widziałeś całe zajście? – zapytał oficer.

Ledwie mogąc złapać oddech, Calvino skinął głową i odparł:

– Tak. Straszna historia.

– Wygląda na to, że obaj zginęli na miejscu. Co za tragedia!

– Pozwoli pan, generale, że zaproszę pana na filiżankę herbaty?

Tamten niepewnie zrobił krok ku tyłowi auta, spoglądając na dopalające się szczątki.

– Powinniśmy zawiadomić policję.

Calvino sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer pułkownika Pratta.

– Generał napotkał pewne kłopoty – rzekł do aparatu. – Jego samochód stoi na Soi 33 naprzeciwko Goi.

– Szalenciec na motorze – mruknął generał. Detektyw pospiesznie zakończył rozmowę z Pratem. Zdawał sobie sprawę, że upłynie kilka minut, zanim pułkownik zdoła się zjawić na miejscu zdarzenia przed ciągiem barów poświęconych zmarłym artystom. Miał zatem chwilę, by u boku generała popatrzeć na dogasające pogorzelsko, jak gdyby obaj pragnęli nasycić oczy widokiem dopalających się wraków. Niebawem też rozległy się strzały eksplodującej amunicji. Calvino domyślił się, że to pociski, które jeden z mężczyzn musiał schować pod ubraniem z powodu siąpiącego deszczu.

– Szkolenie kierowców – ciągnął myśl generał. – Powinniśmy zwrócić na to bacniejszą uwagę.

Drużyna straży pożarnej nadjechała niemal równocześnie z policyjnym

radiowozem. Błyskawicznie pokryła miejsce zdarzenia grubą warstwą piany gaśniczej, a ekipa chińskich ochotników zajmujących się uprzątnięciem miejsc zbrodni i wypadków, która dotarła nieco później, równie szybko spakowała ludzkie szczątki do jednego kontenera, a resztki motocykli do drugiego.

Pułkownik Pratt wkrótce do nas dołączy – powiedział Calvino, spoglądając w stronę wejścia do restauracji znajdującej się między pozamykanymi barami i nocnymi klubami.

– Nie chciałem go niepokoić – odparł generał.

– Jest akurat w tej okolicy.

– Cóż, w takim razie muszę uznać, że mam szczęście. Można to nazwać i tak, pomyślał Calvino.

Generał wymierzył pilota w swój samochód, nacisnął guzik i zamki drzwi zatrzasnęły się ze stukiem. Najwyraźniej nie widział w ogóle drugiego czarnego motocykla ani facetów z zamaskowanymi twarzami, którzy z dużą prędkością jechali w jego kierunku.

Calvino podszedł do sprzedawczynie pieczonych rarytasów, wcisnął jej w dłoń banknot o nominale pięciu tysięcy bahtów i powiedział:

– Niech pani kupi sobie nowy wózek.

– Zły z pana człowiek, zabił pan tych chłopców – syknęła, biorąc od niego pieniądze.

A więc mam świadka tej rzezi, przemknęło mu przez myśl. Wolał jednak dłużej z nią nie rozmawiać przed kontaktem z policją, a w każdym razie przed przyjazdem pułkownika Pratta. Pomarańczowe płomienie dogasały już po przeciwnej stronie pnia baniana, wgrzając się jeszcze w dziesiątki nylonowych wstążek. To może rozzłościć ducha, pomyślał.

Zawrócił do generała stojącego z rozdziawionymi ustami przy aucie.

– Będziemy musieli złożyć zeznania – powiedział. Calvino spojrzał w dół i dostrzegł niewielkie rozdarcie przy kieszonce swojej nowej marynarki. Westchnął ciężko, z trudem pohamowując złość, gdyż oznaczało to jeszcze jedną wyprawę do Venice Tailors i spotkanie z Tonym, z dezaprobatą kręcącym głową na widok uszkodzenia swojego arcydzieła. Ruszył w kierunku płonącego motocykla, zaraz jednak przykleknął i podniósł z jezdni dziewięćmilimetrowy pistolet. Wyciągnął go w stronę generała.

– Jazda na motocyklu i równoczesne strzelanie z broni palnej powinno być prawnie zabronione – rzekł, wkładając pistolet do kieszeni.

– Mam ochotę na filiżankę herbaty – powiedział generał.

Calvino zyskał przeświadczenie, że słyszy to z jego ust za każdym razem, kiedy w pobliżu coś eksploduje.

Tajowie w obecności przybyszów z zagranicy albo osób odznaczających się

większym autorytetem zwykle zachowują ściśle milczenie. Po prostu zamykają buzię na kłódkę. Jeśli już muszą wydusić z siebie kilka słów, są to z reguły ogólnikowe uwagi. Jedli już państwo? Dokąd państwo jadą? W zasadzie te dwa pytania wyczerpują zakres ciekawości Tajów. Obcemu należy zatem wybaczyć, jeśli dojdzie do przekonania, że po dłuższych okresach ciszy w oficjalnych rozmowach słowa wypowiedane są z podobnym ociąganiem, z jakim kobieta decyduje się oddać w zastaw złoty naszyjnik matki. Jednak w rzeczywistości tubylcy po prostu dochodzą do wniosku, że lepiej jest uśmiechnąć się w milczeniu niż powiedzieć coś bez znaczenia.

Kiedy na miejscu zdarzenia była już i policja, i gromada Chińczyków, i straż pożarna, Calvino sięgnął do kieszeni i wyciągnął swoją chromowaną odznakę. Zaraz też zjawił się pułkownik, który kazał kierowcy objechać szerokim łukiem miejsce zdarzenia, na co generał natychmiast cofnął się o krok w cień zabudowań. Szybko zapadła decyzja, oczywiście po konsultacjach oficera nadzorującego z pułkownikiem, że doszło tu do nieszczęśliwego wypadku i tylko cud sprawił, iż nie było więcej ofiar śmiertelnych. Oczywiście nikt też nie wspomniał ani słowem o możliwości zamachu na życie generała.

– To wszystko? A co z pistoletem? – zdziwił się Calvino, nie bacząc na to, że to pytanie stoi w jawnej sprzeczności z wydźwiękiem raportu pułkownika Pratta.

Ten się tylko uśmiechnął do swego amerykańskiego przyjaciela i pokiwał głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że niekiedy farang potrafi go rozbawić nawet w najdziwniejszych okolicznościach.

– Został zarekwirowany i odesłany do laboratorium celem dokładnego zbadania.

Tego typu deklaracja mogła prowadzić do wniosku, że policyjne dochodzenie skupi się na właścicielu broni i być może tym sposobem uda się określić tożsamość dwóch ludzi, którzy spłonęli żywcem na ulicy.

Kiedy szli we trójkę do biura Calvina, ten zapytał pułkownika o powściągliwość Tajów wciąganych do rozmowy. Pratt zamyślił się na dłużej, w końcu uśmiechnął się słabo i popatrzył na generała.

Ratana, która nie spodziewała się tak szybkiego powrotu detektywa ze spotkania z generałem, nadal była z dzieckiem w parku po drugiej stronie ulicy. Calvino poprowadził gości na piętro do swojego biura. Dopiero tam, gdy usiedli, nadarzyła się sposobność do szczerzej rozmowy z dala od niepożądanych świadków.

– Widziałem, jak chłopak na tylnym siodełku wyciąga zza pazuchy pistolet. A człowiek na drugim motorze, nadjeżdżający z naprzeciwka, wskazuje generała czerwoną wiązką z laserowej latarki.

Generał, emerytowany dowódca Wydziału Dochodzeń Specjalnych, starszy mężczyzna o krótko ostrzyżonych gęstych siwych włosach, szybko podniósł rękę.

– Jest takie tajskie przysłowie: *Pla moh taay praw pak* – powiedział.

- Ryby giną przez swoją gębę – przetłumaczył Calvino.
- On zna nawet przysłowia, generale – wtrącił pułkownik Pratt.

Kilka miesięcy wcześniej Calvino przyznał otwarcie, że nie rozumie w pełni znaczenia tego przysłowia. Wówczas pułkownik narysował mu na kartce dorodnego morskiego okonia z wielkim pyskiem i wyłupiastymi oczami. Ustawiona skosem ryba wysuwała rozwartą gębę nad powierzchnię wody. Pratt, zapalony artysta po nowojorskiej uczelni sztuk plastycznych, uwielbiał rysować. I jeśli nawet jego szkice nie były dziełami sztuki, Calvino i tak się nie wahał przed oprawianiem ich w ramki i wieszaniem na ścianie swojego biura. W tym wypadku szereg bąbelków wydostających się z pyska ryby aż nadto wymownie ilustrował jego punkt widzenia w tej sprawie.

Kiedy generał patrzył na rysunek, Calvino mruknął:

- Potrzebny jeszcze podpis: Pratt.

Pułkownik szybko zapisał swoje nazwisko w rogu kartki i oddał ją detektywowi. Rysunek w niczym nie przypominał szkicu Picassa, był bardziej podobny do dzieła Warhola przedstawiającego Marilyn Monroe jako rybę.

– A ty go oprawiłeś i powiesiłeś na ścianie w swoim biurze? – rzekł generał, jakby nie wierząc własnym oczom.

W ten oto sposób szkic Pratta, który znalazł się na ścianie, przypominał Calvinowi, że człowiek niezbyt uważny wcześniej czy później zostanie złapany na haczyk, wyciągnięty z wody, wypatroszony i przyrządzony na obiad. Tajowie w ten sposób pojowali kłopoty. Dwóch ludzi zginęło w eksplozji butli gazowych, zniszczeniu uległ wózek ulicznej sprzedawczynie wraz z okazałym zapasem pieczonych owadów, a mimo to generał w ogóle nie chciał rozmawiać o tym, co się wydarzyło na ulicy. Pewnie dlatego pułkownik Pratt rozsiadł się wygodnie i skrzyżował ręce na piersi, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie zamierza o nic pytać ani generała, ani detektywa. Przez pewien czas trzech mężczyzn spoglądali na siebie w milczeniu.

Calvino jednak szybko przeniósł wzrok na rysunek. Dobrze wiedział, że są ludzie odznaczający się takim rybim charakterem. Niejako wbrew sobie podpływali do powierzchni wody, nie bacząc na to, że bańki powietrza zdradzają ich pozycję wędkarzom na brzegu rzeki, przez co zbliżali się błyskawicznie ku końcowi w postaci rybnego dania na talerzu.

Popatrzył na duże pudełko zapakowane w srebrzystą folię i przewiązane czerwoną wstążką, które nadeszło z poranną pocztą. Generał Yosaporn dołączył do przesyłki kartkę z odręcznym, niemal kaligraficznym pismem, z fantazyjnymi zawijasami i ozdobnikami możliwymi do zrobienia tylko za pomocą wiecznego pióra. Była to kartka z podziękowaniami. Przed wyjazdem do krawca Calvino przeczytał ją kilkakrotnie i popatrzył na butelki znajdujące się w pudełku. I teraz generał

uśmiechnął się z dumą, kiedy detektyw sięgnął po butelkę whiskey, wciąż nie mogąc się zdecydować, jak powinien traktować tego typu prezent. Łącznie w pudełku znajdowało się bowiem dwanaście butelek markowej whiskey, której cena przekraczała dwieście dolarów za butelkę, i to w wolnocłowym sklepie na lotnisku.

– Mam nadzieję, że lubi pan whiskey – zagadnął generał.

Przemknęło mu przez myśl, że szkocka słodowa whiskey będzie się nieźle komponowała z nową marynarką.

– Jedna butelka w zupełności by wystarczyła – odparł.

– Proszę pozostałymi podzielić się z przyjaciółmi – rzekł generał, zerkając na pułkownika Pratta.

– Postąpiłeś jak najbardziej słusznie, Vincent – powiedział pułkownik Pratt, jakby dopiero teraz przyjął do wiadomości to, co się stało na *soi*.

– O mało go nie zastrzeliłem – przyznał Calvino. – W każdym razie tak zamierzałem zrobić. Przeszkodziło mi tylko to, że jechali bardzo szybko, i zabrakło czasu.

– Najważniejsze, że postąpiłeś słusznie, Vincent. Dzięki tobie uniknęliśmy poważniejszych kłopotów.

Ofiara, która spaliła się niemal na węgiel niczym polna mysz w ognisku, mogła stać się kolejnym przykładem brawury podczas prowadzenia motocykla. Za to wystrzał z broni palnej przed szeregiem barów o nazwach pochodzących od nazwisk zmarłych artystów nie mógł ujść za wypadek lekkomyślnej zabawy z nabojami do pistoletu.

Calvino pokiwał głową i uśmiechnął się chytrze, przekazując pułkownikowi butelkę whiskey.

– Teraz też proszę postąpić tak, jak należy – powiedział. – Mam rację, generale?

Tamten przytaknął ruchem głowy. Pratt wziął od niego butelkę, obrócił ją w dłoniach, przeczytał napisy na naklejce i z uznaniem pokiwał głową, spoglądając na generała. Mieli okazję spędzić kilka minut na osobności jeszcze przed wejściem do biura detektywa. Calvino nie został poinformowany o tym, jakie słowa padły wówczas między nimi. Obaj postanowili zachować to dla siebie. W końcu byli oficerami wysokiej rangi, nadzwyczaj ostrożnymi i dbałymi o swoje bezpieczeństwo, z nieufnością traktującymi kogoś z zewnątrz. To nie było w stylu pułkownika Pratta. Trzeba było dobrze poznać jego sposób bycia, by dostrzec jego wielki respekt dla generała. Oprócz pudełka z butelkami słodowej whiskey generał przysłał także dużego pluszowego miśka dla dziecka Ratany oraz wielki bukiet czerwonych róż dla jego matki. Żaden gest wdzięczności nie został przez niego zlekceważony. Podobnie jak Pratt, Ratana również okazywała wielki szacunek dla generała.

– To była robota Apicharta – odezwał się niespodziewanie Calvino.

Podejrzewał, że właśnie o tym obaj oficerowie rozmawiali na osobności. Po

twarży generała przebiegł skurcz, niby od podmuchu arktycznego wiatru. Lekko przygryzł dolną wargę, jakby miało mu to pomóc zachować dumnie uniesioną brodę, gdyż siedział sztywno wyprężony niczym podoficer na odprawie przed bitwą.

– Ta sprawa znalazła już swój finał.

– W Nowym Jorku mówi się – odparł Calvino – że żadna sprawa nigdy nie jest zakończona, kiedy ma się do czynienia ze spryciarzami. Właśnie na tej podstawie doszedłem do Apicharta. To on wziął pana na celownik. Jesteśmy osamotnieni. Możemy śmiało skwitować, że takie jest życie. Jeśli nawet zorganizuje pan śledztwo obejmujące tych dwóch zabitych punków i odkryje trop prowadzący do ich zleceniodawcy, to co z tego wyniknie?

– Nie będzie już więcej pustych trumien – wtrącił pułkownik Pratt.

Pod pergaminową półprzezroczystą skórą na nadgarstkach generała widać było setki drobnych, zygzakowatych granatowych żyłek znikających pod mankietami koszuli. Średniego wzrostu, lekko przygarbiony, z całkiem siwymi włosami sprawiał wrażenie dobrotliwego siedemdziesięcioletniego dziadka. Tymczasem przed laty był mentorem pułkownika Pratta w tutejszej policji i w ten sposób narodziły się osobiste więzi, które doprowadziły do tego, że generał stał się częścią życia Calvina.

W ostatnim czasie starszy pan miał kłopoty z lokatorem o nazwisku Apichart, właścicielem agencji reklamowej, której biuro mieściło się na parterze należącego do generała budynku przy Sathorn Road. Mimo doskonałej lokalizacji biura Apichart odmówił płacenia umówionego czynszu i odrzucił nakaz opuszczenia lokalu. Z tego właśnie powodu pułkownik Pratt skierował generała Yosaporna do agencji Calvina. Ten, już po pięciu minutach zapoznawania się ze sprawą, doszedł do przekonania, że Apichart to zwykły dupek, a przecież istnieją dziesiątki tajskich metod rozprawiania się z takimi typkami. Tym bardziej więc zaangażowanie prywatnego detektywa wydawało mu się nietypowe. Generał, wzięwszy pod uwagę jego stanowisko i status społeczny, mógł przedsięwziąć wiele innych stosownych kroków w celu odzyskania swojego emeryckiego spokoju. Ale jednocześnie był buddystą, wiernym pięciu głównym zasadom tej religii, obejmującym także zakaz oszustwa i kłamstwa. Rzecz jasna, wśród tych zasad był również zakaz zabójstwa. Generał poświęcił całe dwadzieścia minut na zapoznanie Calvina z technikami medytacji, pokazując mu, jak należy siadać, jak układać ręce, jak oddychać i, co najważniejsze, jak oczyszczać umysł.

Calvino obiecał, że solidnie oczyści swój umysł po tym, jak odbierze od najemcy należny generałowi czynsz. Pięć dni później Apichart, tajski Chińczyk przebywający stale w towarzystwie dwóch ochroniarzy, doznał olśnienia i posłusznie zrobił to, do czego został zmuszony. Jednakże to olśnienie zesłało na niego same mroczne myśli. Jako człowiek, który zarabiał na życie uliczną sprzedażą kremu wybielającego skórę i makaronów instant, biletów tanich linii lotniczych, niespełniających prawie żadnych

kryteriów bezpieczeństwa, oraz szamponu mającego wszystkim *ying* zapewnić stałe zainteresowanie mężczyzn, bez trudu zorganizował bezwzględną, wyniszczającą kampanię.

Apichart również mógłby wyciągnąć jakąś naukę z rysunku pułkownika Pratta przedstawiającego rybę. Lecz on należał do tych, co się łatwo wzbogacili, uważał więc, że wszystko już wie. Stąd też nie było nic dziwnego w tym, że otworzywszy usta, wypuszczał z nich jeden pęcherzyk powietrza za drugim. Rozpowiedział wśród mieszkańców budynku plotkę, że to generał Yosaporn jest mu winien pieniądze, dlatego wstrzymuje się z zapłatą czynszu do czasu uregulowania długu. W końcu to tańsze od pozywania generała do sądu, jak powtarzał wszystkim, którzy chcieli go słuchać. Niemniej generał przyznał ze wstydem, że raz kiedyś dostał od Apicharta pewną sumę, założył jednak, że jest to datek na prowadzone przez niego centrum medytacyjne. I za pieniądze Apicharta został zbudowany oddzielny barak. Zatem czy była to pożyczka, czy darowizna, zależało wyłącznie od strony relacjonującej zdarzenie. W każdym razie generał nie miał możliwości odplacenia się Apichartowi. Decydowała o tym nawet nie sama kwota długu, lecz suma naliczonych odsetek. Apichart przyjął bowiem z powietrza wielkość dwudziestu procent miesięcznie, zatem szybko zbliżał się moment, kiedy z powodu samych odsetek mógł zechcieć przejąć budynek generała na własność.

Calvino obiecał, że zrobi w tej sprawie wszystko, co tylko będzie możliwe.

Tamtego ranka przed kilkoma miesiącami zaczekał, aż generał wyjdzie, po czym wcisnął się w wąską przestrzeń między dziecięcym łóżeczkiem oraz stertami zabawek, pieluch, pudełek mleka w proszku i butelek ze smoczką. Ratana siedziała za swoim biurkiem i z uwagą wczytywała się w artykuł poświęcony odżywianiu niemowląt. Tymczasem trwała wyjątkowa przerwa w nieustannym płaczu maleństwa, na tyle wyjątkowa, że zagrożony był już ostatni rekord długości ciszy wynoszący dwadzieścia osiem minut. Miała ona jednak charakter zawieszenia broni umożliwiającego obu stronom uzupełnienie zapasów amunicji i ewakuację rannych. Odchrząknął, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu, toteż chwilę później pochylił się nad biurkiem i poklepał Rataną po ramieniu. Podskoczyła na miejscu jak rażona prądem, podniosła na niego wzrok i zamrugła zdziwiona.

– Zamów chińską trumnę – szepnął. – Z tych najbardziej tandetnych.

– Tandetnych? – powtórzyła w osłupieniu, wyżej zadzierając głowę, jakby nie rozumiała, co to słowo znaczy.

Popatrzył na jej zdziwioną minę.

– Tanią i brzydką, powszechnie wzgardzaną. Taką, jakiej nie kupiłaby żadna szanująca się chińska rodzina. Ma to być trumna, o której by żona stolarza powiedziała, że za nic nie sprzeda tego paskudztwa, chyba że późnym wieczorem w swoim drugim życiu.

Od razu zrozumiała, co oznacza „późny wieczór drugiego życia”. W Tajlandii był to synonim czegoś, co nigdy nie nastąpi. Tym samym przykuł jej uwagę. W końcu nie zdarzało się codziennie, żeby jej szef zlecał zamówienie trumny.

– A kto umarł?

– Nikt nie umarł – odparł Calvino, wyciągając w jej kierunku kartkę z naszkicowanym przez generała Yosaporna rozkładem pomieszczeń na piętrze należącego do niego budynku.

– No to po co ta trumna?

– Dla próżniaka.

– Przecież mówiłeś, że nikt nie umarł.

Rozmowa wkraczała na grunt międzykulturowego koszmaru.

– Każ dostarczyć trumnę pod ten adres. Przekaż, by tragarze zostawili ją dokładnie w miejscu zaznaczonym krzyżykiem na tym planie. A potem załatw, żeby trzech mnisi przychodzili do tej kamienicy przez trzy dni z rzędu i śpiewali żałobne pieśni nad trumną.

Oczy Ratany robiły się coraz większe, w miarę jak przenosiła wzrok z kartki na swojego szefa i z powrotem. Cóż, praca dla faranga z założenia musiała obfitować w niespodzianki. Wciąż powtarzała swojej matce i przyjaciółom, że po kilku latach już nic nie jest w stanie jej zaskoczyć, że nabyła całkowitej odporności na dziwactwa obcokrajowca. Teraz jednak uznała w głębi ducha, że była w błędzie.

– Przecież to budynek należący do generała – mruknęła.

Calvino przytaknął ruchem głowy, myśląc z ulgą, że w końcu udało mu się skutecznie wydać polecenie.

– Ale to chyba duży błąd. Nie powinieneś tego robić.

– Może nawet spróbuj tylko wynająć tę trumnę na kilka dni. Jej kupno nie jest konieczne – powiedział.

Nie słyszała, żeby ktoś wynajmował trumny.

– Khun Vinny, na pewno ustaliłeś to z generałem?

– W porządku, jeśli nie da się wynająć trumny, zamów ją, ale koniecznie najtańszą, wyposażoną tylko w minimalnym, niezbędnym zakresie. I chciałbym, żeby już jutro znalazła się na miejscu. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby mnichów też udało się załatwić na jutro.

Kiedy ostatecznie wyjaśnił przyczynę konieczności zakupu trumny, Ratanę przeszył dreszcz grozy.

– Chyba nie rozumiesz, jakie problemy to może spowodować.

Niekiedy zapominał, że jego sekretarka też jest półkrwi Chinką.

– Chodzi ci o przesąd, że nigdy nie powinno się przechodzić obok trumny?

– To przynosi pecha.

– Tam, gdzie zawodzi logika, przesady stają się całkiem solidną bazą do działania.

Założywszy, że w tej potyczce nie ma szans na wygraną, Ratana zadzwoniła do kilku sklepów. Ilekroć pytała o możliwość wynajmu trumny, po drugiej stronie linii zapadała długa cisza. W końcu trafiła na sklep przy Sukhumvit Road niedaleko Soi 101, który ewidentnie przechodził trudny okres. Właściciel zgodził się sprzedać trumnę za pięć tysięcy bahtów, a później odkupić ją za tysiąc, jeśli nie zostanie uszkodzona. Cóż, nawet na rynku trumien dało się znaleźć tę pośrednią ścieżkę prowadzenia biznesu.

Jeszcze tego samego dnia trumna została dostarczona na wskazane przez detektywa miejsce, stanęła w korytarzu przy drzwiach gabinetu Apicharta. Była pomalowana na biało, a jej boki i wieko zdobiły czerwone i pomarańczowe rozetki. Kiedy się na nie patrzyło z daleka, mogły wyglądać jak zrodzone w wyobraźni naćpanego artysty egzotyczne kwiaty. Z bliska przypominały raczej plamy krwi albo ropiejące wrzody trędowatego. Ludzie przechodzący korytarzem odwracali wzrok. Grabarz dołączył nawet małą kapliczkę ze świeczkami i kadzidełkiem, którą tragarze ustawili u wezgowia trumny. Nazajutrz zjawiło się trzech mnichów i przez dwadzieścia minut śpiewało buddyjskie pieśni żałobne. Obecność w korytarzu trumny, kapliczki oraz mnichów wzbudziła dość duże zaciekawienie mieszkańców, chociaż niezbyt pozytywne, gdyż większość spoglądała ze strachem w oczach niczym świadkowie przerażającego wypadku drogowego.

Bangkok to wielkie chińskie miasto. Jak wyraził się kiedyś pułkownik Pratt, cała jego populacja nosi chińskie geny. Rozróżnienie Chińczyka czystej krwi od tajskiego Chińczyka jest sprawą nader problematyczną, niemniej po jakimś czasie większość ludzi upodabnia się do rdzennych Tajów i trudno u nich dostrzec jakiegokolwiek pozostałości chińskich rysów. Płynąca w ich żyłach chińska krew, rozcieńczana z pokolenia na pokolenie, zdaje się zatracać charakterystyczne cechy.

Calvino doszedł do wniosku, że lokator generała Yosaporna, będący w drugim pokoleniu Tajem ze strony matki, powinien mieć w sobie jeszcze wystarczająco dużo z Chińczyka, żeby przyjąć z przerażeniem trumnę stojącą pod jego drzwiami. Jak zauważyła Ratana, trumna jest nie tylko symbolem śmierci, ale także oznaką pecha osób żyjących. Chińczycy potrafią nadłożyć sporo drogi, byle tylko nie przejść przed konduktem niosącym trumnę. Niemniej pracownicy biura znajdującego się w budynku generała mogli się dostać do pracy tylko tym korytarzem, nie mieli innego wyjścia. Za to klienci i kontrahenci, także głównie Chińczycy, takie wyjście mieli.

Od dnia pojawienia się trumny przed drzwiami biura prowadzonego przez Apicharta w jego biznesie nastąpił zastój, a wkrótce przychody zaczęły gwałtownie spadać. Gdyby nawet chodziło o bezpłatne dostarczanie orzeszków, już po kilku dniach nawet głodna mała nie zechciałaby ich tknąć.

Apichart najpierw błagał, potem groził, w końcu zaczął wylewać łzy – zarówno z wściekłości, jak też wstydu, ale przede wszystkim z bezradności. Generał oznajmił,

że sytuacja wymknęła mu się z rąk, przez co należało rozumieć, że Apichart miał swoją szansę, ale skoro zdecydował się przekroczyć granicę zachowań społecznie akceptowalnych, utracił tym samym prawo odwoływania się o pomoc do niego. Tak więc Chińczyk został zdany wyłącznie na siebie i mógł tylko ze strachem spoglądać na trumnę, której nie miał prawa ruszyć z miejsca. Kilka dni później jeden z jego ochroniarzy dostarczył generałowi nie tylko zaległy czynsz, ale jeszcze opłatę za następny rok z góry. I to w gotówce. W dodatku podpisał oświadczenie stwierdzające, że wcześniej przekazana kwota nie była pożyczką, ale darowizną. Firma, która dostarczyła trumnę, zabrała ją jeszcze tego samego dnia. A Ratana otrzymała umówiony tysiąc bahtów i wystawiła stosowne pokwitowanie. Dowiedziała się ponadto, że gdyby jej szef farang bądź któryś z jego przyjaciół chciał jeszcze kiedyś wynająć trumnę, może liczyć na bezpłatny transport i dziesięcioprocentową zniżkę.

Jak tylko pułkownik Pratt dowiedział się o skutecznym odzyskaniu przez Calvina zaległego czynszu, od razu zadzwonił z podziękowaniami. Przewrotny, niezwykle plan okazał się skuteczny. Tajowie rzadko przeciwstawiali się temu, co w przeszłości odniosło skutki. Wpływy generała w minionych latach stopniowo osłabły, pozostały wyraźne tylko w środowisku ludzi bezgranicznie oddanych medytacjom, gdzie jego gwiazda wciąż świeciła intensywnym blaskiem. Tak jak z upływem czasu coraz trudniejsze było zgodne z niepisanymi regułami odróżnianie Chińczyków od Tajów – tak każdy rok przedwczesnej emerytury generała, uzyskanej w wieku lat sześćdziesięciu, zdawał się niweczyć kolejną warstwę jego wpływów i władzy. Nie należało się zatem dziwić, że obecnie siedemdziesięcioletni generał Yosaporn miał tylko jednego prawdziwego przyjaciela, pułkownika Pratta. Pamiętał jeszcze o kilku najbliższych współpracownikach z minionych lat, ale najbardziej wpływowi ludzie z jego otoczenia już nie żyli. W prasie czasami pojawiały się wzmianki o jego działaniach w zakresie medytacji. Ale prawdę mówiąc, stanowił relikw z okresu, kiedy przyzwoitość i współczucie były jeszcze w cenie.

Gdy pułkownik Pratt zasiadł w gabinecie Calvina, trzymając w ręku butelkę cennej słodowej whiskey, zwrócił się do swego dawnego mentora:

– Zalecałbym, żeby Vincent wyjechał z miasta na kilka dni.

Generał skinął głową.

– Mój dobry przyjaciel prowadzi hotel w Pattai. Mógłby się tam zatrzymać.

– Chwileczkę – odezwał się Calvino. – Chcecie mnie zesłać na wygnanie do Pattai?

– Tylko na kilka dni, dopóki sprawa nie przycichnie – odrzekł Pratt. – Potraktuj to jak zasłużony wypoczynek, Vincent. Przecież zasługujesz na kilka dni urlopu z dala od tego biura. Dzieci, klienci...

– Dwóch usmażonych zabójców.

– Może spróbuj powtarzać w myślach: „Jadę na urlop”.

– Mam jakiś wybór?

Popatrzył w oczy pułkownika, po czym przeniósł wzrok na generała Yosaporna i od razu stało się dla niego jasne, że nie ma wyboru. Tamci już zdecydowali, by zniknął z miasta. Problem polegał na tym, że jego działania okazywały się aż nadto skuteczne. Dopiero co wygrał potyczkę z Apichartem, pokonał go, upokorzył i pozbawił broni. Apichart uregulował zaległy czynsz i podpisał oświadczenie, lecz utracił niemal całkowicie wiarygodność, należało więc sądzić, że zechce przelać trochę krwi, by odzyskać twarz. Klienci drwili z niego, a to było nie do przyjęcia dla tajskiego Chińczyka. Opowieść o trumnie pod drzwiami pewnie już krążyła z ust do ust, głównie między żonami w kręgu jego najbliższych przyjaciół.

– To fakt, że mógłbym trochę odpocząć – przyznał Calvino. – Kilka dni z dala od Bangkoku dobrze by mi zrobiło.

Przez usta generała przemknął ledwie zauważalny uśmiezek.

– Miejmy nadzieję, że chodzi tylko o kilka dni. Detektyw wzniosł oczy do nieba.

– Więc może to potrwać dłużej? Mam jeszcze inne sprawy, którymi powinienem się zająć.

– Pamiętaj, co ci powtarzałem na temat medytacji – odrzekł Yosaporn.

– Lepiej nie wracajmy do tego – rzekł szybko Calvino. – Jestem gotów wyjechać, ale tylko do czasu, dopóki nie zaczną mnie dręczyć myśli na temat sposobów opłacenia czynszu i pensji Ratany.

Generał podniósł się, a pułkownik Pratt podążył za nim do wyjścia. Nie pozostało już nic więcej do powiedzenia. Pratt miał się zająć dalszymi problemami z Apichartem, to znaczy zatroszczyć się o likwidację wszelkich szkód. W kontaktach z takimi ludźmi pięć głównych zasad nie stanowiło najlepszego punktu wyjścia do dalszych działań.

Po ich wyjściu Calvino jeszcze jakiś czas siedział samotnie w gabinecie, rozmyślając o innym kliencie, niejakiem Casey, który był mu winien pieniądze. W końcu zapisał Ratanie notatkę, by zadzwoniła do niego i przekazała, że musiał pilnie wyjechać do klienta z Pattai.

Później wyjął z pudełka następną butelkę słodowej whiskey i popatrzył na naklejkę. Znał pewnego właściciela baru w Pattai, który mógłby odkupić ją od niego. Uśmiechnął się i po raz ostatni spojrzął na rysunek pułkownika Pratta, po czym wziął pudło i wyszedł z nim do samochodu. Przekonywał sam siebie, że nie jest to żadne wygnanie, że zgodził się wyłącznie uczynić to, czego nie robił już od dawna, czyli wziąć sobie urlop. Whiskey miała być jego paszportem, sposobem na ucieczkę z Bangkoku i biletem na spędzenie tygodnia nad morzem, z dala od wszelkich problemów. Radośnie zabębnił palcami po pudełku, uśmiechając się do własnych myśli. Mijając dziecięce łóżeczko, od którego załatywało świeżo zabrudzonymi pieluszkami, w pośpiechu pożegnał się z Rataną oraz małym John-Johnem, jak też

innymi niemowlętami leżącymi w kojcu obok John-Johna, których imion wciąż nie mógł zapamiętać.

2

Dwadzieścia cztery godziny po wyjściu pułkownika Pratta i generała Yosaporna z jego gabinetu Calvino zajechał przed hotel w Pattai. Załatwił jeszcze kilka pilnych drobiazgów i pozostawił Ratanie pełnię władzy w biurze, mając nadzieję, że jej żłobek nie będzie narażony na gwałtowne reakcje potencjalnych klientów, a więc oszustów, hazardzistów, pijaków czy podejrzliwych małżonków, głównie jednak mężczyzn zranionych i sponiewieranych przez konieczność pływania u wylotu ścieków tajskiego świata biznesu. Bo on sam zamierzał spędzić jakiś czas w górze strumienia, gdzie duże ryby pozostają pod wodą, nie wypuszczając żadnych bąbelków powietrza.

Droga prowadziła łukiem wzdłuż wybrzeża zatoki. Wąski pas plaży zdobiły wielkie pstrokate parasole i równe rzędy leżaków, krążyły po nim patrole służb podatkowych. A turyści w strojach kąpielowych, z ciałami błyszczącymi od olejków i pokrytymi blaknącymi tatuażami, spacerowali wzdłuż linii przyboju. Calvino skręcił na podjazd przed hotelem. Odźwierny pomyślał więc, że generał musiał telefonicznie uprzedzić personel o jego przyjeździe, gdyż wszyscy mu nadskakiwali, a w każdym razie traktowali go z nadzwyczajną wprost, jak na faranga, gościnnością. Hotel mieścił się w nowoczesnym budynku o fasadzie z chromu i szkła, w której odbijały się refleksy pobliskiego morza. Na tym jednak kończyła się nowoczesność, na wprost hotelu stał tradycyjny „dom duchów”. Co prawda, był wykończony według najnowszych europejskich wzorców architektonicznych, lecz za tą fasadą kryła się wielowiekowa tradycja oddawania czci duchom tej ziemi, duchom złym i zawistnym, zsyłającym nieszczęścia, choroby i niepowodzenia w interesach. Wzniesiony na podwyższonej platformie, kojarzył się z domkiem dla lalek zaprojektowanym przez dziecko cierpiące na zaburzenia psychiki. Otaczający go wąski taras był obrzeżony małymi ceramicznymi figurkami fantazyjnych wojowników, demonów, olbrzymów

oraz aniołków wpatrujących się martwymi kamiennymi oczami w Beach Road.

Podobne domy duchów można było znaleźć we wszystkich tajskich miastach, Pattaya nie należała więc do wyjątków. Gdyby Calvino chciał się zatrzymać przy każdym z nich, w ciągu dnia pokonałby najwyżej kilometr, toteż musiał bardzo tłumić swoje upodobanie do zabytków. Kiedy po raz pierwszy zwrócił uwagę na młodą kobietę składającą ofiarę duchom, uderzyła go jej szykowna, choć pełna chłodu elegancja. Odniósł nawet wrażenie, że ma przed sobą postać wyrzeźbioną w lodowej bryle, jedną z tych, które ustawiano w lobby ekskluzywnych hoteli z okazji organizowanych przyjęć weselnych. Oczy miała zamknięte, ręce złożone jak do modlitwy, a głowę nisko spuszczoną. Nieświadoma jego zainteresowania, stanowiła wręcz idealny obiekt do wnikliwej obserwacji. I jak każdy mężczyzna, pomyślał wówczas, że w świecie duchowym kobieta ma szansę wyrównania wszelkich krzywd.

Hotel o zachęcającym wyglądzie, piękna kobieta przed wejściem do sąsiedniego domu duchów... co tu mogłoby się nie podobać? – pomyślał detektyw, równocześnie gorączkowo rozpatrując w duchu możliwe opcje: *ying* mogła być miła albo nieprzyjemna, młoda lub stara, wykształcona albo prymitywna, odpychająca bądź piękna, uprzejma lub opryskliwa, serdeczna albo nieprzystępna. Tej jednak postanowił przydzielić duży kredyt zaufania. W końcu był dopiero na starcie idealnego wygnania czy też wakacji, zależnie od punktu widzenia. Na szczęście sam nie musiał tego rozstrzygać, jak uznał z szerokim uśmiechem na ustach. Ruszył w kierunku kobiety, ale szybko zamarł w pół kroku. Jakiś pierwotny instynkt nakazał mu się natychmiast wycofać i dać sobie więcej czasu do namysłu co do dalszego ruchu.

Kobieta sprawiała wrażenie żywcem przeniesionej spod jerozolimskiej Ściany Płaczu, bezgłośnie poruszała ustami w jakiejś modlitwie. Pod otaczającym ją kokonem chłodu dało się jednak wyczuć obecność kłopotów, a przecucie to było wystarczająco silne, by powstrzymać Calvina przed próbą nawiązania kontaktu. W myślach odżyła mu jedna z jego osobistych zasad: Można działać impulsywnie przy obstawianiu konia, ale na pewno nie kobiety. Bo żaden koń nie może wciągnąć człowieka w swoje życie. Mógł jedynie wygrać albo przegrać wyścig. A mężczyzna mógł spędzić całe popołudnie na trybunach na wysokości mety i nawet osiem wyścigów później wciąż przeliczać stawki, próbując ustalić, czy wygrał choć parę groszy. Stosunki z kobietą nigdy nie bywały tak proste, bo w nich żadne rachunki się nie sprawdzały.

Na skraju dachu domu duchów usiadła mewa, której biały brzuch ładnie się komponował z szarością skrzydeł. Przedreptała kilka metrów po okapie i przysiadła obok gałęzi drzewa pomarańczowego. Kobieta natychmiast otworzyła oczy, popatrzyła na mewę i uśmiechnęła się. Ptak szybko się poderwał, trzymając w dziobie pęd z załączkiem owocu pomarańczy. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, kobieta,

najwyraźniej wyczuwając, że ktoś ją obserwuje, obejrzała się i popatrzyła na Calvina. Na krótką chwilę ich spojrzenia się zetknęły i uśmiechnęła się lekko. W ułamku sekundy nawiązała się między nimi najbardziej ludzka spośród wszystkich rodzajów więzi – ulotna, wolna od wszelkich pragnień, daleka nawet od niewinnego flirtu. I trwała też tylko ułamek sekundy.

Nie bądź rybą puszczającą bańki powietrza tuż pod powierzchnią wody, nakazał sobie w duchu. Poza tym wakacje z założenia polegają na oderwaniu się od codziennych problemów. Ale nawet to nie uwolniło go od pytania, kto rozbudził w tej kobiecie aż tak wielkie oczekiwania wobec życia, że dała się wciągnąć w zabójczą mieszaninę zawiści i chorobliwej podejrzliwości. W gruncie rzeczy nawet nie chciał tego wiedzieć. Bo czemu miałyby sobie psuć tę rzadką sposobność oderwania się od problemów innych ludzi, ich bólów, cierpień, rozczarowań i żalów?

Mężczyzna na stanowisku recepcyjnym sprawdził jego nazwisko, po czym wyciągnął szereg dokumentów. Przeglądając je, zaczął miarowo kiwać głową, wreszcie oznajmił, że Calvino zyskał wyjątkowy przywilej. To pewnie dzięki generałowi Yosapornowi, pomyślał detektyw. Generał musiał uruchomić wszelkie swoje kontakty, żeby załatwić mu taki apartament.

W korytarzu na górze Calvino przeciągnął kartą magnetyczną w szczelinie elektronicznego zamka i wkroczył do apartamentu złożonego z odrębnego saloniku przylegającego do sypialni. W obu pomieszczeniach znajdowały się płaskoekranowe telewizory ciekłokrystaliczne, a łazienka miała w przybliżeniu te same rozmiary, co jego salonik w Bangkoku. No, w końcu na tym między innymi winny polegać wakacje, pomyślał, na chwilowej ucieczce od rzeczywistości. Niemniej rzadko bywał w tak przestronnym pomieszczeniu hotelowym, o ile nie zostało ono opłacone przez klienta szykującego się do spotkania. Kiedy przed drzwiami zauważył mosiężną tabliczkę z napisem „Apartament Królewski”, przemknęło mu przez myśl, że trudno sobie wymyślić lepszy sposób na ukrycie się poza miastem.

Kazał boyowi postawić pudło z butelkami whiskey na stole i rozsunać zasłony w oknach, po czym wsunął mu w rękę banknot stubahtowy. Spoglądając na błękitne niebo, pas białej plaży i szaroniebieską powierzchnię morza upstrzoną punkcikami rozcinających fale wodnych skuterów, łodzi rybackich i stateczków wycieczkowych, a dalej na horyzoncie także masywnymi sylwetkami statków, poczuł się jak świeżo upieczony biznesmen w Atlantic City, któremu zarząd firmy ufundował wczasy. Brakowało tylko półmiska wyładowanego po brzegi chipsami i pudełek z kartami do gry.

Wyszedł na balkon zawieszony nad plażą, hołubiąc w myślach swój wspaniały nastrój niczym ulubioną piosenkę. W tutejszych wodach musiało być mnóstwo wspaniałych ryb, on jednak wolał się skupić na dwunożnych istotach, które z pewnością musiały wylec na Beach Road, gdy słońce zacznie się topić w oceanie.

Na razie Pattaya tylko przeciągała się szeroko, jeszcze nie całkiem rozbudzona, i zaczynała przygotowania do nadchodzącego wieczoru, szykując wszelkie możliwe atrakcje dla tych wszystkich złąknionych, którzy mieli się wyłonić zza horyzontu.

Była to bowiem pora popołudniowej sjesty, czas na poczytanie dobrej książki. Zabrał ze sobą *Spokojnego Amerykanina* Grahama Greene'a – wychodząc z założenia, że nigdy dotąd nie spotkał nikogo takiego – oraz mocno podniszczone wydanie *Birmańskich dni* George'a Orwella. Jego zdaniem byli to dwaj autorzy cieszący się reputacją takich, którzy coś wiedzą na temat południowo-wschodniej Azji. Zakładał więc, że w ich powieściach może znaleźć przykład innej sztuczki podobnej do pustej trumny przed drzwiami.

Ostatni raz wybrał się na prawdziwe wakacje ponad rok temu. To natomiast było pierwszym przymusowym wygnaniem. Tak czy inaczej, poczuł się uhonorowany, mogąc zamieszkać w apartamencie od strony Beach Road w Pattai. Miał okazję na jakiś czas zapomnieć o inwigilacjach, telefonicznych rozmowach z klientami, szczegółach bezpieczeństwa, podsłuchach w telefonach czy też jeżdżeniu samochodem za jakimiś palantami o trzeciej nad ranem. Rozsiadł się wygodnie, nalał sobie drinka i oświadczył w myślach, że życie jest piękne. Hotel wyginał się łukiem wzdłuż krzywizny plaży. Była to bajeczna lokalizacja z bajecznym apartamentem, do tego na szczęśliwym dziewiątym piętrze. Bo Chińczycy nadzwyczaj cenili liczbę dziewięć, podobnie jak osiem i trzynaście. W ogóle mieli bzika na punkcie liczb, przez co zdarzało im się lądować w dość nieprzyjemnych, odpychających miejscach.

Pułkownik Pratt uprzedził go, że właściciel hotelu jest starym przyjacielem generała Yosaporna. To właśnie generał załatwił mu rezerwację, a opłacając pobyt w apartamencie, mimowolnie przysporzył mu popularności. Najwyraźniej nazwisko generała zostało z nim szybko powiązane i plotka rozeszła się lotem błyskawicy. Wymownie świadczyła o tym mina tajskiego recepcjonisty, który na widok faranga będącego pod specjalną pieczęcią generała wytrzeszczył na niego oczy jak spodki. Tutaj kwestie powiązań socjalnych, hierarchie nazwisk i stanowisk służbowych zdawały się porastać ludzi niczym bluszcz, którego nie sposób było wytępić.

Calvino otworzył butelkę Johnniego Walkera, jako że obiecał sobie nie ruszać drogiego trunku od generała, i nalał pół szklaneczki szkockiej. Sącząc trunek, rozważał pomysł zejścia do restauracji na obiad. Zaczął się też zastanawiać, czy istniało niebezpieczeństwo, że Apichart przyśle tu za nim najemnego zabójcę. W Pattai łatwo było zorganizować zamach. Pułkownik jednak mniej się martwił o zbirów nasłanych przez Apicharta niż o miejscowych policjantów. Kilka osób widziało, jak spycha wózek handlarki wprost pod nadjeżdżający motocykl, a w Tajlandii zdarzało się nieraz, i to w niezbyt odległej przeszłości, że setka osób widziała, jak policjant strzela komuś prosto w głowę, ale później nikt nie potrafił sobie niczego przypomnieć. Pułkownik miał duże doświadczenie w tym zakresie.

Przekonał patrol przybyły na miejsce zdarzenia, by w raporcie zostało opisane jako wypadek drogowy. A potem odprawił Calvina z miasta na wypadek, gdyby ktoś z departamentu chciał wypytywać świadków.

Popatrzył teraz na pudło z butelkami whiskey i uśmiechnął się. Człowiek, który chciał je od niego odkupić, prowadził restaurację, gdzie podawano grube na palec steki z gęstym aromatycznym sosem grzybowym i zawsze znalazły się uśmiechnięte i przystępne kobiety do towarzystwa. Lokal mieścił się na odległym końcu South Pattaya Road i sąsiedował z jednej strony ze spelunką, w której rosyjscy gangsterzy pili wódkę i planowali zbrodnie, a z drugiej z włoskim klubem, gdzie starzy, emerytowani żołnierze mafii założyli własną restaurację. Zdejmując pokrywkę z pojemnika z lodem, Calvino zaczerpnął głęboko powietrza i zamknął oczy, usiłując sobie przypomnieć nauki generała z zakresu medytacji. Kiedy zaś otworzył oczy, popatrzył na błękit morza, pogrążając się w głębokim, błogim spokoju. Pozwolił sobie nawet zaliczyć tę chwilę do kategorii szczęścia.

Odstawił szklaneczkę, by skoncentrować się na pięknym widoku. Gdyby istniał sposób utrwalenia sobie wybranej chwili na wieczność, ta właśnie znalazłaby się w ścisłej czołówce jego listy. Największy problem z takimi chwilami polegał jednak na tym, że nie chciały trwać wiecznie.

Czar prysnął nagle, gdy Calvino ujrzał nagą kobietę spadającą ku ziemi tuż przed jego balkonem. Rozwiane długie ciemne włosy i usta szeroko rozwarte w bezgłośnym krzyku składały się na obraz kogoś, kto ma już w oczach śmierć. Zobaczył jej twarz tuż przed sobą i ten widok poraził go niczym prąd elektryczny. Włoski na karku stanęły mu dęba. Poderwał się na nogi, zacisnął palce na poręczy i wyjrzał na dół.

– Co jest, do cholery?

Cofnął się i pokręcił głową. Chwilę później znów się wychylił, żeby popatrzeć najpierw w górę, a potem w dół. Serce łomotało mu w piersi jak oszalałe. Szum krwi w skroniach nie pozwalał zebrać myśli. Jeszcze raz się wyprostował, mocniej zacisnął palce na poręczy i znowu popatrzył w dół, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Co jest... – wydusił z trudem.

Co ja wyprawiam, do diabła? – zapytał się w myślach. Popatrzył na ludzi zgromadzonych wokół zwłok leżących na chodniku. Ktoś zadarł głowę, więc odruchowo cofnął się w pośpiechu. W najmniejszym stopniu nie zależało mu na tym, by zostać zamieszonym w zabójstwo.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nawet nie zdążył czegokolwiek zrozumieć z tego, co się stało. Dopiero teraz, gdy z jego pamięci wypłynął widok jej twarzy, uzmysłowił sobie, że to lodowa bogini z domu duchów.

Z wysokości dziewiątego piętra jej ciało wydawało się tak małe, że wręcz nierzeczywiste, jakby ktoś zrzucił na dół szmacianą lalkę i ta wylądowała z rękoma i nogami rozrzuconymi w nienaturalny sposób na samym skraju chodnika, częściowo

już na jezdni. Jakiś samochód zahamował gwałtownie i stanął, a drugi z impetem huknął w jego bagażnik. Wokół zwłok na ulicy szybko zbierał się zбитy tłum. Calvino obserwował go z góry. Upadek z tej wysokości musiał być śmiertelny. Zacisnąwszy mocniej palce lewej ręki na poręczy, a w drugiej wciąż trzymając szklaneczkę z whiskey, zadarł głowę i popatrzył na betonową płytę balkonu piętro wyżej. Nie umiał jednak powiedzieć, czy dziewczyna spadła z tego balkonu, czy z jeszcze wyższego. Wyglądało na to, że ducha musiało nie być w domu, kiedy rozmieszczała pałeczki kadzidełek w maleńkich miseczkach wypełnionych piaskiem.

Kłapanął ciężko na balkonowe krzesło, dopił whiskey i postawił szklaneczkę na stoliku. Potem wszedł do pokoju i zadzwonił do recepcji. Odebrała jakaś kobieta.

– Ktoś przed chwilą wypadł z hotelowego balkonu – powiedział. – Proszę zadzwonić po karetkę i policję.

– Oczywiście, proszę pana. Policja została już za wiadomiona.

– Widziałem tę kobietę.

– Tak, rozumiem.

– Ona nie żyje.

– Powiadomimy o tym policję.

Odłożył słuchawkę, wyszedł znowu na balkon i wyjrzał na dół.

Miał wrażenie, jakby dziewczyna na ułamek sekundy przerwała swój gwałtowny upadek, by się pożegnać z nieznanym, przekazać mu nieme słowa rozstania. Już po raz drugi stał się mimowolnym świadkiem czyjejś śmierci zaledwie w ciągu dwóch dni. Musiałem poinformować recepcję o tym, że ją widziałem, upewnił się w myślach. Warto by jeszcze powiadomić pułkownika Pratta. Ale nie teraz. Trzeba gruntownie przemyśleć wszystko, co się wydarzyło.

Spadała głową w dół i to było niepokojące. Gdy ktoś sam wyskakuje z okna, zazwyczaj spada nogami do dołu. Pewnie decyduje o tym jakiś instynkt. Ludzie mają zakodowany lęk wysokości. Spoglądając na leżącą nisko w dole ziemię, nawet *ying* zdecydowana popełnić samobójstwo będzie przez chwilę kalkulować, z którego miejsca skoczyć, a do tego wewnętrzny głos jej podpowie, że ma skoczyć nogami w dół. Tylko ofiary zabójców reagują inaczej. Przede wszystkim usiłują się ratować. Nawet gdy ktoś z zaskoczenia popchnie je od tyłu, efekt jest ten sam, po prostu zlatują z krawędzi głową w dół na skutek utraty równowagi. Zwykle brakuje czasu, aby instynkt przejął nad nimi kontrolę, pokonując wrodzony lęk. Calvino w zamyśleniu uniósł szklaneczkę i przytknął ją do ust, zapomniawszy, że jest pusta. Uświadomiwszy sobie błąd, z impetem odstawił ją z powrotem, pochylił się na plastikowym krzeselku i ukrył twarz w dłoniach.

Kiepsko to wygląda, ale jeszcze nie jest źle, pomyślał. Takie rzeczy się zdarzają. Prattowi nie trzeba tego tłumaczyć. Po prostu niektórym przytrafiają się częściej niż pozostałym. A ja przecież nie zrobiłem nic złego, nalałem sobie drinka i wyszedłem

z nim na balkon. Morderstwa zdarzają się ciągle. Nie wolno takich rzeczy brać do siebie. W końcu on nie miał z tym nic wspólnego. Wiedział jednak, że teraz ma obowiązek zjechać na dół i zrelacjonować policji wszystko, co widział.

Przypomniał sobie lekki uśmiech na jej wargach, kiedy spłoszona mewa odleciała. Jednak pod tą nieprzeniknioną lodową powłoką musiało się kryć choć trochę żaru.

Zostawił wiadomość dla Pratta i zjechał windą do lobby. W drodze do wyjścia zauważył, że policjanci rozmawiają z recepcjonistką oraz boyem hotelowym. Z niezwykłą klarownością ujrzał wizję swojej najbliższej przyszłości, którą trudno było skojarzyć z wakacjami. Dominowały w niej niekończące się zeznania, podpisywanie policyjnych raportów i, co najgorsze, oględziny zwłok. Mieli się dopytywać: „Czy to na pewno tę spadającą kobietę widział pan ze swojego balkonu, panie Calvino?”.

W jednej chwili stracił ochotę na soczysty stek i został zmuszony do zrewidowania planów na ten dzień. Postanowił, że po rozmowie z policjantami wróci do pokoju i będzie przez okno podziwiał zachód słońca. Gdy kilka minut później zadzwonił jego telefon komórkowy, wyjął go, lecz ujrawszy na ekranie numer pułkownika Pratta, nie odebrał połączenia. Uznał, że będzie lepiej, gdy załatwi tę sprawę we własnym zakresie.

3

Dla takich ludzi jak Alan Jarrett, prywatnych zleceniobiorców w zakresie bezpieczeństwa, świt był czymś więcej niż tylko początkiem nowego dnia, stanowił najlepszą porę na egzekucje, tortury bądź wymuszanie zeznań. Wywiadowcy, organizatorzy zamachów i dyktatorzy działający na pograniczu mrocznej strony prawdy uwielbiali patrzeć na swoje ofiary w słabym świetle brzasku wstającego nad horyzontem. Stare wojskowe nawyki zwykły silnie naznaczać ludzkie życie i już po kilku latach służby trudno było odróżnić elementy wpojone od oryginału. Właśnie tego rodzaju piętno stanowił też nawyk pracy o świcie, w porze, kiedy cywile jeszcze spali. Żołnierze i byli żołnierze wciąż wykonujący żołnierskie obowiązki wstawali wcześniej do swoich zajęć, sprawdzali broń lub strzeżony teren, wyruszali do miejsc, których każdy wolałby uniknąć, oni zaś nie mieli w tym zakresie wyboru. Świt był najlepszą porą na powieszenie człowieka i na zorganizowanie zasadzki. Jarrett i jego kumpel Tracer wyjechali z Kabulu na pięciodniowy urlop, gdyż mieli umówione spotkanie tu, w Bangkoku, gdzie czekało na nich zadanie specjalne. Po jego wykonaniu mieli wracać do Afganistanu.

O piątej rano o nadchodzącym wschodzie słońca świadczyła jedynie wąska żółtawa linia na styku nieba i ziemi, przypominająca widok odległej żyły złota w głębi mrocznego szybu kopalni. Ale już za kwadrans miało się dookoła rozlać z pełną mocą światło dnia. Jarrett nagle otworzył oczy, jakby w jego głowie zaterkotał biologiczny budzik. Sięgnął przez głowę i odchylił nieco zasłonę, żeby wyjrzeć na dwór, a kiedy ją puścił, ułożył się z powrotem na poduszce i rozluźnił wszystkie mięśnie. W pokoju było dość chłodno, ciszę zakłócał szum tandetnego hotelowego klimatyzatora. Przemknęło mu przez myśl, że mimo wszystko dobrze jest się obudzić w bezpiecznym świetle cywilów, w otoczeniu wolnym od stałych zagrożeń, które towarzyszyły mu na co dzień. Uniósł powoli lewą rękę i popatrzył na wskazania swojego rolexa. Było dwadzieścia siedem minut po piątej.

Wreszcie powoli przekręcił głowę na poduszce. Dwudziestoletnia *ying*, całkiem

naga, leżała tyłem do niego, spała, zaciskając prawą dłoń na prześcieradle na wysokości pasa. Poruszyła się i jęknęła cicho, jakby przez sen odpowiadała na czyjeś pytanie. Była córką pszczelarza z prowincji, pomyślał więc, że we śnie oporządza ule gdzieś pod lasem, choć trudno było wykluczyć, że próbuje się w barze uwolnić od natrętnego faceta, który ją obmacuje. Pasma jej długich czarnych włosów leżały rozrzucone na poduszce. Oddychała powoli i miarowo, co oznaczało głęboki sen. Jarrett wrócił jednak do myśli, że we śnie oporządza ule gdzieś w głębi prowincji Surin, stoi obok wiadra pełnego miodu, a słońce rozjaśnia jej twarz. Chciał wierzyć, że to prawdziwa wizja. Przedstawiła mu się imieniem Wan, co oznaczało „słodka”, jak miód. Znał ją zaledwie od ośmiu godzin, ale to wystarczyło, żeby poznać jej życiorys, a w każdym razie tę jego wersję, której musiała się nauczyć, jak wszystkie barowe *ying*. Była jednak ładna i roztaczała wokół siebie taki urok, że od razu ogarnęło go podniecenie towarzyszące zawsze niespodziewanym spotkaniom z pięknymi młodymi dziewczętami.

Uśmiechnął się, gdy z jego pamięci wypłynęły słowa starego bluesa: „Facet zawsze musi płacić jakąś cenę, gdy kobieta zna swoją wartość, lecz sprzedaje ją jak najdrożej. Zawsze jest jakaś cena, zawsze jest, choć nie zawsze znana, póki nie dobieje się targu. Zawsze jest, choć nie zawsze liczona w pieniądzech”.

Ostrożnie zsunął się z łóżka, żeby nie zbudzić Wan. Poruszał się jak zwinny cień żyjący własnym życiem. Pokój hotelowy wydał mu się jeszcze mniejszy niż poprzedniego wieczoru. Sięgnął po leżące na krześle ubrania i pospiesznie włożył dżinsy oraz T-shirt. Znieruchomiał na chwilę, gdy dziewczyna znów się poruszyła, podciągnęła kolana do brzucha, po czym naciągnęła na siebie prześcieradło aż pod brodę. Kiedy znieruchomiała, a jej oddech znów stał się powolny i miarowy, odczekał jeszcze parę sekund, po czym zaczął się dalej ubierać, nie spuszczać z niej oka. Uzmysłował sobie nagle, że cywile nawet śpią inaczej, że mogliby wręcz przespać moment swojej śmierci. Sięgnął ostrożnie po jej torebkę, podróbkę modelu Prady, najpewniej kupioną na którymś ulicznym straganie w Sukhumvit, i wetknął do frontowej kieszonki dziesięć tysięcy bahtów.

Kiedy poprzedniego wieczoru w barze zapytał, czy pszczoły jej ojca też giną masowo, jak to się dzieje w Ameryce, zrobiła zdziwioną minę i wzruszyła ramionami. Nic o tym nie wiedziała. Jej ojciec opuścił rodzinę i zabrał ze sobą wszystkie roje. Na pewno pszczoły żyły, kiedy ładował ule na swoje dwie ciężarówki.

– Skąd jesteś? – zapytała.

– Z Ameryki, ale pracuję w Afganistanie.

– Przyjechałeś na wakacje? Uśmiechnął się.

– Pracowite wakacje.

– Zbieram pieniądze, żeby rodzina mogła wrócić do hodowania pszczół.

Uznał wtedy, że zaraz usłyszy którąś odmianę bajeczki o upośledzonej matce,

stratowanej przez bawołu cierpiącego na udar słoneczny.

– Ile ci potrzeba? – zapytał z pewną dozą rozbawienia.

– Dziesięć tysięcy bahtów.

– Sporo.

Wan wzruszyła ramionami.

– Dopiero zaczęłam pracować. Jeszcze nic nie odłożyłam. Ani grosza.

Jej drink stał na kontuarze nietknięty. Starsza *mamasan*, która z mrocznego kąta za barem obserwowała uważnie jej poczynania, wychyliła się z cienia i ostrym tonem kazała jej wypić. Wan pospiesznie uniosła szklaneczkę i pociągała trunek, dopóki kobieta nie wróciła na swoje miejsce na stołku w kącie lokalu.

– Ojciec zjawił się z kolegami w nocy i zabrał wszystkie ule. Nic nam nie zostawił. Widocznie kochał swoje pszczoły bardziej niż żonę i dzieci.

Jarrett odruchowo podzielił pokój na części według własnego układu współrzędnych. Przechodząc z jednego kwadratu do drugiego, sprawdził zasłony, potem okna, drzwi od łazienki, ubrania *ying* oraz jej torebkę. Natknął się na jej dowód i próbował z niego odczytać prawdziwe nazwisko, ale stwierdził ze smutkiem, że już nie pamięta wszystkich znaków tajskiego alfabetu. Jej telefon komórkowy był wyłączony. Przyjrzał się pudełeczku z cieniami do powiek, szmince, szczotce do włosów, jak również inhalatorowi, landrynce w papierku oraz scyzorykowi. Otworzył go i popatrzył na ostrze w wąskiej smudze słonecznego blasku, po czym zamknął i wsunął scyzoryk do kieszeni spodni.

Jego poczynania miały swój cel. Nie wynikały tylko z nadmiernej wrażliwości, traktował podobne zajęcia jak ćwiczenie zawodowe. Cóрка pszczelarza nosząca imię Wan była młoda, spostrzegawcza, w doskonałej kondycji fizycznej. Była dokładnie w takim typie, na którym Jarrett z ochotą wypróbowałby swoje umiejętności zabójcy, żeby potem jeszcze efektywniej wykorzystywał je na polu walki. Poruszanie się po pokoju w taki sposób, żeby nie zbudzić śpiącego człowieka, należało do szczególnie cennych umiejętności w jego dziedzinie. Bo nie wszyscy potrafili poruszać się niezauważenie i bezszelestnie.

Wykorzystywanie swoich zdolności do przewidywania reakcji innej osoby wymagało ciągłych ćwiczeń. Tutejsze *ying* stanowiły niezłe wyzwanie. Najczęściej były wychowane na ulicy i miały głęboko utrwalone podstawowe zasady przetrwania po zmroku. Pracowały w świątku, w którym musiały z wyprzedzeniem dokładnie kalkulować każdy swój ruch. Były zaprawione w sztuce wywodzenia w pole, zastawiania emocjonalnych pułapek, pozorowania działań ubocznych w celu obrony swojej pozycji oraz szybkiego rozbijania kontrataków klientów.

Jarrett popatrzył na śpiącą dziewczynę. W barze tuliła się do niego. Odgrywała wyuczoną rolę uległej *ying*, o czym najlepiej świadczyły kocie pomruki i ocieranie się to o jego nogę, biodro czy też ramię. Tylko koty i ludzie potrafili się bawić swoimi

ofiarami, nim ostatecznie zadawali im śmierć. Więc ona bawiła się z nim, jakby szukała najczulszego miejsca, by zadać ostateczny cios. Wprawna *ying* odznaczała się wyjątkową zdolnością przekonywania klienta, że ich role są odwrócone i to ona jest jego celem. A przecież potrzebowała jego ochrony. Cała magia rodzącego się między nimi związku polegała właśnie na tym szalbierstwie.

Kiedy znaleźli się w leżącym od strony podwórza hotelowym pokoju, zdradziła mu szeptem, że w Tajlandii roje pszczoł także zaczynają wymierać, giną naraz całe pasieki. Mówiła to z oczami jak spodki, jakby chciała w ten sposób okazać przerażenie kryjące się za tymi słowami.

I tylko się uśmiechnęła, kiedy zapytał, co by chciała mieć z tego życia.

Stanąwszy na środku pokoju, Jarrett spojrział na nią po raz ostatni. W jego wyobraźni pojawił się obraz pustego ula z osamotnioną królową i zapasami pszczelego mleczka. Robotnice wywędrowały, jak mawiali Australijczycy, choć właściwszym określeniem byłoby „opuściły ul”. Pszczoły, podobnie jak ludzie, znane były z tego, że potrafią zniknąć bez śladu. Buddyści, którzy uważali, że wszystko jest tymczasowe, powinni najlepiej rozumieć naturę pszczoł. Bo przecież chodziło o naturę, tyle że niekoniecznie ludzką. Ojciec Wan uciekł od rodziny i schronił się w pobliskich górach, w jednym z sanktuariów na wschodnich zboczach, które przed laty Czerwoni Khmerzy gęsto zaminowali. Wrócił do domu tylko po to, żeby zabrać swoje pszczoły. Od tamtej pory nikt go nie widział i nikt o nim nie słyszał. Doskonale wybrał porę przeprowadzenia swojej misji, by uniknąć konfrontacji z żoną i dziećmi. Świadome porzucenie straconej pozycji należało do najcenniejszych umiejętności, które Jarrett posiadał w trakcie służby wojskowej. I z nich wszystkich wydawało mu się najmniej cenione. Skojarzyło mu się to ze słowami starego bluesa, w którym padało zdanie, że jest za późno, aby powiedzieć „przepraszam”.

4

Mający sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i pochodzący z Nowego Orleanu Trace LeLand, który szybko zyskał sobie pseudonim „Tracer”, już w szkole średniej był wyróżniającym się graczem futbolowym, toteż później przez trzy lata grał w lidze stanowej. Określenie „szybki” wydawało się za słabe do opisanego jego poczynania na boisku, gdyż można było odnieść wrażenie, że potrafi prześcignąć wiatr i uciec przed każdym deszczem, a nawet przed własnym cieniem. Umiał też jak mało kto chwycić rzuconą mu piłkę, ponieważ odznaczał się pewnym chwytem, świetnym wyczuciem czasu i doskonałym wzrokiem – zapewne od tych marchewek, którymi go matka karmiła, jak mówił zainteresowanym. Zdobył nawet stypendium, żeby się dostać do reprezentacji stanu Michigan, lecz właśnie wtedy popadł w kłopoty, gdy pewien gość z Rhode Island obraził jego dziewczynę.

Był właśnie na scenie podrzędnej knajpy, jako że grał na saksofonie w zespole muzycznym, kiedy spostrzegł, że nieznajomy – jak się później okazało, synalek bankiera, który całkiem niedawno wyemigrował z Irlandii – nie pogodził się z odmową i złapał za rękę jego dziewczynę, usiłując ją wyciągnąć na parkiet. Kiepsko to wyglądało z wysokości sceny, gdy trzeba było dąć w instrument, przyglądając się zarazem, jak dziewczyna krzywi się z bólu, próbując się uwolnić od natręta. Dlatego zeskoczył na podłogę niczym anioł zemsty i zamiast grać solówkę, stanął między przestraszoną dziewczyną a synem bankiera. Dla przedstawicieli prawa nie miało żadnego znaczenia, że to obcy wyprowadził pierwszy cios, bo uchylwszy się przed nim, Tracer błyskawicznie zadał mu ich kilka i nie przestał go okładać nawet wtedy, gdy intruz leżał już na ziemi. Obcy ludzie musieli go odciągnąć do tyłu, bo w zapamiętaniu wymachiwał rękoma jak cepami, na co jego dziewczyna patrzyła oczyma okrągłymi z przerażenia.

Wylądował w policyjnym areszcie. Prokurator oskarżył go o napaść i brutalne pobicie, a w trakcie negocjacji na temat warunków polubownego załatwienia sprawy sędzia wyraźnie zaznaczył, że gdyby Tracer podpisał wcześniej kontrakt z drużyną

futbolową, jak radziła mu matka, mógłby liczyć na większą wyrozumiałość, może nawet na wycofanie prokuratorskich zarzutów. Futbol w Luizjanie jest traktowany z wszelkimi honorami, więc to, że nie odrzucił od razu oferty przejścia do reprezentacji stanu Michigan, zostało potraktowane jak śmiertelna obraza. Tracer liczył bowiem, że zainteresowanie jego osobą drużyny z pierwszej dziesiątki zespołów krajowych pomoże mu w wynegocjowaniu lukratywnego kontraktu dla gracza zawodowego, sięgającego nawet stu milionów dolarów.

Teraz jednak sędzia nie pozostawił żadnych złudzeń i oznajmił wprost, że pozostały mu tylko dwa wyjścia: dobrowolne poddanie się karze więzienia albo ochotnicze wstąpienie do wojska. Pomyślał, że służba w komandosach może być wielką przygodą, pozwalającą mu także udowodnić, że mimo zwlekania z podpisaniem kontraktu z drużyną futbolową jest patriotą i lojalnym obywatelem. Lecz zanim jeszcze ukończył podstawowe szkolenie, cała nieprzyjemna przeszłość – łącznie z widmem rozprawy sądowej z napastliwymi prawnikami i sędzią o przenikliwym spojrzeniu oraz nierównych spiczastych zębach – rozmyła się w jego pamięci. Wspomnienia z celi w areszcie, w której go zamknięto, z pokoju przesłuchań i sali sądowej, jak również widok matki ocierającej łzy z twarzy – to wszystko odpłynęło w dal niczym nurt rwącego strumienia płynącego pod wysokim mostem.

Teraz, prowadząc samochód, nucił pod nosem piosenkę. Był to jego sposób na zabicie czasu, gdyż wymagał koncentracji na słowach piosenki.

– Kobiety – syknął nieco głośniej, uśmiechając się lekko.

Nie było przed nimi obrony, nie dało się przewidzieć ich poczynań. Stary blues mówił o kobietach robiących różne zwariowane rzeczy – tyle że on, na podstawie własnych doświadczeń, był przekonany, iż tekst piosenki nie może odnosić się do niego. Jak większość ludzi, uważał siebie za wyjątek od reguły.

Wjeżdżał do Pattai i ruch uliczny gęstniał z sekundy na sekundę niczym woda zastygająca w lód. Jadący przed nim samochód zwolnił, po czym się zatrzymał. W ten sposób minęło dziesięć minut, zanim wreszcie skręcił w Beach Road. Ze zdumieniem ujrzał za szybą dość znaczną liczbę mundurowych policjantów, furgonetkę przedsiębiorstwa pogrzebowego oraz tłumy gapiów. Zwłoki zakryte białą płachtą leżały na samym krawężniku, częściowo już na jezdni. Jakiś mężczyzna w uniformie służby ochrony uniósł róg prześcieradła, żeby kamerzysta ekipy telewizyjnej mógł sfilmować twarz zabitej kobiety. Cóż ciebie aż tak bardzo trapiło, maleńka? – przemknęło mu przez myśl. Do jakiej drużyny się nie dostałaś?

Na ulicy powstał gigantyczny korek i dopiero po kilku minutach Tracer zdołał skręcić w Royal Garden Plaza i znaleźć miejsce parkingowe w podziemnym garażu pasażu handlowego. Wysiadł z mercedesa i ustawił przy jego skraju pomarańczowy gumowy pacholek służb drogowych. Otrzepując ręce z kurzu, wsiadł z powrotem za kierownicę i wstawił wóz na miejsce. Zamknął samochód, przesunął nieco pacholek,

żeby stał dokładnie za nim, po czym wsiadł do windy i wcisnął guzik pierwszego piętra. Kiedy wysiadł z windy, nie przeszedł nawet pięciu metrów, nim natknął się na dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn, którzy z daleka wyglądali na zawodowych żołnierzy. Stali przed barem szybkiej obsługi i wpatrywali się w jadłospis. Mogli mieć najwyżej po dziewiętnaście czy dwadzieścia lat, zatem byli mniej więcej w tym samym wieku co on, kiedy się zaciągnął w samą porę, by uczestniczyć w pierwszych starciach wojny w Zatoce.

– Jesteście z Cobra Gold? – zapytał.

– Tak jest – odparli równocześnie. Im też wystarczył jeden rzut oka, by z jego postury wyczytać, że jest zawodowym żołnierzem.

Uśmiechnął się.

– Tak myślałem. Uważajcie na siebie w Pattai.

– Zostaliśmy poinformowani o tutejszej sytuacji, sir.

– Więc chyba nic wam nie grozi. Tylko nie zapomnijcie, że gdy przyjdzie co do czego, zniewieściali chłopcy okażą się bardziej męscy, niż można by przypuszczać.

– Nie ma nic zniewieściałego w tym chłopaku – odparł szybko jeden z nich, uśmiechając się. – Jesteśmy tu, żeby pana ochraniać, sir.

Ten, kto wymyślił to idiotyczne hasło z odzewem, musiał naprawdę dobrze znać Tajlandię. Niemal w ciemno można było trafić, że to sprawka Mooneya. Tracer nie był prorokiem, lecz zawsze powtarzał, że stare bluesy dają człowiekowi świetny wgląd w ludzką kondycję. Współpraca z kimś takim jak Mooney owocowała chociażby tym, że zyskiwało się sporą wiedzę na temat ludzkiej podatności na naginanie reguł. Obaj mężczyźni uścisnęli mu dłoń na powitanie, a zwróciwszy uwagę na sygnet Korpusu Marines na jego palcu, wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Aż go zaciekawiło, co im Mooney o nim powiedział. On sam mógł się spodziewać tylko czegoś w rodzaju: „Mózg zapuszkowany jest kiepskim miejscem na przechowywanie wiedzy. To miejsce na przyjmowanie rozkazów, i to wyłącznie pojedynczo”.

– Macie, chłopcy, ochotę na obiad? – zapytał Tracer, podciągając wzmocnienie swojego stuwatowego uśmiechu. – Znam tu lokal, w którym podają steki zdolne powalić na kolana każdego faceta.

W drodze do restauracji jeden z rekrutów szepnął kilka słów do mikrofonu aparatu komórkowego, dając znać Mooneyowi, że wszystko jest w porządku i idzie zgodnie z planem.

Przeszli kilkaset metrów wzdłuż Beach Road do niewielkiej restauracji. Ledwie zasiedli przy stoliku za przepierzeniem, gdy jeden z rekrutów zapytał Tracera o jego udział w pierwszej wojnie w Zatoce. Dziewczęta przy barze rozmawiały o seksie, giełdowi gracze o rynkowych stawkach, a żołnierze o działaniach zbrojnych.

– Zaliczyliście już swoją służbę w Iraku?

Obaj jak na komendę spoważnieli i smutno pokiwali głowami.

– W takim razie powinniście wiedzieć, że nikt, kto tam był, nie ma ochoty o tym gadać. Gdybyście na przykład chcieli podyskutować o futbolu, to powiem, że stawiam dużą forszę na to, że w tym roku puchar ligi zdobędzie Michigan. Mają quarterbacka, który strzeże ostatniej części własnego pola niczym Spider-Man.

Tamci z rozczarowanymi minami tylko nerwowo obracali w palcach swoje sztućce.

– No, dobra, widziałem sporo gówna i sam narobiłem sporo gówna – odezwał się stanowczo Tracer. – Z niektórego jestem do dzisiaj dumny, o innym chciałbym jak najszybciej zapomnieć. Wiecie, co mam na myśli?

Obaj doskonale rozumieli, co chce im przekazać, bo sami widzieli i narobili trochę gówna we własnym zakresie. Kelnerka przyniosła im zamówione steki, tak wielkie, że ich końce zwieszały się poza krawędzie talerzy. Rozmowa szybko zeszła na kwestie futbolowych rozgrywek ligi uczelnianej, potem na kobiety i na bary. Powiedział im wówczas o martwej dziewczynie, którą widział na ulicy. Rekruci łowili każde słowo jego opisu.

– Różne rzeczy się zdarzają – podsumował filozoficznie jeden z nich.

– Cywile tego nie rozumieją – dodał drugi.

Tracer zapłacił rachunek i zostawił młodych komandosów, żeby na własną rękę odnaleźli swoją drogę do tutejszych *ying*. Nie tyle zresztą drogę, co szeroką autostradę poprzecinaną tylko punktami kontrolnymi do pobierania należnych opłat. Mieli jeszcze czas, by się przekonać, że cywile w Pattai mają własne sposoby organizowania zasadzek przy wąskich bocznych drogach.

W ten sposób obaj rekruci wtopili się w grono kilkutysięcznego amerykańskiego personelu wojskowego, jaki w tym rejonie serdecznie ścisnął ręce nie tylko Tajów, lecz również Singapurczyków, Malajów i Indonezyjczyków, żeby wciągnąć ich w zdyscyplinowane szeregi formacji Cobra Gold i zachęcić do udziału w corocznych manewrach, organizowanych wspólnie przez armie tajską i amerykańską. Chodziło przede wszystkim o ćwiczenia w zakresie tłumienia zamieszek, krzyżowania planów terrorystom i poprawiania sprawności fizycznej, niezbędnej do zachowania gotowości wykonywania czekających ich zadań. Tracer z Jarrettem zaraz po przyjeździe do Pattai nawiązali kontakt z kilkoma instruktorami, głównie starymi znajomymi Tracera z okresu czynnej służby, na tyle zaprawionymi w bojach, żeby teraz wziąć udział w drużynie miejskiej awangardy. Ale obok nich działali inni zleceniobiorcy z zakresu ochrony, którzy szukali rekrutów, szermując opowieściami o sytuacji w Bagdadzie i starych dobrych czasach z okresu Pustynnej Burzy. Tymczasem burza przeniosła się znad pustyni nad inne obszary. Co do tego wszyscy byli zgodni, stawiając sobie nawzajem kolejki drinków przy barach w oczekiwaniu na kolejną turę ćwiczeń z cyklu Cobra Gold.

Jarrett wymówił się od picia, ponieważ czekały go pilne przygotowania do roboty w Bangkoku. W gruncie rzeczy była to tylko wymówka pozwalająca wnioskować, że któraś dziewczyna wpadła mu w oko. Tracer wiedział dokładnie która, wiedział nawet, że to córka pszczelarza. Nie wątpił jednak, że Jarrett chce również zabezpieczyć broń potrzebną do tego zlecenia, między innymi snajperski karabinek kalibru 7,82 milimetra – lekki, dalekosiężny i celny, doskonale nadający się do roboty w wielkim mieście. Nawet nie wyobrażał sobie, że mógłby skorzystać z innej broni. Specjalnie zażądał tego modelu, gdyż dobrze wiedział, że Mooney może mu go dostarczyć, po prostu skreślić jedną sztukę z inwentarza i załatwić to w ten sposób, jakby nigdy jej tam nie było.

Tracer spojrział na zegarek. Kupił sobie rolexa w drodze do Bangkoku, w sklepie wolnoctwowym na lotnisku w Dubaju. Był dumny z tego nabytku, dzięki któremu sprawdzanie czasu stawało się przyjemnością. Minęły dwie godziny od chwili, kiedy zaparkował auto na podziemnym parkingu centrum handlowego. Ruszył ulicą Beach Road. W wąskim przejściu między szeregami motocykli przy krawężniku a stolikami ulicznych sprzedawców, na których dominowały kostiumy bikini, kastety i scyzoryki, panował spory ścisk. Musiał się przeciskać między turystami w sandałach i szortach, jeśli nie oglądającymi olejki do opalania i souvenir, to ciągniętymi za ręce do najbliższej pracowni krawieckiej przez hinduskich krawców, którzy działali błyskawicznie, żeby upatrzona ofiara nawet nie zdążyła się zorientować, o co chodzi.

Skręcił w boczną *soi*, wzdłuż której ciągnęły się bary, restauracje i uliczne stragany z jedzeniem, nie mówiąc już o kolejnych setkach motocykli, śpiących psach czy młodych *ying* przycupniętych na plastikowych stołkach, jedzących palcami *sont tarn* albo palących papierosy. Wyminął pospiesznie dwóch naganiaczy pracujących przed wejściami dwóch sąsiadujących ze sobą lokali ze striptizem. Obaj byli tak samo krótko ostrzyżeni i nosili ciemne okulary, jakby chcieli się upodobnić do aktorów grających role twardzieli w bardzo modnych tu filmach o piratach. Dotarł wreszcie do końca wąskiej uliczki i przed wejściem do środka zatrzymał się na chwilę przed barem, nad którym migotał neon przedstawiający czerwono-zielonego smoka ziejącego ogniem. Był to jeden z tych lokali, które przynosiły za mały dochód, by właściciela było stać na zatrudnienie naganiaczy i przyciągnięcie atrakcyjnych *ying*, marzących nie tylko o darmowych drinkach i napiwkach przy kontuarze. Drzwi zwieszające się ukośnie na porzewiałych zawiasach i wyszczerbione betonowe stopnie schodów przed nimi świadczyły wyraźnie o powodach, dla których Mooney wybrał właśnie to miejsce. Potwierdzenie tego wniosku znalazł natychmiast, gdy tylko odchylił kotarę wiszącą w wejściu i szybkim spojrzeniem obrzucił wnętrze baru.

Przy kontuarze, wsparte łokciami o chromowaną poręcz, stały dwie *ying*, które ziewając szeroko, oglądały swoje paznokcie. W najdalszym kącie siedział Mooney, sztywno wyprostowany, z rękoma splecionymi na stoliku, zapatrzony na scenę.

Tracer aż pokręcił głową, doszedłszy do wniosku, że sierżant z kancelarii jednostki wygląda na jeszcze bardziej spiętego niż podczas ostatniego ostrzału koszar. Minęło kilka minut, zanim tamten go zauważył, opartego plecami o ścianę przy wejściu. Wolał bowiem nie podchodzić do niego znieuważając. Wiele razy dobijali wcześniej targu, jeszcze podczas trwania wojny w Zatoce, ale i później, jak gdyby przeznaczone im były wzajemne kontakty, które Mooney, gdyby to tylko było możliwe, zerwałby już dawno temu. Jednak czasami życie nie pozostawia wyboru, pomyślał Tracer, trzeba więc układać się z ludźmi, których zna się od lat, ponieważ tylko im można w pełni zaufać. Obaj wiedzieli, że Mooney odlicza już dni do przejścia na wojskową emeryturę, bo czeka na niego ciepła posadka w prywatnej firmie ochroniarskiej pułkownika Watersa. W ten sposób mieli się stać kumplami z pracy.

Mooney pochwycił jego spojrzenie i przywołał go gestem ręki. Tracer usiadł i zamówił sok ze świeżo wyciśniętych pomarańczy w wysokiej szklance, bez lodu. Mooney popijał piwo singha. Nie ulegało wątpliwości, że czarnoskóry w eleganckiej białej koszuli, wełnianych spodniach i drogich włoskich butach, raczący się sokiem ze świeżych pomarańczy, mógł wejść do podrzędnego baru w Pattai tylko i wyłącznie w interesach. Mimo to Tracer musiał bardzo ostrożnie negocjować z sierżantem. Zdążył się nauczyć, że nie może inaczej, jeśli nie chce popaść w kłopoty.

– Wyglądasz jak właściciel sklepu z żywą przynętą na ryby, który właśnie się dowiedział, że dziesięć kilometrów w górę rzeki ma stanąć tama – rzekł na powitanie.

– Nie znoszę takich sytuacji – warknął Mooney, uniósł butelkę z piwem, pociągnął z niej tęgi łyk, odstawił i otarł usta wierzchem dłoni.

– A kto je lubi?

– Nikt nie zadaje sobie trudu, żeby przysłać pisemny rozkaz. Wszystko załatwiają na gębę. Mówią: „Mooney, organizujemy ćwiczenia z zakresu szybkiego reagowania. Będziesz dowódcą drużyny”. Tylko pomijają milczeniem, że nie będzie żadnej drużyny, oczywiście pomijając ciebie, tyle że ty, bracie, nie kwalifikujesz się na członka mojej drużyny. No i jest jeszcze Jarrett, który nawet nie zniża się do spotkania ze mną. Więc co tu jest grane, do jasnej cholery?!

– Już niedługo dostaniesz etat w naszej firmie, więc może lepiej pomyśl o swojej przyszłości.

– Mówisz do mnie tak, jakbym był barową dziwką – syknął sierżant.

– Wszyscy gramy w jednej drużynie, Mooney. Jarrett, ja, ty. Zatem jesteś częścią naszego zespołu.

– Nakłoniłem już Blackwatera, żeby zechciał się ze mną spotkać. Waters nie jest jedynym pracodawcą w tej dziedzinie.

– Wiem o tym. Ale na razie współpracujesz z ludźmi, których znasz. A znasz może już kogoś od Blackwatera?

Mooney pociągnął kolejny haust piwa, z impetem odstawił butelkę i machnął ręką

na *dek-serve*, jak w Tajlandii określano *ying* podające klientom napoje, ale niebiorące udziału w tańcach. Dziewczyna pospiesznie ruszyła na zaplecze po drugie piwo.

– Głowiłem się nad tym, jakim cudem zdobędę choćby najmniejsze doświadczenie, jeśli będę działał sam. Nie znalazłem jednak żadnej racjonalnej odpowiedzi. Ty ją znalazłeś, Tracer?

Ten uśmiechnął się i pociągnął łyżeczek soku pomarańczowego, tłumacząc sobie w duchu, że nie ma najmniejszego sensu brać utyskiwań Mooneya do serca.

– Waters twierdzi, że jesteś dobry. Twardy i niezależny. Każdą robotę doprowadzasz do końca. I unikasz kłopotów.

Sierżant wzruszył ramionami.

– Mniej więcej się zgadza.

Prawdę mówiąc, Mooney lubił słuchać tego typu komplementów. Faktycznie każde zlecenie doprowadzał do końca. A przecież sztuka oceny ilości potrzebnej broni, amunicji i zapasów, bez zbędnej pracy papierkowej, była zanikającą umiejętnością. On jednak był w niej prawdziwym mistrzem.

– Nie mniej więcej, tylko dokładnie.

– To może ty mi powiesz dokładnie, czym się naprawdę zajmuję.

Obaj popatrzyli na *ying* na scenie, które robiły chyba przedstawienie dla publiczności złożonej z samych zombi.

– Tajnymi sprawami, w których twój udział pozostaje ścisłą tajemnicą. Rzekłbym, że to prawdziwa sztuka.

– Na pewno nie dla mojej żony – mruknął Mooney, który ożenił się z córką oficera, jakby miał nadzieję, że ona na pewno troskliwie zadba o niego na starość.

– Prawdziwy mężczyzna musi umieć skrywać pewne rzeczy przed swoją żoną. Na pewno rozumiesz, co mam na myśli.

Tracer sięgnął po portfel, żeby zapłacić za drinki, ale sierżant gwałtownie odsunął jego rękę i lekceważąco machnął dłonią w powietrzu.

– Lepiej zatroszcz się o siebie. Na pewno o niczym nie zapomniałeś?

Tracer popatrzył na niego z ukosa, marszcząc brwi.

– Kate musi wrócić cała i zdrowa w ciągu trzech dni. W przeciwnym razie...

– Nie może być żadnego przeciwnego razu, człowieku. Odnajdziemy ją. Obiecuję.

Mimo półmroku panującego w barze Tracer dostrzegł, jak Mooneyowi oczy się rozszerzyły. Przez głowę przemknęło mu pytanie: Dlaczego biali chłopcy zawsze muszą nadawać swoim zabawkom, jachtom czy samolotom, dziewczęce imiona w rodzaju Kate? Nie zamierzał jednak nawet przez chwilę zastanawiać się nad odpowiedzią.

Tydzień wcześniej Mooney odebrał telefon od swojego byłego dowódcy, który nie raczył podać żadnych szczegółów operacji kontrwywiadowczej, o której wsparcie został poproszony. Nie oczekiwał nawet żadnych konkretów tego rodzaju misji,

prawdę powiedziawszy, nie chciał ich znać. Jego zdaniem wiedza wśród wojskowych była zdecydowanie przeceniana. Pułkownik Waters powołał się na człowieka, który wciąż działał w ukryciu, polecał jednak usługi Mooneya w roli specjalisty od uzbrojenia w zakresie szkoleń z cyklu Cobra Gold. Wcześniej zapoznał się z rachunkami Firmy pokrywającymi działania od Algerii po Zimbabwe w porządku alfabetycznym. Wyglądało na to, że jeśli tylko któryś z polityków dochodził do wniosku, że trzeba bronić żywotnych interesów Ameryki, natychmiast pojawiał się pułkownik Waters z gotowym planem ryzykownej interwencji. W tym zakresie kluczowe zdanie należało do szefa Służb Oceny Ryzyka Logistycznego, komórki określanej potocznie skrótem LRAS, który powinien zaopiniować każdy projekt, tyle że dodatkowe usługi nie wchodziły w zakres żadnego projektu. Niemniej Waters, oprócz normalnych obowiązków, zajmował się dodatkowymi zleceniami spływającymi do LRAS, od czasu gdy tylko znalazł się w czynnej służbie – na własną rękę rekrutował odpowiednie zespoły ekspertów i przydzielał specjalistom poszczególne zadania.

Przed kilkoma laty firma zorganizowała ekipę złożoną z kilku absolwentów wydziałów zarządzania oraz specjalistów od taktyki operacji specjalnych z LRAS i odstawiła stary zespół na boczny tor. Miało to charakter czystki powiązanej z masowymi zmianami na stanowiskach generalskich. Watersowi udało się zachować stanowisko w LRAS, ale na kilka miesięcy po tym „przewrocie pałacowym” został zakopany przez nowe dowództwo w robocie papierkowej. Niewiele jednak było potrzeba czasu nowym zarządcom, żeby dojść do wniosku, że Waters jest im bardzo potrzebny. Tyle że on skwitował to uśmiechem i wrócił do swojej papierkowej roboty. Niemniej miał już przygotowaną własną grupę do zadań specjalnych, o której dowództwo nie miało pojęcia. Już sam ten fakt potajemnego powołania własnego zespołu stanowił znaczne zwycięstwo pośród innych rozgrywek i wojenek na gruncie korporacyjnym.

Miesiąc przed operacją Cobra Gold Tracer był jeszcze w Kabulu, gdzie odebrał telefon w środku nocy.

– Chyba będę miał robotę dla ciebie i Jarretta. W Bangkoku – rzekł pułkownik Waters w szyfrowanym połączeniu. – Bierzesz ją?

Nie pożegnał się nawet, tylko przerwał połączenie. Następnego ranka Tracer powiedział Jarrettowi o tej rozmowie, ale tamten tylko wzruszył ramionami. Siedzieli na przodzie humvee i jechali na lotnisko, działając w ramach akcji ochrony zastępcy sekretarza stanu, który w hełmie i kamizelce kuloodpornej siedział z tyłu, marząc pewnie o jak najszybszym powrocie do domu.

– Bangkok – dodał. – Musielibyśmy wziąć dziesięć dni urlopu, i to bezpłatnego. Do podziału jest czterdzieści kawałków. Powiedziałem, że mnie ta propozycja się podoba, ale muszę ją skonsultować z tobą,

- Co to za robota?
- Trzeba zlikwidować jakiegoś parszywca. Jarrett pokiwał głową.
- Jak zwykle.

Trzy dni później spotkali się w barze w Bangkoku, gdzie na scenie tańczyły *ying*. Jarrett zamrugął szybko, widząc aż tyle obnażonego ciała. Od czasu do czasu, zwłaszcza na lotnisku w Kabulu, docierało do niego, że należy do innego świata. Teraz też aż potrząsnął głową, cicho gwizdnął pod nosem i klepnął się dłonią po udzie, gdy jedna z bardzo szczupłych dziewcząt uśmiechnęła się do niego.

– Powinieneś poszukać grubej mamuśki, jeśli chcesz coś strząsnąć. A chyba właśnie tego potrzebujesz, Jarrett. Każda kobieta tęskni za solidnym kawałkiem mięsa wbijającym się jej aż do kości.

- A ty powinieneś się przenieść na Samoa, Tracer.
- Potrzebny mi karabinek 7,82 milimetra do zlecenia w mieście.

Nawet nie pomyślał, by rozmawiać z Watersem o koniecznych zakupach do tego zlecenia. Uważał, że jak zwykle tylko od niego i Jarretta zależą podobne szczegóły w pertraktacjach z Mooneyem.

Jarrett znowu zapatrzył się na scenę. W półmroku zalegającym w sali barczysty były piłkarz mógł z łatwością uchodzić za Samończyka.

- Jak zdobędziemy broń? – zapytał Tracer z uśmiechem, kręcąc głową.
- Trzeba to ustalić z Mooneyem.
- Z funduszu Cobra Gold?
- Mooney to człowiek Watersa. Najdalej za pół roku będzie ściśle współpracował z LRAS.
- Przekaż Watersowi, że chciałbym mieć także celownik noktowizyjny.

Tracer skinął głową.

– Już to zrobiłem. I zażądałem też tłumika. I trójnogu. Mam nadzieję, że dwadzieścia pocisków wystarczy.

- Już pierwszy strzał powinien być skuteczny – mruknął Jarrett.

Zapatrzył się przed siebie, jakby nagle zapomniał o *ying* na scenie. Przez dwie piosenki nie odezwał się ani słowem. Zawsze się tak zachowywał, gdy rozpatrywał w myślach różne warianty wykonania zlecenia, po czym jak zwykle dochodził do wniosku, że w danych okolicznościach nie ma za bardzo wyboru, bo i nie miałyby go nikt inny na jego miejscu. Tracer doskonale rozumiał to podejście partnera. W każdej sytuacji trzeba było zostawić sobie trochę czasu do namysłu. Teraz on obrócił głowę w kierunku tańczących *ying*, ale nawet ich nie widział, jak gdyby tylko szukał jakiejś odpowiedzi zen w sposobie ich poruszania się na scenie.

- Jesteś pewien, że zdobędzie to, na czym nam zależy?
- On też jest członkiem Cobra Gold. Powinien jak zawsze dostarczyć broń, żebyśmy później, trzy dni po wykonaniu roboty, mogli mu ją oddać i bez kłopotów

wrócić do Kabulu. Wtedy wszyscy byliby zadowoleni.

Jarrett skinął głową.

– Kto jest naszym celem? Tracer wzruszył ramionami.

– Ten palant, który kilka lat temu zamordował syna Caseya.

– Wydawało mi się, że Casey we własnym zakresie zatroszczył się o niego – rzekł Jarrett.

– Nie zapominaj, że Casey działa w Bangkoku. Nie może prowadzić operacji na terenie swojej działalności.

– A my tego nie robimy? – zdziwił się Jarrett.

– My to co innego. Na co dzień działamy w Bagdadzie, Kabulu bądź innej dziurze, niekoniecznie przypominającej miasto w rodzaju Bangkoku. Tutaj trzeba się już liczyć ze względami politycznymi.

– Mówisz tak, jakbym słuchał Watersa.

Jarrett zawsze wykladał kawę na łąwę. Ale w tym wypadku cytował pułkownika Watersa. Casey został przeniesiony do Bangkoku przed kilkoma laty i wszyscy, którzy go znali w Bagdadzie, byli przekonani, że zabił człowieka odpowiedzialnego za śmierć syna. Niemniej wyglądało na to, że z upływem miesięcy i lat stał się łagodny i potulny, jakby wziął sobie do głowy typowo chrześcijańską skłonność do wybaczenia. Wcześniej, razem z sześcioma innymi prywatnymi specjalistami z zakresu bezpieczeństwa, pracował na kontrakcie w bagdadzkim więzieniu. W jego wypadku transfer wiązał się z awansem i wyższą gażą. Ale ci, którzy go lepiej znali, między innymi Jarrett i Tracer, byli zdania, że Casey postanowił zaangażowaniem w pracę zawodową zabić w sobie traumę po śmierci syna.

– Waters nie mógł rozmawiać wprost przez telefon. Był w Bogocie.

Jarrett popatrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Mówię to z ręką na sercu – dodał Tracer.

– A ty w ogóle masz serce? Nie oszukasz nikogo, kto cię zna. Wydawało mi się, że Waters nie znosi Kolumbii.

– Nigdzie nie jest powiedziane, że zawsze będą cię wysyłać tylko tam, gdzie ci się podoba.

Temu Jarrett nie mógł zaprzeczyć. Nawet tacy ludzie jak pułkownik, już za życia otoczeni legendą, musieli mieć swoich przełożonych, którzy szykowali dla nich rozkazy zgodnie z ich umiejętnościami pracy terenowej. Waters powiedział kiedyś, że wolałby się znaleźć w otoczeniu talibów niż specjalistów od administracji i zarządzania. Pracował dla sekcji Specjalistycznego Dalekiego Zwiadu Taktycznego, ale nie należał do typowych ludzi Firmy. Hołdował dawnym zwyczajom korporacyjnym, kiedy to weterani operacji terenowych zarządzali komórkami wywiadowczymi. Pod tym względem zarzucał sobie, że nie ma wystarczających kwalifikacji, by zająć miejsce wśród obecnych wytrawnych graczy korporacyjnych.

Powtarzał, że zmarnował czas, stawiając na szlifowanie swojej wymowy hiszpańskiej zamiast na naukę księgowości. W ten sposób stał się asem wywiadu w Ameryce Łacińskiej, ale z zakresem odpowiedzialności ograniczonym prawie do zera. Jeszcze podczas wojny w Zatoce ówczesny kapitan Waters wyznał kiedyś Tracerowi, iż żałuje, że nie wybrał nauki szwedzkiego. Bo najbardziej pociągały go stuosiemdziesięciocentymetrowe niebieskookie blondynki z nogami długości obwodnicy stanu New Jersey.

5

Kim była kobieta, która zabiła się po upadku z hotelowego balkonu? Co go z nią łączyło? Od jak dawna się znali? Po co przyszła do jego pokoju? Czy doszło do kłótni?

Mniej więcej do tego sprowadzały się pytania kilku gliniarzy, przy czym większość zadawał tylko jeden oficer. Przesłuchanie zaczęło się już przy hotelowym stanowisku recepcyjnym. Potem przeniosło się do lobby, a stamtąd na ulicę, gdzie musiał obejrzeć zwłoki, zanim pozwolili mu wrócić do swojego pokoju. Prawdopodobnie sądzili, że znajdą jakąś nieścisłość w jego zeznaniach, dlatego naciskali tak, jakby już uznali go za winnego zabójstwa. Oficer prowadzący przesłuchanie Calvina mówił płynnie po angielsku. Zapisywał jego odpowiedzi, zawsze takie same po takich samych, powtarzanych na okrągło pytaniach, dopóki nie zadzwonił telefon. Pułkownik Pratt był na linii. Przyszła teraz jego kolej na zadawanie pytań.

– Co to była za dziewczyna, Vincent?

– Nie powiedziała, jak się nazywa.

– Ale znałeś ją?

– Kiedy zajechałem pod hotel, po drugiej stronie ulicy zapalała kadzidełka przed wejściem do domu duchów. Spłoszyła ją mewa, obejrzała się, popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się, a ja odpowiedziałem uśmiechem. Czy to brzmi jak początek intymnej znajomości?

– To, co się stało, Vincent, jest bardzo niepokojące.

– Ja też nie jestem z tego powodu szczęśliwy. Miałem tu odpocząć, zabawić się trochę. Chodziło przecież o to, żebym zniknął z pola widzenia oddziału szturmowego Apicharta.

Najwyraźniej pułkownikowi też przyszło do głowy, że Apichart mógł mieć coś wspólnego z upadkiem dziewczyny z hotelowego balkonu, ale mimo usilnych starań nie potrafił tego wszystkiego ze sobą powiązać. Trudno było zakładać, że Apichart

już wie, dokąd Calvino wyjechał, skoro poza nim tylko generał i Ratana wiedzieli, w którym hotelu się zatrzyma.

– Jutro rano przyjadę do Pattai.

– Pratt, policja rozważa możliwość zamknięcia mnie w areszcie. Ktoś szeptnął, że pięćdziesiąt tysięcy bahtów wybawiłoby mnie z opresji.

Na krótko zapadła cisza. Ktoś wyraźnie próbował naciskać na Calvina, a to byłoby równoznaczne z policzkiem wymierzonym nie tylko jemu, ale i generałowi.

– Nikomu za nic nie płąć – rzekł stanowczo Pratt.

– Mam nadzieję, że to, co się stało, nie ma nic wspólnego ani z Apichartem, ani ze mną – odrzekł Calvino. – Zdarza się przecież, że ludzie wypadają z balkonów, zwłaszcza w Pattai. Piszą o tym w gazetach. – Obejrzał się na gromadkę umundurowanych policjantów zebranych w jego pokoju.

– Ale to najczęściej farangi w głębokiej depresji, Vincent. A nie młode tajskie dziewczęta.

Tu pułkownik miał rację. Ta *ying*, którą Calvino zobaczył przed domem duchów, była w kwiecie wieku, miała całe życie przed sobą.

– Nie mam ochoty przesiedzieć nocy w areszcie. Już wolę zapłacić pięćdziesiąt kawałków.

Pratt nie miał czasu, żeby powiadomić telefonicznie generała Yosaporna o tym, co się stało w Pattai. A przecież hotel był własnością przyjaciela generała. Warto było się z nim skontaktować, zanim zrobi to hotelarz.

Ratana ostrzegała Calvina o niebezpieczeństwach związanych z wykorzystaniem pustej trumny do ściągnięcia długu i teraz jej słowa odżyły w jego pamięci: *To źle wróży*. A skoro dotychczas zginęło troje ludzi, należało chyba faktycznie zweryfikować własną ocenę sytuacji.

– Nie pójdziesz do więzienia, już moja w tym głowa – oznajmił Pratt i przerwał połączenie.

Sądząc po brzmieniu głosu, był zaniepokojony i podenerwowany, jak również niezbyt pewny tego, czy uda mu się wybronić Calvina przed aresztowaniem. W tym zakresie decydowało ogólne, niezbyt przychylne nastawienie do farangów, którego nie sposób było przezwyciężyć. Należało szukać jakiegoś rozwiązania pośredniego, kompromisu. Pięćdziesiąt tysięcy bahtów stanowiło niezłą pozycję wyjściową, stwarzało pole do rokowań. Tym bardziej że po wstępnych przesłuchaniach powinno dotrzeć do niego, iż jest to jedynie pierwotna stawka na otwarcie licytacji. Toteż teraz Pratt powinien przystąpić do negocjacji w celu zredukowania tej kwoty, przybliżenia jej do wysokości zarezerwowanej dla Tajów. Tylko farang, mający jednak właściwe powiązania, mógł liczyć na podobną cenę.

Tak więc już w pierwszych godzinach po przyjeździe do Pattai marzenia Calvina o beztróskich wakacjach, o wylegiwaniu się na plaży i kąpielach w morzu, przysły jak

bańka mydlana. Siedząc w pokoju hotelowym i czekając, aż Pratt zdoła się dogadać, poczuł się uwięziony na granicy świata wolności i świata więźniów. Żaden z miejscowych policjantów nie chciał zdecydować, co z nim zrobić. To był dobry znak, świadczący o ostrożności gliniarzy mimo żywionych podejrzeń. Ich nastawienie zmieniło się wyraźnie po tym, kiedy wyszło na jaw, że to generał Yosaporn opłacił pobyt Calvina w nadmorskim hotelu, i normalna wrogość wobec faranga zaczęła przygasać. Jakąś godzinę później jeden z oficerów poinformował, że ma do odwołania pozostać w tym pokoju, którego drzwi będą strzegli policjanci dyżurujący w korytarzu.

– Chciałbym wyjść na spacer po plaży. Potrzebuję świeżego powietrza, chyba pan to rozumie?

Oficer obrzucił go złowieszczym spojrzeniem.

– Gdyby to ode mnie zależało, już by pan siedział w areszcie – rzekł, najwyraźniej mając w pamięci, że Calvino odrzucił ofertę uwolnienia za pięćdziesiąt tysięcy bahtów.

– Więc nie będzie spacerów po plaży – rzekł ze smutkiem detektyw, zamykając drzwi, po czym z ręką na klamce huknął w nie lekko czołem, raz, drugi i trzeci. Następnie odwrócił się, popatrzył na pozostałych w pokoju gliniarzy i ruszył w ich stronę, a ujrawszy, że jeden z nich na siłę wpycha łapy do wewnętrznych kieszeni jego najnowszego zakupu, rzucił: – Tylko ostrożnie z tą marynarką.

Policjant obwąchał ją podejrzliwie, po czym zmarszczył nos i powiedział:

– Śmierdzi dymem. – Powąchał jeszcze raz. – I gazem.

Nie był to najlepszy moment na tłumaczenie powodów, dla których jego marynarka przesiąkła tymi zapachami. W niczym by mu to nie pomogło, najwyżej od razu wywindowało stawkę z pięćdziesięciu do stu tysięcy bahtów. Dlatego też Calvino postanowił przejść do ofensywy.

– To, co robicie, jest nie do przyjęcia – rzekł ostro. Kiedy zapatrzyli się na niego ze zdziwieniem, dodał: – I nielegalne. Nie macie prawa przetrzymywać mnie w areszcie domowym. Rozumiecie, co mówię? Gdybyście zechcieli szybko wyjść z mojego pokoju, z chęcią napiłbym się whiskey i poczytał książkę.

Policjant ziewnął, popatrzył na kolegów i podał pierwszemu z nich marynarkę, by też ją powąchał. Kolejny sięgnął po chusteczkę i wysmarkał nos, po czym oznajmił, że ma alergię na smród spalin. Nie ulegało wątpliwości, że mają na myśli oskarżenie go o czynne zakłócanie przebiegu analiz wykonywanych czujnym policyjnym nosem. Tamten kichnął raz i drugi, mocno czerwieniejąc na twarzy, po czym zaklął pod nosem i podał marynarkę następnemu. Tajlandia należała do regionów brzydzących się odrażającymi zapachami, a w każdym razie takimi, które tubylcom podpadały pod tę kategorię. Tropikalny klimat i ciągły upał znacznie poszerzały zakres tego typu woni, zwłaszcza wiążących się z rozkładem, przed którymi Tajowie uciekali czy od

których słabli. Kiedy więc ostatni z gliniarzy podał marynarce Calvinowi, ten również powąchał ją i odwieszając na krzesło, powiedział:

– Według mnie niczym nie śmierdzi. Może wydziela przykry zapach wynikający z różnic kulturowych. Czy już wam mówiłem, chłopcy, że chciałbym, abyście wyszli, bym mógł wreszcie rozpocząć swoje wakacje? Mogę powiedzieć wam to samo po tajsku, jeśli sobie życzycie, sądzę jednak, że przynajmniej z grubsza rozumiecie, o co mi chodzi.

Dobrze pojmował, że skoro nie mógł opuszczać pokoju, to nie było małe ustępstwo. Tymczasem jednak musiało dojść do jakiegoś twórczego, obustronnie zadowalającego, cennego dla przyszłych awansów kompromisu, gdyż po jakichś czterdziestu minutach dowódca policyjnej ekipy wkroczył do pokoju z uśmiechem na ustach. Calvino od razu pomyślał, że ten uśmiech albo oznacza dla niego dobre nowiny, albo przynajmniej je wróży. Co oznaczało, że tubylcy porozumieli się między sobą, bo w przeciwnym razie wciąż domagaliby się zapłaty pięćdziesięciu tysięcy bahtów pod groźbą natychmiastowego wpakowania za kratki. A skoro nie doszło nawet do tego etapu, w końcowe negocjacje musiał się włączyć pułkownik Pratt, który zapewne rozmawiał telefonicznie zarówno z generałem Yosapornem, jak i z dowódcą policji w Pattai, będącym bodajże jego starym przyjacielem z akademii policyjnej czy też przyjacielem przyjaciela – w każdym razie udało im się szybko dojść do porozumienia. Tymczasem do szefa policji musiał jeszcze zadzwonić właściciel hotelu, natomiast generał Yosaporn z pewnością obdzwonił wszystkich pozostałych znajomych z komendy głównej.

W każdym razie słuchawka aparatu na biurku komendanta w Pattai musiała być aż gorąca po rozmowach z czterema wysoko postawionymi oficerami komendy głównej policji, jednym znanym politykiem, generałem z miejscowego garnizonu, admirałem marynarki wojennej i jeszcze kilkoma wpływowymi osobami z tutejszej śmietanki towarzyskiej. Gdyby wpadł na pomysł narysowania złożonej siatki wzajemnych powiązań, uzyskałby obraz sieci pajęczej z Calvinem przyczajonym w jej środku. Tak więc już po drugim czy trzecim telefonie dotarło do niego z pełną mocą, że Calvino nie jest zwykłym farangiem i policja powinna być ostrożna w kontaktach z nim.

Detektyw pomyślał natomiast, że wścibscy dziennikarze zapewne czuwają w hotelowym lobby i wokół budynku, zaczepiając chyba wszystkich gości wysiadających z windy. Nagie zwłoki młodej dziewczyny były wystarczającym gwarantem przyciągnięcia przed ekrany złaknionych sensacji widzów, można było też zakładać, że jej zdjęcia ukażą się na pierwszych stronach wszystkich poważniejszych jutrzejszych gazet. Należało się więc obawiać nacisków na miejscową policję, żeby nie wypuszczała go wolno. Nikt nie miał wątpliwości, że Calvino był głównym świadkiem w tej sprawie, a wobec zbliżających się wyborów parlamentarnych istniało też niebezpieczeństwo, że jacyś weterani miejscowej polityki zechcą na nowo

podnieść problem farangów i zbrodni popełnianych przez przyjezdnych. W końcu rozpowszechniany tu obraz farangów – który nawet w najlepszych czasach był daleki od ideału – ograniczał się do migawek z dokonanych ostatnio aresztowań pedofilów z Zachodu, poszukiwanych przestępców, pijaków, szaleńców i narkomanów. Politycy uwielbiali wykorzystywać takie materiały do swoich ataków na władze, bezwstydnie żerując na najniższych instynktach swoich wyborców. A gliniarze woleli nie wchodzić w drogę politykom w perspektywie nadchodzących wyborów. Stąd też każdy farang był pod ścisłym nadzorem, obserwowano go uważnie, jakby z założenia planował porwanie całego kontenera najładniejszych *ying*, korporacyjnych bogactw, bezcennych zapasów ryżu bądź złota. Mnóstwo Tajów uważało, że większość farangów mieszkających w ich kraju knuje coś złego, bo w przeciwnym razie dlaczego mieliby mieszkać w Tajlandii, odrzucając myśl o powrocie do swojego faranglandu?

Dwoje świadków – jakiś motocyklista i sprzedawczyni łakoci wędrująca po plaży – zeznało, że widziało Calvina przy poręczy balkonu w chwili, kiedy dziewczyna spadła na ziemię. Tylko to wystarczyło, żeby uznać go za podejrzanego. Po kilku dalszych pytaniach świadkowie zgodnie uznali, że farang na hotelowym balkonie musiał mieć coś wspólnego ze śmiercią dziewczyny. Właśnie od policjantów Calvino dowiedział się, że są świadkowie, którzy potwierdzają jego obecność na miejscu zbrodni. Nie pomogły tłumaczenia, że jego pokój znajduje się bezpośrednio pod miejscem zbrodni, a on podszedł do poręczy i wyjrzał na dół już po tym, jak dziewczyna wypadła z jednego z pokoiów znajdujących się wyżej w tym samym pionie. Gliniarze patrzyli na niego wzrokiem pełnym niedowierzania. Stąd też nie mógł się oprzeć wrażeniu, że z upływem czasu zeznania naocznych świadków staną się coraz dokładniejsze, a do tego pojawią się kolejni świadkowie, zgodnie potwierdzający to, co zeznała już ta pierwsza dwójka.

Zbierało się na burzę. To dobra okoliczność, pomyślał, widząc w wyobraźni, jak ryba zamyka gębę i pospiesznie nurkuje, żeby przy dnie zaczekać na obiecaną z samego rana interwencję pułkownika Pratta. Rozsiadł się w fotelu i zapatrzył na linię horyzontu łączącą niebo z morzem, myśląc o tym, czy rzeczywiście nie byłoby lepiej, gdyby zrezygnował z wykorzystywania pustej trumny do ściągnięcia zaległego czynszu dla generała Yosaporna. Oczyma wyobraźni widział otaczających go półkolem gliniarzy i znowu stał przy poręczy balkonu. Przecież gdyby chciał postąpić właściwie i dołączyć do kobiety leżącej już na skraju chodnika w dole, jak mu powtarzano, nic by go nie powstrzymało przed skokiem. Kilku wyższych rangą oficerów policji zwróciło uwagę na jego pudełko i sięgnęło po butelki whiskey, żeby uważnie obejrzeć nalepki.

– To prezent od generała Yosaporna – tłumaczył Calvino, choć wolał nie wdawać się w żadne szczegóły.

Dowódca ekipy kazał dwóm funkcjonariuszom zabrać całe pudełko.

– *Metta* – dorzucił wówczas, co w kanonie palijskim oznaczało „współczucie” i było przez generała chętnie używanym określeniem stosowanym przy pożegnaniu.

Tajowie panicznie boją się tego, że mogą się znaleźć po niewłaściwej stronie walki o władzę czy choćby zwykłej kłótni, boją się też poważnych błędów. Niezależnie od tego, kim był ów farang i czym zasłużył sobie na tak drogi prezent od generała, jego wysoką pozycję potwierdzały dość liczne telefony od ludzi, którzy rzadko dzwoniли na policję, co rodziło niepokój i nakazywało wzmożoną ostrożność. Zaraz po śmierci dziewczyny w jego pokoju hotelowym zebrała się spora gromadka gliniarzy, lecz ich liczba szybko zmalała, gdy tylko zaczęła się lawina telefonów. Po ostatniej rozmowie dowódca ekipy urządził krótką naradę z pozostałymi oficerami, przy czym wszyscy zerkali podejrzliwie na Calvina, który musiał zejść z balkonu i teraz siedział spokojnie na rogu wielkiego, niemal królewskiego łoża.

– Pozostanie pan na razie w tym pokoju – oznajmił w końcu dowódca tonem sugerującym, że jest to kolejny sukces sił porządkowych.

– Nie będę mógł wychodzić z hotelu?

– Nie będzie pan mógł wychodzić z pokoju.

– *Metta* – odrzekł Calvino.

Oficer przez chwilę próbował rozsądzić, czy farang przypadkiem nie kpi sobie z niego. Szybko rozpatrzył w myślach kilka opcji, po czym wrócił do narady z podwładnymi. Niedługo później wszyscy się wynieśli.

Według Tajów został na niego nałożony nieoficjalny areszt domowy, pozwalający im zachować twarz, choć zmuszający do niańczenia go. Nie jest jeszcze tak źle, pomyślał Calvino, wciąż mając wizję pobytu w więzieniu. Rozsiadł się wygodniej na łóżku i zaczął rozmyślać nad tym, co go spotkało. Śmierć dziewczyny zapoczątkowała szereg wydarzeń i nikt, nawet pułkownik ani jego mentor, nie mógł dokładnie przewidzieć, co się stanie dalej. Pratt zbył milczeniem kwestię czasu trwania aresztu. A perspektywa stałego nadzoru dwóch czuwających przy nim gliniarzy wprawiała detektywa w ponury nastrój. Mogli go tu przetrzymywać aż do wyborów, nie wypuszczając z hotelu nawet całymi latami. Gdyby pilnujący go policjanci za bardzo się zestarzelili i musieli iść na emeryturę, zastąpiliby ich rekruci świeżo po akademii, niemający nawet pojęcia, dlaczego strzeżonemu farangowi nie wolno opuszczać pokoju na dziewiątym piętrze. Wystarczyłaby im informacja, że ta dziwna forma uwięzienia jest związana ze śmiercią dziewczyny, która zginęła wiele lat temu, i nawet drobiazgowie śledztwo nie pozwoliło wyjaśnić, jak albo dlaczego umarła. Nikt by nie kwestionował decyzji zatrzymania Calvina w jego pokoju, gdyż łatwiej jest bogaczowi wstąpić do królestwa niebieskiego niż Tajowi przyznać się do błędu i odwołać swoją decyzję.

6

W Tajlandii dość szybko dochodzi się do wniosku, że nie trzeba nikogo stracić, żeby zostać samotnym. Areszt domowy w Pattai niewiele się różnił od skromnego pogrzebu, podczas którego tylko zmieniający się rotacyjnie strażnicy spoglądają na ciało zmarłego.

Na straży pozostali ci sami dwaj oficerowie, którzy wykazywali największe zainteresowanie pudełkiem z whiskey. Skoro nie udało im się zwędzić ani jednej butelki, doszli do wniosku, że ten przydział nosi cechy służbowej kary. Innymi słowy, musieli zostać w hotelu, bo zgłosili się na ochotnika i teraz przyszło im czekać na rozkaz zejścia z posterunku. Mimo to niczego po sobie nie okazywali, z kamiennymi twarzami przełknęli tę gorzką pigułkę. Lecz gdy tylko reszta ekipy zjechała na dół, jednoznacznie dali Calvinowi do zrozumienia, że przysporzył im poważnych kłopotów. A kiedy słyszy się z ust Taja, że przysparza mu się kłopotów, należy to uznać za szczególnie ugładzoną wersję opinii, iż należałoby zabrać paszport i pojechać pierwszą taksówką na lotnisko. W azjatyckich metodach uwalniania się od kłopotów zawsze tkwi element nieodwracalności. Calvino nie odezwał się ani słowem, dobrze wiedząc, że nie jest to najlepsza pora na jakiegokolwiek bicie słownej piany. Za to brak reakcji ze strony faranga powoli zniwelował ich złość. Detektyw został sklasyfikowany jako uciążliwy wrzód na dupie z cuchnącą dymem sportową marynarką. Między sobą przekonywali się jednak szeptem, że jest winien zabójstwa, zerkając przy tym na niego podejrzliwie. Odpowiedział uśmiechem, toteż tamci zmarszczyli brwi. Jeden prychnął pogardliwie, drugi zaklął pod nosem. Zachowywali się jak bramkarze w podrzędnym nocnym klubie.

Calvino doszedł do wniosku, że przydałaby mu się garść informacji od gliniarzy – z kim jeszcze rozmawiali, które pokoje poza tym przeszukali, co zdołali ustalić?

Nie ruszając się z łóżka, gdyż ręce wciąż miał skute za plecami, popatrzył uważnym wzrokiem na funkcjonariuszy krążących nerwowo po pokoju. Obaj ubrani w identyczne brązowe mundury, niemal tak dopasowane jak strój pletwonurka,

z tkwiącymi w kaburach dziewięciomilimetroowymi pistoletami, z kajdankami w kieszonkach (odliczając te, którymi był skuty) i krótkofalówkami przy pasie na biodrze. Na wierzchu mieli fluorescencyjne pomarańczowe kamizelki kuloodporne z wielkim białym napisem na plecach: POLICJA. I tak samo krótko ostrzyżone czarne włosy.

U jednego z nich policzki i szyja były tak gęsto pokryte bliznami po trądziku, jakby kiedyś po jego ciele przetoczyła się istna lawina wyprysków. Niektóre z nich pozostawiły po sobie prawdziwe krater, dorównujące głębokością dołkom w policzkach szeroko uśmiechniętej dziewczyny. Pod tym względem przypominał byłego dyktatora Panamy, Manuela Antonio Noriega, toteż Calvino w myślach zaczął go nazywać Noriegą. Miał zapewne około trzydziestki, ale wyglądał na starszego i nieprzystępnego, sprawiał wrażenie pozbawionego skrupułów oprycha, który by potrafił bez namysłu pchnąć człowieka na ścianę, wymierzyć mu kopniaka kolaniem w jaja, spoliczkować go, a potem kazać zastrzelić. Spoglądał na detektywa z wyraźną podejrzliwością zaprawioną głęboko niechęcią.

Jego młodszy o kilka lat partner, śmiertelnie poważny i usztywniony, nerwowo złapał krótkofalówkę, gdy tylko z głośnika popłynął niezrozumiały jazgot, i pospiesznie zameldował, że farang nie przyznał się do zabójstwa. Przynajmniej do tej pory. Zerknął przy tym na Calvina, chociaż mówił po tajsku. Z wydłużoną stożkowato głową i wysokim czołem, jak gdyby wypiętrzającym się spod linii cofających się włosów, przypominał chińskiego przywódcę, Mao Zedonga, zresztą – podobnie jak tamten – odznaczał się grubymi zaokrąglonymi wargami, które nadawały jego twarzy wyraz znawcy mrocznych sekretów. Wyglądał na człowieka dobrze zaznajomionego z zyskami, jakie niesie ze sobą arogancja i użycie przemocy fizycznej.

Detektywowi oszczędzono formalności związanych z aresztowaniem. Co do tego obaj policjanci także mieli kilka własnych teorii. Zanim więc Calvino mógł dostać to, czego pragnął, musiał zdobyć choć trochę ich zaufania.

Mao był bardziej obcesowy, to on obrzucił Calvina złowrogim spojrzeniem, kazał mu się odwrócić i oprzeć rękoma o ścianę nad głową, po czym go obszukał. Kiedy z kabury podramiennej wyciągnął rewolwer, z chytrym uśmieszkiem podał go partnerowi. Calvino rzucił szybko, że ma licencję na tę broń, ale ich to nie obchodziło. Po rozbrojeniu faranga Noriega wyciągnął kajdanki z kieszonki przy pasie, kazał mu się odwrócić i wyciągnąć ręce do tyłu. Skuwanie kajdankami należało do ich podstawowych obowiązków.

Gdy już ich dopełnili, Noriega ruchem ręki polecił mu usiąść na brzegu łóżka i nie ruszać się z miejsca. Obaj przystąpili do przeszukiwania pokoju, powyciągali wszystkie szuflady, przetrząsnęli jego walizkę. Słyszał, jak któryś z nich w łazience otwiera drzwiczki szafki, potem odsuwa zasłonkę prysznicową.

Po zakończeniu rewizji wrócili na środek pokoju, stanęli ramię przy ramieniu i zapatrzyli się na Calvina. Ten nie zmienił pozycji nawet o centymetr. I nie powiedział ani słowa. Toteż tamci, najwyraźniej zakładając, że ich nie rozumie, podjęli rozmowę.

– Zapytaj go, dlaczego zabił tę dziewczynę – zaczął Noriega.

Mao zmarszczył nos.

– Czemu wszystkie farangi tak śmierdzą?

– Myślisz, że wypchnął ją z balkonu? Jego partner wzruszył ramionami.

– Nie lepiej było go zabrać do komendy i zamknąć w areszcie?

– Dostaliśmy wyraźne rozkazy. Ma zostać w tym pokoju. A my mamy zostać z nim.

– Co on tu robi z tym pudłem whiskey? – zdziwił się Mao. – Może właśnie przez to zabił dziewczynę? Należałoby ją zabrać jako dowód przeciwko niemu.

Teraz Noriega wzruszył ramionami.

– Później. Na razie musimy wykonywać rozkazy.

– Jestem głodny, a wy? – odezwał się Calvino po tajsku. – Chcecie, żebym zamówił coś do jedzenia?

Mao obrzucił go zdziwionym wzrokiem.

– Mówisz po tajsku?

Calvino uśmiechnął się i poprosił grzecznie, żeby mu zdjęli kajdanki.

– I tak nie mogę się stąd ruszyć na krok. Zresztą formalnie nie jestem aresztowany.

Policjanci wymienili znaczące spojrzenia i z powrotem przenieśli wzrok na niego, kiwając głowami. Miał rację. Ale z ich punktu widzenia to, że nie został formalnie aresztowany, nie miało żadnego związku z kajdankami na jego rękach.

– Poza tym jak miałbym skorzystać z telefonu, kiedy jestem skuty? Na pewno nie chcecie nic zjeść? Mógłbym zamówić wielkie grube steki z frytkami, a do tego lody. Ale wy pewnie nie lubicie żarcia farangów.

Noriega sięgnął po kluczyk od kajdanek i kazał mu wstać. Nie odchodząc od łóżka, Calvino odwrócił się i tamten zdjął mu kajdanki. Szybko roztarł sobie nadgarstki, po czym wolno, bez zbędnych gwałtownych ruchów, pochylił się nad stolikiem i sięgnął po słuchawkę.

– Zamawiam jedzenie.

Nie otrzymali instrukcji dotyczących dostępu faranga do telefonu. Musieli więc to przemyśleć. Decyzja zapadła szybko.

– Ale tylko jedzenie – ostrzegł Noriega.

– Steki i lody – powtórzył Calvino.

Połączył się ze smażalnią i zamówił trzy duże, średnio wysmażone steki, do tego wiaderko frytek i półlitrowy pojemnik lodów kawowych. Następnie wybrał numer

restauracji rosyjskiej, gdzie zamówił litrową butelkę wódki i podwójną porcję pierogów z barszczem. Wreszcie zadzwonił do włoskiej restauracji i zamówił pieczeń cielęcą z trzema porcjami makaronu. Mao i Noriega tylko gapili się na niego, strzygąc uszami. Każde jego zamówienie kwitowali chytrymi uśmieszkami, potakując ruchem głowy. Calvino nie był pewien, co to oznacza, uznał jednak, że jest na dobrej drodze, i dlatego zamawiał dalej.

Mao podszedł do stolika i wyjął z pudełka butelkę whiskey.

– Ile ona kosztuje? – zapytał po tajsku.

– Sześć tysięcy bahtów – odparł Calvino, świetnie zdając sobie sprawę, że jest to prawie miesięczna płaca w policji.

– Co tu robisz z jedenastoma butelkami? I dlaczego jednej brakuje? Już ją dzisiaj wypijeś? – zaciekał się Noriega.

Nie ulegało wątpliwości, że błyskawicznie zrobił w myślach prosty rachunek. Wartość stojącego przed nim pudełka była bliska jego rocznym dochodom.

– Zostały sprzedane. Miałem je dostarczyć dziś wieczorem.

Noriega zamyślił się nad konsekwencjami tego faktu.

– Więc nie chciałbyś, żebyśmy jedną otworzyli? Calvino spojrzał szybko w stronę butelki Johnniego Walkera stojącej na stoliku na balkonie. Noriega pojawił w lot, słowa były zbyteczne. Wychylił się na balkon i sięgnął po butelkę. Kiedy się odwrócił w stronę pokoju, na jego ustach malował się szeroki uśmiech.

W oczekiwaniu na realizację zamówień Calvino zadzwonił po służbę hotelową i poprosił o szklaneczki, wiaderko z lodem i wodę sodową. Kilka minut później już wręczał pracownikowi hotelu sto bahtów napiwku. Nalał do trzech szklaneczek po trochu whiskey i dwie wręczył Mao i Noriedze.

– *Chai yo* – rzekł, wznosząc tajski toast. – Nie zabiłem tej dziewczyny.

Toast oznaczał dosłownie „zwycięstwo”, ale z brzmienia jego głosu trudno było wywnioskować, czyje zwycięstwo opijają.

Gliniarze opróżnili szklaneczki. Usiedli w półkolu, tamci dwaj na krzesłach przy stole, on na brzegu łóżka. Ponownie uniósł szklaneczkę i zapytał:

– Macie pojęcie, kto zajmuje pokoje bezpośrednio nad nami, od dziesiątego do piętnastego piętra?

Tajowie wzruszyli ramionami i wyciągnęli puste szklaneczki w jego kierunku. Napęlił je ponownie.

Jako pierwsza na stole pojawiła się rosyjska wódka, ale z dostawcą w drzwiach pokoju stanął konsjerż. Calvino pożyczył od niego długopis, podpisał rachunek i wyciągnął go do niego.

– Proszę to dołączyć do mojego rachunku.

Tamten popatrzył na rachunek, obrzucił szybkim spojrzeniem policjantów siedzących w pokoju, wreszcie zerknął na dostawcę i rzekł:

– Wykluczone.

– Nie mogę wyjść do bankomatu. Proszę zapytać tych dwóch dżentelmenów. A nie mam przy sobie gotówki.

Konsjerż, Noriega i Mao wymienili kilka szybkich słów. Konsjerż tylko zazgrzytał zębami i obrzucił Calvina wyzywającym spojrzeniem. Ten jednak szybko zamknął drzwi, zostawiając go na korytarzu. Przyniósł do stolika pojemnik z parującymi pierogami, a kiedy go otworzył, pokój wypełnił się zapachem farszu z dobrze przyprawionego duszonego mięsa oraz mięty, której siekanymi listkami były obsypane pierogi.

Z szerokim uśmiechem otworzył butelkę wódki i nalał do trzech szklaneczek, nie zadając sobie nawet trudu, by je przepłukać po whiskey. Miał ochotę wybuchnąć śmiechem, gdy usłyszał, co policjanci powiedzieli konsjerżowi: „Ten farang to ważna osobistość i dostaliśmy rozkaz, by zadbać, że nie sprawi żadnych kłopotów. Ale i ty nie chciałbyś mu sprawiać kłopotów, prawda?”

Bardzo wiele rzeczy sprowadzało się do unikania możliwości sprawienia komuś kłopotów. U tubylców wrodzoną niechęć do kłopotów przewyższało jedynie pragnienie zachowania twarzy. Calvino uniósł szklaneczkę, lekko trącił nią szklaneczki Mao i Noriega, a następnie pociągnął tęgi łyk wódki. Gliniarze popatrzyli na siebie, po czym też upili po trochu wódki dość silnie pachnącej Johnnie Walkerem. Trudno było wykluczyć, że sami wierzą w to, co powiedzieli konsjerżowi.

Mao zacisnął szklaneczkę w garści i zapatrzył się na detektywa, jakby wciąż się zastanawiał, czy ten farang rzeczywiście jest VIP-em, czy pospolitym mordercą. A może zaliczał się do coraz częściej spotykanych wśród VIP-ów zabójców?

Noriega, starszy z tej dwójki, był wyraźnie powolniejszy. Wstał, w zamyśleniu okrążył stół, podniósł butelkę, przeczytał z nalepki nazwę wódki, potem odstawił ją i znów sięgnął po swoją szklaneczkę. Calvino zdążył ją ponownie napełnić, gdy zjawił się posłaniec ze smażalni. I jemu kazał odebrać należność od konsjerża w recepcji. Chłopak popatrzył na policjantów, ale ci szybko pokiwali głowami i potwierdzili, że dostanie pieniądze na dole. Następne kolejki i toasty poszły całkiem gładko, a dziesięć minut później przybył goniec z włoskiej restauracji. Tym razem to Noriega kazał mu się zgłosić z rachunkiem do konsjerża. Na stole zabrakło miejsca, toteż Calvino rozstawił pojemniki z włoskimi daniami na łóżku. Pierogi z mięsem, makaron z sosem i steki – mieszanina zapachów w pokoju zaczynała przypominać tę z taniego baru przekąskowego w jakimś przemysłowym miasteczku w Missouri. Po opróżnieniu drugiej szklaneczki wódki Mao wyraźnie się rozluźnił i uśmiechnął.

– Jeszcze więcej jedzenia? – zapytał. Calvino pokręcił głową.

– Najpierw zjedzmy to, co jest. Zawsze będziemy mogli zamówić więcej.

Noriega wyszczerzył zęby z radości. Sięgnął po słuchawkę i kazał przynieść do pokoju talerze i porządne metalowe sztuce. Konsjerż wysłał więc na górę boya

z całym wózkiem pełnym zastawy stołowej, pieprzniczką i solniczką, słoiczkami z sosem pieprzowym i musztardą oraz miseczką świeżych czerwonych papryczek chili, małych i dziwnie poskręcanych. Żaden z policjantów nie czuł się już ukarany służbą na straży faranga. Przytrafiło im się bowiem coś, co każdy oficer niższego szczebla musiał docenić: prawdziwe przyjęcie z dobrym zachodnim jedzeniem oraz trunkami, jak też zaproszeniem, aby się najeść do syta i wypić wszystko, dopóki puste butelki nie zagrzechoczą na podłodze.

W Tajlandii kultywuje się stare obyczaje wspólnego spożywania posiłków, a zgodnie z nimi normy obowiązujące przy stole są znacznie istotniejsze od powodów, dla których dane grono się spotkało. Kiedy Calvino nalał trzecią kolejkę wódki, Noriega zapytał o Stany Zjednoczone. Wyjaśnił więc, że pochodzi z Nowego Jorku, a niezależnie od wszelkich racji jest to tylko mała wyspa położona u wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Stąd też Nowy Jork nie świadczy o Stanach Zjednoczonych bardziej niż Bangkok o Tajlandii. To zdanie spotkało się z głośnym pomrukiem aprobaty Noriegi, jako że obaj policjanci pochodzili z prowincji, wobec czego żywili typowy dla prowincjuszy uraz do wielkiego miasta.

– W Los Angeles człowieka ocenia się po tym, czym jeździ. W Waszyngtonie po zajmowanym stanowisku. A w Nowym Jorku po zasobności portfela.

Popatrzył na swoich gości, którzy przeżuując duże kawałki mięsa, przetrawiali także znaczenie tego, co powiedział. Nawet później milczeli jeszcze przez kilka dobrych minut, w zamyśleniu grzebiąc widelcami w makaronie.

– Coś mi się zdaje, że w Bangkoku mamy razem wszystko to, co w tych trzech amerykańskich miastach – odezwał się w końcu Mao, wstając od stołu.

Samochody, pieniądze, status społeczny i kobiety były podobnie cenione w Nowym Jorku, jak i w Bangkoku. Jeśli ceniło się właśnie te wartości, sensownie było mieszkać w którymś z tych miast, pomyślał Calvino. Ale dostał w prezencie pudełko bardzo drogiej whiskey, dlatego że był farangiem rozumiejącym tajską potrzebę spłacania długów. Mao zrozumiał to błyskawicznie. Ale Noriega wciąż brodził po mieliznach logiki, próbując od razu przestawić swoją skrzynię biegów z luzu na piąty bieg.

– Chciałbym zamieszkać w Ameryce – rzekł z rozmarzeniem.

– Niby z jakiego powodu? – zdziwił się Calvino.

– Żeby się szybko wzbogacić.

– Naprawdę nie wiecie, kto mieszkał w pokoju nade mną? – zagadnął znienacka, wskazując palcem sufit.

– Ta dziewczyna, która się zabiła – odparł Noriega.

– Wobec tego wiecie, że nie wypadła z mojego balkonu. Ktoś musiał ją wypchnąć piętro wyżej.

Mao zmarszczył brwi.

– A niby skąd wiesz, że tam została wypchnięta? Może przyszła do ciebie i ty ją wypchnąłeś za balkon?

– Dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał retorycznie. Noriega oskarżycielsko wymierzył w niego palec.

– Straciłeś panowanie nad sobą. Poniosło cię. Pokłóciliście się, ona chciała cię uderzyć w twarz, ale ją odepchnąłeś i wypadła za balkon. Nie twierdzę, że zrobiłeś to umyślnie. Możesz śmiało się przyznać, czy tak właśnie było. Zrozumiemy cię.

Tyle zyskał na zamówieniu różnych potraw i alkoholu. Bo przecież żaden z gliniarzy nie mógł pozwolić, żeby jego gościnność wpłynęła na wyrobioną już opinię w sprawie zabójstwa. Toteż Calvino ułożył się na łóżku na wznak i przedramieniem zasłonił oczy. Pomyślał, że zapowiada się bardzo długa noc.

– Czemu właśnie tak sądzicie? – zapytał po chwili.

– Bo zameldowała się wczoraj i zapłaciła za twój pobyt w tym apartamencie – rzekł Noriega.

Podniósł się gwałtownie.

– Za co zapłaciła?!

– Za twój apartament.

– Przecież możecie sprawdzić tę informację u generała Yosaporna. To on zapłacił za mój pobyt w tym hotelu.

Noriega z uśmiechem pokiwał głową i spojrzał na partnera. Nie ulegało wątpliwości, że wcześniej rozmawiali na ten temat.

– Generał zapłacił za pokój, a nie za apartament. To właśnie ta kobieta dopłaciła, żebyś dostał apartament znajdujący się piętro niżej pod jej pokojem.

Serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Nie dziwił się już, że policja chciała go wpakować do aresztu. Skoro te dwa platfusy znały takie szczegóły, bez wątpienia musiały one dotrzeć także do pułkownika Pratta. A przecież nie powiedział ani słowa w tej materii podczas rozmowy telefonicznej. Wyglądało na to, że postanowił dogłębnie to sobie przemyśleć. Nie zamierzał wcześniej spotykać się z nim i pytać prosto w twarz, dlaczego z pozoru całkiem obca mu dziewczyna opłaciła jego pobyt w hotelowym apartamencie. Skąd w ogóle mogła wiedzieć, że on się zatrzyma właśnie w tym hotelu? Zatem sytuacja wydawała się dużo gorsza, niż to sobie wyobrażał. Jakimś cudem Apichart musiał zorganizować ten podstęp w ciągu dwóch dni, jakie minęły przed jego wyjazdem do Pattai. Czasu było dużo, jeśli wiedziało się o jego planach. Niemniej chyba tylko pistolet przystawiony do główki małego synka Ratany mógłby ją zmusić do zdradzenia tajemnicy. Z ciągle bijącym mocno sercem położył się z powrotem na łóżku, głęboko żałując, że zdecydował się na wynajem pustej trumny. To był wielki błąd z jego strony i kwestie szczęścia czy pecha nie miały tu nic do rzeczy.

7

Pułkownik Pratt powiedział kiedyś Calvinowi, że przypomina mu on człowieka, który w ciemnym magazynie dynamitu zapala zapałkę, żeby się zorientować, jak dalej iść. A kiedy pierwsza zapałka wypala się do końca i zaczyna mu parzyć palce, gasi ją i zapala następną. To samo skojarzenie przyszło mu teraz na myśl w drodze do Pattai.

Ledwie wjechał do miasta, włączył syrenę, żeby utorować sobie drogę przez wzmożony ruch uliczny. Następnie zatrzymał wóz na parkingu przeznaczonym dla gości hotelowych i poświęcił pół godziny na rozmowę z dwoma starszymi oficerami policji dyżurującymi w lobby. Ci wcześniej zdążyli przejrzeć wszystkie dokumenty dotyczące wynajmu pokoi, szukając przede wszystkim kopii rezerwacji rzeczzonego apartamentu. Ale zapłata za niego została uiszczona w gotówce. Pułkownik pojechał więc windą na górę w towarzystwie konsjerża, dyrektora hotelu, obu oficerów policji oraz boya odpowiedzialnego za obsługę dziewiątego piętra. Kiedy stanęli przed drzwiami apartamentu detektywa, Pratt poświęcił kilka sekund na zebranie myśli. Później też nie zapukał, tylko spojrzał znacząco na konsjerża, który pospieszenie przeciągnął swoją kartą w szczelinie magnetycznego czytnika zamka. Zamek magnetyczny szczęknął i dyrektor otworzył drzwi.

Pułkownik szybko poprosił o możliwość rozmowy z Calvinem na osobności. Reszta wycofała się więc na korytarz i choć drzwi nie zostały za nim zamknięte, Pratt wszedł w głąb pokoju i rozejrzał się uważnie. Noriega spał w miękko wyściełanym fotelu z głową opartą o szklane przesuwne drzwi balkonowe. U jego stóp na wykładzinie leżała pusta butelka po wódce. Mao siedział nisko pochylony nad stolikiem o szklanym blacie i głośno chrapał z twarzą oddaloną zaledwie o parę centymetrów od talerza ze stertą polanego sosem makaronu. Cały pokój sprawiał wrażenie, jakby niedawno przetoczyła się przez niego banda prymitywnych wikingów. Na fotelach, stolikach, łóżku i podłodze walały się obgryzione kości z kurczaka, wymięte ubrania, plastikowe torby i styropianowe pojemniki po żywności. Resztkami jedzenia pożywiały się mrówki, gekony i karaluchy, jak gdyby

dżungla upomniała się o swoje prawa na terenie zajęтым przez hotel, poczynając od dziewiątego piętra.

Pratt zatrzymał się u stóp łóżka i głośno odchrząknął. Mężczyźni poruszyli się, Noriega odruchowo sięgnął do kabury przy pasie. Już na pierwszy rzut oka wyglądał pułkownikowi na wstawionego, toteż ten ani drgnął, stojąc w nogach łóżka z dłońmi wspartymi o biodra, choć i on miał w kaburze na prawym biodrze służbowy dziewięćmilimetrowy pistolet. Noriega natomiast pomyślał, że śni, zanim dotarło do niego, że naprawdę w pokoju hotelowym zjawiał się wysoki rangą oficer policji. Potrzęsnał za ramię Mao i ten poderwał się jak oparzony, zwalając na podłogę pojemnik z makaronem. Obaj zerwali się z łóżka i wyprężyli na baczność. Zmierzwione włosy Noriegi przypominały źle zrobioną perukę, a jego cera miała odcień zielonkawy, niczym cielęca skóra szykowana na cholewki oficerskich butów. Nieporadnie zsalutował pułkownikowi, podczas gdy Mao, próbując nerwowo rozprostować zmarszczki swojego munduru, zagapił się na Pratta w oczekiwaniu słów krytyki. Tylko Calvino leniwie uniósł się na łokciu i przeciągnął.

– Która godzina? – zapytał.

Pułkownik obszedł róg łóżka, okrążając zrzucone na podłogę resztki jedzenia.

– Dostateczna, żeby zająć się prawdą o tym, co się wydarzyło wczoraj po południu. Mógłbyś zacząć od wyjaśnienia stanu, w jakim znajduje się ten pokój.

– Urządziliśmy sobie małe przyjęcie, po którym ci dwaj dżentelmeni zdecydowali, że spędzą noc razem ze mną.

– Vincent, policja ma dwóch świadków, którzy twierdzą, że widzieli, jak wypchnąłeś tę dziewczynę z balkonu – rzekł ostro Pratt.

– Mogą mieć nawet setkę świadków. Ściemniało się już, kiedy ta kobieta wypadła z balkonu. Stało się to w mgnieniu oka, więc nie mogli niczego zobaczyć. Może im się tylko wydawać, że wiedzą, jak do tego doszło. Mówiłem już przez telefon, że właśnie wyszedłem na balkon i otworzyłem książkę, by poczytać. Nagle podniosłem głowę i zobaczyłem, jak ona spada tuż przede mną. Zerwałem się z miejsca, podskoczyłem do poręczy i spojrzałem w dół. Kilka sekund później była już na ziemi, leżała martwa na ulicy.

– Powinieneś o czymś wiedzieć. Otóż ta kobieta zapłaciła różnicę w cenie, żeby umieszczono cię w tym apartamencie znajdującym się bezpośrednio pod jej pokojem. Nie wiesz, dlaczego to zrobiła?

Calvino pokręcił głową.

– Słyszałem już o tym od tych dwóch. – Skinął na gliniarzy. Potem przez dłuższą chwilę zatrzymał wzrok na pułkowniku, przetoczył się na krawędź łóżka i ruchem głowy wskazał drzwi balkonowe. – Nie mam najmniejszego pojęcia, kim ona była, Pratt. Taka jest prawda. Policja przeszukała cały mój pokój i niczego nie znalazła. Ani jednego odcisku jej palca, włosa bądź okrucu lakieru z paznokcia.

– Nie znałeś jej?

Zsunął stopy na podłogę i usiadł na brzegu łóżka.

– Przecież mówię, że nie mam pojęcia, kim była. Ani dlaczego miałyby wyskakiwać z balkonu. To na pewno sprawka Apicharta.

– Mówiłeś przez telefon, że wcześniej ją widziałeś.

– Wiem, że to brzmi podejrzenie.

Reszta policyjnej ekipy wraz z pracownikami służby hotelowej stopniowo wsunęła się w głąb pokoju, toteż Calvino odniósł wrażenie, jakby występował przed publicznością, podobnie jak poprzedniego wieczoru. Zaczął więc nerwowo dreptać przy wyjściu na balkon ze wzrokiem wbitym w podłogę, oddychając głęboko. Po chwili rozrzucił szeroko ramiona, stanął i wsparł się oburącz o oparcie krzesła.

– Kiedy wysiadałem wczoraj przed tym hotelem, zwróciłem uwagę na kobietę przed domem duchów. Z gzymsu zerwała się mewa, która ją przestraszyła, wtedy kobieta obejrzała się i popatrzyła na mnie. Wymieniliśmy skąpe uśmiechy. Czy to świadczy, że nawiązaliśmy znajomość? Widziałem jej twarz tylko przez kilka sekund. Nie odezwała się ani słowem. Gdyby powiedziała: „To twój szczęśliwy dzień, twardzielu, bo zmieniłam ci rezerwację na luksusowy apartament”, na pewno bym zapamiętał. Kobieta, którą ujrzałem spadającą przed moim balkonem, wyglądała dokładnie jak tamta sprzed wejścia domu duchów. A miałem zaledwie ułamek sekundy, by spojrzeć jej w twarz. Krótko mówiąc, próbuję dopasować do siebie wygląd kobiety widzianej przez kilka sekund i tej drugiej, którą widziałem zaledwie przez ułamek sekundy.

– To była ta sama kobieta, która zapłaciła za apartament zarezerwowany dla ciebie, Vincent.

– Temu nie zaprzeczam. Chcę tylko powiedzieć, że nie mam pojęcia, kim była.

Nadeszła krytyczna chwila, w rodzaju tej, kiedy mężczyzna musi sam sobie odpowiedzieć na pytanie, czy naprawdę zna drugą osobę. Pułkownik Pratt znał Calvina od lat, wstawiał się za nim, bronił go, podsyłał mu klientów. Teraz jednak patrzył na niego takim wzrokiem, jakby usiłował wyczytać w jego myślach niewypowiedzianą prawdę.

Noriega i Mao przestali udawać, że w pełni rozumieją rozmowę prowadzoną po angielsku. Mao zapalił papierosa i wyszedł na balkon, jego partner udał się za nim, a chwilę później dołączyli do nich dwaj oficerowie policji, którzy przyjechali na górę razem z pułkownikiem. Jeden z nich zameldował przez krótkofalówkę, że starszy oficer przybyły z Bangkoku osobiście przesłuchuje podejrzanego, posługując się płynną angielszczyzną, a on nie jest pewien, czy w pełni wszystko rozumie.

– Chyba przesadziłem tym razem i znalazłem się w poważnym kłopotcie – rzekł Calvino.

– Jeden z moich ludzi już sprawdza, czy coś łączyło zabitą kobietę z Apichartem.

- A jeśli nie znajdzie żadnego tropu? Pułkownik zagryzł wargi.
- Potwierdzi się twoje przeczucie.
- Powinienem być zostać w Bangkoku – mruknął detektyw.
- Bardzo dokładnie to sprawdzimy, Vincent. Calvino pokiwał głową.
- Dzięki, Pratt.

Wróciwszy do pokoju, Noriega zapytał pułkownika, czy zatrzymany powiedział coś ważnego dla sprawy. Ten zmierzył go piorunującym spojrzeniem.

- Wy jesteście już wolni – rzekł.

Nie była to odpowiedź, w każdym razie nie takiej tamten się spodziewał. Ale pułkownik nie musiał przecież opowiadać się przed niższymi rangą oficerami, którzy spędzili noc na ucztowaniu i piciu. Z punktu widzenia Pratta ci dwaj wykazali się tylko chciwością wynajętych nianiek, toteż teraz, po powrocie rodziców, należało ich odesłać do domu. Dwaj podoficerowie wymienili zaniepokojone spojrzenia, po czym wbili wzrok w Calvina. Ten jednak nie zamierzał interweniować.

– Skontaktujcie się z pułkownikiem Pinem, jeśli uznacie to za stosowne – dodał Pratt tonem najwyższego przełożonego, którego decyzje były nie do podważenia.

Nikt nie wątpił, że ani Mao, ani Noriega nie skorzystają z tej rady. Byłoby to sprzeczne z podstawową zasadą kultury tajskiej, mówiącą, że decyzji przełożonego nie wolno kwestionować. Stąd też rzucone łagodnym tonem zaproszenie do sprawdzenia bieżącej sytuacji nie było niczym innym, jak wyrazem szacunku wobec nich.

– To nie będzie konieczne, sir – bąknął Noriega. Obaj zasalutowali i ruszyli w stronę wyjścia. Musieli przejść obok Calvina, więc ten wstał i uściśnął im dłonie, obiecując grzecznościowo, że pozostaną w kontakcie, po czym wręczył każdemu po butelce z pudełka otrzymanego w prezencie od generała Yosaporna. Tamci, uśmiechając się wstydliwie, pożegnali go uprzejmymi gestami, które z kolei wywołały uśmiech na twarzy pułkownika Pratta. W jego opinii wydarzenia minionej nocy przypominały odwrotność syndromu sztokholmskiego, jako że tym razem zwycięzcy zidentyfikowali się ze stanowiskiem pojmanego.

– Nic na mnie nie mają. Powinni mnie puścić wolno już wczorajszego wieczoru – rzekł Calvino.

– Ale nasz system nie jest aż tak doskonały, Vincent. Dopiero późnym wieczorem udało się ustalić, że zabita kobieta wcześniej zameldowała się w pokoju na piętnastym piętrze i opłaciła za rezerwację apartamentu dla ciebie. Naoczni świadkowie mówią, że widzieli cię przy poręczy balkonu. Ale jej nikt nie widział przy tej twojej poręczy. Policja wyciągnęła daleko idące wnioski, kojarząc ze sobą poszlaki, których nie należało kojarzyć, co zdarza się dużo częściej, niż ktokolwiek chciałby to otwarcie przyznać.

- Kim ona była?

Pratt sięgnął po wydruk, jaki dostał od miejscowej policji.

– Pracowała na stanowisku zastępcy kierownika w firmie ubezpieczeniowej z Bangkoku. Nazywała się Khun Nongluck. Dane te pochodzą z jej dokumentów znalezionych w torebce zostawionej w pokoju. Pochodziła z dobrze sytuowanej rodziny należącej do klasy średniej. Legitymowała się dyplomem uniwersyteckim, ale w życiu prywatnym była samotna, zapewne nieszczęśliwa.

– I dlatego popełniła samobójstwo?

Nie mógł zapomnieć, że widział, jak modliła się przed domem duchów, a ludzie zamierzający skończyć ze sobą wolą nie niszczyć swoich planów zapaleniem świec czy kadzidełek przed świątyniami. W jej wypadku samobójstwo nie miało żadnych motywów.

– Na to wygląda.

– Czy jestem już wolny?

Pułkownik Pratt skinął głową, zdjął czapkę i usiadł przy stole. Rozejrzał się po pokoju.

– Zostań tu, dopóki nie przejmę kontroli nad wydarzeniami w Bangkoku.

Calvino popatrzył na swoich nowych przyjaciół, Mao i Noriegę, którzy wciąż czekali nerwowo przy drzwiach pokoju, jakby mieli ochotę zostać tu na dłużej.

– Tutaj sprawy zdają się wymykać spod kontroli. Pratt wzruszył ramionami.

– To już twoja sprawa. Generał Yosaporn zadał sobie wystarczająco wiele trudu, by zarezerwować ci pokój w tym hotelu.

– A martwa kobieta zadała sobie dodatkowy trud, żeby zapewnić mi pobyt w tym apartamencie. Nie mogę tu zostać, Pratt. I nie zamierzam wynajmować innego pokoju w którymkolwiek hotelu w Pattai. Wracam do domu.

Pułkownik za wcześnie zagrał tajską kartą społecznego wstydu, gdyż Calvino nie zamierzał wchodzić w tę grę. Odczytał, że przyjaciel obawia się utraty twarzy, jeśli on, zaprzyjaźniony z nim farang, natychmiast się spakuje i wyjedzie, skoro podjęto aż tak wielkie wysiłki, by zamieszkał właśnie w tym apartamencie. Zresztą wcale nie było pewne, że to Apichart podjął nieudaną próbę wpakowania go w poważne kłopoty. Zatem nadal mógł krążyć po Bangkoku, wcielając się w rolę niedoszłej ofiary.

– Przyjechałem do Pattai, aby usunąć się w cień, byście razem z generałem mogli ustalić, co dalej zrobić z Apichartem. Przede wszystkim chcę zaznaczyć, że wcale nie chciałem tu przyjeżdżać. Spełniłem jednak waszą prośbę. Wiedziałem, jak bardzo jest to ważne dla ciebie i generała. Ale sytuacja się zmieniła. Apichart na pewno się dowie, że tu jestem. Już gazety się o to zatroszczą. Poza tym mam w Bangkoku drugą sprawę do rozwikłania, zlecenie dotyczące faranga, który zakochał się w kimś innym niż własna żona, a ta uznała sytuację za alarmującą. Klientka wpłaciła dużą zaliczkę na poczet tego zlecenia. Ratana mówiła, że sprawiała wrażenie zdesperowanej.

Czyżbym miał więc rozumieć, że generał życzy sobie, bym wypadł z interesu?

Problem z kartą społecznego wstydu polega na tym, że łatwo ją pobić inną kartą odwołującą się do wstydu.

– Nie wątpię, że generał to zrozumie.

Calvino zaczął wrzucać swoje ubrania do walizki. Kiedy w ręce wpadła mu hawajska koszula, czarna w poziome pasy utworzone z żółtych świńskich głów, zawahał się i zapytał:

– Czy przed wyjazdem mógłbym rzucić okiem na pokój Nongluck?

– Lepiej się w to nie mieszaj, Vincent. Wracaj do Bangkoku i pozwól miejscowej policji zakończyć tę sprawę – mruknął pułkownik Pratt takim tonem, jakby dobrze wiedział, że detektyw nie posłucha jego rady.

– Już zostałem w to zamieszany. Tutejsza policja jest pewna, że to ja ją zabiłem.

– Myślę, że do tej pory już zmieniła zdanie.

– Ale może je zmienić ponownie.

Pułkownik szybko odprawił policjantów z Pattai i wyszedł za nimi, żeby odprowadzić ich do windy. Kiedy wsiedli do środka, popatrzyli na niego ze zdziwieniem, zaskoczeni, że nie zjeżdża wraz z nimi. Ale pomachał im tylko ręką, a gdy drzwi się zamknęły, wcisnął guzik jazdy do góry, zerknąwszy na kierownika hotelu, którego poprosił o pozostanie.

Kierownik bez pytania wpuścił ich do pokoju numer 1542 zajmowanego przez Nongluck. Już od progu Calvina uderzyła intensywna woń będąca mieszaniną zapachów perfum, mydła i pudru – zapach kobiety. Na stoliku stała otwarta butelka drogiego francuskiego wina, obok leżał korkociąg wkręcony tak głęboko, że aż jego czubek wystawał z drugiego końca korka. Przy butelce stał kieliszek z resztką niedopitego trunku, dalej leżał stosik kart do gry zebranych recepturką.

– To chyba nie jest cała talia – rzekł detektyw, sięgając po karty.

– Nie dotykaj ich – ostrzegł pułkownik Pratt.

Karty sprawiały wrażenie całkiem nowych. Calvino miał rację, było ich w stosiku zaledwie kilkanaście. Pułkownik ściągnął recepturkę i odwrócił pierwszą z nich, asa kier. Dalej znajdowała się ósemka karo, potem szóstka trefl i szóstka pik. Na cztery ostatnie karty składała się dama kier, szóstka kier, piątka kier i dziewiątka pik. Pratt złożył karty z powrotem, naciągnął na nie recepturkę, po czym ukrył je w dłoni i schował do kieszeni. Calvino udał, że tego nie widzi.

– Masz pojęcie, co się mogło stać z resztą kart? – zapytał, rozglądając się dookoła, jakby miał nadzieję ujrzeć je w innej części pokoju. Podszedł do szafy i otworzył drzwi.

– Na pewno nie wyparowały – odrzekł pułkownik, który przykucnął do poziomu kieliszka z winem i wpatrywał się uważnie w ślad szminki na jego krawędzi.

Calvino obejrzał się w jego stronę.

– Karty nie parują, Pratt. W angielskim tego powiedzenia nie należy traktować tylko dosłownie.

Pułkownik wysunął nad brzeg stołu obie dłonie osłonięte cienkimi gumowymi rękawiczkami.

– Za to w Tajlandii mnóstwo rzeczy może wyparować, Vincent. Dotyczy to zarówno pieniędzy, jak też reputacji czy nawet życia. Usunięcie z tej listy kilku kart do gry nie stanowi poważnej ujemy dla reguł poprawności języka angielskiego.

Na dnie szafy stała walizka. Obok kilku sukienek na wieszakach było tam nieco bielizny, parę staników i T-shirtów, dżinsy oraz trzy pary butów. Calvino od razu przypomniał sobie niebieską sukienkę. Nongluck miała ją na sobie podczas zapalania kadzidełek przed wejściem domu duchów.

– Wygląda na to, że nikt nie grzebał w jej rzeczach – powiedział, gdy pułkownik odsuwał drzwi balkonowe, żeby wyjść na zewnątrz.

– Dotyczy to także nas. Służba hotelowa dostała polecenie, aby nie wchodzić do tego pokoju, a gdyby nawet została do tego zmuszona, nie powinna tu niczego dotykać – wyjaśnił Pratt, podchodząc do barierki i wyglądając na dół. Tajom zazwyczaj wystarczały tego typu instrukcje.

Calvino wyszedł za pułkownikiem na balkon o podłodze wyłożonej terakotą, trochę rozczarowany tym, co zastali w pokoju zabitej. Zacisnąwszy palce na poręczy, zapatrzył się na morze oddzielone pasem plaży. Dopiero po chwili spojrzał w dół, na ulicę. Upadek z piętnastego piętra musiał trwać dość długo – właściwie z osiemnastego, jeśli doliczyć wysokie lobby oraz antresolę ze sklepami. Zatem przez tych kilka sekund musiała być w pełni przytomna – o czym wtedy myślała, ze świadomością, że zaraz zginie, że nie może już nic zrobić, co by ją mogło uratować? Aż żołądek mu się ścisnął na tę myśl i szybko odwrócił głowę. Nie znosił dużych wysokości, za nic nie mógł zrozumieć, czemu ludzie są w stanie zapłacić duże pieniądze za możliwość wejścia na jakiś szczyt, co zawsze się wiąże z niebezpieczeństwem upadku w przepaść bądź zamarnięcia na śmierć. Do tej samej kategorii spraw niewyjaśnionych zaliczała się dla niego kwestia odwagi skłaniającej kogoś do skoku z tak wysokiego balkonu. Wręcz roztrzęsiony cofnął się do drzwi balkonowych. Odwróciwszy się plecami do pięknego widoku na ocean, spróbował też ogarnąć chaos oceanu swoich poplątanych i nieskładnych myśli. Po chwili wszedł z powrotem do pokoju, niemal identycznie wykończonego i umeblowanego jak jego apartament.

Kołdra z kapą były starannie zrolowane w nogach łóżka, u wezłowia piętrzyły się poduszki, a obok nich leżała książka. Był to poradnik z gatunku wspomaganie relacji z innymi ludźmi, z szeroko uśmiechniętą dziewczyną na okładce wyglądającą na miss konkursu piękności.

Pułkownik także wrócił do pokoju i zamknął drzwi balkonowe. Pospiesznie

wykonał serię zdjęć stolika, szafy z ubraniami i łóżka.

– Z samego rana odwiedziłem dom rodzinny Nongluck. Jej rodzice jeszcze spali, kiedy przyjechałem. Zaprosili mnie do środka. Powiadomiłem ich o śmierci córki. Matka nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem, ale ojciec nie wyglądał na specjalnie zaskoczonego. Powiedział, że miała wiele problemów w życiu osobistym. Oczywiście chodziło mu o problemy z chłopakiem córki. Później matka potwierdziła, że cały szereg chłopaków wprowadził ją w stan głębokiej depresji. W chwili złości odgrażała się podobno jednemu z nich, że się zabije, ale nie udało mi się dowiedzieć, o kogo chodzi. Z pewnością będzie to można ustalić w toku dochodzenia.

– Czy jej rodzinę łączyło cokolwiek z Apichartem? Pratt pokręcił głową.

– Nigdy wcześniej nie słyszeli tego nazwiska. Sfrustrowany Calvino przeszedł do łazienki i niczego nie dotykając, przyjrzał się uważnie szamponowi Nongluck, mydłu oraz damskim kosmetykom ustawionym w równiutkim rzędku obok rzeczy należących do wyposażenia hotelu. Buteleczka perfum marki Opium była otwarta, co wydało mu się dziwne. Tak staranna kobieta jak Nongluck nie powinna była zostawiać otwartych perfum, żeby wietrzały. Zawołał pułkownika zajętego robieniem dalszych zdjęć.

Kiedy Pratt wreszcie zajrzał do łazienki, Calvino na czworakach zaglądał pod wannę.

– Warto by pobrać próbki włosów z kratki ściekowej w wannie oraz sitka w zlewie – powiedział. – I sprawdzić deskę sedesową. Kłapa była podniesiona, kiedy tu wszedłem, a kobiety zawsze ją opuszczają. I nie należałoby spuszczać wody w toalecie, dopóki technicy nie zbadają, co jest w kolanku jej odpływu. Popatrz też na buteleczkę z perfumami. Jest otwarta. Dziewczyna zrobiła na mnie wrażenie takiej, która nigdy by nie zostawiła odkręconych perfum.

– Skąd zaczerpnąłeś tak rozległą wiedzę w tym zakresie? – zapytał Pratt.

Calvino uśmiechnął się szeroko i spojrzał przez ramię.

– Studiowałem techniki dochodzeniowe.

– A mnie się zdaje, że tylko oglądałeś na National Geographic program poświęcony morderstwom w kąpielni.

Detektyw spiekł raka, chociaż o dwa odcienie bledszego niż czerwone światła na skrzyżowaniu.

– To był bardzo ciekawy film. Oglądaliśmy go wspólnie z Mao i Noriegą wczoraj wieczorem.

Minęło kilka dobrych sekund, nim Pratt się zorientował, że mówi o dwóch policjantach, którzy spędzili noc razem z nim w pokoju hotelowym. Rzucił zgryźliwą uwagę na temat telewizyjnego filmu dokumentalnego, lecz Calvino najwyraźniej nie wyczuł ironii.

– Oglądałeś go w towarzystwie pilnujących cię policjantów?

Detektyw energicznie pokiwał głową, jakby uważał to za całkiem naturalne w sytuacji przebywania pod nadzorem policji.

– W czasie przerwy na reklamy Mao poszedł do łazienki i z trzaskiem opuścił pokrywę sedesu.

– Ale tu mamy do czynienia ze sprawą śmierci młodej kobiety i policja chciałaby znać przyczyny. Miejscowi politycy mogą zechcieć zbić jakiś kapitał na tym zdarzeniu.

Perspektywa zbliżających się wyborów nakazywała Prattowi zachować baczność uwagę w zakresie możliwych wydarzeń. Widocznie codzienna dawka prześlizgiwania się po trudnych tematach, powtarzania kłamstw i plotek oraz szkalowania przeciwników politycznych dawała mu się we znaki. Chwilowo wszyscy zdawali się dryfować z prądem, rozglądając się ciekawie w wypatrywaniu zwycięzcy tych zmagania.

– Chętnie bym z nią porozmawiał – mruknął Calvino.

Pułkownik zdążył poznać w rozmowie z rodzicami wszelkie dane osobiste zabitej, znał jej imiona, wiek, zawód, stan cywilny, miejsce urodzenia, historię zaburzeń psychicznych oraz rodzinnych konfliktów, zatargów z sąsiadami i problemów z przyjaciółmi. Według raportu z badań laboratoryjnych w jej krwi wykryto niewielką dawkę alkoholu, nie znaleziono jednak żadnych środków odurzających. W pokoju nie było śladów walki. Nie natrafiono też na żaden dowód, by ktokolwiek poza nią tu przebywał. Tyle że pokoje hotelowe są jak pracujące dziewczyny, mają wielu klientów, ludzi w żaden sposób niezwiązanych ze sobą, zmieniających się często w krótkim czasie, przez co technicy z dochodzeniówki mają znacznie trudniejsze zadanie niż podczas zbierania śladów w mieszkaniu bądź lokalu biurowym.

Dopiero po wyjściu z pokoju numer 1542 Calvino poczuł radość z powodu uwolnienia z aresztu domowego. Gdy razem z pułkownikiem zjechał do recepcji, okazało się, że nie czekała na niego nawet faktura. Tylko z rogu za kontuarem śmiertelnie poważny konsjerż zmierzył go surowym spojrzeniem. Kiedy się wymeldował, odniósł wrażenie, jakby wszyscy obecni w recepcji głośno odetchnęli z ulgą, widząc go ze spakowaną walizką oraz pudłem pełnym drogocennej whiskey. Rachunek za usługi służby hotelowej zajmował dwie strony wydruku. Calvino przestudiował go uważnie, mlaskając językiem jak wojownik Bantu przed zbliżającą się bitwą. Aż Pratt zapytał, czy może na niego zerknąć. Szybkim spojrzeniem przebiegł ceny za dostawę steków, frytek, lodów, makaronu, wódki, rosyjskich specjałów o trudnych do wymówienia nazwach, a na drugiej stronie było zestawienie innych usług i suma należności. Rachunek był prosty. Vincent w ciągu jednego wieczoru zdołał przepuścić równowartość średniej tygodniowej pensji. Właściciel hotelu powinien się cieszyć, a i generał mógł się wyzbyć obaw o utratę twarzy. Toteż pułkownik oddał rachunek recepcjoniście i powiedział z naciskiem, że pobyt

detektywa zaaranżował przyjaciela właściciela hotelu, generał Yosaporn.

Tamten wbił spojrzenie w kontuar, jakby nie śmiał się odezwać w obecności umundurowanego pułkownika policji.

– Nie ma sprawy, proszę pana – bąknął.

Wszyscy wokół nagle przestąpili nerwowo z nogi na nogę i zaczęli oglądać swoje paznokcie. Nikt nie zamierzał ostro występować o zapłatę w sytuacji, gdy faranga wspierał pułkownik policji. Najważniejsze było to, że Calvino wyjeżdża, toteż kręcący się za kontuarem recepcyjnym kierownik zmiany ostentacyjnie dał nura do swojego gabinetu. Sprawa była załatwiona. Ale już po wycofaniu rachunku Pratt zapytał, kto wczoraj pełnił dyżur w recepcji. Po krótkiej wymianie zdań z kilkoma pracownikami namierzył recepcjonistę i ten szybko przyznał, że pamięta, jak Nongluck meldowała się w swoim pokoju. Przybyła do hotelu sama o godzinie 14.10 na dzień przed śmiercią. W papierach znajdowała się fotokopia jej dowodu osobistego. Zamknęła się w swoim pokoju i dopiero wieczorem zjechała ponownie do recepcji, żeby uregulować swój rachunek i zapłacić za rezerwację apartamentu dla Calvina. Uściła opłatę nowiutkimi banknotami o nominale tysiąca bahtów. Powiedziała przy tym, że opłata lepszego pokoju dla znajomego to prezent i nikt nie powinien tego zdradzać farangowi. Miała to być dla niego niespodzianka. W jej zachowaniu tamtego wieczoru nie zauważono nic niezwykłego. Uśmiechała się, odliczając gotówkę, przesunęła ją po kontuarze w stronę recepcjonisty i przyglądała się, jak on przelicza pieniądze.

W dniu śmierci, jak wspominał recepcjonista, Nongluck miała na sobie niebieską suknię, w ręku stylową torebkę z salonu Prady oraz plastikową reklamówkę z sieci Siam Paragon z butelką wina w środku. Odźwierny pamiętał, że godzinę później wyszła z hotelu i zatrzymała się przed domem duchów po drugiej stronie ulicy, gdzie zapaliła kilka kadzidełek. Po paru minutach zjawiała się znów w lobby, przywołała windę i pojechała z powrotem do swojego pokoju. Nikt nie przypominał sobie, by później wychodziła jeszcze z hotelu. Czy ktoś mógł się prześlizgnąć obok ochroniarzy i dostać niepostrzeżenie do jej pokoju, nie zwracając na siebie uwagi nawet innych gości hotelu? Żaden z pracowników nie śmiał przyznać, aby coś takiego było w ogóle możliwe.

Calvino zaproponował, żeby przed wyjściem z hotelu zajrzeć jeszcze na stanowisko ochrony podziemnego garażu. Zastali na nim tego samego ochroniarza, który pełnił służbę na dziennej zmianie w dniu śmierci dziewczyny. Powiedział, że w ciągu dnia wjeżdżało do garażu mnóstwo samochodów.

– Nie zauważył pan wczoraj po południu niczego niezwykłego? Nie wpadł panu w oko żaden samochód? – zapytał Pratt.

Ochroniarz przypomniał sobie szybko czerwone sportowe auto, którym poprzedniego dnia przyjechał jakiś Taj. Było nadzwyczaj ładne, europejskie,

dwumiejscowe, wypolerowane do połysku, bez ani jednego zadrapania, z przyciemnianym szybami. Niestety, nie pamiętał numerów rejestracyjnych; był zbyt zajęty podziwianiem własnego odbicia w błyszczącym lakierze samochodu. Nie miał jednak wątpliwości, że samochód musiał być z Bangkoku.

– Czemu pan tak sądzi? – zapytał pułkownik. Tamten odparł, że gdyby było to auto miejscowe, na pewno by je rozpoznał. I pewnie znałby właściciela. Tego typu pojazd nie mógł być długo tajemnicą w małym miasteczku w rodzaju Pattai. Rzucił się w oczy jak sportowe samochody z filmów, bo w końcu został zaprojektowany po to, żeby przyciągać uwagę, zwłaszcza kobiet. Nie chodziło przecież o pospolite auto rodzinne. Ale i nie przyjeżdża się takim wozem z zamiarem dokonania zabójstwa, pomyślał Calvino. Najemny zabójca dużo prędzej przyjechałby typową beżową hondą.

Tak więc niezależnie od tego, kim był właściciel pięknego auta, detektyw doszedł do wniosku, że nie zamierzał tu nikogo mordować. Chyba że wypadki potoczyły się w sposób, jakiego nie przewidział. Nagle wydarzyło się coś nieoczekiwanego – na przykład ogarnęła go niepoohamowana wściekłość, bo padło niewłaściwe słowo albo napotkał nieprzychylnie spojrzenie – i dlatego Nongluck wyleciała za balkon.

8

Tracer uświadomił sobie, że cieszy go powrót do Bangkoku. Wyprostował się, ściągnął łopatki i nastawił nieco głośniejszą muzykę, przebijając się w porannym szczyście przez Sukhumvit Road. Deszcz bębnił o przednią szybę, wycieraczki pracowały pełną mocą. Ulice były mokre i śliskie, a poczynając od zjazdu z autostrady, ruch stopniowo się nasilał. Minał centrum handlowe Emporium Shopping Mall i park Benjasiri, po czym skręcił na Washington Square. Pobrawszy bilet parkingowy, jechał powoli dalej, dopóki nie natknął się na mercedesa klasy S zwalniającego miejsce przed wejściem do restauracji Bourbon Street. Został jeszcze w samochodzie, wystawiając twarz na podmuchy zimnego powietrza z klimatyzacji. Słuchając piosenki *Got My Mojo Workin'* Muddy'ego Watersa, rytmicznie bębnił palcami po kierownicy. Później musnął palcami niewielki skórzany woreczek, który miał pod koszulą. Nigdzie się nie ruszał bez swojego talizmanu *mojo* zawierającego po szczypcie różnych ziół i korzeni, ząb jadowitego węża oraz truchło piekielnie groźnego samczyka czarnej wdowy.

Nie zaprotestował, gdy jego przyjaciel z jednostki LRAS, Alan Jarrett, zaproponował spotkanie w restauracji przy Washington Square, bo uznał to za dobre miejsce, żeby posiedzieć w spokoju i zaczekać na odpowiednią chwilę, zbierając w sobie energię do działania. Poza tym niedaleko stąd, zaraz za rogiem, znajdował się mały hotelik, w którym Jarrett zamierzał przenocować.

Jak zwykle odniósł wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu, kiedy tylko dotknął swojego *mojo*. Była dopiero szósta rano, ale już czuł się gotowy do działania. Człowiek Mooneya zgodnie z umową zostawił karabinek w bagażniku. Jarrett też był chyba gotowy do akcji.

Widocznie za długo siedział w samochodzie, gdyż podszedł do niego ochroniarz z parasolem i otworzył drzwi. Tracer wysiadł, zamknął auto, dał nura pod parasol, przemierzył chodnik i wbiegł po schodkach do środka. Mimo wczesnej pory dziewczęta za kontuarem zmierzyły go uważnymi spojrzeniami. O tej godzinie

zaglądali tu najwyżej okoliczni mieszkańcy, żeby zamówić na śniadanie kawę i jajka sadzone na bekonie. Ochroniarz złożył parasol, wszedł za nim i powiedział przechodzącej kelnerce, że czarny mężczyzna przyjechał mercedesem z tablicami rejestracyjnymi korpusu dyplomatycznego. *Ying* tym gorliwiej popatrzyły na niego, biorąc go za dyplomatę, a więc klienta, o którego należy się szczególnie zatroszczyć. W końcu niezbyt często się zdarzało, żeby o szóstej rano deszczowego dnia na Washington Square zajeżdżał czarnoskóry dyplomata, jakich, ściśle rzecz biorąc, w ogóle rzadko tu widywano, niezależnie od pory dnia czy nocy i pogody. Tracer skręcił na prawo, podszedł do baru, rzucił kluczyki od samochodu na kontuar i zamówił kawę.

– Byle czarną i mocną – dodał.

Kelnerka obrzuciła go zdumionym spojrzeniem, jak gdyby czegoś nie rozumiała.

– Ten człowiek chce się napić kawy – odezwał się z tyłu Jarrett. – Czyżby jego zamówienie było dla ciebie nie do przyjęcia?

Odwróciła się błyskawicznie i podeszła do ekspresu.

– Widzę, że jesteś w dobrym nastroju – rzekł Tracer, siadając na stołku obok przyjaciela. – To z powodu deszczu?

– Jak poszło z Watersem?

– Nie załapał się na samolot.

– Zdaje się, że właśnie na to liczyłeś – odparł Jarrett.

– Mooney zadbał o szczegóły. Watersowi nie zostało nic do zrobienia poza uściskami dłoni i uspokojeniem Mooneya.

– I nie miałeś nic przeciwko temu?

– Skądże znowu. Mooney ściągnął mnie na spotkanie w barze, gdzie ujrzałem dwie najwspanialsze tancerki, jakie kiedykolwiek wpadły mi w oko. Sprawiały wrażenie, jakby je wyrzeźbiono w kamieniu. Mooney był jedynym klientem na sali. Zresztą odniosłem wrażenie, że jest właścicielem tego lokalu, więc nawet trudno go nazwać klientem.

– To do niego pasuje. Zawsze trzeba mieć oko na to, co się dzieje dookoła. Idealne miejsce. Świetnie rozumiem, dlaczego Mooney je wybrał. Nie chciał, żeby ktokolwiek zakłócał wam spokój w trakcie dobijania targu. A z zewnątrz wyglądało to pewnie tak, jakbyście wspominali stare dobre czasy.

Kelnerka postawiła przed Tracerem kubek z kawą.

– Mooney zapowiedział, że mamy tylko trzy dni, po tym czasie zjawi się osobiście, żeby odebrać swoją broń.

– I to cię zaniepokoiło, Tracer? Ja za bardzo nie boję się pogróżek Mooneya.

Tracer podmuchał w parującą kawę i ostrożnie pociągnął maleńki łyk.

Jarrett był już w fazie wykonywania zadania, a wtedy nie pił ani kawy, ani herbaty czy alkoholu. Twierdził, że to zaburza procesy chemiczne w organizmie, wpływa na

refleks, ostrość widzenia i jasność myśli. Pijany nie wytrzyma za długo na polu walki. Pod tym względem brało górę jego wojskowe wykształcenie, które nakazywało mu unikać nawet kawy, mimo że kusił widok przyjaciela podnoszącego kubek do ust i z lubością oblizującego wargi. Obiecał sobie w duchu cały dzbanek świeżo parzonej najlepszej kawy, jak tylko wykonają zlecenie. Lubił przyznawać sobie jakieś nagrody na zakończenie misji.

Czekając na przyjazd Tracera, Jarrett skupił się na obserwacji faranga w średnim wieku siedzącego z młodą kobietą przy stoliku w kącie sali. Ona wyglądała na sekretarkę. Farang pochłaniał śniadanie z wilczym apetytem, odkrajał wielkie kawały bekonu i smażonych jaj, a płynne żółtka zbierał kawałkami chleba. Towarzysząca mu *ying* powoli sączyła chińską herbatę. On był w garniturze i krawacie, ona miała na sobie krótką spódniczkę i białą bluzkę z tak nakrochmalonymi mankietami, że można by nimi porcjować masło. Odznaczała się też pewną klasą, ponieważ w uszach nosiła kolczyki z tak wielkimi perłami, że wyglądała na czarownicę znającą zaklęcie otwierające największe perłopławy. Była dyskretnie umalowana – ale w końcu kto nosi mocny makijaż o szóstej rano? – i roztaczała wokół siebie atmosferę wielkiej pewności siebie, bo choć siedziała usztywniona i słuchała niemilknącego słowotoku faranga, na jej twarzy nie malował się nawet cień jakichkolwiek emocji. Jarrett spoglądał na tę parę raz za razem.

– Mamy mnóstwo czasu – rzekł Tracer.

– Czas to jedna z tych rzeczy, których nikt nie ma w nadmiarze.

Tracer skinął głową, jakby przyznawał się do pomyłki.

– Pozwól tylko, że dopiję kawę. Mam za sobą długą podróż. Powiedz, jak ci poszło wczoraj wieczorem z panną pszczelarką.

– Jak w mleku z miodem.

Kiedy leżeli obok siebie w łóżku, Wan powiedziała, że lubiła się podkradać do uli, siadać na ziemi i całymi godzinami obserwować pszczoły. Szczególnie fascynował ją ich taniec. W ciemnym pokoju podrapała go po gołej piersi i dodała, że człowiek, który rozumie taniec pszczół, może się wiele nauczyć o przyrodzie. Bo taniec owadów zawiera wszelkie niezbędne informacje: o odległości do źródła pożywienia, kierunku, a nawet sile wiejącego wiatru. Dlatego też w barze także obserwowała taniec *ying*, próbując wypatrzeć w nim jakieś prawidłowości, odpowiedniki wskazań co do kierunku, w jakim znajduje się miód. Podkreśliła, że naprawdę można się dużo nauczyć poprzez obserwację tańca pszczół.

– Mnie też się wydawała inna od pozostałych dziewczyn – przyznał Tracer.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem w barze nikogo w jej rodzaju.

Tracer zamówił dla przyjaciela drugi sok pomarańczowy.

– Masz pojęcie, ile tego soku wypilem już w Pattai? Jarrett wzruszył ramionami. Kwaśna mina Tracera przyprawiła go o uśmiech.

- Co najmniej półtora galona – rzekł tamten.
- To pewnie oczy ci już mgłą zachodzą na samo wspomnienie.
- Nie martw się. Nie wpłynął ani na stan moich nerek, ani na mój wzrok.

Jarrett musiał polegać na jego doskonałym wzroku, którego potrzebował do namierzenia celu i obserwacji okolicy dla wyłapania zagrożeń. Był mu potrzebny Tracer w idealnej formie, nie wystarczyły jego solenne zapewnienia.

- Nie napotkałeś żadnych problemów w Pattai?

– Jedynym problemem był wczorajszy przejazd Beach Road, czyli korki. Gdybyś mi zapowiedział, że wszystkie samochody będą zawracane do granicy kambodżańskiej, nawet nie nazwałbym cię kłamcą. Nic nie jechało. Wlokłem się w sznurku aut przez pół godziny, zanim spostrzegłem, na czym polega problem. Najpierw zauważyłem tłum policjantów i dziennikarzy, a potem zwłoki zabitej Tajki leżące na skraju jezdni przed hotelem. Przykrywali je białym prześcieradłem, lecz ciągle ktoś je ściągał, żeby kamerzyści mogli zrobić dobre ujęcia dla swoich stacji telewizyjnych. Aż opuściłem szybę i zapytałem przechodnia, co tu się stało. Chłopak wyjaśnił, że jakaś kobieta się zabiła, skacząc z balkonu. Wtedy pomyślałem sobie: kotku, gdybym zjawił się tu dwie godziny wcześniej i zabrał cię na drinka do baru, gdzie grają dobrego bluesa, pewnie zdołałbym cię namówić do pozostania przy życiu.

– Życie nie zawsze wiąże się z możliwością wyboru partnera do tańca – rzekł Jarrett.

- Gdzie to wyczytałeś?

Tamten uśmiechnął się szeroko.

- Usłyszałem to od Panny Pszczelarki. Tracer uniósł brwi.
- Ta dziewczyna musiała nastawić swoje *mojo* na ciebie.

Jarrett uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mnie też to przyszło na myśl.

Nie po raz pierwszy wywodzące się z Luizjany *gris-gris* Tracera, czyli *mojo* domowej roboty, objawiło swą moc w pokonywaniu wrogów i zjednywaniu przyjaciół.

Jarrett obejrzał się na *ying* siedzącą przy stoliku w kącie ze swoim znajomym farangiem. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że gdyby Wan ubrała się elegancko i zrobiła makijaż, niewiele by się różniła od tamtej dziewczyny. Gdzie była granica oddzielająca *ying* rozmiłowaną w obserwowaniu tańca pszczół i pracownicę biurową sączącą w restauracji herbatę o szóstej rano? Czyż obie z nich nie próbowały zebrać tak dużo miodu, ile się tylko da, dopóki jeszcze kwitną kwiaty?

9

Mokry asfalt ulic pokrywała cieniutka warstewka oleju. Czerwona honda 150cc pojawiła się nie wiadomo skąd. Motocyklista miał na głowie czarny hełm z wymalowanymi po bokach żółtymi jęzorami płomieni i ciemnym wizjerem podniesionym na czubek głowy. Był w uniformie motocyklowego taxi, na nogach miał tanie plastikowe sandały i powycierane niebieskie dżinsy, do tego rozpiętą pomarańczową kamizelkę nałożoną na T-shirt z emblematem liverpoolskiego związku piłkarskiego. Na kierownicy trzymał tylko jedną rękę, bo drugą przyciskał do ucha telefon komórkowy. Calvino gwałtownie wdusił pedał hamulca, szarpnął kierownicą w lewo i zahaczył zderzakiem o tylny lewy błotnik mercedesa zaparkowanego przed wejściem do restauracji Bourbon Street. Motocyklista wypuścił z ręki komórkę i pospiesznie chwycił kierownicę, żeby odzyskać panowanie nad motocyklem, po czym dodał gazu, ale zaraz zawrócił, podjechał bliżej, podniósł z asfaltu swój telefon, po czym zaklął pod nosem i splunął w kierunku auta detektywa.

Calvino siedział bez ruchu za kierownicą jeszcze przez dobrą minutę, zanim w końcu wrzucił wsteczny bieg i wjechał na wolne miejsce parkingowe obok mercedesa. Kiedy na chwilę zamknął oczy, natychmiast z pamięci wypłynął obraz dwóch młodych ludzi na motocyklu, nad którym stracili kontrolę i który uderzył z impetem w butle z gazem, obraz późniejszej eksplozji oraz płonącego wózka ulicznej handlarki zatrzymującego się przy pniu baniana. To nie był zwykły wypadek. Tamci dwaj zginęli przez niego. Aż ścisnęło go w dołku na tę myśl. Teraz zaś był bliski wyprawienia na tamten świat kolejnego motocyklisty. Popatrzył na swoje dłonie. Wyraźnie się trzęsły. Próbował uspokoić nerwy, kurczowo zaciskając palce na kierownicy. Powtarzał sobie, że nie była to jego wina, skoro motocyklista jechał pod prąd, nie zwracając uwagi na to, że on nadjeżdża z naprzeciwka. W końcu pocieszył się myślą, że może wreszcie dopisało mu szczęście.

Wysiadł z wozu, kucnął przy tylnym błotniku mercedesa i popatrzył na tablicę rejestracyjną. Były to numery korpusu dyplomatycznego, choć po dwóch pierwszych

cyfrach nie mógł odgadnąć kraju pochodzenia dyplomaty. Pokręcił głową i ostrożnie przeciągnął dłonią po wgnieceniu karoserii w tylnej części błotnika. Wreszcie wziął głębszy oddech i nakazał sobie w myślach, że najwyższa pora dowiedzieć się, której to ambasady przedstawiciel albo szykował się do wyjazdu z placu, albo właśnie tu zajechał.

Niemniej ekskluzywny mercedes zaparkowany przed wejściem do restauracji Bourbon Street wydał mu się co najmniej nie na miejscu. W zamyśleniu zatarł ręce. Jeszcze wczoraj był w Pattai, która teraz wydawała mu się odległa o tysiące kilometrów. Do palców przykleiło mu się parę płatków zdrapanego lakieru z mercedesa. Westchnął ciężko, otarł ręce o spodnie i zapragnął znaleźć się w całkiem innym miejscu, na przykład we własnym łóżku. Powtórzył w myślach, że tak wczesna pora dnia jest odpowiednia tylko dla zmarłych, a nie dla żywych. Zaraz dorzucił do tego, że musi wreszcie skończyć z hołdowaniem miejscowym obyczajom i stereotypom kulturowym, które zaczynały go prześladować. Musiał wreszcie postąpić właściwie, to znaczy wejść do restauracji, odszukać właściciela samochodu i załatwić z nim sprawę rekompensaty poniesionych strat. I do wyjątków mógł zaliczyć ten poranek na Washington Square, kiedy równocześnie musiał się zmierzyć z dwoma zagrożeniami.

Przy wejściu do lokalu skupił się na swoim zleceniu, to znaczy znalazł sobie odpowiednie stanowisko i zrobił kilka zdjęć męża klientki w towarzystwie jego tajskiej kochanki. Dopiero później rozejrzał się po sali. Interesująca go para, a więc główny powód jego obecności o tej porze na placu, siedziała przy stoliku w odległym kącie. *Ying* doskonale pasowała do opisu przedstawionego przez zazdrosną żonę: była bardzo ładna, w krótkiej sukience, z doklejonymi długimi rzęsami i szminką starannie dopasowaną do odcienia lakieru na paznokciach. Jak większość podobnych jej kobiet, zdawała się władać szerokim wachlarzem mimikry, gestykulacji, makijażu i stroju; żaden mężczyzna nie byłby w stanie osiągnąć tego poziomu biegłości. Poza nimi bar świecił pustkami, było jeszcze tylko dwóch facetów przy stoliku w drugim końcu sali, z których jeden sączył kawę, a drugi sok pomarańczowy. Calvino doszedł do wniosku, że jeden z nich musi być właścicielem mercedesa. Ekskluzywny samochód na pewno nie należał do faranga siedzącego w kącie sali, który, jak wynikało z wiedzy detektywa, był maklerem giełdowym, a nie dyplomata.

Żaden z mężczyzn nie zwrócił na niego uwagi. Ten o zielonych oczach i chytrym uśmiechu na wargach tylko zerknął w jego stronę i zaraz odwrócił głowę. Facet odznaczający się budową ringowego zapaśnika patrzył uparcie wprost przed siebie. Calvino usiłował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział faceta aż tak szerokiego w barach, lecz tylko wzruszył ramionami, gdy nie zdołał odnaleźć stosownych wspomnień. To, że wszyscy go zignorowali, było mu tylko na rękę. Jarrett siedział pochylony nad pustą szklanką po soku, a Tracer obejmował filiżankę

od kawy wielkimi dłońmi, w których nieomal mógłby zamknąć niepostrzeżenie piłkę futbolową. Calvino przez chwilę usiłował rozstrzygnąć, czy któryś z nich jest ambasadorem, czy też obaj pracują na stanowiskach podrzędnych sekretarzy w ambasadzie.

Z głośników płynęła stłumiona melodia *L.A. Woman* zespołu The Doors, a gdy dobiegła końca, jej śladem poszła *Mojo Pin* Jeffa Buckleya. Tracer nerwowo wystukiwał palcami rytm piosenki o filiżankę z kawą. Dostępna tu muzyka była dodatkowym powodem, dla którego wybrał właśnie Bourbon Street na to ostatnie spotkanie przed akcją. W tej materii dogadali się z Jarrettem już na samym początku: ten, kto się pierwszy zjawi na umówionym miejscu spotkania, wybiera bluesa na tło ich rozmowy. Muzyka przypominała mu kromkę chleba: łatwo przesiąkała wszelkimi obawami dręczącymi człowieka, gdy czas zaczynał spowalniać przed akcją. Blues od początku wprowadzał w dobry nastrój, potem napełniał spokojem, wreszcie aż wywoływał ciarki na plecach. Nie był tylko pospolitym tłem muzycznym. Żaden blues nie mógł być traktowany jak tło, bo czuło się go na twarzy, w sercu i lędźwiach. A dobry blues mógł ponadto uwolnić od denerwujących myśli związanych z czymś, co się nie układało. Właśnie tu mógł posłuchać swojego ulubionego bluesa mówiącego o tym, że człowiek za wszystko musi zapłacić jakąś cenę.

„Zawsze jest jakaś cena, zawsze jest, choć nie zawsze znana, póki nie dobieje się targu”. Jego zdaniem za tymi słowami kryło się coś więcej niż tylko odrobina życiowej prawdy. Warto je było wyjąć z wody, rozwiesić na sznurze do wysuszenia i patrzeć, jak przesiąkają słońcem. Jarrett nauczył się, że niemal w każdej sytuacji to, co się rozbija, pęka na dwie części, które łatwo można skleić z powrotem. Ale zdarza się też, że powstaje milion okruchów i nie ma takiego kleju, którym dałoby się je połączyć na nowo. Tak roztrzaskane rzeczy były zniszczone ostatecznie, jakby spotkała je śmierć.

Farang przy stoliku w kącie obejrzał się i popatrzył na Calvina. Trzeba było szybko odmienić sytuację. Potrzebna mu była przykrywka, a najlepiej do tej roli nadawał się kierowca mercedesa.

– Czy któryś z panów jest właścicielem mercedesa stojącego przed wejściem? – zapytał Calvino, który po wyglądzie dwóch mężczyzn także nie mógł odgadnąć ich narodowości, równie tajemniczej jak dziwny numer na tablicach rejestracyjnych.

Tracer błyskawicznie podniósł głowę.

– A o co chodzi?

To amerykański akcent, pomyślał detektyw.

– Sądząc po numerach, to służbowy wóz z ambasady, więc pewnie jest pan dyplomatą.

Wolał nie nawiązywać do tego, że każde auto z ambasady ma swój indywidualny numer.

Tracerowi spodobała się sugestia, że może być dyplomatą, bo pewnie jego matka byłaby dumna, gdyby to usłyszała. Uśmiechnął się więc przyjaźnie i zapytał:

– A co pan sprzedaje?

– Niczego nie sprzedaję. Wgniotłem tylny błotnik w pańskim samochodzie.

Tracer uniósł brwi, ale nie przestał się uśmiechać.

– Żartuje pan czy naprawdę wjechał w mój samochód?

– Uszkodzenia nie są duże. Mam ubezpieczenie.

– Nieduże? A więc nie ma sprawy. Nie ma się czym martwić.

Tracer położył pieniądze za sok pomarańczowy na stole i podniósł się z krzesła.

– Jeśli pan pozwoli...

Ale Calvino dalej blokował mu przejście. Jarrett także wstał i z odległości metra zajrzał mu prosto w twarz.

– Naprawdę nie ma się czym martwić – rzekł z naciskiem. – Sam zajmę się wyklepaniem wgniecionego błotnika.

Detektyw postanowił jednak nie dawać za wygraną i pokryć wyrządzone szkody z własnej kieszeni.

– Proszę zaczekać jeszcze chwilę. Zaraz będę do panów dyspozycji.

Farang przy stoliku w kącie przestał wreszcie zerkać w stronę baru i powiódł po sali czujnym wzrokiem człowieka obawiającego się kłopotów. Zaraz jednak zyskał przekonanie, że udało mu się uciec ze skradzionym kawałkiem tortu, nadeszła więc pora, by go zjeść. Pospiesznie uniósł rękę dziewczyny, zaczął ją gładzić i pieścić palcami, wreszcie z lubością całować po kolei pomalowane jaskraworóżowym lakierem paznokcie. Detektywowi ich odcień przypominał barwę nieba nad Bangkokiem tuż po wschodzie słońca. Doszedł szybko do wniosku, że z faranga musi być naprawdę niezły numer. Patrząc jednak, z jaką nabożną czcią traktuje dłoń swojej kochanki o tak wczesnej porze, pomyślał, że jakiś prawdziwy koszmar wygnał go z własnego łóżka i kazał bladym świtem zjawić się na Washington Square. Niemniej był to jego problem, gdyż żona płaciła Calvinowi dokładnie za zrobienie i dostarczenie fotografii ukazujących ten istny obrzęd całowania dłoni dziewczyny. Toteż Calvino sięgnął pospiesznie do wewnętrznej kieszeni po swój miniaturowy cyfrowy aparat fotograficzny. Nie zdążył go jednak wyjąć, gdy Jarrett błyskawicznie zrobił krok do przodu i unieruchomił mu rękę w żelaznym uścisku. Nie było mowy o tym, że można konkurować z jego atletycznymi mięśniami kontrastującymi z niewinnym wyrazem twarzy. Odważył się jednak spojrzeć mu prosto w oczy.

– Pan jest ochroniarzem?

Tamten nie odpowiedział. Dopiero po chwili syknął:

– Wyciągnij rękę spod marynarki naprawdę bardzo powoli.

Calvino usłuchał polecenia i rozwarł palce zaciśnięte na czarnym nikonie.

– To tylko aparat cyfrowy.

Jarrett rozluźnił stalowy uścisk palców. Calvino szybko skierował obiektyw aparatu na parę siedzącą w kącie sali, która nie zwracała na niego uwagi. Błyskawicznie wykonał krótką serię zdjęć. Zdołał uchwycić jeden pocałunek, potem drugi – wystarczająco dużo, by mieć dowód, że farang nie przypadkiem z taką kurtuazją odnosi się do młodej *ying*, z którą siedzi przy stoliku. Było oczywiste, że to para kochanków, którzy postanowili spędzić ze sobą kilka wspaniałych chwil na początku dnia. Kiedy schował aparat do wewnętrznej kieszeni marynarki, zwrócił uwagę, że obaj mężczyźni spoglądają na niego z wyraźnym obrzydzeniem.

– Co pan, do cholery, robi tutaj z tym aparatem? – zapytał złowieszczo Jarrett.

– Pracuję.

– Jest pan fotografem?

– Detektywem.

Bardzo łatwo było w Bangkoku pochwycić trop każdego mężczyzny, który zerwał się ze smyczy. Przypominało to śledzenie lekkomyślnego, mało rozgarniętego złodzieja, który na miejscu zdarzenia zostawił swoje prawo jazdy. Jego schwytanie pozostawało tylko kwestią czasu. Mimo to zarabianie w ten sposób na życie było naprawdę ogłupiające i deprawujące.

– Prywatnym detektywem – powtórzył Tracer, z jeszcze większą pogardą wydymając wargi i zerkając z ukosa na faranga siedzącego w towarzystwie młodej Tajki przy stoliku w kącie sali.

Calvino przytaknął ruchem głowy.

– Wynośmy się stąd – rzucił Jarrett. – Ten facet ma swoją robotę, my mamy swoją.

– Już dzwonię do firmy ubezpieczeniowej – odparł szybko Calvino, sięgając po swoją komórkę. – Na pewno przyślą kogoś, żeby ocenił straty.

Tracer pokręcił głową i wyciągnął do niego rękę.

– Darujmy to sobie. Dzięki za dobre chęci.

– Nie ma sprawy. Przecież uszkodziłem pański samochód.

– Ma pan rację, że nie ma sprawy. Więc zostawmy to tak, jak jest.

– Mój przyjaciel chce powiedzieć, że życie toczy się dalej – wtrącił Jarrett.

Obaj mówili jednak ze śmiertelnie poważnymi minami. Byli młodzi i wysportowani, nadzwyczaj wyciszeni, jeździli mercedesem, pili sok pomarańczowy i chcieli zapomnieć o tym, że wgniół im błotnik auta – wszystko wskazywało więc na to, że są zaprzątnięci czymś bardzo ważnym i nie życzą sobie, by właśnie teraz ktokolwiek wchodził im w drogę. Odwrócił się na pięcie, podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

– Przynajmniej spójrzmy razem na wasz samochód. Jarrett i Tracer bez większego zainteresowania obeszlą mercedesa. Skutkiem drobnej stłuczki była pęknięta osłona tylnych świateł i lekkie wgniecenie, wyglądające tak, jakby jakiś olbrzym huknął

pięścią w błotnik u nasady zderzaka. Samochód detektywa, stara honda city, stał na sąsiednim miejscu parkingowym, ale był tak poobijany, że trudno było ocenić, którą częścią zderzył się z mercedesem.

– To był wypadek – rzekł Calvino, wyciągając do Tracera swoją wizytówkę.

– Wygląda na to, że pański nie pierwszy – mruknął Jarrett, obrzucając krytycznym spojrzeniem jego wóz.

Tracer popatrzył na wizytówkę, po czym przekrzywił głowę na prawe ramię, a następnie na lewe, w odruchowym ćwiczeniu gimnastycznym, pozwalającym zidentyfikować człowieka równie skutecznie jak odciski palców. Niektórzy pod wpływem stresu psychicznego odczuwali kurcze mięśni karku, dlatego próbowali je rozciągać w sposób umożliwiający im pozbycie się dokuczliwego ucisku.

– Jest pan praworządnym obywatelem, skoro powiadomił nas o tym, co się stało. Większość ludzi szybko uciekłaby z miejsca zdarzenia. Jeśli wyniknie jakiś problem, mamy pańską wizytówkę, zatem pozostaniemy w kontakcie, panie... – jeszcze raz spojrzął na kartonik – Calvino.

Detektyw, oparty biodrem o bagażnik swojej hondy, odprowadził uważnym spojrzeniem obu mężczyzn wsiadających do mercedesa. Jarrett zajął miejsce za kierownicą, a Tracer na fotelu pasażera i obaj szybko zapięli pasy bezpieczeństwa. Jarrett płynnie wycofał wóz na ulicę, przełączył biegi i wykręcił w stronę wylotu Soi 22. Calvino aż wyszedł na środek jezdni, żeby popatrzeć, jak auto ambasady skręca w lewo, kierując się w stronę Rama IV Road. Odruchowo zapamiętał sobie numer rejestracyjny.

Dopiero wtedy wszedł do hondy i uruchomił silnik. Odczekał parę sekund, aż nawiew z klimatyzatora uczyni temperaturę w środku nieco bardziej znośną, po czym, wykręcając szyję, spojrzął w obie strony, zanim wycofał samochód z miejsca parkingowego. Dopiero teraz przyszło mu na myśl, że ów zielonooki miał w rysach pewne pierwiastki typowe dla Bliskiego Wschodu. Potem pomyślał, że jego honda to już zwykły wrak, a nie samochód, bardziej pozostałość po ataku terrorystów. Miała jednak swoje zalety. Przede wszystkim nie kusila złodziei. Ruszył powoli ulicą i jeszcze zwolnił, ujrzawszy przed sobą na chodniku idącą powoli parę z restauracji, trzymającą się za ręce. Znów sięgnął po aparat i pochyliwszy się ku przedniej szybie, zrobił kilka dodatkowych ujęć zakochanych ptaszków. Chowając aparat do kieszeni, aż pokręcił z niedowierzaniem głową. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż pewni ludzie działają z pełną świadomością tego, że są obserwowani, że zwyczajnie chcą, by ich przyłapano na gorącym uczynku, by wreszcie móc skończyć z podwójnym życiem.

Na skrzyżowaniu skręcił w prawo, w Soi 22 prowadzącą do Sukhumvit Road, przy której miał swoje biuro. Przypomniał sobie stare powiedzenie, że niektórzy mężczyźni zostawiają tak ewidentne tropy do przepoconych prześcieradeł, że mógłby nimi poprowadzić nawet zakatarzony ogar. Spojrzął we wsteczne lusterko. Wszystko

wskazywało na to, że zakochana para wcale nie idzie do skrzyżowania z ulicą Rama IV, raczej zmierza bez pośpiechu do wejścia pobliskiego hotelu „27”, słynącego w tej okolicy ze stwarzania iluzji prywatności w ciasnych pokoikach wynajmowanych na godziny.

Stojąc na światłach przed skrzyżowaniem z Sukhumvit Road, zaczął przetwarzać w myślach zdarzenia z ostatniej doby. Odnosił wrażenie, że rozegrały się w znacznie dłuższej przestrzeni czasu. Wrócił do miasta, by pogrążyć się bez reszty w swojej pracy. Lecz jego wysiłki zakończyły się przede wszystkim dokuczliwym porannym bólem głowy. Dla spokoju duszy nie miało żadnego znaczenia, że udało mu się zrobić zdjęcia podczas spotkania niewiernego męża z kochanką, mimo że ta świadomość powinna mu znacznie poprawić nastrój. Ale skutecznie wmówił sobie, że ma prawo czuć się tak, jakby część świata zawałała się na niego podczas nieudanych wakacji, a on wciąż nie znał sposobu na wydostanie się z ruin, które spowodowała *ying* spadająca wprost z jasnego nieba i późniejszy wieczór w towarzystwie Mao i Noriegi. Aż się wzdrygnął na to wspomnienie, jak gdyby lodowate tchnienie nieznanego zła odnalazło go nawet pod stertami gruzów.

Zapaliło się zielone światło i Calvino skręcił w Sukhumvit Road. Jadąc wolno, popatrzył na plac Washington Square rozciągający się po prawej stronie – nędzny i zaniedbany, o chodnikach pokrytych spękanymi płytami, z plagą szczurów żerujących pośród spiętrzonych w kątach śmieci. O tej porze panował tam spokój. Plac, podobnie jak cały Bangkok, nie miał jednolitego charakteru, bo ten zależał od pory dnia. Zupełnie innych ludzi przyciągał rano, na przykład takich, którzy udawali dyplomatów albo niewiernych mężów pozorujących, że ich związki z miejscowymi dziewczętami zasadzają się na czymś więcej poza seksem, narkotykami i rock and rollem. Tu w znacznej mierze rządził przypadek, okazja, mnogość niewytłumaczalnych spotkań. Tak więc nie było to tylko siedlisko szczurów i podłych drani, lecz także ulubione miejsce spotkań ludzi, których przeszłość rzucała wystarczająco długi cień, żeby zaważyć na przyszłości.

10

Tracer wyrzął z za opuszczonej szyby samochodu na ulicznych sprzedawców rozstawiających swoje stragany na skraju chodnika, na handlarzy makaronu, skarpet, majtek i pirackich kopii płyt DVD. Ranne biurowe ptaszki przemykały pod ścianami budynków do swoich korporacyjnych wylęgarni, łamiąc szeregi na każdym skrzyżowaniu z kolejnym kanionem rozdzielającym poszczególne wieżowce. Motocykle z wyciem silników lawirowały w wąskich prześwitach między sznurami samochodów. Nawet czerwone światło na skrzyżowaniu nie mogło zapobiec temu, żeby jeszcze trzy albo cztery samochody przemknęły na drugą stronę niczym złowieszcze torpedy. Jeszcze przez parę sekund po zapaleniu się zielonego światła nikt nie ruszał z miejsca.

Kiedy i Jarrett zatrzymał mercedesa na czerwonym świetle, jadący za nim samochód o mało nie wjechał mu w bagażnik. Kierowca wcisnął klakson, a we wstecznym lusterku ukazał się morderczy, pełen gniewu wyraz jego twarzy. Wszyscy spieszyli się do pracy. Niektórzy bardziej, inni mniej, ale w sumie liczyła się szybkość przejazdu, jak gdyby kwestia pokonania najbliższego skrzyżowania nabrała wagi sprawy życia i śmierci.

– Sprawdźmy jeszcze raz harmonogram operacji – odezwał się Jarrett.

Między nimi stało się to istnym rytuałem, któremu poddawali się bez sprzeciwów w ciągłych podróżach między Kabulem i Bagdadem z przesiadkami w takich miejscach jak Faludża. Jako zespół wielokrotnie sprawdzali schematy działania pod każdym kątem, żeby poszczególne elementy weszły im w krew. Dzięki temu działali efektywnie, byli pewni i wiarygodni. Nigdy nie szukali dróg na skróty, zdążając do celu. Teraz Tracer po raz kolejny musnął kciukiem woreczek *mojo* pod koszulą. Cały czas trzymał go w ukryciu, w nadziei, że Jarrett nie zwróci uwagi na podejrzane gesty. Jego zdaniem, mimo starannych przygotowań, zespół wciąż musiał liczyć na zwykły łut szczęścia.

Już dwa dni wcześniej szczegółowo sprawdzili wynajęty lokal w wieżowcu.

Głównie Jarrettowi zależało na tym, by wbić sobie do głowy rozkład pomieszczeń i zyskać naturalne wyczucie środowiska.

– Wymierzyłem odległość na trzysta pięćdziesiąt metrów.

– Na linii żadnych przeszkód. To mi się najbardziej podoba – odparł Jarrett.

Ich cel miał się pojawić na balkonie sąsiedniego wieżowca między wpół do jedenastej a południem.

– Po skończeniu tej roboty zamierzam pójść na siłownię – rzekł Tracer.

– Przecież umawialiśmy się na wspólny masaż. Pozwól, żeby ktoś się zajął tymi twoimi kurczami w karku.

– Ostatecznie mogę się wybrać na siłownię jutro. Tracer obejrzał się, a dostrzegłszy zaniepokojony wzrok Jarretta, wyciągnął ku niemu obie dłonie z kciukami wyprostowanymi ku górze. Odznaczał się niezwykłą umiejętnością przywracania spokoju, przez co Jarrett miał poczucie, że wszystko jest pod kontrolą, a to wystarczyło do wykonania każdego zadania. Już wielokrotnie przerabiali ten sam schemat, za każdym razem myśląc po jego zakończeniu: „Boże, jak dobrze już mieć to za sobą!”.

Jarrett zjechał na prawy pas i włączył się ponownie w najwolniejszy strumień ruchu ulicznego. Tuż przed skrzyżowaniem z Soi Thong Lo Tracer złożył czytaną gazetę i odłożył ją na tylne siedzenie. Z głośnika samochodowego radia płynęła bluesowa wersja *Summertime*, więc obaj nie odzywali się przez pewien czas.

Któregoś dnia w irackiej Faludży Jarrett zabił buntownika siedzącego w samochodzie z bronią wymierzoną w nadjeżdżający konwój armii amerykańskiej. Arab także słuchał wtedy *Summertime*. Co więcej, tamtego dnia Jarrett unieszkodliwił jeszcze dwóch innych rebeliantów. „Niech nic ci nie przeszkodzi”. Odniósł wtedy wrażenie, że cały świat szykuje się przeciwko niemu i tylko czeka stosownej chwili, by otworzyć przed nim puszkę Pandory. Tymczasem Bangkok przypominał urbanistyczny koszmar zatłoczony autami i tłumami przechodniów rywalizującymi ze sobą o przestrzeń do przemieszczania się, podobnymi do gromad nawiedzonych łososi prących w górę rzek, by tam złożyć ikrę i zdechnąć. Ale w porównaniu z Bagdadem czy nawet Faludżą bardziej przypominał obficie zarybiony staw gospodarstwa rybnego.

Co z tego, że Soi Thong Lo stało się istnym gettem farangów na tyłach Sukhumvit Road, oferującym dostatecznie wysoko płatne lokale do wynajmu, żeby japońscy rezydenci mogli dalej stanowić większość wśród tutejszych akcjonariuszy koncernu Hondy? Co z tego, że Soi Thong Lo jeszcze do niedawna było senną dzielnicą mieszkaniową tajskiej klasy średniej, skoro nagle stało się modną lokalizacją, przyciągającą głównie bogatych i wpływowych obcokrajowców, którzy kupowali najbardziej ekskluzywne domki, zakładali kluby zarezerwowane dla członków socjety, stołowali się w setkach tamtejszych restauracji, a przerwy w godzinach pracy

spędzali w jednym z licznych ośrodków masażu?

Dlatego Casey nie zwlekał z przygotowaniem, już dwa miesiące wcześniej wynajął lokum jako Melvin Taylor, mało znany śpiewak bluesowy – co było ukłonem w stronę Tracera, który bardzo lubił tego wykonawcę. Uregulował z góry czynsz i opłacił kaucję w gotówce, mówiąc, że z lokalu będzie korzystał bogaty zagraniczny inwestor zamierzający często przyjeżdżać do Bangkoku. Nikt go nawet nie poprosił o okazanie jakichkolwiek dokumentów. Na Soi Thong Lo najważniejszymi dokumentami były banknoty. Tak więc Jarrett, który po matce Turczynce odziedziczył śniadą cerę, i Tracer, Afroamerykanin o jasnoczekoladowej skórze, mogli być wzięci za inwestorów na przykład z Kairu albo z Damaszku.

Jarrett wjechał mercedesem w bramę na parterze dwudziestopięciopiętrowego wieżowca z luksusowymi apartamentami i znaleźli się w garażu mającym wszelkie znamiona więzienia o zaostrzonym rygorze. Za pomocą karty magnetycznej otworzył szlaban we wjeździe. Zanim barierka podniosła się do końca, strażnik siedzący w budce naprzeciwko zdążył zapisać numer rejestracyjny ich samochodu. Na szczęście przyciemnione szyby nie pozwoliły mu zobaczyć dokładnie, kto jest w środku. Żaden strażnik zarabiający dwieście dolarów miesięcznie i wysyłający trzecią część pensji ubogiej rodzinie na wsi nie zdobyłby się na odwagę, by polecić opuszczenie szyby i okazanie dokumentu tożsamości. Stąd też tylko kątem oka spojrzął na Jarretta, który pospiesznie podniósł szybę i ruszył w głąb garażu. Wjechał biegnącą szerokim łukiem rampą aż na piąty poziom i zaparkował wóz tuż przed drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową i do wind.

Tracer wysiadł z auta, wsunął ręce głęboko do kieszeni spodni, stanął przy bagażniku mercedesa i zaczął gwizdać pod nosem *Mojo Peeping Toma*. Jarrett pociągnął dźwigenkę otwierającą zamek klapy bagażnika, wysiadł i z odległości trzech metrów od samochodu rozejrzał się uważnie dookoła, zanim dał znak przyjacielowi, że może wyciągnąć dużą sportową torbę marki Pelican. Następnie podszedł do niego, zatrzasnął bagażnik, dźwignął torbę i ruszył do wyjścia. Lepiej było skorzystać ze schodów. Po dotarciu na dziewiąte piętro Jarrett pociągnął drzwi wyjścia ewakuacyjnego i Tracer jako pierwszy wyszedł z klatki, żeby rozejrzeć się po korytarzu. Był pusty. Na znak dany przez kolegę Jarrett także wyszedł na korytarz i ruszył przed siebie szybkim krokiem, uginając się pod ciężarem sportowej torby. Zatrzymali się przed drzwiami apartamentu. Tracer otworzył je, wszedł do środka i przytrzymał drzwi. Wówczas i Jarrett przekroczył próg, wcześniej rozejrzawszy się ostatni raz po korytarzu. Wyszedł na środek pokoju, zamknął na chwilę oczy i z głębokim westchnieniem ulgi postawił sportową torbę na podłodze.

Aż odstał na krok i oparł się plecami o ścianę, żeby zaczerpnąć kilka głębszych oddechów. Wniesienie ciężkiego bagażu po schodach na dziewiąte piętro nawet dla niego okazało się wyczerpującym zadaniem. Torba ważyła ponad dziesięć

kilogramów. Ale nie tylko jej waga odgrywała rolę. Obaj działali w stanie najwyższego napięcia, gdyż istniało niebezpieczeństwo – chociaż niezbyt wielkie, ponieważ ludzie bogaci woleli korzystać z windy – że natkną się na któregoś z mieszkańców schodzącego po schodach do garażu. Ochroniarze pilnowali garażu, lobby i terenu wokół budynku, rzadko pojawiali się na korytarzach. Za wyborem przez Caseya właśnie tej lokalizacji przemawiał jeden ważki argument: dosyć ścisła ochrona budynku zamieszkanego przez bogaczy niełubiących się pokazywać publicznie.

Tracer energicznym krokiem przemierzył obszerny pokój. Jemu także serce łomotało jak oszalałe, gdyż w roli obstawy pokonywał schody po dwa stopnie naraz. Gdyby nie drobna utarczka z prywatnym detektywem w restauracji przy Washington Square, uznałby dotychczasowy przebieg operacji za idealny. Niemniej dotarli aż tutaj wyłącznie dzięki doskonałemu planowaniu i koordynacji działań. Bo jak w większości operacji terenowych, można było mówić o sukcesie bądź porażce jeszcze na długo przed oddaniem pierwszego strzału.

Jarrett podniósł torbę z podłogi, postawił ją na stole w jadalni i rozsunął suwaki po obu bokach. W środku znajdowała się wojskowa skrzynka ze snajperskim systemem M24 – a więc precyzyjnym karabinkiem, z celownikiem teleskopowym i noktowizyjnym, tłumikiem, trójnożnym statywem oraz dwoma pudełkami amunicji. Broń snajperska, podobnie jak kobieta, niewiele znaczyła bez właściwych akcesoriów. Wyjął karabinek, po czym przeciągnął palcami po grafitowych i pleksiglasowych wytłoczeniach w pudełku. Jego uwagę zwrócił słaby zapach żywicy epoksydowej. Karabinek był analogiem remingtona serii 700, stosowanego w oddziałach desantowych pod wojskowym oznaczeniem M40A3, z którego Jarrett korzystał zarówno w Kabulu, jak i Bagdadzie. Firma troszczyła się o to, by mieli dostęp do najlepszej broni, jaką dało się zdobyć na rynku, a więc ręcznie ładowanej, chłodzonej powietrzem, zasilanej z magazynka. Jarrett otworzył pudełko amunicji, wyjął jeden nabój i zaczął go obracać w palcach, jakby chciał się nacieszyć wrażeniem jego dotyku. Chwilę później ścisnął w dłoni mosiężny cylinder zawierający 175 gramów ładunku miotającego, powoli rozwarł pięść, zmówił pod nosem modlitwę i zaczął napełniać magazynek.

– Wszystko jest – powiedział cicho. – Odpowiednie części są już w odpowiednich miejscach i wystarczy tylko wykorzystać karabinek do wyznaczonego celu.

– Mooney powiedział, że same celowniki kosztowały go ponad dwa kawałki za sztukę – wtrącił Tracer.

– Dobra kobieta ma swoją cenę – skwitował Jarrett. – Mooney przysłał jeszcze dodatkowo naboje M118.

– Przecież nie chcemy przebijać się przez żadne ściany – odrzekł Tracer.

Jarrett wzruszył ramionami. Dobrze wiedział, że pocisk wystrzelony z tego

karabinka ma wystarczającą prędkość, by po trafieniu w szklanę z sokiem pomarańczowym wyleciał po drugiej stronie, wśród odłamków szkła i w żółtej mgiełce rozpylonej cieczy, z prędkością dostateczną do unieszkodliwienia celu.

– Wspaniała rzecz do zadań w wielkim mieście – powiedział.

Rozłożył trójnóg mocowany u nasady karabinka, po czym ustawił go na stole na wprost drzwi balkonowych. Był pewien, że dziurka, jaką pocisk uczyni w szkłe, zapewni im tylko stały dopływ ciepłego wilgotnego powietrza. Kilka dni wcześniej dokonał odpowiednich pomiarów i przygotował parametry wstępnego ustawienia broni.

Wynajęty dla nich apartament miał ponad trzysta metrów kwadratowych, do tego większość powierzchni była wyłożona drogim drewnem tekowym, a zapełniały ją głównie modne sprzęty ze szkła i chromowanych wykończeń, natomiast okna zasłaniały ciągnące się od ściany do ściany żaluzje. Wyposażenie pokoju utrzymane było w stylu chętnie przyjmowanym przez większość luksusowych hoteli, w odcieniu jasnego brązu z wykończeniami srebrzonymi i złoconymi, kontrastującymi z jasnoorzechowym, lekko pomarańczowym odcieniem forniru. Ściany zdobiło kilka olejnych obrazów, z pozoru bardzo do siebie podobnych, którym należało się dobrze przyjrzeć, by dostrzec pewne różnice między nimi, otwierające możliwość odczytania jakichś przesłań, albo – przeciwnie – nasuwające wniosek, że żaden z nich nie ma znaczenia innego poza bezładem kolorów, chaotycznych linii i kształtów. Apartament był przeznaczony dla ludzi bardzo dobrze sytuowanych. Ostatecznie nikt nie szykował specjalnych mieszkań dla snajperów, pomyślał Jarrett. Gdyby stać go było na opłacenie takiego lokalu z własnych pieniędzy, już dawno wyznaczyłby najlepsze stanowiska strzeleckie w każdym pokoju. W końcu był to jeden z podstawowych aspektów branych pod uwagę podczas budowy średniowiecznych zamków.

– Już zapomnieliśmy, jak dobrze nasi przodkowie rozumieli rolę przemocy w świecie.

– Amen, bracie – przytaknął Tracer.

Ktoś zainwestował spore pieniądze w wykończenie i wyposażenie apartamentu, które miało robić wrażenie na potencjalnych lokatorach, Jarrett nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że zaprojektowała go jakaś sztuczna inteligencja, a nie człowiek z krwi i kości mogący tutaj zamieszkać. Pośrodku salonu stał pełnowymiarowy stół bilardowy z bilami starannie ułożonymi na zielonym suknie.

– Casey znalazł nam niezłe schronienie – mruknął Tracer, unosząc oczy do nieba. Idąc w stronę kuchni, dodał: – Możemy sobie nawet pograć w bilard.

Jarrett ruszył za nim. Stanęli przed kuchennym blatem, na którym leżały zgromadzone dla nich zapasy jedzenia. Myślni był jednak daleko stąd, gdyż widok stołu bilardowego przywołał mu z pamięci pobyt w Hua Hin. Rozegrał wtedy kilka partii z australijskim inżynierem Ianem MacDonaldem, który podobnie jak Jack miał

rude włosy i nieźle grał w bilard.

– Owszem, można by odrzucić zlecenie i spędzić tu miło jakiś czas.

– Czy to nie jest przypadkiem największy mankament tej roboty? Bierzemy zlecenia, ale przez nie musimy rezygnować z życiowych przyjemności. Jak hydraulicy na telefon. „Przepchajcie mi tę rurę i spadajcie”.

Tracer otworzył lodówkę i zajrzał do środka. Casey zapełnił ją słoikami z dżemem, białym chlebem, piwem i hot dogami. Następnie popatrzył na blat przy lodówce, gdzie przy kuchence mikrofalowej leżały paczki z popcornem, chipsami ziemniaczanymi, ciastem naleśnikowym w proszku, burrito, płatkami śniadaniowymi i garmażeryjnymi bułeczkami, a za nimi stał wielki pojemnik z masłem oraz słoiki z miodem i musztardą. W szufladzie leżał cały plik reklamówek z supermarketu Villa.

– Mógłbyś spojrzeć na ten szajs, który Casey kupił nam do żarcia? – mruknął Tracer.

Jarrett uśmiechnął się szeroko.

– Wygląda tak, jakby zakupy robił ktoś, kto wyjechał z Ameryki ćwierć wieku temu.

– Czyli właśnie Casey. Masz ochotę na popcorn?

– Nie, lepiej zajmę się już Kate.

Mieli ponad godzinę, może dwie do czasu, aż ich obiekt pojawi się na balkonie odległym o jakieś trzysta metrów.

Jarrett cofnął się do salonu, wysunął spod stołu krzesło z nierdzewnej stali z grubą poduchą w kolorze czerwonego wina i wepchnął na jego miejsce futerał karabinka. Otworzył pierwszą kieszeń torby, wyjął z niej celownik optyczny i popatrzył przez niego na widok za oknem. Następnie przymocował go na obudowie broni, precyzyjnie układając w wyznaczonym miejscu. Miał w zwyczaju dwukrotne sprawdzanie każdej czynności, niczym pilot jumbo jeta czekający na zgodę kontrolera lotów na start. Praca pilota nie polega na zajęciu miejsca w fotelu, rozpędzeniu maszyny i poderwaniu jej z ziemi. Trzeba się ściśle trzymać ustalonych procedur, obejmujących sprawdzanie działania poszczególnych układów i identyfikację ewentualnych problemów.

– Witaj w domu, Kate – mruknął, ładując cztery naboje do wewnętrznego magazynka broni. – Bądź dla mnie dobra, skarbie, to i ja potraktuję cię należycie.

– Tak zwracasz się do wszystkich swoich kobiet, Jarrett?

– Kate świetnie rozumie, co mam na myśli.

– Zatem będzie musiała ci zaufać.

Tracer kucnął i przez szparę między zasłonami ostrożnie wyjrzał nad parapetem, przytykając do oczu lornetkę.

– Moim zdaniem to bliżej trzystu metrów, a nie trzysta pięćdziesiąt – ocenił.

Strzelec pokroju Jarretta mógł na dystansie do pięciuset metrów użyć kilku

różnych rodzajów broni. Charakteryzował go wskaźnik 0,5 MOA, co oznaczało, że z odległości pół kilometra potrafi idealnie trafić w środek pięciocentymetrowej przestrzeni między oczami postaci namalowanej na papierowej tarczy. A więc z odległości trzystu czy nawet trzystu pięćdziesięciu metrów wystrzelony przez niego pocisk z Kate powinien być równie zabójczy jak cios młotem kowalskim dla mrówki.

Tracer pociągnął ozdobny sznureczek i rozsunął zasłony na odległość pół metra. Odsunął drzwi balkonowe, przez co strumyk świeżego powietrza wsączającego się do środka przez dziurkę po kuli zmienił się w gwałtowny, rozgrzany słońcem potok, szybko podnoszący temperaturę w pokoju. Wystawił twarz i kark na te gorące uderzenia. I tak w porównaniu z warunkami panującymi nad Zatoką Perską tutejszy skwar mieścił się w zakresie komfortu.

Jarrett ustawił Kate na stole w jadalni, nakierował ją na szczelinę między zasłonami i uśmiechnął się szeroko. Podciągnął sobie krzesło wysłane poduchą, usadowił się tak, żeby kolba karabinka odpowiednio przylegała mu do ramienia, po czym spojrzał przez celownik. Nagle przyszło mu do głowy, że stłuczka na parkingu przed restauracją mogła wpłynąć na geometrię lunetki. Nie było tego jak sprawdzić. Znalazł się w sytuacji spadochroniarza, który czeka już tylko na zapalenie się zielonego światła nad otwartymi drzwiami samolotu, zachodząc w głowę, czy technik składający czaszę jego spadochronu zrobił to właściwie, czy nie spaprał roboty, bo na przykład spieszył się na randkę. Życie każdego żołnierza zależało od ustawienia setek różnych parametrów, wśród których nawet drobne odstępstwo od normy mogło przynieść w terenie fatalny skutek. Praca w roli prywatnego zleceniobiorcy wiązała się z ciągłą walką o przestrzeganie wojskowych reguł, nawet jeśli miało to oznaczać jakieś trudności dla pośrednika. Ostatecznie lalusie w garniturach nie wywodzili się spośród wojowników, a pośrednikom nikt nie bronił zatrudniać amatorów z ulicy do składania spadochronów. Dlatego Jarrett lubił pracować z Mooneyem, który zawsze potrafił dostarczyć niezawodną broń. Miał pewne wsparcie w Tracerze, a i na Caseyu dotąd jeszcze się nie zawiódł.

Tracer odszedł od drzwi balkonowych, okrążył stół, także się schylił i popatrzył przez celownik, po czym wrócił na środek salonu i usiadł na sofie kilka metrów w prawo od Jarretta. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął kopertę, rozłożył ją i wyciągnął ze środka zdjęcie formatu A4 przedstawiające ich cel: Azjatę w średnim wieku o szpakowatych włosach zaczesanych na bok, dużych zębach, głęboko osadzonych oczach przypominających wąskie szparki, spoglądającego na cały świat z góry, z lekkim uśmiechem mówiącym „to ja tu rządę”. Wkrótce mężczyzna ze zdjęcia miał się dogłębnie przekonać, jak niebezpieczne mogą być wzajemne powiązania przenikające ten pogardzany przez niego świat. Tracer podał zdjęcie Jarrettowi, który zapatrzył się na nie. Pomyślał, że facet wygląda na bardzo zadowolonego z życia. Spoglądając na jego minę, aż musiał przywołać z pamięci, że

to właśnie ten człowiek wydał wyrok śmierci na syna Caseya. Zatem w pełni zasłużył na spotkanie Kate na swojej życiowej drodze, zasłużył na czekający go los.

Nazywał się Somporn, co można było przetłumaczyć jako „wojownik z magicznej złotej krainy”. Może i pochodził ze złotej krainy, ale na pewno nie był wojownikiem i na pewno nie dysponował magią, która zdolna byłaby go ocalić po wyjściu na balkon.

– Zauważ *mojo* wiszące na szyi naszego obiektu – odezwał się Tracer.

– Chińskie?

– Chińskie, tajskie, japońskie... Nie wiem i mało mnie to obchodzi.

– Ma zamiar ubiegać się o jakieś wysokie stanowisko?

– Jest politykiem, choćby tylko z tego powodu warto go sprzątnąć.

Tracer podszedł do niego i jeszcze raz popatrzył na zdjęcie. Somporn miał zawieszony na szyi, na grubym złotym łańcuchu, owalny amulet wielkości piłki tenisowej. W jego powierzchni odbiło się jaskrawe światło flesza aparatu fotograficznego. Facet najwyraźniej uważał, że dysponuje potężnym *mojo* chroniącym go przed wszelkim złem, lecz Tracer tylko wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu.

– To, co ma na szyi, będzie można uznać za żałobne *mojo* – rzekł.

Jarrett położył zdjęcie na sąsiednim stoliku do kawy. Już wcześniej widział tę twarz. Casey pokazał mu to samo zdjęcie w Bagdadzie, tłumacząc powody, dla których człowiek zasłużył sobie na śmierć. „To on zabił mojego chłopaka”, powiedział Casey.

Uśmiech Somporna na zdjęciu budził wręcz instynktowną niechęć, bo był to sztuczny, fałszywy uśmiech polityka. Jarrettowi kojarzył się z jego macierzystą firmą. Dobrze znał wielu oficerów LRAS, którzy podczas odpraw uśmiechali się w taki właśnie sposób. Wyglądali przyjacielsko, jak wujaszek na widok bratanka odbierającego dyplom wyższej uczelni, człowiek z gorącym sercem i współczuciem świętego, podsycający zaufanie i wiarę w przyszłość. Jednakże mało kto potrafił dostrzec prawdziwe oblicze faceta skrywającego się za takim uśmiechem, bo to nie pojawiała się na żadnych zdjęciach. Jedyne Kate mogła dopomóc w obnażeniu rzeczywistych rysów, ukazać je na ułamek sekundy przed emisją ostatniego sygnału, nawet za pośrednictwem amuletu. Na tę chwilę musieli jeszcze zaczekać niecałe dwie godziny.

Tracer także uśmiechnął się szeroko i zachichotał.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytał Jarrett.

– Wyobraziłem sobie, że jadę przez Pattayę z opuszczoną do końca szybą i morską bryzą wpadającą do samochodu. Wciągam głęboko powietrze, wstrzymuję oddech i myślę, że uwielbiam ten zapach. – Wydawało się, że Tracer w wyobraźni rzeczywiście zamknął się w tym zakamarku pamięci, w którym przechowywał owo

wspomnienie.

Jarrett obejrzał się na stół bilardowy, zamknął oczy i odmówił w myślach krótką modlitwę za Jacka. On też dobrze pamiętał zapach morskiej bryzy, gdy pomagał swojemu ojcu, Harry'emu, włamać się do letniskowego domku nad Zatoką Tajlandzką, korzystając z tego, że głośny plusk fal rozbijających się o nabrzeże oraz wrzaski człowieka nękanego nieznośnym bólem skutecznie tłumią inne odgłosy.

Dym szybko zniknął z salonu i wypłynął na korytarz. Kwaśny odór papierosów wymieszał się z dobrze znanym zapachem morskiej bryzy niosącej ze sobą coś jeszcze – swąd palonego ciała. Wyraźnie słyszeli wrzaski MacDonalda, gdy wkraczali do domu od tyłu, a następnie powoli torowali sobie drogę do kuchni – ostry, przeszywający krzyk towarzyszył im przez całą drogę korytarzem aż do miejsca przetrzymywania MacDonalda. Gdy tylko wśliznęli się do pokoju, rozdzielili się, Harry ruszył na lewo, a jego syn, nisko pochylony, skierował się w prawo. Ludzie w środku najwyraźniej nie mieli żadnego doświadczenia, bo inaczej jeden z nich obserwowałby drzwi. Tymczasem obaj stali zwrócenii plecami do wejścia, jakby nie podejrzewali, że ktokolwiek na świecie może im zakłócić spokój. Zresztą to, co robili MacDonaldowi, wymagało tylko mocnej muskulatury, a nie doświadczenia.

Rozebrali go do pasa, odsłaniając liczne skupiska piegów na bladej skórze ramion. Przywiązali go do krzesła grubym sznurem, w pasie i pod pachami. Przed MacDonaldem, na rozchwianym stoliku, stał komputer, na którego ekranie widniała podobizna uśmiechniętego bogacza. Okienko pod zdjęciem czekało na wpisanie loginu oraz hasła. Zalogowanie się do systemu otwierało dostęp do bankowego systemu komputerowego na jednej z Wysp Normandzkich w kanale La Manche. Z nozdrzy Varleya wydobywały się strużki dymu. Jarrett od razu rozpoznał w nim stałego bywalca sali bilardowej, tego z masywnym karkiem zapaśnika i złotym kolczykiem w prawym uchu. Varley uderzył MacDonalda w twarz z taką siłą, że głowa pojmanego odskoczyła w bok, po czym opadła mu na piersi.

Daws, drugi z mężczyzn, był jeszcze o dobre dziesięć kilogramów cięższy od Varleya. Sylwetką przypominał wielką sklepową szafę chłodniczą, a ręce miał tak masywne i muskularne, że mógłby jednym ciosem zamienić twarz MacDonalda w krwawą miazgę. Na jego twarzy gościł kwaśny wyraz rozczarowanego pracownika budowy. Podobnie jak przy stole bilardowym, Daws czekał, aż Varley mu powie, co ma robić. MacDonald zaskowyczał, z trudem łapiąc oddech, po czym wymamrotał, żeby przestali go katować. Przez szerokość piersi ciągnął się nierówny rząd drobnych, podeszłych krwią przyczerniałych ran wypalonych w jego ciele.

– Już wam mówiłem, że nie mam dostępu do konta z mojego prywatnego komputera – wycedził z trudem.

– Nie zgrywaj spryciarza – warknął Varley. – Masz przelać te pieprzone pieniądze. I to już!

– Naprawdę nie mogę! – wyjęczał MacDonald. – Zrobiłbym to, gdybym mógł. Uwierzcie mi wreszcie.

– Podaj hasło.

– Już je podałem! – krzyknął MacDonald.

Na jego twarzy malował się bezgraniczny strach i obrzydzenie, przez co ledwie mogli rozpoznać w nim człowieka, z którym grywali w bilard.

– Ale to twoje pieprzone hasło nie działa! – Varley wyjął z ust papierosa i przytknął jego rozżarzony koniec do piersi zakładnika.

Z ust MacDonalda wydobyło się dzikie, zwierzęce wycie oznaczające nieopisane cierpienie i beznadziejność. Przy klawiaturze komputera stała miseczka z czerwoną pastą z ostrych papryczek chili. Varley zanurzył w niej palec i podetknął go MacDonaldowi przed oczy.

– Nie! Błagam! Błagam... – słowa uwięzły w gardle zakładnika.

– Coś mi się zdaje, że dalej robisz nas w konia – mruknął Varley i przeciągnął palcem po świeżo wypalanej ranie w skórze zakładnika.

Daws najwyraźniej zaczął tracić cierpliwość.

– Już załatwiliśmy jednego gościa. Wyglądał tak samo jak ty. Nie mamy czasu na bzdury. Varley pytał grzecznie. Ja też pytałem grzecznie. I nic to nie dało. A przecież całe to gówno siedzi w twoim komputerze. Możemy nająć jakiegoś hakera, żeby odnalazł potrzebne informacje. Nie wydaje mi się, żeby to było bardzo trudne.

Varley głęboko zaciągnął się dymem papierosa, chcąc rozżarzyć jego koniec do czerwoności, po czym znów przytknął go do ramienia MacDonalda, ruchem głowy dając znak Dawsowi, żeby przytrzymał krzesło.

Harry ostrożnie wskazał pistolet w kaburze na biodrze Varleya, po czym wyciągnął ku górze dwa palce i wskazał Dawsa, który właśnie huknął MacDonalda w pierś kolbą małego pistoletu kalibru 9,65 milimetra. Jarrett już wcześniej zwrócił uwagę na tę broń w sali bilardowej, do tej pory to MacDonald nosił ją w kaburze na nodze nad kostką. Musiał zobaczyć coś takiego w telewizji albo w kinie i uznał, że to sprytna kryjówka. Ale w jego wypadku się nie sprawdziła, równie dobrze mógł wyrzucić ten pistolet do śmietnika. Varley i Daws zaczęli od dokładnego przeszukania porwanego, przez co jego ukryta broń tylko zasiła ich arsenał. I na pewno go wyśmiali.

Zarówno Jarrett, jak i jego ojciec usłyszeli wystarczająco dużo, by zyskać pewność, że to właśnie ci dwaj zabili Jacka. Nie trzeba było specjalnie wysilać wyobraźni, by zrozumieć, co Harry zamierza zrobić w sprawie zniknięcia Jacka Malone'a. Gadatliwy Daws wyeliminował konieczność stosowania dedukcji. Pozostawało tylko dobrze zgrać akcję, a w tym zakresie mieli sporą przewagę.

Jarrett zajął miejsce za kanapą po prawej stronie. W drugim końcu Harry zaczął odliczać czas, uniósł w górę rozczapierzoną dłoń i w odstępach sekundowych zaginał

kolejne palce. Kiedy zacisnął pięść, jako pierwszy wytoczył się po podłodze z ukrycia.

– Nie ruszaj się i rzuć broń! – wrzasnął, mierząc w Dawsa.

Ten odwrócił się, lecz zanim zdążył unieść trzymany pistolet, Harry wpakował mu dwie kule w pierś. Daws zamrugał szybko, jak gdyby zaskoczony, szarpnął głową do tyłu i zwałił się ciężko. Varley dał nura przed siebie, wyciągając broń. Jarrett zdążył w tym czasie wyskoczyć zza kanapy, lecz na linii strzału znalazł się przywiązany do krzesła MacDonald.

– Nie wygląda to najlepiej – powiedział Harry.

– To zależy, jak na to spojrzeć – syknął Varley, wyprostował się i strzelił dwa razy w kierunku Harry’ego.

Jarrett błyskawicznie wpakował mu trzy kule w bok głowy. Potem szybko podszedł do MacDonalda, uklęknął i rozwiązał mu ręce. Po twarzy zakładnika płynęły łzy. Zanosząc się szlochem, pochylił nisko głowę, odkaszlnął, splunął krwią i wymamrotał:

– Chcieli mnie zabić.

Harry popatrzył na dwa ciała leżące na podłodze.

– Teraz już nikogo nie zabijają.

Jarrett usiadł na kanapie i pokręcił głową.

– Ma pan łódź? MacDonald przytaknął.

– Dlaczego, do diabła, oni zabili Jacka? – powiedział Harry.

W swojej pracy często stykał się ze śmiercią i za każdym razem powtarzał w myślach: „To nie człowiek wybiera, ile jeszcze będzie mu dane przeżyć. Inni wybierają za niego”. To on zaprosił Jacka do Hua Hin i obiecał, że o wszystko się zatroszczy. Słowa dotrzymał, zatroszczył się, tyle że nie wyszło to po jego myśli.

11

Waters miał przerzedzone blond włosy i sylwetkę boksera wagi średniej. Wzrok przyciągało krótko przystrzyżone drobne pasemko zarostu pod dolną wargą upodabniające go do aktora filmowego. W pewnym sensie nie było to zbyt dalekie od prawdy. Z bladą cerą i niebieskimi oczyma o źrenicach jak dziury po dziewięćmilimetrowych pociskach Waters sprawiał takie wrażenie, jakby czas go ani trochę nie zmieniał. Wyglądał prawie dokładnie tak samo jak w wieku dwudziestu pięciu lat. Miał też szczególną umiejętność mówienia z różnymi akcentami. W zależności od nastroju i okoliczności mógł udawać Irlandczyka, mieszkańca wschodniego Londynu, Kapsztadu czy też Anglika z Delhi. W rozmowie telefonicznej był w stanie skutecznie oszukać ludzi z tamtych miejsc. Dlatego nikt nie był pewien, skąd on naprawdę pochodzi – zresztą w jego pracy nie miało to i tak większego znaczenia. Chociaż zdolność podszywania się pod różnych ludzi z ochotą wykorzystywał na swoją korzyść.

Kilka miesięcy przed tym, jak Jarrett i Tracer dostali zlecenie, Waters spotkał się z Caseyem w Bangkoku. Nagi, tylko owinięty w pasie białym ręcznikiem, Waters siedział w saunie i pocił się obficie. Obok niego, oparty plecami o ścianę, Casey pochylał się od czasu do czasu, nabierał chochlą wody z wiadra i polewał nią rozgrzane kamienie, przez co niewielkie pomieszczenie wypełniało się kłębamii pary. Między nimi na ławce Waters położył telefon komórkowy oraz drugi aparat, nieco podobny, będący jednak skanerem do wykrywania elektronicznych urządzeń podsłuchowych. Należał do ludzi bardzo ostrożnych. Nawet w Bangkoku, w salonie masażu, nie potrafił się uwolnić od podejrzeń, że ktoś może ich podsłuchiwać. Wiedząc doskonale, do czego są zdolni ci, którzy wydają im rozkazy, był przeświadczony, że w tym bezdusznym świecie nie istnieją żadne prawdziwe uczucia. Zresztą dla niego uczucia w ogóle nie miały żadnego znaczenia, bo liczyły się tylko obiekty, mapy drogowe oraz strefy, w których należało się zatroszczyć o bezpieczeństwo.

– Chryste, jeszcze ci mało tej pary? – powiedział do Caseya.
– Intensywne pocenie pozwala oczyścić organizm z toksyn.
– Jak zrobi się jeszcze trochę goręcej, to dobrowolnie wyznam ci wszystko, co tylko zechcesz. – Tutaj Waters mógł sobie pozwolić na szczerość, ale podczas akcji w terenie zawsze milczał jak zakłęty.

Wstał z ławki i ruszył do wyjścia z sauny. Kilka minut później Casey zastał go przy piwie w restauracji na parterze, nisko pochylonego, z dłońmi splecionymi na stoliku. Zdążył się przebrać, miał na sobie czerwony sweter i czarne spodnie oraz zieloną wiatrówkę z kołnierzem obszytym szarą lamówką. Nosił złotego rolexa, był gładko ogolony, włosy miał zaczesane do tyłu, a w jego niebieskich oczach tliły się figlarne iskierki. Ludzie z firmy twierdzili, że Waters mógłby z powodzeniem prowadzić jakiś program w telewizji.

Mówił płynnie po francusku, niemiecku, włosku i hiszpańsku, przy czym w hiszpańskim także władał różnymi akcentami, przez co mógł uchodzić za Argentyńczyka, kiedy indziej za Meksykanina albo Kolumbijczyka. Casey znał go wystarczająco długo, by zastanawiać się, który z tych krajów był jego ojczyzną. Kim naprawdę był Waters za zamkniętymi drzwiami, pozbawiony scenicznego makijażu?

To on zaproponował, żeby się spotkali w tym salonie masażu, gdzie można było przy okazji wypocząć, personel znał najwyżej pięć angielskich słów, a od getta farangów przy Sukhumvit Road dzieliło ich dobre dziesięć kilometrów. Codziennie w drodze do pracy Casey mijał wielki neon przedstawiający seksowną dziewczynę w kusej wieczorowej sukni z czerwonymi wargami ułożonymi w idealne kółko i czarnymi włosami spadającymi na ramiona. Waters specjalnie na to spotkanie przylatywał z Bagdadu i pobyt w saunie salonu masażu miał być rewanżem ze strony Caseya.

Gdy tylko zasiedli w saunie, Casey przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie. Wtedy to Waters wybrał miejsce: księgarnię na nowojorskim Broadwayu.

– Kochałeś się kiedyś z dziewczyną w tej księgarni? – zapytał wtedy Casey.

Teraz wysunął krzesło, usiadł naprzeciwko i popatrzył, jak Waters przegląda album ze zdjęciami *ying* pracujących w tym salonie. Niektóre miały wyraźnie chińskie rysy, inne wyglądały na Japonki, ale większość stanowiły rodowite Tajki.

– Przypadła ci któraś do gustu? – zapytał. Waters zamknął album.

– Obiekt pochodzi z wysoko postawionych kręgów – rzekł, dając mu odczuć, że najwyższa pora przejść do rzeczy.

– Ja patrzę na to z innej strony. Dla mnie jest obiektem o wysokiej cenie.

To było znane określenie w kręgach prywatnych zleceniobiorców. Pracowali niby w tajnym więzieniu i takie słownictwo pozwalało im pozbywać się skrupułów dotyczących ich sposobu zarabiania na życie, dając zarazem moralne uzasadnienie dla sposobów wydzierania innym ludziom ich planów, sekretów bądź informacji na temat

kolegów.

Casey nie taił przed nikim szczegółów tego, co spotkało jego syna Joela, trzydziestoczteroletniego księgowego w jednej z wielkich i bogatych firm, błyskawicznie wspinającego się po szczeblach kariery i mającego przed sobą świetlaną przyszłość. Właśnie ktoś taki musiał zginąć. Ale Waters znał tylko zasadnicze punkty tej historii, jeszcze nie słyszał, jak doszło do zabójstwa.

Dlatego Rick Casey naciągnął baseballową czapeczkę głęboko na oczy i pochylił się nisko nad kawiarnianym stolikiem. Miał na nosie duże ciemne okulary pilota, a na sobie czarną skórzaną kurtkę zapinaną na suwak. Tak samo ubrany przyszedł na spotkanie w Nowym Jorku, tyle że w Bangkoku było gorąco jak w piecu, a więc skórzana kurtka przydawała mu się wyłącznie w klimatyzowanych pomieszczeniach. Potarł dłonią swój trzydniowy szpakowaty zarost i zapytał Watersa, czy przeglądał ostatnio „International Herald Tribune”. Ten zaprzeczył i dodał, że są w Bangkoku, a nie w Nowym Jorku, i tutaj ludzie najczęściej czytają „Bangkok Post”. Casey podskoczył na miejscu jak rażony kulą supermana. Miał przy sobie niedawne wydanie gazety, toteż położył ją przed Watersem sączącym kawę.

– Kolejnych dziewięciu żołnierzy zginęło w samobójczym zamachu bombowym w Bagdadzie. Gdybyśmy nie dysponowali ośrodkiem w Bangkoku, takim jak ten, w którym pracuję, nigdy nie zmusilibyśmy tych fanatyków do współpracy. Tak bardzo nas nienawidzą. Liczba zabitych byłaby stukrotnie większa, gdyby nie nasza praca – powiedział Rick Casey. Złożył gazetę i odłożył ją na puste krzeselko. – Ale wyznam ci coś w sekrecie. Dla każdego z nas to tylko nic nieznaczące liczby, dopóki wśród zabitych nie znajdzie się własny syn.

Waters pokiwał głową, a z jego pamięci wypłynęło stare powiedzenie Stalina, że śmierć jednego człowieka to tragedia, natomiast śmierć milionów to tylko statystyka. Zarówno on, jak i Casey zajmowali wysokie stanowiska w przemyśle śmierci. Już na początku pracy musieli nauczyć się rozróżniać między tragedią a statystyką.

Casey zdjął ciemne okulary. Białka oczu miał upstrzone siateczką drobnych czerwonych żyłek, a pod powiekami sine, obwisłe worki. Tak wyglądały oczy człowieka, który widział za dużo, przeżył za dużo i za dużo wycierpiał z powodu licznych strat. Waters setki razy widywał podobne oczy u ludzi, z którymi pełnił służbę, jak też u członków rodzin tych, którzy nie wrócili.

– Tęsknię za moim chłopcem – powiedział Rick Casey. – Nie powinien był umrzeć w taki sposób.

– Stało się coś bardzo złego, Casey. Nie było łatwo przepchnąć tę sprawę zwykłymi kanałami. Zlecenie takiej roboty innym nie jest dobrze widziane, Rick. Nasuwa się wrażenie, że wychylasz się z szeregu, by narobić jakiejś szkody. Musiałem tłumaczyć wszystkim, że dobrze znam Ricka Caseya i wiem, iż w pełni zasługuje na możliwość pomszczenia śmierci syna.

– Więc akcja została zatwierdzona?

– Jeden z chłopaków od finansów był bardzo niezadowolony. Ale on nigdy nie jest zadowolony. Tak więc akcja została zatwierdzona.

Casey sięgnął po stojącą na podłodze aktówkę i położył ją na stole.

– Przyniosłem czterdzieści kawałków.

Waters pokręcił głową i z wyraźnym nowojorskim akcentem powiedział:

– Tu nie chodzi o gotówkę.

Takie zdanie było czymś niezwykle w Bangkoku, gdzie w każdym wypadku chodziło o gotówkę, ewentualnie o jej brak. Casey usiłował sobie przypomnieć, czy w ogóle zna jakieś miejsce, gdzie forsa nie jest motorem napędowym decyzji, ale nie przyszło mu nic do głowy.

– Słyszałem, co powiedziałaś – mruknął z ironicznym uśmiechem.

– Więc po co przyniosłaś tę aktówkę do burdelu?

– Jeżeli człowiek godzi się wykonać jakieś zadanie, to w pełni zasługuje na to, by dostać zapłatę z góry.

– To prawda, że moi ludzie lubią zapłatę z góry. Ale w tym wypadku nie chodzi o forszę – powtórzył Waters. – Chcę zlecić tę robotę Jarrettowi, a on powiedział kiedyś, że możliwość zemsty to druga najwspanialsza rzecz po seksie. Tyle że do zemsty trzeba mieć naprawdę ważny powód, ważniejszy od pieniędzy.

– Chyba nikt nie jest bardziej uprawniony do zemsty niż ojciec, który stracił syna, a zabójca wciąż pozostaje na wolności.

Waters słyszał od Harry'ego Jarretta kilka różnych wersji dotyczących narodzin określenia „odpłata za Jacka”. Harry, ojciec służącego teraz pod nim Alana Jarretta, na potrzeby syna zaadoptował wywodzącą się z Nepalu opowieść, która przez lata niemalże urosła do rangi legendy. Zgodnie ze złożoną kiedyś obietnicą, po upływie ćwierć wieku Harry zorganizował Alanowi spotkanie z Jackiem. We trzech mieli przylecieć z różnych stron świata na skromną uroczystość w Bangkoku. Ale sprawy się pokrzyżowały i spotkanie trzeba było odwołać. Niemniej dwie różne historie rozdzielone istnym oceanem czasu zlały się w jedną, a imię Jacka chyba już na zawsze weszło do nazwy akcji specjalnych, wykraczających poza spektrum normalnych zadań i obejmujących różnorodne usługi o nietypowym charakterze, wykonywane za dodatkową zapłatą.

Kiedy tylko pojawiał się tego typu zlecenie, już po pierwszych słowach odzywały skojarzenia z Harrym Jarrettem, gdyż zazwyczaj brzmiały:

– Mam nowe zadanie. To „odpłata za Jacka”. Jesteś zainteresowany?

Po roku 1990 owo nieoficjalne określenie przyłgnęło do wszelkich akcji noszących znamiona zemsty, a więc budzących szczególne zainteresowanie ze względu na charakter obowiązku moralnego, najczęściej związanego z długiem honorowym. Ale już wtedy nie miało to wiele wspólnego z tym, co naprawdę

połączyło Harry'ego z Jackiem.

W roku 1965 Harry popadł w Nepalu w nie lada kłopoty. Był wtedy dwudziestoparolatkiem, uznał więc Mount Everest za wyzwanie rzucone mu przez Boga. Nie wziął tylko pod uwagę, że będzie w stanie zdobyć szczyt w takim tempie. A wspiąwszy się na niego zbyt szybko, po zejściu zaczął mieć poważne objawy choroby wysokościowej. Potrzebował natychmiastowej pomocy specjalisty, tymczasem był na szlaku sam. Na szczęście natknął się na niego inny himalaista, który sprowadził go w głąb doliny i odstawił do lekarza. Harry zawsze odczuwał wdzięczność wobec tego człowieka o imieniu Jack, który uratował mu życie. Jarrett w rozmowach z Tracerem lubił powtarzać: „Harry był wtedy jeszcze kawalerem, więc gdyby nie wrócił z Nepalu, nie byłoby mnie teraz tutaj”.

Od wczesnej młodości Jarrett jedną rzecz wiedział o swoim ojcu na pewno: że w jego sercu jest zarezerwowane specjalne miejsce dla Jacka. Przyczynił się do tego zwłaszcza następny tydzień po niefortunnej wyprawie, w trakcie którego Jack regularnie odwiedzał go w szpitalu, czekając, aż wydobrzeje. A kiedy później zaczął pakować z powrotem sprzęt, żeby wracać w góry, Harry powstrzymał go.

– Wiele ci zawdzięczam. Jeśli podasz mi swój adres, po powrocie do ojczyzny wyślę ci pieniądze.

Jack uśmiechnął się, zapalił skręta i pokręcił głową.

– Nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy, chłopie.

– Uratowałeś mi życie. Musisz mi pozwolić na okazanie swojej wdzięczności.

Jack wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, jak gdyby tknięty niezwykłym pomysłem.

– Zgoda, możesz mi się odpłacić. – Zdjął okulary w złotych drucianych oprawkach i zaczął przecierać szkła rogiem koszuli, a gdy podniósł wzrok na Harry'ego, zmrużył oczy i powiedział: – Jeśli kiedykolwiek napotkasz kogoś znajdującego się w poważnych tarapatach, zatrzymaj się i wyciągnij do niego pomocną dłoń. Kapujesz, Harry? To będzie dla mnie najlepsza odpłata. A kiedy zrobisz, co będzie potrzeba, i ten człowiek będzie chciał ci się odwdzięczyć, powiesz mu: „Niczego od ciebie nie chcę. To moja odpłata za Jacka”. Myślisz, że dasz radę zrobić to dla mnie?

Od tamtej pory pierwszoplanowym celem w życiu Harry'ego stało się wyszukiwanie ludzi będących w desperackiej potrzebie, w sytuacji bez wyjścia, uginających się pod brzemieniem zdarzeń i wypatrujących czyjeś pomocnej dłoni. Gdy tylko taki człowiek uwalniał się od zagrożenia, spoglądał na niego takim samym wzrokiem jak on na Jacka w Nepalu i pytał, jak może mu się odwdzięczyć, a Harry mówił wtedy: „Nie ma takiej potrzeby, to odpłata za Jacka. A ty możesz się odpłacić za moją pomoc, pomagając komuś innemu w potrzebie”.

Tymczasem sam Jack zginął niemal pod czujnym okiem Harry'ego. Opowieść

zabrzmiałyby pewnie bardziej dramatycznie, gdyby ojciec z synem wywieźli zwłoki dwóch facetów, którzy zabili Jacka, na milę od brzegu i wrzucili je do morza dokładnie obok jego ciała. Ale stało się nieco inaczej. Załadowali zwłoki na pokład motorówki i wyruszyli na oślep w mrok nocy. Harry niewiele wiedział o Zatoce Tajlandzkiej, ale nie musiał jej specjalnie znać, gdyż był urodzonym żeglarzem. Dobrze się czuł na morzu. Tak samo jak Alan. Tak więc odpalili dwa silniki łodzi i skierowali jej dziób na pełne morze. Harry powiedziałby pewnie, że tej pięknej pogodnej nocy na niebie błyszczały miriady gwiazd. Ale noc była bardzo ciemna, bezksiężycowa. Na szczęście nie było wiatru. Daleko przed nimi na horyzoncie pojawiły się światła jakiegoś frachtowca, nie bali się jednak, że zostaną zauważeni, gdyż płynęli bez świateł. Po pewnym czasie Harry wyłączył silniki i zasiadł w ciszy obok syna w stopniowo zwalnającej motorówce. Kiedy się zatrzymali, chciał coś powiedzieć o Jacku, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Toteż w milczeniu skrępowali pierwsze zwłoki łańcuchem i wyrzucili je za prawą burtę. Harry zrobił sobie przerwę na papierosa i dalej w milczeniu spoglądał, jak Alan podobnie obwiązuje ciężkim łańcuchem drugiego zabitego. Na znak syna złapał nieboszczyka za nogi, dźwignął i ten po chwili także znalazł się za burtą. Rozległ się plusk, na powierzchnię wypłynęły bąbelki powietrza, lecz jej powierzchnia szybko upodobniła się z powrotem do szklanej tafli. Siedzieli jeszcze przez jakiś czas w motorówce, myśląc o Jacku, którego ciało także spoczęło w morzu. Wreszcie Alan powiedział: „Tato, to nie twoja wina”. Harry podniósł głowę i wytrzeszczył oczy, jakby chciał w ciemnościach dostrzec minę syna. Domyślił się jednak, że Alan płacze, odparł więc tylko: „Czułbym się winny tylko wtedy, synu, gdybym dopuścił, żeby umarła pamięć o Jacku”.

Waters zamilkł, opowiedziawszy historię Harry’ego, jakby czekał na reakcję Caseya. Moment był bardzo ważny. Nie ma bowiem zobowiązań, które by nie wynikały z akceptacji pewnych podstawowych zasad. Żadne pieniądze nie mogły wyrównać długu wchodzącego w zakres „odpłaty za Jacka”.

– Jak wykonają zadanie, przekażę te pieniądze na cele dobroczynne.

– A co ma z tym wspólnego dobroczynność?

– Nie słyszałeś o skutkach cyklonów, tsunami, trzęsień ziemi? Katastrofy naturalne zdarzają się cały czas. Niech więc te pieniądze pomogą ludziom, którzy znaleźli się w oku cyklonu, o pomoc dla takich właśnie ludzi zabiegał Jack. Zgodzisz się ze mną?

– Słyszałem, co powiedziałeś – mruknął Casey. – Tych czterdzieści kawałków jest twoje – dodał, posuwając aktówkę w jego kierunku.

Joel Casey został zamordowany w Tajlandii. Jego śmierć prasa opisywała przez kilka tygodni, a potem nagle temat zniknął z gazet. Nikt więcej do niego nie nawiązał, nie było żadnych wzmianek na temat śledztwa w sprawie zabójstwa. Można było

odnieć wrażenie, jakby wcale do niego nie doszło. Człowiek, który zlecił zabójstwo Joela, nie został o nic oskarżony. Policja uznała, że dowody są niewystarczające do sformułowania aktu oskarżenia. Sprawę umorzono. Przypadkowo Joel zginął tuż przed tym, jak zapowiadał ujawnienie nieprawidłowości w księgach rachunkowych firmy będącej własnością Somporna, jego przyjaciół i krewnych. Wcześniej uzyskał dostęp do wszystkich zapisów komputerowych spółki. Kiedy udało mu się odkryć istnienie drugiego zestawu ksiąg rachunkowych, umówił się na spotkanie z Sompornem i zażądał (co w Tajlandii należy do bardzo kiepskich pomysłów) przedstawienia sposobu rozwiązania kryzysowej sytuacji.

Prezes spółki odpowiedział mu ironicznym uśmiechem i lekceważącym ruchem ręki. „Nie oczekuj zbyt wiele”, miał przy tym powiedzieć. Lecz Joel się tym nie przejął. Potem odebrał kilka poważnych ostrzeżeń, jeszcze zanim ukończył raport pokontrolny. Ale taki już był. Wierzył, że wszystkie podobne raporty powinny odzwierciedlać rzeczywistą sytuację w kontrolowanych firmach. Jego zabójstwo miało stać się nauką dla tych, którzy nie szanują różnic kulturowych w podejściu do zasad księgowania. Joel postrzegał swój obowiązek w zasadniczych kategoriach, a mianowicie uważał, że raport pokontrolny powinien odzwierciedlać rzeczywistą sytuację w przedsiębiorstwie, a nie to, w jaki sposób tę sytuację widzi i ocenia zarząd firmy. Natomiast dla Somporna jego raport stał się zapewne bezwartościową stertą makulatury wyprodukowanej przez obcokrajowca, który przede wszystkim powinien mu ufać, skoro jakaś część jego pensji pochodzi z zysków spółki, wobec czego nie powinny go interesować żadne przecieki informacji ani nieścisłości w zapisach. Ostatecznie zarządzał firmą komercyjną, a nie jakimś niedochodowym stowarzyszeniem mającym na celu ratowanie dzieci.

Po długich zmaganiach z policją, prokuraturą i sądami Casey doszedł do wniosku, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Nic się nie dało zrobić dla człowieka, który zginął tylko dlatego, że robił to, co uważał za słuszne. Joel należał do tych mężczyzn, których Jack na pewno by polubił. Z przyjemnością pograliby razem w bilard, rozmawiając o konieczności przejścia przez życie z dumnie uniesioną głową, jeśli szanuje się swoje podstawowe zasady. Spłacenie przez Caseya długu wobec syna było czymś, co Jack by z pewnością zrozumiał

– Więc jak, wchodzisz w to? – zapytał Casey. Pułkownik Waters musnął palcami album ze zdjęciami.

– Wchodzę w odpłatę – odparł z silnym nowojorskim akcentem.

Casey podniósł głowę, popatrzył mu w oczy i obrzucił czujnym spojrzeniem jego minę i wygląd filmowego gwiazdora.

– Ale musisz się liczyć z niebezpieczeństwem rewanżu – dodał Waters. – Mieszkasz tutaj. Jesteś pierwszą osobą, którą wezmą pod lupę.

– Już się nad tym zastanawiałem – przyznał Casey. Watersowi wystarczyło

spojrzeć na niego, by zyskać pewność, że mówi prawdę. Nie wątpił też, iż Casey wykorzysta wszystkie swoje umiejętności, byle uniknąć przykrych konsekwencji. Ostatecznie w tych sprawach był bardzo dobry. Rozmawiał wcześniej z kilkoma osobami, które znały Caseya jeszcze z czasów jego służby w nadzorze więziennictwa w Bagdadzie. Wszyscy powtarzali, że miał zwyczaj stopniować wywieraną presję, zanim zdecydował się uciec do szantażu, podjudzania, bicia czy też najbardziej brutalnych metod, zawsze odznaczał się nieustępliwością, determinacją i cierpliwością. Należał do ludzi, którzy w swoich planach nie zaniedbują najdrobniejszych szczegółów. Tak więc musiał dysponować planem zatarcia za sobą śladów, zapewnienia drogi ewakuacji i zabezpieczenia tyłów.

12

Casey najął Vincenta Calvina do śledzenia „dodatkowej żony”, czyli oficjalnej kochanki Somporna, wywodzącej się z Chiang Mai kobiety o imieniu Meow, co po tajsku oznacza „Kocicę”. Detektyw rozpoczął swoje śledztwo dwa tygodnie wcześniej. Śledził ją całymi dniami, rejestrując pieczołowicie, z kim się spotykała, dokąd jeździła, z kim jadała lunch bądź kolację, gdzie się czesała, a gdzie robiła manikiur. Somporn opłacał w pełni umeblowane mieszkanie w Thong Lo, zarejestrowane jako służbowy lokal jednej z podległych mu firm. W rzeczywistości mieszkała w nim Kocica. Miała dwadzieścia trzy lata, wysoka, długonoga, o jasnej cerze, była ulubienicą Somporna. Występowała jako piosenkarka w nocnych klubach, a w ciągu dnia pokazywała się w reklamach jako jedna z dwóch piękności zachwalających nowe samochody, nowoczesne cyfrowe zabawki czy też modne domki letniskowe w Phuket. W obcisłych szortach i skąpym topie wyróżniała się wśród innych *ying*, z paznokciami zawsze pomalowanymi na podobieństwo szponów tygryscy. W dniu, w którym poznała Somporna, namówiła go na zakup nowego lexusa. Miała uśmiech, na którego widok żaden mężczyzna nie wahał się przed sięgnięciem do portfela. Nakłoniła nowego klienta do podpisania umowy na czerwonego lexusa, gdy wyciągnęła się na podłodze auta i zmysłowo przeciągnęła językiem po umalowanych na czerwono wargach.

Zanim umowa została podpisana, Kocica namówiła jeszcze klienta do wyboru wszelkich możliwych dodatkowych akcesoriów, to znaczy wszystkich dostępnych poduszek powietrznych, nowoczesnego systemu audio i rozbudowanego układu śledzenia wskazań GPS. Gdyby istniała możliwość urządzenia na dachu limuzyny miniaturowego lądowiska dla helikopterów, zauroczony nią klient pewnie także by je kupił. Po prostu nie mógł nawet na chwilę oderwać od niej wzroku.

Ostatecznie zdobył się na żartobliwe pytanie, czy ona także jest dodatkiem do tego auta. Kocica zastanawiała się, czemu aż tyle czasu zabrała mu ta propozycja. Odpowiedziała żartem, że nie należy do wyposażenia limuzyny. Chcąc jej

wynagrodzić dwuznaczność swojej zaczepki, następnego dnia zaprosił ją do domku letniskowego, a na dowód czystych intencji wręczył jej komplet zapasowych kluczy do niego wraz z kluczykami do toyoty camry zaparkowanej przed salonem. Wyjaśnił przy tym, że jako biznesmen stara się uhonorować w niej bizneswoman. A skoro interes został już załatwiony, każde mogło pomyśleć o tym, czego naprawdę pragnęło.

Do wstępnego raportu Calvina zostało dołączonych kilkanaście fotografii Kocicy ukazujących ją w nowym samochodzie, na parkingu przed Siam Paragon, także w salonie z butami albo w towarzystwie kilku ówczesnych przyjaciółek w modnej restauracji przy Silom Road. Były też zdjęcia przedstawiające ją u boku Somporna, lecz w sytuacjach dalekich od kompromitujących. Nie było żadnych fotek nagich spoconych ciał. Kocica mogła śmiało uchodzić za osobistą asystentkę albo nawet córkę biznesmena. Nigdy nie trzymali się za ręce i nie okazywali publicznie łączących ich uczuć. Ale Kocica należała też do zawodowców, inaczej zachowywała się publicznie, a inaczej w sytuacjach intymnych, czym zresztą ostatecznie podbiła serce Somporna. Na spotkania z nią zawsze jeździł lexusem, choć w gruncie rzeczy wcale go nie potrzebował ani nie pragnął. Nie żałował jednak kupna, bo dzięki niemu zdobył *ying*, za którą wszyscy się oglądali i dzięki której, dzięki tylko jej uśmiechowi, nawet drogie i luksusowe auta wyjeżdżały z salonów sprzedaży.

Casey przesłał Watersowi kopię raportu Calvina, ten zaś przekazał ją drogą służbową wyżej, a stamtąd wylądowała u Jarretta i Tracera. Teraz zdjęcia Kocicy z Sompornem leżały na stoliku do kawy przed otwartymi drzwiami balkonowymi. Tracer od czasu do czasu zerkał na nie albo nawet podnosił je do oczu, żeby wryć sobie głęboko w pamięć wygląd obojga, zarówno kobiety, jak i mężczyzny, niczym kat konfrontujący wzrokiem skazańca i czekający go stryżek. Potem szybko unosił do oczu lornetkę i kierował ją w stronę balkonu mieszkania Kocicy w bloku odległym o trzysta dwadzieścia pięć metrów. Cały czas jednak trzymał się z prawej strony Jarretta, nieco z tyłu. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że zdjęcia i raport zrobił ten sam detektyw, który zaczepił ich rano z powodu wgniecenia tylnego błotnika mercedesa. Ten fakt zrównywał ich na płaszczyźnie rozgrywki, gdyż Calvino także nie wiedział, że jego raport wyląduje w rękach dwóch płatnych zabójców.

Somporn w każdą środę przyjeżdżał swoim nowym lexusem na spotkanie z Kocicą. Pojawiał się na osiedlu między dziesiątą a jedenastą rano, zostawał tu do lunchu, po czym odjeżdżał około drugiej po południu. Jego wizyty stały się w pełni przewidywalną rutyną. Jak Calvino zaznaczył w swoim raporcie, świętek, w którym obracał się Somporn, nie mógł kryć żadnych niespodzianek, przez co ich obiekt stawał się łatwym celem.

Kiedy Jarrett z Tracerem czekali na cotygodniowe spotkanie Somporna z młodą kochanką, ona – świetnie rozumiejąc, że jej status jest analogiczny jak nowo zakupionego lexusa – zastanawiała się, kiedy on zamieni ją na nowszy model.

Z pozoru zdawała się bezgranicznie oddana biznesmenowi. Jej zwyczaje stały się równie łatwe do odgadnięcia jak jego nawyki i nawet przestała się troszczyć o to, żeby nikt nie zobaczył ich razem. Stanowili więc parę idealną do śledzenia przez prywatnego detektywa. Żyli w świecie, nad którym, jak im się zdawało, w pełni panowali, co i tak było lepsze od podejścia samego Somporna, który wychodził z założenia, iż żyje w świecie należącym do niego.

Jarrett odchylił się na oparcie krzesła i splótł dłonie za głową. Fundacja Jacka Malone'a z Hongkongu przysłała potwierdzenie, że pieniądze Caseya wpłynęły na jej konto. Gdy Tracer włączył swojego iPod'a, z dwóch małych głośniczków popłynęły słowa:

– Zróbcie to. Nie obchodzi mnie, jakimi metodami. Jarrett spojrział na zegarek. Musieli poczekać jeszcze godzinę.

Jak tylko Calvino wszedł do swojego biura na piętrze, usłyszał, że ktoś go nawołuje z ulicy. Wyjrzał przez okno i popatrzył na gromadkę dziewcząt ze znajdującego się naprzeciwko salonu masażu, które siedziały na schodach przed drzwiami. Jedna z nich zawołała:

– Powiedz Ratanie, że Noi przyjdzie później do biura.

Za jej plecami już czekał klient, który bezceremonialnie ciągnął ją do środka. Nie po raz pierwszy Noi zostawiała swoje dziecko pod opieką Ratany, mając okazję jeszcze dorobić po godzinach. I ciekawe, że Ratana nie skarżyła się już dłużej na to, że mają biuro sąsiadujące z salonem masażu. *Ying* miała się tu w końcu zjawić, żeby odebrać swoją córeczkę. Tylko która dziewczynka była jej dzieckiem? Stracił już rachubę wobec zmieniających się ciągle niemowlaków, które pozostawały za ogrodzeniem części sekretariatu wydzielonego dla maluchów, przez co traktował je jak rybki w akwarium. W jego ocenie małe dzieci w pewien sposób przypominały starców, ich rysy rozmywały się w puciołowatości twarzy, były podobnie bezwłose, o odstających uszach i zaślinionych wargach. Trudno mu było uzmysłwić sobie, jak wyglądał sekretariat jego biura, zanim Ratana wydała na świat dziecko nieżyjącego już mężczyzny.

Nikt się nie spodziewał jego powrotu – zarówno Ratana, jak i sąsiedzi z *soi* wiedzieli, że wyjechał z miasta. Więc gdy tylko otworzył drzwi, skumulowany zapach wielu niemowląt uderzył go w nos niczym intensywna woń świeżo nawiezionej ziemi. W drugiej kolejności zaskoczyła go mieszanina odgłosów, mamrotanie i gaworzenie połączone z szelestem grzechotek oraz bębnieniem piętami o pręty łóżeczek, przecinane sporadycznymi, łamiącymi serce dziecięcymi wrzaskami.

Recepcja jego biura została przekształcona w istny żłobek. Biurko Ratany stało teraz pod samą ścianą, by zrobić miejsce dla szeregu kojców zasłoniętych półprzezroczystymi nylonowymi moskitierami, miętoszonymi przez malutkie rączki, naciągany bądź wypychany niczym w zorganizowanych ćwiczeniach

gimnastycznych dla półrocznych maluchów. Calvino zatrzymał się tuż za progiem i z rozdziawionymi ustami popatrzył ze zgrozą na demolkę, spowodowaną obecnością dzieci. Ratana siedziała przy biurku, na głowie miała słuchawki podłączone do iPod'a, sączyła kawę z kubka, patrzyła na ekran komputera i straszliwie fałszowała pod nosem jakąś piosenkę. Na ekranie przewijały się wpisy z radami, jak być doskonałą matką w świecie kobiet robiących zawodową karierę – będące, jak się okazało, wpisami na blogu prowadzonym przez Tajkę mieszkającą w Los Angeles – przetykane ikonkami z podobizną pluszowego misia oraz zdjęciami dwóch brzdąców o zadartych noskach, których każdy ruch był rejestrowany przez pracującą na żywo sieciową kamerę.

Podszedł do biurka i ściągnął słuchawki z głowy sekretarki.

– Noi się spóźni po odbiór swojego dziecka – powiedział.

Ratana aż podskoczyła na krześle.

– Nie spodziewałam się, że tak szybko wrócisz.

– Przed chwilą znalazła sobie nowego klienta. Kobieta wzruszyła ramionami i odwróciła się od komputera. Miała na sobie luźne domowe ciuchy, czarne spodnie od dresów oraz białą bluzkę zaplamioną mlekiem dla dzieci oraz soczkami i odżywkami. Rozpuszczone włosy spadały jej na twarz. Odgarnęła je szybkim ruchem i obrzuciła detektywa uważnym spojrzeniem od stóp do głów. Rozmawiała już z pułkownikiem Pratterem tego wieczoru, gdy Calvino znalazł się w areszcie domowym, i oczywiście potwierdziła, że nigdy nie słyszała z jego ust imienia i nazwiska dziewczyny, która wypadła z hotelowego balkonu.

– Przykro mi z powodu tych zdarzeń w Pattai. Co za okropny wypadek!

– Pratt ci mówił? – zapytał, wcale się temu nie dziwiąc.

Przytaknęła ruchem głowy. Jego wieloletnia sekretarka, a zarazem najlepsza przyjaciółka, już dawno temu ustanowiła własne niezależne kanały informacyjne.

– Myślałam, że wrócisz dopiero po południu.

– Chciałem jeszcze zakończyć sprawę Beckwitha. – Pokazał jej zdjęcia na ekraniku cyfrowego aparatu fotograficznego. Jedno z niemowląt poruszyło się przez sen i Ratana pospiesznie przytknęła palec do warg. Często jeszcze zdarzało mu się zapominać o nowej zasadzie obowiązującej w biurze: powinien mówić szeptem. – Miałem drobną stłuczkę na Washington Square.

– Ktoś ucierpiał? – zapytała, odruchowo unosząc rękę do gardła.

– Tylko samochód zaparkowany przed restauracją. W środku nikogo nie było.

Westchnęła głośno.

– To dobra wiadomość. Zajmę się papierkami dla towarzystwa ubezpieczeniowego.

– Właściciel tamtego samochodu wziął wszystko na siebie.

Zachowanie tamtych dwóch w restauracji poirytowało go i zaskoczyło. Ale po

wypadkach w Pattai przestało już robić na nim większe wrażenie. Odwracając się od biurka, wpadł na wózek i ten potoczył się w kierunku kojca. Pokój recepcyjny stał się istnym polem minowym pełnym samochodowych fotelików dla niemowląt, wózków spacerowych, zabawek, stert jednorazowych pieluch, butelek ze smoczkami i podgrzewaczy do mleka. Przedostanie się do gabinetu było nie lada wyzwaniem.

Któreś ze śpiących niemowląt zaczęło marudzić. Chwilę później inne dołączyły do chóru. Ratana pochyliła się nisko nad biurkiem i zaczęła półgłosem uciszać dzieci, mlaszcząc przy tym i cmokając, jakby to były elementy jakiegoś pradawnego, uniwersalnego języka wciąż służącego do nawiązywania kontaktów dzieci z matką.

– Pułkownik Pratt prosił, żebyś do niego zadzwonił, jak wrócisz – rzuciła.

Calvino wyłączył swoją komórkę, ale nie miał wpływu na połączenia linią stacjonarną ze swoim numerem biurowym. Nie chciał rozmawiać ani z Pratem, ani z kimkolwiek innym. Przede wszystkim pragnął usunąć z pamięci obraz młodej przerażonej *ying* spadającej na chodnik tuż przed jego balkonem.

– Są już głodne – oznajmiła Ratana, sięgając po butelki z mlekiem. – Daj znać, kiedy mam zadzwonić do pułkownika Pratta. – Obudzone dzieci ze smoczkami w buzi, wymachujące w powietrzu rączkami i nóżkami, stały się nagle odrębnymi indywidualnościami, z którymi trzeba było sobie poradzić. – Chcesz, żebym to zrobiła już teraz?

– Nie. Później.

Odnalazł ścieżkę prowadzącą do drzwi, wszedł do gabinetu i usiadł za biurkiem. Potrzebował prawdziwego odpoczynku od obowiązków biurowych, niemowląt, Ratany, pułkownika Pratta, klientów oraz wielkomiejskiego zgiełku Bangkoku. Nikt nie był w stanie wytrzymać dłużej w tym mieście bez żadnej przerwy.

– Martwisz się – powiedziała. – Co się stało?

– Łatwiej i szybciej byłoby mi opowiedzieć, co się nie stało.

Pomyślała, że policja z Pattai przepuściła go przez wielki młynek do rozdrabniania papryczek chili. To dlatego miał twarz nabiegłą krwią i był rozgorączkowany.

– Jedna rzecz mnie ciekawi – rzekł po chwili. To ją uszczęśliwiło na krótko.

– Jaka?

– Ile tam w sumie jest dzieci? – Ruchem głowy wskazał pokój recepcyjny. – Wydawało mi się, że troje.

– Czwooro – sprostowała.

– Widzisz, jaki ze mnie detektyw? Nie potrafię nawet zliczyć niemowląt przebywających w recepcji mojego biura.

Wydawało mu się na początku, że prawidłowo ocenił ich liczbę, ale zaraz odniósł wrażenie, że percepcja go zawodzi, że jest ich troje, czwooro, może nawet pięcioro. Podobne zaburzenia przytrafiały mu się z poczuciem czasu. Ile go upłynęło, zanim

ying poniosła śmierć na ulicy? Dwie sekundy? Trzy? A może cztery? Policja go o to wypytywała. Ale i czas także płatał mu dziwne figle, tak samo jak natłok dzieci w kojcu, utrudniający właściwą ocenę rzeczywistości.

– Pułkownik Pratt powiedział, że komendant policji z Pattai już wykluczył cię z grona podejrzanych.

– Komendant powiedział Prattowi to, co on chciał usłyszeć. Tajowie zawsze tak postępują.

– W takim razie nie ma się czym martwić. To też dobra wiadomość – uznała, potwierdzając tym samym, że tajski sposób myślenia obowiązuje nawet w jego biurze. Tuląc do piersi marudzące ciągle niemowlę, weszła w głąb pokoju i usiadła na krześle przed jego biurkiem.

– A teraz John-John jeszcze trochę pośpi – szepnęła i kołysząc dziecko w ramionach, znów zaczęła mlaskać i cmokać.

Ilekoć patrzył na jej dziecko, zachodził w głowę, czy *luk-kmeng*, a więc dziecko faranga, będzie bardziej podobne do ojca czy do matki.

Ojciec maleństwa, John Lovell, został zamordowany i skremowany półtora roku temu. Matka Ratany i jej przyjaciele namawiali ją, by poddała się aborcji. Aż do przyjścia na świat wnuka kobieta utrzymywała, że wszystkie farangi w Tajlandii to albo szurnięci artyści, albo kombinatorzy, oszuści bądź groźni przestępcy. Od narodzin John-Johna matka Ratany wydzwaniała do biura po kilka razy dziennie i przekonana, że jej córka poświęca niemowlęciu za mało uwagi, namawiała ją do rzucenia pracy i oddania się wyłącznie macierzyńskim obowiązkom, a zamiast agitowania do aborcji teraz podjęła kampanię przekonywania córki o konieczności jej powrotu razem z John-Johnem do domu rodzinnego. Zachowywała się jak wytrawny tajski polityk.

– Ktoś musiał się dowiedzieć, gdzie będę mieszkać w Pattai. Przyznaj, czy powiedziałaś komuś, w którym hotelu się zatrzymam?

Ratana uniosła prawą rękę i typowym dla nauczycielki ruchem nakreśliła w powietrzu szeroki łuk oddzielający jego gabinet od sąsiedniej recepcji z kojcem dla niemowląt.

– Naprawdę sądzisz, że mogłabym cię tak zrobić? Zapatrzyła się na niego w oczekiwaniu na reakcję. Niestety, była to jedna z tych rzeczy, których Calvino nigdy się nie spodziewał.

– Były jakieś inne wiadomości w czasie mojego wyjazdu?

– Dzwoniło kilku klientów, między innymi pani Beckwith. Jej mąż dostał przeniesienie do Chicago, więc...

– Chce zamknąć sprawę – wpadł jej w słowo.

– Kontynuacja byłaby bezcelowa. Wyjeżdżają z Tajlandii. Poza tym posłaniec Caseya ma dzisiaj po południu dostarczyć czterdzieści tysięcy bahtów – dodała

Ratana z promiennym uśmiechem. Jak zawsze z najlepszymi wiadomościami czekała na odpowiednią chwilę, by skutecznie podnieść na duchu zdruzgotanego szefa.

– Dzwonił, kiedy mnie nie było?

– Tak. Powiedziałaś, że wyjechałeś z miasta.

– Mówił coś jeszcze? – zapytał Calvino.

– Powiedział, że jest bardzo zadowolony z efektów twojej pracy.

Pochyliła głowę i musnęła nosem policzek synka. Już wcześniej zwrócił uwagę na ten swoisty rytuał. Można było odnieść wrażenie, że zapach niemowlęcia działa na Ratana jak narkotyk. Upajała się nim. Wiedział jednak, że wśród Tajów podobne zachowania wobec ukochanych osób są na porządku dziennym. Zbliżyła więc nos do szyjki John-Johna, głęboko wciągała powietrze i tylko drobną jego część wypuszczała. W jego opinii ten zwyczaj wężowania miał w sobie coś z połączenia ceremonialnego smakowania wysokogatunkowego wina z weryfikacją aromatu nowo skomponowanej mieszanki perfum. Co więcej, z takim zapałem przytykała nos do szyi niemowlęcia, jakby chciała całego synka razem z powietrzem wciągnąć do płuc. A ponieważ była pora karmienia, zaczęła szybko rozpinąć bluzkę.

Calvino odwrócił wzrok.

– Nie chciałabyś wrócić na swoje miejsce? Nie byłoby ci tam wygodniej?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Tobie byłoby wygodniej, gdybym zeszła ci z oczu. Dla większości ludzi życie oscylowało wokół granic rzeczywistości. Wszyscy widzieli, słyszeli i czuli tylko to, co chcieli. Calvino nie miał powodu, by podejrzewać, że Ratana zdradziła komukolwiek miejsce jego pobytu. Kiedy więc został znowu sam w gabinecie, zajrzał do poczty elektronicznej, wciąż się zastanawiając, kto mógł zdobyć szczegółowe informacje dotyczące jego rezerwacji w hotelu w Pattai. Oczywiście mógł to być Apichart, jak też któryś ze śledczych wężących wokół sprawy tajemniczej śmierci dwóch młodych ludzi w wypadku na Soi 33. Bo któż inny chciałby zadawać sobie trud odszukania miejsca jego pobytu poza miastem?

13

Jarrett zaparł się stopami o podłogę, a łokciami o stół i przytknął do oka celownik optyczny. Ponadpółmetrowej długości tłumik na końcu lufy karabinka nadawał mu niezwykle wygląd. Rozrzucił szeroko ramiona w bok i potrząsając dłońmi, opuścił je powoli w oczekiwaniu, aż stojący na prawo od niego Tracer potwierdzi tożsamość obiektu. Ten, z miniaturowymi słuchawkami w uszach, zajął miejsce pół metra za stanowiskiem kolegi i patrzył przez lornetkę na balkony budynku stojącego naprzeciwko.

Wcześniej wspólnie nadali wszystkim wieżowcom stojącym w promieniu dziewięćdziesięciu stopni indywidualne nazwy kodowe: Rozpruwacz, Stary Niedźwiedź, Grizzly, Skorpion, Feniks, Szuler, Czarna Owca. Budynek, w którym powinien się pojawić ich obiekt, nosił kryptonim Pilot. Wszystkie nazwy wraz z odpowiadającymi im współrzędnymi zostały spisane grubym niebieskim mazakiem na dużym białym arkuszu kartonu, który stał na krześle po lewej stronie Jarretta. Zatem wystarczyło mu tylko na chwilę oderwać wzrok od celownika i zerknąć na arkusz, żeby potwierdzić współrzędne celu. I tak nie było to raczej potrzebne, gdyż wszystkie niezbędne dane miał dobrze utrwalone w pamięci. Ale dla własnej wygody wolał mieć pod ręką takie zestawienie, gdyż wychodził z założenia, że ludzka pamięć jest zawodna. W tym wypadku rolę odgrywała jeszcze spora ilość informacji do zapamiętania. Poza tym o fiasku akcji zazwyczaj przesądzały błędy w przekazywanych informacjach, nawet jeśli wynikały ze zwykłych pomyłek na kolejnych etapach ich przetwarzania na drodze służbowej.

Poszczególne piętra i piony także zyskały swoje określenia kodowe, poczynając od lewej do prawej, stąd też balkon o numerze jeden osiem oznaczał lokal z pierwszego pionu na ósmym piętrze. Tracer nakierował lornetkę na trzy dziewięć Feniksa i popatrzył uważnie, wypatrując choćby najdrobniejszego ruchu za oknami. Miał na oku nie tylko balkony, ale także zewnętrzne schody ewakuacyjne każdego wieżowca. Waters nie sygnalizował żadnych kłopotów, lecz nie należało temu do

końca ufać. W tym zakresie górę brało wykszolenie, a ono podpowiadało, że w którymś budynku naprzeciwko mógł się ulokować jakiś wróg nastawiony przeciwko nim. Tylko żółtodziób w takiej sytuacji koncentrowałby się na balkonie trzy dziewięć Pilota, nie dopuszczając myśli, że i on może być czymś obiektem. Jak mówiły słowa bluesa, kiedy rozwiesza się cierpienia na sznurze, żeby wyschły, można odkryć cały świat mokry od gniewu, wściekłości i żądzy zemsty.

– Tracer, wiesz, że nie ma takiego stworzenia, którego bym nie trafił z odległości trzystu pięćdziesięciu metrów. – Zostało to powiedziane beznamiętnym półgłosem, jak stwierdzenie faktu, a nie czcza przechwałka. Jarrett miał zwyczaj mówienia do siebie, albo raczej zagadywania samego siebie, gdy tylko zbliżał się czas wykonania przez niego zadania.

– Wiem to z całą pewnością – odparł Tracer, nie odrywając oczu od lornetki. Mijała dokładnie jedenasta, kiedy zauważył poruszenie za szklanymi drzwiami balkonowymi obserwowanego mieszkania. – Mamy coś na trzy dziewięć Pilot. To kobieta – oznajmił. – Jest z jakimś Azjata.

Jarrett przycisnął kolbę do ramienia i popatrzył przez celownik na wskazany balkon. Oko Kate błyskawicznie wyłowiło sylwetkę kobiety za drzwiami balkonowymi, na które Tracer patrzył przez lornetkę.

– Mam ją – rzekł, nakierowując nitki celownika na środek postaci.

– Niezła ślicznotka – powiedział Tracer.

Była ubrana w krótką ciemną spódniczkę i jedwabną bluzkę, w uszach miała kolczyki z diamentami, a trzeci diament, dużo większy, nosiła oprawiony w złoto na łańcuszku. Przyszło mu na myśl, że kobieta zawieszająca diament na szyi wcale nie chce udowodnić światu, ile karatów jest warta, raczej pragnie pokazać, ile wart jest towarzyszący jej mężczyzna. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu i spięte nad karkiem dużą spinką.

– Jak ktoś ma kupę forsy, nie funduje sobie brzydkiej kochanki – mruknął Tracer.

– Ale nie kupi miłości.

Szkła lornetki ukazywały szczegóły odległego budynku.

– To prawda, lecz jego pieniądze pozwalają przynajmniej opłacić czynsz. – Urwał nagle. – Otwierają drzwi balkonowe. Ona wychodzi. On jest tuż za nią. Prawą rękę trzyma na jej ramieniu, jakby prowadził ją przez nieznaną teren.

W celowniku optycznym ukazała się głowa mężczyzny. Jarrett opuścił nieco lufę, żeby para znalazła się w objęciach Kate.

– Zaczekaj – syknął Tracer. Dwie, może trzy sekundy upłynęły w martwej ciszy. – To nie on. To nie nasz obiekt.

Obejrzał się i wziął ze stołu zdjęcie Somporna.

– Jesteś pewien, że to nie on? – zapytał Jarrett, który z palcem na spuście utrzymywał przecięcie nitek celownika na środku piersi mężczyzny.

– Popatrz na zdjęcie.

– Przecież wiem, jak wygląda Somporn.

– Więc chyba widzisz, że patrzysz na człowieka o trzydzieści lat młodszego i dobre dwadzieścia centymetrów wyższego od Somporna. Jeśli to nasz obiekt, to musiał sobie załatwić operacyjne usuwanie zmarszczek twarzy i chodzi w butach na bardzo grubej podeszwie.

Jarrett spojrział jeszcze raz przez celownik, po czym odchylił się na oparcie krzesła i nerwowo zabębnił palcami o brzeg stołu. Czuł się wystawiony do wiatru – jak nabuzowany adrenaliną przed zawodami, które właśnie zostały odwołane.

– Więc kto to jest?

– Według ciebie w ogóle wygląda na Taja? – zapytał Tracer.

Jarrett ponownie przytknął prawe oko do okularu celownika.

– Bardziej mi przypomina japońskiego punka i rapera. Tylko spójrz na jego rozwianą grzywę poskręcanych włosów. Wygląda jak orle gniazdo – rzekł Tracer z ironią oznaczającą dogłębne rozczarowanie.

Obaj spoglądali, jak dziewczyna w ciemnej minispódniczce i jedwabnej bluzce z dumą pokazuje swoje rzeczy zgromadzone na balkonie.

– Albo to jakiś fircyk, albo ona prowadzi podwójne życie – powiedział Jarrett.

– Patrz, ta dziwka go całuje – rzekł Tracer. – Jak niedźwiedź zlizujący miód.

Jarrettem wstrząsnął dreszcz towarzyszący myśli, jak niewiele brakowało, żeby zabił niewłaściwego człowieka. Właśnie z powodu błędnej identyfikacji obiektu zginął Jack. Jego charakterystyczne rude włosy były prawie identyczne jak u Australijczyka o nazwisku MacDonald. Aż musiał potrząsnąć głową, żeby się uwolnić od skojarzeń z Jackiem i zastąpić je świeżymi wspomnieniami o córce pszczelarza, którą obserwował w łóżku z samego rana. Zaczął się zastanawiać, o której wstała, kiedy znalazła pieniądze, ubrała się i wyszła z mieszkania. Popatrzył na duże zdjęcie Somporna stojące przed oparciem krzesła obok tablicy z namiarami i znowu przytknął oko do celownika.

– Słyszałeś, Tracer, że pszczoły także robią sobie wagary? Że całe ich roje giną w różnych miejscach?

– Nic tu po nas – odrzekł tamten. – Przynajmniej na dzisiaj. Nie sądzę, aby Somporn dołączył do tej zabawy. Idę o zakład, że nie należy do tych, co by pragnęli wspólnej zabawy w trójkacie. – Sięgnął do radia stojącego na bocznym stoliku i ustawił głośniej muzykę. Rozległa, choć mało ciekawą przestrzeń saloniku wypełnił głos piosenkarki jazzowej śpiewającej bluesa. Jej tekst opowiadał o chwili prawdy, która następuje, gdy mężczyzna zaspokoi kobietę, i to tak, że miękną jej kolana. Obaj popatrzyli jeszcze na *mia noi* Somporna oraz jej młodzieńca, tańczących w rytm tej samej piosenki nadawanej w radiu. „Nie wstydz się i zrób mi dobrze. Postaraj się nie tylko ten jeden raz”.

– Nie jesteś głodny? I nie mówię tu o tych śmieciach, których nakupował nam Casey – zapytał Jarrett, u którego niespodziewane przerwanie akcji spowodowało przypływ apetytu na cheeseburgera i frytki.

– Pożarłbym konia z kopytami – odparł Tracer.

– Stawiałbym raczej na burgery i frytki.

– I tak nic nas tu dłużej nie trzyma. Powinniśmy uznać, że pan Somporn się dzisiaj nie pokazał.

Tracer opuścił lornetkę i spojrzał na kolegę, który także oderwał oczy od celownika. Jarrett wciąż nosił małe białe piórko wpięte w czapeczkę. Tracer wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Masz rację. Czytałem gdzieś, że pszczoły masowo wymierają. Powinniśmy się wczuć w ich sytuację.

Jarrett pochylił głowę i popatrzył wzdłuż osi długiego tłumika na końcu lufy karabinka. Dzisiaj nie było niczego, co musiałby wyciszać, pomyślał. Ale i tak zaparł się ponownie łokciami, uniósł broń i popatrzył przez celownik na balkon sąsiedniego budynku.

– Może pomyliliśmy piętra albo piony? Albo datę czy godzinę? Bo przecież coś musieliśmy pomylić.

Tracer uśmiechnął się ironicznie.

– Masz rację. Nastąpiła pomyłka. Ale na trzy dziewięć Pilot.

– Możliwe, że są jakieś błędy w raporcie Caseya.

– Według niego człowiek przyjeżdża tu i wychodzi na balkon w każdą środę między dziesiątą trzydzieści a jedenastą. Jak w zegarku. Podobno Somporn traktuje swój rozkład dnia z iście niemiecką precyzją.

– Więc co ten pieprzony raper tam robi, używając swojego języka dodatkowej żonie Somporna?

Tracer wzruszył ramionami.

– Chłopie, jestem tylko pomocnikiem snajpera. Mam jednak przecucie, że on o niczym nie wie. Rozumiesz, co mam na myśli? – zapytał z szerokim uśmiechem.

– Może lepiej zadzwoń do Watersa i każ mu się skontaktować z Caseyem – rzekł Jarrett. – Powiedz, co się stało. Niech on zadecyduje, co dalej robić.

Postanowili zaczekać jeszcze godzinę, pilnie obserwując mieszkanie w sąsiednim bloku, aby mieć pewność, że w miejsce podstawionego fagasa nie pojawi się nagle Somporn, bo to byłoby denerwujące. Żaden z nich jednak na to nie stawiał. Jedną z najstarszych opowieści w ich fachu mówiła o tym, że cała grupa działająca w terenie została zarażona groźną bakterią coli, przekonana, że zdobyła najlepsze jedzenie, jakie tylko można kupić za pieniądze. A gdy już żołnierze opanowali wściekłość, musieli pogodzić się ze świadomością, że zastosowano wobec nich wojskowy odpowiednik zepsutej ostrygi.

– Lepiej go zawiadomię – powiedział Tracer, kręcąc głową. Po raz ostatni uniósł lornetkę i popatrzył na parę baraszkującą na balkonie.

Taj, najwyżej trzydziestoletni, był już bez koszuli i obejmował biodra klęczącej nad nim kochanki Somporna. Zapał, z jakim oboje pracowali wargami i językami, świadczył wyraźnie, że żar w ich trzewiach rozgorzał już z pełną mocą, doprowadzając oboje do szaleństwa.

Tracer przez chwilę obserwował ich francuską miłość, po czym opuścił lornetkę i mruknął:

– Niezły z niego ogier.

– A co z Sompornem?

– To piękna dziewczyna, i z tego, co widać, jest całkowicie pewna, że dzisiaj nie złoży jej wizyty. – Obejrzał się i wyciągnął lornetkę do Jarretta. – Sam popatrz.

Jarrett wstał bez pośpiechu, podszedł do okna i popatrzył przez lornetkę na miłosne gniazdko, w którym żarliwe uniesienia dobiegły już końca. Jego oczom ukazała się para tańcząca na balkonie. Młody Taj energicznie obracał dziewczynę, jakby byli na rozległym parkiecie. A i ona śmiało wirowała, szeroko uśmiechnięta, chwilami śmiejąc się w głos. Sprawiali takie wrażenie, jakby zapomnieli o całym świecie. Skoro więc trzy dziewczęć Pilot przemienił się w dyskotekową arenę, oznaczało to, że dzisiaj nikt tam nie zginie.

Po spakowaniu swoich rzeczy wyszli z mieszkania, zasiedli obok siebie na tylnym siedzeniu taksówki i kazali się zawieźć do baru Madrid na Patpong. Podczas drogi prawie ze sobą nie rozmawiali, głównie wyglądali przez okna, pogrążeni w rozmyślaniach o tym, co się stało i co to może oznaczać. Jechali w takim nastroju, jak drużyna wracająca po przegranym meczu.

Jarrett wychodził z założenia, że do czasu nawiązania kontaktu z Watersem i ustalenia dalszego planu akcji na razie nie ma o czym rozmawiać, ale i nie ma się też czym przejmować. W tych okolicznościach starał się zająć umysł czymś innym niż myślami o ich zadaniu. Nie minęło wiele czasu, zanim wrócił pamięcią do *ying*, którą tego ranka zostawił samą, czyli do córki pszczelarza. Tracer próbował podjąć rozmowę na jej temat, nawiązując do słodyczy miodu, ale w gruncie rzeczy nie miał zielonego pojęcia ani o jej wyglądzie, ani o historii, ani tym bardziej o ciele.

– Pszczoły giną zarówno w całej Ameryce, jak też w Europie oraz Azji. I nikt nie zna przyczyny tego zjawiska.

– To rzeczywiście bardzo poważna sprawa, Jarrett.

– Mam przecucie, że większość ludzi ją lekceważy. Bo ma za dużo innych zmartwień. A pszczoły? Trudno się użalać nad czymś, co z ochotą użądli cię w dupę, chociaż przez to szybko zginie.

– Ludzie też mają to we krwi. Jeśli nie da się ustalić, dlaczego coś jest takie, jakie jest, należy o tym jak najszybciej zapomnieć. Nie ma żadnego sensu bić głową w mur.

Wysiedli z taksówki naprzeciwko CP Tower, przeszli przez Silom Road i ruszyli dalej Patpong Soi 1, aż dotarli do baru Madrid. Zajęli stolik za przepierzeniem w kącie sali, co mieli we krwi, jako że łatwo było stamtąd obserwować wszystkich wchodzących do lokalu. Specjały dnia były wypisane kredą na szkolnej tablicy.

– Chyba zmieniłem zdanie i zjadłbym pizzę – powiedział Jarrett. – Jeśli jest ona wymieniana wśród specjalności lokalu, to oznacza, że kucharz wrzucił na nią wszystkie resztki, jakie znalazł w lodówce.

Tracer podniósł głowę znad jadłospisu, popatrzył na stojącą nad nimi kelnerkę i rzekł:

– Nie sądzę, żebyście serwowali pieczonego suma z kukurydzianymi plackami.

14

McPhail już się wyraźnie zataczał, gdy stanął w drzwiach baru Pod Samotnym Jastrzębiem. Szeroki uśmiech rozlewał się na jego twarzy, gdy przechodził pod zawieszonym na ścianie spreparowanym łbem domowego bawołu. Tenże łeb stanowił prezent od Starego George'a, jednak kosztował go tak wysoką opłatę celną, że nawet po wielu latach wciąż odżywał w nim ból związany z koniecznością wyłożenia tak znacznej gotówki w imię starej przyjaźni.

– I czego się tak pioruńsko cieszysz? – zapytał Stary George.

Lecz zanim McPhail zdążył odpowiedzieć, przepchnął się obok niego inny farang, dając mu przy tym kuksańca pod żebra i nie zadając sobie trudu, żeby przynajmniej bąknąć „przepraszam”. Takie rzeczy były właśnie w stylu Casey'a.

– Za kogo ty się masz, do jasnej cholery?! – wycedził McPhail.

– Za kogoś, z kim byś wolał nie zadzierać. Taki jestem.

McPhail zmierzył obcego taksującym spojrzeniem i szybko doszedł do wniosku, że nie ma ochoty w ten sposób zaczynać swojego lunchu. Udając, że Casey go ani trochę nie interesuje, odwrócił się i usiadł naprzeciwko Starego George'a. Z takimi ludźmi jak Casey można się było obchodzić na dwa różne sposoby, ale w wypadku McPhaila oba zapowiadały nieuchronne upokorzenie. Casey słusznie uznał leniwy gest McPhaila za wyraz rezygnacji. Z doświadczenia znał kilka prawd na temat ludzkich intencji. Ilekroć przesłuchiwał podejrzanych, na pewnym etapie dostrzegał w ich oczach błyski rezygnacji. Zresztą techniki przesłuchań zostały tak dopracowane, żeby jak najszybciej doprowadzać podejrzanych do tego stanu, gdy dla każdego staje się jasne, że nie ma co czekać zbawienia, a dalszy opór oznacza jedynie zbliżanie się do granicy nicości.

McPhail także bezbłędnie odczytał intencję Casey'a. Ten ruszył przez salę Samotnego Jastrzębia krokiem wojownika szykującego się do walki. Z zaciśniętymi pięściami i rękoma zwieszonymi nieruchomo wzdłuż boków skierował się do przepierzenia, w którym Calvino siedział pochylony nad jakimiś papierami. Mimo

hałasu dolatującego od strony baru gwar wypełniający Samotnego Jastrzębia kojarzył mu się bardziej z pełną skupienia ciszą czytelnicy w porównaniu z jazgotem płaczących niemowlaków w jego biurze. Kiedy więc Casey zadzwonił pod numer detektywa, dowiedział się, że nie ma go w biurze, ale na pewno łatwo będzie go znaleźć Pod Samotnym Jastrzębiem przy Washington Square.

U Małej Niedźwiedzicy zamówił czystą wódkę z tonikiem. Kelnerka zawdzięczała to przezwisko pewnemu Australijczykowi, który oznajmił kiedyś na cały głos, że przypomina mu z wyglądu małego misia koalę. Ze szklaneczką w ręku wśliznął się za przepierzenie i usiadł przy stoliku naprzeciwko Calvina.

– Casey? Masz jakiś problem?

Ilekroć w Bangkoku, czyli Krainie Uśmiechów, pada słowo „problem”, jest oczywiste, że rozmówca nie ma na myśli algebry, tylko poważny błąd, który może kosztować ludzkie życie.

– Mylisz się, to raczej ty masz problem – odparł, wypychając ku przodowi dolną szczękę pokrytą trzydniowym zarostem, z ciemniejszymi plackami okolonymi siwizną.

Calvino odchylił się na oparcie krzesła i obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Być może powinieneś mi coś wyjaśnić.

Casey pochylił się niżej i odparł niemal szeptem:

– Uproszczę sprawę, żebyś nie miał kłopotów z jej zrozumieniem. Według twojego raportu Somporn miał się spotykać ze swoją *mia noi* w każdą środę, podobno można było ustawiać zegarki według terminów ich spotkań, trwających od wpół do jedenastej do drugiej po południu. Dokładnie tak napisałeś w swoim raporcie. – Wyciągnął z aktówki raport oprawiony w plastikową obwolutę i z trzaskiem położył go na stole.

Calvino był już w życiu wyzywany od najgorszych, potępiano go i przeklinano, odebrał też swoją dawkę gróźb. Ale z Caseyem mało kto mógł się równać pod względem dawania wyrazu bezgranicznej wściekłości. Mówiono, że wściekłość potrafi przekształcić nawet najlepszego człowieka w istną bestię, ale złego człowieka, zwłaszcza w wypadku uzasadnionych przyczyn tejże, mogła przekształcić w coś, co dalece przekraczało nawet jego osobiste granice. Także w tej sytuacji trzeba było się zmierzyć z człowiekiem, który nawykł do pełnej kontroli nad wydarzeniami, wyciągania z nich tego, na czym mu zależało, i odrzucania całej reszty.

– Śledziłem ją przez miesiąc i ustaliłem sztywny harmonogram ich spotkań – odrzekł Calvino.

– Więc dlaczego nie wspomniałeś ani słowem o tym drugim chłoptasiu?

Detektyw zmarszczył brwi.

– Jakim drugim chłoptasiu?

– Widzisz? Spaprałeś robotę. Nawet nie wiesz, że ona ma jeszcze jednego

kochanka. Przegapiłeś go. A to nie jest żaden drobiazg. W wolnych chwilach ktoś inny rypie *ying Somporna*. Gdzie wtedy byłeś? Zażerałeś się pączkami jak każdy pieprzony amerykański gliniarz?

– Zapłaciłeś mi za to, żebym śledził *mia noi*. Więc ją śledziłem. Nie dołączyłeś żadnych instrukcji, by śledzić kogokolwiek innego. A teraz masz pretensje, że coś umknęło mojej uwadze? Nic mi nie umknęło, Casey.

Kelnerka przyniosła zamówioną przez Casey'a wódkę z tonikiem, lecz zanim wziął kieliszek z tacy, obrzucił Małą Niedźwiedzicę uważnym spojrzeniem, gdyż miała na sobie obcisły T-shirt oraz dżinsy biodrówki, odsłaniające nad paskiem jej brzuch. Wypił trunek jednym haustem.

– Przynies następny – rzekł, odstawiając pustą szklaneczkę na tacę trzymaną przez kelnerkę.

Uśmiechnęła się do niego przymilnie, a po chwili puściła oko, jakby miała nadzieję, że Casey opanuje nerwy i postawi jej drinka. Zaraz jednak przeniosła wzrok na Calvina, który wbijał nieruchome spojrzenie w twarz Casey'a.

– A rachunek daj jemu – dorzucił Amerykanin. Calvino od samego początku grał z Caseyem w otwarte karty, dawał mu do zrozumienia, że jest gotów się zaangażować w każdą akcję mającą na celu pomszczenie śmierci jego syna. Zresztą sam Casey powtarzał, iż zależy mu tylko na zniszczeniu reputacji Somporna, co i tak dawało detektywowi wystarczającą nadzieję na godziwy zarobek. Co więcej, było to dostatecznym powodem, by się zaangażować w sprawę. Mimo to zastanawiał się, czy większość mieszkańców Tajlandii może obchodzić kwestia utrzymywania przez Somporna drugiej kobiety. W pewnych kręgach mogło to nadwerężyć jego reputację.

Casey opowiedział Calvinowi o młodym kochanku *mia noi*, który zabawiał się z nią tego ranka, kiedy u jej boku na balkonie powinien się pojawić Somporn. Najważniejszym przesłaniem, jakie wynikało z niezbyt logicznej, przesyconej emocjami gadaniny Casey'a, było to, że półnaga dziewczyna puściła się na balkonie w tany z chłopakiem w przybliżeniu równym jej wiekiem. Czy było coś dziwnego w tym, że młodą kobietę pociąga chłopak w jej wieku?

– To jest jej pieprzony kochanek, a ja w ogóle nie wiedziałem, że ma kogoś innego. Takie coś powinno się było znaleźć w twoim raporcie. W końcu za to ci płacę. A ty odwalasz jakąś robotę na pół gwizdka, Calvino?

Kelnerka przyniosła drugą porcję wódki z tonikiem. Calvino odczekał cierpliwie, aż Casey i z nią się rozprawi jednym haustem.

– Podjąłem obserwację wskazanego przez ciebie obiektu i ustaliłem, jak meldowałem już na samym początku, że Somporn pojawia się w mieszkaniu dziewczyny w każdą środę. Nie dawałem przy tym gwarancji, że w którąś środę się nie pojawi. Przecież mógł się rozchorować, wyjechać na jakieś spotkanie poza miastem czy też zwyczajnie machnąć na nią ręką, przez co znalazła sobie innego

fagasa, żeby ją zaspokoił. Skąd miałbym to wiedzieć? Trzy albo cztery miesiące to dość długi czas, żeby zaszły zmiany w każdym krótkofalowym związku. Ludzie zmieniają upodobania, Casey.

W ludzkiej naturze leży przekonanie, że poważne klęski i zdrady przydarzają się wyłącznie innym. A to przeświadczenie tylko przysparza pracy prywatnym agentom i adwokatom. Calvino zastanawiał się przede wszystkim, kiedy mężczyźni nauczą się wreszcie, że w stosunkach z kobietami dotyczą ich wszystkie ogólne zasady, a wyjątki od nich są jak wygrane na loterii, zawsze przytrafiają się komu innemu. Nie trzeba było Einsteina, by wysnuć wniosek, że są *ying*, które znają wszelkie możliwe sztuczki. Przywykły traktować bogatych mężczyzn jak pewne źródło dochodów, wystarczające wszakże tylko dotąd, dopóki płynie odpowiedni strumień pieniędzy – ale można było mieć pewność, że gdy tylko na horyzoncie pojawi się lepsze źródło, rzucą się na nie z zapalem wygłodniałego drapieżnika. A jeśli dawało się czerpać dochody z dwóch albo nawet trzech źródeł, czemu nie wykorzystać takiej sposobności? Niebezpieczeństwo przyłapania na gorącym uczynku zazwyczaj oznaczało jedynie konieczność rezygnacji z jednego Johna i zadania sobie trudu znalezienia następnego. Dla takich *ying* romanse i bliższe kontakty były wyłącznie kwestią starannego dobrania terminów. Ale znalezienie odpowiedniej pory na przemówienie do rozsądku komuś takiemu jak Casey, przeżywającemu istny emocjonalny sztorm, stanowiło także nie lada wyzwanie. *Ying* wiodły beztrudne życie między innymi także dlatego, że lepiej od innych rozumiały, iż dobór właściwej pory na przedstawienie jakiejś wiadomości może być równie istotny jak jej treść.

– W pełni polegałem na tym, co napisałeś.

Calvino uśmiechnął się słabo. Casey zdawał się nie rozumieć istoty rzeczy. Polegał na czymś, co przypominało migawkowe ujęcie, jak gdyby nic nie uległo z czasem zmianie.

– Nie jestem jasnowidzem. Nie umiem przepowiadać przyszłości, tak samo jak nie potrafię prowadzić równocześnie obserwacji dwóch obiektów. Zaobserwowałem i opisałem w raporcie pewien schemat działania tej kobiety. Nie dawałem żadnej gwarancji, że będzie zgodnie z tym schematem zachowywała się w nieskończoność. Dostałeś dokładnie to, za co zapłaciłeś. Sensowny człowiek nie powinien oczekiwać czegoś innego. Każdy, kto by ci obiecał coś więcej, równie dobrze mógłby ci sprzedać most Brookliński. – Popatrzył, jak Casey z trudem przetrawia w myślach tę prawdę, a po chwili dodał: – Powiedz mi, Casey, dlaczego tak bardzo się przejmujesz tym, czy ta dziewczyna spotyka się jeszcze z Sompornem?

– Co to dla mnie znaczy? To chcesz wiedzieć? Calvino przytaknął ruchem głowy, widząc, że Casey nie ma gotowej odpowiedzi.

– Obawiasz się, że z jej powodu legnie w gruzach szczęśliwe życie rodzinne Somporna?

- Chciałbym, żebyś wznowił obserwacje i doniósł mi, z kim ona się teraz spotyka.
- Od kiedy mam zacząć?

– Najlepiej od zaraz. – Casey wyciągnął portfel i odliczył tysiąc dolarów w nowiutkich szeleszczących setkach, sprawiających wrażenie, jakby świeża farba miała się na nich rozmazać od pociągnięcia palcem. – I tym razem chcę dostać pełny raport. Niczego nie pomini. Chcę wiedzieć, dokąd jeździ, kim jest jej kochanek i czy spotyka się jeszcze z Sompornem. Opisz wszystko, czego uda ci się o niej dowiedzieć. Ze szczegółami. Tym razem nie życzę sobie żadnej fuszerki.

– Zatem mam wrócić do śledzenia *mia noi*, zakładając, że Somporn jest tylko jednym z jej facetów. Tak mam teraz patrzeć na tę sprawę?

Casey aż cmoknął z niezadowolenia, zmarszczył brwi i głośno przełknął ślinę, zaciskając palce na szklaneczce.

- Nie zamierzam o nim zapominać. Możesz mi wierzyć.

Calvino nie miał podstaw, żeby w to wątpić. Nie mógł się jednak pogodzić z myślą, że jego klient rzeczywiście wierzy w swojej naiwności, że da się łatwo pogodzić ze sobą wszystkie fakty w tej sprawie. Rzeczywistość wyglądała bowiem tak, że ilekroć pociągało się za jeden napięty sznurek, natychmiast ukazywały się trzy inne luźne końce. Nie było co marzyć, żeby zwinąć je wszystkie w jeden zgrabny kłębek. Sensowny prywatny detektyw mógł obiecać tylko tyle, że postara się wyłowić inne schematy działania obserwowanych osób, potem ostrożnie wybada supły na tych sznurkach i delikatnie spróbuje je rozwiązać, z wyczuciem pociągając za jeden, a inne rozluźniając, dopóki nie wyłoni się jakiś wiarygodny scenariusz, a to i tak nie da żadnej gwarancji, że wszystko zostało już do końca rozplątane.

- Zrobię, co będę mógł.

– Tym razem postaraj się niczego nie spieprzyć – syknął Casey, po raz kolejny głośno przełykając ślinę, jakby chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że poczynania detektywa w sprawie Somporna były dalekie od profesjonalizmu. Po twarzy przemknął mu kwaśny uśmiezek, zanim dodał: – Słyszałem, że wyjeżdżałeś z miasta.

- To prawda. Od kogo to słyszałeś?
- Od twojej sekretarki. A od kogo innego mógłbym usłyszeć taką wiadomość?
- Powiedziała ci, dokąd wyjechałem?
- Nie. A powinna była to zrobić?

Calvino podniósł wzrok na Małą Niedźwiedzicę, która przyniosła zamówionego drinka. Położyła mu dłoń na ramieniu i rzekła:

- Jesteś dzisiaj za poważny. Nie uśmiechasz się. Nie jesteś zadowolony.

Przybrała teatralną pozę, zmarszczyła brwi i oparła dłonie na biodrach. Zazwyczaj uśmiechał się szeroko na widok tej pozy, ale dzisiaj nie było mu do śmiechu.

- Później, Mała Niedźwiedzico.

Skinęła głową, po raz ostatni obrzuciła go uważnym spojrzeniem, pokazała język Caseyowi i szybko odeszła.

Ten pchnął po stoliku w stronę detektywa plik banknotów i rzekł:

– To ci powinno wystarczyć na kilkumiesięczny zapas mleka w proszku dla niemowląt, nie mówiąc już o karmie dla niedźwiedzi.

W Bangkoku tysiąc dolarów wystarczyłoby na sześćioletni zapas mleka w proszku dla niemowląt.

– Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy nadal jest dodatkową żoną Somporna, czy może była to tylko krótka przygoda łożkowa. A może po prostu zmienili dzień i godzinę regularnych spotkań? Musisz wyjaśnić rozmaite szczegóły tego związku.

– Łącznie ze wzorem tatuażu na jej prawym pośladku? – zapytał Calvino.

– A widziałeś go?

– Sprawdzam tylko, jakich szczegółów oczekujesz. Casey przybrał kamienną minę.

– Nie spieprz tego, dobrze?

Tymczasem przy barze McPhail wdał się w dyskusję z Henrym, znanym w Samotnym Jastrzębiu specjalistą od poważnych kłopotów zdrowotnych, który ważył co najmniej sto kilo, a może nawet więcej niż sto dwadzieścia. Należał do tych, którzy nie mogą przestać jeść także wtedy, gdy się już nasycili. Dlatego zazwyczaj jadł aż do momentu, kiedy ze zmęczenia zasypiał nad talerzem. Miał już umówioną wizytę na zabieg chirurgiczny mający mu zmniejszyć żołądek do wielkości jabłka. Ale tego dnia był jeszcze przy trzeciej porcji specjalności dnia i wiosłował łyżką w takim tempie, jakby już trwało odliczanie do końca świata, jakby groziło mu dożywocie za najmniejszą nawet odrobinę tego czy tamtego.

Jak tylko drzwi lokalu się zamknęły za Caseyem, Stary George oznajmił gardłowo:

– Następnym razem wycyckam tego dupka. Nie lubię go.

– Cóż, nie da się załatwiać interesów wyłącznie z przyjaciółmi i cały czas na nich zarabiać – wtrącił Henry.

– Już wolałbym się poświęcić robieniu lewatywy waranom niż próbować zarabiać pieniądze na takich klientach jak on. – Stary George zacisnął pięść i machnął nią w powietrzu w kierunku wielkiej podobizny wodnego bawołu zawieszanej wysoko na ścianie za barem. – Zarabiam tyle, że wystarczy mi na życie. I nie potrzebuję niczego więcej od moich przyjaciół.

McPhail pokręcił głową i powtarzając pod nosem słowo „lewatywa”, ruszył za przepierzenie zarezerwowane przez Calvina, po czym usiadł naprzeciw niego.

– Widziałem wcześniej tego faceta. Czyżbym się mylił, że pracował dawniej w ambasadzie?

– Nie chcę rozmawiać o ambasadach – odpowiedział Calvino, przypomniawszy

sobie numery rejestracyjne samochodu, na który zwrócił uwagę z samego rana. – Nie znoszę dyplomatów.

– Wyobrażam sobie – odparł McPhail. – I nie widziałeś, jak on krzyżuje kostki u nóg?

– Myślisz, że wetknąłem głowę pod stół, żeby popatrzeć na jego kostki?

McPhail zachichotał w głos.

– Widziałem go od strony baru.

– I stamtąd zobaczyłeś, jak krzyżuje kostki u nóg? Może już lepiej nie pij więcej do południa.

McPhail przypalił papierosa, zaciągnął się głęboko dymem, po czym wydmuchnął go nosem i odchylił się do tyłu.

– To chyba też o czymś świadczy, nie? Gdybyś zagłębił się w naukę jogi, może zdołałbyś wyczytać coś nawet po sposobie, w jaki ktoś siedzi.

– Chyba zwariowałeś. I Casey też zwariował – jęknął Calvino. – To dziecko Ratany doprowadza mnie do szaleństwa. Jest tu jeszcze ktoś normalny?

McPhail rozejrzał się dookoła i pokręcił głową.

– Na pewno nie w tym barze. I na pewno nie w tej części Bangkoku. Tu wszyscy są świrami.

Calvino pochylił się do przodu i popatrzył przyjacielowi w oczy.

– A niby jak Casey układał kostki nóg, że przyciągnęło to twoją uwagę?

McPhail uśmiechnął się chytrze. Najpierw zaciągnął się dymem z papierosa, potem upił łyk swojej wódki z tonikiem.

– Mam ponad dwieście fotografii ukazujących, jak ludzie zakładają nogę na nogę, a więc jak układają kostki nóg, siadając czy to z kolanami przyciśniętymi do siebie, czy z szeroko rozstawionymi. Są tego setki wariacji. I mogę bez pudła określić typ osobowości po tym, jak ktoś układa nogi, a także stopy, siadając.

– To mi wystarczy, McPhail. Więc co ci powiedziało ułożenie nóg siedzącego Casey'a?

– To zabójca.

– Ale ja wolałbym wiedzieć, co się dzieje w jego głowie – rzekł Calvino. – Najwyraźniej podąża jakimś tropem, o którym w ogóle nie chce mówić.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? To urodzony zabójca. Widać to w jego oczach.

– Sądziłem, że oceniasz ludzi po ułożeniu nóg, a zwłaszcza kostek stóp.

– Próbujesz robić ze mnie wała, Vinny?

Nic podobnego, pomyślał Calvino, spoglądając na McPhaila, który palił papierosa i kiwał głową w rytm muzyki płynącej z szafy grającej. Również jego zdaniem Casey nie był szczęśliwy, gdy wkraczał do tego lokalu, a wychodził z niego jeszcze bardziej zgnębiony. Bez dostatecznej wiedzy trudno jednak było określić, czy nie jest to stan permanentny. Dlatego wyciągnął z pliku studolarówek jeden banknot i wręczył go

McPhailowi.

– Idź za Caseyem. Chcę wiedzieć, dokąd zagląda i z kim się spotyka.

McPhail uniósł wzrok do nieba.

– Chłopie, wyszedł dobre pięć minut temu. Czyżbyś nie wiedział, jak gorąco jest na dworze? Jeszcze się poparzę na słońcu i wyląduję w szpitalu, podłączony do różnych plastikowych rurek. Co mi wtedy przyjdzie z tej marnej setki dolarów?

Calvino uśmiechnął się, wyciągnął drugi banknot i podał go McPhailowi, po czym przyjrzał się, jak tamten błyskawicznie kończy swojego drinka.

– Wystarczy popytać...

– Tak, wiem. Czy ktoś nie widział nadętego faranga średniego wzrostu w czapeczce baseballowej, z trzydniowym zarostem na gębie?

W drzwiach jedna z kelnerek wskazała palcem na prawo, co oznaczało, że Casey poszedł w kierunku Sukhumvit Road. Kilkadziesiąt metrów dalej McPhail opisał go ochroniarzowi stojącemu przed nocnym lokalem i ten odparł, że widział Casey'a dającego nura pod markizę nad wejściem do dawnego kina, przed którym reklamowano teraz show transwestyty o pseudonimie Mambo. A kiedy McPhail dotarł do skrzyżowania z Sukhumvit Road, sam w oddali, na wysokości sadzawki w parku naprzeciwko Emporium dostrzegł człowieka w charakterystycznej czapeczce baseballowej.

Strażnik miejski w brązowym uniformie zatrzymał go pod zarzutem zaśmiecania chodnika popiołem strząsanym z papierosa. Casey musiał podejść razem z nim do najbliższej policyjnej budki, gdzie natychmiast zaczął się wyklócać z policjantem, a chwilę później z jego przełożonym. Tymczasem ekipa straży miejskiej przyłapała innego mężczyznę na zaśmiecaniu chodnika. Wykorzystując zamieszanie, McPhail podszedł nieco bliżej i nastawił ucha. Policjanci powtarzali z uporem, że strząsanie popiołu na chodnik jest niezgodne z przepisami i za to wykroczenie należy się mandat w wysokości dwóch tysięcy bahtów. Usłyszawszy to, Casey bezceremonialnie polecił strażnikowi, żeby się od niego odpieprzył. Wymachiwał ramionami jak ptak podrywający się do lotu, a jego piskliwe wrzaski przebijały się nawet przez hałas ruchu ulicznego. Zdjąwszy czapkę baseballową, tak zacisnął szczęki, że wargi ułożyły mu się w wąską kreskę, a potem z ust popłynął strumień najgorszych przekleństw. Wyglądał jak trener drużyny piłkarskiej wrzeszczący na sędziego, który jednemu z jego najlepszych zawodników pokazał czerwoną kartkę.

Tego typu konfrontacja nie była nigdy dobrą metodą pertraktacji z tajskimi funkcjonariuszami o obniżenie mandatu. Zdecydowanie lepsze rezultaty przyniosłoby skrucha, milczenie i żal z powodu popełnionego wykroczenia, w ten sposób pewnie dałoby się wynegocjować obniżenie mandatu do dwustu bahtów. Wyglądało na to, że Casey musi się jeszcze wiele nauczyć w zakresie reguł codziennego życia na obczyźnie. McPhail postanowił zapisać ten wniosek głęboko w pamięci, zanim po

chwili dotarło do niego, że Calvino z pewnością zna już Caseya pod tym względem. Niemniej warto było zapisać ów wniosek, by się wykazać, że zasłużyło się na dwieście dolarów zapłaty.

15

Somporn posłuchał rady wróżbity swojej żony i tego dnia zrezygnował z wizyty pod trzy dziewięć Pilot. Jego żona rzadko podejmowała jakieś decyzje, nie skonsultowawszy ich wcześniej z Tanatem, którego wypytywała o wszystko, nawet o miejsce, czas i najlepszą pozycję zbliżenia. Stąd też decyzja Somporna o starcie w wyborach parlamentarnych także zapadła dopiero po uzyskaniu błogosławieństwa Tanata. Wobec zbliżającego się ślubu córki oraz kampanii przedwyborczej Somporn wraz z żoną spędzał coraz więcej czasu u żylastego ciemnoskórego guru, który na popołudniowe spotkania wkładał eleganckie garnitury, palce zdobił złotymi sygnetami i żuł orzechy arekowe zawinięte w liście pieprzu betelowego. Szorstki sposób bycia tylko dodawał mu powagi i wiarygodności, gdy zamykał oczy, splatał dłonie na stole i z tajemniczym uśmiechem na wargach realizował swoje wyprawy do innego świata.

Tego dnia Tanat zasiadł przy stoliku na tarasie hotelu Oriental obok Marisy, siostry mężczyzny, który miał poślubić córkę Somporna. Wziął ją za rękę i zaczął wodzić palcem wskazującym wzdłuż linii po wewnętrznej stronie dłoni. Na chwilę zastygł bez ruchu, wydymając wargi i kiwając głową, ale zaraz podjął swoje działanie, dopóki tak samo nie przebadał wszystkich linii.

– Bardzo ładna dłoń – orzekł. – Będziesz miała troje dzieci i umrzesz w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Wyjdiesz za obcokrajowca, zmuszonego do licznych wielodniowych podróży służbowych. Po przekroczeniu pięćdziesiątki dorobisz się znacznego majątku.

Wielki parasol w biało-czerwone pasy osłaniał ich od słońca. Juan Carlos, przyszły pan młody, który na uboczu czekał na swoją kolej, pochylił się w kierunku stolika i wyciągnął rękę. Tanat kilkakrotnie odczytywał linie na jego dłoni, aż wreszcie rzekł:

– Nie jedz bakłazanów ani orzechów laskowych. Źle wpływają na pracę twojej wątroby. – Tyle przynajmniej Juan Carlos zapamiętał z ostatniego spotkania

z wróżbitą.

Siedział przy stoliku razem z przedstawicielami swojej przyszłej rodziny, Tanatem, mistrzem *feng shui* oraz jeszcze jednym *maw doo*, specjalizującym się w interpretacji kształtów czaszek i rysów twarzy, który jednak stopniowo wycofywał się z tego biznesu na rzecz handlu amuletami. Według Marisy przyszła teściowa jej brata zebrała razem – cieszących się w mieście sławą niemal gwiazd filmowych – osobistego trenera, dietetyka oraz fryzjera. Mieli oni po raz ostatni wyrazić swoje opinie co do pochodzącego z Hiszpanii rodzeństwa. Marisa i Juan Carlos wychowali się w Katalonii, przez co, przynajmniej w jakimś stopniu, byli w stanie zrozumieć wartości, tradycje oraz więzy rodzinne kulturowane przez Tajów. Nad stolikiem unosiły się opary dawnych przesądów, zmieniające rozmowy w sentymentalne wspomnienia starych tradycji i obyczajów. Dlatego przez moment poczuła się prawie jak w domu. Kiedy jednak to wrażenie minęło, do jej wyobraźni zaczynały przemawiać inne, zdecydowanie bardziej niepokojące skojarzenia.

Przy sąsiednim stoliku siedziało kilku bliskich przyjaciół ojca panny młodej, którzy wczytywali się w jadłospis, flirtowali z kelnerkami, żartowali i zaśmiewali się w głos, składając zamówienia. Lecz mimo tych żartów i śmiechów dawał się wyczuć ton powagi. Zbyt wiele kładło się na szali: władza, rodzina, wpływy. Małżeństwo było sprawą bardzo poważną. Ale równie poważną, a nawet niewolną od niebezpieczeństw, był start w wyborach parlamentarnych. Nic więc dziwnego, że ci mężczyźni spoglądali na palącą Marisę, jakby nigdy wcześniej nie widzieli kobiety z papierosem w ręku. To jej za bardzo nie martwiło. Zaciągnęła się głęboko i powoli wydmuchiwała dym.

Kiedy Marisa przyglądała się swojej przyszłej szwagierce, mogła bez trudu określić, co z rysów ojca zostało przeniesione, złagodzone czy nabrało większej elegancji w jej twarzy. W porównaniu z córką oblicze Somporna przypominało wstępny szkic, jakby eksperymentalną wersję czegoś, co miało się w pełni zrealizować dopiero w jego dzieciach. W rysach Kalyi zostało jeszcze sporo podobieństwa do ojca, lecz Marisa dostrzegła więcej cech wspólnych z wyglądem matki. Niran, jej brat, który siedział przy matce, miał tylko jej pełne wargi i wielkie oczy. Poza tym był młodszą wersją swojego ojca. Teraz machinalnie obracał w palcach złotą zapalniczkę. I tak jak reszta rodziny od chwili ich spotkania – nie mówiąc już o licznej świdze rozmaitych guru, dworzan, ochroniarzy, doradców i dalszych krewnych – bez przerwy miał uśmiech na twarzy.

– Jeśli zostanę wybrany, pomogę moim ludziom – oznajmił Somporn.

Na szczęście nie sprzedawał tanich haseł wyborczych, jakby wychodził z założenia, że ich nie potrzebuje. Na spotkaniach umiłał czas zabawnymi dykteryjkami oraz dowcipami i polegał na swoim prowincjonalnym uroku osobistym oraz poczuciu humoru, które miały mu przynieść sukces wyborczy. Świetnie

rozumiał, że Tajowie głosują przede wszystkim na ludzi, których lubią, toteż wychodził z założenia, że chcąc być lubianym, trzeba odznaczać się wrażliwością, po prostu okazywać dobre serce. I tylko to się liczyło. Specjaliści twierdzili, że stylem bycia przypomina Thaksina, niedawnego premiera obalonego wskutek puczu wojskowego, tyle że wykazuje większą elastyczność. W każdym razie kampania wyborcza pozostawiła Marisę chłodną – nie znalazła choćby błysku nieszczerości w głoszonych przez niego wyborczych obietnicach. I to było najbardziej niepokojącym odkryciem: polityk, który zdołał sam siebie przekonać, że walka o własne interesy leży także w zakresie dobra publicznego.

Lawan, matka panny młodej, solidna i stanowcza, wyglądała po królewsku, z ustami znamionującymi władzę i przenikliwym spojrzeniem nieustannie lustrującym ludzi przy stolikach. Miała ostro zarysowany podbródek, chociaż upływ czasu złagodził nieco jego kontur. Wcześniejszą wersję tego anatomicznego szczegółu odziedziczyła panna młoda. W ogóle podobieństwo było uderzające, jakby matryca podbródka matki posłużyła do wymodelowania twarzy Kalii. Marisa wyobraziła sobie, że te same rysy mogą zdominować wygląd dzieci Juana Carlosa. Coś z tych rysów miało przetrwać, coś innego przepaść bez śladu.

Skłoniwszy się nieco w bok, matka panny młodej zapatrzyła się na Juana Carlosa i Marisę, słuchając wylewnego komentarza *maw doo*, który nerwowo obracał w palcach amulet zawieszony na złotym łańcuszku na swojej szyi.

To Chińczycy przypisywali sobie autorstwo starożytnej nauki określania zasadniczych cech ludzkiego charakteru na podstawie rysów twarzy. Toteż Lawan zapytała swojego guru, który smarował masłem kromkę chleba, czy jej wnuki będą miały szczęśliwe życie, jeśli odziedziczą choćby część rysów po Juanie Carlosie. Dla Chińczyków powodzenie następnego pokolenia było jedną z podstawowych trosk życiowych. A ponieważ sama roztaczała wokół siebie aurę spokojnej determinacji i stanowczości celów, Lawan nie wątpiła, że to ona jest mocą stojącą za wpływami jej męża i siłą napędową jego startu w wyborach parlamentarnych.

Ochroniarze wraz z resztą świty spoglądali na nią z najwyższym szacunkiem, jakby czuli, że jest kimś więcej niż tylko żoną Somporna. Oboje Sompornowie troskliwie dbali o swoją córkę. Właściwe zamążpójście oznaczało dla nich wszystko: wielką schedę, awans polityczny, fuzję majątkową. Somporn miał zwyczaj sięgania do postulatów populistycznych. Ale jego troska o prostych chłopów zdecydowanie gasła wobec strachu przed tym, że któreś nocy obudzą się otoczeni przez horde rozwścieczonych wieśniaków uzbrojonych w maczety, gotowych poderznąć im gardła. Właśnie ta obawa stała się motorem napędowym politycznej kariery Somporna. A teraz dodatkowo przybierała na sile, gdy spoglądał na Juana Carlosa, faranga siedzącego naprzeciwko i uśmiechającego się szeroko, nieświadomego, jak wielkie budzi emocje.

– Juan mówił nam, że pracujesz w agendzie Organizacji Narodów Zjednoczonych – odezwała się Lawan, a wielki diament w pierścionku na jej prawej ręce zaśnił w blasku promieni słonecznych.

– To prawda, zajmuję się projektami dotyczącymi przesiedleń kobiet i dzieci.

Lawan z uśmiechem pokiwała głową, jako że wśród Tajów stanowisko w ONZ było wysoko cenione. Z wyraźną satysfakcją przyjmowała to, że Marisa jest urzędnikiem wysokiego szczebla, niezależnie od zakresu jej działalności. Liczyła się wyłącznie jej pozycja.

– Jesteś bardzo podobna do brata – wtrącił Somporn.

– Bo jesteśmy bliźniętami – wyjaśnił Juan Carlos.

– Które z was jest starsze? – zaciekała się Lawan. Wśród Tajów była to bardzo ważna kwestia, gdyż wiele cech charakteru uzależniano od tego, które z bliźnięt urodziło się jako pierwsze.

– Ja – odparła Marisa.

– O pięć minut – dodał Juan Carlos.

Przy okolicznych stolikach rozległy się głośne szepty.

Marisa od dzieciństwa stykała się z poglądem, że jej brat bliźniak wygląda lepiej niż ona. Każde z nich na swój sposób cierpiało wskutek takich porównań, co na szczęście tylko umacniało łączące ich więzi. Sama Marisa krytycznie oceniała własny wygląd, przekonana, że jest co najmniej o dwie klasy brzydsza od brata, a niedostatki urody spychają ją aż do granicy popolitości. Owe dwie klasy ocen zgarniał na swoją korzyść jej brat. A przecież chłopak nie powinien być ładniejszy od dziewczyny, kłóciło się to z fundamentalnym prawem natury.

Mimo wszystko to nie związki łączące bliźnięta przyciągały największą uwagę. Juan Carlos i Kalya trzymali się pod stołem za ręce, co dla wszystkich było oczywiste. Rodziło się więc pytanie, co pomyślą wyborcy, gdy się dowiedzą, że córka Somporna trzyma się za ręce z farangiem. Jeden z doradców polityka pospiesznie szepnął mu coś na ucho. Somporn jednak nie przestał się uśmiechać do wszystkich i kiwać głową. Dopóki owo trzymanie się za ręce nie działo się na widoku publicznym, ale pod stołem, nie zamierzał robić z tego problemu. Był przekonany, że jego córka doskonale zna reguły gry, a więc bierze pod uwagę wrażliwość Tajów mających stanowić trzon jego elektoratu w nadchodzących wyborach.

Dyskusje dotyczące weselnego przyjęcia ucichły stopniowo, gdy wszyscy pogrążyli się w lekturze planowanego menu. Miał to być dziesięciodaniowy chiński posiłek, a jako główne danie zapowiedziano zupę z płetwy rekina. Ślub odbywał się w kraju, gdzie zupa w roli dania głównego nie stanowiła żadnego problemu dla polityka, za to skojarzenia z zabitym rekinem mogły tylko wzbogacić jego reputację. Tanat orzekł, iż należy zaprosić dokładnie pięciuset trzech gości, jednak łączna liczba członków rodzin oraz bliskich przyjaciół co najmniej dwukrotnie przekraczała tę

wielkość. W końcu zbliżały się wybory. Dlatego Somporn zwrócił się do niego z prośbą o ponowne oszacowanie najważniejszej liczby gości i stanęło na ośmiuset osiemdziesięciu ośmiu zaproszonych. Na oddzielnym konczie zdeponował kwotę zdolną zadowolić słynnego holenderskiego reżysera, który miał objąć patronat nad ujęciami Juana Carlosa i Kalyi. Młoda para została sfilmowana podczas zakupów w firmowych salonach w Siam Paragon, w czasie spaceru po plaży w Hua Hin, gdzie rodzice panny młodej mieli domek letniskowy, przejażdżki na koniach oraz partyjki golfa i zabawy w dyskotecę. Cały ten materiał przekazano reżyserowi, który miał z niego zmontować film do zaprezentowania ośmiuset osiemdziesięciu ośmiu gościom weselnym, gdy tylko zasiądą do stołów, jeszcze przed rozpoczęciem weselnej uczty. Tak więc ślub miał się stać *ngan chang* – wiekopomnym wydarzeniem prezentującym status, bogactwo oraz wpływy rodziny panny młodej.

– Od kiedy obejrzelismy odcinek *Doktora House’a* na pięćdziesięciocalowym płaskim ekranie, nie potrafię już oglądać telewizji bez wrażenia, że zerkam na coś przez dziurkę od klucza. – Lawan roześmiała się z własnego dowcipu.

Kalya uśmiechnęła się i szybko zmieniła temat.

– Mamo, nie chodzi o wielkość odbiornika, tylko o jakość programu.

Marisa przypaliła następnego papierosa od tlącego się jeszcze niedopałka.

– Szacuję, że w późniejszym wieku może mieć pani poważne kłopoty z płucami – odezwał się Tanat.

Nie potrzeba było wróżbity, żeby dojść od takiego wniosku.

– Podejmuję świadome ryzyko – odparła Marisa. Rodzice Kalyi początkowo byli bardzo rozczarowani, że kandydat na zięcia jest farangiem. Na wiele różnych sposobów oznaczało to zmarnowaną okazję do poszerzenia możliwości w interesach, polityce oraz awansie społecznym. Wcześniej żyli nadzieją, że wydanie córki za mąż umożliwi skoligacenie z innym dobrze sytuowanym rodem, który zapewni im liczne grono wyborców z północno-wschodnich regionów kraju. Niestety, Kalya nie zostawiła im wyboru, musieli pogodzić się z jej decyzją. Wciąż jednak mieli trudności z traktowaniem tego faranga ze średniej klasy jako członka rodziny.

Teraz Kalya pochyliła się w stronę Marisy i zagadnęła:

– Juan Carlos mówił mi, że próbowałam swoich sił w dziennikarstwie.

Somporn nastawił ucha.

– Imiałas się wielu profesji jak na tak młodą osobę – rzekł.

– Mógłbyś rozważyć zatrudnienie jej w rodzinnych interesach – wtrąciła Kalya, która za wszelką cenę, nawet mimowolnie, starała się upiec własną pieczeń.

– Jestem zadowolona ze swojej pracy. Lubię myśleć, że mam wpływ na coś pożytecznego.

Jeden ze współpracowników Somporna szepnął:

– Komunistyczny pogląd.

– Generał Franco starał się ze wszystkich sił zniszczyć nasz ruch, pognać nasz styl życia. Nie udało mu się. W Katalonii na każdym kroku spotkacie dumnych ludzi, którzy nigdy nie zapomnieli o swoim dziedzictwie.

Przy stole zapadła cisza, w której rażąco głośno rozległ się warkot potężnych silników motorówki przepływającej wzdłuż plaży.

Z niespodziewaną odsieczą przyszedł Marisie kelner, młody i przystojny, w białej marynarce i ciemnych spodniach, który wyszedł na taras z arkuszem białego kartonu i wypisanym na nim niebieskim mazakiem nazwiskiem Somporna. Zadzwoił przy tym małym mosiężnym dzwoneczkiem, torując sobie drogę wśród zgromadzonych gości. Jeden z *luk nongs* Somporna zauważył nazwisko szefa, wychylił się i przywołał do siebie kelnera. Chwilkę później jego mocodawca przeprosił siedzących przy stoliku gości, wstał i wyszedł za kelnerem do hotelowego lobby. Marisa wstała chwilę później.

– Wybaczą państwo, ale muszę skorzystać z toalety. Recepcjonista dyżurujący za kontuarem wyciągnął w stronę Somporna słuchawkę telefonu. Dzwoniła jego kochanka.

– Dlaczego masz wyłączoną komórkę? Gdzie jesteś?

Oslonił dłonią mikrofon i w oszczędnych słowach wyjaśnił, że jest w hotelu Oriental na przyjęciu zaręczynowym swojej córki. *Mia noi* odebrała to w milczeniu, ale już po chwili podniosła taki wrzask, że aż musiał odsunąć słuchawkę od ucha.

– Zawsze powtarzasz, że jestem dla ciebie ważna, lecz ani trochę o mnie nie dbasz!

– Mylisz się. Oczywiście, że dbam o ciebie. Ale dziś przede wszystkim muszę myśleć o swojej córce.

– A o mnie już nie myślisz?!

Zawsze ta sama śpiewka: czy o mnie myślisz? Z podobnymi pytaniami spotykał się ciągle w swojej partii politycznej, nie mówiąc już o żonie i córce. Wyglądało na to, że jest to pytanie uniwersalne, które będzie go prześladowało aż do śmierci.

Marisa zobaczyła go w lobby rozmawiającego przez telefon. Stał odwrócony do niej tyłem, toteż jej nie spostrzegł. I kiedy podeszła bliżej, usłyszała, jak szeptem prosi o wyrozumiałość. Nie trzeba było specjalnej wyobraźni, by zrozumieć, że rozmawia z kobietą.

Kiedy się obejrzał i zobaczył ją metr za sobą, spłoszył się na chwilę, lecz szybko odzyskał rezon.

– Jutro umówimy się na spotkanie – rzekł. – Zadzwoię później, gdy sprawdzę mój rozkład dnia, żeby potwierdzić godzinę.

Wyciągnął słuchawkę w stronę recepcjonisty, ale doleciał z niej wyraźnie słyszalny piskliwy głos *mia noi*:

– Potwierdzić godzinę? Czyżbyś zapomniał, z kim rozmawiasz?!

- Niektórzy klienci potrafią być bardzo napastliwi – rzekł szybko.
 - Podobnie jak większość kobiet – odparła z ironicznym uśmiechem.
- Somporn zamyślił się na chwilę.

– Posłuchaj, Mariso. Jesteś inteligentną osobą. Podobnie jak twój brat będziesz członkiem naszej rodziny. A wszystkie rodziny mają swoje sekrety. Nie wątpię, że zgodzisz się ze mną, iż powinniśmy trzymać sekrety w tajemnicy przed całym światem.

– Mężczyzna, który mówi o sekretach, musi wieść sekretne życie – powiedziała, nie podejmując aluzji.

Kiedy wrócili do stolika, Somporn zaczął udawać, że nic się nie stało. Wygłosił niemal polityczną deklarację na temat cudownych zalet przyszłego zięcia. Ujawnił nawet swoje plany wobec Juana Carlosa. Chciał go mianować wiceprezesem odpowiedzialnym za handel międzynarodowy. Wyraził nadzieję, że władając dziewięcioma językami i pięcioma dialektami, Juan Carlos z łatwością pokieruje nowymi zagranicznymi inwestycjami rodzinnej spółki. Bo cóż to byłoby za imperium, gdyby nie miało gotowych planów rozwoju i ekspansji? Bez rozwoju możliwy był tylko odwrót. A Juan Carlos znakomicie pasował do nowych planów Somporna obejmujących rozszerzenie działalności handlowej w Europie. Jeśli jego partia polityczna, Miłość Macierzy, miała sformować przyszły rząd, on powinien zająć obiecane mu stanowisko ministra spraw zagranicznych. W takiej sytuacji Juan Carlos miałyby znakomity punkt wyjścia do kariery politycznej.

Wszyscy wiedzieli, że zyskanie faranga za zięcia nie leżało w sferze marzeń Somporna, z czasem jednak polubił Juana Carlosa, docenił jego urok osobisty, otwartość i szyk, więc czasami zdarzało mu się nawet zapomnieć, że chodzi o obcokrajowca. Nie zapominał jednak o szerokiej skali nowych możliwości, jakie Juan Carlos mógł wnieść do biznesu i polityki, skłaniał się więc ku opinii, że młody człowiek dysponuje wielkim potencjałem, który powinno się wykorzystać.

Największy komplement powiedział Juanowi Carlosowi w drodze do hotelu, gdy obrócił się do niego i oznajmił:

– Dla mnie nie jesteś już farangiem. Jesteś Tajem. Juan Carlos aż poczerwieniał z dumy.

– Cieszę się, słysząc te słowa.

Oczywiście powiedział to perfekcyjnie po tajsku, myśląc, że taka chwila powinna zapaść mu głęboko w pamięć. Somporn z akceptacją pokiwał głową, uśmiechając się przyjaźnie. Tak więc sprawa została przesądzona. Juan Carlos miał się stać członkiem rodziny.

16

Po pracy pułkownik Pratt przebrał się w cywilne ubranie, zabrał futerał z saksofonem tenorowym i wyruszył na koncert. Starał się nie myśleć o łowcy talentów z grona organizatorów Jawajskiego Festiwalu Jazzowego, który miał się dzisiaj znaleźć wśród publiczności, żeby posłuchać jego gry. Koncentrował się na prowadzeniu samochodu. Kiedy więc skręcił w *soi*, przy której mieścił się klub Saxophone, nie był już zdenerwowany. Kątem oka spostrzegł czerwoną sportową mazdę RX-8, zatrzymał wóz i opuścił szybę, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Stała na pierwszym miejscu parkingowym na wprost wejścia do klubu. Pratt ustawił swój wóz w pewnej odległości, wysiadł i podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się jeszcze raz. Postawił futerał z saksofonem na ziemi, pochylił się i zanotował w pamięci numery rejestracyjne. Z cienia wyłonił się Taj w dżinsach i koszulce polo, stanął przed Prattem pochylającym się przy samochodzie i zapytał:

– O co chodzi?

Był to jeden z nieoficjalnych ochroniarzy, biorących po dwadzieścia bahtów od klienta w zamian za opiekę nad jego autem. Już odchrząknął i otworzył usta, by kazać Prattowi odejść, gdy ten zapytał:

– Znasz właściciela tego samochodu? To pytanie zmroziło ochroniarza.

– Chodzi o nazwisko?

– Owszem, o nazwisko.

Mężczyzna wyjaśnił pospiesznie, że nazwiska nie zna, ale samochód należy do jednego z muzyków jazzbandu. Ze środka dolatywały dźwięki klasycznego utworu Raya Charlesa. Pianista jest naprawdę dobry, pomyślał Pratt.

– Jak on wygląda? – zapytał, wyjmując z kieszeni odznakę policyjną.

Ochroniarz zmrużył oczy, jakby nie mógł dostrzec, co intruz podtyka mu pod nos, ale szybko zagryzł wargi, rozpoznawszy na legitymacji służbowej emblemat policji. Z wybałuszonymi oczami zastygł jak rażony gromem i poruszał leniwie ustami, choć nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Pratt odczekał cierpliwie parę sekund, aż tamten

odzyska głos i opisze kierowcę: tykowatego chudzielca o długich czarnych kręconych włosach, noszącego czapkę baseballową i ciemne okulary.

– Aha, i miał ze sobą tandetną brezentową torbę podróżną – dodał ochroniarz, jakby to było przestępstwo w wypadku kogoś, kto jeździ sportową mazdą RX-8. W jego pojęciu nowy, bardzo drogi samochód stał w jawnej sprzeczności z taką torbą. Ale Pratt świetnie to rozumiał: muzyk doskonale znał swoją publiczność. W barze wyglądał zupełnie inaczej niż na ulicy. Wykorzystywał dwa całkiem odmienne zestawy symboli powodzenia. – Jak jeszcze czegoś panu potrzeba, proszę pytać – rzucił ochroniarz, po czym odszedł z powrotem na swój posterunek w cieniu. Serce waliło mu młotem, nie mógł się doczekać chwili, gdy zdoła się uwolnić od towarzystwa gliniarza, który niechcący go upokorzył.

Po estakadzie przetoczył się z łoskotem pociąg szybkiej kolei miejskiej. Pułkownik musiał poczekać jeszcze parę minut, zanim na podeście schodów zobaczył Calvina, który pomachał mu ręką. Obserwował uważnie, jak detektyw to znika mu z oczu, to znów pojawia się na kolejnym ciągu schodów. W oddali Pomnik Zwycięstwa tonął w powodzi świateł. Był poświęcony chwale zdarzenia, które w wielu podręcznikach historii opisywano jako militarną klęskę, jednak politycy znaleźli sposób na przekucie jej w zwycięstwo w dawno zapomnianej wojnie. Pułkownik obszedł mazdę, zastanawiając się, po co w ogóle władze stawiają takie pomniki. Miały przecież symbolizować olbrzymie poświęcenie i upamiętniać wojowników, którzy się na nie zdobyli, ale w gruncie rzeczy była to kolejna dawana wyborcom obietnica, że obecne rządy nie dopuszczą, by ktokolwiek jeszcze doświadczył takiej męki. Z kolei zwycięstwa wyborcze służyły jedynie pomnażaniu majątków. Zatem w rzeczywistości bogactwo było jedynym pomnikiem wznoszonym przez polityków.

Kiedy Calvino zszedł na poziom ulicy, ruszył szybkim krokiem po nierównych splekanych płytach chodnika. Kilku ulicznych sprzedawców jedzenia w zatłuszczonych fartuchach jeszcze pakowało się na noc, składało turystyczne stoliki i krzeselka. Ale młode handlarki wciąż głośno zachwalały swoje towary detektywowi przechodzącemu wzdłuż stolików założonych stertami T-shirtów, majtek, skarpet, minispódniczek, bluzek czy dziecięcych zabawek. Wybrał pluszowego misia i kupił go dla dziecka Ratany. Stojący obok sprzedawca ryb polecił mu dwa ostatnie rybie łby za okazijną cenę, ale Calvino tylko pokręcił głową. Podeszedł w końcu do pułkownika Pratta stojącego przy czerwonym sportowym aucie.

– Co kupiłeś?

Pokazał mu pluszowego misia.

– To chiński wyrób. Trzeba bardzo uważać na odpadające szklane oczy.

Calvino przyjrzał się misiowi i westchnął ciężko. Zapomniał o powtarzających się doniesieniach na temat groźnych związków chemicznych wykrywanych w chińskich

zabawkach.

– Ale, jak mówi moja żona, liczy się przede wszystkim pamięć – skwitował Pratt.

– Co to za historia z tą mazdą? – zaciekał się detektyw. Od jego powrotu do Bangkoku był to już trzeci sportowy wóz, który przyciągał uwagę pułkownika.

– Jak dotąd żadna.

– Myślisz, że to może być nasz człowiek?

Zależało mu na tym, by mieć swój udział w tym dochodzeniu. Inni właściciele podobnych aut mieli alibi, żaden z nich nie był w Pattai tamtego wieczoru, kiedy zginęła Nongluck.

Pratt wzruszył ramionami i przerzucił saksofon w futerale do drugiej ręki.

– Zaraz mam występ. Później będziemy mogli sprawdzić kierowcę. Dzisiaj nie mogę zostać dłużej na scenie, jutro wczesnym rankiem mam ważne spotkanie.

Określenia „zostać na scenie” i „wczesnym rankiem” bardzo rzadko występowały w jednym zdaniu, gdyż większość artystów scenicznych zasiadała do śniadania po południu. Jazz stał w jawnej sprzeczności ze światem, w którym odbywały się ważne poranne spotkania.

Wynikało to z politycznej części pracy pułkownika. Im bliżej było wyborów, tym więcej organizowano spotkań, konferencji i seminariów. Wśród najwyższych rangą oficerów narastał lęk przed zamieszkami i rozruchami, konieczna więc była ciągła wymiana informacji i pogłosek o tym, kto zyskuje na popularności, a czyja gwiazda blednie. Śmierć młodej *ying* w Pattai nie miała szans się pojawić na żadnej liście spraw pilnych. Pratt uważał, że została zamordowana, a Calvino wrobiony we współudział w zabójstwie. Jednak prowadził swoje prywatne śledztwo w tajemnicy. Mając rozległe kontakty w wywiadzie wewnętrznym, świetnie wiedział, jak bardzo kampania wyborcza zaprzęta jego przełożonych. Znacznie bardziej byli zainteresowani kontrolowaniem płatnych zabójców mogących przyjąć zlecenie którejś partii politycznej niż szukaniem zabójcy jakiejś dziewczyny z Pattai. Dodatkową przewagę stwarzało mu olbrzymie doświadczenie w kierowaniu służbami porządkowymi.

Pułkownik zazwyczaj sprawiał wrażenie tak zajętego swoimi sprawami służbowymi, że zostawiano go w spokoju. Znał stawkę w tej grze i stosował się do jej reguł. Dwaj młodzi ludzie, którzy zginęli w wypadku motocyklowym na Soi 33, przysporzyli mu dodatkowych zajęć, lecz nadal miał wszystko pod kontrolą. Tymczasem jego szef umieścił go w podkomisji spraw wewnętrznych zbierającej argumenty przeciwko programowi reform forsowanemu przez jedną z partii opozycyjnych. Pratt nie znosił tej roboty. Prawdę mówiąc, zaliczał się do zwolenników wielu reform, zwłaszcza tych nakierowanych na walkę z korupcją i nepotyzmem, lecz zachowywał swoje poglądy dla siebie. Wiedział, że wielu oficerów jest podobnego zdania, niemniej wszyscy milczeli, nie chcąc się wychylać

z szeregu. Było jeszcze za wcześnie, by wyrokować, kto wygra wybory.

Calvino obszedł mazdę dookoła, jakby to był jego samochód – powolnym krokiem, z miną dumnego właściciela. Z oświetlonego mdłym blaskiem neonów wejścia do lokalu wyłoniła się tleniona na blond dwudziestoletnia Tajka w obcisłych białych dżinsach i różowej kowbojskiej koszuli z białymi lamówkami na rękawach i kołnierzyku. Uśmiechnęła się szeroko do Calvina, najwyraźniej sądząc, że samochód rzeczywiście należy do niego. Oparła ręce na biodrach i zagadnęła:

– Cześć, jestem Amy.

Pomyślał, że zwykle są to Apple, Ann czy Rose, z tajska Amy miał do czynienia chyba po raz pierwszy. We włosy miała powplatanę wąskie kolorowe paski lamety, na szyi zawiązaną luźną apaszkę w żółte uśmiechnięte buźki i nosiła torebkę wyglądającą na autentyczny model Prady. Przez chwilę poczuł się jak porażony prądem. Stał niczym wmurowany, z głupkowatym uśmieszkiem na ustach.

– Chcesz się czegoś napić, Amy? – zapytał w końcu.

– Ładny wóz – powiedziała, rzucając okiem na pułkownika. Szybko skierowała znów uwagę na detektywa i dodała: – Ładna marynarka.

Calvino uśmiechnął się szerzej. Marynarka swoje robi, przemknęło mu przez myśl. Puścił oko do pułkownika. Zdawał sobie jednak sprawę, że w mniejszym stopniu marynarka, a w większym schludny wygląd i przyjazny uśmiech stanowią dla niej prawdziwą zachętę.

Pratt popatrzył na *ying*, potem na Calvina, a dokonawszy szybkiej oceny sytuacji, skierował się ku wejściu do klubu Saxophone.

– Zobaczmy się w środku – rzucił. Zostali na ulicy tylko we dwójkę.

– Hej, a może masz ochotę na pluszowego misia? Wyciągnął do niej zabawkę, na którą popatrzyła, marszcząc brwi.

– Nie bój się, nie gryzie. Ale jeśli chcesz być całkiem bezpieczna, lepiej nie liź jego oczu.

Wyszczерzyła zęby w uśmiechu i wzięła misia.

– Całkiem ładny. Skąd jesteś?

Przesunęła się o krok, by stanąć pośrodku smugi światła padającego z wejścia lokalu na chodnik.

– Z Nowego Jorku.

Wnikliwsze spojrzenie ujawniło ślady operacji plastycznych jej nosa i brody. A piersi przypominały olbrzymie idealne półkule wytoczone z wosku. W jednym nozdrzu nosiła maleńki kolczyk z brylancikiem, jak gdyby starter zachęcający mężczyzn, aby go powiększyli. Ogólne wrażenie mówiło jasno, że ma się do czynienia z *ying* poszukującą swojej wymarzonej drugiej połówki w klubie jazzowym. Rzuciła mu linę, której koniec posłusznie chwycił, nie pozostawiało jej więc nic innego, jak powoli przyciągnąć go do siebie.

– Jesteś na urlopie?

– Byłem na urlopie, ale sprawy się skomplikowały i teraz szukam sposobu, jak by tu wrócić na wakacje.

– Ambitny cel.

– Przydałaby mi się pomoc. Zaśmiała się krótko.

– To chyba najgorszy sposób podrywu, jaki w życiu słyszałam.

Calvino popatrzył na swoje paznokcie, potem na czubki butów.

– Rzeczywiście marnie wypadłem. Ale może pozwolisz to sobie wynagrodzić?

Chętnie postawię ci drinka.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

– Masz niezłą gadkę. I lubisz jazz?

– Szaleję na jego punkcie.

Znowu zaszczyciła go uśmiechem. Odruchowo nasunęło mu się pytanie: Jak mężczyźni mogą wytrzymać w krajach, gdzie muszą zapomnieć o seksie, wciąż mając przed sobą pół życia? Jak mają się wtedy powstrzymać od samobójstwa, jeśli nie chcą zostać skazani na nieznośną samotność?

– A ja szaleję na punkcie samochodów. Czerwonych i szybkich – powiedziała, spoglądając na mazdę.

– Ja też je lubię – odrzekł.

– Ale to nie jest twój samochód – rzuciła. Uśmiechnął się chytrze.

– Domyślam się, że wiesz, do kogo należy. Też się uśmiechnęła.

– Jak będziesz miły, to może ci powiem.

– Będę miły. Obiecuję – rzekł szybko, chociaż zdawał sobie sprawę, że będzie go to kosztowało znacznie więcej niż tylko pluszowego misia.

Amy ochoczo pociągnęła linę do siebie. Przytrzymał jej drzwi i wszedł za nią do środka. Pomyślał, że czasami mężczyzna dobrze wie, iż kobieta owija go sobie wokół palca, ale on się tym nie przejmował. Ponieważ równocześnie on też owijał ją sobie wokół palca. Dysponowała bowiem informacją, na której mu zależało.

Tak więc wkroczyli w głąb klubu Saxophone, zdając sobie sprawę, że ugoda w zasadzie została zawarta, trzeba było tylko dopisać jeszcze drobnym druczkiem jej warunki.

Przepchnęli się przez tłum przy drzwiach oraz wiszące nad nim, przesłaniające widok kłęby dymu tytoniowego. Później przeszli za kelnerką przez część przeznaczoną dla klienteli stojącej, lawirując między łokciami ludzi i ciężkimi tacami zastawionymi butelkami z piwem. Kobieta podała im jadłospis i wskazała dwa wysokie stołki przy długim, biegnącym łukiem kontuarze, dokładnie na wprost sceny. Calvino popatrzył na zespół. Wzmacniacze były ustawione na tyle głośno, że niektóre częstotliwości aż rezonowały w gardle i klatce piersiowej człowieka. Pośrodku sali tłum, wyraźnie podchmielony prochami i alkoholem, kołysał się w rytm muzyki.

Hałas był taki, że lada chwila mogły popękać bębny w uszach. Ale nikt się tym nie przejmował. Dudniący basowy rytm zdawał się wstrząsać budynkiem w posadach.

Kelnerka nie słyszała, co się do niej mówi. Dopiero za którymś razem otworzyła szerzej usta, powoli cedząc nazwę „Tiger”. Domyśliła się, że chodzi mu o markę piwa. Amy zamówiła Johnniego Walkera black label, i to całą butelkę włącznie z pojemnikiem lodu i shakerem. Chciał jej postawić drinka, tymczasem ona skorzystała z okazji, żeby urządzić istne przyjęcie. Kiedy kelnerka odeszła, dziewczyna przytknęła telefon komórkowy do ucha i oznajmiła rozmówcy, że nie czeka przed wejściem klubu, ale jest już w środku i siedzi przy barze dokładnie na wprost sceny.

– To najlepsze miejsca w tym lokalu! – dodała.

– Możesz przypomnieć, jak ci na imię?! – wrzasnął Calvino, przekrzykując muzykę.

Uniosła oczy do nieba.

– Amy. Już zapomniałeś? – Posadziła misia na kontuarze przodem do sceny.

Calvino zmarszczył brwi. Zawsze miał ten sam kłopot w kontaktach z *ying* używającymi imion farangów: Apple, Anne, Benz. Te z samego początku alfabetu z reguły okazywały się zapowiedzią dużego rozczarowania. Oczywiście żałował, że jej imię wyleciało mu z pamięci, ale było już za późno. Z pewnością zaliczyła go do klasy nieudaczników, czego oznaką mogło być osierocenie pluszowego misia. Pomyślał, że spędzenie nocy z dziewczyną o imieniu Amy zawęziło się dla niego do podobnej skali możliwości jak podczas nocy w Pattai spędzonej w towarzystwie dwóch pilnujących go policjantów.

Idąc za wzrokiem Amy, przyjrzał się zespołowi. Na scenie przykrytej wytartą czerwoną wykładziną pięciu muzyków dawało z siebie wszystko. Solista atakował struny gitary elektrycznej z taką werwą, jakby sam także był podłączony do prądu. Muzycy improwizowali, gitary, keyboard i perkusja riffowały jedną frazę, a po zakończeniu solówki podejmowały ją na nowo w innej tonacji. Solista o długich czarnych kręconych włosach, ze złotymi kolczykami w uszach, głębokim gardłowym głosem śpiewał do mikrofonu, a klawiszowiec z opóźnieniem powtarzał tę samą linię melodyczną. Tłum w barze zdawał się z fascynacją obserwować taniec solisty na scenie.

Z antresoli biegnącej wzdłuż trzech ścian sali ludzie spoglądali z góry na scenę. Na półce zawieszonej na ścianie nad sceną umieszczono wyblakłe, pokryte grubo kurzem i pajęczynami okładki starych winylowych płyt Raya Charlesa i Louisa Armstronga. Po drugiej stronie sceny czteroletnia dziewczynka w sukience z falbankami i srebrnym konfetti we włosach tańczyła na stole. Ubezpieczana przez matkę, która trzymała rozłożone ręce na wysokości jej bioder, wyglądała na uczestniczkę przedstawienia. Przy następnym stoliku siedział pułkownik Pratt. Skinął

głową Calvinowi, wyjmując z futerału swój saksofon i zakładając sobie jego pasek na szyję. Ułożywszy instrument na piersi, pochwycił zaciekawione spojrzenie człowieka siedzącego przy barze obok Calvina. Elegancko ubrany Azjata pozdrowił pułkownika, wznosząc jak do toastu trzymaną w ręku butelkę piwa. Detektyw wiedział, że jest to przedstawiciel komitetu organizacyjnego Jawajskiego Festiwalu Jazzowego, który przyjechał specjalnie, aby się przekonać, czy grający na saksofonie pułkownik tajskiej policji kwalifikuje się do występu w przyszłorocznym programie. Pratt zapomniał go tylko uprzedzić, że jego dzisiejszy występ będzie miał charakter przesłuchania. Calvino z uśmiechem skinął głową pułkownikowi.

Rozejrzawszy się ciekawie po klubowej sali, detektyw ponownie skierował uwagę na Amy, czy jak się tam dziewczyna nazywała, i nawet wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej dłoni, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, zauważywszy, że nie spuszcza wzroku z gitarzysty występującego na środku sceny. Wyglądem skojarzył mu się z chorobliwie wychudzonym ptakiem, nieporadnie wymachującym skrzydłami, chwiejnie przestępującym z nogi na nogę i kiwającym głową na boki, ale wprawnie przebierającym palcami po gryfie gitary. Amy upiła łyczek whiskey ze szklaneczki, którą zaraz wzniosła w toaście w kierunku gitarzysty. Uśmiechnął się do niej. Kilka minut później zjawiała się przy barze trójka przyjaciół Amy, a dziewczyna zapisała swój numer telefonu na podstawce od piwa i popchnęła ją w kierunku gitarzysty.

– Pamiętasz jeszcze czerwony sportowy samochód? – szepnął jej Calvino do ucha.

Odwróciła się od przyjaciół, którzy z zapalem przystąpili do opróżniania butelki Johnniego Walkera.

– To on – powiedziała. – Czerwona mazda należy do niego. – Ruchem głowy wskazała gitarzystę pośrodku zespołu.

Pułkownik Pratt wszedł na scenę, ale pozostał na uboczu, zasłuchany w graną przez zespół frazę. Calvino próbował sobie wyobrazić ptakopodobnego chudzielca zrzucającego Nongluck z hotelowego balkonu. Przyszło mu do głowy, że chyba jeszcze nie widział tak słabo umięsnionego chłopaka. Domyślał się jednak, że w ferworze burzliwej kłótni i on nie miałby kłopotów z przerzuceniem ważącej czterdzieści trzy kilo dziewczyny nad poręczą. Niewykluczone, że tak właśnie doszło do wypadku.

Pratt z zamkniętymi oczami zaczął grać melodię Charliego Parkera, wydymając policzki z takim natchnieniem, jakby chciał się wznieść na poziom, gdzie rodzą się marzenia. Stojąc na scenie, lekko przygarbiony, z saksofonem zawieszonym na szyi, ani trochę nie przypominał wysokiego rangą oficera policji. Przesuwał się powoli wzdłuż krawędzi sceny, potrząsając głową, potem zatrzymał się na chwilę, lekko ugiął kolana i odchyliwszy się do tyłu, mocniej zadął w saksofon. Calvino wielokrotnie widział, jak on gra, ale pierwszy raz miał okazję podziwiać go podczas takiego występu. Tylko dzięki swoim płucm mógł wiernie odtwarzać kompozycję

Parkera, a pułkownik w uniesieniu niemal prznosił się do miejsca, gdzie wielki Charlie wciąż jeszcze grał. Ale do jakiegokolwiek świata Pratt prznosił się swoją muzyką, wyglądało na to, że porywa słuchaczy razem ze sobą. Nawet krytyk jazzowy z Dżakarty lekko postukiwał palcami o brzeg kontuaru w rytm melodii. Na sali ucichły wszelkie rozmowy, wszyscy wpatrywali się w pułkownika i jego saksofon, z którego płynęły w powietrze czyste emocje.

Po zakończeniu występu Pratt wraz z całym zespołem kłaniali się kilka razy, żegnani owacjami na stojąco. Zaraz potem na scenę wkroczył inny zespół. Przybysz z Dżakarty tylko pokazał pułkownikowi pięść z kciukiem wyciągniętym ku górze. Matka z czteroletnią dziewczynką także weszła na scenę, jak się okazało, miała brać udział w kolejnym występie. Była śpiewaczką, a jej córeczka śpiewała i tańczyła. Pratt podszedł do baru razem z chudym gitarzystą, który trzymał w ręku podstawkę od piwa z zapisanym numerem telefonu Amy. Z bliska wyglądał jak garuda, mityczny ptak, pikujący z wysuniętymi szponami. Calvino popatrzył na gitarzystę, a następnie na pułkownika.

– To on jeździ tym czerwonym sportowym autem – szepnął.

Ta informacja kosztowała go butelkę szkockiej whiskey.

Gitarzysta, pochylony w bok i oparty łokciem o bar, zaczął żartować z dziewczyną i jej przyjaciółmi. Pratt zapytał, czy mógłby z nim zamienić parę słów na ulicy. Calvino wyszedł już wcześniej i stał na chodniku obok czerwonej mazdy, obserwując stamtąd, jak pułkownik wychodzi z klubu w towarzystwie chudzielca znanego jako Nop.

– Ładny samochód – powiedział detektyw, opierając się o błotnik.

– Czy byłeś w Pattai w ubiegły wtorek wieczorem? – zapytał Pratt.

Chudzielec wydał wargi, jakby nie mógł sobie od razu przypomnieć, gdzie był we wtorek.

– Możliwe, że byłem. Czemu pan pyta?

Pułkownik pokazał mu swoją policyjną legitymację.

– W którym hotelu nocowałeś?

– Byłem z przyjaciółką – odparł cicho, grzecznie, pełen pokory, jakby nagle stał się zupełnie innym rodzajem ptaka.

– Nie o to pytałem. Jak się nazywał hotel, w którym byliście?

– Nie pamiętam. W każdym razie byliśmy w jednym z hoteli przy Beach Road.

– I tam nocowałeś z kobietą?

– A jeśli tak, to co?

– Jak ona się nazywa?

– Nie mogę.

– Czemu nie możesz?

– Powiedzieć, boby mnie zabiła – pisnął chudzielec.

– A ty czasem kogoś nie zabiłeś? – wtrącił Calvino. Chłopak się skrzywił.

– Zwariowałeś, człowieku? Dlaczego miałbym kogokolwiek zabijać?

Detektyw rozłożył szeroko ręce.

– Bo mi nie wyglądasz na *panya nim*.

Zrobiona przez faranga aluzja co do braku wszystkich klepek w głowie nie przypadła chudzielcowi do gustu, ale w tych okolicznościach nie mógł ostrzej zareagować.

– Z moją głową jest wszystko w porządku – burknął.

– Khun Nop, zawsze możemy się spotkać w komendzie, żeby to dokładnie sprawdzić – powiedział pułkownik.

Lubił wtrącane przez Calvina tajskie określenia, gdyż przynosiły podobny skutek co szybki prawy sierpowy, to znaczy chyba każdego Taja w jednej chwili posyłały na liny. Ale w tym wypadku Pratt uważał ponadto, że ocena gitarzysty wyrażona przez jego przyjaciela była jak najbardziej trafna. Tamten wyglądał teraz bardziej jak Nop złapany na haczyk niż jak ptak garuda gotowy przejąć kontrolę nad słuchaczami.

17

Pułkownik nigdy się nie zjawiał w biurze Calvina bez jakiegoś drobnego upominku dla dziecka Ratany. Manee, żona Pratta, kupowała ubranka, zabawki i coś do zjedzenia, zawsze dbając o to, by jej mąż był odpowiednio wyposażony. Tym razem była to pacynka w kształcie żółtej aksamitnej kaczki z zielonymi oczkami i czerwonym szmacianym jęczorkiem. Manee kupiła ją w Siam Paragon. Wręczył zapakowany prezent Ratanie, po czym przykucnął obok kojca i popatrzył przez muślinową zasłonkę na śpiące dzieci. W przeciwieństwie do Calvina, nigdy nie miał kłopotów z identyfikacją John-Johna.

Ratana z takim przejęciem wpatrywała się w srebrzysty papier pakowy, aż detektyw się odezwał:

– W środku coś jest.

Kobieta ostrożnie wsunęła czubek noża do listów pod taśmę samoprzylepną, przecięła ją i odchyliła brzeg opakowania. Z takim samym pietyzmem rozpostarła brzegi papieru, po czym wsunęła sobie pacynkę na dłoń i poruszała dziobem kaczki.

– John-Johnowi na pewno bardzo się spodoba. Proszę przekazać Khun Manee moje serdeczne wyrazy wdzięczności. – Pospiesznie zsunęła zabawkę z ręki i wyciągnęła ją w stronę pułkownika. – Niech pan mu ją pokaże.

Pratt przystawił kaczkę do muślinowej zasłony i poruszał jej łebkiem na boki, żeby przyciągnąć uwagę niemowlęcia.

– Jest już nakarmiony?

Ratana uśmiechnęła się z zadowoleniem. Maleństwo energicznie wymachiwało nóżkami, a z kącika jego ust ściekała stróżka śliny.

– Bardzo mu się podoba ta zabawka – oceniła. Calvino przysiadł na brzegu jej biurka.

– To prawda – wtrącił.

Ale dla Ratany nic nie mogło być jasne i klarowne, jak zwyczajna, spontaniczna radość dziecka. Wciąż musiała się doszukiwać jakichś znaków kryjących się za jego

reakcjami.

– Pewno w poprzednim życiu obudziło go ze snu kwakanie kaczki, gdy dom stanął w płomieniach. Był bliski śmierci, i to kaczka go ocaliła – powiedziała.

– Albo po prostu lubi ładne maskotki – dorzucił rzeczowo Calvino.

Pułkownik Pratt zdjął pacynkę z dłoni i podał ją Ratanie.

– Teraz niech pani spróbuje.

Kobieta wsunęła pacynkę na dłoń i pochyliła się nad kojcem. Jej synek energicznie zamachał rączkami i nóżkami niczym żółwik przewrócony na grzbiet i próbujący się obrócić. Grawitacja macierzyństwa błyskawicznie ściągnęła Rataną do świata, w którym nie liczy się nic oprócz dziecka, gdzie każdy czyn, każda decyzja czy myśl zaczynają się i kończą na nim. Calvino nie chciał czuć się wyłączony z tego jej nowego świata, ale to wrażenie było silniejsze od niego. I tak był szczęśliwy, że jego sekretarka w końcu doszła do tego, o czym marzy każda tajska kobieta, to znaczy została matką. W tym świecie macierzyństwo było wielką gratyfikacją i świętością.

– Pułkownik zakwalifikował się do występu na Jawajskim Festiwalu Jazzowym – rzekł.

Ratana wysoko uniosła brwi.

– To jeszcze nic pewnego – rzekł skromnie Pratt, jak zawsze starając się nie okazywać żadnych emocji.

– Przecież ten krytyk zakochał się w twojej grze. Urzekłeś nią publiczność w klubie.

Ratana uśmiechnęła się.

– My także jesteśmy pod wrażeniem.

Pratt przeszedł do gabinetu detektywa i usiadł przed jego biurkiem, kładąc na kolanach aktówkę. Otworzył ją, ale nie podniósł wieka.

– Gdyby zadzwonił Casey, niech zostawi wiadomość – zwrócił się Calvino do Ratany.

– Dzwonił już dwa razy z samego rana.

Westchnął ciężko, zerknął na pułkownika i mruknął:

– Nie uwierzyłbyś, co to za facet.

Pratt był jednak gotów wierzyć we wszystko, co usłyszy od detektywa na temat jednego z jego klientów. Wiedział, że kłopot ze zleceniodawcami pokroju Caseya polega na tym, iż wychodzą z założenia, że kupują detektywów na swoje potrzeby, a nie tylko ich profesjonalne usługi. Rozmowa z takim człowiekiem stanowiła trudny wybór między pozycją wszechwiedzącego despoty o rozdętym ego a znerwicowanym ojcem nakłaniającym dziecko do zjedzenia nielubianych warzyw.

Po wczorajszym wieczornym przesłuchaniu ptakopodobnego chudzielca pułkownik wrócił do swojego biura i zakopał się w papierkowej robocie. Dlatego teraz bez słowa zasłał całe biurko detektywa arkuszami kalkulacyjnymi, zdjęciami

oraz komputerowymi wydrukami maili. Calvino zamienił się w słuch, gdy pułkownik zaczął mu relacjonować chronologię wydarzeń. Zgodnie z zapisami służby parkingowej, czerwony sportowy samochód wjechał na parking hotelowy o 15.39 po południu, a wyjechał z niego w nocy o 1.12. Zatem Calvino leżał już w łóżku o tej porze, kiedy czerwona mazda z rykiem silnika wyjechała z hotelowego parkingu na ulicę. O szóstej po południu następowała zmiana służby hotelowej, lecz dwóch z jej pracowników bardzo podobnie opisało właściciela sportowego auta. Obaj świetnie pamiętali, że była to czerwona mazda z numerami rejestracyjnymi z Bangkoku, którą prowadził młody Taj w dużych ciemnych okularach i kapeluszu z szerokim rondem, o wyglądzie filmowego gwiazdora. Nikt nie miał okazji dobrze mu się przyjrzeć. Policjanci pokazali świadkom setki zdjęć możliwych podejrzanych, ale żaden nie został zidentyfikowany, przez co dochodzenie utknęło w martwym punkcie.

Gliniarze, których ugościł litrową butelką wódki, błyskawicznie zasnęli kamiennym snem. A pułkownik przesłał pocztą elektroniczną znajomemu z pattayskiej policji zdjęcie gitarzysty z klubu jazzowego, ten pokazał je ochroniarzom z podziemnego parkingu hotelowego i obaj rozpoznali w chudzielcu kierowcę sportowej mazdy.

– Podobno nie mieli co do tego żadnych wątpliwości – dodał Pratt.

– To jednak świadczy tylko, że był w hotelu, ale niekoniecznie w jej pokoju.

– Próbujemy odszukać boya odpowiedzialnego za to piętro, który pracował w dniu poprzedzającym twój przyjazd i wieczorem w dniu śmierci dziewczyny.

– Ja bym się skoncentrował na recepcjoniście, który przyjął zlecenie zamiany mojej rezerwacji na konkretny apartament.

Pułkownik uśmiechnął się słabo.

– A jak myślisz, od czego zaczęliśmy?

Zza zamkniętych drzwi doleciał ich dzwonek telefonu z sekretariatu. Ratana odebrała i oznajmiła rozmówcy, że detektywa nie ma w biurze. Po jej lodowatym, beznamietnym tonie łatwo było się domyślić, że to znowu dzwoni Casey.

– Gitarzysta na pewno był sam w samochodzie? – zapytał Calvino.

Pułkownik przytaknął ruchem głowy.

– Nikt nie zauważył, aby ktoś z nim był, gdy wjeżdżał na parking ani gdy wyjeżdżał z niego po północy. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Trudno byłoby nie zauważyć pasażera w sportowym dwumiejscowym aucie.

Obaj wiedzieli, że w tamtym modelu mazdy bagażnik nadaje się do schowania co najwyżej sześciopaku piwa, dużej paczki chipsów i kilku bananów.

Calvino uśmiechnął się.

– W tym kraju mieszka dużo ludzi niezbyt okazałej postury, gdybyś o tym zapomniał.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Detektyw pochylił się nad biurkiem, wystukał na klawiaturze komputera kilka słów, po czym obrócił monitor, żeby Pratt mógł zobaczyć jego ekran.

– Ten chłopak przyciąga w sieci większą uwagę niż początkujący miotacz w drużynie Yankesów. – Na ekranie wyszukiwarki pojawiły się zdjęcia chudzielca w towarzystwie kilkunastu różnych kobiet, bez wyjątku młodych i pięknych, z uśmiechami żywcem wyjętymi z reklamówek producentów pasty do zębów i lśnącymi czarnymi włosami.

– Znalazłeś Nongluck na którymś z tych zdjęć? – zapytał szybko pułkownik.

Calvino pokręcił głową.

– I nie sądzę, żebym znalazł. Ale przecież nie każde zdjęcie tego lalusia trafia do internetu.

– Przesłuchiwaliśmy go przez trzy godziny, Vincent. Jeśli wierzyć jego opowieściom, chciał się chociaż na krótko wyrwać z miasta. Z „wielkemiejskiego zgiełku”, jak powtarzał, używając określenia farangów. Policja z Pattai potwierdziła, że zameldował się w hotelu Rama Gardens odległym o parę kilometrów od twojego hotelu. Skorzystał z jego podziemnego parkingu tylko dlatego, że blisko było stamtąd do restauracji i do plaży. Niemniej wyprawa do Pattai w pojedynkę wydaje się dziwna. Jak pamiętasz, na początku wspominał o kobiecie, z którą spędził tam noc, lecz gdy zacząłem go o to wypytywać, nagle zmienił zdanie i zaczął opowiadać o kilku zwariowanych fankach, które bardzo chciały się z nim spotkać. Zaprzeczył jednak, jakoby znał Nongluck. Odparł stanowczo, że nie wie, o kogo nam chodzi. A co się tyczy Apicharta, podobno znał go wyłącznie z artykułów w gazetach. Tamtego dnia, a zwłaszcza wieczoru, mnóstwo ludzi wchodziło i wychodziło z hotelu. On zaś przysięga, że był w tym czasie na plaży, a na drugą stronę Beach Road przeszedł tylko po to, by wejść do restauracji. To fakt, że personel restauracji go pamięta. Ale przecież jest znaną osobą. W lokalnym świątku miłośników jazzu uchodzi nawet za gwiazdę. Poza tym nie miał żadnego motywu do popełnienia zbrodni.

– Więc mam rozumieć, że on odpada?

Pratt, najwyraźniej zmęczony, także tym, że popycha się go w kierunku, w którym nie chce iść, pokiwał głową i uciekł spojrzeniem w bok. Sprawiał wrażenie, jakby szukał słów, by wyjaśnić, dlaczego poszukiwania zaginionego Birmańczyka zostały na tajskiej łodzi patrolowej odwołane z powodu braków w wyszkoleniu załogi. Nie musiał mówić, że zaufani ludzie zostali przegrupowani z powodu nadchodzących wyborów. Rzeczywistość musiała się ugiąć przed tym, że siły porządkowe wycofywały się wobec naporu rzeczywistości politycznej. Jak więc można było oczekiwać po farangu, nawet mieszkającym tu tak długo jak Calvino, że zaakceptuje decyzje nie do zaakceptowania tylko dlatego, że wydają się konieczne?

– Nie znaleźliśmy dotąd nic, co by łączyło Apicharta z Nongluck. Przynajmniej

żaden taki związek nie wyłonił się na powierzchni. Potrzebowałbym więc mocniejszych poszlak, które uzasadniłyby dalsze poszukiwania w tym zakresie. Jak dotąd takich nie widzę. A ty?

– Co on powiedział? Że wybrał się do Pattai, by połączyć samotnie po plaży i samemu zjeść obiad w restauracji, prawda? Jak ci to pasuje do tajskiego stylu życia? Przecież Tajowie są zwierzętami stadnymi, którzy traktują miłośników samotności jak socjopatów.

– Niemniej tak właśnie zeznał, a ja nie dostrzegłem w jego zeznaniach żadnych luk.

Z sekretariatu doleciał głośny dziecięcy pisk, po którym nastąpiła cisza, a chwilę później rozległ się stanowczy głos Ratany. Trzasnęły drzwi od korytarza i jakiś mężczyzna agresywnym tonem zażądał spotkania z Vincentem Calvino. Ten od razu rozpoznał po głosie Caseya.

Ratana uchyliła drzwi, wetknęła głowę przez szparę i obwieściła przybycie pana Caseya. Calvino pospiesznie uniósł dłoń z wysuniętymi dwoma palcami, oznaczającymi dwie minuty. Jednocześnie w sekretariacie zaczęło płakać dziecko. Niewiele było potrzeba, żeby inne dzieci natychmiast przyłączyły się do chóru, lecz gdy tylko sekretarka stanęła przy krawędzi kojca, przenikliwe soprany rodem z kompozycji Wagnera przemieniły się w rozkoszne chichoty z operetek Gilberta i Sullivana. Najwyraźniej wtargnięcie Caseya przestraszyło niemowlęta. Widocznie zaliczał się do ludzi, na których nawet psy szczekają, wycofując się ze strachu. Calvino poczuł więc pewne współczucie dla niemowląt, a także rodzaj zagadkowej złości, jaką zawsze w nim wzbudzał Casey.

Pułkownik zaczął pospiesznie zgarniać papiery i zdjęcia do aktówki.

– Jaki jest punkt wyjścia? – zapytał Calvino. – Czyżby policja chciała uznać śmierć Nongluck za samobójstwo?

– Nie mówi się, że było to samobójstwo. Na razie jest zakwalifikowana jako wypadek ze skutkiem śmiertelnym, do którego doszło w podejrzanych okolicznościach. Jeśli nie zdobędziemy niezbitych dowodów przemawiających za koniecznością prowadzenia śledztwa, Vincent, nic więcej nie da się w tej sprawie zrobić.

Oznaczało to, że śmierć Nongluck zostanie zaliczona w poczet tych setek nierozwikłanych spraw, które wpadały w czarną dziurę zwaną „sprawami niewyjaśnionymi”. Nie było wielu powiązań Calvina ze śmiercią dziewczyny. A według Pratta zidentyfikowanie właściciela sportowego auta zostawionego na parkingu hotelowym też nie stanowiło wystarczającego dowodu na zaangażowanie gitarzysty w zabójstwo. Śledztwo zdawało się więc rozszczepiać na kilka różnych niezależnych wątków, z których żaden nie pasował do pozostałych.

– Proszę mu powiedzieć, że przyszedł Casey w bardzo pilnej sprawie – doleciał

z sekretariatu stanowczy męski głos.

Pułkownik Pratt spojrział na Calvina. Ten wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Czy wykonany wyrok na Kawdorze? – odezwał się Casey podniesionym, teatralnym głosem.

– O co mu chodzi? – zdziwił się Calvino.

– Chyba stara się pozować na znawcę Szekspira – odparł pułkownik.

Detektyw do tej pory nie znał Caseya od tej strony. Pratt szybko skończył pakować zdjęcia i dokumenty do aktówki i chciał wyjść z gabinetu detektywa, lecz Casey zastąpił mu drogę w przejściu do recepcji. Miał na głowie czapkę baseballową i duże ciemne okulary, z rękoma głęboko wbitymi w kieszenie ostentacyjnie żuł gumę.

– „Nie sposób z oblicza dociec usposobień duszy. Ja w tym człowieku pokładałem ufność najzupełniejszą, nieograniczoną” – mruknął Pratt, cytując monolog Dunkana z *Makbeta* Szekspira.

– To powiedział król Dunkan w *Makbecie* – oznajmił Casey z wyraźną dumą. – Słyszałem, że jest pan miłośnikiem Szekspira.

– Więc pozostaje mi tylko zapytać, czemu mając do dyspozycji tak rozległą siatkę wywiadowczą, decyduje się pan na korzystanie z usług prywatnego detektywa?

Caseyowi to pytanie wyraźnie się nie spodobało. Poruszał dolną szczęką, jakby walczył z olbrzymią porcją gumy do żucia. Najwyraźniej Pratt peszył go z jakiegoś powodu.

– Pułkowniku, zadzwonię do pana później po południu – odezwał się Calvino.

Mimo to obaj goście jeszcze przez jakiś czas mierzyli się wzrokiem, zanim wreszcie Casey odsunął się z przejścia, udostępniając Prattowi drogę do sekretariatu, gdzie Ratana pochylała się nad kojcem niczym kwoka złąkniona o przyszłość swoich kurcząt. Miała na ręku pacynkę w kształcie kaczkę, którą próbowała zabawiać synka, lecz jej aria Kaczora Donalda ucichła w pół słowa. Niemowlęta w kojcu zaczęły coraz głośniej wyrażać swoje niezadowolenie, aż ich głosy zablokowały Calvinowi drogę do strefy logicznego myślenia. Ledwie zarejestrował trzask drzwi zamykających się za wychodzącym pułkownikiem. Wrócił do swojego pokoju, przeczesując palcami włosy i zastanawiając się, od kiedy zaczął je zaczesywać gładko do tyłu. Ponownie usiadł za biurkiem. Przypomniał sobie nagle, w jaki magiczny sposób Pratt poprzedniego wieczoru wplótł poezję do swojego występu na scenie. Ale występ saksofonisty należał już do przeszłości, a dzisiaj pułkownik znowu był wysokim rangą oficerem policji i działał w świecie, w którym rytm krańcowo różnił się od poezji powszechnie kwalifikowanej jako dramat.

– To twój pieprzony przyjaciel. Też mi coś! – wycedził Casey. – Nawet Szekspira zna tyle, co ja tajski! Ale nie przyszedłem tu rozmawiać o twoim pułkowniku. Chcę wiedzieć, czego się dowiedziałeś o tej dziwce Somporna. – Wypluł gumę, zrolował ją

w palcach, po czym sięgnął po arkusz papieru maszynowego z biurka Calvina. Zapakowawszy w niego gumę, zmiął kartkę w dużą kulkę i cisnął ją w kierunku kosza na śmieci, ale nie trafił.

Należał do tych klientów, którzy nie dbają o uprzejmości, tylko domagają się bezpośredniej rozmowy o sprawach służbowych. W dodatku odznaczał się wyjątkową umiejętnością natychmiastowego przeładowania atmosfery i wywoływania burzy z piorunami.

– Minąłeś się w drzwiach z wysokim rangą oficerem miejscowej policji – przypomniał mu Calvino. – A takie zachowanie jak twoje nie jest dobrze widziane w tym kraju.

– Pułkownik czy generał, dla mnie to jedno i to samo. Przestali robić na mnie wrażenie po zamachu z 1993 roku. Więc może oszczędź sobie dla innego klienta tej próżnej gadki, jaką to ważną osobistością jest tutejszy oficer policji. – Casey przeciągnął palcami po swoim trzydniowym zarostcie, spoglądając wyzywająco na detektywa. – Co masz dla mnie? Bo chyba znalazłeś czas na śledzenie tej dziwki, co nie?

Calvino zlekceważył zaczepkę niczym wprawny bokser robiący unik i natychmiast przyjmujący postawę obronną, żeby uniknąć nokautującego ciosu w szczękę.

– Spotkałeś się z gitarzystą jazzowym o nazwisku Nop? – Calvino zdołał sobie przypomnieć, jak chudzielec naprawdę się nazywa, bo pseudonim Ptasznik, jakim go obdarzył, nie musiał być powszechnie znany.

Casey wybałuszył na niego oczy.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, do cholery.

– To może słyszałeś o młodej Tajce imieniem Nongluck? Albo o biznesmenie Apicharcie? Znasz którąś z tych osób?

– Co to ma być? Zabawa w dwadzieścia pytań? Pierwszy raz słyszę o Tajce, która miałaaby w imieniu „luck”. Nie znam też żadnego Dope’a grającego na gitarze. O jakiego tajskiego biznesmena ci chodziło? Jak on się nazywa? Applecart? Nigdy o nim nie słyszałem.

Casey lepiej pamiętał cytaty z Szekspira niż tajskie imiona czy nazwiska. Jego paskudny charakter w połączeniu z błędami wymowy sprawiał, że trudno mu było wzbudzać lęk. Zagapił się na Calvina takim wzrokiem, jakby miał uzasadnione podejrzenia, że detektyw próbuje go skołować, zawrócić mu w głowie i zdezorientować tymi uwagami na temat jakiegoś naćpanego gitarzysty, dziwki oraz biznesmena. Zebrał w pośpiechu jakąś bandę cywilów i próbował się nimi zasłaniać. A Casey nie lubił, gdy podobne sztuczki stosuje wobec niego ktoś, kto nie nosi munduru.

Calvino puścił mimo uszu nieprzyjemny ton klienta. Opryskliwość u kogoś

takiego jak Casey była mniej więcej odpowiednikiem dobrego nastroju u innych ludzi. W końcu nie było sensu wytaczać dział przeciwko wieloletnim pokładom żalu i gniewu.

– Nazywa się Nop. Jest też znany jako Ptasznik. I prawdopodobnie ma coś wspólnego z Kocicą. Pytam, czy wiesz może, co łączy tych troje ludzi, ponieważ korzystasz z usług wielu ulicznych informatorów. – W większości wypadków były to dość rozległe siatki donosicieli nastawionych na szukanie tropów prowadzących do dużych pieniędzy. Calvino podejrzewał, że za tym wszystkim może się kryć coś mniej przyziemnego, ponieważ Kocica miała własne źródło niezłych dochodów, a Ptasznik stworzył istne prywatne imperium znajomości w świecie rozrywki.

– Pieprzą się ze sobą? – zapytał Casey, który albo był świetnym aktorem i celowo powoli zdjął swoje ciemne okulary, żeby zademonstrować zdumienie, albo ta wiadomość go zwyczajnie zaskoczyła.

Calvino uśmiechnął się, gdy pojął, jakie to mniej przyziemne aspekty chodzą po głowie jego rozmówcy.

– Tego nie mogę potwierdzić. Być może tylko uczęszczają razem na zajęcia z medytacji albo rozstawiają kwiaty na potrzeby kampanii wyborczej Somporna. Zresztą i to nie jest pewne.

Ptasznik pojawiał się w niewłaściwych miejscach i o niewłaściwej porze. Był w hotelu, w którym Nongluck wypadła z balkonu, oraz w mieszkaniu Kocicy. Późnymi popołudniami parkował swoją czerwoną sportową mazdę w podziemnych parkingach hotelowych. Calvino doszedł więc do wniosku, że jak na muzyka chłopak pojawia się w towarzystwie kobiet przeżywających trudności zdecydowanie za często, by od razu uznać to za zbieg okoliczności.

Natomiast Casey pomyślał, że być może nie docenił prywatnego detektywa. Dla jego planów było to z jednej strony dobre, ale z drugiej złe. Zaczął od tego, czego Calvino zdołał się do tej pory dowiedzieć: Kocica chadzała własnymi drogami za plecami Somporna. Zniweczyło to przygotowany zamach, ale pozwoliło uwzględnić w równaniu młodego muzyka jazzowego.

– Chcę wiedzieć, czy Somporn jeszcze się z nią spotyka – rzekł.

– Spotkają się w najbliższy czwartek.

– Jesteś tego pewien? Do wyborów zostało już niedużo. – Zmrużył oczy i przygryzł wargi, czekając na odpowiedź. – Muszę mieć pewność. Nie wystarczy mi „może” ani „jeszcze się zastanawia”. – Kiedy spędziło się taki kawał życia na tyłach linii wroga, myślało się przede wszystkim o zapewnieniu sobie drogi ucieczki oraz pomocy ludzi zdolnych przeprowadzić człowieka przez tę linię.

Calvino wstał, odwrócił się i wyjrzał przez okno. Przed budynkiem stała furgonetka, posłaniec przywiózł papier maszynowy do mieszczącego się na parterze biura tłumaczeń. Wyglądało na to, że biznes idzie nieźle.

Odwrócił się z powrotem do Caseya.

– Przecież to nie jest umówiona wizyta na operację serca. Ona jest tylko jego kochanką. Możliwe, że coś mu wypadło i odwołał spotkanie. A może ona dostała miesiączki. Chyba wiesz, że takie rzeczy zdarzają się co miesiąc, prawda? Albo jemu trafiła się niespodziewana konferencja prasowa czy konieczność wygłoszenia jakiejś mowy. Wiele rzeczy mogło się zdarzyć. Z tego, co wiem, zaplanowali spotkanie na czwartek, na późne przedpołudnie.

– Założyłeś jej podsłuch telefoniczny? – W tym dążeniu do ciągłej presji Casey przypominał dzikie zwierzę bez przerwy liżące starą ranę, żeby się nigdy nie zagoiła.

– Mam możliwość słyszeć każde jej słowo.

Klient w ogóle nie wyczuł ironii. Na swój sposób Calvino zazdrościł mu możliwości obracania się w uproszczonym świecie dosłowności.

– Więc gdybyś usłyszał cokolwiek, co będzie dotyczyło najbliższego zaplanowanego spotkania, od razu dzwoń do mnie. Ile jestem ci winien? – Casey wyciągnął plik banknotów.

Zawsze w ten sposób załatwiał sprawy z cywilami, których traktował jak horde żądną wyłącznie forsy i gotową wyc w nocach do księżyca, jeśli w jej mniemaniu mogłoby to sprowadzić deszcz szeleszczących banknotów. Ludzie, z którymi służył, kierowali się innym kodeksem, a w nim pieniądze nie były najważniejsze. Najważniejszy był honor. Calvino napisał na kartce „czterdzieści tysięcy bahtów” i położył ją przed nim.

– Dorzuc jeszcze pięćdziesiątkę za papiery, które wyrzuciłeś. Będę musiał je drugi raz wydrukować.

Casey odliczył czterdzieści banknotów tysiącbahtowych i dołożył do tego setkę.

– Reszty nie trzeba.

Calvino usłyszał, jak Ratana westchnęła z ulgą po wyjściu Caseya. Wszedł do pokoju recepcyjnego. Dłonią, na którą miała nasadzoną żółtą pacynkę od pułkownika Pratta, wskazała drzwi i naśladując głos Kaczora Donalda, wychrypiąła:

– *Jai dam*. Ten człowiek jest bardzo *jai dam*. Detektyw przypomniał sobie błyskawiczną reakcję Pratta, gdy Casey stanął nad nim, ostentacyjnie żując gumę i obrzucając go wyzywającym spojrzeniem. Bardzo mu się podobał sposób, w jaki pułkownik przygwoździł przeciwnika do ziemi. „Nie sposób z oblicza dociec usposobień duszy”. Uważał to za nadzwyczajną umiejętność Pratta, który błyskawicznie potrafił dopasować cytaty z Szekspira zarówno do drobnych złodziejasków, jak i do skończonych drani, jacy stawali mu na drodze.

Ratana skwitowała Caseya na swój tajski sposób. Tutaj pojęcie „czarnego serca” było tym, czego nikomu się nie życzyło. Oznaczało ono człowieka zbratanego ze złem i każdy, kto wchodził w drogę takich ludzi, musiał za to zapłacić. Moi znajomi okazują się bardzo wprawnymi znawcami charakterów, pomyślał Calvino. Dlatego

ostrzegali mnie, żebym nie ustawiał trumny przed drzwiami Apicharta. Obiecał sobie na drugi raz lepiej słuchać.

Dzieci już się uspokoiły, ciszę biura zakłócały tylko od czasu do czasu jakieś kasznięcia czy puszczenie bąka. Zniknęło zagrożenie, jakie pojawiło się razem z Caseyem, które instynktownie wyczuwały. Ratana trzymała na rękach John-Johna, tuliła go do piersi, pocałowała niemowlę w policzek i wtuliła nos w zagięcie jego szyi.

Zdarzali się klienci, których nie lubiła. Byli i tacy, na których widok cierpła jej skóra. Na szczęście do rzadkości należeli ci, którzy według niej ciągnęli za sobą lodowaty cień, uwięzieni w rozległej sieci kłamstw, mimo że desperacko próbowali się z niej wydostać. Jej zdaniem Casey zaliczał się do całkiem wyjątkowej kategorii ludzi, którzy nie przejawiali nawet najmniejszej ochoty ucieczki ze swojego tajemnego świata.

Usiadłszy z powrotem przy biurku, Calvino założył skórzaną uprząż z podramienną kaburą mieszczącą policyjny rewolwer kalibru 9,65 milimetra. Rozmyślał o tym, że Casey pozostawia po sobie dziwne wrażenie człowieka, który sam siebie rani, robi z siebie ofiarę przekonań i poczynań mogących go jedynie doprowadzić do samozniszczenia. Większość jego klientów pochodzących z Zachodu próbowała ukryć coś wstydliwego. Dla niego takie uczucia były czymś normalnym, rozumiał, że trudno jest się uwolnić od splamionej reputacji, bo gdy wieści o niej rozchodziły się wśród mieszkających w Bangkoku emigrantów, człowiek był skończony. Ale rany Caseya były bardzo głębokie i zakażone. Zaogniały je wspomnienia o zamordowanym synu, ewentualne ich wyleczenie – a więc i reputacja – zależało od umiejętności wyrównania rachunku krzywd i dopóki się to nie stało, miotająca człowieka wściekłość brała górę nad uprzejmością, dobrymi obyczajami i tolerancją.

18

Córka pszczelarza, Wan, siedziała na plastikowym stołku przed lustrem i rozczesywała włosy, oparta łokciem o brzeg umywalki. Stojące za nią dwie inne tancerki sprawdzały w lustrze swój makijaż. Należący do Wan plecak w pomarańczowo-czarne pasy leżał u jej stóp. W środku miała cały swój dobytek. Jak pozostałe *ying* na zapleczu baru Wan była naga. Zdążyła się pozbyć wrodzonej niechęci do ukazywania się nago obcym osobom i nie odczuwała już wstydu z powodu obnażania się w miejscu publicznym. Atmosfera i warunki panujące w barze pozwoliły nawet jej, dziewczynie z prowincji, całkowicie uwolnić się od zażenowania.

Kolejna *ying* rozsunęła zasłonkę z koralików i zawołała:

– *Farang ma laew!*

Oznaczało to, że do baru wszedł właśnie Jarrett. Zdumiona Wan uniosła brwi i po raz ostatni przejrzała się w lustrze. Na tę chwilę czekała. Nadal nie ruszając się ze stołka, zaczęła rozmyślać, czy powinna teraz ubrać się i wyjść z baru, czy zgodnie z planem rozpocząć swój taniec na scenie, czy też dalej rozczesywać włosy przed lustrem i czekać na jakikolwiek znak przychylności losu.

Postanowiła, że pozwoli Jarrettowi zdecydować o swoim losie. Jest dobrym człowiekiem, pomyślała z uśmiechem, odkładając szcnotkę. Spełniło się jej przeczucie, że jeszcze go zobaczy.

To Jarrett zaproponował, by zrobić sobie przerwę i wyskoczyć na drinka. Tracer podejrzewał zresztą, że kolega nie może zapomnieć o tej dziewczynie. Najwyraźniej załazła mu za skórę, jemu nie pozostało więc nic innego, jak pójść do baru razem z nim i dopilnować, żeby nie wplątał się w żadne kłopoty. Mógł na przykład zostać wzięty za kogoś innego, w końcu zdarzały mu się już takie przygody. Między sobą rzadko wracali w rozmowie do tych wypadków, co nie miało większego znaczenia, skoro inni wciąż do nich nawiązywali. Przykład stanowiła gazeta „Hua Hin Today”, którą Casey zostawił w mieszkaniu. Na pierwszej stronie przykuwał wzrok artykuł na

temat niewyjaśnionego zamachu bombowego w Narathiwat, wzbogacony o zdjęcie nadpalonego wraku pikapa.

Reno, właściciel baru, wskazał im wolne stołki i kazał kelnerce przynieść dwa zimne ciemne piwa belgijskie dla jego przyjaciół. Jarrett i Tracer usiedli obok siebie przy najdalszym końcu kontuaru, bo w ten sposób mogli obserwować drzwi lokalu, będąc zarazem odwróceny plecami do ściany. Ktoś musiałby wiedzieć, gdzie ich szukać, żeby wypatrzeć siedzących w głębi sali.

Jarrett szybko przyjrzał się *ying* tańczącym na scenie, ale nie zobaczył wśród nich córki pszczelarza.

– Nie martw się – uspokoił go Reno. – Wan jest na zapleczu, robi sobie makijaż i czeka na ciebie.

Kelnerka przyniosła na tacy dwie butelki z piwem i rozlała je do szklanek. Jarrett obejrzał się na zasłonkę z koralików wiszącą w przejściu na zaplecze.

– Donikąd się nie wybiera – dodał Reno. – Jak się sprawowała? Inny klient na nią narzekał.

Nie to Jarrett chciał usłyszeć. Tracer uniósł swoją szklankę w kierunku jednej z dziewcząt, która zastygła bez ruchu z ręką zaciśniętą na chromowanej rurze, jakby była mimem udającym posąg. Było to jednak mylne wrażenie, gdyż tylko zmęczyła się tańcem, a ponieważ czarnoskórzy bardzo rzadko odwiedzali ten bar, zagapiła się na Tracera, jakby pierwszy raz w życiu widziała czarnego człowieka.

– Wan mówiła, że zaszczepiłeś jej w głowie zwariowany pomysł wyjazdu w rodzinne strony i zajęcia się hodowlą pszczół. Ona i apiologia? Chyba żartujesz! – Reno wycedził słowo „apiologia”, jakby to było wulgarne przekleństwo. – Powiedziałem jej, że to kiepski pomysł, skoro pszczoły giną masowo. Cały miód jest teraz w Bangkoku. Odparła, że to ty namawiałeś ją do powrotu do domu. Aż nie mogłem w to uwierzyć. Obiecałem jej, że porozmawiamy jeszcze o tej sprawie.

– Nie ma o czym mówić. Dałem jej pieniądze i powiedziałem, że powinna wracać z nimi do domu.

Właściciel baru przygryzł dolną wargę i w zamyśleniu pogładził palcami wąsy, jakby nabrał podejrzenia, że Jarrett zwariował.

– Chyba nie jesteś z tych, co się zakochują w barowych dziewczynach i wbijają sobie do głowy, że muszą je odmienić? Myślisz, że po tym, jak zasmakowała tutejszego życia, będzie potrafiła znowu siadać na gołej ziemi, myć się w wiadrze, spać pod dachem z bambusowych liści i nie oszaleć?

– Jeśli sama tego zechce. Reno uniósł wzrok do nieba.

– Człowieku, jej zależy tylko na cholernej forsie. Jeśli zrezygnuje z pracy w barze, to nie będzie się miała gdzie podziać. Wy jesteście turystami, nie rozumiecie, czym kierują się takie dziewczyny. Nie mają niczego, co by można nazwać wykształceniem, ale rozumieją lepiej od innych, czego im potrzeba, żeby sobie

w życiu poradzić. Niektóre z nich zarabiają miesięcznie więcej niż wy. Taka jest prawda. A ty sądzisz, że uda ci się ją namówić na zmarnowanie najpiękniejszych lat życia i zajęcie się pszczołami? I twierdzisz, że to nie jest zwariowany pomysł?

Tracer pochylił się w jego stronę.

– Znam Jarretta od wielu lat. On nie miewa zwariowanych pomysłów. Każde jego posunięcie jest dobrze przemyślane. Starannie rozważa swoje kroki, zanim je wykona. Więc jeśli mówi, że dziewczyna chce wracać do domu, to znaczy, że tak jest. Forsa nie zawsze zapewnia powodzenie w grze.

– To dla ciebie liczy się wyłącznie forsa – dodał Jarrett.

– Tak, pewnie, jestem przez to płytkim materialistą. Jak mi nie wierzycie, to zaczekajcie parę tygodni. Wróci tu z dupą pokłutą przez pszczoły i będzie prosić, żebym znowu ją przyjął do pracy.

– Ale nie postawiłbyś żadnych pieniędzy, że tak się stanie, prawda? – zapytał Jarrett.

– Wystarczy sto dolarów? – odrzekł Reno, oparty łokciem o krawędź kontuaru i z tej pozycji bacznie obserwujący zarówno scenę, jak i klientów.

– Może zrobimy ciekawszy zakład, o tysiąc dolarów. Jeśli nie wróci w ciągu miesiąca, ty mi zapłacisz, a jeśli wróci, przyniosę forszę i położę ci na tym stoliku.

Właściciel baru wybałuszył na niego oczy, a wargi całkiem zniknęły mu pod obfitymi węsami.

– Lubię ciekawe zakłady, ale może nie aż tak bardzo. Pozostańmy przy stu dolarach. Możliwe, że masz rację. Dziewczyna stanie się pszczelą królową Isanu, zacznie eksportować miód do Ameryki i w przyszłym roku trafi na listę „Forbesa”.

Jedna z dziewcząt wyjrzała na salę zza zasłonki z koralików, ale zaraz się cofnęła. Pełniła funkcję zwiadowcy, przekazywała na zaplecze informacje na temat Jarretta i Tracera. Tyle że wśród *ying* lojalność nie była powszechną cechą. Wyglądająca z zaplecza dziewczyna ewidentnie szukała sposobu podejścia do dwóch farangów i zastanawiała się, czy mogłaby dopisać Jarretta do swojego karnetu, czy jednak rzeczywiście wrócił tu wyłącznie dla Wan. Ale to dałoby się ocenić dopiero wtedy, gdyby córka pszczelarza wyszła ze swoim plecaczkiem na salę, chociażby po sposobie, w jaki Amerykanin ją przywita. Do tego momentu, przynajmniej formalnie, według wszelkich zasad tej pracy, Jarrett był jej klientem.

Kiedy ten podniósł się z miejsca, właściciel baru szybko położył mu dłoń na ramieniu.

– Zanim odejdziesz, chciałbym cię o coś prosić. Jarrett popatrzył mu prosto w twarz.

– A mianowicie?

– Jak się już sobą znudzicie, odeślij ją tu z powrotem. To dobra dziewczyna. Zgodnie współpracuje z innymi dziewczętami. Nie chciałbym jej stracić.

Jarrett przez chwilę wbijał w niego surowe spojrzenie.

– Znajdziesz sobie inną. Reno zachichotał.

– Ty także.

Jarrett zsunął się ze stołka, przeszedł przez salę i dał nura za zasłonkę z koralików. Na zapleczu półnagie dziewczęta paliły papierosy, plotkowały, robiły sobie makijaż, czytały komiksy.

Zatrzymał się w przejściu, tknięty myślą, że widział już podobny obrazek: w sali przeliczeniowej w Cali, w Kolumbii. Dzięki jasnemu odcieniowi skóry mógł uchodzić za Latynosa, a władał na tyle biegle hiszpańskim, że nie bał się rozmawiać w tym języku. Dlatego teraz znieruchomiał w przejściu, kiedy odniósł wrażenie, że znalazł się znowu w Cali. I tu byli podobnie rozebrani ludzie, dominowały podobne zapachy. W jednej chwili opadły go natarczywe wspomnienia.

W dawnym magazynie przy bocznej uliczce znajdowała się sala zastawiona żelaznymi sportowymi szafkami. Drewniane ławki z powycinanymi na boku inicjałami były zavalone butami i skarpetami, wśród nich stały popielniczki pełne niedopałków. Za szafkami były prysznice, w ścianie na końcu pomieszczenia uwagę przyciągały ciężkie żelazne drzwi. Właśnie za tymi drzwiami pracowało piętnaścioro nagich mężczyzn i kobiet. Ich widok omal nie przyprawił go o szok, bo tyle nagich ciał w jednym miejscu jeszcze dotąd nie widział na oczy. Ludzie pracowali przy stołach. Część siedziała na krzesłach, inni stali. Jednakże to, co w pierwszej chwili można by wziąć za orgię, nie miało nic wspólnego z seksem.

Nadzy pracownicy wykonywali przydzielone im zadania przy przeliczaniu i pakowaniu studolarowych banknotów. Układali je w kupki po sto banknotów, oklejali banderolą i umieszczali w stosiku, po czym zaczęli odliczać następną setkę. Kiedy w stosie uzbierało się sto paczek, przynosili je do pudła. Tak więc zawierało ono milion dolarów. Pod ścianą sali piętrzyły się zapełnione pudła. Ludzie pracowali w trzech ośmiogodzinnych zmianach, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byli nadzy, żeby nie mogli nigdzie ukryć przy sobie kradzionych pieniędzy. Pewnego razu kobieta chciała wynieść plik banknotów, które ukryła w pochwie, ale została przyłapana. Zaciągnięto ją pod prysznice i zabito strzałem w tył głowy. Od tamtej pory nikt już nie próbował kraść pieniędzy.

Sala przeliczeniowa mieściła się na pierwszym piętrze czteropiętrowego budynku ogrodzonego drucianą siatką i ukrytego za szpalerem drzew. Bramy wjazdowej strzegli strażnicy, którzy przepędzali od niej wszystkie niepowołane osoby. Jarrett wjechał na teren w towarzystwie pracownika. Strażnik zajrzał do samochodu, ale rozpoznawszy kierowcę, pozwolił im jechać dalej. Dostali się do środka bocznym wejściem i weszli po schodach na piętro. Na lewo od klatki ciągnął się długi korytarz, w którym strażnicy w dzinsach i T-shirtach obszukali ich, kazali zdjąć paski, buty, spodnie i koszule, po czym wręczyli jednorazowe papierowe fartuchy chirurgiczne.

Włożyli je bez słowa.

Po zakończeniu swojej zmiany wszyscy pracownicy przechodzili do sali z szafkami. Oczywiście po ośmiu godzinach wspólnej pracy bez ubrania nikt się nie wstydził swojej nagości, nikt nie protestował przeciwko wspólnym prysznicom i przebieralni. Pomieszczenie było wyposażone w lustrzany sufit, a piętro wyżej, po drugiej stronie półprzepuszczalnego lustra, pracowali kolejni ochroniarze, zdarzenia rejestrowały liczne kamery wideo. Nikt zresztą nie ukrywał, że sala przeliczeniowa jest pod stałym nadzorem. Pracujący piętro niżej ludzie musieli wiedzieć, że są uważnie obserwowani.

Pełniący funkcję przewodnika tutejszy pracownik, chudzielec przed trzydziestką, odznaczający się drobną spiczastą bródką i szarymi oczami, bez słowa ruszył dalej korytarzem, otworzył drzwi i przytrzymał je, czekając na Jarretta. Kiedy ten wszedł do środka, zamknęły się za nim z głuchym hukiem, po chwili szczęknięły elektryczne rygle i znaleźli się jakby w lochu. Piętnaścioro nagich ludzi pracowało mechanicznie, jak roboty, z nisko spuszczonej głowami. Ich mocodawcy już dawno temu wypracowali szczegółowy podział obowiązków, by oni teraz mogli działać skutecznie nawet w półśnie. Przy dwóch długich stołach trwała intensywna krzątanina. To, co ci ludzie przeliczali, miało bardzo wiele wspólnego z seksem, ale seks nie miał nic wspólnego z ich pracą.

Kiedy w drzwiach stanął szef tego biznesu, wszyscy przerwali pracę i podnieśli głowy.

– Panie Lopaz! Witamy w naszych progach. Oto pieniądze, które ma pan zainwestować w naszym imieniu. Według mnie część warto przeznaczyć na zakup złota, bo amerykańska waluta jest mało wiarygodna, zgodzi się pan? Dobra jest też ropa. To nowe złoto. Resztę chcielibyśmy umieścić w euroobligacjach. Trzeba się zabezpieczyć przed inflacją. Oczywiście ma pan pewnie swoje plany. Ale teraz pracuje pan dla nas, a my chcielibyśmy mieć do dyspozycji najlepszych dostępnych na rynku liczykrupów, bo to chyba właściwe określenie. Dla nas liczy się każdy dolar. Nie dopuszczamy możliwości jakichkolwiek strat. Jak tutaj, gdzie żaden banknot nie może ująć niczyjej uwadze i nie zostać przeliczony.

Faktycznie występował tu pod przykrywką liczykrupy, ale prawdę powiedziawszy, nawet wyczerpujące tygodniowe szkolenie z rachunkowości i księgowania wszczepiło mu do głowy zaledwie podstawowe pojęcia. Kiedy próbował sobie przypomnieć jakąś wiadomość z tamtego szkolenia, w głowie pojawiał mu się mętlik informacji dotyczących zasad naliczania kosztów i zasad liczenia dochodów, audytów oraz GAAP. Zaczerpniętej w pośpiechu wiedzy wystarczało mu tylko dopóty, dopóki rozmowa nie schodziła na szczegóły techniczne jakiegoś zagadnienia. W takim wypadku zalecano mu, aby się upierał przy konieczności przestrzegania zasady niesprzeczności. Podobno miała się ona

odwoływać do konserwatywnych interesów handlarzy narkotyków, którzy tylko w tej materii dysponowali rozległą wiedzą.

Pracownicy wrócili do metodycznego przeliczania banknotów i rozprostowywania ich, odwijania zagiętych rogów i wygładzania, co czynili z czułością matki głaszczącej policzek niemowlęcia. Jarrett trafił pod skrzydła Ruisa, mało znanego, trzymającego się w cieniu bossa narkotykowego, słynącego z upodobania do brutalności. Już przy pierwszym spotkaniu Kolumbijczyk zapytał podchwytliwie:

– Proszę mi przypomnieć, czy zalecenia Rady Nadzoru Księgowego należą do kategorii A czy B?

Jarrett wziął głębszy oddech, przywołując z pamięci odpowiednie zestawienie.

– Zalecenia APB należą do kategorii A – odparł. Ruis uśmiechnął się przebiegle i poklepał go po plecach. Następnie, ścisnąwszy za ramię, popchnął w głąb pokoju i rzucił:

– Lepiej bierzmy się do roboty.

Uśmiech Latynosa nagle zbladł przed jego oczami, gdy na ramieniu poczuł dłoń Wan, która wspięła się na palce i powąchała jego skórę w zagłębieniu szyi. Tak samo zniknął z jego wspomnień pokój przeliczeniowy z Cali, tutaj poczuł się tak, jakby wszelkich kalkulacji dokonywano, wspinając się na palce na zapleczu baru w Bangkoku.

Wyszedł z powrotem na salę razem z Wan ubraną w dzinsy, T-shirt i tenisówki, z plecaczkiem na ramionach. *Ying* na scenie, poruszające się jak muchy w smole, zaczęły przykucać i wołać do niej, żeby wracała jak najszybciej. Nie chciały się z nią rozstawać. Wan przystanęła więc, żeby się z nimi pożegnać, a właściciel baru przypalił cygaro, wypuścił duży kłęb dymu i pokręcił głową, unosząc w górę brwi. Tracer dalej siedział przy kontuarze po przeciwnej stronie sceny i uważnie obserwował reakcję Jarretta. Ten miał taką minę, jakby właśnie naprowadził nitki celownika na obiekt i był już gotowy, by pociągnąć za spust. Wyglądało na to, że jest zaprzątnięty wyłącznie dziewczyną, którą postanowił wyciągnąć z tego baru.

– Chodź tu, skarbie, pozwól, że zafunduję ci jeszcze jedno piwo na pożegnanie – rzekł Reno.

Córka pszczelarza zetknęła przed sobą dłonie końcami palców, jak do modlitwy, uniosła nieco ręce i skłoniła mu się lekko z szacunkiem. Wcisnął klawisz szafy grającej i z głośników popłynęły dźwięki wybranego wcześniej bluesa *Wracam do domu*. Tak się składało, że w wielu bluesowych piosenkach była mowa o powrocie do domu, tyle że ktoś lub coś stawało się przeszkodą na drodze tego powrotu. Tymczasem wszyscy obecni w barze, zasłuchani w bluesa, zarówno klienci, jak i dziewczęta, świetnie znali uczucie tęsknoty za domem i byli pogodzeni ze świadomością, że jedyne, czego można oczekiwać od życia, to kłopoty.

Pożegnawszy się ze wszystkimi, Wan ruszyła wzdłuż kontuaru do miejsca,

w którym obaj Amerykanie zawsze siadali. Obróciła głowę i uśmiechnęła się do Tracera. Gest, którym pożegnała właściciela baru, nadal tkwił Jarrettowi ością w gardle. Nie mógł ani przełknąć tego wrażenia, ani go wypluć. Jej *wai* wyrażało bowiem ten rodzaj szacunku, którego on nie znosił. Pewnie z taką samą unізonością przywitała się z nim, szukając pracy w barze, jak i teraz oczekiwała na jego pozwolenie wyjścia na ulicę. Zaraz pomyślał jednak, że jeśli ona faktycznie ma ochotę szukać kwadratury koła, niech sobie próbuje.

Tak jak nie ma prostego strzału w otwartym terenie, nie ma też prostego sposobu na wyprowadzenie *ying* z baru, w którym pracowała. Musiały być spełnione wszystkie warunki, bo inaczej nie warto było nawet próbować. A fiasko takiej próby oznaczało zazwyczaj nieprzyjemne konsekwencje. Rzadko zdarzała się okazja do ponowienia próby po spudłowaniu pierwszego strzału. Jarrett zasłuchał się w muzykę, trzymając Wan za rękę. Ona ścisnęła lekko jego palce i spojrzała mu w oczy, z bezgraniczną cierpliwością czekając, aż wreszcie zabierze ją z tego świata nieszczęść, cierpień i okrucieństwa. Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był jej bohaterem. Ale on, jak teraz powtarzał sobie w myślach, był dla niej tylko jednym z klientów, obecnie zasłuchanym we frazę, w której dźwięk saksofonu wchodzi w górne rejestry.

Nazajutrz Jarrett z Tracerem mieli wrócić do wynajętego mieszkania. Ich informator obiecał, że tym razem Somporn na pewno odwiedzi swoją *mia noi*. Należał do ludzi rozmówianych w regularnym trybie życia. Do tej pory wszystkie operacje specjalne, w których uczestniczyli, nadzorował Waters. Harry Jarrett, ojciec Alana, bardzo go lubił i powtarzał, że na swój sposób Waters przypomina mu Jacka Malone'a.

Kiedy Jarrett, pogrążony w swoistym transie, zniknął na zapleczu baru, Tracer wyszedł na dwór i zadzwonił do Mooneya, a ten zaczął kląć niczym wściekły zdradzony mąż, bo nie zwrócili mu dotąd Kate. Tracer musiał przysiąc, że karabin jest w pełni sprawny i bezpieczny, tylko im wypadło nieprzewidziane opóźnienie, ale to nic poważnego. Jak drobne zakłócenie w przekazie obrazu, dodał. Widział już nieraz, jak Jarrett wchodzi w podobny stan nawiedzenia, ale zawsze wychodził z niego gładko i wykonywał zleconą robotę. Dopijając resztki swojego piwa, Tracer pomyślał, że jego partner mógłby w końcu otworzyć się nieco i uchylić rąbka tajemnicy spowijającej przyczyny jego ciągłego podenerwowania, ale zaraz stwierdził, że prędzej przerobi blaszane wiadro na mosiężny werbel, niż wyciągnie cokolwiek z zamkniętego w sobie mężczyzny. Spojrzał na zegarek, obracając nieco dłoń w stronę słabego rozmigotanego światła dochodzącego tu ze stroboskopów umieszczonych nad sceną. Miał ochotę jak najszybciej wrócić do wynajętego mieszkania, by się dobrze wyspać przed jutrzejszą akcją.

Pułkownik Waters obiecał, że mogą liczyć na to, iż Somporn zjawi się u kochanki

z samego rana.

– Bądźcie na posterunku i zdejmijcie obiekt, jak tylko dokonacie pozytywnej identyfikacji. Nawet gdyby ktoś stanął wam na drodze, jego także zdejmijcie. Niezależnie od okoliczności postarajcie się unieszkodliwić obiekt.

Jarrettowi nie trzeba było nic więcej tłumaczyć. Krótko mówiąc, gdyby kochanka Somporna znalazła się na linii strzału, a nie było innego wyjścia, ją mieli także sprzątnąć.

– Wyrażam się jasno? – zapytał Waters.

– Tak, przyjąłem – odparł Jarrett.

Odplata za Jacka mogła niekiedy oznaczać, że razem z Jasiem padnie również Małgosia.

19

Calvino wyszedł z pociągu metra i wjechał ruchomymi schodami na stację szybkiej kolei miejskiej. Ratana uprała w rękę jego nową sportową marynarkę, żeby nie musiał od razu wydawać pieniędzy na pralnię chemiczną. Zresztą i tak było już ciemno, a załatwienie nowego garnituru wpisał sobie na listę noworocznych życzeń, zaraz za ćwiczeniami medytacyjnymi, które polecił mu generał Yosaporn. Niemniej uważał, że nowy wygląd do spółki z nowym stanem psychicznym powinny znacznie wpłynąć na wzbogacenie jego życia. Niemniej na wypadek, gdyby zawiodły go siły samonaprawcze, całkowicie polegał na mocy policyjnego służbowego rewolweru, który nosił w kaburze pod pachą.

Apichart odzegnał się od jakichkolwiek związków z Ptasznikiem czy z Nongluck, ale niczego innego nie należało się spodziewać. Tak samo odzegnał się od powiązań z bojówkami młodzieżowymi wysłanymi w celu zlikwidowania generała. Zdjęcia przedstawiające dwóch usmażonych motocyklistów na ulicy, muzyka jazzowego oraz zabitej *ying* ani trochę nie odświeżyły pamięci biznesmena.

– Nigdy wcześniej nie widziałem tych ludzi – zeznał, mając u boku swego adwokata. – Nie znam ich.

Ale działał w branży reklamowej, więc na życie zarabiał, poruszając się wśród kłamstw. Zawodowe doświadczenie okazało się bezcenne w trakcie policyjnych przesłuchań.

Na szczycie schodów było już pełno ludzi, jako że na peronie panował ścisk. Przyczynili się do niego pasażerowie, jacy szerokim strumieniem wylali się z pociągu, który przed chwilą odjechał. Byli to głównie urzędnicy, typowa średnia klasa Bangkoku, tłoczący się wokół zejścia z peronu niczym rój pszczół wirujący nad zniszczonym ulem. Wszyscy nerwowo przestępowali z nogi na nogę, przelewając się w mrówczym tempie przez bramki kontrolne, które otwierali albo za pomocą plastikowych kart magnetycznych, albo małych czarnych okrągłych znaczków jednorazowego przejazdu – wcześniej zastygając na kilka sekund w bezruchu, zanim

system elektroniczny otworzył przed nimi bramkę. Pasażerowie kolejki, jak gdyby napiętnowani podróżą, bez wyjątku wyglądali na zmęczonych całodzienną pracą. Kobiety na oślep próbowały pudrować sobie policzki, malowały usta szminką czy spryskiwały się perfumami, żeby przywrócić wrażenie świeżości. Pośród nich wyróżniała się jedna, która nie troszczyła się o swój wygląd. Ale była to *mem-farang*, wystarczająco piękna i bez makijażu.

Calvino zderzył się z nią i stanąwszy ramię w ramię, obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

– Bardzo przepraszam. Zagapiłem się.

– Nic nie szkodzi. Na peronie jest tłoczno – odparła, patrząc wprost na niego.

Mówiła z europejskim akcentem. Do tego odznaczała się lekko egzotycznym wyglądem, który przyciągnął jego wzrok. W pierwszej chwili pomyślał, że sprawia to jej sukienka, ale zaraz uznał, że jest dość przeciętna. Potem przyszło mu do głowy, że to sprawa jej włosów, dopóki nie zauważył pospolitej spinki, jaką można było kupić na każdym ulicznym stoisku. Dopiero wtedy zastanowił się, czy nie chodzi tu o jej poważny wyraz twarzy, jak gdyby zdominowany przez skrajną chęć bycia w danym miejscu i danej chwili, kojarzący mu się z wyglądem wielu przybyszów z Nowego Jorku.

Ostatnia wizyta Caseya w biurze nakierowała jego myśli na świat, od którego odwrócił się plecami. Kiedy był młody, uważał swoje życie za obiecujące. Czuł się szczęśliwy, wolny jak ptak, a wszyscy z jego otoczenia zdawali się popychać to życie do przodu, wykorzystując bezlik nieograniczonych możliwości.

Kobieta spotkana teraz w Bangkoku przywołała jego wspomnienia z okresu pierwszych spotkań z przyszłą żoną. Poznali się przypadkiem w metrze. Odważył się ją zaczepić, od słowa do słowa nawiązała się bliższa znajomość, zamieszkali razem, potem przyszło małżeństwo, narodziny dziecka, wreszcie nieuchronny rozwód. Zaciekawilo go, czy była żona wciąż jeździ metrem. Nawet już po tym, jak znalazła sobie jego następcę, wciąż zaliczała się do kobiet uwielbiających, gdy nieznajomi obrzucają je taksującym spojrzeniem.

Wmówił sobie, że jego błędem było niedoceniecie roli przypadku w kwestiach decydujących o ludzkim życiu, zwłaszcza takiego, który w jednej chwili zniszczył pełen magazyn niedokończonych planów życiowych. Tymczasem szanse mogły być dobre, złe albo średnie, tego nigdy nie dało się przewidzieć, dopóki się z nimi nie zmierzyło, nie okiełznało ich, nie uległo im albo nie puściło bokiem. Jedną z zasad detektywa głosiła, że sama sposobność jest niewystarczającym przewodnikiem życiowym, że zwykle nie wygasa od razu, jest jak autobus, na który się czekało, więc za drugim razem trzeba być z góry przygotowanym, by się do niego wepchnąć, znaleźć sobie miejsce i uchwycić się poręczy, żeby nie upaść. Teraz mechaniczny, skrzekliwy głos, w rodzaju tych, co zapowiadają numery pięter w windach

szybkobieżnych, nakazał mu w myślach odsunąć się od *mem-farang*, skręcić do najbliższego wyjścia i zejść z peronu, zanim dojdzie do jakiegoś wypadku. Wszystko, czego się do tej pory nauczył, nakazywało mu oddalić się jak najszybciej. Ale on zignorował dzwonki alarmowe, migające światła ostrzegawcze oraz głos doświadczenia.

Poczuł się wręcz zahipnotyzowany jej obecnością, po prostu nie był w stanie odwrócić się i odejść. Pamiętał jeszcze, że w każdej sytuacji należy zabezpieczyć sobie wyjście ewakuacyjne. Ale teraz takiego wyjścia nie potrzebował. Zresztą każde wyjście mogło być zwyczajnie zamknięte. Tajlandczycy używali na to określenia *saneh*, które było zaklęciem czarnej magii rozpowszechnionej wśród narodów kambodżańskich, a przy granicy z Kambodżą powszechnie uważano, że to zaklęcie może opanować serce każdego mężczyzny. Stąd też zagapił się na kobietę niczym mało rozgarnięty nastolatek.

Odniosł wrażenie, że wystarczyłaby tylko ta jedna osoba, tylko twarz tej kobiety, by wzniesiony przez niego szkielet życia w Bangkoku w jednej chwili legł w gruzach. Zresztą wydało mu się przez chwilę, że otaczające ich miasto zniknęło bez śladu, że został wciągnięty na powrót do świata, do którego nie zaglądał od lat.

– Mogę ci postawić drinka? No, wiesz... żeby ci poprawić humor.

Uśmiechnęła się.

– To nie jest konieczne. Ale dziękuję za dobre chęci. Ruszyła dalej przed siebie, a on poszedł za nią, przepychając się przez tłum.

– Możesz przynajmniej zdradzić, jak masz na imię? Ja jestem Vinny. Vinny Calvino.

– Kiedy indziej, Vinny.

– Może zjemy jutro razem lunch?

– Naprawdę się spieszę. Ale dziękuję.

Skręciła nagle w bok i pobiegła schodami prowadzącymi w dół ze stacji kolejki do skrzyżowania ulic Asoke i Sukhumvit. Otworzył już usta, chcąc jej powiedzieć, że jest dogodne podziemne przejście pod Sukhumvit Road, ale zniknęła mu z oczu, nim zdołał cokolwiek z siebie wydusić.

McPhail, który wcześniej szedł obok Calvina i próbował podtrzymać gasnącą rozmowę, znalazł się kilka metrów w przodzie, nim spostrzegł, że mówi do siebie. Obejrzał się i popatrzył na detektywa, który wyciągając szyję, próbował jeszcze wypatrzeć w tłumie umykającą przed nim *mem-farang*.

Cofnął się i pociągnął detektywa za rękę.

– Co się stało?

Calvino wzruszył ramionami i obrzucił pogardliwym spojrzeniem McPhaila, który w założeniu miał być jego skrzydłowym. A przecież żaden skrzydłowy w eskadrze nie znika w mroku nocy, gadając do siebie. Powinien do tego stopnia analizować

wydarzenia, żeby wiedzieć na bieżąco, co się dzieje, a już na pewno zareagować błyskawicznie, gdy on tylko się zatrzymał.

– Nic się nie stało. Dopadła mnie retrospekcja.

– Przeżyłem chyba więcej retrospekcji i introspekcji niż sam Timothy Leary. Mam rozumieć, że to przez tę *mem-farang* przydepnąłeś sobie język?

Nie chciał się tego wypierać.

– Była niesamowita.

– Ale cię olała.

– Spieszyła się na spotkanie. McPhail westchnął teatralnie.

– Odbiło ci? Nie spieszyła się na żadne spotkanie. Chciała tylko uwolnić się od ciebie. Lepiej zapomnij o całej sprawie.

Weszli do ogródka restauracji Suda i usiedli przy długim stole, nad którym obracał się wentylator. Wokół nich tłoczyli się turyści w szortach i T-shirtach, z plecakami przy nogach. Restauracja była polecana w wielu przewodnikach ze względu na dobre i tanie tajskie potrawy oraz sprawną obsługę. Należała jednak do tej klasy lokali, gdzie na stolikach zamiast serwetek stawia się rolki papieru toaletowego. McPhail miał oko na jedną z tutejszych kelnerek, która stanowczo nie chciała się z nim umówić, ale on uporczywie tu wracał. Nie bez znaczenia było także to, iż pamiętała, że on pija wyłącznie singha.

Zamówił pierś z kurczaka pieczoną z orzechami, a Calvino zdecydował się na wołowe curry z ryżem. Kelnerka uśmiechnęła się serdecznie do McPhaila. Zrobił taki ruch, jakby chciał wstać, lecz ona tylko wbiła wzrok w swój notatnik i powtórzyła ich zamówienie, po czym odwróciła się na pięcie i zniknęła na zapleczu, z którego prawie nie wychylała nosa, ilekroć McPhail zjawiał się w restauracji.

Ten przypalił papierosa, zadarł głowę i wydmuchnął w powietrze gęstą smugę dymu. To go najwyraźniej uspokajało. Piwo singha stanęło przed nimi kilka minut później i McPhail niczym spragniony wędrowiec jednym haustem opróżnił pół szklanki. Otarł usta wierzchem dłoni i sięgnął znowu po swego papierosa.

– Ta kobieta mogłaby się ze mną w końcu umówić – bąknął.

– Pewnie marzy o tym tak samo, jak chciałyby wpaść pod autobus na przejściu przez ulicę – odparł Calvino.

– I kto to mówi?! A jak ty się zachowywałeś, gdy spostrzegłeś tę *mem*? Nawet się nie obejrzała, tak szybko uciekała od ciebie. Można by pomyśleć, że miała silniczki rakietowe przy butach.

– No, dobra, obaj mamy tak samo przesrane. Teraz brzmi to lepiej?

McPhail syknął głośno, co oznaczało, że jest rozdrażniony. Reakcje kelnerki raniły go, a Calvino tylko sypał sól na otwarte rany swoimi wypowiedziami.

– Więc jak? – burknął. – Chcesz posłuchać o Casey? Czy będziesz siedział, marząc o niebieskich migdałach i tej *mem-farang*, która patrzyła na ciebie tak, jakbyś

był budką telefoniczną wystrojoną w elegancką sportową marynarkę?

Calvino pociągnął tęgi łyk piwa z butelki. Odstawił ją i popatrzył na McPhaila szczerzącego zęby w szerokim uśmiechu.

– Na co się tak gapisz?

– Daj spokój, kolego, przecież piłeś prosto z butelki.

– I co z tego?

– Musisz się uwolnić od takich nawyków, jeśli marzysz o tym, żeby przejść na drugą stronę. – McPhail w ten sposób określał świat Zachodu. Dla niego życie w Ameryce upodobiło się do nordyckiej legendy, w której wojownicy egzystowali na równi z żywymi trupami, które oddychały, jadły, spały i o mało nie chodziły ze sobą do łóżka. Stąd też nikt przy zdrowych zmysłach, mający przed sobą jakikolwiek wybór, nie powinien chcieć się tam znaleźć.

– Zmieniasz temat, bo chcesz mi powiedzieć, że nie znalazłeś nic na temat Caseya. Zupełnie nic. Zero. Więc cała ta gadka szmatka ma mi tylko zamydlić oczy. Ale nie dam się nabrać.

McPhail obejrzał się w stronę kuchni, ale nie dostrzegł tam swojej kelnerki. Wzdrygnął się, sam pociągnął łyk piwa prosto z butelki i beknął.

– Co się tyczy Caseya... Służył w oddziałach specjalnych. To twardy, nieugięty sukinsyn, który przetrwał aż trzy tury w Wietnamie. Jakby nie miał dość. Potem wylądował na Florydzie, w bazie MacDill, gdzie dostał przydział stacjonarny w pionie taktycznym operacji specjalnych. Somalia, Bośnia, Kolumbia. Potem przeszedł na etat u pewnego prywatnego kontrahenta z Kuwejtu. Prowadził różne akcje, i w dżungli, i w wielkich miastach. W każdym razie cały czas zostawia za sobą sporo trupów. Tyle że nigdy nie udało się go powiązać z żadną akcją. W środowisku ma pseudonim „Duch”. Całkiem zasłużenie.

– Jak się tego dowiedziałeś?

– Z gorącej linii Pentagonu. Technik z centrali od razu wyśpiewał mi wszystko.

– JUSMAG – mruknął Calvino, nawiązując do akronimu Połączonego Zespołu Doradczego Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Grupy takie działały na Filipinach, w Korei Południowej i w Tajlandii, gdzie w skład zespołu obok Amerykanów wchodził tajscy wojskowi, zapewniający bezpieczeństwo operacji sił specjalnych. Budynek, w którym pracował zespół, został zbudowany w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, a więc w okresie największego nasilenia zimnej wojny, i miał w sobie coś ze słynnej atmosfery *MASH*. Tylko natłok anten satelitarnych na dachu świadczył, że Amerykanie przestawili swój nowoczesny sprzęt elektroniczny na podsłuchiwanie połączeń miejscowych.

– Bingo – mruknął McPhail.

Oznaczało to, że trwa jakaś akcja. Kręcił się przed wejściem do restauracji JUSMAG wystarczająco długo, żeby namierzyć kilku weteranów z Wietnamu,

kumpli Caseya z okresu tamtej wojny. Rozmawiali o swoim byłym przełożonym z taką ochotą, jakby znudziło ich ciągłe przegrywanie w bingo.

– Wyobraź sobie, że tamtego wieczoru wygrałem dwadzieścia osiem dolarów – dodał McPhail. – Z tym większą niechęcią zegnali kogoś spoza swojego grona, kto ich orznął na taką sumę.

– Tak czy inaczej wygrałeś, stary.

– Po kilku piwach jeden z nich, Larry, powiedział: „Wchodzimy w zakres spraw ściśle tajnych. Pewnie nie powinienem ci tego mówić, ale...”.

– Ale co?

McPhail ostentacyjnie wyciągnął zdobyczną benzynową zapalniczkę Zippo, przypalił papierosa i z trzaskiem zamknął jej wieczko. Świetnie wiedział, jak takie zagrywki stymulują rozmowy podczas gry w bingo. Nie uszło jego uwadze, że kilku weteranów z błyskiem w oku popatrzyło na płomień strzelający z knota, jak gdyby posługiwał się srebrzystą pochodnią. W dodatku jego zapalniczka miała z jednej strony wygrawerowaną schematyczną mapę Wietnamu, a z drugiej symbol dywizji z dużym napisem: „81st Cal”.

Teraz znów sięgnął po butelkę piwa, przytknął ją do ust i opróżnił jednym haustem. Nie zadając sobie nawet trudu, żeby otrzeć wargi, wetknął papierosa w kącik ust i rzekł:

– Ostatnio Casey pracował w więzieniu w Bagdadzie.

– I co tam robił?

– Pomagał więźniom odzyskiwać pamięć.

– A więc bawił się w miażdżenie palców, lodowate prysznice czy urywanie jaj, bo tego rodzaju pomoc w odświeżaniu pamięci stosował, prawda?

McPhail wzruszył ramionami.

– Kto to wie? Ważne, że Casey na etacie u prywatnego kontrahenta bardzo lubi swoją pracę, bo jej efekty przynoszą zleceniodawcom miliardowe zyski. Podejrzewam, że dawni kumple ściągnęli go do podobnych zadań tutaj.

– Jesteś tego pewien?

– To tylko jedna z teorii. Według drugiej jakiś dziennikarz ostro wsiadł mu na ogon w Bagdadzie, więc na ochotnika zgłosił się do akcji w Bangkoku.

– Która według ciebie jest prawdziwa? McPhail skrzywił się i uniósł oczy ku niebu.

– Uważam, że Casey jest pasjonatem tej roboty, dlatego mało go obchodzi, gdzie będzie wykonywał kolejne zadanie.

– Sądzisz, że i tu pracuje w więzieniu? W którym? McPhail znowu wzruszył ramionami.

– Nikt nie potrafił podać mi konkretnej lokalizacji. Podejrzewam, że tego nikt nie wiedział na pewno. Ale jest ośrodek na obrzeżach miasta, gdzie prowadzi się

przesłuchania specjalne. Nikt nie chciał na ten temat rozmawiać. Udało mi się wyciągnąć tylko tyle, że Casey nadal zajmuje się wyciąganiem zeznań z różnych opryszków. – Przypalił papierosa, pochylił się niżej i dodał szeptem: – Nie chcieli zdradzić, o jakich opryszków chodzi, więc ja wolałem się dalej nie dopytywać.

Niemniej jego informatorzy mieli swoje teorie. Według nich Casey urządził sobie wygodne gniazdko w Tajlandii i zamierzał tu zostać – przynajmniej w takim sensie, w jakim to określenie mogło dotyczyć człowieka zmieniającego adres zamieszkania co pół roku. Podobno nie obawiał się nawet zmasowanego ostrzału, co znaczyło, że przez dłuższy czas mógł sobie dać radę bez dostaw wody i pożywienia. Zdarzyło się podczas pewnej misji, że wrócił do bazy z dużym opóźnieniem, dopiero gdy mu się udało wykonać przydzielone zadanie. Bywał już łowcą skalpów, traperem, zwiadowcą pieszym lub zmotoryzowanym, obserwatorem ruchu na drodze, organizatorem ochrony obozowisk czy mostów. Nie uznawał żadnych wymówek, dla niego rozkaz przełożonego był rzeczą bezdyskusyjną. Świetnie potrafił rozróżnić rzeczy istotne od przydatnych, przez co miał w życiu dużą przewagę nad innymi, choć w znacznym stopniu tę przewagę niwelowała jego wybuchowość, zwłaszcza w stosunku do cywilów, którzy ciągle zmieniali zdanie co do tego, na czym im naprawdę zależy, kiedy chcieliby to uzyskać i co będzie, gdy już spełnią się ich życzenia.

– W bazie wojskowej MacDill Casey doszedł do etapu, na którym dowódca jednostki przestał mieć nad nim kontrolę. Nie słuchał rozkazów. Kiedy później przeszedł do Służb Oceny Ryzyka Logistycznego, przełożeni nawet nie próbowali kontrolować jego poczynań. W hierarchiach korporacyjnych obowiązuje niepisane prawo, że można być kowbojem, dopóki przynosi to wymierne korzyści i nie wywołuje żadnych afer. Ale, jak wiesz, to tylko kwestia czasu, zanim brudy wyjdą na jaw. Miarka szczęścia jest ściśle określona. Każda akcja w terenie, z której wraca się żywym, kosztuje jakąś porcję tego szczęścia. To właśnie, według Larry’ego, spotkało Caseya. Wykorzystał cały swój przydział szczęścia. Jeden z więźniów zmarł podczas przesłuchania. Nie dość, że twarz miał posiniaczoną i opuchniętą, to jeszcze doznał pęknięcia śledziony. Ktoś to odkrył i zagroził, że nagłośni sprawę. No i z dnia na dzień LRAS wysłało Caseya do Bangkoku. Facet ma opinię wybitnego śledczego, więc to jasne, że jest traktowany jak ktoś ważny. Ale z drugiej strony ma nazbyt porywczy temperament i potrafi bez wyrzutów sumienia zadawać ból. Ponadto jego drugim życiowym powołaniem stał się syn. Jak się okazało, Casey należy do ludzi, którzy gotowi są poświęcić się bez reszty dzieciom. Przypominasz sobie, jak kilka lat temu schwytano młodego Amerykanina, który na północy narobił sporo szumu?

Calvino skinął głową.

– Casey sam mi o tym mówił.

– No więc chłopak wybrał się na kontrolę księgową jakichś przedsiębiorstw przy

granicy birmańskiej. Zaczął węszyć tu i tam, jak miał to w zwyczaju, no i odkrył zastępy dzieciaków pochowanych pod łózkami w bambusowych chatach. Oczywiście natychmiast wszczął raban. Ale wiesz, jakimi zasadami kierują się zarządcy wielkich bogatych spółek, prawda? Wolą wydawać miliony dolarów na telewizyjne reklamy nadawane podczas przerw meczów rozgrywek Super Bowl. Na nich, patrząc prosto w obiektyw kamery, tłumaczą całemu światu, że koszul ich spółki nie szyją ani niewolnicy, ani dzieci z Trzeciego Świata. Ale prawda jest taka, że nawet nie chcą o tym wiedzieć. Tyle że chłopak nie zamierzał grać według tych samych zasad. I to go zgubiło.

– Miał na imię Joel – wtrącił Calvino. McPhail przytaknął ruchem głowy.

– Zgadza się, Joel. Dostał kilka ostrzeżeń. Zdajesz sobie sprawę, jak wygląda tajaska tolerancja. Ale on nie rozumiał *chon taw*. Każdy tubylec wie, że jeśli jakiś ważniak mówi mu grzecznie, z uśmiechem, żeby się wycofać, to należy się wycofać. Może zaoferować pieniądze, kobietę, whiskey, wino, byle tylko odpuścić. I zawsze będzie to robił z uśmiechem, co wygląda tym groźniej, że widzi się tylko ten przymilny uśmieszek. Joel jednak dalej węszył, spisywał notatki, robił zdjęcia. Kiedy ten sam ważniak zjawił się po raz drugi, zapytał ze zdziwieniem: „Wciąż tu jesteś? Nie zechciałbyś się udać od razu na lotnisko? Zapomniałeś, że jesteś w Tajlandii?”. I oczywiście wciąż z tym samym uśmiechem. Ale następnym razem Joel już nie zobaczył uśmiechu. Nie zobaczył niczego, ponieważ zginął. To się przydarzyło synowi Casey'a. A najbardziej wkurza sposób, w jaki go wykończyli. Nie była to, jak zwykle, kulka w głowę. Wyglądało na to, że umierał długo i powoli. Jakby chcieli zrobić z niego przykład dla innych. Zwłoki były naprawdę w kiepskim stanie, kiedy wreszcie Casey zobaczył syna. Zarówno dziennikarze, jak i nasi z ambasady dosyć mocno naciskali policję, i to na wszystkich szczeblach. Jeden z tutejszych ważniaków, niejaki Somporn, był kilkakrotnie przesłuchiwany, bo to właśnie jego fabryki kontrolował Joel przed śmiercią. Zeznał jednak, że w ogóle nie spotkał młodego Casey'a i nic nie wiedział o jego wizytach w zakładach na północy kraju. Nie można mu było niczego zarzucić. Nie wątpię, że gość myślał po prostu: „Jestem tu zbyt ważną figurą, do diabła, żeby mnie łączyć z taką mrówką jak Joel Casey”.

– Czy to nie ten sam facet, który startuje w wyborach parlamentarnych? – zapytał detektyw.

– No cóż, mordercy też mają prawo mieć swojego człowieka w parlamencie.

– Bywa i tak – przyznał Calvino.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Detektyw uśmiechnął się.

– Facet uciszył kogoś, kto miał możliwość obnażyć jego machlojki – dodał.

– Po czymś takim trudno się dziwić, że na ulicach dochodzi do przelewu krwi.

Calvino pospiesznie skończył swoje curry z ryżem i sięgnął po portfel.

– Co cię tak przypiliło, że połknąłeś resztę dania w ekspresowym tempie?

– Chcę jeszcze zajrzeć na Soi Cowboy – wymamrotał detektyw z pełnymi ustami, odliczając pieniądze.

– Zaczekaj. – McPhail także wstał od stołu.

– Idziesz ze mną?

– Nie mógłbym tego przegapić. Widzę, że ciągle myślisz o tej *mem*. – Z niedowierzaniem kręcąc głową, wyszedł za Calvinem na ulicę. – Co może cię łączyć z kimś takim jak Casey? Wolałbym nawet tego nie wiedzieć, ale zastanawia mnie, dlaczego tak nagle się poderwałeś, jakby tknięty jakąś myślą. Na pewno nigdy nie służyłeś w wojsku?

– Postawię ci drinka i opowiem, jak kiedyś na Brooklynie wygrałem pięćdziesiąt dolarów od sierżanta naboru marines.

McPhail jeszcze nie słyszał tej historii.

– Chciałeś wstąpić do marines?

– Prowadziłem ukrytą salę do gry w pokera na zapleczu lokalu mojego wuja. – Calvino uśmiechnął się szeroko. – Był wtedy dzień wypłaty żołdu, a przemądrzały sierżant, cały w skowronkach, pewnie pomyślał sobie: „Co ten dumny pieprzony gówniarz może wiedzieć o pokerze?”.

Przeszli kładką pod estakadą kolejki na drugą stronę Sukhumvit i stanęli przed skrzyżowaniem. McPhail, który podążał za nim prawie truchtem, zaciągnął się papierosem i zakasłał. Kiedy zapaliło się zielone światło, znów musiał wyciągnąć nogi, toteż zaraz za przejściem dostał zadyszki.

– Nie znoszę tej pieprzonej ulicy.

– Nie mówiłem ci, co się stało z tym sierżantem?

– Pewnie do dziś wysyłacie sobie kartki świąteczne, a on jest ci wdzięczny, że nie pozwoliłeś mu się pograć w szponach hazardu.

– Rok później zginął w Wietnamie. Zaproponowali mu wysoką premię za powrót do czynnej służby. No i zgodził się. Od samego początku robił na mnie wrażenie człowieka, który przecenia swoje szczęście. Rozumiesz, co mam na myśli?

McPhail wzruszył ramionami, opuścił nisko głowę i podrapał się po karku.

– Joel Casey do reszty wyczerpał swoje szczęście. Popełnił fatalny błąd. Nie powinien był podejmować ryzyka. Jego staruszek powinien był mu wcześniej wpoić, że nie należy się wychylać. Może nawet to zrobił, tylko chłopak nie posłuchał. Ja nigdy nie słuchałem swojego ojca.

– Podejrzewam, że ojciec Joela sam popełnia nie mniej poważny błąd.

Wolał już nie tłumaczyć, że to taki rodzaj błędu, jaki przez nieuwagę popełniają ludzie, którym w życiu wszystko układa się gładko.

McPhail popatrzył na niego zdumiony, z lekkim uśmiechem na ustach. Dopił swoje piwo i zapytał:

– Na przykład jaki?

– Taki, że najmuje mnie do obserwacji *mia noi* Somporna. Jeśli nie uważa mnie za idiotę, to powinien się zorientować, co sobie pomyśle, gdy zażąda ode mnie takich informacji.

Od początku uważał Casey'a za człowieka, który starannie planuje swoje posunięcia, potrafi przewidzieć różne rzeczy mogące mu stanąć na drodze i zabezpiecza sobie drogę odwrotu, zanim przystąpi do działania. Tamten specjalnie zaangażował go, żeby sprawdził, kiedy *ying* spotyka się z Sompornem. Gdyby później policja rozpytywała ludzi, szybko wpadłaby na trop człowieka wykazującego nadmierne zainteresowanie *mia noi* – tego samego, który był w Pattai, kiedy inna kobieta, jak zeznał któryś z naocznych świadków, została wypchnięta za balkon jego pokoju hotelowego. Dlatego Calvino miał teraz przecucie, że obserwuje coś w rodzaju błyskawicznej kontry Knicksów: podanie do wysuniętego napastnika, krótki bieg pod kosz, obrót, zwód ciałem i wrzucenie piłki do siatki. Doskonale rozumiał tego rodzaju zagrania, zastosował coś w tym stylu podczas rozgrywki pokerowej z sierżantem marines.

20

Marisa z obrzydzeniem przeciskała się między gromadkami farangów w średnim wieku krążących w pobliżu barów przy Soi Cowboy. Było jeszcze wczesne popołudnie, toteż południowy skwar odczuwała na skórze niczym liźnięcia żywego ognia. Powietrze zdawało się ciężkie, nie było czym oddychać. Po obu stronach wąskiej uliczki ciągnęły się szeregi ozdobionych neonami barów. Widoczny na niebie wąski sierp księżyca sprawiał wrażenie jeszcze jednego neonu. Ale to nie skwar popołudnia ani bliska obecność mężczyzn kipiących pożądaniem wzbudzała w niej obrzydzenie. Zdążyła już zaliczyć jedno trafienie, dwa inne przypadki okazały się niewypałami. Przyglądała się wszystkim dziewczętom drobnej budowy podobnym do Fon, które jednak nią nie były. Niemniej wszystkie spoglądały na nią oczyma pełnymi smutku i proponowały kupno kwiatów albo gumy do żucia. Nie zatrzymywała się. *Ying* stojące przy wejściach do barów, ubrane w kuse spódniczki i skąpe topy, ciągnęły farangów za ręce, trącały łokciami, próbowały z nimi flirtować.

– Hej, przystojniaku! Może wejdiesz ze mną do środka? Tam jest więcej dziewcząt. Tylko popatrz!

W parnym przedwieczornym powietrzu z przesyconych wonią potu mieszkań wychylały się na dwór starsze osoby, nowo przybyli dawali się wciągać do chłodnych klimatyzowanych pomieszczeń. Marisa, z przepełniającej ją bezradności, miała ochotę krzyczeć na całe gardło. Na szczęście nauczyła się na tyle panować nad sobą, że przestała rozdawać na oślep ciosy, przez co zwykle wychodziła na idiotkę. Lecz choć uważała się za kobietę twardą i doświadczoną, atmosfera na Soi Cowboy i tak przyprawiała ją o mdłości. Była upokarzająca, prymitywna, jakby zdominowały ją najgorsze zwierzęce instynkty. Nie była szczególnie pruderyjna, ale pracujące tu kobiety, całkiem wyzute z poczucia godności, także nasilały jej obrzydzenie. Co jednak tylko wzmagало jej determinację kontynuowania poszukiwań.

Szła powoli, rozglądając się za dzieckiem i kątem oka obserwując ten sam proceder rozgrywający się przed każdym lokalem. Rywalizacja o klientów sięgała

zenitu. Na jej oczach jeden farang za drugim, nie wyłączając nawet starców, znikali we wnętrzach barów.

Marisa była akurat w domu, kiedy zadzwoniła Gung, kobieta pracująca w organizacji pozarządowej, którą uważała za przyjaciółkę. Gung jak mało kto potrafiła sobie radzić w starciach ze skorumpowanymi, wyrachowanymi i skompromitowanymi politykami oraz przedstawicielami aparatu władzy – systemu, który potrzebował wielu tygodni i miesięcy na podjęcie jakiegokolwiek decyzji, bo w każdej sprawie trzeba było powoływać komisje, przygotowywać sprawozdania, a potem jeszcze szukać kompromisowych rozwiązań. Tymczasem gangi, których przywódcy świetnie wiedzieli, komu i ile trzeba zapłacić, przemycały dzieci do dzielnic z czerwonymi latarniami, wraz z ciągłymi dostawami błyskotek, kwiatów, laserowych latarek czy gumy do żucia dla turystów. Setki dzieci zmuszano do prostytucji w kilku podobnych rejonach rozrzuconych po całym mieście. Zdaniem Gung lokalny gang nadzorował około dwudziestu dziewczynek znajdujących się w rejonie Soi Cowboy. Odbywały się spotkania różnych gremiów, pisano raporty, lecz na ulicy niewiele się zmieniało, najwyżej dzieci nagle znikwały z tutejszych lokali, żeby od nowa pojawiać się stopniowo po jakichś dwóch tygodniach.

W jednym z raportów znalazły się zdjęcia tak wykorzystywanych dziewczynek ośmiu dziesięcioletnich. I jedna z fotek, przedstawiająca najwyżej jedenastoletnie dziecko sprzedające kwiaty i gumę do żucia na Soi Cowboy, głęboko zapadła Marisie w serce. Gung przekazała jej telefonicznie, że pocztą bambusową doszły ją wieści, iż dziewczynka została sprzedana i jest na ulicy pod ścisłą obserwacją. Dlatego uznała, że musi ją wyciągnąć z tego szamba. Na spotkaniu z przedstawicielami władz zaprezentowała znane fakty. Wszyscy jej współczuli, lecz na współczuciu się skończyło. W ten proceder było zainwestowanych zbyt wiele pieniędzy i zbyt wiele ludzi na różnych etapach czerpało z niego zyski. Pod koniec spotkania dano jej do zrozumienia, żeby lepiej zapomnieć o całej sprawie. Po wyjściu na korytarz jej przełożona powiedziała wprost, że nie wolno jej się osobiście angażować. Przypomniała Marisie o podstawowym obowiązku nieingerencji w sprawy lokalne, a to oznaczało, że szukanie dalszej pomocy u przedstawicieli władz jest z góry skazane na niepowodzenie.

Kiedy próbowała protestować, została potraktowana w typowo tajski sposób – usłyszała, że kieruje się egoizmem i głupotą, bo walka z poważniejszymi problemami wymaga dostosowania się do obowiązujących reguł gry. Czasami pewne poświęcenia są nieuniknione, lecz dopóki wygrywa się kolejne bitwy, liczba ofiar na drodze do zwycięstwa musi zostać zaakceptowana. Taka już jest natura wojny: nie wszyscy wychodzą z niej z życiem. Bakhita, przełożona Marisy w agendzie Narodów Zjednoczonych, przypomniała jej również, że każdego dnia do obozów uchodźców przybywają setki nowych uciekinierów z terenu sąsiedniej Birmy, zatem organizacji

potrzebna jest ścisła współpraca z miejscowymi politykami, by zyskać ich wsparcie dla pomocy udzielanej uchodźcom. Tego typu argumenty wykluczały jakąkolwiek dalszą dyskusję, przypominały racje wysuwane przez dowódców wojskowych średniego szczebla, którzy godzili się posyłać swoich ludzi na przegrane z góry bitwy, bo można było w ten sposób związać walką znaczne siły przeciwnika.

To prawda, że wojna miała okrutne, przerażające oblicze.

Marisa została więc postawiona przed problemem ratowania setek kobiet i dzieci uciekających przez birmańską granicę, dla którego powinna zapomnieć o osobistych pobudkach nakazujących jej ratowanie dzieci sprzedawanych na Soi Cowboy. Taki warunek jej postawiono.

Przyjęła go, nie miała innego wyjścia. Zrezygnowała z pomysłu jakichkolwiek indywidualnych interwencji. Sprawy, które nie dawały jej spokoju, zostały przekazane policji, musiała zadowolić się obietnicą ich załatwienia przez służby porządkowe.

Ale Gung się nie poddała. Postanowiła zmobilizować koleżankę z Zachodu do podjęcia aktywnych działań poprzez wywarcie na nią presji. Powiedziała przez telefon:

– Fon zostały najwyżej dwa dni. Podobno znaleźli jakiegoś Chińczyka, który zapłacił za jej dziewictwo. Pojutrze ma przylecieć z Tajwanu. Później wszystko się dla niej zmieni.

W słuchawce rozległ się dziecięcy głosik:

– Mam na imię Fon. Możecie mi pomóc? Boję się, że ciocia niedługo mnie sprzeda.

Ponownie odezwała się Gung:

– Teraz wszystko jest w twoich rękach. Połączenie zostało przerwane.

Codzienna obecność dziewczynki na Soi Cowboy skłoniła Marisę do wniosku, że musi ona być Tajką, okazało się jednak, że pochodzi z Shanów, etnicznej mniejszości zamieszkującej pogranicze birmańskie. Gdyby była Tajką, policja i opieka społeczna chętnie zabrałyby ją z ulicy i umieściły w przytułku. Ale w wypadku Fon tego typu procedura nie wchodziła w rachubę. Byłoby już dla niej lepiej, gdyby urodziła się wśród Karenów, innej mniejszości narodowościowej z pogranicza birmańskiego, spychanej na terytorium Tajlandii przez trwającą od pięćdziesięciu lat wojnę domową. Byłoby lepiej, bo nawet po zmasowanych atakach wojsk birmańskich i wobec widma głodu Karenowie bardzo rzadko decydowali się na sprzedaż swoich dzieci. Niestety, wśród Shanów i Tajów panowały inne obyczaje, zwłaszcza biedni wieśniacy od wielu lat decydowali się wymieniać swoje córki na pieniądze bądź zapasy żywności.

Imię Fon oznaczało „Deszcz”. Marisa uważała, że to bardzo dobre imię dla dziewczynki, która nigdy nie widziała za dużo słońca i której przyszłość niknęła

w przedburzowych ciemnościach. Jeśli nie udało jej się do świtu zarobić co najmniej trzystu bahtów, jej „opiekunowie” sprawiali jej lanie i odsyłali do łóżka bez zwyczajowej porcji ryżu z sosem rybnym. W ten sposób mała została zepchnięta na margines życia, stała się kolejnym dzieckiem pozbawionym możliwości nauki w szkole i zabawy z rówieśnikami.

Marisa przypomniawszy Gung, że ze względu na pracę zawodową nie może osobiście brać udziału w akcjach ratunkowych.

- Mogę stracić posadę i zostać odesłana do kraju – rzekła z naciskiem.
- Ale masz wielkie *puuyai*, które cię chroni. Nikt nie odważy się tknąć Marisy.
- Niczego nie rozumiesz. To naprawdę nie na tym polega.

Gung nie odzywała się przez chwilę, jakby usiłowała pojąć, dlaczego koleżanka, będąca przecież farangiem, nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Czyżby tylko się z nią bawiła? Postanowiła jednak zaryzykować i rzuciła desperacko:

- Khun Somporn.

Brat Marisy jeszcze się nie wżenił w rodzinę miejscowego polityka, a wieść o tym już zelektryzowała środowisko organizacji pozarządowych. Kiedy wcześniej jej tajnska koleżanka powiedziała, że jest nietykalna, tylko zaśmiała się krótko. Ale teraz poczuła obrzydzenie. Gung dawała jednoznacznie do zrozumienia, że ona już się znalazła w magicznym kręgu ludzi chronionych, więc miejscowi na pewno nie potraktują jej jak zwykłej farang. Stała się kimś mającym wystarczająco dużo władzy i wpływów, by z poziomu ulicy robić wrażenie użytecznej. Gung nawet nie ukrywała, że to jedyny sposób na poradzenie sobie z policją, jak gdyby faktycznie wszyscy mieli kłaniać jej się w pas na samo brzmienie nazwiska Somporna. W pierwszej chwili postanowiła, że nigdy nie poprosi teścia swego brata o żadną przysługę, bo gdyby raz przekroczyła tę granicę, stałaby się jego zakładniczką. Nie mogła też zapomnieć, jak stała się mimowolnym świadkiem telefonicznej rozmowy polityka z jego *mia noi* w lobby hotelu Oriental. Należał do ludzi, którzy traktowali kobiety jak swoją własność.

– Pomoc dla tej dziewczynki nie ma nic wspólnego z Sompornem – odparła stanowczo. – Pod żadnym pozorem o nic go nie poproszę.

Było to coś w rodzaju oświadczenia, kompletnie obcego Tajom. Odmowa wykorzystania swojej władzy i wpływów w celu niesienia pomocy komuś, kto o nią prosił, była tu uważana za najgorszą obrazę. W dodatku Gung potraktowała słowa Marisy jako personalną odmowę.

– Nie ma znaczenia, czy go o coś poprosisz, czy nie. Ty chyba nic nie rozumiesz. Nie jesteś taka jak my. Tobie nigdy nie przydarzyło się nic złego. Chciałabyś mieć inną pracę? Proszę bardzo. Chciałabyś jeszcze czegoś innego? Nie ma sprawy. Gdyby ktoś próbował stanąć ci na drodze, na pewno miałyby olbrzymie kłopoty. Więc może spróbuj teraz pomyśleć o Fon. Kogo ona ma? Na jaką odmianę w życiu może liczyć? Możliwe, że ciebie to nie obchodzi. Sądziłam jednak, że jesteś inna. Przykro mi.

W słuchawce zapadła cisza. Marisa zapatrzyła się w telefon, walcząc z chęcią natychmiastowego oddzwonienia do Gung. Chciała jej wyznać, że Bakhita nakazała jej wyraźnie, by nie angażowała się osobiście w żadną tego typu sprawę. Uznała jednak, że ten argument zabrzmiał pusto. Ogarnęła ją złość, ale nie z tego powodu, że rozmowa została przerwana, zanim zdążyła cokolwiek wyjaśnić – bo takie zakończenie chyba tylko wybawiło ją z kłopotliwej sytuacji – lecz dlatego, że uświadomiła sobie nagle, iż małżeństwo brata wywróci całe jej dotychczasowe życie do góry nogami.

Przeszła nerwowym krokiem do saloniku, gdzie Juan Carlos pracował przy stole, siedział pochylony na grubą teczką z papierami dostarczoną przez jednego z asystentów Lawmana.

– Co się stało? – zapytał, podnosząc głowę.

– Nic. Muszę się jednak trochę przewietrzyć.

– Niezły pomysł. Mogę ci towarzyszyć? Też chętnie bym się przeszedł.

Taki już był, pełen optymizmu, ufny, radosny, bez reszty zakochany w całym świecie i swoim życiu. Bardzo żałowała, że nie odziedziczyli po równo tych cech po rodzicach, bo jej brat aż nimi kipiał. Popatrzył na nią wyczekująco i od razu pożałowała, że nie jest z nim całkiem szczerą. Bo nie chciała się tylko przewietrzyć. Ale też nie zamierzała wciągać brata w swoje sprawy.

– Muszę sobie parę spraw przemyśleć, Juan. Postukał długopisem w stertę dokumentów i przeciągnął się ostentacyjnie.

– W takim razie zadzwoń, jak już to sobie przemyślisz, wtedy do ciebie dołączę.

Skinęła głową, chwyciła swoją torebkę i ruszyła do wyjścia.

– Wyglądasz na zdenerwowaną. Na pewno nie chcesz, żebym poszedł z tobą?

– Dam sobie radę – odparła. – Prawdę mówiąc, jestem tylko zamyślona, nic poza tym.

– Więc chyba nie powinnaś przynosić swojej pracy do domu.

Skwitowała to uśmiechem i dała mu lekkiego kuksańca w bok.

– Jak zwykle masz rację.

Nie cierpiała okłamywać brata, ale wyznanie mu prawdy groziło tym, że będzie chciał jej na siłę pomóc. A tego wolała za wszelką cenę uniknąć. Musiała załatwić tę sprawę na swoich warunkach.

W czasie podróży kolejną miejską zastanawiała się, co właściwie powinna zrobić, albo raczej co mogła zrobić i co mogło z tego wyniknąć, uznała jednak, że w głębi serca pragnie pójść za radą Bakhity. Kiedy jednak wysiadła, spojrzała na sprawy inaczej. Nie widziała dla siebie miejsca wśród politycznych urzędasów skupiających się na abstrakcyjnych dzieciach, ale rzadko schodzących na ziemię, żeby poznać potrzeby konkretnego dziecka. Nie chciała być taka jak oni. Z kolei Gung nie w pełni rozumiała, jak wielka stawka jest na szali. Marisa mogła nie tylko stracić pracę, ale

jeszcze zostać wydalona z kraju za złamanie obowiązującego ją prawa. Niewiele jeszcze ryzykowała, kiedy w rozmowie z Bakhitą próbowała tłumaczyć, że przepis zabraniający osobistej interwencji jest nieżyciowy. W odpowiedzi usłyszała, że jaki jest, taki jest, ale ma się do niego stosować. Ale przecież *puuyais* nie musieli się stosować do tych samych przepisów, przekonywała siebie w myślach. Spotkanie zakończyło się więc niczym, podobnie jak telefoniczna rozmowa z Gung. Wszyscy woleli pozostać na swoich dotychczasowych pozycjach, tyle że między nimi znajdowała się gdzieś mała dziewczynka o imieniu Fon, która pojutrze miała zostać sprzedana jakiemuś seksturyscie.

Kiedy Marisa szła jeszcze przez peron stacji Asoke, niewiele brakowało, by zawróciła, gdy nagle zderzyła się z jakimś farangiem, który najwyraźniej postanowił ją poderwać. Cóż, przynajmniej wciąż mogła się uważać za wystarczająco atrakcyjną, żeby przyciągać uwagę mężczyzn na ulicy. Wzięła głębszy oddech. Dość tego, pomyślała. Fon powinna mieć szansę dorosnąć, mimo że Bakhita stwierdziła, iż na świecie są miliony takich jak Fon. A gdy zeszła ze stacji na poziom ulicy i zobaczyła rozstawione co dziesięć metrów kobiety, jedne starsze, drugie młodsze, niektóre przyciskające jedną ręką niemowlę do piersi, a drugą wyciągające po jałmużnę, błyskawicznie zapomniała o uwagach Bakhity na temat poważniejszych problemów dotyczących handlu dziećmi.

U wylotu Soi Cowboy zatrzymała się, po raz kolejny tknięta myślą, by zawrócić. Szybko jednak przekonała sama siebie, że skoro znalazła się aż tutaj, może się przynajmniej odwdzińczyć Gung okazją do bezpośredniej rozmowy z Fon. Mimo wszystko nie mogła zapomnieć ostrzeżenia Bakhity: „Tajowie są bardzo wrażliwi, jeśli obcokrajowcy obnażają cokolwiek związanego z odbywającym się tu wykorzystywaniem dzieci bądź handlem nimi i kobietami czy też z udziałem rozmaitych organizacji, oficjalnych albo nieoficjalnych, dzięki którym oba te procedury są możliwe”. Przekonywała więc siebie także, iż wrażliwość Tajów mało ją obchodzi. Bo w każdym wypadku chodziło o wrażliwość ludzi bogatych, zbirów, wpływowych środowisk przestępczych. To Somporn i jemu podobni tworzyli to środowisko. Skręciła więc w Soi Cowboy, całkiem już przekonana o słuszności swojej misji. Rozmyślała, że jeśli nawet straci pracę i zostanie deportowana z Tajlandii, może wrócić do Hiszpanii, ale i tak nigdy o nic nie poprosi teścia swojego brata.

– Nie da się wprowadzić zmian w żadnej grupie, jeśli nie zacznie się od przekonywania jednostek – tłumaczyła na spotkaniu w agendzie ONZ.

Pożałowała tej deklaracji już kilka sekund później, jednakże w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać. Pozwoliła, by jej słowa zawisły w powietrzu. Bakhita też nie chciała się wypowiadać na ten temat. Wszyscy dokładnie wiedzieli, na jakiej pozycji się znajdują.

Dwukrotnie przeszła całą Soi Cowboy od Soi 23 do Asoke i z powrotem, nim w końcu spostrzegła sprzedającą kwiaty dziewczynkę wyłaniającą się z któregoś baru i przeciskającą się na ulicę między ochroniarzami i naganiaczami. Musiała uskoczyć w bok, gdy sprzedawca z przenośnego stoiska z żywnością chlusnął brudną wodą z plastikowego wiadra do rynsztoka. Marisa ukradkiem zerknęła na zdjęcie Fon, a potem na dziewczynkę z kwiatami. To było to samo dziecko. A chwilę później zobaczyła Gung.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – powiedziała przyjaciółka. – To ona.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

– Dokąd idziesz?

– Muszę jeszcze odszukać dwójkę innych dzieci w Lumpini Park. Powodzenia.

Odprowadziła Gung wzrokiem, dopóki ta nie zniknęła jej w tłumie na ulicy. Dopiero wtedy obejrzała się na dziewczynkę, która spoglądała zazdrośnie na dwóch farangów otoczonych aż przez trzy dziewczęta przed wejściem do kolejnego baru.

– Zapraszamy do środka, przystojny panie – wyrecytowała jedna z nich wykutą na pamięć formułkę, co świadczyło wyraźnie, że jej znajomość angielskiego jest niewystarczająca nawet do tej wykonywanej pracy.

Marisa kucnęła i spojrzała dziewczynce w oczy.

– Gung odeszła, ale ja chciałabym ci pomóc. Odpowiedzią była znudzona, obojętna mina i unikanie kontaktu wzrokowego. Pod nieobecność Gung mała natychmiast wracała do wpojonej jej roli sprzedawczyni kwiatów.

– Nazywasz się Fon?

Dziewczynka zrobiła przestraszoną minę. Wyciągnęła z kieszeni paczkę gumy do żucia.

– Dwadzieścia bahtów. Kupisz?

Marisa wręczyła jej banknot stubahtowy. Fon z uśmiechem wyciągnęła do niej pięć paczek gumy.

– Nie masz ochoty na jakieś smaczne kluski? – zapytała Marisa, nawet nie spojrzawszy na oferowany towar.

– Nie chcesz gumy? To może kupisz latarkę laserową? Bardzo dobrej jakości. Z Tajwanu. Tanio.

– Rozmawiałś ze mną przez telefon. Pamiętasz?

– To bardzo dobry laser – powtórzyła mała.

– Dlaczego to robisz?

Wyglądało na to, że pod nieobecność Gung nie chce mieć z nią nic wspólnego.

Mówiła rozpowszechnioną w Bangkoku uliczną dziecięcą angielszczyzną, wystarczającą do tego, by handlować kwiatami i gumą do żucia. W tym zakresie niepotrzebne było bogatsze słownictwo. Jeśli ludzie cokolwiek kupowali, robili to bardziej z sympatii niż z rzeczywistej potrzeby. Dlatego też cofnęła się szybko, kiedy

Marisa chciała ją wziąć za rękę.

– Nie jesteś głodna?

Na twarzy Fon malował się coraz wyraźniej przestach. Zaczęła w panice zerkać na lewo i prawo. Tylko z pozoru wyglądało na to, że krąży po ulicy według własnej woli, bo instynkt podpowiadał jej, iż jest bez przerwy obserwowana. Na pewno powtarzała jej to ciocia. Ale głównym zadaniem kobiety, którą nazywała ciocią, było zapewnienie jej porządnego ubrania, zrobienie makijażu, nauczenie, jak powinna barwić wargi szminką.

Przez kilka ostatnich dni ciocia z pewnością była dla niej bardzo miła, uprzedzała od czasu do czasu, że powinna się przygotować na niespodziankę. Dawało jej to poczucie, że jest traktowana wyjątkowo, że różni się od pozostałych dzieci. Pewnie dlatego Fon doszła do wniosku, że nie stanie się nic wielkiego, jeśli ukradnie posiłek *mem-farang*. Bo przecież ciocia tłumaczyła także, iż *mem-farang* mogą jej tylko sprawić kłopoty. Zatem nigdy, w żadnych okolicznościach nie powinna ufać i wierzyć w to, co usłyszy od jakiejś *mem-farang*. Wszystkie dzieci przebywające w domu, w którym nocowała, doskonale już to zapamiętały.

Marisa złapała Fon za rękę, pociągnęła ją w stronę najbliższego stoiska z jedzeniem obok wejścia do jednego z barów i posadziła na plastikowym stołku. Zamówiła dwie porcje kurczaka z kleistym ryżem. Kilka minut później sprzedawczyni postawiła przed nimi tacki wraz z plastikowymi łyżkami i widelcami, lecz Fon zaczęła jeść łapczywie palcami, napychając sobie usta kawałkami mięsa.

– Gung mówi, że pochodzisz z Birmy, ze stanu Shan. To prawda? – zapytała Marisa.

Dziewczynka przytaknęła z pełną buzią, po czym znów trwożliwie rozejrzała się po ulicy, czy jej nikt nie obserwuje.

– A więc Shan?

Znowu skinęła głową, z trudem podnosząc powieki z rzęsami grubo umazanymi połyskliwym czarnym tuszem.

– A gdzie są twoi rodzice?

– Mama nie żyje. Tata pracuje nad rzeką.

– Jaką rzeką?

Fon wzruszyła ramionami.

– Po tajskiej stronie rzeki na granicy. Ma specjalną kartę pozwalającą na to. Niedługo się z nim zobaczę.

– Kto tak powiedział? Mała zamrugwała szybko.

– Ciocia.

– Myślisz, że mogłabym porozmawiać z tą twoją ciocią? – zagadnęła Marisa.

Ale nie dokończyła jeszcze pytania, gdy zdała sobie sprawę, że popełniła błąd.

Fon wykrzywiła buzię i pospiesznie zgarnęła palcami ostatnią grudkę ryżu.

- Skończyłam. Mogę wracać do pracy. Marisa złapała ją za rękę.
- Pytałaś przez telefon, czy możemy ci pomóc. Zmieniłaś zdanie?

Dziewczynka westchnęła i wbiła spojrzenie w blat stolika. Najwyraźniej wciąż nie mogła skojarzyć tej *mem-farang* z kobietą, z którą rozmawiała przez telefon. Poza tym od tamtej rozmowy, jak jej się wydawało, upłynęło mnóstwo czasu, a jej zależało wtedy wyłącznie na zjednaniu sobie Gung. Teraz w ogóle nie była już pewna, czego naprawdę chce.

- Nie chcę mieć kłopotów.
- Ze strony cioci?

Fon była coraz bardziej zakłopotana i przerażona, dlatego wołała nie odpowiadać na pytania. Wierciła się i kręciła na stołku, zerkając trwożliwie na wszystkie strony. Marisa nie wiedziała, jak do niej dotrzeć. Dziewczynka nie tylko została oddzielona od ojca po śmierci matki, ale jeszcze prawdopodobnie wtłoczono jej do głowy nieufność wobec nieznanymi kobiet z Zachodu. A że miała dopiero jedenaście lat, wciąż znajdowała się w okresie późnego dzieciństwa, tymczasem jej rozkazodawcy za wszelką cenę starali się podkreślić pierwsze oznaki kobiecości. Paznokcie miała polakierowane na czerwono, długie czarne włosy starannie zaczesane do tyłu, błyszczący na wargach i róż na policzkach miały sugerować, że sprzedaje coś więcej niż tylko gumę do żucia.

– Czy ciocia powiedziała ci już, że pojutrze przekaże cię pewnemu mężczyźnie, a ten mężczyzna będzie się domagał od ciebie seksu?

Fon zaczęła się rytmicznie kołysać w przód i w tył, wydymając wargi.

– Ciocia nikomu mnie nie odda, wiem to na pewno. Bardzo się o mnie troszczy.

– Ale ciocia czasami zmusza dziewczynki do uprawiania seksu. O tym też wiesz, prawda?

Mała westchnęła głośno.

– Muszę wracać do pracy.

Marisa dała jej jeszcze dwieście bahtów.

– Masz cały dzisiejszy zarobek, więc nie musisz się już o nic martwić.

Głębokie zmarszczki na czole dziewczynki świadczyły o czymś zgoła przeciwnym.

– Ciocia obiecała, że odeśle mnie do taty.

– Okłamała cię. Gung na pewno ci mówiła, że nie wolno wierzyć w obietnice cioci. A ty powiedziałaś wtedy Gung, że ciocia zaplanowała już twoją pierwszą noc z obcym mężczyzną. To dlatego prosiłaś mnie, żebym ci pomogła. Jeśli naprawdę nie chcesz spać z mężczyzną, wystarczy, że teraz mi to powiesz, a ja cię stąd zabiorę. Będiesz mogła wrócić do szkoły, zobaczyć się z ojcem, zyskasz nowych przyjaciół, nowe życie...

– Ciocia mówi, że *mem-farang* wszystkim powtarzają takie rzeczy, ale to

nieprawda.

Marisa uśmiechnęła się lekko.

– To oczywiste, dlaczego tak mówi. Czy kiedyś cię uderzyła? Groziła ci? Biła inne dzieci?

Obie równie dobrze znały odpowiedzi na te pytania.

– I nie wątpisz, że Gung chce ci pomóc?

Mała ledwie zauważalnie skinęła głową, a jej oczy jak gdyby na krótko zaszyły mgłą.

– Nie pomogę ci, Fon, jeśli nie będziesz chciała z własnej woli pójść ze mną. Ciocia nie może cię już ukarać ani dać ci lania. Obiecuję, że już nikt nigdy cię nie skrzywdzi.

Dziewczynka przez dłuższą chwilę uważnie wpatrywała się jej w oczy.

– Nie wiesz różnych rzeczy.

– Ale jedno wiem.

Fon zapatrzyła się na nią wyczekująco, w bezruchu, niemalże wstrzymując oddech. Jej dotychczasowe doświadczenia pochodziły wyłącznie ze świata czczych obietnic.

– Chodźmy stąd wreszcie – powiedziała Marisa, wyciągając do niej rękę.

21

Pod jaskrawym neonem oświetlającym wejście do baru Saba, przedstawiającym głowę faraona Tutenchamona w pasiastej chuście nemes, trzech niskich, żyłastych Tajów w plastikowych klapkach i znoszonych połatanych ciuchach powoli prowadziło na wodzy małe słońtątko, które sprowadzili tu aż z prowincji Surin. Wędrowali ulicą, rozstawieni w wachlarz, usiłując sprzedawać turystom worki pędów bambusowych po dwadzieścia bahtów. W tych czasach nie wykorzystywano już słońi na placach budowy, nie musiały przenosić bali na swych grzbietach. Stąd też zwierzęta, cieszące się wielką estymą, były już tylko ozdobami rozmaitych ulicznych przedstawień w Bangkoku.

Dwaj mężczyźni przystanęli, żeby zaproponować torbę bambusa jakiejś parze turystów z Zachodu, ci zaś w nerwowej atmosferze zaczęli przeglądać banknoty w portfelu, nie znając jeszcze ich wartości. Wyciągali je i unosili do światła, starając się ustalić, który ma wartość dwudziestu bahtów. Dookoła paradowały setki *ying* w obcisłych szortach, górach od bikini i luźnych nylonowych szalach narzuconych na ramiona, usiłujących przekonać każdego, że w ich barze piwo jest najtańsze.

– Policja nie pozwala wykorzystywać słońi w Bangkoku. Więc co to ma znaczyć, do cholery?! – warknął McPhail, ruchem ręki przywołując do siebie jednego z tubylców wpychających mu pod nos woreczek pędów bambusa.

– To było rok temu – odezwał się Calvino, nawet nie patrząc w tamtym kierunku. Po chwili dodał: – To ona.

McPhail zbliżył się do słońtątko i musnął jego grzbiet wierzchem dłoni.

– Co chcesz przez to powiedzieć, że to ona? Chodziło jednak o kobietę ze stacji kolejki, która w stanowczy sposób kazała mu się odczepić. Siedziała przy plastikowym turystycznym stoliku z dziewczynką ubraną jak dziwka. Dwa metry dalej uliczna sprzedawczyni zachwalała swoje danie, przekładając kawałki gotowanej piersi kurczaka na uformowane w idealny stożek porcje ryżu. Przy drugim stoliku miejscowe tancerki leniwie grzebały łyżkami w miseczkach zupy z makaronem.

Marisa obrzuciła uważnym spojrzeniem idącego w jej kierunku detektywa. Wstała od stolika i uśmiechnęła się. Ciągnąc za sobą dziewczynkę, wyszła na jezdnię i nagle objęła Calvina za szyję, serdecznie cmoknęła go w oba policzki, a następnie żarliwie pocałowała w usta. Przytuliła się do niego jakby tylko po to, by poczuć, czy w kaburze pod marynarką nosi swój specjalny policyjny rewolwer. Doskonale wiedziała, co to może oznaczać. Jej ojciec był oficerem policji.

– Vinny, tak się cieszę, że cię widzę! – zawołała zdecydowanie za głośno, jakby przemawiała do kogoś innego, znajdującego się nieco dalej.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, zerkając przez ramię na McPhaila, którego ironiczny uśmieszek groził, że na stałe zniekształci mu rysy.

– W życiu bym nie pomyślał, że może chodzić o ciebie – syknął McPhail, chociaż na tyle cicho, że jego słowa utonęły w głośnym ryku słonia, który właśnie uniósł trąbę i wydzielił z siebie gęstą chmurę gazów trawiennych z częściowo przefermentowanej trawy bambusowej.

Dopiero wtedy Calvino zauważył, że tajska dziewczynka trzyma w jednej ręce paczki z gumą do żucia, a w drugiej kilka laserowych latarek. Marisa błyskawicznie objęła ją za ramiona i po matczynemu przytuliła do siebie, jakby to była jej bliska krewniaczka.

– Proszę, pomóż mi – szepnęła. – Ci ludzie za tobą chcą zabrać tę małą, a ja nie mogę na to pozwolić.

Calvino błyskawicznie spoważniał i cofnął się o krok.

– O czym ty mówisz? Jacy ludzie chcieliby zabrać tę dziewczynkę? – Zerknął przez ramię, ale nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego w tłumie naganiaczy, *ying*, *farangów*, ulicznych handlarzy i młodych ludzi na motocyklach.

– Ma na imię Fon i jest w niebezpieczeństwie. Proszę, pomóż mi. – Dolna warga dziewczyny wyraźnie zadrżała. Skierowała rozbiegany wzrok na dziecko i zaraz z powrotem na niego. Na stacji kolei miejskiej robiła wrażenie kobiety w pełni panującej nad sytuacją, teraz zaś przypominała bardziej śmiertelnie przerażone stworzenie.

Bezskutecznie starał się zrozumieć, co ona może tu robić w towarzystwie tej dziewczynki. W jego uszach dźwięczały jej słowa: „Pomóż mi”, lecz na czym ta pomoc miałyby polegać? W końcu niespełna dwie godziny temu uwolniła się od jego towarzystwa, jakby był tylko natrętnym kłębkim kurzu.

– Może lepiej zadzwoń na policję – mruknął w końcu.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała, gdyż pogardliwie wyduła wargi i energicznie pokręciła głową, wciąż kurczowo trzymając Fon za rękę.

– To nic nie da. Muszę się stąd wydostać. Wierz mi, policja w niczym nam nie pomoże.

– Pocałunek mi się podobał – odparł. – Ale chyba błędnie go odczytałem.

Wziąłem go za coś więcej niż wołanie o pomoc.

Nie tego się spodziewała. Miała jednak do czynienia z mężczyzną, a w takich wypadkach należało postępować bardzo rozważnie.

– Wszystkie pocałunki są jak wołanie o pomoc – odparła, siląc się na uśmiech. Pomyślała, że skoro musi się uciec do podstępny, bez trudu włączy się i do tej gry.

To McPhail pierwszy namierzył dwóch Tajów, którzy zachodzili Calvina od tyłu, blokując im dalszą drogę w głąb uliczki.

– Jeśli chcesz im pomóc, to raczej nie zwlekaj dłużej – bąknął.

Detektyw wziął Marisę za rękę i pociągnął ją razem z dziewczynką przez ulicę do baru, którego właściciela znał. Wejście zasłaniała ciężka kotara. Wsunął dłoń między jej części i odchylił jedną na tyle, by Marisa wraz z dzieckiem wśliznęła się do środka. Nawet się nie obejrzał, kiedy dał nura za nimi.

McPhail porozmawiał krótko z ludźmi z Surinu prowadzającymi po ulicy słonika, po czym dał im sto bahtów, by przez kilka minut pokręcili się przed wejściem do baru. Szybko gromadziła się wokół nich gromadka zaciekawionych *ying* i turystów, toteż obaj Tajowie idący śladem Calvina musieli zostać trochę z tyłu. Nie wyglądali jednak na zniecierpliwionych, przez chwilę postali z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, później jeden wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował kumpla.

Wkrótce dołączyło do nich kilku następnych osiłeków nadciągających od strony Asoke. Stało się jasne, że nikt nie wejdzie do baru ani z niego nie wyjdzie bez konieczności przeciśnięcia się między nimi. McPhail musiał przyznać w duchu, że jako linia obrony robią naprawdę imponujące wrażenie. Kobieta z dzieckiem nie stanowiła dla nich żadnego wyzwania. Co prawda, Calvino był uzbrojony, ale sięgnięcie po rewolwer na Soi Cowboy mogło tylko jeszcze bardziej pogorszyć ich sytuację. Dlatego McPhail wydał wargi i splunął na ziemię, zanim i on wsunął się za kotarę.

– Chłopie, na ulicy czeka już na ciebie czterech albo pięciu osiłeków. Nie wygląda na to, żeby chcieli się stąd ruszyć w najbliższym czasie.

– Chcą odbić Fon – powiedziała Marisa, ściskając rączkę dziewczynki.

– To nie ulega wątpliwości – odparł McPhail. – Mała zapewne dla nich pracuje. Mam rację, skarbie?

– To twój przyjaciel? – zapytała Marisa. Calvino skinął głową.

– Czasami niepotrzebnie daje się ponieść nerwom. McPhail zakołysał się na piętach. Z wielkich kolumn głośnikowych, rozstawionych niczym rytualne chińskie urny w piwnicy rodzinnego domu, płynęły dźwięki bluesa. Uderzyło go nagle, że słowa piosenki wyjątkowo dobrze oddają sytuację i są jak gdyby skierowane wprost do niego: „Koło północy wpadłem w kłopoty, myślałem tylko o tobie. Tak, kocham cię, dziecino, i uszedłem stamtąd z życiem, by cały świat się dowiedział, że jesteś moja”.

Na scenie kręciło się kilka tancerek mających na sobie tylko wysokie szpilki, wszystkie wpatrywały się w ekran telewizora wiszącego pod sufitem, w którym leciała transmisja z walki kick boxingu. Nawet nie słuchały rytmu bluesa. Zawodnicy, Taj oraz farang, powoli krążyli wokół siebie po ringu. Ilekroć Taj zadawał celne kopnięcia, *ying* przyjmowały to głośnymi wiwatami.

Calvino pociągnął Marisę w głąb sali, w stronę budki dla didżeja, w której siedział właściciel baru, Reno, i fałszując, śpiewał do mikrofonu: „Kocham cię, dziecino, i uszedłem stamtąd z życiem, by cały świat się dowiedział, że jesteś moja”. Szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu i głośno przytupywał do rytmu. Ujrzawszy Calvina, pomachał trzymanym w rękę cygarem, a po chwili zszedł ze stanowiska, by zamknąć detektywa w niedźwiedzim uścisku.

– Vincent Calvino! Gdzieś ty się podziewał, do jasnej cholery?!

Spojrzał ponad jego ramieniem i zmarszczył brwi, ujrzawszy towarzyszącą mu gromadkę. Nie lubił, kiedy Calvino nie przychodził sam, a zwłaszcza gdy w jego towarzystwie był McPhail. Zazwyczaj tłukło się wtedy szkło, stoliki się przewracały, *ying* płakały i piszczały ze strachu. Dopiero po chwili zarejestrował obecność *mem-farang*, którą detektyw trzymał za rękę. Wyciągnął cygaro z ust, ukrył je w dłoni i mruknął:

– Przepraszam, nie wiedziałem, że to wieczór dla gości z własnymi *ying*.

W jego biznesie najbardziej niepożądanymi klientami byli tacy, którzy przychodzili tu z własnym piwem kupionym w pobliskim markecie 7-Eleven, żeby nie płacić za trunki przy barze, i tacy, którzy z analogicznych powodów przyciągali tu kobiety poznane na ulicy. Powszechnie nazywani „tanimi Charliemi”, wzgardzeni jak szczury, szukali wyłącznie taniej rozrywki, ale niekiedy uciekali z najlepszymi kąskami, zanim ktokolwiek zdążył ich przepłoszyć.

– Jest problem.

– Bracie, ten świat żyje od jednego problemu do drugiego – odrzekł Reno. – Kłopot polega na tym, że jeśli nie nauczysz się w porę uskakiwać, zostaniesz rozjechany.

– Sytuacja jest zmienna – dodał Calvino.

– To znaczy popieprzona – przetłumaczył Reno, oczekując najgorszego. Spojrzał na minę detektywa i dodał: – W porządku, bardzo popieprzona. Czego ci potrzeba?

– Pomóż mi wyprowadzić tę kobietę z dzieckiem na tyły.

Podszedł do kontuaru i uderzył w dzwonek. *Ying* zapatrzona w telewizor urządziły mu owację, na sali rozległy się wiwaty. Dzwonek oznaczał, że ktoś stawia wszystkim kolejkę. Calvino odliczył trzy tysiące bahtów i podał pieniądze właścicielowi lokalu. Stanowiło to prawie równowartość stu dolarów, powinno zatem wystarczyć na drinki dla wszystkich. Reno puścił kolejnego bluesa: „Moje szczęście zależy od tego, czy dziewczyna wróci do domu. Tak smutno siedzieć samemu i rozmyślać, co zrobiło się

źle. Powiedz, jak mam cię dzisiaj sprowadzić do domu, skarbie. Tęsknię za tobą”.

Marisa przesunęła się bliżej środka sali. McPhail wciąż stał przy wejściu, przez szparę w kotarze wyglądał na ulicę i kręcił głową. Po chwili ścisnął w garści końce obu części kotary i rzekł:

– Te łobuzy groźnie wyglądają. I naprawdę nie chcą się stąd ruszyć nawet na krok, Vinny.

– Jak policja złapie tę małą w barze, będzie mnie to słono kosztowało.

– Nie złapie jej, jeśli pomożesz nam się wydostać na dach.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

– Reno, właśnie zapłaciłem kolejkę dla wszystkich.

Ten wzniosł oczy do nieba, rozłożył trzy banknoty tysiącbahtowe w wachlarz, po czym przeciągnął nimi po ciele najbliższej tancerki. Powąchał pieniądze, jeszcze raz obejrzał je pod światło i ruchem ręki przywołał do siebie Wan. Ta odwróciła się w jego stronę, lecz Jarrett mocniej przytrzymał ją za rękę.

– Nie musisz iść – powiedział.

– W porządku. To przecież mój szef.

– Już nie.

Dostrzegł jednak po minie, że nic nie wskóra, i puścił jej rękę.

– Chcę, żebyś pokazała moim przyjaciołom starą indiańską sztuczkę z liną – rzekł Reno, gdy podeszła. Wetknął niedopałek cygara w kącik ust i sięgnął po zapalniczkę.

– Nie potrzebujemy żadnej liny.

Reno wcisnął guzik zapalniczki i niebieski płomień strzelił z niej chyba na metr w górę. Zmniejszył go szybko i przytknął do końca cygara.

– Aha, i myślisz, że w ten sposób ułatwisz mi życie? Calvino spoglądał na klientów siedzących po przeciwnej stronie jasno oświetlonej sceny. Miał wrażenie, że rozpoznał kogoś przez gąszcz gołych nóg w wysokich szpilkach, tak samo jak znajoma wydała mu się *ying* wybrana przez Reno, chociaż zmagął się z podobnym wrażeniem już z tysiąc razy, jako że wyrzucał z pamięci twarze tutejszych dziewcząt. Światła stroboskopowe rozświetliły sam brzeg sceny, toteż obszar po drugiej stronie rozplynął się przed jego oczami w jedną rozmazaną ciemną plamę. Ale właściciel zaraz podkręcił nieco muzykę, przez co zamigotały jaśniej czerwone i żółte reflektory po tamtej stronie. Przesunął się nieco wzdłuż kontuaru i spojrzął jeszcze raz. W kącie sali siedziało dwóch Amerykanów, jeden biały, a drugi czarny. Były to te same dwa ranne ptaszki, które parkowały mercedesa z ambasady przy Washington Square. Obaj udali, że go nie rozpoznają, więc i on szybko odwrócił głowę. To bez znaczenia, pomyślał.

Tymczasem Reno instruował Wan, co ma zrobić, żeby wyprowadzić *mem-farang* z dziewczynką na tyły budynku. Wan odparła, że rozumie sytuację, chociaż w rzeczywistości nie miała zielonego pojęcia, w co się pakuje.

Calvino obejrzał się jeszcze raz i spostrzegł, że Jarrett przygląda się Marisie, patrzy na nią takim wzrokiem, jakby ją skądś znał. Ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. W każdym razie dziewczyna nie była świadoma tego, że jest obserwowana. Detektyw zbliżył się do niej na krok i delikatnie położył jej dłoń na ramieniu.

– Już załatwione. Chodźmy.

McPhail stał jeszcze w wejściu, kiedy jeden z ulicznych zbirów postanowił zrobić nożem drugą szparę w kotarze i przeciągnął ostrzem po wierzchu jego dłoni. Krzyknął z bólu i odruchowo szarpnął rękę do tyłu, aż krew prysnęła mu na koszulę, na ścianę i rozciętą kotarę. Calvino w dwóch susach znalazł się przy drzwiach, wyciągając rewolwer z kabury, i jednym płynnym ruchem grzmotnął kolbą w głowę napastnika. Ten zwałił się na ulicę, runął jak ciężki kamień zrzucony z trzeciego piętra, a upuszczony przez niego nóż z brzękiem wylądował na asfalcie. Jedna z tancerek na scenie krzyknęła przeraźliwie, rozszerzonymi oczyma popatrzyła na krew ciekącą z dłoni McPhaila i zemdląła.

– Wynoście się stąd, do cholery! – syknął Reno. Osłonił usta dłońmi i ryknął do mikrofonu na stanowisku didżeja. Wan obejrzała się i popatrzyła na Jarretta. Skinął głową, zezwalając jej w ten sposób odejść. Zatem należał jednak do mężczyzn, którzy nie spotykają się dwa razy z tą samą *ying*. Pozwalał jej odejść, żeby dalej trzymać się z dala od strefy poważniejszych zobowiązań. Nie zamierzał się nawet pożegnać, skoro między nimi nie pozostało nic, co wymagałoby jeszcze wyjaśnienia.

Kiedy Calvino, Fon i Marisa ruszyli biegiem w górę schodów na zapleczu, Reno ciasno owinął dłoń McPhaila ręcznikiem i nalał mu podwójną porcję Jamesona. Mężczyźni blokujący wejście do baru nie wiedzieli jeszcze, co ich czeka za kotarą. Ale wiedzieli już, że będą kłopoty. Pozostało tylko ustalić, jak duże. Zawahali się jednak, co jest dość typowe dla najemnych ulicznych zbirów. Musieli podjąć trudną decyzję mimo wysokich dawek adrenaliny, jakie wskutek narastających emocji przedostawały się do ich krwi, a które skłaniały do działania bez myśli o możliwych konsekwencjach. Niemniej zanim zebrali się na odwagę i weszli do baru, McPhaila nie było już na sali, podobnie jak Jarretta i Tracera. Większość klientów zdążyła uregulować rachunki i rozpułnąć się w nocnym mroku, na posterunku została *mamasan*, a ta wyjaśniła rozwścieczonym rodakom, że niczego podejrzanego nie widziała, że nic nie wie o żadnej *mem-farang* z małą dziewczynką. Spokojnym, wyważonym tonem cedziła kłamstwo za kłamstwem. Nie mieli co do tego żadnych złudzeń. Ale nawet gdy przetrząsnęli cały bar, nie natknęli się na nikogo podejrzanego, a jedynie gromadkę stłoczonych na zapleczu i śmiertelnie przerażonych *ying*.

22

Marisa, kurczowo trzymając Fon za rączkę, pociągnęła ją za sobą, gdy jako pierwsza wyszła na dach. Ale miała się przestraszyć.

– Nie patrz w dół – powiedziała Marisa.

Z wysokości czwartego piętra popatrzyła na tłumy krążące po ulicy. Wan uklękła obok dziewczynki sprzedającej kwiaty, którą wcześniej kilkakrotnie widziała przed barem.

– Chodź za mną. Nic ci nie grozi – powiedziała miękko, kładąc dłoń na ramieniu dziewczynki.

Fon wzięła głęboki oddech i spróbowała się uśmiechnąć.

– Chodźmy – ponagliła Marisa.

Calvino podszedł z drugiej strony i także przykucnął obok małej.

– Wszystko będzie w porządku, dzieciaku. Niedługo stąd pójdziemy.

Fon obrzuciła go badawczym spojrzeniem, typowym dla dzieci usiłujących rozstrzygnąć, czy nie są oszukiwane.

– Na pewno dasz sobie radę – dodała Wan. Po dziecięcej buzi przemknął cień uśmiechu.

– No, musimy się ruszyć – rzekł detektyw. Większość *ying* znała drogę ewakuacyjną na dach. Kiedy uliczna czujka sygnalizowała przyjazd policji, młodsze dziewczęta, jak podczas szkolnych ćwiczeń przeciwpożarowych, wybiegały schodami na dach, gdzie mogły w spokoju przeczekać, aż zagrożenie minie. Wan, dużo bardziej ciekawska od innych, sprawdziła wyjście na dach już pierwszego dnia pracy w barze. Teraz odwróciła się, ruchem ręki dała znak, żeby trzymać się jej, i pobiegła przed siebie.

Spółeczność pracujących na *soi ying* nie była zbyt liczna. Już po tygodniu każda dziewczyna wiedziała, które koleżanki pracują w poszczególnych barach, a które działają na ulicy na własny rachunek, które gangi kontrolują te czy inne dzieci. Atmosfera na *Soi Cowboy* przypominała terminal międzynarodowego lotniska

w czasie gwałtownej burzy. Dla *ying* każdy farang mógł oznaczać przepustkę na pokład szykującego się do startu samolotu. Dla społeczności był to mało istotny ewenement, bo jeśli nawet któreś dziewczynie udawało się odlecieć, na jej miejsce natychmiast pojawiała się nowa. Życie w tym środowisku niewiele się różniło od życia w rodzinach, z których się wywodziły, było niestabilizowane i chwiejne, gdyż wszyscy szukali tylko sposobności, by zyskać przewagę nad resztą. Zanim ojciec Wan porzucił rodzinę, starannie zaplanował swoją ucieczkę. To była chyba jedyna cenna nauczka, jaka dziewczynie po nim została. Dwa dni po tym, jak rozpoczęła pracę w barze, jedna ze starszych koleżanek zdradziła jej w sekrecie, że w wypadku zagrożenia najlepiej szukać drogi ucieczki po dachach do pobliskiej stacji metra.

Z ciemności wyłoniła się sylwetka człowieka biegnącego w ich stronę. Calvino szybko przyklęknął na jedno kolano i wyteżył wzrok, próbując dostrzec, czy tamten jest uzbrojony. Niestety, dachy budynków nie były całkiem wyludnionymi miejscami. Chwilę później jego oczom ukazała się biegnąca za tamtym zadyszana *ying*, bosa, przeklinająca głośno. Detektyw przesunął się trochę w cień bielizny suszącej się na sznurze, zaczekał na odpowiedni moment, po czym wysunął w bok nogę. Uciekinier potknął się, poleciał do przodu, a chcąc się uchronić przed upadkiem, złapał sznur, ale go zerwał i runął w stertę mokrego prania. Wyglądało to tak, jakby przy podchodzeniu do lotniska nagle wysiadły mu silniki, przez co wylądował twardo na brzuchu. Był to młody Taj, niewiele po dwudziestce. Z kącika ust popłynęła mu strużka krwi.

– Biegnijcie dalej! – zawołał Calvino do Marisy i pozostałych.

– Czego chcesz, do cholery?! – syknął przewrócony chłopak.

Detektyw zacisnął palce na kaburze rewolweru, ale go nie wyciągnął. Taj, w rozpiętej koszuli, od razu zrobił się potulny i złożył dłonie na piersi.

Calvino podniósł głowę i zobaczył, że kobiety się zatrzymały. Wskazał im krawędź dachu na końcu budynku i zawołał:

– Nie zatrzymujcie się. Zaraz was dogonię.

Zadyszana i zziajana *ying*, z zapalonym papierosem w dłoni, zatrzymała się wreszcie nad nimi. Była u kresu sił, nogi się pod nią ugięły i ciężko klapnęła obok powalonego chłopaka.

– Zdradził mnie. Gówno facet. Ja go zabić.

Usiadła po turecku i zaciągnęła się papierosem. Wydmuchnęła dym chłopakowi w twarz i pomachała mu przed nosem telefonem komórkowym. Trudno było powiedzieć, czy w ten sposób próbuje go uśmiercić, czy tylko drażni się z nim, zbierając w sobie odwagę, żeby to zrobić.

Wciąż przyciskając chłopaka kolanem, popatrzył, jak Marisa z Fon biegną w kierunku Penny Lane, chwilę później zniknęły mu z oczu za kolejnymi sznurami z bielizną, ręcznikami i pościelą suszącą się w rozgrzanym nocnym powietrzu. Kiedy

ponownie skierował uwagę na skłóconą parę, dziewczyna wcale nie szykowała się do wyrwania chłopakowi serca z piersi, najwyraźniej zrobiła się zła z tego powodu, że siedzi na nim jakiś farang.

Chłopak raz i drugi jęknął pod ciężarem detektywa.

– Ty go krzywdzić, ja zabić ciebie – syknęła dziewczyna, przesuając się nieco i unosząc z dachu, jakby rzeczywiście zamierzała skoczyć Calvinowi do oczu.

Ów jednak złapał ją za kark i szybko pociągnął jej głowę w dół, aż jej oczy znalazły się na wprost oczu chłopaka. Spostrzegł, że w oddali kobiety uciekają zygżakiem między skrzynkami klimatyzatorów, zbiornikami na wodę i stertami jakichś starych gratów. Fon, chyba już zmęczona i spocona, złapała z najbliższego sznura ręcznik.

– Pocałujcie się i pogódźcie.

– On gówno facet. Ty gówno facet. Wszystkie facety gówno! – wrzasnęła dziewczyna, widocznie niezdecydowana, którego z nich chciałyby zabić w pierwszej kolejności.

Władała bardzo ograniczonym zasobem angielskich słów, ale i tak umiała wyłożyć swoje racje. Calvino dźwignął się z chłopaka i wyprostował, żeby poprawić rewolwer w kaburze pod ramieniem. Nie minęła nawet sekunda, kiedy *ying* wymierzyła podnoszącemu się chłopakowi imponujący prawy sierpowy, powalając go z powrotem na dach. Ledwie dał się słyszeć jej gardłowy szept:

– Nienawidzę cię!

Ruszył biegiem po dachu, dogonił uciekające dziewczęta i razem szybko dotarli do końca zabudowań nad Penny Lane. Obejrzał się jeszcze. Chłopak stał już na nogach, *ying* rozmawiała przez komórkę. Na pewno nie zamawiała pizzy z dostawą do domu.

– Co tam się stało? – zapytała Marisa.

– Kłótnia kochanków. Teraz się godzą na swój własny sposób.

Marisa też popatrzyła na parę tulącą się do siebie na tle białych prześcieradeł skąpanych w blasku neonów, po czym znowu spojrzała poza krawędź dachu. Znajdowali się dość wysoko. Wan szacunkowym wzrokiem obrzucała żelazną drabinkę prowadzącą aż na sam dół. Fon, która po ciemku potknęła się i upadła, rozcierała sobie stłuczone kolano. Była rozdygotana i przerażona. Calvino wziął ją na rękę i doniósł do krawędzi.

– Wszystko w porządku – szepnął. – Zajmiemy się tobą. – Wskazał początek drabinki. – Nie mamy dużo czasu. Jak tylko tamci dwaj wrócą na ulicę, rozpuszczą wieść o naszej ucieczce.

Marisa aż pobladła.

– Spójrz, jaka ona jest przerażona.

Myśl o możliwości zaskoczenia ich przez napastników na dachu sprawiała, że

wszyscy skręcali się ze strachu. Wan, także roztrzęsiona, chociaż nie zadyszana, przyciskała ręce do brzucha. Dwukrotnie pochyliła się, żeby sprawdzić, jak się czuje jej młodsza koleżanka. Neony świecące na całej długości ulicy rzucały tu wystarczająco dużo światła, żeby widzieć szczeble drabinki. Calvino postanowił zostać z tyłu i mieć wszystkich na oku, żeby nikt się nie odłączył.

Obejrzał się jeszcze raz, ale skłóconej pary już nie było. Zostało im zaledwie parę minut do czasu, aż zbiry odkryją, że dziewczynka została uprowadzona na dach. Marisa złęczonym wzrokiem popatrzyła na tajskie dziewczęta, obejrzała się na niego i zapytała:

– Więc co robimy?

– Schodzimy po drabince – orzekł, zerkając poza krawędź dachu. – Wan, idź pierwsza.

Od chwili, kiedy wbiegli po schodach na czwarte piętro, było jasne, że dziewczyna dobrze wie, dokąd prowadzi. Calvino obejrzał się jeszcze raz i znowu zobaczył w oddali tajską parę. Nawet nie próbowali się godzić, najwyraźniej rozpuszczali wieści o spotkaniu na dachu i uzbrojonym w rewolwer farangu. Ale nie powiedział o tym Marisie. W blasku migoczącego neonu Penny Lane, odległego zaledwie o parę metrów, widać było, że Wan z lękiem spogląda na drabinę przeciwpożarową.

– Ty idź pierwszy – odezwała się w końcu, zerkając na niego.

– Niby dlaczego? – zapytał z narastającą w sercu podejrzliwością.

Wan mlasnęła głośno i przekrzywiła głowę na ramię.

– Na dole trzeba zrobić skok. Będziesz musiał posadzić sobie Fon na ramionach i razem z nią zeskoczyć na ulicę.

Bez zastanowienia wziął małą na ręce i posadził ją sobie na ramionach.

– Tylko trzymaj się mocno.

Kątem oka dostrzegł przerażenie na twarzy dziewczynki. Nic nie powiedziała, ale kurczowy uścisk chudych rączek na jego szyi mówił sam za siebie. Odwrócił się, stanął na pierwszym szczeblu drabinki i rzekł do pozostałych:

– Nie wychylajcie się i bądźcie cicho. A potem schodźcie za mną. Wan pierwsza, Marisa na końcu.

Zacisnął mocno palce na drabince, czując już na ramionach ciężar dziecka. Nie miał jednak wyboru. Oddanie jej pod wyłączną opiekę barowych *ying* było sprzeczne z kilkoma zasadami działania Calvina, między innymi z tą, która głosiła: „Jeśli *ying* prosi o cokolwiek, i tak chodzi jej o pieniądze”. Zaczął schodzić powoli, uważnie stawiając stopy na szczeblach i przesuwając je, póki nie dotknął palcami muru. Szybko przyszło mu do głowy, że jednak nie doceniał Wan.

Kiedy stanął na najniższym szczeblu drabinki, wykręcił szyję, żeby ocenić wysokość, z której musi zeskoczyć. Kilkadziesiąt metrów dalej znajdowało się jasno

oświetlone wejście do stacji metra Asoke. Ale chodnik najdawał się niewiele ponad metr pod jego stopami. Sięgnął więc nad głowę i poklepał Fon po ramieniu.

– Już prawie jesteśmy na ulicy – rzekł.

W jego myślach dominowało to, że kiedy wylądują na chodniku, wystarczy im zaledwie parę sekund, by minąć posterunek ochrony i znaleźć się na stacji metra.

– Zejdź mi z karku. Stań na drabince i trzymaj się mocno.

Znieruchomiała jak rażona gromem i tylko mocniej objęła go rękoma pod brodą.

– Musisz mi zaufać, Fon. Nie zamierzam cię tu zostawić.

Ale ona go nie puszczała. Nie chciała się już więcej wspinać. A przestrzeń pod nimi była wystarczająco groźna, żeby brać pod uwagę złamanie nogi, jeśli się źle wylądaje. Dziecko na karku tylko zwiększało to ryzyko. Z oddali jednak dobiegały już podniesione głosy wzburzonych Tajów, wśród których przewijało się imię Fon.

Wan szepnęła do małej po tajsku:

– Wejdź dwa szczeble wyżej i zaczekaj chwilę, albo wszyscy znajdziemy się w poważnych kłopotach. Chyba nie chcesz nam przysporzyć kłopotów, prawda, Fon?

Calvino poczuł wreszcie, że słabnie ucisk dziecięcych rąk na jego gardle. Mała chwyciła się szczebla drabinki i po chwili jej ciężar zniknął z jego ramion. Spojrzał w górę i uśmiechnął się.

– Jak już będę na ziemi, złapię cię. Rozumiesz? Córka pszczelarza, będąca tuż nad nimi na drabince, przełożyła jego słowa na tajski. Mała spojrzała jej w oczy i skinęła głową. Dostrzegłszy to, Calvino zerknął przez ramię w dół, chcąc ocenić odległość dzielącą go od ziemi. Zszedł jeszcze niżej, dopóki nie zawisł na samych rękach nad ulicą, i dał sobie jeszcze chwilę wytchnienia. Jego stopy znalazły się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią, toteż puścił się drabinki. Ciężko wylądował obiema nogami na wyłożonym płytami chodniku. Fon przyglądała mu się z góry, więc teraz ona szybko zeszła po ostatnich szczeblach, na krótko zawisła pod drabinką, trzymając się jej oburącz, po czym zeskoczyła, aż w powietrzu załopotowała jej długa sukienka. Detektyw złapał ją wpół. Wan i Marisa szybko zeskoczyły jedna za drugą, przy czym Calvino każdej z nich pomógł utrzymać równowagę w chwili lądowania. Przy wejściu na stację metra strażnik sprawdził zawartość plecaka Wan. Obejrząwszy się, Calvino szybko namierzył dwóch mężczyzn, którzy znad krawędzi dachu spoglądali w ich kierunku. Poderwali się i zniknęli w mroku, niczym upiory z koszmarnego snu. On jednak wiedział, że obecnie powiadamiają telefonicznie swoich znajomych na ulicy, nakazując im przechwycić zbiegów na stacji metra.

– Zaraz będziemy mieć towarzystwo – rzucił, wsuwając stubahtowy banknot w szczelinę pod okienkiem kasowym.

– Dokąd państwo jadą? – spytała kobieta w okienku. Obejrzał się na Marisę.

– Dokąd chcesz ją zabrać?

Marisa, pobladła i roztrzęsiona, nie mogła dobyć z siebie głosu.

– Do mojego domu w Silom – wydukała w końcu.

– Do stacji Sala Daeng. Cztery osoby.

Pognali schodami ruchomymi na peron, gdyż w tunelu widać już było światła nadjeżdżającego pociągu. W pełnym napięcia milczeniu czekali, aż wtoczy się na stację. Calvino dreptał nerwowo u podnóża schodów, zaglądając w twarze mężczyzn zjeżdżających z *soi*. Wan, Marisa i Fon czekały niecierpliwie na peronie, zerkając podejrzliwie na nielicznych podróżnych gromadzących się w przeciwnym końcu stacji. Żadna nie miała odwagi odezwać się choćby jednym słowem. Z wielkich ciekłokrystalicznych ekranów zwieszających się spod sufitu płynęła reklama nowego szamponu do włosów. Jak dotąd nie przybiegł tu za nimi nikt z *Soi Cowboy*. Wszystkim się wydawało, że minęła cała wieczność, zanim pociąg wtoczył się na stację. Gdy tylko drzwi się rozsunęły, wskoczyli do środka, znaleźli sobie wolne miejsca i klapnęli na nie ciężko, zmęczeni ucieczką. Tuż przed odjazdem Calvino jeszcze raz obejrzał się w stronę wejścia i zauważył dwóch rosnących Tajów, którzy zbiegli po schodach i puścili się pędem wzdłuż ruszającego pociągu, krzycząc głośno i szeroko gestykulując. Ale skład zaczął szybko nabierać prędkości i tamci zniknęli im z oczu. Detektyw przesunął się bliżej Marisy, która z westchnieniem ulgi pochyliła się w bok i oparła głowę na jego ramieniu.

– Niewiele brakowało – rzekł. Zamknął oczy i zaczerpnął głęboko powietrza, starając się zapomnieć o wszystkich błędach, jakie popełnił tego wieczoru.

– Mogłeś zabić tego człowieka w wejściu do baru – powiedziała. – Jak i tego drugiego, na dachu budynku. Obu uderzyłeś bardzo mocno.

Spojrzał na nią i dostrzegł w jej oczach błyski lęku. Miała przed sobą jeszcze jedno źródło poważniejszych obaw, właśnie na nie patrzyła. Spięta się wyraźnie, gdy wziął ją za rękę.

– Przez jakiś czas będzie im dokuczał ból głowy. Możesz mi wierzyć, że nie doznali poważniejszych urazów.

Ona jednak nie mogła zapomnieć, jak błyskawicznie powalił osiłka, który pierwszy zranił przeciwnika do krwi, i jak potem na dachu zwałił z nóg biegnącego chłopaka. Już nieraz miała do czynienia z przemocą, ale zawsze jej motorem napędowym była złość. Jednakże tego wieczoru stała się naocznym świadkiem wyrachowanej, brutalnej przemocy, będącej efektem wieloletniego doświadczenia. Na początku działania Calvina ją odstraszały, uświadamiając jej własną słabość i bezradność, potem ją podniecały, zarazem wprawiając w coraz silniejsze zmieszanie.

– Tobie to nie przeszkadza, że najpierw kogoś pobijesz, a potem... – urwała, jak gdyby szukając odpowiednich słów – ...zachowujesz się tak, jakby nic się nie stało? Tak sobie wyobrażam emocje płatnego zabójcy.

– Co rozumiesz przez pojęcie płatnego zabójcy? Odwróciła głowę i wzruszyła ramionami; ukrywając strach, nie potrafiła ukryć odrazy i przerażenia, kiedy zmagła się z próbą odpowiedzi. Nie zdołała jej jednak sformułować. Chciała wspomnieć o kryształkach lodu w żyłach zamiast gorącej krwi, ale nie potrafiła tego ubrać w odpowiednie słowa.

– Coś ci powiem. Przemoc zawsze była i będzie. To część naszego życia. Jeśli ją przeskoczysz, będziesz mogła się tylko cieszyć, że nic ci w tym nie przeszkodziło – odparł. – Nie można otworzyć sprężynowca na weselnym przyjęciu i oczekiwać w zamian kawałka tortu.

– Ale to wydarzyło się w barze – zaproponowała. Calvino uśmiechnął się, splatając dłonie za głową.

– Co do tego nie będę się spierał. Lecz tam nie było żadnego tortu.

Przemoc wydawała się nieodłącznym elementem każdego baru. Przez większość czasu była pod kontrolą, w pudle z otwartym wiekiem, ale kiedy indziej, zwłaszcza pod wpływem alkoholu, wystarczyło nieostrożne spojrzenie w bok czy też niewłaściwe słowo, żeby wyskoczyła z pudła i uderzyła z prędkością błyskawicy, zaskakując wszystkich, a otoczenie najczęściej kalając zapachem świeżej krwi.

– Po czymś takim nie odczuwa się już nic, prawda? – zapytała. – Przemoc staje się częścią ciebie i nie pozostawia po sobie żadnego śladu. Żadnych uszczerbków, żadnych wyrzutów sumienia. Czy to cię nie przeraża?

Od razu się domyślił, że ją przeraża.

– Nie zabieram ze sobą na wieczór prac domowych. Skinęła głową i przygryzła dolną wargę, jakby naprawdę to rozumiała.

*

Migające żółte i czerwone światła rozjaśniały pustą scenę. Kilkanaście półnagich *ying* tłoczyło się na zapleczu, paliło papierosy i popijało rum. Kiedy policja wkroczyła do baru, *mamasan* razem z dwoma kelnerkami kończyła ścierać plamy krwi zostawione przez McPhaila. Nikt nawet nie próbował jej pytać, gdzie zniknął Reno. Sama nie chciała tego wiedzieć. W tym zakresie kłamstwo było dużo łatwiejsze. Nikt nie widział, kiedy wymknął się na *soi*.

– Reno poszedł do domu – oznajmiła gliniarzom. Rozejrzeli się po barze, zapełniając jego pustą przestrzeń chrapliwymi, niewyraźnymi meldunkami płynącymi z głośników krótkofalówek.

– Powiedz Renowi, że jak go przyłapiemy z małoletnią dziewczyną, zamkniemy mu bar na dwa miesiące – rzucił jeden z policjantów.

– Dobrze, przekażę mu, proszę pana – odparła *mamasan*.

– Powiedz mu, że przepisy są jasne. Nikomu nie wolno ich łamać.

Pokiwała głową, jak gdyby w pełni rozumiała powagę przytoczonych gróźb.

– Mamy czworo świadków, którzy widzieli małą dziewczynkę wchodzącą do tego

baru. Gdzie ona jest? Jak powiesz prawdę, nic złego ci się nie stanie.

– Nie widziałam tu żadnej małej dziewczynki, proszę pana.

Magłowali ją jeszcze przez jakiś czas, ale z *mamasan* nie dało się nic wydusić, a gdyby nawet coś powiedziała, i tak nie byłoby to pewnie zgodne z prawdą. W końcu oficer dowodzący akcją doszedł do wniosku, że właścicielowi baru jeszcze tym razem się upiekło, zanotował sobie jednak w myślach, aby zwracać baczniejszą uwagę na ten lokal.

– Powiedz Renowi, że wpisujemy go na naszą czarną listę.

– Dobrze, powiem mu to, proszę pana – odparła, robiąc gest *wai*, lecz ten nie spotkał się ze zwyczajową odpowiedzią.

Gliniarze odjechali po paru minutach, zauważyła jednak, że wcześniej rozmawiali ze zbirami, którzy pilnowali wejścia do baru. *Mamasan* uśmiechnęła się szeroko i leniwie przeciągnęła wilgotnym mopem pod kotarą, zerkając przez jej rozcięcie na ulicę.

23

Stanęli tuż za drzwiami należącego do Marisy domu o powierzchni trzystu metrów kwadratowych, mającego cztery sypialnie i trzy łazienki. W rozległym salonie, w którym stał stół i trzy sofy, w oczy rzucał się lakierowany parkiet z drewna tekowego, birmańskie malowidła, chińskie wazy, afrykańskie maski rytualne oraz japoński miecz samurajski. Trudno się było dziwić, że wszyscy stanęli jak wryci i wybałuszyli oczy na to niezwykle wnętrze. Wan, córka pszczelarza, powoli zdjęła z ramion swój plecak i z rozdziawionymi ustami rozglądała się po największym pomieszczeniu mieszkalnym, jakie do tej pory widziała. Fon szybko podeszła do stojącej na stelażu afrykańskiej maski, by popatrzeć przez jej otwory na oczy. Calvino zdjął buty i zatrzymał się tuż za drzwiami. Nie był pewien, czy jest tu mile widzianym gościem, czy też jego obowiązki dobiegły końca, gdy trzy uciekinierki dotarły do bezpiecznego schronienia.

– Ile rodzin tu mieszka? – zapytała zdziwiona Wan.

– Tylko ja i mój brat – odparła Marisa.

– Musisz być bardzo bogata – szepnęła Tajka.

Fon zdjęła inną maskę ze ściany, cofnęła się, usiadła na sofie i patrzyła na leżące na jej kolanach drewniane, karykaturalnie wykrzywione oblicze afrykańskiego szamana. Pokiwała w powietrzu nogami, gdyż nie sięgała nimi podłogi.

– Mogę ją sobie wziąć? – zapytała.

– Baw się nią tak długo, dopóki ci się nie znudzi – odparła Marisa, chociaż maska należała do Juana Carlosa.

Jej twarz odzyskała nieco rumieńców, ale wciąż wyglądała tak, jakby zobaczyła ducha.

– Vinny, masz ochotę na drinka?

– To chyba niezły pomysł – odparł, rozglądając się ciekawie. – Gdzie pracujesz?

– W agencji ONZ.

Jeszcze raz powiódł taksującym wzrokiem po salonie.

– Widzę, że w ONZ zarabiacie nie gorzej od bankierów.

Ręce wciąż jej się trzęsły, gdy podeszła do barku i nieskładnymi ruchami próbowała go otworzyć. W środku stało kilkanaście butelek z różnymi trunkami. Wyjęła dwie szklaneczki, ale zaraz pochyliła nisko głowę, jakby w ukłonie. Jej czoło dotknęło zimnego lustra, a z piersi wyrwało się głośne westchnienie. Szybko jednak wzięła się w garść i wróciła do gości.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że nam się udało. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby nas złapali.

– To jeszcze nie koniec – rzekł Calvino, gdy wyjmowała z barku butelkę.

– Może być szkocka?

– Nadal wyglądasz na roztrzęsioną.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Tylko trochę się zadyszałam.

Skinął głową, spoglądając bez słowa, jak odkręca butelkę słodowej szkockiej whiskey tej samej marki, którą dostał w prezencie od generała. Aż uśmiechnął się mimo woli, myśląc, że może jednak los mu sprzyja.

– Co cię rozbawiło?

– To, że bez pytania wybrałaś moją ulubioną whiskey.

Uniosła w górę jedną brew, nalała pół szklaneczki trunku i podała mu ją.

– Podejrzewam, że lód nie jest ci do tego potrzebny.

– Może być bez lodu – odparł, biorąc od niej szklaneczkę.

Pociągnął maleńki łyceczek, gdyż dopiero teraz miał okazję spróbować trunku, którym uraczył go generał. Wolnym krokiem wszedł w głąb salonu, przyglądając się przejawom luksusu, którym w Bangkoku, jak dotąd sądził, mogli się cieszyć jedynie wybrani emigranci z Europy i Ameryki, do tego wywodzący się z najwyższych szczebli drabiny pokarmowej.

– Wypijmy za szczęśliwe zakończenie naszej przygody – zaproponowała.

O mało się nie zachłysnął.

– Słucham? Przecież to dopiero początek. Nawet nie rozumiem, jak można się cieszyć z osiągnięcia tego wstępnego etapu.

– Myślałam, że wy, Amerykanie, jesteście bardziej pozytywnie nastawieni do życia.

Zlekceważył ten wyraźny przytyk dotyczący narodowości. Nie miał zwyczaju włączać się w tego typu gierki.

– Pozwól, że ci zaprezentuję moją wersję rozwoju wydarzeń. Dziewczynka przedstawia sobą określoną wartość dla ludzi, którym ją wykradłaś. Oni nie puszcza tego płazem. Prawdopodobnie zgłoszą na policji zaginięcie dziecka, które ich zdaniem zostało porwane. To ich normalna metoda działania. W ich pojęciu ukradłaś ich własność. Efekt będzie taki sam, jakbyś ukradła samochód. Nie licz na to, że zapomną o wszystkim i dadzą ci spokój.

– Zamierzali zmusić Fon do prostytucji.

Fon siedziała w saloniku razem z Wan, która opowiadała jej legendy związane z postaciami wyrzeźbionymi na świątyniach w Angkor Wat oraz historię Khmerów, budowniczych tego kompleksu świątyń. Mówiła o używanych przez nich podobnych rytualnych maskach z półprzymkniętymi oczami, grubymi wargami i płaskimi nosami. Ojciec zabrał ją na wycieczkę do Angkor Wat, kiedy była mniej więcej w wieku Fon, dlatego świetnie pamiętała wyrzeźbione w piaskowcu twarze niewolników, wojowników, królów oraz dworzan. Kiedy podniosła trzymaną przez dziewczynkę afrykańską maskę i ukryła za nią twarz, Fon zachichotała głośno.

Calvino przyglądał się uważnie, jak między tymi dwiema *ying* z Soi Cowboy tworzy się bliska więź, skoro jedna była jeszcze dzieckiem, a druga ledwie wyszła z wieku dorastania. Zastanawiał się, jak ma przy nich objawić brutalną prawdę, żeby nie wyjść na skończonego durnia. Dla niego było jasne, że nowi mocodawcy planowali sprostytować małą Fon, która w ich pojęciu nie była dzieckiem, tylko towarem nabytym od biednego wieśniaka.

– W końcu tak zarabiają na swoich inwestycjach – odparł. – Dla nich to tylko interes. Liczy się wyłącznie rachunek zysków, przychodów oraz, rzecz jasna, wydatków. Są bardzo dobrzy w minimalizowaniu wydatków. Zatem jutro jakiś krewny, a w każdym razie ktoś podający się za jej krewnego, podpisze w komendzie policji oświadczenie, zgodnie z którym nie miałaś żadnego prawa przejmować opieki nad dzieckiem. A wtedy policja będzie musiała zdecydować. Skoro rzecz dotyczy tajskiego dziecka zabranego tajskiej rodzinie przez *mem-farang*, to po czyjej stronie, według ciebie, opowiedzą się stróże prawa?

Nie mógł zapomnieć reakcji *ying* spotkanej na dachu, która najpierw chciała zabić swojego chłopaka, ale doszła do wniosku, że *farang* klęczący na jego piersi to jednak większa ujma na jej honorze niż jego niewierność. Jak w każdym klanie, istniała fałszywa solidarność biorąca górę nad innymi uczuciami wobec wyzwania, jakie stanowili obcy. A przecież Marisa nie należała do ich klanu.

– Ona nie jest Tajką, pochodzi z birmańskich Shanów. Wzruszył ramionami, zdając sobie sprawę, że klan w jednej chwili będzie gotów zaakceptować nawet mniejszości narodowe, kiedy drugą stroną konfliktu jest *farang*. Ale mogli też zagrać jeszcze inaczej.

– Nielegalni emigranci nie mają żadnych praw. Ona nie jest czynnikiem niezależnym. Nie możesz zwyczajnie zabrać jej z ulicy tylko dlatego, że według ciebie tak należy postąpić.

Tradycyjny system wartości opierał się w głównej mierze na związkach personalnych. Nie został wypracowany na podstawie obowiązujących przepisów czy ogólnie przyjętych praw. Bazował wyłącznie na tym, że istniały połączenia między poszczególnymi poziomami władzy, a zerwanie któregoś z nich oznaczało groźbę

zrujnowania całej struktury. Tymczasem Marisa właśnie wyciągnęła z gniazdka tego typu kabel. Trzeba było jak najszybciej wetknąć wtyczkę z powrotem. Niemniej najważniejsze pytanie brzmiało: czy Marisa na pewno rozumie, że jej paszport dyplomatyczny, pozycja w agendzie ONZ, jej ideały oraz przekonania nie ochronią jej przed niczym?

– Mam wielu tajskich kolegów, którzy nam pomogą – odparła, ledwie się powstrzymując od wymienienia nazwiska Somporna.

To znaczy tylko, że więcej ludzi znajdzie się na linii ognia, pomyślał Calvino.

– Czy organizowanie tego typu akcji ratowniczych wchodzi w zakres twoich obowiązków służbowych? – zapytał. – Bo jeśli tak, to następnym razem poproś o jakieś wsparcie.

– Moja kierowniczka nie będzie szczęśliwa z tego powodu, ale postawię ją przed faktem dokonanym.

– Nie wiem, jak to ogłędnie powiedzieć, lecz wolałbym, abyś mi uwierzyła. Nic w Tajlandii nie jest załatwiane w taki sposób, żeby nie dało się tego odkręcić w ciągu paru minut. Sądzisz, że przekroczyłaś jakąś granicę? Nieprawda. To dopiero linia startowa, a ludzie, którzy ścigali tę małą, to wytrawni długodystansowcy. Mają olbrzymią wytrzymałość. A ty?

Marisa naląła sobie drugiego drinka, odwróciła się i oparła ramieniem o barek. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła, była zmiana jej wizerunku na stereotypową przerażoną i słabą kobietę, pod którą kolana się trzęsą, która nie potrafi podjąć ważnej decyzji ani wytoczyć boju w obronie własnych praw. Miała wrażenie, że z chwilą kiedy poprosi Somporna o pomoc, na dobre pograży się w świecie, z którego już nigdy nie zdoła się wyzwolić.

– Dzięki za dobre rady i za pomoc. Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna za to, co dzisiaj zrobiłeś.

Po raz kolejny wzruszył ramionami, dopił whiskey i odstawił szklaneczkę na brzeg długiego stołu.

– Lepiej już pójdę.

Te trzy słowa były klasycznym tekstem mężczyzny, który zrozumiał, że na seks nie ma co liczyć, a tuż za rogiem czekają go wyzwania następnego dnia.

– Proszę, nie odchodź jeszcze. Chciałabym, żebyś poznał mojego brata. Powinien lada chwila wrócić do domu.

Spotkanie z bratem: cóż za atrakcyjna alternatywa, pomyślał.

– Skąd pochodzicie?

– Z Katalonii.

– To nie jest część Hiszpanii?

– Tak jak Szkocja jest częścią Anglii – odparła. – Albo Nowy Jork częścią Ameryki.

Coraz bardziej mu się podobała – ze względu na poczucie humoru, dobór gatunku whiskey, ściśle rozgraniczone poczucie dobra i zła.

– Po prostu nie umiałem określić pochodzenia twojego akcentu – rzekł. – Początkowo uznałem go za włoski.

Będąc samemu półkrwi Włochem, zakładał podświadomie, że *mem-farang* musi być pochodzenia włoskiego albo żydowskiego.

Wszedł w głąb salonu i kucnął przed Fon, nie mogąc się uwolnić od myśli, że dziecięcą buzię ma umalowaną niczym dziwka, że jest ubrana zmysłowo i wyzywająco, aby wyglądem reklamować swoją obecność na rynku.

– Wspaniale się dzisiaj spisalaś – powiedział.

Ściągnęła usta, wysunęła język i podniosła trzymaną na kolanach maskę. Jeśli nawet stanowiła czyjąś inwestycję, to tutaj, na eleganckiej sofie w bogato urządzonym salonie, z buzią ukrytą za afrykańską maską, była zwykłym dzieckiem rozmiłowanym w psotach. Nawet nie spojrzała na leżący obok niej stosik gum do żucia, przywiedłych kwiatów i laserowych latarek. Kiedy opuściła maskę, zaniósła się dziecinnym śmiechem. Po chwili wzięła pod rękę siedzącą obok Wan, jakby się bała, że bez niej lada chwila spadnie jeszcze niżej. Zresztą Wan też wymamrotała coś na temat powrotu do miasta. Chciała złapać autobus odjeżdżający do Surin. Jej plecak stał przy drzwiach, obok jej butów.

– Zostań na noc. Już późno. Jutro złapiesz autobus – powiedziała Marisa. Wan otworzyła usta, jakby chciała zaproponować, ale zaraz je zamknęła. – Mam wolny pokój gościnny – dodała gospodyni. – Będziesz miała gdzie przemocować.

Wan poczuła zaciskający się na jej przedramieniu uścisk palców Fon i pomyślała, że właściwie nie ma żadnego powodu, dla którego miałyby wybrać twarde i niewygodne siedzenie w autobusie odjeżdżającym na północ zamiast miękkiego łóżka w tym prawdziwym pałacu. Calvino aż wstrzymał na chwilę oddech, mając bezpodstawną nadzieję, że i on zostanie zaproszony na noc.

Kiedy Fon i Wan podreptały na palcach do oddanej im do użytku dużej sypialni gościnnej, dwoje dorosłych zostało w końcu sam na sam. Calvino usiadł na sofie obok Marisy czekającej na powrót brata.

– Jesteś z nim bardzo związana, prawda? – zagadnął. Chciał tylko zabić czas, jako że nie miał pewności, czy i on będzie mógł tu spędzić noc, czy też zostanie wyproszony za drzwi. W końcu zapewnił dziewczynce bezpieczną ucieczkę. Czego więcej mogła od niego oczekiwać? Przysunął się nieco bliżej i położył rękę na oparciu sofy tuż za jej głową. Ale ona chyba nawet nie zwróciła na to uwagi.

Wyjaśniła, że przyszła na świat pięć minut przed Juanem Carlosem. Wyśliznęła się z łona matki prawie jak zaliczka na poczet brata. I od wczesnego dzieciństwa miała w życiu tylko jeden cel: opiekować się nim. Ona urodziła się dwudziestego pierwszego czerwca, a on zaraz po północy, zatem już pod znakiem Raka, zostawiając

siostrę osamotnioną po stronie zodiakalnych Bliźniąt. Różne znaki zodiaku, różne życiowe misje, ta sama matka. Juan Carlos władał dziewięcioma językami, co na Calvinie wywarło olbrzymie wrażenie. W Stanach nigdy nie spotkał nikogo, kto znałby więcej niż dwa, najwyżej trzy języki.

– Kiedy mówię, że włada dziewięcioma językami, powinieneś rozumieć, co mam na myśli – ciągnęła Marisa. – On nie tylko umie się porozumieć w tych językach, ale posługuje się nimi z całkowitą swobodą, tak więc każdy z tych języków wydaje się jego ojczystym, gdy tylko wypowie kilka słów. Był już brany za Włocha, za Niemca, za Francuza czy Anglika. To niesamowite. I nie mówię o tym dlatego, że jest moim bratem. Inni ludzie mówią o nim to samo.

– Mówi także po tajsku? – zaciekał się Calvino, powoli cofając rękę zza głowy Marisy. Chwilowo uznał jej brata za raczej odstraszący czynnik.

– A ty znasz tajski? – zapytała.

To było podchwytliwe pytanie. Można było znać tajski, ale nie rozumieć żywego języka, jakim posługiwali się ludzie. Calvino mówił po tajsku mniej więcej tak jak włoski najemny robotnik zmuszony do porozumiewania się po angielsku.

– W każdym razie powinienem zrozumieć, jak ktoś mi będzie groził śmiercią – odparł.

Marisa zaczęła tłumaczyć, że jest coś niezwykłego w tym, jak Juan Carlos powoli przesiąka miejscową kulturą. W tym zakresie był jak gąbka. Błyskawicznie przejmował tajskie obyczaje, gesty, a nawet mimikę ludzi, z którymi się stykał. Odznaczał się aktorskim talentem, który pozwalał mu się adaptować w zależności od używanego języka.

– Czasami czuję się tak, jakbym miała ośmiu różnych braci – powiedziała. Sama znała zaledwie pięć języków. – Często gramy w słówka w różnych językach. Poza tym mamy swoje sekretne kody i tajemnice w każdym z tych języków. Niektórzy nasi znajomi uważają to za dziwaczne albo nawet irytujące. Ale dla nas to coś zupełnie naturalnego.

Calvino ledwie się powstrzymywał przed pocałowaniem jej, do tego nie był pewien, jak długo jeszcze zdoła nad sobą zapanować. Miał własny sekretny kod, którym chciał się z nią podzielić. Ale Marisa niespodziewanie wstała, żeby nalać mu drugiego drinka, a idąc do barku, powiedziała:

– Każdy ma jakąś ulubioną historię. Chcesz posłuchać mojej?

Spojrzał na zegarek. Czemu nie? – pomyślał. Cóż innego miał chwilowo do roboty poza regulowaniem szpitalnych rachunków McPhaila, trudną męską rozmową z właścicielem baru o imieniu Reno czy też redakcyjną korektą piętnastostronicowego artykułu napisanego przez generała Yosaporna, a dotyczącego roli wody święconej w kulturze tajskiej, jej korzeni wywodzących się z Indii oraz różnic między nią a wodą święconą w kulturze Zachodu.

– Z chęcią – rzekł, zmagając się z odruchowym pragnieniem wzniesienia oczu do nieba.

Marisa zaczęła swoją opowieść od oficera hiszpańskiej marynarki wojennej, niejakiego Vasco Núñeza de Balboa, który w roku 1500 poprowadził ekspedycję wyruszającą z Hiszpanii. Celem podróży było przywiezienie do Europy dwóch ton pereł pochodzących z dzikich wybrzeży Nowego Świata. Podróże morskie w tamtym okresie były bardzo niebezpieczne, a powodzenie każdej misji tego rodzaju stało pod znakiem zapytania. Załoga odwiedziła wiele egzotycznych miejsc, żeglowała w górę rzek, przedzierała się przez tropikalną dżunglę i broniła się przed atakami Indian. Przede wszystkim jednak pokonywała setki kilometrów dziewiczych plaż. Nurkowie penetrowali wszystkie nadbrzeżne jaskinie, ale nigdzie nie znaleźli większych kolonii perłopławów. Kapitan doszedł w końcu do wniosku, że opowieści o bogatych złożach pereł to nic innego, jak zwykłe przechwałki pijanych marynarzy. Mimo to nie chciał zrezygnować z misji i zarządzić powrotu do kraju.

Balboa, zebrawszy oddział swoich najlepszych marynarzy, wyruszył pieszo na drugi brzeg Przesmyku Panamskiego. Grupa ta, zmagając się z plagą moskitów w gęstej tropikalnej dżungli, musiała także omijać zasadzki urządzone przez tamtejszych Indian, plemię wyspecjalizowane w stosowaniu zatrutych strzałek wystrzeliwanych z dmuchawek.

Mimo wszelkich trudności związanych z przedzieraniem się przez niebezpieczną i wrogą krainę hiszpański oficer nalegał na jedno: aby zawsze tragarze nieśli za nim pustą drewnianą trumnę.

– Pustą trumnę? – zdziwił się Calvino, który po doświadczeniach z Apichartem był wyczulony na to jedno słowo.

– No właśnie – podkreśliła Marisa. – Bał się, że umrze w jakimś dziwnym miejscu, a nie chciał, żeby jego ciało zostało porzucone gdzieś na ścieżce wśród dżungli, gdzie pożrą je dzikie zwierzęta. Miał nadzieję, że po śmierci będzie otoczony takim samym szacunkiem i poważaniem jak za życia. I kiedy został zabity, pochowano go w tej trumnie. Na jego grobie ustawiono prosty biały krzyż i zmówiono krótką modlitwę. Zatem dostał przynajmniej tę jedną rzecz, na której mu zależało. Nie znalazł pereł, ale doczekał się godnego pogrzebu.

Znowu położył rękę na oparciu kanapy, zaledwie parę centymetrów od karku Marisy.

– Ja też mam osobistą historię związaną z trumną. Chcesz posłuchać?

– Z przyjemnością – rzuciła ochoczo, myśląc, że ten człowiek nie przestaje jej zaskakiwać.

Opowiedział jej o lokatorze generała Yosaporna, chińskim Taju zalegającym z opłatami, i o zastosowanym przez niego wybiegu z pustą trumną. Chciał opowiedzieć też, jaki los spotkał wynajętych zbirów na motocyklu, doszedł jednak do

wniosku, że lepiej nie kończyć tego przyjemnego wieczoru opowieścią o przemocy. Nawet nie umiał sobie wyobrazić, by ta kobieta kiedykolwiek widziała na własne oczy nieboszczyka.

– Ty też ciągasz wszędzie za sobą drewnianą trumnę? – zapytał.

Roześmiała się. Świetnie rozumiała, jak to pytanie łączy się z jego opowieścią, ale odpowiedzią na nie mógł być jedynie śmiech. Rozbawiło ją to do łez. Nim jednak zdążyła spoważnieć, jego ramię spadło na nią z szybkością anakondy atakującej w tropikalnym lesie upatrzoną ofiarę. Calvino błyskawicznie zaczął rozpinąć jej bluzkę. Kiedy przesunął rękę do drugiego guzika, ona już rozpiniała jego koszulę. Objął ją ramionami, a ona przytuliła się do niego. Tym śmieiej więc wsunął język między jej wargi. Marisa odwzajemniła także pocałunek. Po chwili odsunęła się, wstała, wzięła go za rękę i pociągnęła do swojego pokoju. Porcja słodowej whiskey oraz emocje po szczęśliwym zakończeniu ucieczki przed gangsterami sprawiły, że gwałtownie zapragnęła tego, o czym nie śmiałyby nawet marzyć na pierwszej randce.

Detektyw szybko uwolnił się od skórzanej uprząży z rewolwerem w kaburze i położył ją na nocnym stoliku. Na widok broni oczy jej się rozszerzyły.

– Mam pozwolenie – wtrącił.

– Używałeś go?

– Nigdy w sypialni.

– I to ma mi dodać odwagi? – zapytała, gasząc światło.

Calvino wyskoczył ze spodni i pociągnął ją na łóżko.

– Do noszenia za sobą pustej trumny.

Uśmiechnęła się szeroko, w jednej chwili zapominając o broni palnej.

W milczeniu zaczęli się nawzajem pieścić, jakby oboje nie mogli się nasycić pierwszymi wrażeniami z bliskości cudzego ciała – zapachów wielkiego miasta obecnych na skórze, dymu tytoniowego z baru, perfum, szkockiej whiskey, a nawet pieczonego kurczaka z kleistym ryżem.

Po chwili Marisa sięgnęła do szuflady nocnego stolika, wyjęła zapalniczkę i zapaliła dwie świece oraz trzy pałeczki kadzidełek. Woń drewna sandałowego szybko zdominowała inne zapachy, a filujący blask świec wygładził zmarszczki wokół oczu. Przeciągnęła palcami po jego policzku.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała, wpatrując się w półmroku w jego oczy.

– Wcześniej na peronie kolejki zachowałem się jak dureń. Ale nie mam wprawy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że nawet nie wiem, co faceci mówią kobietom, które im się podobają. Co mówią, żeby one czuły się przy nich pewnie, a oni czuli się przez to bardziej męscy.

Nie musiał dodawać, że w kontaktach z *ying* nie trzeba się było silić na żadne rozmowy. Zresztą to nie on zaczął od opowieści o pustej trumnie. Niemniej

dowodziło to tylko, że gra wstępna może przybierać różne formy i nie da się jej zaplanować, powinna być improwizowana – jak zestawienie tej jego trumny z jej trumną, co przyprawiło ją o serdeczny śmiech.

Kiedy później leżeli przytuleni do siebie, zapytał:

– Nie masz chłopaka?

Lekko pokręciła głową opartą na jego piersi.

Po chwili uniosła ją i w blasku świec spojrzała mu w oczy.

– A ty? Jesteś żonaty?

– Nie mam żony.

– Emigranci zwykle biorą za żonę piękną Tajkę.

– Zwykle nie znaczy zawsze.

Opuściła głowę i popatrzyła na rewolwer leżący na nocnym stoliku.

– Nie lubię broni – powiedziała.

– Większość ludzi reaguje tak samo. – Wzdrygnęła się i odwróciła głowę. – Powiedziałem coś złego?

– Chyba nie rozumiesz. Nie myślę tak jak większość ludzi. Przynajmniej w zakresie broni palnej. Dobrze wiem, jakie mogą być skutki jej użycia.

Pomyślał, że coraz bardziej go intryguje, zwłaszcza jeśli rzeczywiście wie, jak użycie broni palnej może wpłynąć na życie drugiego człowieka. W tej kategorii nie znalazłoby się wielu kobiet.

– Chciałbym usłyszeć twoją opowieść o broni – powiedział.

Wiedziała od matki, że po ojcu odziedziczyła upór i tendencję do niezależności. Wcześniej zaczęła farbować włosy i strzyc je na krótko, związując żółtymi i czerwonymi wstążkami. Nosiła kolczyki, które kupiła od Cyganki w Mexico City, bo ta jej wmówiła, że dzięki nim będzie zawsze bezpieczna. Miała je w uszach tamtego dnia na plaży w Gijón, kiedy nie dalej jak trzy metry od niej zastrzelono narkotykowego bossa z Kolumbii.

GIJÓN, HISZPANIA – ROK 2003

Popatrzyła na czyste błękitne niebo ciągnące się nad gładką lustrzaną taflą wody aż po horyzont, gdzie obie płaszczyzny schodziły się w idealnie prostą linię. Spojrzała na zegarek, idąc nadmorskim deptakiem. Było pięć po piątej, co dawało jej jeszcze prawie pięć godzin światła dziennego, zanim ostatnie promienie słońca zatoną w morzu. Marisa miała wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat, była beztraska i szczęśliwa – nawet bardziej niż szczęśliwa, promieniejąca szczęściem, jakby światło słoneczne wyzwalalo w jej ciele dodatkową energię. Sprężystym krokiem lawirowała między grupkami turystów. Czuła się o wiele młodsza, jakby dla niej czas zaczął płynąć wstecz i znowu stała się nastolatką, nieco zwariowaną, której wszystko wydawało się możliwe.

Później, na kocu, wróciła do lektury *Pani Bovary* Flauberta. Nie zaglądała do tej

powieści od ukończenia studiów, toteż z przyjemnością zanurzyła się ponownie w opisywanym przez autora świecie, który bezpowrotnie przeminął. Drobnymi kęsami gryzła jabłko, przerzucając kartki książki. Kiedy robiło jej się gorąco, wsuwała się głębiej w cień parasola i popijała wodę z butelki. W pewnym momencie odłożyła książkę na koc i wstała, żeby zanurzyć nogi w chłodnym morzu. Nawet nie zwróciła uwagi na trzech mężczyzn idących plażą w jej stronę. Kiedy uniosła wzrok, głowa idącego środkiem człowieka jak gdyby eksplodowała. Odłamki kości, tkanka mózgowa i krew trysnęły na zewnątrz, aż poczuła ciepłe rozbryzgi na twarzy. Przeciągnęła dłonią po policzku i ze zdumieniem popatrzyła na palce lepkie i czerwone od krwi. Tymczasem człowiek z rozbitą czaszką zwałił się na piasek na granicy przyływu fal.

Dwaj pozostali – jak początkowo zakładała, przyjaciele zabitego, którzy później okazali się jego ochroniarzami – błyskawicznie dobyli broni, lecz mogli się tylko bezradnie rozglądać na boki. Przykucnęli przy swoim leżącym mocodawcy, uważnie badając wzrokiem plażę, molo, budynki stojące wzdłuż nadmorskiej ulicy. Ale drugi strzał już nie padł. Większość ludzi dookoła nawet nie była świadoma tego, co się stało. Dwadzieścia metrów dalej bawiła się gromadka dzieci. Plażowicze wylegiwali się na kocach, wystawiali twarze do słońca. Tylko parę osób było naocznymi świadkami śmierci zastrzelonego mężczyzny. Marisa, wyciągnąwszy na oślep rękę, uklękła na brzegu morza i zaczęła obmywać twarz wodą. Spryskiwała się nią raz za razem, jakby miała nadzieję, że uwolni się też od krwawych plam w pamięci, odoru świeżej krwi i poczucia bliskiej obecności śmierci.

W następnych dniach raz za razem wracała do tego miejsca na plaży. Do kilku ograniczyła możliwe lokalizacje snajpera, a stopniowo nabrała pewności, że strzał musiał paść z jednego miejsca: narożnego balkonu na siódmym piętrze pobliskiego budynku, skąd roztaczał się rozległy widok na całą plażę.

Wszyscy, włączając w to Juana Carlosa, jej ojca, policję, a nawet jej matkę, powtarzali, że musi być w błędzie, gdyż od wskazanego przez nią balkonu do miejsca zabójstwa było ponad tysiąc metrów. Dokładnie zmierzyła tę odległość, wynoszącą tysiąc sto cztery metry. We wskazanym przez nią narożnym mieszkaniu okna były zasłonięte żaluzjami. Nikt nie widział na balkonie snajpera ani tym bardziej jego pomocnika, który obserwował plażę przez lornetkę, dopóki nie namierzył celu.

Wielokrotnie przystawała przed wyłożonym płytami piaskowca frontonem budynku, mogącym się kojarzyć z fasadą kościoła. Naprzeciwko niego, po drugiej stronie ulicy znajdował się bar Zafiro and Juber Motor. A za blokiem stał dźwig budowlany. Zdaniem wielu ludzi strzelec mógł się zacząć właśnie na tym dźwigu. Nikt go jednak nie widział. Policja szybko ustaliła, że zabity był Kolumbijczykiem i miał powiązania z kartelem narkotykowym. Amerykanie oskarżali go o organizowanie przerzutów dużych transportów kokainy, lecz niczego nie można mu

było udowodnić. Jego matka mieszkała w Gijón, dokąd przyjechał, by złożyć jej wyrazy szacunku. Zginął dokładnie w dniu jej sześćdziesiątych urodzin.

Czy to, co się wówczas stało, miało coś wspólnego z czarnym łabędziem? Nikt nie umiał tego powiedzieć. Niemniej ludzie z Gijón przyznawali jednogłośnie, że czarne łabędzie wcale nie są tak wielką rzadkością.

Kiedy skończyła swoją opowieść, Calvino wziął ją za rękę i delikatnie uściskał.

– Przykro mi, że musiałaś doświadczyć czegoś takiego – rzekł.

– W Gijón po prostu znalazłam się w niewłaściwym miejscu – odparła. – Może w Bangkoku będzie inaczej? Zresztą po wydarzeniach dzisiejszego wieczoru nie jestem już pewna, czy w ogóle istnieje dla mnie właściwe miejsce.

– Trudno jest zapomnieć o śmierci człowieka, której było się świadkiem.

– Ty też tego doświadczyłeś?

Westchnął tylko, skinął głową i pocałował ją w czoło. A potem opowiedział jej o dziewczynie z hotelu w Pattai, która wypadła z balkonu na jego oczach, i o dwóch młodych ludziach na motocyklu, którzy ponieśli śmierć w tragicznym wypadku na ulicy.

– Doskonale wiem, co czujesz – dodał, zakończywszy relację dotyczącą policyjnego dochodzenia w obu tych wypadkach.

– Nasze życie jest skomplikowane w podobny sposób – zauważyła. – Nie wiem jeszcze, czy to dobrze, czy źle. – Popatrzyła na niego wyczekująco, jakby szukała wsparcia.

– To nie jest ani dobrze, ani źle – odparł Calvino. – Niektórych ludzi łączą wspólni przyjaciele, sąsiedzi, rodzina. Innych brutalne doświadczenia, których są świadkami.

– Cieszę się, że nie tylko ja miałam takie wstrząsające przeżycia.

Chciała go jeszcze raz pocałować, kiedy usłyszała, jak Juan Carlos otwiera kluczem drzwi frontowe i wkracza do hallu.

– Marisa? Wróciłaś już?

Przystanął tuż za drzwiami i popatrzył na trzy pary obcych butów, z których jedne należały do mężczyzny o dość dużych stopach.

Calvino usiadł w łóżku i odruchowo sięgnął po broń.

– Najwyższa pora, żebyś poznał mojego brata, Juana Carlosa.

– Wolałbym się wcześniej ubrać – mruknął.

Znowu wybuchnęła śmiechem, wtulając twarz w poduszkę, żeby stłumić swój chichot. Z olbrzymiego salonu ponownie doleciało zawołanie:

– Marisa?! Ma...!

Urwane w pół, oznaczało niechybnie, że Fon i Wan wkroczyły do pokoju.

– Jestem Juan Carlos – przedstawił im się z właściwym sobie wdziękiem.

Chyba nic nie było w stanie zaskoczyć jej brata. Prześlizgiwał się po mniejszych

i większych falach życia, jakby dysponował jakimś wyjątkowym układem żyroskopowym, pozwalającym mu w każdej sytuacji ustawić się odpowiednio do wiatru.

Zadzwonił telefon komórkowy Calvina i ten pospiesznie wyciągnął go z kieszeni. Na wyświetlaczu pojawił się numer McPhaila.

– Wybacz, ale muszę odebrać – rzekł.

Wycofał się do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Przyjaciel czekał cierpliwie.

– Hej, kolego, właśnie założono mi dziewiętnaście szwów. A ty odbierasz dopiero po piątym sygnale. Dziewiętnaście. Przeliczyłem je kilka razy. Chyba postawię na tę liczbę w jutrzejszym losowaniu lotto.

– Świetnie się spisałeś. Opłacę wszystkie szpitalne rachunki.

Zwrócił uwagę, że w tle rozlegają się głosy podpitych mężczyzn, jakieś bełkotliwe okrzyki, tłumiony kaszel, głośnie śmiechy i piski podszczypanych *ying*.

– Liczyłem na to. Jest ze mną Reno. Chce z tobą rozmawiać.

– Jezu, Calvino, wielkie dzięki, że rozpieprzyłeś mi cały interes. Gliny domagają się pieniędzy. McPhail chce zaliczki na pokrycie kosztów szpitalnych. Dwie moje podstawowe tancerki zażądały podwyżek z powodu niebezpiecznych warunków pracy. Moja *mamasan* forsuje rozwiązanie siłowe, chcąc przejąć mój interes. A to jeszcze nie koniec złych wieści. – Właściciel baru urwał dla zaczerpnięcia oddechu. – Wszystko wskazuje też na to, że straciłem dzisiaj dwóch moich najlepszych klientów.

– O czym ty mówisz?

– Dwóch Amerykanów, tego czarnego i jego przyjaciela. Uznałem ich już za stałych bywalców. Teraz wątpię, by po tym, co się stało, kiedykolwiek jeszcze zajrzeli do mojego baru.

– Nie wyglądali mi na takich, co się przestraszą byle czego – zaproponował detektyw.

Ale Reno zlekceważył tę uwagę. Był przekonany, że już nigdy więcej ich nie zobaczy.

– Zawsze jestem gotów pomóc przyjacielom, Calvino. Ale musisz zrozumieć, że prowadzę interes, a nie jakąś charytatywną organizację do ratowania sknoconych operacji specjalnych.

Wszyscy już lizali rany, przeliczali straty, zerkali na mapę rozkładu sił, chcąc ogarnąć najnowsze zmiany, ale jednak wracali do baru, jakby w oczekiwaniu na kolejne złe wiadomości, które tylko tam mogły wypłynąć na światło dzienne.

24

W środku ułożonych koncentrycznie pierścieni rozrastającego się stale miasta, niczym ukryty w innym wymiarze wszechświata, leży inny, jeszcze dziwniejszy Bangkok, do którego wstęp farangom jest wzbroniony. Jeśli nawet do niego trafiają, nie potrafią zrozumieć, co mają przed nosem. Tak więc w centrum Bangkoku istnieje wiele takich miejsc, jak gdyby należących do innej epoki, do których nawet większość Tajów boi się zaglądać.

Calvino trafił do tego typu miejsca, podążając tropem *mia noi* Somporna. Dziewczyna doprowadziła go do „wyrwy w murze” prowadzącej do odizolowanego osiedla odznaczającego się pociągającą brzydotą. To, co Tajowie nazywają *moo baan*, jest próbą odtworzenia wioskowej atmosfery wśród wąskich zaułków biegnących między wielkomiejskimi trzyci- i czteropiętrowymi blokami, pośród baraków, wśród których ujadają psy i biegają zasmarkane dzieci, gdzie dominuje bród, ubóstwo i plotki. Ten *moo baan* znajdował się na obrzeżu lotniska Don Muang. Szyby brudnych zapuszczonych sklepików handlujących głównie ryżem zasłaniały wielkie plakaty wyborcze. Spoglądając na nie zza szyby samochodu, widział tylko trzech szczerzących zęby Tajów dumnie wypinających do obiektywu ozdobione medalami torsy, dopóki po pewnym czasie nie uzmysłowił sobie, że kandydatem ukazanym w środku jest Somporn, ubrany w białą marynarkę, aż pod pachę obwieszoną medalami. W Tajlandii od dłuższego czasu trwała huśtawka oscylująca od najbardziej odrażających reżimów wojskowych do gołosłownych i niewiarygodnych rządów wyłanianych w demokratycznych wyborach. Somporn liczył na to, że uzyskane poparcie pozwoli jego małej i niewiele znaczącej partii politycznej wejść do koalicji rządowej.

Calvino jechał powoli, mając na oku szarą toyotę camry. Ale mijając długie szeregi identycznych plakatów, odnosił wrażenie, że to Somporn go obserwuje. Spojrzał jeszcze raz na zdjęcie. Mogło się wydawać, że uwiecznieni na nim mężczyźni szeptali do każdego przechodzącego czy przejeżdżającego człowieka:

„Głosuj na nas”.

Bangkok cieszył się nieoficjalnym mianem „Miasta Aniołów”, lecz mało kto jeszcze wierzył, by jakiegokolwiek anioły mieszkają w jego granicach. Nikt nie wiedział też, gdzie się podziały owe anioły, za to wszyscy byli pewni, że ci, którzy zajmują miejsca należne aniołom, mało mają wspólnego z niebiańskimi istotami. W dawnych czasach podróżnicy nazywali Bangkok „Miastem Kanałów” albo „Wenecją Wschodu”, ale od tamtej pory większość kanałów zniknęła pod betonowymi kopułami. Ostatnio specjaliści od marketingu politycznego lansowali określenie „Krainy Uśmiechów”, lecz, podobnie jak w wypadku aniołów i kanałów, trudno było tu znaleźć jakieś uśmiechy.

Po ostatnim przewrocie wojskowym jeden z klientów poradził Calvinowi, żeby dobrze nakręcił swój zegarek, aby mieć pewność, że prawidłowo odmierza czas, bo jeśli nie, to kto będzie decydował, która jest godzina? Na szczęście junta, która postanowiła zorganizować ostatnie przedstawienie, wycofała się za kurtynę – rozbiła obóz gdzieś na prowincji, czekając, czy da się przetrwać następną kadencję wybranych demokratycznie cywilów. Ale ludzie gromadzili się w kręgach rodzinnych, w gronie przyjaciół i znajomych. Wobec zbliżających się wyborów wojskowi robili wszystko, by zachować dotychczasowe wpływy w kręgach władzy, a to oznaczało, że będą wspierać „słusznie myślących” kandydatów. Somporn uważał siebie za człowieka, który należy właśnie do kręgów postępujących i planujących właściwie. Jednakże wszyscy gracze na tej scenie świetnie wiedzieli, że różnica między zwycięstwem a porażką nie zależy wyłącznie od podziału głosów wyborców, ale jest także pochodną ciągle zmieniających się koalicji, a ich jedynym celem zdawał się taki podział władzy, który wszystkim siłom zapewni kompromis niezbędny do przetrwania.

Krótko mówiąc, małym odizolowanym społecznościom w Bangkoku, jak choćby mieszkańcom tej właśnie dzielnicy, było wszystko jedno, kto pociąga za sznurki. Casey nie wspominał w swoich materiałach, że Somporn startuje w wyborach parlamentarnych. Bo i czemu miałby to robić? Calvino i tak nie zamierzał na niego głosować. Minęła go staruszka na rowerze, która w szerokim uśmiechu wyszczerzyła do niego zęby poźółkłe od betelu. Takich twarzy jak jej nie widywało się na plakatach wyborczych. Ale według niego to nieoczekiwane spotkanie mogło jedynie upewnić człowieka, że są jeszcze dzielnice Bangkoku, w których ludzie uważają rower za główny środek transportu, najchętniej korzystają z małych rodzinnych sklepików osiedlowych i nie mają nic przeciwko studiom masażu, ulicznemu stoiskom z zardzewiałymi rusztami czy też zielonkawym plamom mchu na tynkach budynków. Ciekawe, ile pieniędzy przeznacza Somporn dla wspierających go wyborców, pomyślał detektyw. Sądząc po wyglądzie tego osiedla, mógłby tu zebrać mnóstwo głosów tylko za jeden banknot pięciusetbahtowy.

W palących promieniach słońca jadąca przed nim toyota camry Kocicy była doskonale widoczna. Trzymał się za nią w takiej odległości, żeby nie wzbudzać podejrzeń, lecz na tyle blisko, by wciąż mieć przed oczami tył jej głowy. Można by sądzić, że *mia noi* Somporna rzuci okiem na rozwieszzone tu plakaty wyborcze swojego kochanka, lecz do tej pory nie zauważył, by poświęciła im choćby spojrzenie. W końcu ktoś inny miałby lepiej znać wszystkie tajniki polityka startującego w wyborach, jeśli nie jego „dodatkowa żona”?

Zahamował i patrząc, jak parkuje wóz, zrobił notatkę w swoim dzienniku. Dziewczyna pociągnęła dźwigienkę bagażnika, po czym wysiadła. Otworzyła kufer i wyjęła z niego czarną torbę podróżną, mniej więcej tego typu, jakiego używają stewardesy z dumą toczące swój osobisty bagaż przez halę odlotów na lotnisku. Przeszła przez ulicę, ciągnąc za sobą ową torbę na kółkach. Minęło ją dwóch rozpędzonych motocyklistów. Wysoka wilgotność powietrza oraz skwar podsycaly rywalizację dwóch pasożytniczych organizmów – czarnego grzyba oraz zielonego mchu – walczących o prawo do gnijącej ramy okiennej domu. Warunki na tej ulicy przypominały szalkę Petriego w dziewiętnastowiecznym laboratorium. Stojący w cieniu uliczny sprzedawca lodów drzemał z głową opartą na brzegu swojego wózka i nawet nie chrapał, jakby nie chciał odstraszyć bakterii rozmnażających się błyskawicznie na jego policzku.

Dziewczyna zajęła przed salon piękności ozdobiony wyblakłymi plakatami tajskich gwiazd filmowych. Kilka starszych pań z pudelkami na smyczy i koszykami pełnymi przekąsek wymieniało się plotkami pod szumiącymi cicho suszarkami do włosów. Dwie młode Tajki w niebieskich dżinsach i T-shirtach były zajęte strzyżeniem, modelowaniem i tapirowaniem włosów klientek.

Calvino zaparkował w pewnej odległości. Wysiadł, podszedł do zakładu i zajrzał przez szybę, by się upewnić, że jego obiekt jest w środku. Potem odwrócił się i zauważył naprzeciwko uliczną restaurację. Wysunął spod stolika składane żelazne krzeselko, usiadł i zamówił kawę, po czym rozpostarł przed sobą „Bangkok Post” i zaczął udawać pogrążonego w lekturze gazety. Chwilę później jego uwagę przyciągnął artykuł dotyczący zbliżających się wyborów. Przebiegł go wzrokiem, wyławiając nazwiska kandydatów, ale nie było wśród nich Somporna. Złożył więc gazetę, popatrzył na zakład fryzjerski po drugiej stronie ulicy, a następnie na zegarek.

Kocica przywiodła go do tej części Bangkoku, skąd żadne nowiny nie przedostawały się nigdy do prasy angielskojęzycznej. Usiłował sobie przypomnieć, czy choć raz natknął się w gazetach na cokolwiek związanego z kampanią wyborczą Somporna, ale niczego takiego nie pamiętał. Pociągnął łyżeczkę kawy, po czym dosypał do niej drugą łyżeczkę śmietanki w proszku. Korzystając z osłony gazety, wyjął cyfrowy aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć salonu fryzjerskiego wraz z zaparkowaną przed nim szarą toyotą camry, tak regulując przybliżenie, by uchwycić

numery na tablicy rejestracyjnej auta.

Dopijając drugą porcję kawy, popatrzył na szereg budynków ciągnących się po drugiej stronie ulicy. Istniały setki podobnych salonów piękności w pobliżu miejsca zamieszkania Kocicy, a mimo to przyjechała swoim nowym samochodem aż tutaj, żeby zasiąść w fotelu chylącego się ku ruinie zakładu, sprawiającego wrażenie, jakby biznesplan właścicielki już przed laty legł w gruzach. Chyba tylko pracujące tam *ying* oraz ich stałe klientki utrzymywały ten interes przy życiu. Podobne zakłady czy sklepy wraz z zatrudnionymi w nich ekspedientkami egzystowały jak gdyby w przejściu pomiędzy dawnymi czasami z jednej strony a współczesnym światem dążącym do ich unicestwienia z drugiej. Były niejako w strefie przejściowej między dwoma odmiennymi stylami życia. Jeśli tutejsi mieszkańcy chcieli zobaczyć przyszłość, wystarczyło wyjść na dach swojego domu i popatrzeć na migoczące neonami wielkie miasto, staczające się ku nim niczym śnieżna lawina.

Kocica siedziała w środku prawie godzinę, zanim w końcu drzwi się otworzyły i w towarzystwie jednej z fryzjerek wyszła do samochodu. Ale teraz nie miała już małej czarnej aktówki, z którą weszła do salonu. Wsiadła do wozu, opuściła szybę, włączyła klimatyzację i obie rozmawiały jeszcze przez kilka minut, mimo że fryzjerka stała w pełnym słońcu. Calvino nie mógł słyszeć, o czym rozmawiają, ale to nie miało większego znaczenia. Odczekał, aż Kocica odjedzie, po czym złożył gazetę i poprosił o rachunek.

Uśmiechnął się szeroko do kelnerki.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Dam.

W tajskim slangu oznaczało to „Czarną” i było określeniem niemodnym, odległym od całej światła od obowiązujących ostatnio w centrum Bangkoku pseudonimów w rodzaju „Seven”, „Benz” albo „Starbuck”. Skóra kelnerki wcale nie była czarna ani nawet kawowa, ale i to nie miało znaczenia. Najwyraźniej ojciec tuż po jej przyjściu na świat uznał ją za wystarczająco czarną, żeby nadać jej taki przydomek. Z drugiej strony wciąż egzystowały pseudonimy wywodzące się z kolorów, ale dotyczące dni tygodnia: Żółty był poniedziałek, Pomarańczowy czwartek. Za to dzieci urodzone w niedzielę mogły mówić o pechu, jeśli na całe życie przyłgnęło do nich określenie Czerwony.

– Widzisz ten salon piękności po drugiej stronie ulicy, Dam?

Zawsze należało zaczynać od prostego i łatwego pytania. W końcu dziewczyna musiałaby być ślepa, żeby nie widzieć tamtego zakładu. Przytaknęła ruchem głowy.

– Czy wiesz, jak się nazywa fryzjerka, która przed chwilą wyszła z klientką na ulicę?

To już był pierwszy prosty test. Ludzie zazwyczaj chętnie podają imiona. Salon znajdował się po sąsiedzku, a więc Dam zapewne znała z imienia cały jego personel.

Niemniej dalej nie należało jeszcze naciskać, próbując zachować lekki i przyjazny ton rozmowy.

– Tak. To Fah – odparła.

– Musiała się urodzić w piątek – rzekł, kładąc na stoliku stubahtowy napiwek. Uznał, że to wystarczająca rozrzutność jak na tę dzielnicę Bangkoku. Ale zaraz przypomniał sobie, że nadchodzą wybory, więc mnóstwo ludzi rozdaje pieniądze, chcąc zyskać sobie przychylność głosujących. Dziewczyna pospiesznie zgarnęła pieniądze i schowała je do tylnej kieszeni dżinsów.

– Jest pan bardzo uprzejmy – powiedziała.

– Fah jest tak samo uprzejma? Mógłbym się u niej ostrzyć?

– Ja się strzygę właśnie u niej.

– Myślisz, że będzie chciała mnie przyjąć?

– To chyba żaden problem – odparła, uśmiechając się szeroko. – Proszę jej tylko powiedzieć, że przysyła pana Dam.

– Tak zrobię. Dzięki. Aha, nawiasem mówiąc... tyle tych plakatów wyborczych na ulicy... Na kogo zamierzasz głosować?

Uśmiech zniknął, w jego miejsce pojawiło się badawcze spojrzenie.

– Na kogoś, kto pomoże zwykłym biednym ludziom.

– To będzie spore wyzwanie – mruknął. – Brałaś pod uwagę Khuna Somporna? Wisi tu mnóstwo jego plakatów. Myślisz, że on pomoże zwykłym biednym ludziom?

– Pomaga Meow – odparła, westchnąwszy głośno.

– Meow nie wygląda mi na zwykłą biedną dziewczynę.

Kiedy wchodził do salonu piękności, oczy wszystkich obecnych w środku obróciły się ku niemu z zaciekawieniem. Dwie *ying* modelujące fryzury dwóch podstarzałych klientek zamarły bez ruchu z nożyczkami w górze. Cztery inne kobiety siedziały wokół lakierowanego tekowego stolika i grały w madżonga, głośno postukując kamieniami. Leczący i one przerwały grę, podniosły głowy, jakby zapomniały o stosikach banknotów leżących przed każdą z nich. Przemknęło mu przez myśl, że w tej starej chińskiej grze występują elementy przemocy i mściwości, które idealnie pasują do atmosfery takich lokali.

– Czym mogę służyć? – odezwała się jedna z *ying*.

– Chciałbym się ostrzyć. I chciałbym, żeby moją fryzurą zajęła się Khun Fah. Jeśli, oczywiście, może się teraz tym zająć.

Bez pytania zasiadł w jednym z foteli, uśmiechając się szeroko.

– To ja jestem Fah – odparła *ying* w białym T-shircie z napisem na piersi: „TAKIE SAME”, a na plecach: „A JEDNAK INNE”. – Skąd się pan dowiedział o tym salonie? Skąd pan wie, jak mam na imię?

Wszystkie panie z zapartym tchem czekały na jego odpowiedź. Uznał, że to bardziej przesłuchanie w kobiecym gronie niż zwykła wizyta u fryzjera.

– Poleciała mi ten zakład Khun Dam pracująca po drugiej stronie ulicy. Jeszcze od jednej osoby słyszałem, że świetnie strzyżecie. – Zamknął oczy, jakby próbował przywołać sobie coś z pamięci. – To Kocica... Znaczący, Khun Meow, powiedziała mi, że również się tutaj strzyże. Z takimi rekomendacjami rozumiem, że robicie to naprawdę doskonale. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Skąd pan zna Meow? – zaciekała się Fah. Pozostałe *ying* na tyłach lokalu ciekawie nastawiły uszu.

Calvino uniósł brwi.

– To stare dzieje. Oboje lubiliśmy te same zespoły muzyczne.

– Przed chwilą tu była – dodała Fah. Calvino jeszcze wyżej uniósł brwi.

– To przykro, że się z nią minąłem.

– Będzie pan musiał poczekać – oznajmiła Fah. – A tutaj nie ma klimatyzacji.

Jak na kogoś, kto nie ma długiej kolejki chętnych, powinna być trochę bardziej pozytywnie nastawiona do życia, pomyślał. Ogólnie rzecz biorąc, Tajowie mieli przyjazny stosunek do obcych, pozwali na szczęśliwych i beztroskich. Ale ta gromadka spoglądała na niego tak, jakby zamierzał obrabować salon. Tego dnia nie miał na sobie uprząży z podramienną kaburą, więc nie wchodziło w grę to, by dostrzeżono podejrzaną wybruszenie pod jego marynarką.

Po chwili kosmetyczka przyniosła mu z zaplecza szklanek zimnej wody. Dwadzieścia minut później, kiedy już przejrzał całą stertę kobiecych pism – bez wyjątku po tajsku, więc mógł w nich jedynie oglądać obrazki jak trzylatek – Fah zawiązała mu pod szyję fryzjerską pelerynkę. Siedział w fotelu wystarczająco długo, żeby starsze damy przywykły do jego obecności i przestały się na niego gapić wybałuszonymi oczami. Stopniowo wróciły do plotkowania o sąsiadach, cenach kurczaków, miejscowej mafii oraz córce wspólnego znajomego, która wyszła za bogatego faranga, a ten na urodziny teściowej zrobił jej prezent ze złotej biżuterii wartej dziesięć tysięcy. Po tej opowieści jedna ze starszych kobiet obrzuciła Calvina uważnym spojrzeniem, zaciekawiona nim w takim samym stopniu, w jakim wszyscy Tajowie byli zaciekawieni farangami. Na pewno zadawała sobie w myślach pytanie, czy ma żonę i czy jest bogaty, bo jej wydęte, wilgotne i błyszczące wargi świadczyły wyraźnie, że rozważa możliwości, jakie stwarza jego osobisty majątek przeliczony na złoto. W końcu miała pewne zaległości wobec miejscowej mafii, a do tego trzyletni dług karciany.

– Jak mam pana ostrzyć? – zapytała Fah, zerkając na jego odbicie w lustrze.

Przez to samo lustro popatrzył na nią, stojącą nad nim z nożyczkami w ręku.

– Tylko trochę wyrównać. Naprawdę niewiele.

Przeciągnęła rozczapierzonymi palcami po jego włosach, szybko sięgnęła po jakąś butelkę ze stolika i zwilżyła mu głowę. W salonie dominował zapach zatęchłego kurzu, tanich perfum oraz kocich sików.

– Meow mogłaby korzystać z dowolnego zakładu w centrum. A mimo to przyjeżdża tutaj – rzekł, uważnie wpatrując się w jej odbicie w lustrze.

– Bo jest przywiązana do starych przyjaciółek – odparła Fah.

Mimowolnie przyszła mu na myśl Kocica spotykająca się z Ptasznikiem za plecami Somporna. Co innego jednak lojalność wobec mężczyzny, a co innego przywiązanie do salonu fryzjerskiego. W umyśle żadnej *ying* te dwie sprawy nie mogły ze sobą konkurować, pomyślał. Damy grające w madżonga zaczęły udawać, że znowu pochłania je wyłącznie gra. On jednak spostrzegł, że aktówka przyniesiona przez Kocicę wciąż stoi przy stanowisku do strzyżenia kobiet. W jednym narożniku planszy do gry w madżonga piętrzył się drobny stosik kart z kampanii wyborczej, przedstawiających Somporna w otoczeniu dwóch innych kandydatów jego partii. Obok niego stał zszywacz i pudełko zszywek.

– Więc pewnie przyjeżdża tu od dłuższego czasu? – rzekł Calvino.

Jedna ze starszych pań szepnęła na tyle głośno, żeby wszyscy ją słyszeli – podbijała stawkę w grze, a chwilę później odsoniła jeden ze swoich kamieni.

– Nie zapomniała o nas nawet mimo śmierci siostry. Ponownie uniósł brew.

– Kiedy to się stało?

– Dwa, może trzy lata temu – odparła Fah.

Jedna ze starszych pań ochoczo podjęła:

– W ubiegłym miesiącu minęły trzy lata. Jak dziś pamiętam pogrzeb. Jej dwaj młodszy synowie płakali tak, że kroilo się serce. A nie było przy nich ojca, który by ich utulił w żalu. – Najwyraźniej rywalizacja w grze nie mogła się równać z rywalizacją plotek, ścierających się w salonie fryzjerskim dużo ostrzej niż kamienie do gry w madżonga.

– Ile lat miała jej siostra?

– Jeab? Najwyżej dwadzieścia cztery – wtrąciła szybko druga ze starszych pań.

– Nieprawda. Miała co najmniej dwadzieścia pięć lat – odparła pierwsza.

– Nie skończyła jeszcze dwudziestu pięciu lat – wyjaśniła pospiesznie Fah.

To najwyraźniej zadowoliło miłośniczki madżonga, bo ujawniało, iż żadna z nich nie może czuć się wygraną w tej przedziwnej grze w odgadywanie wieku.

Niemniej temat rozmowy napędził zbiorową mądrość klientek salonu, toteż Calvino pospiesznie rzucił następną myśl: – Tak czy inaczej, zmarła bardzo młodo. – Mimo wszystko musiał się liczyć z ewentualnością, że to mąż kobiety właśnie przedawkował leki na AIDS, w związku z czym przeistoczył się w kłęb dymu wylatujący na dwór z komina budynku.

– Jeab pracowała z nami przez dwa lata przed śmiercią.

– Była wspaniała – dodała jedna ze starszych pań. – Wciąż brak mi jej polotu w podejściu do moich włosów.

Zerkając na odbicie w lustrze, Calvino spostrzegł, że ta uwaga poirytowała Fah.

– Co się stało z jej dziećmi?

– Skoro ojca to nie interesowało, Meow się nimi zajęła.

Obok łokcia jednej z dam siedzących przy stoliku do gry w madzonga piętrzył się stosik banknotów tysiącbahtowych poprzekładanych kartami spiętymi zszywką.

– Należałoby powiedzieć, że uratowała im życie – wtrąciła druga fryzjerka.

– Dała im nadzieję – wyjaśniła jedna ze starszych pań, która chyba pochwyciła jego spojrzenie, gdyż szybko zgarnęła ze stołu plik banknotów.

– Wysłała do szkoły międzynarodowej, takiej, na którą stać tylko bardzo bogatych. I płaci za ich naukę.

Wkrótce poznał całą typową historię o mężczyźnie, który porzuca rodzinę dla młodszej kobiety. Jeab wbiła sobie do głowy, że powodem był jej nos o kształcie „numer trzy”, to znaczy taki, który poza wschodnią Azją musiałyby odebrać wiele ciosów, nimby został tak spłaszczony. Myślała, że gdyby miała ładniejszy nos, mogłaby odzyskać męża, a jeśli nawet nie, to przynajmniej łatwiej znaleźć sobie innego mężczyznę, skuszonego jej nowym wyglądem. Przyjaciółka poleciła jej małą klinikę chirurgii plastycznej. Cena okazała się przystępna, a lekarz zrobił na niej niezłe wrażenie, zresztą legitymował się sporym doświadczeniem w kształtowaniu nosa. Ustalonego dnia, o dziesiątej rano, Jeab zgłosiła się do kliniki, położyła na leżance i dostała pełne znieczulenie. Ale doktor zastosował zbyt dużą dawkę środka usypiającego i doszło do niepożądanych objawów. Nikt nie zdołał ustalić, co się naprawdę stało, ale serce kobiety nagle przestało bić, a zanim udało się ją przewieźć do szpitala, doszło do poważnego niedotlenienia mózgu, więc już w izbie przyjęć lekarze musieli jej wywiercić parę dziur w czaszce, by zmniejszyć ciśnienie płynu mózgowego.

Jakiś czas przeleżała w śpiączce, podłączona do aparatury dostarczającej tlen. Kiedy znów doszło do zatrzymania akcji serca, nikt nawet nie podjął reanimacji. Kocica już wcześniej przejęła opiekę nad siostrzeńcami, co przyszło jej dość łatwo, gdy zgodziła się na propozycję Somporna, którą otrzymała na wystawie samochodowej. Staroświecki kapitalizm oparty na prawie podaży i popytu w tym wypadku okazał się skuteczny dla obu stron. W ciągu trzech lat obaj chłopcy podjęli naukę w szkole międzynarodowej. Kocica przeprowadziła się do wynajętego mieszkania w pobliżu szkoły i uzyskała pomoc gosposi pracującej w pełnym wymiarze godzin. Dwa razy w tygodniu odwiedzała w internacie siostrzeńców, którzy traktowali ją już jak rodzoną matkę.

– Interesuje się wszystkimi przejawami nauki chłopców w szkole – dodała inna starsza pani. – Taka jest prawda.

A więc „święta Kocica”, pomyślał Calvino. Równocześnie przyszła mu na myśl Marisa, i zastanowił się, co sprawia, że kobiety spieszą ratować dzieci, podczas gdy mężczyźni podchodzą do tego obojętnie.

– To znaczy, że Meow musi być bogata – rzekł.

Fah opuściła nieco nożyczki i trzymając je przy jego policzku, z czubkami zaledwie o kilka centymetrów poniżej oczu, w które wpatrywała się uważnie na odbiciu w lustrze, powiedziała:

– Ma bogatego męża.

– Poważnie? A więc jest mężatką?

– Przecież mówiłeś, że się przyjaźnicie?

– Ale nigdy nie miałem okazji poznać jej męża.

– Jest *mia noi* – wyjaśniła jedna z dam siedzących nad planszą madżonga. – I co w tym złego? Mężczyzna, który ma bardzo dużo pieniędzy, powinien je wydawać nie tylko na jedną żonę. Zawsze tak uważałam.

Jej sąsiadka pokręciła głową.

– Nie zawsze tak było. Zaczęłaś powtarzać to zdanie dopiero po śmierci swojego męża.

– Ludzie się zmieniają – odparła tamta, odznaczająca się stałym nienaturalnym uśmiechem, będącym efektem operacji plastycznej. – Poza tym Meow znalazła sobie porządnego mężczyznę, który się o nią troszczy.

– A ona troszczy się o niego – odparła jej przyjaciółka, puszczając oko do detektywa. – Jeśli zostanie wybrany, to głównie dzięki niej. Ale wybory bardzo drogo kosztują. Szczególnie tych kandydatów, którzy naprawdę chcą się dostać do parlamentu.

Najwyraźniej spostrzegła, że zwrócił uwagę na stosik banknotów na brzegu stolika.

– Cóż, przyjaciele kosztują – wtrąciła kolejna starsza pani.

Calvino skinął głową, odwrócił się i popatrzył na odbicie w lustrze. Uznał w głębi ducha, że Kocicy należą się wyrazy uznania, a Sompornowi co najmniej kolejny medal za znalezienie sprytnej metody opłacania potencjalnych wyborców w trudny do wykrycia sposób. Nawet samo wykorzystanie gry w madżonga sprawiało wrażenie szczególnie ciekawego rozwiązania.

Podrapał się po głowie, rozmyślając o tym, że siedzi w fotelu fryzjerskim i przygląda się starszym paniom, które dysponują sporą gotówką przy stole do niewinnej gry.

– Myślałem, że Meow jest samotna – powiedział. – Widziałem, że kręci się przy niej pewien muzyk jazzowy, który gra w zespole w klubie Saxophone.

– To Nop, „Kulka” – powiedziała Fah. – Ale nie jest jej mężem. Raz w tygodniu udziela chłopcom lekcji gry na gitarze. Pracuje dla Meow.

– Tu wszyscy nazywają go „Kulką”, mimo że jest znaną postacią. Ale przecież sporo ludzi pracuje dla Meow. Wielu z nich jest tak samo sławnych – rzuciła jedna z kobiet przy stoliku.

Jednak nie wszyscy, pomyślał Calvino, któremu do wyobraźni bardziej przemawiał pseudonim „Ptasznik”.

Fah uniosła lusterko nakierowane na tył jego głowy. Spojrzał w nie i przytaknął.

– „Kulka” faktycznie świetnie gra na gitarze – powiedział, wstając z fotela.

– Ale ja jeszcze nie skończyłam – zaoponowała fryzjerka, szcękając nożyczkami, jak gdyby w nerwowym odruchu.

On jednak zdjął pelerynkę spod szyi i wręczając jej, rzekł:

– Wystarczy mi takie wyrównanie.

– Przycięłam dopiero tył głowy.

– Bo tam włosy rosną najszybciej. – Wyjął portfel i wręczył jej banknot pięćsetbahtowy.

– Należy się sto bahtów. Nie ma pan drobniejszych? – zapytała Fah.

– Proszę zatrzymać resztę – odparł. – I koniecznie zagłosować na Somporna.

– Ależ tak, wszystkie na niego zagłosujemy – zadeklarowała jedna ze starszych dam, z trzaskiem kładąc na stole wszystkie swoje kamienie.

Już przed drzwiami Calvino przystanął jeszcze i obejrzał się na kobiety.

– O czymś zapomniałem.

Popatrzyły na niego, a następnie nawzajem na siebie, jakby nie mogły uwierzyć, że o czymś zapomniał. Tyle że nie chodziło ani o kluczyki od samochodu, okulary, portfel czy też inne rzeczy, o których klienci najczęściej zapominali.

– Meow ma przyjaciółkę, która nazywa się Nongluck. Czy kiedykolwiek o niej wspominała?

Kobiety przy stoliku na tyłach jak na komendę wbiły spojrzenia w kamienie na planszy, jakby po raz pierwszy szykowały się do zamydlenia mu oczy wierutnym kłamstwem.

– Nie, nie przypominam sobie, aby choć raz wspominała o jakiejś Nongluck – odezwała się w końcu jedna z nich, a pozostałe pokiwały głowami.

W wypadku kłamstw prawda jest taka, że leży na wyciągnięcie ręki, tuż poza ich zasięgiem. W większości wypadków tylko czeka na pieniądze. Aż go zaciekawiło, jakie kwoty przechodzą w sumie przez tę gromadkę. Oczywiście nie mogły być na tyle duże, żeby sfinansować wyższe cele. Tajowie świetnie rozumieli, że przekroczenie granicy chciwości to istny wyrok śmierci, jeśli się obraca pieniędzmi. Żadna ze starszych pań nie wyglądała na taką, która dążyłaby do samounicestwienia. Calvino sięgnął więc po portfel i wyjął banknot tysiącbahtowy – przez co później żałował, że nie ograniczył się do pięćsetki – i cofnął się z powrotem do fotela, z którego przed chwilą wstał. Położył pieniądze na jego siedzisku i rzekł:

– Powiem tak: pierwsza z pań, która przypomni sobie jakąkolwiek wzmiankę Meow na temat Khun Nongluck, dostanie ten tysiąc bahtów.

Uznał, że tę grupkę, zdecydowaną nastawioną na zysk z kampanii wyborczej,

łatwo będzie przekupić. Była to tylko kwestia czasu. Odczekał więc minutę, przechadzając się między drzwiami lokalu i fotelem, zerkając na położony nań banknot. Chciał tym samym dać do zrozumienia starszym paniom, że lada chwila jest gotów schować z powrotem pieniądze do portfela.

Niemniej Kocica była tu cenioną klientką, czyli taką, która zostawia za sobą grubszą gotówkę. Tak to się przedstawiało. Problemem stawała się jej dłuższa nieobecność. Przed tym nie było żadnej ochrony poza fizyczną, podczas gdy pokusa szybkiej transakcji gotówkowej mogła wpłynąć nawet na wynik wyborów, nie mówiąc już o uregulowaniu szkolnych opłat czy choćby opłaceniu zwykłego przepływu informacji. *Ying*, która strzygła Calvina, chwyciła ten banknot na ułamek sekundy przed drugą fryzjerką, stojącą nieco dalej od fotela.

– Nie lubiła Nongluck. Mówiła, że Nongluck jest niedobra, że to tania dziewczyna. A co ciekawego mężczyźni mogą dostrzec w tanich dziewczynach?

– Niby dlaczego Meow określiła Nongluck mianem taniej dziewczyny?

– Przez te kobiece sprawy – mruknęła fryzjerka, wciskając banknot do kieszeni.

– Czyli z powodu sporu o mężczyznę? – zagadnął. Myny kobiet, zanim ustąpiły miejsca obojętnym wyrazom, zdradziły mu bez cienia wątpliwości, co było rzeczywistym podłożem konfliktu.

Wychodząc z salonu fryzjerskiego, pomyślał, że zdobył w nim o wiele więcej informacji niż przez samo śledzenie szarej toyoty camry do tego *moo baan*. Miał wrażenie, jakby wkroczył do starego Bangkoku pogrążonego jeszcze w przeszłości. Właśnie w takich miejscach niektórzy mężczyźni znajdowali sposób na zabezpieczenie sobie jutra. Casey, prywatny zleceniobiorca z doświadczeniem wytrawnego śledczego, dysponujący rozległą siatką ulicznych informatorów, kierował się tak głębokim żalem po śmierci syna, iż nie dostrzegął, że dał się zamknąć w przeszłości podsycanej nienawiścią. Jego przeciwnstwem wydawał się Somporn, miejscowy biznesmen i polityk, mający do dyspozycji *ying* rozdającą gotówkę na rzecz jego wyboru do parlamentu z tego okręgu.

Pewne kłopoty stwarzał jedynie Casey. To on najął Calvina do śledzenia Kocicy. Zarzekał się jednak, że nic nie wie o *ying*, która zginęła w Pattai. Być może mówił prawdę, a być może miał ważne powody do tego, żeby kłamać. W tym miejscu otwierała się furka dla uwzględnienia Apicharta, człowieka mającego poważne powody, by wplątać go w zabójstwo. Uświadomił sobie właśnie, że Casey mógł mieć dostęp do informacji o trybie życia Kocicy i jej poczynaniach, nawet tych nie do końca jawnych. Czyżby zamierzał wykorzystać tę wiedzę do gruntownego obniżenia wyborczych notowań Somporna? Takie działania byłyby zbyt subtelne i skryte jak na Caseya. Poza tym ujawnienie istnienia *mia noi* mogło tylko zwiększyć notowania Somporna w tej okolicy. Eliot Spitzer, były gubernator Nowego Jorku, urodził się, jak sądził, w niewłaściwym stanie. Dlatego Calvino doszedł do wniosku, że w swoim

raporcie pominie rolę Kocicy w roli dystrybutorki pieniędzy Somporna na rzecz jego kampanii. Uznał, że warto coś ukryć przed klientem, który ukrywa podstawowe przyczyny wynajęcia prywatnego detektywa w danej sprawie.

25

Jarrett pochylił się niżej, dopóki nie poczuł pod prawym ramieniem dotyku stołowej maty kuchennej, i przycisnął prawe oko do wizjera celownika optycznego. Przez kilka minut nie mógł się poruszać, w zasadzie nawet nie powinien oddychać. Pokój wypełniła nastrojowa muzyka, gdy Tracer zmienił płytę w odtwarzaczu. W takich chwilach, opierając palec na spuście broni, Jarrett czuł się jak bóg, być może ze Starego Testamentu, mający władzę absolutną. Doskonale pamiętał to wrażenie władzy absolutnej ze zleceń wykonywanych w Bośni, Somalii, w Cali, Gijón, w Bagdadzie czy Kabulu. Odbieranie życia uważał za akt ostateczny, w którym snajperzy pełnili funkcję bogów.

W większości tych zleceń ważną rolę odgrywało to, że działał w warunkach wielkomiejskich, w otoczeniu budowli z betonu, żelaza i szkła, w kanionach pełnych ludzi i samochodów. Kiedy po zmroku zapalały się światła, w noktowizorze jego cele przybierały postać białych zjaw. Wyprostował się, odchylił na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na piersi.

Tracer pochylił się nad stołem bilardowym, mierząc wzrokiem odległość i wzajemne ustawienie bili białej i żółtej jedyńki, którą zamierzał wstrzelić do odległej łuzi narożnej. Zmienił jednak plan i posłał czerwoną jedenastkę połówkę do drugiej narożnej łuzi, i to z takim impetem, że biała bila odbiła się od bandy i wróciła do niego, szybko wirując. Z uśmiechem potarł kredą koniec kija, taksując wzrokiem układ bil na suknie, po czym przesunął się na środek bocznej bandy.

– Myślałem o Casey. Nie zastanowiło cię, skąd on wziął czterdzieści kawałków w gotówce? Pracuje jako śledczy, prowadzi przesłuchania. A to znaczy, że jest na miesięcznej pensji. Z czego miałyby odłożyć taką sumę?

– Waters mówił, że Casey wyjął z banku jakieś wcześniejsze oszczędności – odparł Jarrett. – Poza tym stawka jest stała. Zawsze wynosiła tyle samo. Nie mniej, nie więcej.

Właśnie czterdzieści tysięcy zostawił Ian MacDonald na stole w domku przy

plaży. Kiedy wrócili z wyprawy na morze i weszli do domku, znaleźli te pieniądze wraz z karteczką, na której było napisane: „Za Jacka”. MacDonald zniknął.

– Wiem o tym. Ale Casey nie wygląda mi na faceta, który by dysponował taką gotówką – rzekł Tracer, posyłając niebieską dziesiątkę połówkę w kierunku bocznej łuzi.

– W takim razie nie rozumiem, o co ci chodzi.

Tamten odwrócił się i w teatralnym geście stuknął czołem w oparcie sofy.

– A myślałem, że będzie taki prosty strzał.

– Naprawdę aż tak bardzo przejmujesz się Caseyem?

– Tylko się zastanawiam. Wiem z doświadczenia, że ludzie pokroju Caseya równie łatwo zdobywają czterdzieści kawałków w gotówce, jak świnie wzbijają się na skrzydłach w powietrze.

Zmierzył odległość do zielonej czternastki połówki, którą trudno było wbić bezpośrednio do łuzi.

Jarrett podszedł do stołu, wziął drugi kij, pochylił się nad sukmem i przymierzył do strzału w czerwoną trójkę.

– Jeśli to nie są jego oszczędności, to skąd miałby taką forszę?

Uderzył niby dosyć precyzyjnie, lecz bila odbiła się od bandy tuż przy łuzie.

– A skąd miałbym wiedzieć, do cholery? Ale nie chciałbym też zostać zrobiony w konia właśnie przez to, że tego nie wiem. Chodzi mi o to, że warto się nad tym zastanowić. W końcu to nie taka mała suma.

Jarrett nie mógł się skoncentrować na grze. Popatrzył na białą tablicę. Po jednej stronie zapisywali w kolumnie wyniki gry w bilard. Ale druga była w całości zarezerwowana na sprawy służbowe. Westchnął ciężko i pokręcił głową. Uprzytomniwszy sobie, jak mało czasu im zostało, odstawił kij bilardowy i cofnął się do karabinka rozstawionego na stole. Usiadł i popatrzył przez teleskop, wypatrując jakiegokolwiek ruchu w mieszkaniu Rozpruwacza, po czym przesunął nitki celownika na wykończone w chromie i szkłe wnętrze lokalu Niedźwiedzia, wreszcie na skromne, niemal biurowe pomieszczenia Grizzly. Z taką samą uwagą zajrzał do mieszkań Skorpiona, Feniksa, Gawrona i Czarnej Owcy, zanim wycelował z powrotem w balkon Pilot trzy-dziewięć.

– Czysto – mruknął.

– Poddajesz się? – zapytał Tracer, oparty biodrem o stół bilardowy.

– Ja się nigdy nie poddam.

Obaj świetnie wiedzieli, że to prawda. Jarrett był uparty, nigdy się nie skarżył na zmęczenie, nie wzdragał przed żadną robotą, zawsze skupiał się wyłącznie na swoim zadaniu. Ale bilard traktował nieco inaczej. Tam było tylko strzelanie, jak na ćwiczeniach.

– Jeszcze coś – odezwał się Tracer po dłuższej chwili.

Podniósł lornetkę i popatrzył przez nią na młodą kobietę ćwiczącą jogę na macie rozpostartej w saloniku. Siedziała niczym Budda w pozycji lotosu, z zamkniętymi oczami. Zaciekawiał się, czy Jarrett mógłby się kiedyś aż tak odprężyć. Zwiększył przybliżenie i popatrzył na twarz kobiety. Zdawała się promieniować wewnętrzną radością, jakby dostrzegła blask wieczności na końcu długiego tunelu.

– Co?

– Chodzi o córkę pszczelarza, która wybiegła z baru z tamtym facetem, dziewczynką i białą kobietą. To ten sam gość, który wgniół nam zderzak auta. Wczesnym rankiem szpiegował jakiegoś biednego żonatego nieszczęśnika przy Washington Square. A wieczorem zjawił się w barze w towarzystwie tej białej kobiety i dziecka ulicy. O co w tym wszystkim chodzi? Gapiłeś się na tę białą, jakbyś ją skądś znał.

Jarrett odchylił się do tyłu, wyciągnął ręce nad głowę i ziewnął.

– Tylko się zastanawiałem, co taka babka robi w barze z dzieciakiem.

– Nie o nią się martwię, tylko o twoją tajską oblubienicę. Co ona mogła robić w towarzystwie tego detektywa? Bo to ten sam szemraniec, który może nam przysporzyć kłopotów.

– Wan o niczym nie wie. Tylko z nią spałem. Nawet za bardzo nie rozmawialiśmy. Wiem, że to raczej poroniony pomysł, ale przyszło mi do głowy, żeby dać jej tyle forsy, by mogła rzucić robotę w barze i wracać do domu.

To tyle, co się tyczy wolnej woli, pomyślał Tracer. Zgodnie ze słowami bluesa, facet wyruszający za kobietą musiał zostawić rozum w rynsztoku. Mógł już tylko kierować się sercem, a to go niechybnie prowadziło do głębokiego rowu przy drodze życia.

Jarrett przytknął kolbę karabinka do ramienia i zakołysał nim, jakby ważył go w rękach.

– Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz. Doszukujesz się rzeczy, których po prostu nie ma.

– Mówisz o tych czterdziestu tysiącach? – odrzekł Tracer.

– To dobry przykład. Znasz historię. Dokładnie tyle wynosi cena.

– A ty miałbyś odwagę, żeby pójść do banku i zażądać wypłaty czterdziestu tysięcy?

Jarrett uśmiechnął się i pokręcił głową.

– O czym ty gadasz?

– Przyjrzałem się bliżej kilku paczkom tej forsy. Nie wyglądają na takie, które by pochodziły z bankowego sejfu. Te pieniądze śmierdzą mi uliczną forszą. Musiały zostać wyciągnięte spod podłogi w piwnicy.

– A jeśli nawet, to co? Nadal nie rozumiem. Musi nas to obchodzić, skąd Casey wziął tę forszę? To nas nie dotyczy.

Nie po raz pierwszy uczestniczyli na ochotnika w operacji specjalnej niezatwierdzonej przez szefa Watersa, były to jednak sytuacje wyjątkowe. W zakresie tego rodzaju działań obowiązujące w firmie zasady były jasne. Pracownicy w niej zatrudnieni musieli się do nich ściśle stosować, bo przecież głównym celem firmy było zarabianie na kontraktach rządowych. Jakiegokolwiek zlecenia, które mogłyby rzucić cień na tę współpracę w zakresie rządowych kontraktów, nigdy by nie zostały zatwierdzone przez ich przełożonych. Musiał istnieć naprawdę ważny powód, żeby organizować misję poza oficjalnymi strukturami firmy. Ale takim właśnie powodem była „odpłata za Jacka”. A jeśli nikt inny nie chciał się podjąć tej roboty, Jarrett z Tracerem zawsze byli na posterunku.

Tracer opuścił lornetkę i podszedł z powrotem do stołu bilardowego. Podniósł swój kij i zaczął energicznie pocierać kredą jego koniec, aż niebieski kredowy pył wszedł mu pod paznokcie.

– Więc jak? Dokończysz tę grę czy płacisz karę umowną?

– Nie skończyliśmy jeszcze rozmawiać o pieniądzach.

Jarrett także podszedł do stołu, sięgnął po swój kij i zaczął go przerzucać z ręki do ręki.

– Możemy dalej rozmawiać o pieniądzach w trakcie gry.

Popatrzył krytycznym okiem na rozstawienie bil na stole i pomyślał, że znajdzie się w tarapatach, jeśli zaraz nie zacznie ich wstrzeliwać do luz.

– Skoro mowa o Casey, to nie sądzę, by mógł liczyć na cokolwiek ze strony miejscowych – powiedział Jarrett, po czym wbił zieloną szóstkę do narożnej luzy.

Tracer aż uniósł brwi.

– Ładny strzał.

Jarrett szybko wstrzelił jeszcze czerwoną trójkę do bocznej luzy, lecz zaraz pomyślał, że niepotrzebnie panikował, wyprostował się więc i zaczął nacierać kredą koniec kija.

– Przez to zostało mu tylko jedno wyjście: zemsta – dodał. – A to słowo obaj doskonale rozumiemy. Też byś zabił faceta, który przyczynił się do śmierci twojego syna. Do tego nie potrzeba specjalnej filozofii. Gdyby coś podobnego przytrafiło się tobie, Tracer, na pewno znalazłbyś sposób, żeby zdobyć czterdzieści kawałków. Postawiłbyś na swoim. – Wymierzył i wbił pełną pomarańczową bilę do bocznej luzy, następnie podniósł głowę, poderwał kij i pozwolił, aby ten zsunął mu się między palcami aż do podłogi. – Ja bym postawił na swoim. Znasz kogoś, kto by tego nie zrobił? To zwykła zemsta, Tracer, bez żadnych podtekstów. Casey jest patriotą. To też wiesz. Odsłużył aż trzy zmiany w Wietnamie. Tacy starzy wyjadacze od operacji specjalnych potrafią wytrzasnąć czterdzieści kawałków, jakby wyciągali królika z kapelusza. Pewnie zakopał tę gotówkę w jakiejś wietnamskiej wiosce, żeby mieć trochę forsy na czarną godzinę.

– Ale w paczkach są banknoty z pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych – zaoponował jego partner.

Jarrett ruszył powoli wzdłuż stołu i zatrzymał się przy niebieskiej dwójce. Wymierzył, po czym szybko posłał ją do narożnej łuzi i spojrzał na Tracera.

– A to ma jakieś znaczenie? Zebrał forszę. Miał wszelkie powody do tego, żeby zgromadzić potrzebną sumę.

Tracer pomyślał, że tamten tylko udaje obojętność, bo sam jest zaniepokojony źródłem pochodzenia pieniędzy.

– A ty skąd wiesz, z jakich lat pochodzą te banknoty? – zapytał Jarrett, przymierzając się do zestrzelenia żółtej jedyńki.

– Od pułkownika Watersa. Specjalnie go o to pytałem.

Jarrett uśmiechnął się lekko, podczas gdy bila potoczyła się po suknie i wpadła do otworu łuzi. Bawiło go to, że Tracer wciąż używa starych stopni, mówiąc o Watersie, który był teraz biznesmenem, wiceprezesem Służb Oceny Ryzyka Logistycznego. Określenie „pułkownik” przypominało relikw z odległej przeszłości.

– Czemu to zrobiłeś?

– Kiedy się wie, skąd człowiek wziął pieniądze, wie się zarazem, z jakim człowiekiem będziemy mieli do czynienia.

– I co ci powiedział pułkownik Waters?

Tracer znowu uniósł wysoko brwi, kiedy Jarrett w krótkich odstępach zestrzelił też bile fioletową i pomarańczową, przez co na suknie pozostała już tylko brązowa siódemka oraz czarna ósemka.

– Mniej więcej to samo, co ty. Casey miał wszelkie racjonalne powody, żeby załatwić tego sukinsyna, który wydał wyrok na jego syna. Ale wykonuje w Bangkoku jakieś zadania specjalne. Mógłby się zdemaskować, gdyby zorganizował zemstę na własną rękę, dlatego wolał nie narażać całej operacji. Nawet Casey nie myśli tylko o sobie. Na koniec Waters rzucił, że powinniśmy zapomnieć, skąd pochodzi ta forsa. – Urwał na chwilę. – Dopuszczasz mnie jeszcze choćby do jednego strzału czy nie?

– Ale ty nie zapomniłeś.

Jarrett przymierzył się do zestrzelenia siódemki, jednak tym razem nie trafił. I kiedy uniósł wzrok znad stołu, spotkała go nagroda w postaci szerokiego uśmiechu Tracera, który zanucił pod nosem płynącą z radia melodię, jakby już wygrał tę partię.

– Gdy się zapomni o czymś ważnym, łatwo można przegrać. Tak samo w bilardzie, jak i w grze o życie. I tu, i tu obowiązują podobne reguły, kiedy przestaje się uważać.

Wycelował w fioletową połówkę i bez trudu posłał ją do bocznej łuzi. Skuteczny strzał znacznie poprawił jego nastrój, ale zaraz spostrzegł, że drogę do jego kolejnej zielonej połówki blokuje siódemka partnera.

– Mamy idealną przykrywkę do tej roboty – rzekł Jarrett. – Wobec zbliżających

się wyborów wszyscy będą podejrzewać, że poszło o jakieś porachunki polityczne. Nikt nie będzie nas szukał. Policja skoncentruje się na Tajach mających powiązania w kręgach wojskowych, na jego współnikach i kontrahentach w biznesie, a nawet na jego żonie. Można uznać, że istnieje bardzo długa lista osób, które z przyjemnością wysłałyby go na tamten świat.

– Co do tego nie mam żadnych zastrzeżeń – odparł Tracer.

Spróbował strzału o bandę, ale w ten sposób tylko posłał bliżej narożnej łuzę siódmkę rywala. Jarrett znów się nie spieszył z nacieraniem kredą końca kija. Nad stołem zawisła napięta cisza, dopóki siódmka nie zastukała w otworze. Jarrettowi pozostała więc już do strącenia tylko ósemka, by zapisać na swoje konto zwycięską partię.

– Pytałem Wan, dlaczego pszczoły masowo giną, i wiesz, co odpowiedziała?

Tracerowi najwyraźniej spodobało się to, że Tajka, mająca co najwyżej ukończoną podstawówkę, zdołała rozwikłać naukową zagadkę.

– Nie. Dlaczego giną?

– Bo ktoś zhańbił rządzącego nimi ducha, więc biorą odwet.

Jarrett oparł się o brzeg stołu bilardowego, nie spiesząc się z ostatnim strzałem. Tracer podrapał się po szyi i westchnął, szykując się już na nieuchronną porażkę w tej partii.

– W Nowym Orleanie wszyscy wiedzą, że zaniepokojone duchy nigdy nie doprowadzą do niczego dobrego.

Musnął palcami swój woreczek *mojo* i uśmiechnął się na myśl, że być może ta prymitywna córka pszczelarza wie jednak o życiu coś, czego nie mogła wyczytać w szkolnych podręcznikach.

Ale nawet jego talizman nie powstrzymał Jarretta przed wstrzeleniem ósemki do łuzę w prawym narożniku stołu. Kiedy tamten podniósł szybko wzrok znad sukna, spostrzegł, jak Tracer muska palcami swoje *mojo* w nadziei, że jednak wygra tę partię. Był człowiekiem praktycznym, opierał się wyłącznie na życiowych realiach, a więc traktował wiatr, wodę i ogień nie jak symbole, ale jak realne elementy dające się wykorzystać w celu uzdrowienia bądź zniszczenia jakiegoś obiektu. Nie wierzył w duchy, demony czy upiory, dla niego liczyła się tylko odległość od obiektu, kierunek wiatru, jego prędkość, rodzaj pocisku, widoczność celu. Na tym polegało jego profesjonalne podejście do snajperstwa.

Tracer zaczął ustawiać bile do następnej partii.

– Tę pierwszą specjalnie pozwoliłem ci wygrać. Twarz Jarretta wykrzywił ironiczny uśmiech.

– Harry zawsze powtarzał: „Synu, nigdy nie oczekuj zbyt wielu faktów. Ludzie nie mają wystarczającej pojemności, żeby wiedzieć zbyt wiele”.

Była to jedna z maksym człowieka, który poświęcił się tropieniu poszukiwanych

obiektów ukrywających się w podupadłych krajach. Jego syn poszedł w ślady ojca, podtrzymując rodzinną tradycję.

– Twój ojciec był bardzo mądrym człowiekiem – orzekł Tracer. – Mój wierzył w voodoo i z mojego punktu widzenia także był mądry.

– Oczywiście, że tak – przytaknął Jarrett, który raz spotkał ojca Tracera, kiedy byli razem na przepustce jeszcze w trakcie służby w marines. Przyglądał się, jak tamten zabija kurczaka, potem miesza jego krew z rumem i podaje kubek do wypicia najpierw swojemu synowi, a potem jemu. Wszyscy wpatrywali się jak urzeczeni, kiedy i on przytknął kubek do warg i upił nieco z niego. Powiedział im wtedy, że w ten sposób staną się dla siebie jak bracia. Na tyle dobrze znał voodoo, żeby ogłupić pewną Francuzkę i nakłonić ją, by zostawiła swoją rodzinę w Europie i przyjechała za ocean, żeby zamieszkać z nim. W rytualnych obrzędach zabijał kurczaki, rzucał zaklęcia i odpędzał demony. W każdym razie starczyło tego voodoo, żeby wydać na świat Tracera.

Ojciec Jarretta, Harry, odsłużył trzy tury w JUSMAG i zastosował swoją własną odmianę voodoo, by ożenić się z kobietą ze Sztambułu. Był wtedy starszym doradcą w dowództwie USSOCOM w bazie lotniczej MacDill, co zapewniało mu wolną rękę w wykonywaniu zleceń specjalnych w różnych zakątkach globu, od Berlina przez Dżakartę po Pekin, skąd zawsze wracał do centrali JUSMAG w Bangkoku. Półtora roku wcześniej przeszedł na emeryturę. Harry i Lee mieli troje dzieci: Sama, lekarza rodzinnego, Janet, doktora nauk w zakresie biotechnologii, oraz najmłodszego, snajpera wywodzącego się z oddziału marines i specjalistę w dziedzinie kryminologii z John Jay College, pracującego obecnie na prywatnym kontrakcie w Kabulu i biorącego udział w operacjach specjalnych, które od czasu do czasu pozwalały mu się wyrwać z Bagdadu. Jego brat zarabiał pięćset tysięcy dolarów rocznie, a siostra na uniwersytecie w Stanford sterowała w stronę Nagrody Nobla.

Nietrudno było zgadnąć, które z trójki dzieci starszerek kochał najbardziej. Tylko Alan Jarrett został zaproszony do Hua Hin z okazji dwudziestopięciolecia znajomości jego ojca z Jackiem Malone. Kiedy Jack zniknął bez śladu, obaj udali się do domku Iana MacDonalda przy plaży i zakradli się do środka tylnymi drzwiami. Harry był świadkiem, jak jego syn zastrzelił człowieka, który dostał zlecenie zlikwidowania MacDonalda. Brat Alana czy jego siostra mogli tylko pomarzyć o takiej więzi, jaka nawiązała się między nimi tamtej nocy. Harry cieszył się, że ma przynajmniej jedno dziecko z praktycznym podejściem do życia, dziecko, które nie okazuje strachu i potrafi działać instynktownie, w ułamku sekundy. Bo kiedy Varley odwracał się jeszcze, chcąc zabić jego ojca, Jarrett strzelił mu prosto w głowę.

– Najważniejszą nauką Harry’ego było to, że życie należy pokonywać najwyżej dziesięciometrowymi skokami.

Kiedy Jack Malone się nie pojawił, Harry wrócił do hotelu, żeby poczekać na

telefon od niego. Po trzeciej partii bilarda z Ianem MacDonaldem ten opowiedział Jarrettowi w skrócie całą historię. Cleary, biznesmen z Perth, robiący grube pieniądze na podejrzanym interesach z zakresu handlu nieruchomościami, wydobywania złota i pereł oraz transportu morskiego, zaczął mu grozić śmiercią. Ale MacDonald za bardzo się tym nie przejął. Przywołał do siebie Jarretta przy stole bilardowym, niby przypadkiem trącił go w nogę końcem kija, po czym tym samym końcem błyskawicznie uniósł mu nogawkę, odsłaniając pistolet w kaburze. Cleary przechwalał się liczbą ludzi, których do tej pory zabił. Traktował to jak nieodłączną część swoich interesów. Któregoś razu w Nowym Jorku zadzwonił z prośbą o przysługę do jakiegoś znajomego zamieszanego w handel narkotykami, wskutek czego zginął pewien bankier mający odwagę w ramach likwidacji długu zająć kilka zabytkowych aut.

Później Cleary zaprosił go do swego gabinetu, zamknął drzwi i pokazał wycinek z nowojorskiej gazety, nekrolog wraz z notatką opisującą okoliczności śmierci człowieka. Chciał zdobyć dwa miliony, które MacDonald uzyskał ze spieniężenia swoich akcji spółki należącej do Cleary'ego. Twierdził, że pragnie tylko odzyskać własne pieniądze. Utrzymywał, że bez wątpliwości należą się właśnie jemu. Sugerował przy tym, że podobnie jak nowojorski bankier, MacDonald spróbuje się zaszyć w jakimś odludnym zakątku, ale nic mu to nie da, bo on i tak go odnajdzie, a wtedy MacDonald pożałuje, że w ogóle próbował się przed nim ukryć.

Jarrett wciąż czekał na przybycie Jacka, kiedy do sali bilardowej weszło dwóch zbiorów najętych przez Cleary'ego, Daws i Varley. MacDonald nie potrzebował nawet pół minuty, żeby się zorientować, iż nasłał ich Cleary. Powiedzieli, że chcą z nim porozmawiać w cztery oczy, na osobności. Jarrett przyglądał się uważnie, kiedy MacDonald odparł, że nie chce z nimi rozmawiać, ani na osobności, ani gdziekolwiek indziej.

– To nie wchodzi w rachubę – warknął wtedy Daws. Jego kumpel – Australijczyk o nazwisku Varley – kazał Jarrettowi spływać stamtąd, bo przeszkadza im w rozmowie o charakterze osobistym. Ale Jarrett tylko zacisnął palce na kiju bilardowym i mocniej zaparł się biodrem o brzeg stołu.

– Czy ktoś z was widział rudego faceta, który wszedł do tej sali kilka godzin temu?

Daws, bardziej doświadczony z tych dwóch, odznaczający się krótką fryzurą na jeża w stylu wojskowym i pstrokatą hawajską koszulą wypuszczoną luźno na spodnie, rzekł:

– To chyba jest ten rudzielec, którego szukamy.

– A to znaczy, że jeśli jeszcze nie rozumiecie, to macie stąd spieprzać.

Jarrett błyskawicznie zarejestrował kilka spostrzeżeń. Varley miał na prawym ręku poobcierane knykcie, a nad prawą kieszeńią jego spodni ciemniała rozmazana

smużka krwi, jak gdyby zakrwawioną ręką po coś sięgał. A pod prawym okiem Dawsa czerwieniał świeży ślad, jakby ktoś trafił w to miejsce silnym ciosem. Co prawda, zbir nie wykazywał żadnych oznak dotkliwego bólu głowy czy zaburzeń wzroku, lecz bez wątpienia świeżo zarobiony siniak aż się domagał kontaktu z surowym mięsem.

Kiedy już Jarrett chciał wykonać swój ruch trzymanym w ręku kijem bilardowym, Ian szybko uniósł rękę, uśmiechnął się i rzucił:

– Wszystko w porządku. Po prostu spotkamy się na plaży trochę później. Mam nadzieję, że to wam pomoże odnaleźć przyjaciela.

– Też mam taką nadzieję – mruknął wtedy, nie wypuszczając z ręki kija, gdyż świetnie rozumiał, co się szykuje i do czego zmierza MacDonald.

Rozegrali wtedy kilka partii, pogrążając się jak zwykle w ogólnikowych rozmowach. W końcu MacDonald zapisał na kartce adres swojego domku przy plaży i wsunął ją do kieszonki jego koszuli. Jakby przewidywał, że pojawią się nieproszeni goście. „Przywieź swojego tatę i Jacka. To duży domek. Mam własną łódź”.

Tracer domyślił się po szklistym spojrzeniu Jarretta, że ten znów błądzi myślami gdzieś daleko.

– Pozwolisz, że tym razem ja rozbiję?

– Zazwyczaj zwycięzcy robią następne rozbicie – odparł Jarrett. – Ale jestem gotów zrobić wyjątek. – Wskazał ręką stół.

Tracer huknął z całej siły, bile potoczyły się na wszystkie strony, przy czym pomarańczowa trzynastka wpadła do narożnej łuzi.

– Wygląda na to, że połówki znowu są moje. Nie mam do nich szczęścia. A gdybyś zechciał uchylić rąbka tajemnicy, z przyjemnością bym się dowiedział, o czym tak rozmyślasz.

Zaczekał, aż Tracer wymierzy kolejny strzał, i rzekł:

– Rozmyślałem o zapachu morza. Tracer skrzywił się z niesmakiem.

– Jak ja myślę o morzu, zawsze się uśmiecham. Ty się nie uśmiechałeś.

– Tobie wcale nie chodzi o mnie. Coś jeszcze cię gryzie. Może coś, nad czym się zastanawiałeś, tylko nie chcesz się z tym zdradzić? – podsunął Jarrett.

Tracer oszacował ustawienie bil na suknie.

– Nie mogę na to odpowiedzieć „tak” albo „nie”. To, że Somporn się nie pokazał, może być bardzo istotne. Ale trudno też wykluczyć, że coś mu wypadło. Takie rzeczy się zdarzają. W końcu facet startuje w nadchodzących wyborach i nie jest już panem swojego czasu. Ale potem znów wróciłem myślami do wieczoru w barze. Ledwie się pojawił ten facet, który wgniótł nam błotnik na Washington Square, rozpętało się istne piekło. Możliwe, że nie ma to nic wspólnego z naszym zadaniem, ale może to też być coś, nad czym warto by się głębiej zastanowić.

– Ja nie widzę tu żadnego związku – odparł Jarrett. Tracer sprawiał wrażenie

podenerwowanego, chybił dość łatwy strzał i nie wbił czerwonej jedenastki do bocznej łązy.

– Kurwa, jak mogłem nie trafić?! – Pokręcił głową i sięgnął po kredę.

Jarrett odstawił swój kij.

– Może skończmy na razie. Chyba warto by się trochę przespać – zaproponował.
– Jutro na świeżo przeanalizujemy to wszystko, co nie daje ci spokoju.

– Jutro musimy skończyć zadanie i wylecieć z powrotem do Kabulu – powiedział Tracer. Wyszczerył zęby w uśmiechu i czule musnął palcami duży tłumik znajdujący się na końcu lufy karabinka, który powinien prawie całkowicie wyciszyć huk wystrzału. – To mi się właśnie w tobie podoba. Zawsze uważnie analizujesz następne dziesięć metrów przed nami, zanim dasz sygnał do skoku.

– Myślałem o tej białej kobiecie, która towarzyszyła detektywowi – odparł Jarrett.
– Zwróciłeś uwagę, że wyglądała na śmiertelnie przerażoną?

– Owszem, zauważyłem, że jest przestraszona. Przysiadł na brzegu stołu bilardowego i w zamyśleniu zaczął wodzić czubkami palców po suknie przy bandzie.

– Wyglądała mi dziwnie znajomo.

– Déjà vu – uznał Tracer.

– Czy to nie ona była na plaży w Gijón?

Tracer świetnie ją pamiętał, miał jednak nadzieję, że w półmroku wypełniającym salę barową Jarrett jej nie rozpozna. Ostatni raz obaj widzieli ją przez szkła przybliżające. Jarrett bezbłędnie trafił wówczas obiekt w głowę z odległości tysiąca metrów, jednakże leżąca chwilę przedtem dziewczyna, pogrążona w lekturze książki, została zbryzgana krwią od stóp po czubek głowy. Doskonale widział przez lornetkę, jak oczy jej się rozszerzyły z przerażenia, więc Jarrett musiał także zapamiętać jej stężale rysy twarzy widoczne w celowniku optycznym. Było tak, jakby czas stanął w miejscu. Przez chwilę nikt się nie poruszył, nie odezwał ani słowem, może nawet nie oddychał. Dopiero potem czas ruszył na nowo. Krople krwi skapnęły z jej brody, byli jednak za daleko, żeby usłyszeć jej przeraźliwy krzyk. Wykonali swoje zadanie, jak zwykle obiekt nie budził w nich żadnych uczuć. Ale widok zastygłej twarzy dziewczyny na plaży wrył im się w pamięć na długie miesiące. Niezależnie od tego, jak wyglądało jej życie, w jednej chwili w znacznym stopniu pozbawili ją niewinności. Tracer rozmyślał nad tym, co powiedzieć, skrobiąc się po głowie, gdy przyszło mu na myśl, żeby się podeprzeć tekstem bluesowej piosenki.

– Co ona robiła w tym barze właśnie tego wieczoru? – wyrecytował, tocząc palcami po stole jedną bilę za drugą. – Nie sądzisz, że wszystko nam się zanadto popieprzyło?

– Sam nie wiem. Nadal uważam, że to jeszcze o niczym nie świadczy. Mnie nigdy nie widziała. Byliśmy wtedy za daleko. Nie ma mowy, żeby mogła nas kojarzyć – uznał Jarrett.

– Ale jednak uważnie ci się przyglądała.

– Może mnie z kimś pomyliła, wzięła mnie za kogoś innego. Nie ma w tym nic niezwykłego. Dokładnie to samo przytrafiło się Jackowi Malone’owi.

Tracer zaczął nerwowo dreptać wzdłuż stołu bilardowego.

– Masz rację. Więc jeśli nawet to ta sama dziewczyna, nie powinniśmy się niczym martwić, bo to nie ma większego znaczenia. Rzeczywiście nie mogła cię wtedy widzieć. Mnie także nie zna. Poza tym od tego, co się zdarzyło w Gijón, minęło sporo czasu.

Miał rację. Jarrett wracał myślami do wydarzeń w Gijón, wspominając dziewczynę z plaży, ale oczyma duszy widział też dziewczynę na balkonie. No i wciąż nie mógł zapomnieć Jacka Malone’a. Pamiętał, co powtarzał jego ojciec o granicy między żalem a wyrzutami sumienia. Dla każdego człowieka ta granica wyglądała nieco inaczej. Jeśli mężczyzna nie zdecydował się działać, to potem siedział, skrobał się po głowie i borykał z ładunkiem żalu przytłaczającego serce. Rzecz stawała się trudniejsza, gdy ktoś zdecydował się zrobić to, co wydawało się słuszne, lecz na jego działania wpłynęły jakieś emocje. Później, kiedy odzyskiwał jasność myślenia i mógł racjonalnie ocenić sytuację, czuł wyrzuty sumienia z powodu bólu, jaki zadał innym osobom.

– Więc kiedy będziesz robił „odpłatę za Jacka” – rzekł wtedy Harry – pamiętaj, że nikt ci nie powie, co jest trudniej znieść, zwykły żal czy wyrzuty sumienia.

Była to jedna z tych rzeczy, których ojciec nie musiał mu powtarzać dwa razy. W końcu i on był na miejscu, widział przebieg wydarzeń, mógł więc przystąpić do działania, kiedy uznał za konieczne.

26

Juan Carlos mniej więcej po godzinie przestał patrzeć bykiem na Calvina, jakby wreszcie do niego dotarło, że ma przed sobą człowieka, który wyszedł z sypialni jego siostry z promienną miną i przyjaznym uśmiechem na ustach. Ostatecznie zdusił więc swoją podejrzliwość, decydując się także ze swej strony okazać przyjacielskość i otwartość. Calvino usiadł na sofie obok Marisy. To ich zbliżenie, wraz ze stopniem wygniecenia spodni oraz czarnej koszulki detektywa, nie zostało niezauważone. Nie wiedział jeszcze, że sportowa marynarka wraz ze skórzaną uprzężą mieszczącą rewolwer w kaburze zostały w sypialni. Marisa miała na sobie żółtą bluzkę z krótkimi rękawami i czarne spodnie, a przecież pamiętał dobrze, że po południu, gdy wychodziła z domu, była ubrana inaczej.

– Vinny, dziękuję, że pomogłeś mojej siostrze – rzekł.

– Odprowadziłem ją do domu – odparł Calvino.

– Jeśli dobrze pamiętam, biegiem – wtrąciła Marisa.

Detektyw wzruszył ramionami, spoglądając na Juana Carlosa, po czym przeniósł wzrok na jego siostrę. Przyszło mu na myśl, że ludzie często myślą, iż ktoś uratował im życie, chociaż na dobrą sprawę ich życie nawet przez moment nie było zagrożone. Takie sytuacje mogły oznaczać kłopoty, parę siniaków, zadrapań, utracony pukiel włosów, ale śmierć rzadko wchodziła w rachubę. Ludzie blokujący wyjście z baru Rena na pewno nie mieli zamiaru zabijać Marisy, bo to by się dla nich bardzo źle skończyło. Chcieli jedynie odzyskać dziewczynkę i na pewno wychodzili z założenia, że sprawę załatwi drobna przepychanka i parę niezbyt groźnych ciosów na oślep.

Juan Carlos wyprostował się na fotelu. Relacja Marisy z wydarzeń tego wieczoru wyraźnie rozbudziła w nim wściekłość, strach, nienawiść, a w końcu wdzięczność.

– Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczny za to, co zrobiłeś.

Najwyraźniej łączyły ich bliźniacze powiązania.

– Moja siostra uparła się samotnie wyjść na spacer. Nalegałem, żeby pozwoliła mi iść ze sobą. – Urwał i westchnął głośno, jakby chciał dać do zrozumienia, iż bierze na

siebie całą winę za niepowodzenie tamtej perswazji. – Wiadomo już, kto chciał napaść na Marisę?

– Nie mamy pojęcia – odparł Calvino, chcąc zachować pozory sprawy najprostszej z możliwych.

– Handlarze żywym towarem – wyjaśniła Marisa. Juan Carlos wychylił się jeszcze bardziej i uściskał siostrę w ramionach.

– Powinienem być przy tobie – rzekł.

Calvino nie miał nic przeciwko niemu, ale zdał sobie sprawę, że gdyby to Juan Carlos był na jego miejscu w barze i postanowił przeciwstawić się Tajom w obronie czci siostry, efekt byłby jeszcze gorszy od tego, co można było sobie wyobrazić, i to dla wszystkich.

– Na szczęście nikt nie ucierpiał – powiedziała Marisa, rozkładając szeroko ramiona na oparciu sofy, mimo że siedziała z nogą założoną na nogę.

– Nie licząc mojego przyjaciela, któremu jeden z gangsterów rozciął nożem rękę – wtrącił Calvino, pamiętając, że McPhail trafił do szpitala.

– Mam nadzieję, że ta rana szybko mu się zablizni – odrzekła Marisa, ściskając jego dłoń.

– Pozwólcie, że przygotuję wam drinka – rzucił Juan Carlos, wstając i ruszając w stronę barku.

– Ja poproszę szkocką – odparł Calvino.

– Słodową – dodała Marisa, uśmiechając się do niego szeroko.

Juan Carlos wyjął butelkę osiemnastoletniej słodowej whiskey i nalał do szklaneczki do pełna, jakby uważał, że człowieka, który ocalił życie jego siostrze, trzeba ugościć jak najlepiej.

Późnym popołudniem, kiedy Marisa już wyszła, Juan Carlos zgodził się wyruszyć na miasto w towarzystwie przyjaciela będącego w Bangkoku przejazdem, dziennikarza z Madrytu. Arnaldo zadzwonił do niego z hotelu Dusit Thani Hotel, znajdującego się niedaleko ich domu.

– Arnaldo był dzisiaj w nadzwyczaj doskonałym nastroju – rzekł Juan Carlos, chyba już całkiem wyluzowany, traktujący Calvina jak serdecznego przyjaciela z dzieciństwa. – Powiedział mi: „Juanie Carlosie, dla każdego mężczyzny liczą się tylko trzy najważniejsze rzeczy”. Zapytałem wtedy: „Tylko trzy?”. A on przytaknął i wyjaśnił: „Zgadza się, tylko trzy: dobrze przyrządzone mięso, piłka nożna i kobiety”.

– Opowiedziałam Vincentowi, co zdarzyło się tamtego dnia na plaży w Gijón – wtrąciła Marisa, kiedy Juan Carlos wręczał Calvinowi szklaneczkę ze szkocką whiskey.

Uśmiech błyskawicznie zniknął z jego twarzy, ledwie spojrzał na siostrę.

– Może i ty masz ochotę na drinka? – zapytał.

– Juan Carlos uważa, że powinnam zapomnieć o tamtych wydarzeniach.

– To nieprawda, Mariso – odparł szybko znad otwartych drzwiczek barku w drugim końcu obszernego salonu. – Zapomnieć się nie da. Ale powracanie do tego w towarzystwie nieznajomej osoby na pewno nie wpłynie pozytywnie na twoje zdrowie psychiczne.

– Vinny nie jest nieznajomym – powiedziała.

Miał ochotę przejść na kataloński i zapytać ją, jak człowieka, którego ledwie poznała na ulicy, nawet jeśli uratował jej życie, może traktować jak znajomego. Kataloński był ich prywatnym, wręcz tajemnym językiem, którym porozumiewali się głównie z rodzicami, lecz również wtedy, gdy ich zdaniem nikt z obecnych w najbliższym otoczeniu nie mógł go zrozumieć. Nie zaprzeczał, że ma do czynienia z uprzejmym, dobrze wychowanym i godnym szacunku człowiekiem, ale nie mógł też zapomnieć, że mimo wszystko jest to obcy.

– Dobrze przyrządzone mięso, piłka nożna i kobiety? – zagadnął niespodziewanie Calvino.

Mimo woli uśmiech powrócił na wargi Juana Carlosa.

– To trzy największe świętości według Arnalda, chociaż jego zdaniem pasują do wszystkich mężczyzn. A ty jak sądzisz, Vinny?

Calvino poprawił się nerwowo na sofie, trącając kolanami nogi Marisy.

– Powiedziałbym, że dwie pierwsze rzeczy są opcjonalne. Ale nie jestem Hiszpanem. W moich żyłach płynie włoska krew przemieszana z żydowską.

Juan Carlos zaśmiał się krótko.

– Podobasz mi się – rzucił, unosząc kieliszek z czerwonym winem w kierunku siostry. – Vinny ma znakomite poczucie humoru.

Siedział o jakiś metr od sofy, więc jakby w strefie odgraniczonej od siostry i Calvina. Wcześniej podał Marisie kieliszek z czerwonym winem. Calvino, trzymając swoją szklaneczkę szkockiej oburącz, zastanawiał się, jak tu odzyskać swoją uprząż z kaburą oraz marynarkę, i jeszcze do tego z godnością wyjść z ich domu.

– Z raportu prokuratury wynika, że człowiek zastrzelony na plaży w Gijón był znanym baronem gangu narkotykowego – powiedziała Marisa, pociągnąwszy łyżeczek wina. – Zdaniem władz było to zleczone zabójstwo. Prawdopodobnie zabili go Amerykanie, ale nie da się też wykluczyć Kolumbijczyków próbujących przejąć władzę nad kartelem.

Popatrzyła na Juana Carlosa, który od dobrej minuty milczał jak zakłęty. W opisie wygląda to na krótką chwilę, ale w rzeczywistości taka minuta ciągnie się prawie w nieskończoność.

– Muszę już wracać – rzekł Calvino, spoglądając Marisie prosto w oczy. A kiedy musnął wargami wierzch jej dłoni, o mało nie wylała wina z trzymanego w ręku kieliszka. – Przepraszam, to było niezręczne z mojej strony.

– Zostaw mi swoją wizytówkę – rzekł Juan Carlos. – Chcę cię zaprosić na swoje wesele.

Skąpy uśmiech Calvina przeszedł w wyraz osłupienia.

– Wesele?

– Mariso, nie mówiłaś swojemu przyjacielowi o zbliżającym się moim weselu?

Dziewczyna nerwowo uniosła kieliszek do ust i jednym haustem dopiła wino.

– Juan Carlos w przyszłym miesiącu się żeni.

– Moje gratulacje – rzucił Calvino, wyciągając do niego rękę. Ale przez moment odniósł wrażenie, że Juan Carlos chce go ucałować w policzki.

– Moja siostra bardzo się stara pogodzić ze świadomością, że jej brat niedługo zyska żonę – odparł, serdecznie ściskając dłoń detektywa.

– To nieprawda – zaoponowała Marisa.

Calvino usiadł z powrotem między nimi. Miał straszną ochotę zabrać swoją sportową marynarkę, uprząż z kaburą oraz skarpetki i wrócić taksówką na Sukhumvit Road. Ale Marisa szybko uściśnęła mu rękę.

– Ojciec panny młodej startuje w wyborach do parlamentu, a nigdy nie słyszałam, by miał wsparcie jakiejś partii politycznej. Rozumiem jednak, że chce wykorzystać wielką szansę wygrania wyborów w swoim okręgu. No i ma rozległe plany w stosunku do Juana Carlosa. Chce go wynieść na stanowisko zarządcy rodzinnego imperium oraz doradcy w imperium politycznym. Tak więc trudno mi się pogodzić nie z tym, że Juan Carlos będzie żonaty, ale z tym, że bez reszty pochłonie go biznes, który zamierza pożreć go żywcem. A ten biznes nazywa się Somporn.

– Somporn? – powtórzył zdziwiony Calvino, odchylając głowę na oparcie sofy.

– Słyszałeś o nim? – zapytała Marisa. – Nigdzie w prasie nie widziałam jego nazwiska. Mam wrażenie, że jesteś pierwszym człowiekiem z zagranicy, który go zna.

– To nie fair – rzekł Juan Carlos, uśmiechając się znowu.

– Co jest nie fair? – zapytała jego siostra.

Ta wymiana krótkich zdań sprawiła, że Calvino poczuł się jak widz na meczu tenisowym.

– Bo ludzie z zagranicy nie głosują. Somporn nie troszczy się o to, by obcokrajowcy znali jego nazwisko. Dla niego to bez znaczenia.

– Ale chce być ministrem spraw zagranicznych, prawda? Więc chyba byłoby dobrze, gdyby obcokrajowcy jednak go znali.

– Co o tym sądzisz, Vinny? – zwrócił się do niego Juan Carlos.

Calvino zwrócił uwagę, że atmosfera między rodzeństwem się zaogniła, chociaż nie widział ku temu powodu. Był w salonie fryzjerskim, gdzie gra w madżonga stanowiła przykrywkę dla operacji przekupywania wyborców. Śledził kochankę Somporna, która spotykała się też z gitarzystą o imieniu Nop, nazywanym też

„Kulką”, a którego on nazywał „Ptasznikiem”. Tenże „Ptasznik” był w hotelu, w którym *ying* o imieniu Nongluck spadła z balkonu. Jak dotąd słyszał o Sompornie dużo więcej, niż w ogóle chciałby słyszeć.

– Polityka przyprawia mnie o zgaę. – Spojrzał na Marisę i ruchem głowy wskazał sypialnię. – A politycy mnie nudzą. Was nie?

Calvino dostrzegł czerwoną plamkę na czole Juana Carlosa. Instynktownie poderwał się i błyskawicznie ściągnął go z fotela, aż tamten z hukiem grzmotnął pośladkami o podłogę. Widząc to zamieszanie, Fon weszła do pokoju. W ręku trzymała laserową latareczkę.

– Co się dzieje? – zdumiała się Marisa. Calvino popatrzył na dziewczynkę.

– Nic. Zobaczyłem czerwoną plamkę na czole twojego brata, ale to tylko promyk z dziecięcej zabawki – odparł.

Ruchem ręki przywołał Fon do siebie. Podeszła cichutko, jakby się skradała, i stanęła metr od niego.

– Pokaż, co masz w ręku.

Mała rozprostowała palce i wyciągnęła rączkę z latarką w jego kierunku.

– To dla ciebie – powiedziała.

Nie miała nic innego, co mogłaby mu dać w prezencie. Popatrzył na zabawkę, uśmiechnął się i wziął ją od niej. Nakierował latarkę na ścianę i nacisnął guzik. Pojawiła się tam maleńka czerwona plamka. Przesunął promyk i nakierował go na butelkę słodowej whiskey stojącą na barku.

– Dobra do zamawiania drinków – powiedział.

– Mnie dawała bezpieczeństwo – rzekła Fon. Detektyw przekrzywił głowę na ramię i zapytał:

– W jaki sposób dawała ci bezpieczeństwo?

– Jak miałam jakieś kłopoty, włączałam ją i zaraz zjawiał się ktoś, żeby mi pomóc.

– Więc teraz nie będzie ci już potrzebna. Dziewczynka zawahała się, zerknęła na Marisę i z powrotem wbiła wzrok w niego.

– Możliwe.

Marisa pochyliła się, objęła ją, przytuliła do siebie i pocałowała w czoło, po czym wstała i poprowadziła małą z powrotem do sypialni gościnnej. Calvino utkwiał spojrzenie w latarce, ponownie ją uruchomił i nakierował na butelkę.

– Chętnie bym sobie dolał tej szkockiej, ale muszę zrezygnować. Nic ci się nie stało, Juan?

Hiszpan uśmiechnął się i skinął głową.

– Nie, nic.

Kiedy Marisa wróciła do pokoju, Calvino wstał z sofy, dopił resztkę szkockiej ze swojej szklaneczki i poszedł do jej sypialni. Zapiął z powrotem uprząż z bronią

w kaburze i włożył marynarkę. Kiedy wrócił do salonu, rodzeństwo, najwyraźniej usztywnione, popatrzyło na niego, jak gdyby zdumione jego chwilowym zniknięciem.

Nie pozostało mu nic innego, jak przytoczyć zdanie, które – co wiedział z doświadczenia – zawsze umożliwiało mu natychmiastowe wyjście:

– Mam jeszcze dzisiaj pewną pracę do skończenia, więc będę już leciał.

Został zasypany kilkoma pożegnaniami w językach, których nie znał. To znaczy, zakładał tylko, że są to pożegnania, gdyż biorąc pod uwagę jeszcze niezbyt późną porę, mogły to być ostrzeżenia w rodzaju: „Uważaj na siebie, do dna jeszcze daleka droga”.

Casey złożył z powrotem wezwanie i wsunął je do kieszeni. Znalazł je na swoim biurku, kiedy przyszedł do pracy. Ilekroć przychodziły takie wezwania adresowane do niego, odruchowo zaciskał pięści i zaczynał krążyć nerwowo po gabinecie. Zadzwoił do kierownictwa firmy i usłyszał, że ma się niczym nie przejmować, bo to formalność. Ale dla niego konieczność wbicia się w garnitur z krawatem, wkroczenia do siedziby Senatu w budynku Russella w Waszyngtonie i stanięcia przed parlamentarną podkomisją do spraw wywiadu wojskowego nie była formalnością. Komisja prowadziła przesłuchania dotyczące roli prywatnych zleceniobiorców w aferze tajnych więzień CIA i była zwyczajnie ogarnięta żądzą krwi. Szef zapewnił go, że na poziomie firmy może liczyć na jego pełne poparcie. I obiecał, że u jego boku wystąpi jeden z najlepszych adwokatów w stolicy.

Casey dobrze znał tę grę. Mówiono mu dokładnie to, co chciał usłyszeć, ponieważ oczekiwano od niego pełnej współpracy. A najbardziej wściekał się z tego powodu, że stosowano wobec niego te same klasyczne techniki przesłuchań, które on stosował wobec terrorystów, zanim kazał im się rozbierać i na różne sposoby zadawał ból, by wydobyć z nich żądane informacje. Zdecydowanie bardziej wolałby usłyszeć, że nie musi zeznawać, bo przecież wykonywał tylko swoje zadania.

Było jednak inaczej, miał niespełna tydzień na to, żeby wyruszyć do Waszyngtonu i stanąć przed komisją. Przeczuwał, że LRAS chce się od niego odciąć. Odbierał to jak mężczyzna, który wyczuwa subtelne różnice w zachowaniu żony wcielającej w życie plan odejścia od niego.

Służba Oceny Ryzyka Logistycznego okazała się tak samo zimnokrwista jak każdy inny prywatny zleceniobiorca. Reakcja jego przełożonych nie miała nic wspólnego z układami personalnymi, lecz skoro miał zeznawać ktoś z poziomu operacyjnego, należało się od niego odciąć i przygotować się na wszelkie możliwe konsekwencje tych zeznań. Stało się to oczywiste, kiedy dyrektor finansowy przedstawił mu szczegóły prawnego pełnomocnictwa: miał się nim zająć

dwudziestosześcioletni gówniarz zaraz po studiach, którego jedyną dotychczasową praktyką był staż w Białym Domu. Ale ponoć jego polityczne koneksje miały pomóc Caseyowi w zawarciu ugody. Szybko dowiedział się od Watersa, że plotka poszła po korytarzach. „Lepiej się przygotuj i atakuj pierwszy”, powiedział tamten. Już kilka miesięcy wcześniej informował o rozpoczynającym się dochodzeniu i radził znaleźć sobie dobrą przykrywkę. Ostatecznie w tym zakresie Casey miał wieloletnie doświadczenie. Nie chciał stawać przed komisją w Waszyngtonie i zeznawać na temat działań w Bagdadzie i Bangkoku. Chciał jeszcze tylko zakończyć parę spraw i zniknąć bez śladu, co w końcu było jego specjalnością. Bo przecież został tak wyszkolony, żeby w terenie podejmować niezależne decyzje, sięgać po takie środki, jakie były niezbędne do wykonania zadania.

Nigdy nie zapomniał, jak został wyszkolony. Dlatego już zawczasu kupił sobie bilet. I nie był to bilet do Waszyngtonu.

Wmaszerował do biura Calvina ze sztucznym uśmiechem na ustach i pacynką na dłoni przedstawiającą pieska z długimi uszami. Stał wyprężony na baczność przed biurkiem sekretarki i zaszczekał, powoli wysuwając zza pleców dziecięcą zabawkę. Ale Ratana tylko odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i powstrzymując się od komentarza na temat jego niezapowiedzianej wizyty, obrzuciła go ostrym wzrokiem, jakby próbowała odgadnąć, co będzie dalej.

– No, przywitaj się z Rossem – rzucił, podtykając jej pacynkę pod nos.

– Rossem?

– Zapożyczyłem to imię od kogoś, kto pracuje w mojej firmie – wyjaśnił, nawiązując do nazwiska prezesa spółki. – Tak więc Ross i mister Casey chcieliby się zobaczyć z panem Calvino. – Ściągnął pacynkę z ręki i położył ją na biurku. – A może powinienem zrobić mu niespodziankę? Tak chyba będzie lepiej. – Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

Prześlizgnął się obok niej, jakby nie istniała, i wkroczył do gabinetu detektywa. Calvino powiedział mu przez telefon, że ma gotowy raport na temat Kocicy, ale chce mu go wręczyć osobiście. Spodziewał się jednak, że Casey będzie jak zwykle naładowany w swoim stylu, a więc agresywny, pewny siebie, gotów wyszukać najmniejszą lukę w liniach obrony, żeby natychmiast właśnie tam uderzyć. Martwiło go, że tamten zbierał także informacje na temat pułkownika Pratta. Dlatego zdecydował się wręczyć mu raport i raz na zawsze wyeliminować Caseya ze swojego życia.

Żaluzje w oknie były częściowo otwarte, przez szpary widać było neon znajdujący się po drugiej stronie ulicy salonu Klaszczącej Jednej Ręki, który za dnia wyglądał jak martwa, wyciągnięta ku górze dłoń. Casey zerknął na niego tylko przelotnie, po czym zapatrzył się na gospodarza, bo to, co było na zewnątrz, mało go interesowało.

– Znasz bardzo wiele osobistych szczegółów dotyczących pułkownika Pratta. I nie przesadzę, jeśli powiem, że równie dużo wiesz na temat Kocicy – zaczął Calvino. – Ale do tej pory udawałeś, że nic nie wiesz. I jeszcze lepiej udawałeś, że potrzebne ci moje usługi w celu zdobycia informacji, które już posiadałeś. Mógłbyś wyjaśnić, dlaczego zadałeś sobie aż tyle trudu?

Casey podniósł rękę, żeby go uciszyć, jakby się obawiał tego, co może paść w dalszej kolejności. Calvino odprowadzał uważnym wzrokiem klienta, który ruszył wzdłuż ściany, przyglądając się wiszącym na niej obrazom. Był doświadczonym śledczym, specjalistą od przesłuchań, więc z natury rzeczy zawsze szukał punktu zwrotnego w rozmowie, a kiedy go znalazł, potrafił bez trudu wykorzystać go na swoją korzyść, to znaczy wytrącić przeciwnika z równowagi, upokorzyć go, przyprawić o zawrót głowy.

– W światku wywiadowczym wszystkie dane powinny być zweryfikowane na podstawie informacji pochodzących z niezależnych źródeł, Calvino. To jasne, że sporo o niej wiem. Tylko jakie to ma znaczenie? – Przeszedł metr dalej, odwrócił się i groźnie mrużąc oczy, syknął przez zaciśnięte zęby: – Znaczenie masz ty. Bo kimże jest Vincent Calvino? Oto zasadnicze pytanie. Przyglądam się tym obrazkom na ścianie, ale nie widzę wśród nich oprawionego dyplomu z zakresu prawa karnego. Prawdziwy detektyw powiesiłby go na ścianie, żeby móc się chwalić solidnym przygotowaniem do wykonywania tej pracy. Tak samo nie ma tu licencji. Czy masz cokolwiek, co mogłoby zaświadczyć, że choćby w najmniejszym stopniu spełniasz wymagane kryteria albo że zdałeś jakieś egzaminy? Niespecjalnie. Nie ma tu nawet oprawionego certyfikatu z jakiegoś niszowego stowarzyszenia, świadczącego, że zdobyłeś uprawnienia do oferowania swoich usług. Sądząc po tym, co widać, jesteś samozwańczym detektywem prowadzącym samozwańczą agencję. Bierzesz forszę i starasz się robić dobre wrażenie. Dowiedziałem się jednak o twoich powiązaniach w tutejszej policji. W takich wypadkach można śmiało zapomnieć o dyplomach i licencjach. Oto człowiek, który ma odpowiednie kontakty na poziomie ulicy, jaki obsługuje. Więc już wiesz, dlaczego cię nająłem. Poza tym głównie mnie obchodzi, kim jesteś.

Calvino pochylił się nad biurkiem, aż policyjny rewolwer w kaburze podramiennej zawisł w powietrzu. Jego sportowa marynarka wisiała na wieszaku stojącym przy biurku. Popatrzył ze swojego miejsca na Caseya, próbując go sobie wyobrazić w pokoju przesłuchań, przed człowiekiem związanym, zakrwawionym, mamroczącym od rzeczy, gotowym się przyznać do wszystkiego, byle uniknąć dalszych cierpień.

– A ja słyszałem, że udzielasz się... w bolesnym interesie. Nie podoba mi się współpraca z kimś takim.

Casey gwałtownie odwrócił głowę, aż coś mu chrupnęło w szyjnym odcinku

kręgosłupa.

– Gdyby człowiek miał pracować tylko z tymi, którzy mu się podobają, nie uzbierałby na emeryturę. – Uśmiechnął się, jak gdyby ów gwałtowny ruch głową uwolnił go od czegoś gorszego. – Właśnie dlatego zlecam część zadań takim jak ty. Nigdy nie byłem miłośnikiem oceniania ludzi na podstawie tego, co mają w papierach. Dla mnie liczą się przede wszystkim ich umiejętności w konkretnych działaniach. Więc jeśli dobrze to rozegrasz, mogę ci podrzucić dużo więcej, o ile będziesz jeszcze zainteresowany.

Calvino zgromadził już swoją dolę kontaktów z różnymi oszustami, kanciarzami i naciągaczami działającymi w Bangkoku, ludźmi pozostającymi zawsze o krok od odegrania najważniejszej roli w swoim życiu, niemniej zapraszającymi do kina każdego chętnego, aby ich podziwiać. Frajerzy zawałali przedstawienia tyle razy, że Calvino już stracił rachubę. Spostrzegł jednak za maską Casey'a, za całą jego dopracowaną charakterystyką, przeblask prawdy o tym, iż wiedział, że Somporn nie pojawi się na swoje cotygodniowe spotkanie z Kocicą. W przeciwnym razie Amerykanin natychmiast wyłączyłby go ze sprawy. Dlaczego więc zadał sobie trud, by jeszcze przedłużyć kontrakt z detektywem, jeśli wierzył, że on nie nadaje się do tej roboty?

– Co takiego odkryłeś w sprawie Kocicy, że nie zdecydowałeś się powiedzieć mi o tym przez telefon?

– To, że opiekuje się swoimi siostrzeńcami i finansuje ich naukę w szkole międzynarodowej.

– A jej siostra zniknęła ze sceny, zgadza się? Calvino miał wielką ochotę wskoczyć na biurko, złapać Casey'a za kark i potrząsnąć nim tak, że aż się zrobi siny na gębie.

– Jej siostra nie żyje.

– Siostry, bracia, żywi czy martwi, nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko znać harmonogram jej spotkań z Sompornem, mieć pewność, że on widuje się z nią regularnie.

Cóż takiego mogło rozgorzeć w sercu Casey'a we wczesnej młodości, co szybko przekształciło się w kamień? – pomyślał detektyw. Władczy ojciec, obojętna na wszystko matka, wujek albo sąsiad, który pastwił się nad nim i wymierzał surowe kary za najdrobniejsze przewinienie czy złamanie głupiej reguły? W wypadku takich ludzi jak on mogło to być cokolwiek, nie wyłączając nawet tego, że już przyszedł na świat bez serca. A może była to tylko kolejna sprytna zagrywka?

Wrócił myślami do starszych pań grających w madżonga w salonie fryzjerskim i obracających sporą gotówką, co podsunęło mu myśl, że Kocica musiała znać Nongluck. Kiedy więc teraz spoglądał na Casey'a, zastanawiał się mimowolnie, czy on coś wie na temat miłosnego trójkąta.

– Kocica wiedziała, że Nongluck spotyka się z Sompornem. Doskonale się dla niej złożyło, że Nongluck zginęła w Pattai. Ktoś zrzucił ją z hotelowego balkonu. Takie rzeczy każą się człowiekowi zastanowić, co by było, gdyby.

Lekkie drgnięcie górnej wargi Caseya wyglądało jak zarodek grymasu wściekłości, zaraz jednak zniknęło, co miało oznaczać powrót do pełnego panowania nad sobą.

– Gdyby co? Nie widzę żadnego związku.

– Somporn to bardzo aktywny mężczyzna. Ma Kocicę, ale zapragnął jeszcze Nongluck. Tymczasem kobiety są z natury rzeczy monopolistkami. Nie cierpią konkurencji.

– Zdaje się, że odszedłeś daleko od sedna rzeczy, za którą ci płacę. Mnie interesuje wyłącznie Kocica i termin jej spotkań z Sompornem.

– Myślałem, że śmierć Nongluck jednak cię zainteresuje. Jeśli twoim celem jest dobrać się do Somporna, mógłbyś go zrobić w zabójstwo. Na pewno pogmatwałbyś mu życiowe plany.

Casey uśmiechnął się.

– Podoba mi się ta sugestia. Jest naprawdę ciekawa, Calvino. Bardzo dobra.

Detektyw odniósł wrażenie, że komplement jest fałszywy, a Casey tylko się z nim drażni. Wstał z biurka i przeszedł przez pokój. Otworzył szafkę na akta i wyjął z niej teczkę. Wrócił do biurka, usiadł z powrotem i otworzył ją. Wewnątrz znajdowały się wycinki prasowe dotyczące śmierci Nongluck oraz wcześniejsze, na temat morderstwa syna Caseya, Joela. Zdjęcie zamieszczone w jednym z nich przedstawiało właśnie tego młodzieńca, zdecydowanie mniej przystojnego niż jego ojciec. Wyjął je i położył na biurku.

– Osobiście uważam, że wcale nie zamierzasz w nic wrabiać Somporna. Planujesz go zabić.

Casey zaśmiał się w głos, lecz jednocześnie zacisnął pięści.

– Jeśli coś się przydarzy Sompornowi, będę wśród pierwszych wezwanych na przesłuchanie. A wszyscy wiedzą, gdzie mieszkam.

– On zabił twojego syna. To oczywiste, że warto podjąć pewne ryzyko, by wyrównać rachunki.

Casey nawet nie mrugnął. W ciągu tych lat, jakie minęły od śmierci jego syna, mógł znaleźć wiele okazji do zabicia Somporna. Jednak tego nie zrobił. Dlaczego? Calvino przyglądał mu się uważnie, czekając na odpowiedź. Przypomniała mu się stara chińska sentencja, która mówiła, że mądry człowiek zawsze czeka, aż opadnie kurz i ostygną emocje, dopiero wtedy przystępuje do zemsty.

– Jest wiele sposobów na zniszczenie człowieka – odparł Casey. – Można go zrujnować metodami przynoszącymi dużo więcej bólu niż śmierć. Somporn startuje w wyborach parlamentarnych. Twój pomysł na wplątanie go w morderstwo w Pattai

jest bardzo dobry. Chciałbym, żebyś się tym zajął.

Uśmiechnął się i oderwał wreszcie wzrok od zdjęcia zabitego syna. Widział mnóstwo fotografii ukazujących twarze udreńczonych ludzi, którzy byli torturowani. Sam zrobił ich sporo. Ale oto miał przed sobą zdjęcie syna i nie potrafił na nie patrzeć z zawodową obojętnością. Zresztą tę samą fotografię widział tak wiele razy, że nosił ją wrytą głęboko w pamięć.

– Nie chcę już dłużej wykonywać dla ciebie żadnych zleceń – powiedział Calvino.

– Teraz zaczynasz mnie wkurzać. Dobrze ci radzę, żebyś tego nie robił.

– Tu masz swój raport o Kocicy. Wyciągnął nad biurkiem szarą kopertę.

– Pożalujesz tego – warknął Casey.

– Żałować mogę tylko, że nie zdecydowałem się wcześniej.

– Mam nadzieję, że wystarczy ci oleju w głowie... i tak samo wystarczy go twojemu przyjacielowi pułkownikowi, żebyście trzymali się z dala od spraw, które was nie dotyczą.

Casey miał przedziwną umiejętność rozpalania w sobie białego żaru i błyskawicznego duszenia go tuż przed samym wybuchem. Sygnalizując odzyskanie panowania nad sobą ironicznym uśmiechem, pokręcił głową, włożył na nos swoje wielkie ciemne okulary, oblizał wargi i głośno westchnął.

– Chyba wszyscy powinniśmy się cofnąć o parę kroków, zostawić sobie nawzajem więcej przestrzeni. W każdym razie wycofaj się razem z pułkownikiem do swojego narożnika, gdyż moja walka nie ma nic wspólnego z tobą. I nie włączaj się do tej walki, dopóki nie będziesz musiał. Dobrze ci radzę.

Zanim Calvino wrócił do biura, zajrzał tu pułkownik Pratt i pokazał Ratanie taki sam zestaw kart, jaki znaleźli w pokoju hotelowym Nongluck w Pattai. Zapytał, czy ma jakieś zdanie na ich temat. Huśtając na kolanach jej małego synka, uszczęśliwił go kolejną pacynką przedstawiającą pingwina z wielkimi czarnymi ślepkami, którą znalazł w dziale zabawkarskim Emporium. Zatem miał prezent dla dziecka i pytanie dla matki, przez co stosował się do typowo tajskiego sposobu załatwiania spraw: uroczego, nieformalnego i kulturalnego.

Ratana zamyśliła się, patrząc na karty.

– Ona była hazardzistką? – zapytała.

Kobiety uzależnione od hazardu czasami zaciągały ogromne długi u niewłaściwych ludzi, właśnie z gatunku tych, którzy ostatecznie mogli zrzucić niewypłacalną dłużniczkę z balkonu na ulicę.

– Tak samo były zebrane razem recepturką. – Wcześniej ułożył je w identycznym porządku jak tamte. – Tak dokładnie wyglądał ten zestaw, gdy policja z Pattai go znalazła.

– I to są karty Nongluck? Pułkownik pokręcił głową.

– Nie, te sam kupiłem, ale są identyczne jak tamte, znalezione w jej torebce.

Zastanawiałem się, dlaczego nosiła przy sobie tylko tych osiem kart. Chyba że grywała w pokera, a to jest cała pula, z którą przegrała ostatnie rozdanie.

Ratana zsunęła recepturkę, odwróciła pierwszą kartę i popatrzyła na asa kierowego. Następna była ósemka karo, potem szóstka trefl i szóstka pik. Ostatnimi czterema były królowa kier, szóstka kier, piątka kier i wreszcie dziewiątka pik.

– To prawda, z takimi kartami nie mogła wygrać. Ale nie znam żadnej odmiany pokera, w której rozdawałoby się po osiem kart.

Pułkownik przytaknął ruchem głowy, powoli przesuując szmacianego pingwinka przed buzią malucha.

– Widocznie musiała to być inna gra.

– Nie znaleźliście reszty talii? – zapytała Ratana.

– Nigdzie nie wypłynęła. – Pułkownik wstał, podszedł do kojca, ułożył w nim niemowlę i obok położył pacynkę. Malec natychmiast zaczął kwilić i popiskiwać. – Powiedz Vincentowi, że byłem. To nic pilnego. Chciałem tylko zamienić kilka słów i sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku.

– Powiem mu też o kartach. Może on coś wykombinuje. Farangi dużo lepiej znają się na kartach – powiedziała.

Jej dziecko było półkrwi farangiem, lecz nawet to nie miało wpływu na jej przekonanie, że są rzeczy, na których farangi znają się lepiej od Tajów i odwrotnie.

Pratt ledwie się powstrzymał, żeby nie przypomnieć jej, że pod czaszką surowy materiał jest dokładnie taki sam, że nie istnieją mózgi farangowskie ani tajskie, tylko umysł człowieka, który chłonie informacje napływające z jego otoczenia. Takie choćby jak pacynka przedstawiająca pingwina.

– Zatrzymaj karty, i tak znam na pamięć ich układ. I możesz je pokazać Vincentowi.

Zanim Calvino wrócił z salonu fryzjerskiego, Ratana poświęciła sporo czasu na przyglądanie się kartom, jakby liczyła na to, że do niej przemówią. Nie mogła się opędzić od myśli, że tylko mężczyzna, który znajduje w damskiej torebce osiem ściśniętych gumką kart, jest zdolny pomyśleć, że kobieta nie grała całą talią. Ale zarazem mężczyzna zaczyna się zastanawiać, gdzie podziała się reszta talii. Natomiast kobieta przyjmuje z założenia, że talia kart nie musi być kompletna, że tych osiem konkretnych może mieć jakieś znaczenie niezależne od gry w karty. Wkładała też na rękę pingwinka, kręciła jego łepkiem przed oczami synka, poruszała dzióbkiem i mówiła: „Śmieszny ze mnie ptak. Trochę czarny, trochę biały. Więc jestem jakby dwiema rzeczami. Ale przecież jestem jeden. Jestem ptakiem uwielbiającym wodę. I żyję w koloniach, jak gdyby w dużym kojcu dla pingwinów. Czasem bawimy się razem, czasem ze sobą walczymy. Ale nigdy nie grywamy w karty”. Obejrzała się na szereg ośmiu kart rozłożonych na brzegu biurka. Próbowwała odgadnąć tok myślenia Nongluck. O co jej chodziło?

Później zjawił się Casey i za cienką ścianką działową rozmawiał z jej szefem. Słyszała podniesione głosy. Porywczość i wybuchowość Amerykanina odbijała się echem w niewielkim biurze. I wtedy doznała olśnienia, uprzytomniła sobie, co Tajka mogłaby myśleć w chwili zagrożenia. Pragnęła znaleźć bezpieczną przystań, uzyskać pomoc kogoś, kto zapewni jej ochronę. Do kogo Nongluck mogłaby zadzwonić, gdyby poczuła, że jej życiu zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo? Jeszcze raz popatrzyła na karty, po czym w zamyśleniu wybrała na klawiaturze ciąg liczb układających się w numer 1-866-7659. Po chwili usłyszała dzwonek telefonu dolatujący zza ścianki działowej.

Po trzecim sygnale Casey wyjął aparat i spojrzał na ekran. Od razu rozpoznał numer rozmówcy.

Zawahał się, a krew odpłynęła mu z twarzy, wreszcie wcisnął klawisz zaniechania połączenia. Ale Ratana po raz drugi wybrała jego numer. Za trzecim razem, czując na sobie uważne spojrzenie detektywa, z miną dobermana osaczonego w rogu klatki odebrał połączenie.

– Czy mogę rozmawiać z Vincentem Calvino? – zapytała sekretarka.

Casey, jak dobrze wyszkolony żołnierz, podał aparat gospodarzowi.

– Vinny – odezwała się Ratana – nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym pokazała ci kilka kart do gry?

Calvino zapatrzył się na Caseya, który pocierał palcami swój trzydniowy zarost na brodzie z takim impetem, jakby desperacko próbował rozpalić ogień w czasie nawałnicy.

– Nie. Przynieś je tutaj.

– Co ty znowu kombinujesz, Calvino?

Ratana weszła do gabinetu i rozłożyła karty na biurku szefa.

– Khun Nongluck miała tych osiem kart w torebce tamtego wieczoru, kiedy zginęła. Policja je znalazła. Przyszło mi do głowy, że ich układ może oznaczać numer telefonu kogoś bliskiego, do kogo mogłaby zadzwonić w razie kłopotów.

– Mając taką sekretarkę jak Ratana, nie potrzebuję żadnych dyplomów – rzekł Calvino. – Czy mógłbyś wyjaśnić, jakim sposobem znała numer twojej komórki?

Casey pokręcił głową i głośno westchnął, a raczej parsknął jak koń wyścigowy, któremu dżokej na ostatniej prostej wbił pięty w boki.

– Zgadza się, Nongluck znała mój numer. Sam jej go dałem. Na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa.

– Zatem okłamałeś mnie, mówiąc, że jej nie znałeś.

– Związała się z moim synem. Przez jakiś czas mieszkali razem. Potem się rozstali, zeszli z powrotem, znowu rozstali. Nie mieszkała już z nim, kiedy został zamordowany. Ale to jej nie powstrzymało przed przyjściem na jego kremację. Zjawiła się z przyjacielem, stanęła z tyłu i płakała. Niewiele było osób, które uroniły

choć jedną łzę po śmierci Joela. To na mnie podziałało. Powiedziała, że naprawdę go kochała i chce, abym wiedział, że według niej był dobrym człowiekiem. Odparłem wtedy, że gdyby kiedykolwiek czegoś potrzebowała, może do mnie dzwonić pod ten numer. To numer prywatnej komórki. Mało kto go zna. Ale ona znała.

Casey mówił tak przekonująco, że trudno było mu nie wierzyć, chociaż wszystko skłaniało do wniosku, że taka postawa to jedynie efekt zawodowego doświadczenia.

– Więc twierdzisz, że mogła do ciebie zadzwonić, gdyby coś jej groziło?

– Dokładnie tak powiedziałem.

– Tyle że tamtego dnia, kiedy można by się spodziewać, że zadzwoni, jakoś nawet nie sięgnęła po telefon.

Tamten pokręcił głową.

– Jak już mówiłem, nie dzwoniła.

– I nie masz pojęcia, kto mógłby ją wykorzystać do tego, by zamieniono pokój w mojej rezerwacji na apartament? W dodatku nie pierwszy lepszy, tylko taki, którego balkon znajdował się dokładnie pod balkonem jej pokoju. Ktoś to musiał wcześniej zaplanować.

– Zapewne ktoś, kto cię ewidentnie nie lubi – odparł Casey. – Gdybym miał zgadywać, zebrałoby się dość długą listę takich ludzi. – Wstał z krzesła. – Masz rację. Nie powinniśmy więcej razem pracować.

– Mam przeczucie, że nigdy razem nie pracowaliśmy.

Tylko działania Nongluck stanowiły potwierdzenie relacji Caseya. Dziewczyna nosiła ze sobą osiem kart odpowiadających numerowi jego prywatnej komórki. Najwyraźniej musiała pokładać spore zaufanie, że ma do czynienia z kimś, na kim będzie mogła polegać, jeśli sprawy przybiorą dramatyczny obrót. Oczywiście zakładając, że zdążyłaby sięgnąć po telefon, zanim została zepchnięta za balkon. Sobie tylko znanym sposobem utrwaliła na czarnej godzinę numer Caseya, który obiecał przyjść jej z pomocą. Ale gdy nadeszła czarna godzina, on jej nie pomógł. Istniała jeszcze jedna możliwość, niemająca nic wspólnego z planem ratunkowym w sytuacji zagrożenia. Nongluck mogła zostawić te karty w pokoju hotelowym, żeby umożliwić identyfikację zabójcy.

28

Jarrett siedział przy karabinku, zaparty łokciami o stół, i wsłuchiwał się w słowa bluesowej piosenki o kobietach, pistoletach i Baton Rouge. Tracer stał oparty biodrem o krawędź stołu bilardowego, powoli przetaczał palcami bilę wzdłuż bandy, a gdy odbijała się i wracała do niego, popychał ją z powrotem. Kiedy on słuchał bluesa, mógł całymi godzinami trwać jakby w transie. Jarrett nie skarżył się już, że przedłuża się oczekiwanie na sposobność zakończenia zadania. Wyprawa na Soi Cowboy była błędem. Niepotrzebnie liczył na to, że wypiją w spokoju parę drinków, pooglądają *ying* tańczące na scenie i posłuchają bluesa. Nigdy nie lubił na próżno strzępić języka, nie mógł się też oprzeć pokusie dokładniejszej weryfikacji skutków swoich poczynań. Miał jednak wrażenie, że większość mężczyzn w pełni zrozumiałaby takie podejście.

Kiedy więc wybrali się we dwóch na ryby, odkryli ze zdumieniem, że sami połączyli haczyk. W Bangkoku takie sytuacje były groźne, ale zdać sobie sprawę z połączenia haczyka a dać się na nim wyciągnąć to dwie różne sprawy. Harry zawsze mu powtarzał, że najważniejsze decyzje w życiu dotyczą miejsc i sposobów włączenia się do gry bądź rezygnacji, czy dotyczy to związków z kobietami, gry w bilard czy organizowania zasadzki. Poza tym stawka nigdy nie była taka sama. Należało więc dobrze ją poznać przed podjęciem decyzji.

– Wybieraj bardzo uważnie, synu – mówił Harry. – W takiej służbie, jaką pełnisz, niewłaściwy wybór robi się tylko raz.

Jak w każdej grze gospodarze zawsze mieli jakieś fory. Ale na Soi Cowboy to klienci byli zdecydowanie uprzywilejowani. Było to jedno z niewielu miejsc na ziemi, gdzie nawet notoryczny seksualny nieudacznik nie mógł przegrać. Właśnie magia tego miejsca skłoniła ich, żeby tam zajrzeć. Jarrett znalazł wymówkę, by usprawiedliwić pomysł wyjścia, zapominając o naukach ojca, a Tracer po raz kolejny okazał się wiernym przyjacielem, ponieważ mu tego nie wytknął. Obaj równie dobrze wiedzieli, jak bardzo jest zdeterminowany, żeby jeszcze raz zobaczyć się z Wan, poza tym znudziła im się gra w bilard, więc Tracer nie miał nawet dobrego argumentu, by

mu wyperswadować ten pomysł. Nie traktowali tego jak zejścia z posterunku, ale jak drobną akcją odwracającą od nich uwagę, służącą rozprostowaniu nóg i umożliwieniu Alanowi wykonania ostatniego posunięcia w rozgrywce z córką pszczelarza.

– Wiem, że musiałeś się z nią zobaczyć – odezwał się Tracer, przerywając ciszę. Wziął ze stołu białą bilę, podrzucił ją wysoko za plecami, a po chwili złapał jedną ręką. – Więc trzeba było tam pójść.

– Jak to zrobiłeś?

Tamten wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Co zrobiłem?

– Złapałeś bilę spadającą ci za plecami.

– Mam oczy z tyłu głowy.

Jarrett uśmiechnął się, patrząc uważnie, jak partner powtarza sztuczkę.

– Rozstaw bile.

Tracer rzucił mu białą.

– Możesz zaczynać.

Nie było wątpliwości co do tego, że wyprawa do baru Rena o mało nie skończyła się wpadką, toteż Jarrett doceniał dyskrecję Tracera, który nie robił z tego wielkiego halo. Odepchnął się z krzesłem od stolika, podszedł do stołu bilardowego, sięgnął po swój kij i rozbił bile. Z wyraźnym zadowoleniem potarł kredą czubek kija.

– Człowieku, nie być hedonistą w Bangkoku to jak stronić od hazardu w Las Vegas – rzekł Tracer, obserwując, jak partner przymierza się do drugiego uderzenia. – Tu po prostu nie ma nic innego do roboty.

Była to jedna z mądrości Watersa, którą im wyjawiał tuż przed ich odlotem do Bangkoku.

Jarrett uśmiechnął się, posławszy żółtą jedynekę do narożnej łuzi, na co Tracer tylko wydał wargi, gwizdnął cicho i mruknął:

– Jak już idzie, to idzie.

– Myślisz, że ten facet, Somporn, jest tu kimś znanym? Bo ja o nim nigdy nie słyszałem.

– To, że o nim nie słyszałeś, nie wyczerpuje definicji bycia znanym w tym kraju. Prawdopodobnie jest mnóstwo znanych ludzi, o których nigdy nie słyszałeś. Tylko pomyśl.

– Właśnie myślę. I jestem przekonany, że nikt w Ameryce nigdy o nim nie słyszał. Dopóki ludzie z Fargo w Dakocie Północnej potrafią wymówić twoje nazwisko, na pewno nie jesteś nikim znanym, co najwyżej kiepską podróbką.

Tracer wycelował w czerwoną jedenastkę połówkę i wstrzelił ją do bocznej łuzi. Nie znał nikogo z Dakoty Północnej, przez co musiał się chwilę zastanowić, jacy ludzie mogą tam mieszkać, skoro mają być odpowiedzialni za szerzenie sławy. Obrócił w palcach kostkę niebieskiej kredy i pochwycił zaciekawione spojrzenie

Jarretta.

– Musimy się skupić na faktach i tak je ustawić, żeby sprawa podchodziła pod „odpłatę za Jacka”.

Tamten przytaknął ruchem głowy.

– Facet kazał zamordować syna Caseya. Zostawił całą masę dowodów prowadzących prosto do niego i co się stało? Władze uznały, że dowody są niewystarczające do wysunięcia oskarżenia. Idziesz tropem białych piór prowadzącym do psiej budy, zaglądasz do niej i widzisz starego łotra radosnego, jeszcze z piórami oblepiającymi mu pysk, a mimo to nie wierzysz, że stary Burek pożera ci kurczaki? W takim razie jakiś inny pies musiał się zakraść do kurnika. Trzeba być jednak znanym Burkiem, żeby mieć tego typu wpływy.

– Wystarczy forsa. Sława nie ma tu nic do rzeczy.

– Start w wyborach sporo kosztuje – rzucił Tracer. – Twoja kolej.

Jarrett uśmiechnął się, popatrzawszy na rozkład bil na suknie. Już jutro miała się nadarzyć okazja do tego najważniejszego strzału, który zakończy porachunki.

– Jesteś moim obserwatorem, więc jak sądzisz, mam szansę ustrzelić trójkę? – zapytał, wskazując kijem czerwoną bilę w pobliżu narożnej łuzy.

Tracer zmarszczył brwi, gdyż był to trudny strzał, z odbiciem o bandę.

– Jak tego dokonasz, będę cię namawiał do przejścia na zawodowstwo.

Jarrett wyciągnął się na brzegu stołu, stojąc tylko na jednej nodze, wypchnął kij daleko do tyłu, posłał białą bilę ukosem po suknie, a ta odbiła się, trafiła w trójkę i posłała ją w kierunku łuzy.

– Ładnie to zabrzmiało w twoich ustach.

Bila jednak zatrzymała się na krawędzi otworu.

– Jesteś półzawodowcem – rzekł Tracer.

Nadeszła jego kolej, on jednak popatrzył w drugi koniec pokoju, na drzwi balkonowe.

– Co? Nie chcesz już grać?

Tamten wzruszył ramionami i odstawił kij. Rozzłościło go, że Jarrett nie wbił bili, nie mógł się pogodzić z myślą o chybionym uderzeniu, nawet tak trudnym, o bandę. Poczul się urażony.

– Muszę wyjść na powietrze, to wszystko.

Odsunął drzwi i wyszedł na balkon. Zacerpnął kilka głębszych oddechów. Nie ma nic lepszego jak świeże powietrze, utwierdził się w myślach. Dumnie wypiął pierś do przodu, jakby chciał odzyskać dawną atletyczną sylwetkę zawodowego futbolisty.

Stanął tuż przy poręczy i muskając palcami swój woreczek *mojo*, zapatrzył się na budynek naprzeciwko. Siła nie zależała tylko od tego, czy było się uzbrojonym albo dysponowało mocnym ciosem. Były jeszcze siły niewidzialne. Duchy też miały coś do powiedzenia. Kiedyś pewien generał wydał rozkaz, aby wszyscy jego żołnierze

stacjonujący w południowej Tajlandii nosili amulety. Jego zdaniem miały się sprawdzić lepiej niż kamizelki kuloodporne. Wszyscy się wtedy z niego śmiali. Tylko nie Tracer, który świetnie rozumiał spojrzenie tego generała na sprawy życia i śmierci. W końcu życie w Luizjanie aż tak bardzo nie różniło się od życia w Tajlandii. Człowiek kontrolujący niewidzialne siły mógł powstrzymać ludzi przed piciem wody i przyjmowaniem pokarmów, przed ubieraniem się i układaniem do snu. Mógł w ten sposób przejąć władzę nad każdym, gdyby tylko mu na tym zależało. W tym celu wystarczyło jedynie znaleźć swoje *mojo*. Siła w gruncie rzeczy oznaczała sposób na uzyskanie dostępu do tego wszystkiego, co człowiekowi potrzebne do życia. Jeśli ktoś dysponował taką siłą i chciał cokolwiek od ciebie, człowiekowi pozostawały tylko dwa wyjścia: podporządkować się albo umrzeć.

Jarrett, z kijem bilardowym w ręku, podszedł do drzwi balkonowych.

– Nie bój się, jutro nie chybię. To naprawdę prosty strzał.

– Wiem i nie boję się.

Tracer powiódł wzrokiem po okolicznych budynkach, zachodząc w głowę, czy któreś z tysięcy oczu mieszkających tu ludzi zdążyły już go zauważyć. Wychodzenie na balkon na pewno nie było dobrym pomysłem. Wcisnął więc głowę w ramiona i dał nura z powrotem do mieszkania, po czym zaciągnął zasłony. Stał przy stole bilardowym, żeby podjąć przerwana grę.

– Casey miał spore kłopoty w jednym z bagdadzkich więzień – powiedział. – Któryś z tych zasranych wieśniackich terrorystów przekreślił się podczas przesłuchania.

– Ten, którego złapali w zorganizowanej zasadzce – wtrącił Jarrett. – Zginęło wtedy trzech ludzi z zaatakowanego oddziału. Powiedziałbym, że Casey tylko wykonywał swoje zadanie.

– Słyszałem, że wieśniak wcale nie był terrorystą, tylko cywilem.

– To nie powiniem się kręcić tam, gdzie trwają walki. Jakby sam się prosił o to głównie, które na niego spadło.

Tracer wziął ze stołu ósemkę i z zaskoczenia rzucił nią w Jarretta, lecz ten sprawnie ją złapał prawą ręką.

– Czasami człowiek podejmuje różne środki, a i tak nie może dojść, co się właściwie stało. W Bagdadzie nie było żadnego dochodzenia. Nikt nie wysunął oskarżeń, nie udzielił nagany. Cisza i spokój.

Jarrett z powrotem umieścił bilę na stole.

– Czyżbyś chciał powiedzieć, że sytuacja Caseya jest podobna do sytuacji Somporna? Bo jeśli tak, to ci odpowiem, że pieprzysz.

– Wiesz, co mnie martwi w bilardzie? Tamten wzruszył ramionami.

– Nie. Oświeć mnie.

– Że nie ma szarej bili. A w życiu jest mnóstwo szarości. Temu nie zaprzeczysz.

– Nie było nas przy tym, więc jak mielibyśmy oceniać, co się naprawdę zdarzyło w tamtej cholernej wiosce?

Ale Tracer nie zamierzał popuszczać. Jego *mojo* podpowiadało mu, że nie chodzi o ocenę roli Caseya w wydarzeniach zakończonych śmiercią irackiego terrorysty, ale o istotne pytanie, dlaczego ten człowiek zapłacił im za wykonanie zlecenia, kiedy mógł sam załatwić tę sprawę.

– Masz rację. Nie było mnie tam. Nie znam prawdy. Casey ma zieloną opaskę i dostęp do najściślejszych tajemnic, więc ktoś musi mu ufać. Ale nie było mnie też na miejscu, gdzie zginął jego dzieciak. Chcę tylko powiedzieć, że istnieje coś takiego jak karma. A ja nie mogę rozgryźć jego gry.

Jarrett podniósł wzrok znad stołu bilardowego.

– Może nie ma żadnej gry i chodzi o zwykłą zemstę?

– Widzę jednak, że mnie rozumiesz. – Tracer splótł dłonie na końcu kija opartego o podłogę. – Możemy jedynie snuć domysły. Podobnie jak w kwestii naszej znajomej z Hiszpanii.

Nie mieli już żadnych wątpliwości co do pochodzenia białej kobiety, która w towarzystwie detektywa zjawiała się w barze Rena. To była ta sama dziewczyna, którą widzieli na plaży w Gijón.

29

Po wyjściu z domu Marisy Calvino wrócił do biura. Neon Klaszczącej Jednej Ręki nad salonem masażu rzucał wydłużone cienie grubych sznurów kabli telefonicznych i elektrycznych. Neon się świecił, lecz na dole nie widać było żadnej aktywności. Nie było *ying* ani klientów, przed wejściem nie stały plastikowe krzeselka. W biurze tłumaczeń na parterze było całkiem ciemno. O trzeciej nad ranem na ulicy panowała kompletna cisza. Tylko gdzieś w oddali zaszczekał pies.

Zdołał przejść jeszcze kilka metrów, nim ktoś wyskoczył na chodnik tuż za nim. Napastnik, niski i krępy, z cichym stęknieniem wyłonił się z kryjówki za osłoniętym brezentowymi płachtami wózkiem ulicznego handlarza. Ale Calvino usłyszał już pierwsze jego stąpienie, toteż odwrócił się odruchowo, jednocześnie przysiadając i sięgając po broń. Tamten, który trzymał gruby żelazny pręt niczym kij baseballowy, brał właśnie szeroki zamach, żeby z półobrotu huknąć tym prętem detektywa w głowę. Chciał załatwić sprawę jednym ciosem. Lecz o mało nie stracił równowagi, gdy pchnięty z impetem pręt rozciął tylko powietrze. Chwilę później z ciemności wyskoczył drugi napastnik uzbrojony w długi nóż. Nie był aż tak długi, żeby uznać go za miecz, ale wystarczający do tego, by każdemu człowiekowi w jednej chwili pozamykać wszystkie rachunki.

Facet z nożem skoczył prosto na niego. Calvino chwycił oburącz broń za lufę, odliczył do pięciu, po czym skoczył na równe nogi i szerokim łukiem trafił kolbą napastnika w szczękę. Trzask pękającej kości rozszedł się głośnym echem po wąskiej uliczce, a bandyta zwałił się jak długi na chodnik. Trafiony, zatopiony, pomyślał detektyw. Tymczasem pierwszy napastnik zdołał się pozbierać i uniósł swój żelazny pręt niczym miecz samurajski, chcąc tym razem zdzielić go od góry. Calvino, wciąż trzymając oburącz policyjny rewolwer, błyskawicznie wymierzył tamtemu między oczy.

– Naprawdę chcesz, żebym pociągnął za spust? – rzucił.

Bandzior znieruchomiał i zagapił się w broń, dopiero po chwili obejrzał się na

nieprzytomnego kumpla. Włosy miał długie i posklejane w strąki, jakby nie mył ich od kilku dni. Po prostu nie mógł być gliniarzem.

– Rzuć to – rozkazał Calvino. – A teraz odwróć się do samochodu i oprzyj łapy na dachu.

Wyciągnął portfel ze spodni napastnika i wsunął go do kieszeni.

– Kto was przysłał?

– Nie rozumiem – warknął tamten i splunął na chodnik.

Detektyw grzmotnął go z całej siły pięścią, celując w zagłębienie pleców na wysokości nerki. Napastnik, najwyżej trzydziestoletni, aż zawył głośno z bólu.

– Postaraj się bardziej. Pytam jeszcze raz. Kto was przysłał?

Tymczasem jego kumpel, który dotąd leżał bez ruchu twarzą do dołu, zdążył się chwycić dźwigną na nogi. Był jeszcze niższy i grubszy od pierwszego. Owe dodatkowe kilogramy nadwagi sprawiły, że nie dysponował wystarczającą szybkością, by wykonać zlecenie. Bo było oczywiste, iż nikt nie rusza do takiej akcji z ciężkim żelaznym prętem i długim nożem, jeśli nie zamierza wyrządzić komuś poważnej szkody. Teraz tylko jęknął, trzymając się oburącz za złamaną szczękę.

– Chcesz jeszcze? Pokręcił głową.

– Kto was przysłał? Apichart?

– Wielki szef.

– Jak się nazywa?

– Szef.

Calvino wymierzył mu cios w nos, na tyle silny, żeby go rozkwasić.

– Apichart! Nazywa się pan Apichart.

Po tajsku to imię tłumaczyło się jako „wielki pan w tym życiu”, mąż opatrzościowaty.

Detektyw cofnął się, rozmyślając, że rodzice powinni wybrać dla Chińczyka inne imię. Długowłosy napastnik zdjął ręce z dachu samochodu, odwrócił się powoli i zachowując czujność, okrążył szerokim łukiem Calvina, nie spuszczać z oczu broni w jego rękę. Pomógł kumplowi ponownie wstać, zarzucił sobie jego ramię na szyję i pociągnął go w głąb tonącej w mroku uliczki.

– Ty i twój przyjaciel spisaliście się lepiej, niż tamci dwaj przysłani poprzednio.

– Nie zapomnimy o tobie – rzucił przez ramię bandzior, odgarniając sprzed oczu posklejane włosy.

– Ja o was także – odparł detektyw Calvino. – I powiedzcie panu Apichartowi, że o nim również nie zapomniłem.

– Pieprz się! – warknął Taj, gdy zbliżyli się do wylotu uliczki.

Świat wydawał się posiekany taką bezsensowną agresją niczym seriami z karabinu maszynowego.

Spoglądając za oddalającymi się bandziorami, Calvino pomyślał, że między bajki

można włożyć także tę tezę, że niewykształceni Tajlandczycy nie znają angielskiego. Nagle opadło go skojarzenie, że przecież nie wymienili z nim aż tak wielu słów, niezależnie od języka. Zatem ich celem nie było wyciągnięcie od niego jakiegokolwiek informacji. To oni sami stanowili wiadomość wysłaną jemu. Posłańcy mieli za zadanie uciszyć go raz na zawsze, dopiero teraz uświadomił to sobie z całą mocą. Najwyraźniej Apichart wiedział, że to on odpowiada za numer z trumną, dlatego postanowił się go pozbyć.

Wdrapał się po schodach na piętro, otworzył biuro, zapalił światło i usiadł przy swoim biurku. Obrócił się na krześle i popatrzył przez okno na świecące nad ulicą neony. Nie było sensu dzwonić na policję. Przypomniawszy sobie, jaką odrazę u Marisy wywołało nie to, że stosował w swojej pracy przemoc, lecz to, że nie odczuwał poważniejszych wyrzutów sumienia z tego powodu. Teraz nawet się nie spocił. Popatrzył w świetle na swoje ręce, przyglądając się zwłaszcza knykciom. Ale przecież na tej ciemnej uliczce został zaatakowany przez dwóch mężczyzn. To fakt, że odnieśli pewne obrażenia, także psychiczne, chyba wystarczające do tego, żeby powiadomili swojego szefa, iż wie o wszystkim. Drapieżniki nie doceniły swojej ofiary, przestrelały, nie dociągnęły, całkiem chybiły, wycofały się więc, żeby wylizać rany przed podjęciem kolejnej próby. Jego wiadomość była prosta: nie należał do słabych i bezbronnych farangów, których łatwo dałoby się wyeliminować. Jeśli naprawdę chcieli go dopaść, musieli się liczyć z tym, że będzie to kosztowne i trudne. Zawsze istniała szansa, że takie drapieżniki zwrócą się przeciwko łatwiejszej ofierze. Ale Calvino nie zamierzał sam siebie oszukiwać. Ten atak był tylko pierwszą próbą, później mieli się zjawić inni, żeby dokończyć dzieła, a gdyby i oni zawiedli, musieli zastąpić ich jeszcze inni. Gdzieś w tym mieście przebywał człowiek zdeterminowany do użycia wszelkich możliwych środków, byle tylko dopiąć swego.

Przemknęło mu przez myśl, żeby zadzwonić do Marisy, opowiedzieć jej o wszystkim i wytłumaczyć, że bez stosowania przemocy takich sił nigdy nie uda się opanować. Doskonale wiedział, do czego chciałby ją przekonać. Bo właściwą odpowiedzią w żadnym wypadku nie była modlitwa, ręka wyciągnięta do zgody, przyjazny uśmiech. Musiała to być pięść, nóż, żelazna rurka, pistolet czy jakakolwiek inna broń będąca pod ręką. Nie było tu miejsca na żadne wysiłki, dyskusje, plany czy perswazję. Jeżeli nie powalało się przeciwnika w wybranym przez niego miejscu i czasie, on zwyciężał. Trzeba było marginalizować przemoc, lecz rozmowy w tej sprawie pozostawały w gestii takich ludzi jak pracownicy agencji ONZ. Bo kiedy wychodziło się na ulicę, to przemoc marginalizowała ludzi. Inne zasady obowiązują na polu gry, a inne na polu walki, można się utrzymać przy życiu tylko wtedy, kiedy się wie, na którym polu jest się w danej chwili.

Spojrzał na telefon, a potem na zegarek. Nie było mowy, żeby naprawdę do niej zadzwonił po trzeciej nad ranem. To mogło poczekać do jutra. Mogło również czekać

w nieskończoność. Zastanowił się też, czy nie zadzwonić do pułkownika Pratta. Ale on także nie mógł nic zrobić w tej sprawie, niepotrzebnie by się tylko wybudził ze snu. Powędrował więc myślami do ludzi, którzy uciekli. To on sam podał im imię Apicharta, nie musieli zdradzać żadnych tajemnic, żeby wyjść cało z opresji. Przypominało to działania Caseya i jego kumpli, specjalistów od torturowania jeńców. Sztuka zadawania bólu mogła też prowadzić do tego, że ofiara była gotowa powiedzieć wszystko, co chce się usłyszeć. Równie dobrze tych zbirów mogli nasać gangsterzy z Soi Cowboy. Tyle że nie był za bardzo znany na ulicach. Niemniej zorganizowanie tego typu napaści mogło stanowić tylko wyraźny przekaz, że powinien zrezygnować i oddać dziecko. Ponadto nie mógł wykluczyć, że byli to zwykli rabusie albo narkomani szukający łatwych do zdobycia pieniędzy. Mroczna strefa życia w Bangkoku podsuwała wiele różnorodnych wyjaśnień tego, co się stało. Spisanie wszelkich możliwych powodów, dla których dwóch zbirów napadło prywatnego detektywa o trzeciej nad ranem, mogło zająć notatnik rozmiarów książki telefonicznej abonentów z Manhattanu.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął z niej miniaturowy dyktafon, ustawił go na biurku i podłączył słuchawki. Chwilę później zasłuchał się w kobiecy głos, słodki, lekko zachrypnięty od papierosów i alkoholu, którym Marisa opisała mu zabójstwo na plaży w Hiszpanii. Poprawił jeszcze wzmocnienie, żeby lepiej słyszeć słowa wymawiane z wyraźnym latynoskim akcentem, nieco zniekształcone przez pogłos rejestrowany w jej sypialni. Na szczęście nie było żadnych zakłóceń statycznych. Należało uznać, że nagranie pod względem jakości zbliża się do ideału. Później przewinął nagranie do fragmentu, na którym utrwaliły się ich miłosne uniesienia.

Kolumbijczyk zabity na plaży w Gijón spotkał się ze swoim przeznaczeniem mniej więcej w tym samym czasie co Bakhita, która ucierpiała wskutek eksplozji w odległym o kilka tysięcy kilometrów Bagdadzie. Przeżyła, ale niedającym się opisać kosztem. Tamtego dnia w hotelu Canal musiała się bowiem pożegnać ze swoją nogą, kiedy betoniarka wypełniona materiałami wybuchowymi eksplodowała na wprost wejścia do budynku. Gdy tylko opadł kurz, Bakhita uzmysłowiła sobie szybko, że właśnie straciła coś więcej niż tylko nogę.

Po raz pierwszy spotkali się na sesji terapeutycznej sponsorowanej przez ONZ dla ludzi cierpiących na wstrząs pourazowy. Smutek ułatwiał nawiązanie bliższych znajomości. Calvino przewinął nagranie, żeby wysłuchać, jak Marisa opowiada o podniosłości rocznicy tego dnia, kiedy przedstawiciel ONZ o imieniu Sergio zginął w Bagdadzie. Był moment, kiedy wydawało się, że dalsza relacja zostanie przerwana przez perspektywę seksu. Lecz chwila ta minęła i Marisa zaczęła mówić dalej, a Calvino nastawił uszu, zachęcając ją tym samym, żeby odkryła przed nim tajemnicę wydarzenia z przeszłości, która zdawała się wpływać na nią niczym melodia

odtworzana bez końca z dziurawej płyty.

– Dopóki nie straci się kogoś bliskiego wskutek przemocy, nie jest się w stanie zrozumieć, jak ważna jest rocznica śmierci dla rodziny – powiedziała Marisa.

Calvino otworzył teczkę z aktami Caseya, który jak gdyby zapadł się pod ziemię na dwa dni przed rocznicą śmierci jego syna. Coś, co usłyszał tamtego wieczoru z ust Marisy, utkwilo mu w pamięci aż do dziś: „Albo człowiek chce pamiętać, albo pozwala pamięci umrzeć. Tego typu doznania zapadają tak głęboko w duszę, że popychają cię do miejsc, w których łatwo jest się bez reszty zatracić. Można by pomyśleć, że to, co się zdarzyło, należy już do przeszłości, zamkniętej, istniejącej wyłącznie we wspomnieniach... Ale to, rzecz jasna, niemożliwe. Bo to na zawsze pozostaje na powierzchni, jakby tylko czekało na ciebie. Tylko z tego powodu co roku, dwudziestego sierpnia, umawialiśmy się z Bakhitą na kolację. Zapalałyśmy świeczki i odmawialiśmy modlitwy”.

Wyłączył dyktafon, odchylił się na oparcie krzesła i po raz kolejny obrócił się z nim do okna. Po chwili wyrzucił całą zawartość zabranego bandycie portfela na biurko. Były tam trzy jeszcze sztywne i niepogniecione banknoty tysiącbahtowe. To mu uzmysłowiło, jak nisko wyceniane jest jego życie i zdrowie. Później spojrzął na tajski dowód osobisty ze zdjęciem człowieka, który go zaatakował. Po chwili upchnął dowód i pieniądze z powrotem w portfelu i zgasił światło w biurze. Po raz kolejny wyrzucił przez okno na *soi*. Jaskrawy neon rozświetlał okna budynku stojącego naprzeciwko. Czerwone, zielone, niebieskie i żółte pasy pojawiały się kolejno, mając symbolizować ruch dłoni złożonej do oklasków.

Na tych niebezpiecznych ulicach ludzie należący do innego świata poruszali się w cieniach. Ludzie żyjący dziennym rytmem rzadko mieli okazję ich widywać, a jeśli już, to z pełną świadomością, czym tamci zajmują się po nocach. Calvino zadał sobie w duchu pytanie, czy zdecydowałby się pomóc Fon, gdyby nie było z nią Marisy lub gdyby wcześniej nie wpadł na Marisę w wejściu do stacji szybkiej kolei miejskiej. Bo przecież świat egzystował właśnie w ten sposób, opierał się na serii drobnych, wzajemnie powiązanych zdarzeń i gestów, następujących po sobie przypadków. Chciał myśleć, że pomogłby dziewczynce nawet wtedy, gdyby Marisa nie miała z nią nic wspólnego. Ale co do tego wcale nie był przekonany. Bywał wcześniej na *Soi Cowboy* i wiedział, że minąłby Fon, nawet na nią nie patrząc. Dalekowzroczność człowieka zależała wyłącznie od umiejętności patrzenia w zwierciadło przeszłych doświadczeń i żadna z tych cech nie liczyła się bez drugiej. W chwili obecnej nie mógł stwierdzić, czy napastnicy na pewno wiedzieli, kim on jest. W tym zakresie wyjątek stanowił chyba tylko Casey, który bez wątpienia należał do ludzi odznaczających się tak niewiarygodnie rozdętym ego, że przypominał kleszcza opitego krwią do granic wytrzymałości. Jak większość płytkich ludzi Amerykanin sądził, że wszystkich innych można zmanipulować, doprowadzić do załamania,

zmusić do posłuszeństwa. Calvino nie mógł się bowiem oprzeć pytaniu, czy jakąś prawdę da się jeszcze wydobyć z wraka człowieka żyjącego już wyłącznie w świecie, w którym prawda była nieodłącznie powiązana z pierwotnymi okrzykami bólu.

30

Calvino wkładał właśnie buty w drzwiach domu Marisy, które otworzył mu Juan Carlos, kiedy Fon wyszła z sypialni, trzymając za rękę Wan. Najwyraźniej usłyszała, jak się żegnał z gospodarzami, toteż wyszła, żeby też się pożegnać. Na policzku miała jeszcze odciski od poduszki. Została wyrwana z głębokiego snu, ale nie wyglądała na zmęczoną. Dziewczynka była już bez makijażu i bez wyzywającego stroju. Miała na sobie szary T-shirt z napisem „Manchester City” oraz czerwone szorty, które pożyczyła jej Wan, przy czym obie rzeczy były co najmniej o dwa numery za duże. Ale w efekcie wyglądała jeszcze dziecinniej niż do tej pory. Miała ochotę powiedzieć mu, jak bardzo żałuje tego, że wcześniej się go bała.

Fon zamrugała szybko i potarła palcami swoje smutne, szkliste oczy. Juan Carlos dostrzegł w nich błysk strachu, uczucie, które musiało powtarzać się w jej życiu dostatecznie często, by w końcu wypalić piętno i wyrzucić jej pierwotną niewinność na uliczny śmietnik.

– Moja siostra mówiła, że znasz tajski. Czy to prawda? – zapytał.

Zaśmiała się w głos, po czym rzuciła zdanie po birmańsku, następnie powtórzyła je po tajsku, przetłumaczyła je na dialekt Shanów, żeby w końcu zapytać po angielsku, czy kiedykolwiek kupował kwiaty od jakiejś nastolatki na Soi Cowboy. Tym samym zrobiła wielkie wrażenie na Juanie Carlosie. Aż zaklaskał.

– Widzę, że masz wielkie zdolności językowe. Spuściła głowę na piersi.

– Tajowie mówią, że jestem *khaya sangkom*.

– Nie wątpię, że to trafne określenie – odparł Juan Carlos, chociaż nie wiedział, co to oznacza w ulicznym slangu.

Wan aż się wzdrygnęła na brzmienie tej nazwy, a uśmiech zniknął z jej warg.

– To bardzo złe, oznacza wyrzutka społecznego – powiedziała. – Na przykład narkomana, kieszonkowca, żebraka... Albo kobietę pracującą w nocnym lokalu.

– Zatem nic od ciebie nie kupimy, dzieciaku – wtrącił Calvino, który spojrzał na Wan, a potem na Fon.

Po wyrazie twarzy obu dziewcząt łatwo było ocenić, że wydzźwięk przytoczonego określenia zrobił na obu spore wrażenie. W powszechnym mniemaniu wykluczało je to z zakresu społecznej akceptacji, z czego wyłamywała się tylko wąska grupa ludzi żerujących na ich zarobkach.

Spojrzał na urażoną minę Marisy, jakby była wynikiem nadwrażliwej reakcji na proste pytanie dotyczące tutejszego języka, choćby nawet chodziło o wyrażenie pochodzące z mrocznego zaułka miejscowej kultury.

– Wiesz, do kogo zadzwonić? – zapytał.

Skinęła szybko głową, jakby wdzięczna, że przerwał niezręczne milczenie.

– Dam sobie radę.

Wan, która zdołała odzyskać zdolność uśmiechu, położyła dłoń na ramieniu młodszej koleżanki i lekko ścisnęła ją za kark.

– A ja znam język pszczół – powiedziała, wzbudzając chichot dziewczynki, która zrobiła taką minę, jakby rzeczywiście pszczoła usiadła jej na ramieniu.

Tymczasem Wan uśmiechnęła się głównie do Juana Carlosa, który odpowiedział jej takim samym uśmiechem. Rozłożywszy szeroko ręce, najwyraźniej rozbawiony, zapytał:

– A jakim językiem porozumiewają się pszczoły? Przekrzywiła głowę na ramię, jakby w ten sposób sygnalizowała zamyślenie się nad odpowiedzią. Bardzo rzadko odpowiadała wprost, gdyż matka krytykowała taką postawę.

– To nie jest żaden język rozumiany przez ludzi. Pszczoły wyrażają go w formie tańca. Po prostu tańczą, żeby w ten sposób przekazać innym swoje doświadczenia. Tak dobrze rozumieją ruchy swoich sióstr, jak my rozumiemy własne słowa.

Juan Carlos zapomniał na moment o siostrze, a Calvino był zaintrygowany.

– Więc taniec pszczół jest odpowiednikiem ich języka? – zwrócił się do Wan.

– Jest przekazem dla innych pszczół, ich taniec mówi pozostałym, gdzie teraz znaleźć kwitnące kwiaty i jak wrócić od nich do domu.

Juan Carlos pokiwał głową. Najwyraźniej podobał mu się pomysł, że taniec może być wskazówką wyznaczającą drogę do domu. Świetnie znał znaczenie określenia „dom” w wielu językach, ale obecnie miał do czynienia z językiem, którego jeszcze nie opanował, nawet nie brał go pod rozwagę.

– Kiedy tańczyłam w barze – dodała Wan, patrząc mu w oczy z takim napięciem, jakby odkryła swoje nowe przeznaczenie – zawsze starałam się ustawiać twarzą w kierunku domu.

Juan Carlos tamtego wieczoru zrobił małej Fon szereg cyfrowych zdjęć aparatem w komórce, zanim Calvino ruszył do wyjścia. Dziewczynka, ubrana w za duże ciuchy Wan, siedziała wówczas na obitej czerwonym aksamitem sofie. Przez cały wieczór uwieczniał ją w różnych pozach, mówiąc na okrągło o sympatii, z jaką Kalya musi odebrać te zdjęcia. A następnego ranka wstał wcześniej i niemalże wybiegł z domu.

Ale reakcja nie była taka, jakiej się spodziewał.

– Musimy pomóc temu dziecku. Jej ojciec pracuje w jednej z fabryk twojego ojca przy granicy birmańskiej. Jeśli nawet nie jest to fabryka twojego ojca, to na pewno będzie wiedział, do kogo należy, i zorganizuje jakąś pomoc.

Jej odpowiedź wyrażała złość i oburzenie.

– Dlaczego to robisz, Juan?

O co jej chodziło? Przecież było całkiem jasne, co należy zrobić. Czyżby za słabo znał angielski, by oddać w słowach zniecierpliwienie, nagłą potrzebę, niebezpieczeństwo, jak również to, że obiecał dziecku pomoc w powrocie do rodziny? Postanowił zmienić taktykę.

– Robię to dla mojej siostry. Rok temu była świadkiem przerażającego zabójstwa.

– Przepraszam, ale co to ma wspólnego z tą dziewczynką?

– Zbliża się rocznica.

– Nadal nie rozumiem – powiedziała Kalya.

– To zabójstwo ją odmieniło. Każdego by odmieniło. I tak dobrze, że jej nie zniszczyło, tylko umocniło i obudziło chęć niesienia pomocy ludziom w potrzebie. Właśnie dlatego wykonuje taką pracę, jaką wykonuje. Sama nigdy by ci tego nie powiedziała. Ale ja ją znam. Uratowanie dziecka to dla niej wszystko. To jej własna forma... jak to się nazywa?... pokuty. Ale niemająca nic wspólnego z religią. Marisa przekonała się, jaka jest prawdziwa wartość ludzkiego życia. Jak łatwo można je komuś odebrać. Więc dla niej ocalenie jednego życia znaczy tyle, co brak zgody na obojętność i akceptację świata jako odpychającego, samolubnego i wrogiego. To próba afirmowania życia. A zarazem próba odzyskania jakiejś części siebie, którą utraciła tamtego dnia.

Mimo zdolności językowych jakoś nie mógł znaleźć odpowiednich słów, żeby podkreślić, jak ważne jest dla Marisy naprawianie szkód doznanych tamtego dnia na plaży. Fon stała się dla niej elementem programu rekonwalescencji.

Kalya popatrzyła na zdjęcie widoczne na ekraniku jego telefonu komórkowego.

– Musicie bardzo uważać, żeby pomagając jednemu, nie uczynić większej krzywdy innym.

Tego popołudnia wybrali się na spotkanie z Sompornem w jego biurze wielkości lotniczego hangaru. Uśmiechnął się, obejrzawszy zdjęcia Fon.

– Śliczna dziewczynka.

– Gang, który ją przetrzymywał, znalazł kupca na jej dziewictwo.

Somporn odchrząknął przeciągle, jakby chciał wypluć ość, która utkwiała mu w gardle. Wstał, obszedł biurko i zapatrzył się na widoczną za oknem panoramę Bangkoku. Tysiące drapaczy chmur ciągnęły się aż po horyzont. Po chwili odwrócił się i popatrzył na Juana Carlosa.

– Oczywiście to godne pożałowania. Ale najlepszym rozwiązaniem byłoby

przekazanie tej małej władzom.

– Władze jej nie pomogą. Na tym polega problem. Najlepszym rozwiązaniem byłoby przekazanie jej z powrotem pod opiekę ojca. To dla niej jedyny ratunek. I to mogłoby zjednać panu przychylność wyborców. Stałby się pan znany jako ten, który walczy o prawa dzieci. Zatem pomoc udzielona Fon wspomogłaby też pańską kampanię.

Somporn zamyślił się na kilka minut nad implikacjami tego przypadku, spoglądając na papiery rozłożone na biurku. Wreszcie westchnął i pokręcił głową.

– Prędzej zostałbym uznany za człowieka wchodzącego w konflikt z władzami. A ta pomoc za chwyt pod publiczkę, bo chyba tak nazywają to Amerykanie. Mogłoby to mieć przykre konsekwencje. Zwłaszcza pomoc udzielona małej Birmance mogłaby być katastrofalna dla mojej kampanii. W Tajlandii Birma jest uznawana za naszego odwiecznego wroga, podobnie jak Katalonia w Hiszpanii.

– Mówiłeś przecież, że to właśnie ojciec wysłał ją do Bangkoku – wtrąciła Kalya.

Juan Carlos był zawiedziony, że nie udzieliła mu większego wsparcia. Szybko jednak odsunął od siebie rozczarowanie, tłumacząc sobie w duchu, że to w końcu drobiazg, nad którym należy przejść do porządku dziennego.

– Na pewno nie sprzedał jej, żeby została prostytutką.

– A skąd możesz wiedzieć, co na ten temat myślą Shanowie? – rzekł Somporn. – Zdarzało się już, że sprzedawali swoje córki. Wiem, że to smutne. Nie podoba mi się tak samo jak tobie. Ale teraz muszę wracać do pracy. Wybaczcie więc.

Odprowadził ich do drzwi.

Na korytarzu Kalya, zdenerwowana i bliska łez, odwróciła się tyłem do Juana Carlosa. Chciał objąć jej ramiona, lecz strąciła jego rękę.

– Sprawileś, że mój ojciec poczuł się nieszcześliwy. Zachowałeś się wobec niego niesprawiedliwie.

– Jak to niesprawiedliwie?

– Próbując wykorzystać naszą znajomość, postawiłeś go w bardzo niezręcznej sytuacji. Aż nie chce mi się wierzyć, że to zrobiłeś.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła korytarzem, nie czekając na niego.

Juan Carlos nie lubił się poddawać, uznał więc, że ostatnią deską ratunku może być matka narzeczonej. Ale po wyjściu z biura Somporna nie wspomniał Kalyi nawet słowem, że zamierza porozmawiać z jej matką. Niewiele mu pomogła w rozmowie z ojcem, nie widział więc powodu, aby wierzyć, że chętniej pomoże w kontakcie z matką. Pojechał do szkoły jeździeckiej, gdzie Lawan trenowała swojego ulubionego rumaka. Gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się szeroko i pomachała ręką. Kilka minut później wyjechała z placu treningowego i przy nim zsiadła z konia.

– Cóż to za miła niespodzianka widzieć cię tutaj, Juanie Carlosie.

Kiedy ruszyli razem przed siebie, pokazał jej cyfrowe zdjęcia Fon w telefonie

komórkowym i wyjaśnił sytuację dziewczynki.

– Wiem, że mogłaby pani jej pomóc. Wystarczyłby jeden telefon i jej ojciec jeszcze dzisiaj znalazłby się w pociągu, żeby zabrać ją stąd.

– To, co mi się w tobie tak podoba, Juanie Carlosie, to twoja absolutna pasja. Emanujesz nią jak smok ogniem. Do twarzy ci z tym. Stajesz się przez to atrakcyjny zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet. Ale wszystkie wielkie pasje mają też swoje złe strony. Jakby ogień wypalał zdrowy rozsądek i pozostawiał same emocje. To może prowadzić do lekkomyślnych zachowań. Ale w końcu jesteś Hiszpanem, więc to twoja cecha narodowa.

– Dlaczego nie możemy jej pomóc? Nie rozumiem. Stawiał przed nią wyzwanie, w końcu była przyzwyczajona, że mnóstwo ludzi zdaje się na nią.

– Chcesz znać powody mojego stanowiska? Podam ci przykład. Kiedy znajduję wyciągniętą nitkę w twojej marynarce, naturalnym odruchem jest ją wyciąć. Tylko skąd mam wiedzieć, czy po jej wycięciu nie spruje się i nie rozpadnie cała marynarka? Dziewczyna nie jest sama na świecie. Nie wiesz i nie możesz wiedzieć, kto za nią stoi i do czego jest zdolny. Postać niezłomnego rycerza w błyszczącej zbroi na wspaniałym rumaku jest dobra tylko w filmach. W realnym świecie takich rycerzy się zarzyna, ich rumaki kradnie, a rodziny hańbi i morduje. Ludzie parający się tym procederem pilnie strzegą swoich zdobyczy. Dla nich nie jesteś kimś, kto przychodzi dziecku z pomocą, ale zwykłym rabusiem.

– Niewykluczone, że ojciec dziewczynki pracuje w jednej z należących do was fabryk.

Ten argument także nie poskutkował.

– Jej ojciec mógłby równie dobrze zajmować się końmi w moich stajniach. To bez znaczenia, Juanie Carlosie. Wiem od Kalyi, że chciałbyś pomóc swojej siostrze, udowodnić w ten sposób swoje przywiązanie i miłość do niej. Powiedziałam jej, żeby nie złościła się na ciebie, że powinna ci raczej pogratulować takiego poczucia honoru. W dzisiejszych czasach to u mężczyzn rzadkość. Lecz choć podziwiam twoje zachowanie w tej sprawie, uważam, że poczucie honoru cię zawodzi. Będziesz musiał poszukać innego sposobu na przywrócenie twojej siostrze tego, co bardzo pragnęłaby odzyskać.

Kalya musiała przez telefon opowiedzieć matce o wszystkim, co wydarzyło się w biurze jej ojca. Mógł się tego spodziewać, toteż zrobiło mu się głupio, że nie przewidział, iż przebieg rozmowy będzie jej już wcześniej znany.

Starannie dobierając słowa, zapytał:

– Skoro pani nie pomoże temu dziecku, to komu pani pomoże?

Obrzuciła go ostrym, taksującym spojrzeniem.

– Odpowiedź na to jest bardzo prosta, Juanie Carlosie. Mojej rodzinie. A ty już wkrótce będziesz należał do rodziny.

– Pomagając Fon, pomoże pani mojej siostrze, która z kolei należy do mojej rodziny.

Uśmiechnęła się dokładnie w taki sam sposób jak Kalya, kiedy chciała okazać swoje niezadowolenie.

– Wydaje mi się, że nie słuchałeś, kiedy ci tłumaczyłam, że to może być niebezpieczne.

31

McPhail wyszedł na Washington Square z ręką grubo zabandażowaną i na temblaku. Miał wrażenie, że aż tu dociera szum przyboju odległego oceanu. Zatrzymał się i odwrócił powoli. Był to jednak szum ruchu ulicznego z pobliskiej Sukhumvit Road, który na krótko oszukał jego zmysły wspomnieniami z pobytu na plaży. Napaść na Soi Cowboy nie tylko pozbawiła go sporej ilości krwi, lecz także spowodowała dezorientację. W głowie ciągle mu dzwoniło, jakby terkotał telefon ukryty gdzieś w głębi domu, którego nie sposób odnaleźć, aby go wyłączyć. Tak samo zmartwiło go to, że wziął hałas ruchu ulicznego za szum fal przyboju. Westchnął ciężko i poprawił ułożenie zranionej ręki na temblaku. Poniżej łokcia jego przedramię miało kolor wczorajszego burrito. Cofnął się o parę kroków i przysiadł na piętach nad leżącą na chodniku monetą pięciobahtową. Podniósł ją, obrócił w palcach zdrowej ręki, następnie wsunął do kieszeni i wyprostował się powoli.

– Zapowiada się dla mnie szczęśliwy dzień – rzekł sam do siebie.

Przypomniał sobie nagle, że wczoraj także miał być jego szczęśliwy dzień, gdyby wierzyć horoskopom, w których zawsze jedne dni były szczęśliwsze od innych.

I zaraz przyszło mu na myśl także to, co powiedział kiedyś Calvino: „Przyszłość osiadła kiedyś w Bangkoku, ale potem przeniosła się gdzieś indziej, gdzie jest więcej szczęścia”.

Wrócił myślami do napaści. Gdyby trzymał rękę zaledwie parę centymetrów niżej, ostrze noża przecięłoby główną aortę w nadgarstku i pewnie już by nie żył. Gdyby zaś trzymał kotarę kilka centymetrów wyżej, w ogóle nie odniósłby żadnej rany. Dziewiętnaście szwów wydawało się całkiem niezłym kompromisem między pewną śmiercią a wyjściem z opresji bez szwanku. Tak więc myślał z pewnym zadowoleniem o tym, co się stało, gdyż mogło się skończyć o wiele gorzej.

Minął Mambo, dawne kino przekształcone na klub *katoey* przyciągający głównie chińskich turystów oraz gromadkę kilkunastu właścicieli motocyklowych taksówek, którzy siedzieli na jego schodach niczym jaszczurki wygrzewające się na słońcu w ten

tropikalny poranek. Wszyscy byli w odblaskowych pomarańczowych kamizelkach, bardzo przypominających krojem te, które tanie linie lotnicze upychają pod fotelami swoich samolotów. Palili, drzemali, czytali gazety i odprowadzali uważnymi spojrzeniami ludzi przechodzących ulicą. Policja wykorzystywała ich jak żywe oczy i uszy, wiedząc jednak, że zdarza im się widzieć i słyszeć rzeczy dalekie od rzeczywistości. W miarę zbliżającego się zakończenia kampanii wyborczej narastały rozmaite napięcia społeczne. Ludzie częściej skakali sobie do gardeł, toteż policja chciała wiedzieć, kto przysparza najwięcej kłopotów. Randka z kamerami miejskiego monitoringu jakoś ominęła Washington Square, więc tu nadal ważną funkcję pełnili taksówkarze.

McPhaila traktowali już jak stałego bywalca, ale nie uszła ich uwadze zabandażowana ręka na temblaku. Wydawać by się mogło, że farang z uszkodzonym przedramieniem, nogą albo głową sprawia im nadzwyczajną satysfakcję. Zaśmiali się w głos, kiwając głowami, jakby od samego świtu nie widzieli niczego zabawniejszego. Ale McPhail mieszkał w Tajlandii dostatecznie długo, by wiedzieć, że nie mają nic złego na myśli. Gdyby któryś z nich spadł z motocykla i złamał sobie nogę, tak samo śmialiby się z niego na cały głos.

– Nie, nie spadłem z motocykla. I moja dziewczyna nie znalazła powodów do zazdrości. Nie ugryzła mnie też wielka jaszczurka w pomarańczowej odblaskowej kamizelce. Napadł mnie leśny skrzat.

Zaczęli wzruszać ramionami, uśmiechać się głupio, szeptać coś do siebie nawzajem, jakby nie zrozumieli ani słowa z tego, co powiedział po angielsku. Ale on i tak osiągnął to, na czym mu zależało. Oni po prostu nie mogli zrozumieć, jak obcokrajowcy pokroju McPhaila mogą mieszkać w ich kraju, nawet jeśli jacyś ich pobratymcy tną im ręce nożem. Jednocześnie zaczął się zastanawiać, ilu z tych siedzących na schodach przed kinem było uzbrojonych i czego by wystarczyło, żeby któryś z nich postanowił zagłębić ostrze swojego noża w ciele obcego. Ruszył dalej, dochodząc do wniosku, że problem ze znalezieniem wspólnego języka to nic w porównaniu z problemem osiągnięcia wzajemnego zrozumienia. Przede wszystkim nie mieściło im się w głowie, czemu ktoś chciałby mieszkać z dala od ojczyzny. Zatem z ich punktu widzenia poraniony czy posiniaczony farang był symbolem kary za porzucenie swej rodziny i rodzinnej ziemi.

W Samotnym Jastrzębiu wszyscy obrzucili go zaciekawionymi spojrzeniami, gdy tylko stanął w drzwiach. Najwyraźniej już od wczesnych godzin rannych plotki o jego urazie krążyły wśród stałych bywalców lokali przy placu. I na nikim nie robiło wrażenia, że to on sam je rozpuszczał. Pomachał wszystkim zdrową ręką i z szerokim uśmiechem na ustach przepchnął się do baru.

– Podaj mi, kochasiu, dużą wódkę z tonikiem i dwoma plasterkami limonki. Muszę zażyć lekarstwa.

Jak gdyby osłabiony i roztrzęsiony, sięgnął do kieszeni i wyciągnął fiolkę z tabletkami przeciwbólowymi. Wrzucił dwie z nich do ust, jak tylko barman postawił mu pod ręką zamówionego drinka. Pociągnął spory łyk ze szklaneczki, po czym odchylił głowę do tyłu w teatralnym geście połykania pigułek.

Kiedy Calvino pojawił się w barze, McPhail był już wyraźnie rozmiękczonej.

– Powinieneś być zostać w szpitalu – rzekł detektyw. – Wyglądasz koszmarnie.

– Vinny, ty też nie przypominasz Brada Pitta. – Uniósł szklaneczkę do toastu. – Za dwóch starych poobijanych kumpli. Ale jednak wygraliśmy. Powiedz George’owi, żeśmy wygrali.

Stary George zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– A niby coście wygrali, do cholery? Widzę u was tylko rany i siniaki. Jeśli tak wygląda zwycięstwo, to co, do kurwy nędzy, nazywacie porażką?

– Uratowaliśmy dzieciaka, stary pierniku.

Calvino, mimo że stał przy kontuarze, dotąd nie zamówił niczego do picia. Uniósł więc tylko rękę, udając, że trzyma w niej szklaneczkę. Stary George wyglądał blado, oczy miał podkrążone. Można było odnieść wrażenie, że skumulowały się w nim przeżycia ze wszystkich lat, które zaczynają go spychać na bok. Osiemdziesięcioczerolatek najwyraźniej odczuwał już dolegliwości związane z wiekiem.

Skrzywił się i mruknął:

– Moje skarpetki są starsze od ciebie, McPhail.

– To dlatego, że nie zmieniałeś ich od czasu, jak się urodziłem.

Stary George mruknął coś pod nosem i machnął lekceważąco ręką, jak sprzedawca losów na loterię, który wciąż bezskutecznie próbował zyskać wstęp do jego baru.

– Ile szwów ci założyli?

McPhail popatrzył na swoją rękę.

– Sto dziesięć.

– Pieprzysz – syknął właściciel lokalu. Wychylił się ze swojej budki, popatrzył wzdłuż kontuaru i ujrzawszy detektywa, pomachał laską, aby przyciągnąć jego uwagę. – Vinny. Tak, zgadza się, do ciebie mówię. Co to za historia o tym, że spędziłeś noc z jakąś hiszpańską księżniczką?

– Od kogo ją słyszałeś? – zdziwił się Calvino, zerkając podejrzliwie na McPhaila.

– Czy to ważne? Cały plac już huczy od plotek.

– A ty wierzysz w plotki krążące po okolicy?

Stary George z kwaśną miną wychylił się dalej, oparty na lasce.

– Jeszcze nie odgryzaj mi głowy. Zapytać nie wolno? Po wojnie byłem w Hiszpanii i... la, la, Hiszpanki są naprawdę gorące. Myślałem więc, że i tobie się poszczęściło. To wszystko.

– Daj spokój, stary, przecież uciekłeś z Soi Cowboy razem z nią, dziewczynką i tą dziwką – syknął McPhail, gestykulując szeroko trzymanym w rękę papierosem.

– Z dziewczynką i dziwką – powtórzył Stary George, unosząc wysoko brwi. – Ta historia zaczyna być coraz ciekawsza. Pewnie bawiliście się w berka. Moja krew.

Kilka osób siedzących przy barze gapiło się na detektywa, nastawiając uszu, żeby nie uronić ani słowa.

– To nie było tak, George – mruknął Calvino. Kelnerka, Mała Niedźwiedzica, ubrana w obciste džinsy i T-shirt, wyrosła jak spod ziemi i postawiła mu pod ręką szklaneczkę mekhongu oraz coca-colę. Wyszczrzyła zęby w szerokim uśmiechu i ruchem głowy wskazała starca. Calvino spojrzał na trunek, jakby nie od razu zrozumiał, o co chodzi.

– Na koszt firmy – rzekł Stary George. – Pomogłeś wczoraj kilku osobom. Tak przynajmniej słyszałem. To twój kumpel rozpowiada, że dobrałeś się do hiszpańskiej księżniczki. A co on, do kurwy, może wiedzieć o Hiszpankach?

– Gadam lepiej po hiszpańsku niż ty po angielsku – zaoponował McPhail.

Stary George zmarszczył nos, jakby z kuchennej lodówki doleciał go jakiś przykry zapach.

– Krzyczałem po angielsku do hitlerowców machających białymi flagami, jeszcze zanim ty się urodziłeś. „Rzucicie broń albo wam podziurawię te pieprzone łby!”. W czasie wojny nie trzeba było znać więcej angielskich wyrażen.

Calvino uśmiechnął się do niego, a właściciel baru na dłużej zamknął oczy. Po chwili znieruchomiał, jakby wrócił myślami do tamtych chwil, gdy niemiecki oddział nie chciał wyjść z wiejskiego domu, w którym się schronił. Wziął swój trunek i poszedł za przepierzenie, do stolika, przy którym zawsze siadał. Już czekała na niego przygotowana plastikowa podkładka pod talerz, sztucce oraz słoiczek drogiego, najlepszego gatunkowo mielonego pieprzu. McPhail usiadł obok niego ze swoją wódką z tonikiem.

– Dzwoniłeś i dopytywałeś się o Caseya. Dlatego przyszedłem – rzekł, zaciągając się papierosem.

Mała Niedźwiedzica wśliznęła się za przepierzenie, stanęła za nim i zaczęła mu masować kark.

– Nie przerywaj – mruknął, zamykając oczy z rozkoszy. – To takie przyjemne.

– O co ci chodziło z tą hiszpańską księżniczką? – zapytał Calvino.

McPhail otworzył jedno oko.

– Żartowałem sobie z George'em. A on wszystko traktuje dosłownie. Przecież wiem i ty wiesz, że ta *mem-farang* nie dała ci się dotknąć nawet jednym palcem. Ale czy ktoś chciałby tu słuchać, że wystawiła cię za próg po tym, jak uratowałeś jej tyłek?

– Dlaczego myślisz, że wystawiła mnie za próg?

– Po latach kontaktów ograniczonych tylko do barowych *ying* brak ci umiejętności na taką *mem-farang*. Im zależy na młodszych, na takich, którzy będą zabiegać o ich względy. A kiedy ty ostatnio nadskakiwałeś jakiejś kobiecie? Powiedziałbym, że chyba nie w tym stuleciu.

Calvino pokręcił głową i wyjął portfel.

– Na ile cię wczoraj wieczorem policzyli w szpitalu? Spozrzegł, że McPhail ze zmarszczonymi brwiami spogląda ponad jego ramieniem. Obejrzał się. Na małej bocznej półeczce stał pomalowany na złoto rytualny plastikowy kwiat lotosu przybrany świeżymi kwiatami, obok stał talerzyk z plasterkami banana, do których już się dobrała gromadka gekonów. Kiedy znów spojrzął na przyjaciela, Mała Niedźwiedzica, klęcząc przy nim, z zapalem masowała mu skronie. Ilekroć dociskała mocniej palce, McPhail aż pomrukiwał cicho z rozkoszy.

– Hej, McPhail. Pieniądze. Rachunek ze szpitala. Słyszysz?

– Przepraszam, stary, wciąż jestem na środkach przeciwbólowych – odparł tamten i jednym haustem dopił swoją wódkę z tonikiem.

Odstawił pustą szklankę, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął kopertę i popchnął ją po stole w kierunku detektywa. Ten zajrzał do środka, popatrzył na rachunek ze szpitala, po czym schował go z powrotem, dokładając banknoty w łącznej kwocie pięciu tysięcy bahtów. Pchnął kopertę w drugą stronę, a McPhail szybko wsunął ją do kieszeni, nawet nie zaglądając do niej.

– Ten kutas z nożem wczoraj wieczorem łaknął krwi. I dopiął swego. Jeśli go jeszcze kiedykolwiek zobaczę, pożałuje, że się narodził.

– A zdążyłeś mu się przyjrzeć? – zapytał Calvino. Tamten pokręcił głową. Spod szerokiej wstęgi temblaka wyglądało tylko kilka białych trupich czaszek zdobiących jego czarny T-shirt. Tak więc włożył tego dnia osławioną koszulkę „O mało nie umarłem”, w którą się ubierał tylko wtedy, gdy zdarzyło mu się otrzeć o śmierć.

– Ale się dowiem, który to.

– Myślę, że nie ma sensu tego robić, chyba że zamierzasz przenieść sprawę na inny poziom.

McPhail skrzywił się. Przypalił następnego papierosa. Z ręką na temblaku nie mógł nawet pomarzyć o przeniesieniu sprawy na inny poziom. Chciał się tylko napić, popalić i pogadać, jak też zebrać od *ying* wyrazy współczucia z powodu rozciętej ręki.

– Więc co dalej zaszło wczoraj wieczorem między tobą i hiszpańską księżniczką? Gadaj. Do czegoś przecież musiało dojść.

– Lepiej porozmawiajmy o Casey – rzekł Calvino. Starsza kelnerka, mająca już dwoje wnucząt, weszła za przepierzenie z parującą blachą z kurczakiem i jarzynami zapiekаныmi w cieście. Odkroiła solidną porcję, nałożyła ją na talerz detektywa i uśmiechnęła się do niego, jakby był jej trzecim wnuczkiem.

– O Casey? Chcesz gadać o Casey? – bąknął McPhail. – Nie lepiej o nim po

prostu zapomnieć?

– Widziałeś dzisiejsze gazety?

McPhail upił nieco następnego drinka i pokręcił głową.

– Jest długi artykuł na temat tajnego więzienia CIA w Tajlandii. Wygląda na to, że Casey w tym zakresie sporo wie. Podobno ściągają go do kraju, żeby zadać mu kilka pytań.

– Jakich pytań? – zaciekał się McPhail.

– Na przykład dlaczego zniszczył kasetę wideo z zapisem przebiegu przesłuchania – powiedział Calvino.

– Jak okłada więźniów po głowach, uśmiechając się do kamery? Bo to przecież w jego stylu. Domyślam się, że wieczorem kierownictwo JUSMAG będzie miało o czym gadać podczas gry w bingo.

Z samego rana pułkownik Pratt zadzwonił do Calvina z pytaniem, czy nie wie, dokąd Casey wyjechał. Oczywiście nie wiedział. W końcu Casey był tylko jego klientem, a nie dzieckiem oddanym pod opiekę. Mógł być w dowolnym zakątku świata.

– Wygląda na to, że się ulotnił.

McPhail wydmuchnął kłęb dymu i zakasłał.

– A kto by czekał na jego miejscu?

Pułkownik dobijał się już do mieszkania Caseya, ale dowiedział się tylko, że Amerykanin wyjechał z miasta. Później mnóstwo innych ludzi pojawiało się na progu tego mieszkania. Kiedy portier widział go po raz ostatni, Casey wysiadł z windy z dwiema walizkami i poprosił go, żeby mu wezwał taksówkę na lotnisko. Musiał dostać cynk, że zbiera się na burzę, toteż wymknął się z kraju, dopóki to jeszcze było możliwe.

Portier zeznał, że pomógł mu wynieść bagaże do taksówki i od tamtej pory nikt go już nie widział.

– Pewnie zwał za granicę – rzekł detektyw. – Jeśli Interpol wyśle za nim list gończy, będzie się ukrywał do końca życia.

– A co Pratt o tym myśli? – zapytał McPhail.

– Że jednak zaszył się gdzieś w Tajlandii. Pułkownik rzeczywiście uważał za rzecz mało prawdopodobną, by Casey uciekł z kraju. Służby emigracyjne na bieżąco rejestrowały wszystkich obcokrajowców wjeżdżających i wyjeżdżających z Tajlandii, a Caseya nie było na liście wyjeżdżających. Calvino uznał w pierwszej chwili, że ktoś coś pokręcił, na przykład źle zapisał nazwisko, zgubił kartę albo umieścił ją w niewłaściwej szufladzie. Trudno też było wykluczyć, że Casey jakimś sposobem ominął kontrolę emigracyjną albo posłużył się fałszywym paszportem. Ale mogło też być tak, że pojechał na lotnisko, lecz wcale nie poleciał za granicę. Istniały rozmaite metody przedostania się na teren lotniska, a ludzie ze służb specjalnych musieli

doskonale je znać, mogli podróżować jak duchy, nie zostawiając za sobą żadnych tropów.

– Tylko dlaczego miałyby to robić? – zapytał pułkownik Pratt.

W stosunku do kogoś w rodzaju Caseya na myśl przychodziło od razu co najmniej kilka ważnych powodów. Zdaniem pułkownika Pratta najciekawsze było to, że Casey przed nikim nie ukrywał, iż jedzie na lotnisko, ale nikomu nie zdradził, dokąd zamierza lecieć.

Niemniej pułkownik akcentował, że tacy specjaliści z wojskowym wykształceniem rzadko bywają zaginionymi w akcji. Zazwyczaj doskonale wiedzą, dokąd się wybierają i w jakim celu to robią. Według niego nie przypadkiem Casey pojechał taksówką na lotnisko zaraz po tym, jak Ratana odkryła, że karty znalezione w pokoju Nongluck są ułożone w numer jego telefonu komórkowego.

Gdy tylko Calvino skończył relacjonować przyjacielowi nieudane poszukiwania pułkownika, zabrał się do kurczaka w cieście.

– Pułkownik odnalazł taksówkarza, który zawiózł Caseya na lotnisko, i ten zeznał, że zostawił pasażera z jego dwiema walizkami przed wejściem do hali odlotów. Przyznał nawet, że dostał sto bahtów napiwku.

– A ten wszedł do hali, wjechał ruchomymi schodami na piętro, do hali przylotów, a potem sprzed niej inną taksówką wrócił do miasta – wtrącił McPhail.

– Niewykluczone, ale równie dobrze mógł naprawdę dokądś polecieć. Gdyby jednak wrócił do miasta, nie masz pojęcia, gdzie mógłby się ukryć?

McPhail pociągnął łyk trunku i pozwolił Małej Niedźwiedzicy przypalić sobie papierosa. Zmarszczone czoło świadczyło o tym, że się zastanawia. W końcu energicznie pokręcił głową, jakby chciał się od razu uwolnić od wszelkich myśli i rozważań dotyczących Caseya.

– Łaziłem za nim przez trzy dni. JUSMAG, Siam Paragon, Chinatown, kawiarnia hotelu Nana, restauracja na tarasie przy Soi Czwartej, hotelik na godziny przy Soi Czwartej, przychodnia okulisty na Thong Lo. Nie potrafił dłużej wysiedzieć na miejscu. Aż się zastanawiałem, kiedy znajdował czas, żeby utoczyć nieco wody dla swoich przełożonych z przesłuchań terrorystów, morderców czy rabusiów bankowych, kimkolwiek on się tam zajmował na przesłuchaniach.

Calvino już rano przeglądał tę listę miejsc z pułkownikiem Pratem.

– Mówisz, że zgubiłeś go w Chinatown.

– Owszem, jakby zapadł się pod ziemię – przyznał McPhail. – Jak szczur w kanale ściekowym.

Stary George zajrzał za ich przepierzenie z wysokości swojej budki. Kilka razy zastukał laską w podłogę, żeby przyciągnąć uwagę detektywa.

– Czy warunki zatrudnienia McPhaila obejmują ubezpieczenie zdrowotne?

– Owszem, ma cały pakiet Niebieskiego Krzyża, George.

– Ty mi nic nie mów o krzyżach. Pytam, czy płacisz za jego leczenie.

– Tak, jest ubezpieczony.

McPhail wyjął kopertę, przeliczył banknoty, po czym odwrócił się i rzekł:

– Za wszystko zapłacił, George. Nawet z nawiązką. Stary George oparł się na lasce, pochylił niżej, uśmiechnął się i odparł:

– Nie dawaj mu tyle pieniędzy, Vinny, bo jeszcze gotów sam rozciąć sobie drugą rękę. A teraz zamówcie jeszcze coś dobrego do jedzenia. I cenę potraktujcie jako czynsz. Nie zarobię na życie, jeżeli dalej będziecie tu przychodzili i traktowali ten bar jak drugie biuro.

– Więc zamawiamy dwie specjalności zakładu. To wystarczy, George?

– W zupełności – przytaknął. Potem skrzywił się, zapatrzył z powrotem na ekran telewizora i wymamrotał pod nosem: – Nie cierpię tego kanału. Ale dziewczęta go uwielbiają. Aż nie chce się wierzyć.

– Nawiasem mówiąc, jak twoja ręka? – rzekł Calvino, do którego właśnie dotarło, że zapomniał o to zapytać.

– Wygląda tak, jakby ugryzła ją Godzilla, bo pomyliła mnie z zestawem w rodzaju Happy Meal.

Detektyw odsunął resztki ziemniaków i marchewki na brzeg talerza, odłożył sztucę i odchylił się na oparcie, wyciągając ręce na boki. Mała Niedźwiedzica wciąż pieczołowicie rozmasowywała mięśnie po bokach szyi McPhaila. Mimo że odniósł poważną ranę, nic nie wskazywało na to, żeby jeszcze cierpiał.

– A co Casey robił w przychodni okulistycznej na Thong Lo? – zapytał Calvino.

– Albo zamawiał okulary, albo kontrolował wzrok.

– To nie wiesz? Nie poświęciłeś dwóch minut na to, żeby wejść do środka i zapytać?

– Nie miałem czasu, do cholery. Gość zasuwał po mieście w tempie olimpijskiego sprintera. Mogłem albo wejść do przychodni i zapytać, czy z jego wzrokiem wszystko gra, albo iść dalej za tym błaznem, żeby się przekonać, co dalej zamierza.

– Słusznie zdecydowałeś.

– Oczywiście, że słusznie, Calvino – rzucił Stary George, który tylko udawał, że słucha muzyki. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie skomentować tego, co usłyszał.

– Już wszyscy to wiemy, George. Pozwolisz, że będziemy kontynuować rozmowę?

– A gadajcie sobie. Śmiało. Odbierzcie swoje dania i gadajcie. Co mnie obchodzi, czy jakiś świr odwiedzał cholernie drogą przychodnię okulistyczną na Thong Lo? To nie moja broszka. Ale znam Casey'a. Bywał w moim barze. I raczej nie miał kłopotów ze wzrokiem. Więc człowiek, który odwiedza przychodnię okulistyczną, nie mając kłopotów ze wzrokiem, musi szukać rozwiązania innego problemu. Ja mam osiemdziesiąt cztery lata i nie noszę okularów. A widzicie moje czarne włosy? Nie są

farbowane, to naturalny kolor. Do tego moje *kishkes* są tak samo sprawne jak wtedy, gdy miałem dwadzieścia jeden lat. Zapytajcie którejś z dziewcząt, czy mam problemy z moimi *kishkes*. No, proszę, zapytajcie.

Calvino pomyślał, że powinien wpisać Starego George'a na swoją listę płac.

– A ile razy można używać swoich *kishkes*? Któregoś dnia i tak popękają jak tanie opony na autostradzie – powiedział McPhail.

– Już ty lepiej ze mną nie zaczynaj, McPhail. Dopiero co ci załatwiłem pełne ubezpieczenie zdrowotne, a ty obrazasz moje *kishkes*. Będą jeszcze pracować długo po twojej śmierci.

32

Tracer paradował po mieszkaniu w czarnych bokserkach i podkoszulku, omijając łukiem stół bilardowy z bilami przygotowanymi do rozbicia. Miniona noc nie przyniosła żadnych zmian. Znowu obudzili się w Bangkoku, gorącym i parnym, by rozpocząć kolejny dzień żmudnej pracy. Nad odległym horyzontem zbierał się wał chmur. Otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na dwór. Powietrze było duszne. Kucnął i odczytał wskazania wiatromierza, który wcześniej umocował przy żelaznej poręczy. Sprawdził kierunek i szybkość wiatru. Obejrzał się przez ramię na Jarretta siedzącego przy stoliku i skinął głową. Wiatr wyraźnie słabł. To była dobra nowina. W mierzeniu do celu na większą odległość trzeba było uwzględnić w obliczeniach jego szybkość. Wystarczyło to zlekceważyć, by znacznie zwiększyć ryzyko, że snajper chybi celu. Po powrocie do pokoju Tracer zapisał odczyty w notatniku.

– Jaka poprawka? – zapytał Jarrett.

– Pięć kilometrów na godzinę, trochę porywów. Wiatr ze wschodu.

– W prognozach zapowiadali deszcz. O tej porze roku chyba nie powinno tu padać, nie?

Nienawidził wykonywania zadań w deszczu. Podczas ulewy widoczność mogła spaść nawet do dwudziestu metrów, a krople wody dodatkowo wpływały na tor lotu pocisku. W deszczu kule potrafiły wyczyniać śmieszne rzeczy, a przecież śmieszne rzeczy nie wchodziły w zakres zainteresowań snajpera. Ostatecznie nie uczestniczył w jakiejś komedii, miał dokonać aktu finałowego.

– Padało prawie każdego dnia po południu – odparł Tracer, podnosząc wzrok znad notatnika.

W trakcie przygotowań Jarrett czasami przyrównywał siebie do zawodowego golfisty. Jego asystent, obserwator, był jak połączenie trenera z tragarzem od kijków, człowiekiem, którego wiedza, doświadczenie i znajomość rzeczy były niezastąpione na polu gry. Ale między tymi rozgrywkami istniała zasadnicza różnica. Zawodowy golfista zdolny do uzyskania ośmiu uderzeń poniżej normy mógł wygrać prawie

każdy turniej, w jakim startował, zdobyć nadzwyczaj dochodowe kontrakty reklamowe, zyskać liczne grono wiernych fanek i oczywiście wysokie nagrody pieniężne. W strzelaniu odpowiednik ośmiu prób poniżej normy oznaczał porażkę snajpera. Oczekiwano od niego, że trafi w cel za każdym naciśnięciem spustu. Czegoś podobnego nie potrafił nawet Tiger Woods.

Zaczął się wykręcać w lewo, robiąc zamachy lewą ręką, a potem w prawo z zamachami prawą ręką. Wreszcie wyciągnął się na podłodze i zrobił pięćdziesiąt pompek. Podczas długiego oczekiwania często drętwiały mu mięśnie. A wyteżona uwaga i ciągła koncentracja sprawiały, że stawał się nerwowy. Takie ćwiczenia gimnastyczne i muzyka bluesowa pomagały mu utrzymać się w określonym stanie psychicznym, niezbędnym do tego, by pociągnąć za spust. Każdy snajper miał swoje sposoby na osiągnięcie takiego stanu. Dla Jarretta była to pomoc Tracera oraz blues.

Jak dotąd było to normalne zadanie w normalnych warunkach. Opóźnienia wcale nie należały do rzadkości, z tym Jarrett radził sobie nieźle. Zdarzało się już, że wyruszali w teren i czekali w zasadzce trzy albo cztery dni, zanim pojawił się ich obiekt. Wtedy ograniczali się do jednej próby, jak mawiano w środowisku, do „specjału JFK”, czyli strzału w głowę kończącego akcję. Potem wystarczyło się spakować i zniknąć z miejsca zdarzenia. A sam strzał już po paru sekundach przechodził do historii i szedł w zapomnienie.

Ale w umyśle Tracera znów działo się coś dziwnego. Jarrett podniósł głowę i popatrzył na przyjaciela. Ten był wyraźnie podenerwowany, napięty jak struna, stawały go w stan pogotowia nawet tak mało znaczące drobiazgi jak hałas na korytarzu.

– Znów coś cię gryzie, Tracer. I tu nie chodzi o wiatr. Nie martwisz się też, że może padać.

Tracer wolnym ruchem powiódł lornetką w prawo, przyglądając się budynkom naprzeciwko i ulicy w dole.

– Kiedy wszystko było gotowe, obiekt się nie pokazał. A opóźnienie napawa mnie obawami. Dla mnie opóźnienie jest jak szept w głębi duszy, podpowiadający, że coś jest nie tak.

– Nic więcej ci ten szept nie podpowiada?

– Nigdy nie mówi niczego wprost, zostawia tylko drobne wskazówki. Na przykład: „Tracer, miej oko na to, co jest nie na miejscu. Wypatruj tego, co nie pasuje do całości obrazu. Czy coś albo ktoś nie wykracza poza normę tego, co powinieneś widzieć?”.

Uważnie przyglądał się scenerii, furgonetkom i radiowozom policyjnym, a nawet helikopterowi, który przeleciał nad dachami, no i ludziom pojawiającym się w oknach mieszkań, biur i sklepów.

– I coś podejrzanego wpadło ci już w oko? – zapytał Jarrett.

Dobrze wiedzieli, że mimo wielogodzinnego oczekiwania akcja może w każdej chwili ruszyć z szybkością kundla, którego opadło całe stado pcheł. To też było przyczyną ich zaniepokojenia.

Tracer w końcu opuścił lornetkę i przystąpił do swego rytuału. Zaczął przeciągać lornetkę po swoim woreczku *mojo*, lekko pocierając nim o obudowę powolnymi, systematycznymi ruchami. Mamrotał przy tym pod nosem słowa, których nauczył go ojciec. Od czasu, kiedy się poznali, Tracer zawsze stosował odrobinę swojej magii, dopominał się o odrobinę szczęścia, a Jarrett nigdy się na to nie skarżył ani nie wyśmiewał się z przyjaciela. Tyle że tym razem rytuał ciągnął się dłużej niż zwykle. I to go zaniepokoiło, gdyż lubił, by wszystko było na właściwym miejscu, jak być powinno.

– Jeszcze nie – odparł Tracer. – Ale wciąż wypatruję. To, czego się szuka, jest po części w głowie człowieka, a tylko po części przed oczami.

– Ja też wypatruję, ale nie widzę niczego niezwykłego – odparł Jarrett.

Tracer pokręcił głową, wciąż odwrócony do niego plecami.

– Znalezienie igły, zanim jej ostrze znajdzie ciebie, wymaga czegoś więcej niż tylko patrzenia. Musisz mieć przeczucie, gdzie może się ukrywać ta igła.

Lornetka zwiśla na pasku przerzuconym przez jego szyję, opierając się całym ciężarem na woreczku *mojo*.

– Igła może się ukrywać w dowolnym miejscu – zauważył Jarrett.

Tracer wczesnym rankiem wyruszył na jogging, po drodze wpadł do baru Starbucksa i zajrzał do gazet.

– Widziałem w dzisiejszej gazecie wzmiankę o zniknięciu Caseya. Miał zeznawać w jakimś poważnym dochodzeniu w Waszyngtonie. Myślałem, że Waters zadzwoni i powie coś na ten temat. Do ciebie nie dzwonił?

Jarrett pokręcił głową.

– Co pisali w gazetach o tym dochodzeniu?

– Coś się wydarzyło w jednym z więzień.

– Cóż, wzięliśmy już forszę za tę robotę. A Waters nie dał znać, żebyśmy się wycofali.

– I to mi się nie podoba – rzekł Tracer.

– Dzień jak co dzień, stary. Stłukłem ci dupsko w bilarda, dlatego jesteś w kiepskim humorze. To wszystko. Wykonywaliśmy już takie zadania. Przykro mi, że Casey popadł w kłopoty. Ale to przecież nie nasz problem.

Tracer pokręcił głową, przygryzając wargi, aż lornetka zadyndała mu na szyi. Nerwowym krokiem ruszył przez pokój. Znowu wchodził w fazę pograżania się w głębokim zamyśleniu.

– Pamiętasz Marka?

– Tego ważniaka, który co rusz odwiedza naszego prezesa?

– Dokładnie tak. Otóż w gazecie pisali, że według niego Casey mógł być zamieszany w działalność wykraczającą poza zakres jego obowiązków służbowych. Czy tobie kiedykolwiek coś takiego przyszłoby do głowy?

Jarrett zamrugał szybko i wzruszył ramionami.

– Mówię o LRAS. Można by sądzić, że kierownictwo dobrze oszacowało potencjalne zagrożenie ze strony Caseya. Na podstawie artykułu w gazecie można by uznać, że postanowiło się go pozbyć. Wystawić na odstrzał jak kozła ofiarnego.

– Zastrana sytuacja – bąknął Jarrett.

– Właśnie to próbowałem ci przekazać.

Tracer obejrzał się, skinął głową, a następnie pochylił się nad swoim komputerkiem, żeby obliczyć nową poprawkę dla toru lotu pocisku w stronę balkonu Kocicy. Wpisał od nowa parametry, a więc prędkość wiatru, odległość, prędkość wylotową pocisku, temperaturę oraz wilgotność, gdyż wszystko to mogło wpłynąć na tor lotu tępo zakończonej kuli kalibru 7,82 milimetra na odcinku od końca lufy do punktu trafienia na ciełe Somporna.

Po chwili uniósł głowę znad urządzenia.

– Analiza techniczna zbliża nas do celu. Ale to, co zrobimy, nie jest rzeczą mechaniczną. W przeciwnym razie pułkownik Waters mógłby do tej roboty wybrać nie nas, tylko uzbrojonego robota. My nie jesteśmy robotami. Ja patrzę na rzeczy za oknem w taki sposób, jakiego nie mógłby przewidzieć żaden wzór matematyczny.

Jarrett skinął głową, przygryzając dolną wargę. Coraz bardziej mu się nie podobało, że kumpel aż tak często sięga do swojego woreczka *mojo*. Był członkiem poważnego zespołu, nakierowanej na jeden cel maszyny do zabijania. Trudno się było dziwić, że jest zdenerwowany bliskością najważniejszej chwili tej akcji. Ale przecież nadal dzieliło ich jeszcze parę godzin od spodziewanego pojawienia się obiektu w polu widzenia.

– Powiedz coś więcej, bo z tego i dla nas może wyniknąć nieprzyjemne gówno. – Przeciągnął ręką po włosach, westchnął głośno i dodał: – Jak sądzisz, gdzie Casey mógł się zaszyść?

Tracer postukał się palcem w pierś.

– Mnie o to pytasz? Jestem przekonany, że dał nogę przed komisją kongresową, która zażyczyła sobie wysłuchać jego zeznań. Kierownictwo firmy mogło równie dobrze wydać na niego wyrok, jak i uznać za kozła ofiarnego w sprawie tajnych więzień. Wygląda na to, że facet po prostu ma pecha. A czy ktoś się stara o to, żeby miał pecha? Nad tym warto by się jeszcze zastanowić.

Jarrett wstał z krzesła, podszedł do stołu bilardowego, sięgnął po swój kij i z impetem rozbił ustawione na środku bile.

– W porządku, już się nad tym zastanowiłem.

– A jeśli nasz pierwszy dzień akcji w Bangkoku wcale nie oznaczał wyłamania się

Somporna z ustalonego rytmu poczynań? Jeśli ktoś postanowił wpuścić nas na tor treningowy? Może chciał tylko sprawdzić, jak się szykujemy do działania? A może usłyszeliśmy, że na pewno pojawi się na balkonie, żebyśmy zdradzili swoją pozycję? Kto wie, czy to był przypadek?

Rewanż Tracera zawsze wyglądał podobnie. Po udanej serii ciosów w brzuch zalecanej przez podręcznik voodoo przymierzał się do zaskakującego ciosu podbródkowego, bazującego na odwołaniu się do zdrowego rozsądku.

Ale tym razem Jarrett nie był przygotowany na taki cios.

Wymierzył strzał w bilę numer jeden i chybił. Za to do luzu wpadła biała bila. Odstawił więc kij, wyprostował się i skrzyżował ręce na piersi.

– Wyjaśnij mi, czemu ktoś miałby nas zrobić w coś takiego – rzekł.

– Brałem pod uwagę kilka możliwych rozwiązań. Razem ze swoim ojcem miałeś się spotkać z Jackiem Malone'em w Hua Hin, prawda? A co zastaliśmy w tym mieszkaniu? Gazetę z artykułem opisującym zdarzenia z Hua Hin. Stary, przecież jesteśmy w Bangkoku. I spędzamy czas przy stole bilardowym. Możesz mi powiedzieć, jaki kolor miało sukno na analogicznym stole w Hua Hin?

– Było niebieskie. Tracer skinął głową.

– Zgadza się. Było niebieskie. Podobnie jak to.

– I co z tego wynika?

Tamten rozrzucił szeroko ręce, krzywiąc się boleśnie.

– A skąd mam wiedzieć, do cholery? Ale nie podoba mi się, że musieliśmy zdradzić swoje stanowisko już pierwszego dnia. Bo to przecież zrobiliśmy. Gdyby nie chodziło o zwykłe opóźnienie akcji, ktoś z łatwością by nas namierzył, obserwując ten budynek. O drugiej sprawie już ci mówiłem, tyle że uznałeś ją za bzdurę z kategorii voodoo. Pieniądze, które Casey przekazał pułkownikowi Watersowi, śmierdziały ziemią. Musiały być zakopane. A kiedy wspomniałem o tym Watersowi, rzucił, żebym się tym nie przejmował.

– I teraz twierdzisz, że to miało coś wspólnego z tym, co w Hua Hin spotkało mojego tatę?

– Tego nie wiem – odparł Tracer, pocierając prawą dłońią kark. – Powtarzam tylko, że artykuł w gazecie na temat Hua Hin i ten stół bilardowy mogą mieć jakieś znaczenie. Przypomnij sobie tamten wieczór, kiedy wszedłeś do baru w Hua Hin i stwierdziłeś, że facet z rudymi włosami to jednak nie jest Jack. Sam mówiłeś, że to wzbudziło w tobie złe przeczucia, chociaż nie umiałeś określić konkretnej przyczyny.

Z wcześniejszych doświadczeń Jarrett wiedział, że jeśli Tracer ma złe przeczucia, trzeba go uważnie wysłuchać. Już kilka razy się zdarzyło, że szósty zmysł Tracera wybawił ich od wystawienia się na strzał. Kiedy przygotowywali zasadzkę, możliwość wyjścia z niej z życiem bazowała między innymi na założeniu, że strona przeciwna dysponuje analogicznym zespołem snajperskim, nastawionym na ich

zlikwidowanie, szukającym możliwości wciągnięcia ich we własną zasadzkę, nim zdążą wykonać swoje zadanie. Nawet w najbardziej zapadłej dziurze, w której dotąd wykonywali zadania, zawsze natykali się na taki wrogi zespół. I ten najczęściej odpowiadał ogniem. Jarrett i Tracer pamiętali przyjaciół, którzy zginęli tylko dlatego, że któryś z nich, snajper lub obserwator, nie dysponował żadnymi specjalnymi umiejętnościami w drodze do celu akcji. Tracer miał wyjątkowe zdolności łączenia przypadkowych obserwacji, zapachów, dźwięków czy choćby zwykłych zmarszczek na tkaninie w jeden ogólniejszy obraz i skupiania się na nim, dopóki nie wyłowił z niego wszelkich zagrożeń związanych z najbliższym otoczeniem obiektu.

– Chcesz powiedzieć, że być może staliśmy się czyimś celem? – zapytał Jarrett, czując, jak jeżą mu się włoski na karku. Trzepnął się po nim otwartą dłonią, jakby zabijał siedzącego tam komara, po czym skupił się ponownie na ustawieniu bil na suknie.

Tracer zamknął swojego laptopa, usiadł na kanapie i przeciągnął się, spoglądając wciąż na widok za balkonem. Standardowa procedura operacyjna działań w warunkach wielkomijskich nakazywała ustalenie linii czystego strzału do celu i zabezpieczenie się przed możliwością ataku ze strony zespołu przeciwnika operującego w tym rejonie. Była namiastką polisy ubezpieczeniowej na wypadek śmierci w podobnej zasadzce. Powinna stać się ich nawykiem, chociaż od wielu lat nie zetknęli się z innym snajperem, który usiłowałby do nich strzelać.

– Coś podpowiada mojemu *mojo*, że ktoś tam czyha na zewnątrz – mruknął po chwili, otwierając jedno oko i zaciskając palce na swoim woreczku z talizmanem. – Jeszcze nie wiem kto, ale na pewno się dowiem.

Ta sama determinacja uczyniła go kiedyś jednym z głównych kandydatów do zawodowej drużyny futbolowej. Ale wtedy owo coś, co czaiło się na zewnątrz, schwytało go przez zaskoczenie, ściągnęło na ziemię z obłoków, postawiło przed sądem, a w końcu wystrzeliło z armaty wprost do Korpusu Marines. Zanim zdążył się pozbierać i otrząpać z kurzu, był już w terenie i namierzał dla Jarretta „chudzielców” grasujących w Mogadiszu. Na pewno nie mógł dopuścić, żeby coś podobnego przytrafiło mu się po raz drugi.

Jarrett odstąpił od stołu, usiadł przy karabinku snajperskim i popatrzył przez lunetkę wzdłuż jego lufy zakończonej tłumikiem. Miał czysty widok na balkon, na którym powinien pojawić się Somporn.

– Chcesz powiedzieć, że zostaliśmy w coś wrobieni? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem.

Tracer wstał z sofy, sięgnął po lornetkę i zaczął przez nią lustrować horyzont. Po chwili zerknął przez ramię na partnera stojącego przy stole i w zamyśleniu wodzącego dłonią po niebieskim suknie. Od razu odgadł, że przyjaciel powędrował wspomnieniem do tamtego wieczoru sprzed lat w Hua Hin, kiedy to Jack Malone nie

zjawił się na umówionym spotkaniu. Powód tego był bardzo prosty. Już nie żył.

– Myślisz, że twoja ukochana jest już w drodze do rodzinnych pasiek w Surin? Patrzyła na tego detektywa takim wzrokiem, jakby była nim zainteresowana bardziej niż pszczołami.

Jarrett uśmiechnął się, jak gdyby uwolniony na chwilę wyobrażeniem dziewczyny z plecakiem na ramionach.

– Jej rodzina straciła wszystkie roje. A tylko dzięki nim zarabiała na życie. Mam jednak nadzieję, że faktycznie jest teraz w drodze do domu.

Tracer zaśmiał się krótko, spoglądając na Jarretta z zapalem muskającego palcami sukno stołu bilardowego, jakby spodziewał się znaleźć pod nim odpowiedzi na nurtujące go ważne pytania.

– Chłopie, jesteś niepoprawnym marzycielem. Ta dziewczyna nigdy nie wróci na wieś i nie zajmie się hodowlą pszczoł. To nie leży w naturze życia.

33

W przeddzień zniknięcia Caseya McPhail dotarł za nim do przychodni okulistycznej przy Soi Thong Lo. Następnego ranka Calvino ruszył tym samym tropem. Przychodnia, zlokalizowana w bogatszej części Sukhumvit Road, nie tyle bazowała na statystykach mówiących o większej liczbie osób z wadami wzroku w tym rejonie, ile na założeniu, że zagęszczenie chińskich hurtowni gwarantuje szybki i duży zysk ze stworzenia całej sieci podobnych placówek. Musiały one jednak konkurować z zakusami inwestorów, czy to osiedli mieszkaniowych, czy budowli komercyjnych, a więc z salonami piękności, barami szybkiej obsługi, centrami handlowymi, biurami, nocnymi klubami, zajazdami czy komisami wystawiającymi używane samochody. Na szczęście Casey wybrał przychodnię nieco oddaloną od głównych arterii, co oznaczało, że jej zyski nie są bezpośrednio uzależnione od natężenia ruchu ulicznego. Klientela przychodni wywodziła się głównie z miejscowych wyższych sfer, a więc ludzi, którzy polegali na opiniach znajomych i byli gotowi wydeptać własne ścieżki do tej przychodni, choćby mieściła się na szczycie góry. Pierwsze wrażenie po dotarciu na miejsce było takie, że w miejscu przychodni powstał sklep z kwiatami przeznaczony dla bogatszej klienteli, a więc narzeczonych czy świeżo zakochanych, nie mówiąc o uczestnikach ślubów czy pogrzebów. Trzeba było mieć dużo dobrej woli, żeby odwiedzając punkt na parterze, nie zwrócić uwagi na intensywny zapach róż, bodziszka i jałowców przeplatający się z wonią *torn yam gung* dolatującą z resztek lunchu zostawionych przez sprzedawcę. Wkraczająca tu kobieta mogłaby doznać lekkiego zawrotu głowy od mieszaniny zapachów, natomiast mężczyzna mógłby pomyśleć, że przez pomyłkę znalazł się w damskiej toalecie.

Nad sklepami zapełniającymi parter budynku wznosiły się liczne piętra o innym przeznaczeniu, a więc szeregi supernowoczesnych apartamentów i biur do wynajmu, przeznaczonych głównie dla bogaczy pragnących oddzielić się barierą od przeciętnych Tajlandczyków. Oczywiście wszystko było nastawione na

zagranicznych klientów, europejskie kuchnie i amerykańskie salony, do spółki z chińskimi rodzinnymi kapliczkami. Tak więc budynek wypełniony mieszkańcami pochodzącymi z różnych narodowości przypominał ul. zamieszkaną przez przedstawicieli różnych owadów żyjących obok siebie ramie w ramie. Był domem dla wszystkich i dla nikogo. Kolumnady, balkony i fontanny pod wysoko sklepionymi stropami stanowiły mieszankę stylów gotyckiego, delfickiego i wiktoriańskiego, z akcentami zaczerpniętymi z magazynów wyposażenia wnętrz, mającymi zapewnić firmowy dostatek elitom mieszkających tu farangów. Wnętrza przypominały bowiem stereotypy kojarzące się z najbardziej ekskluzywnymi domami publicznymi, tyle że rozmnożonymi na dwadzieścia dziewięć pięter.

Idąc za wskazówkami McPhaila, Calvino zagłębił się w osiedle wieżowców. Jeden z nich wyróżniał się wysokością i elegancją, przy wejściu stał portier w uniformie. Od razu go rozpoznał. To w tym budynku, na dziewiątym piętrze, miała swoje mieszkanie Kocica. Obserwował go przez pewien czas. Ten wieżowiec, jak wiele innych podobnych apartamentowców w Thong Lo, zdawał się odległy o lata świetlne od salonu fryzjerskiego, w którym stare matrony grały w madżonga i zajmowały się łapówkami na wsparcie kampanii wyborczej Somporna. Zaciekawilo go, czy jej siostra, która pracowała w tamtym salonie, chociaż raz widziała mieszkanie Kocicy. Ta bowiem awansowała znacznie wyżej niż tylko z ulicznego poziomu podrzędnego salonu piękności do przybytków przeznaczonych dla miejscowej klasy średniej. Pokonała naprawdę długą drogę. A zawdzięczała to wyłącznie jemu.

Doszedł szybko do wniosku, że siostra musiałaby być pod wielkim wrażeniem. Mieszkanie w tego typu wieżowcu zapewniało Kocicy tak eksponowaną pozycję, że pewnie musiała się rozglądać na boki, wchodząc do budynku i wychodząc z niego. Ale czy była w stanie utrzymać to, co posiadała? Wobec *mia noi* zawsze pojawiały się tego rodzaju pytania. Bo brak poczucia bezpieczeństwa – o ile nie dysponowała równie dochodową odskocznią – potrafił każdą *mia noi* wprowadzić w stan od łagodnej paranoi do zwierzęcej wściekłości.

Calvino pojechał jednak dalej, wypatrując przychodni okulistycznej. Oba budynki znajdowały się po tej samej stronie ulicy. Cóż takiego mógł robić Casey w sąsiedztwie mieszkania Kocicy? Czemu wcześniej najął go do śledzenia kobiety, o której dobrze wiedział, gdzie jej szukać? Trudno było oczekiwać odpowiedzi na te pytania od McPhaila. On sam nie mógł wciąż ogarnąć wszelkich konsekwencji faktu sąsiedztwa przychodni okulistycznej z blokiem, w którym mieszkała Kocica.

Wkroczył do mocno wyperfumowanego głównego lobby pawilonu. Wzdłuż jednej ściany ciągnęły się sklepy. Przy drugiej były ruchome schody prowadzące na piętro. Ochroniarz w uniformie siedział w recepcji, pochylał się nad lustrem, wyrывał sobie z brody pojedyncze włoski i tylko od czasu do czasu zerkał na ludzi

kierujących się do windy.

W drodze do kliniki owionął Calvina zimny podmuch, który przypominał mu kanadyjski front atmosferyczny przetaczający się przez Nowy Jork, ścinający lodem kałuże w górnym East Side, a właściciele tamtejszych posesji przyprawiający o dreszcze. Zatrzymał się przed przychodnią i zajrzał przez okno do środka. Za kontuarem siedziała *ying* po trzydziestce, ubrana w biały fartuch i pielęgniarski czepek. Musiała budzić pełne zaufanie u ludzi, którzy szukali tu fachowej porady. Przychodnia stylem wykończenia przypominała skrzyżowanie szpitala z modnym i drogim ośrodkiem uzdrowiskowym.

– Czy był pan umówiony? – zapytała pielęgniarka czy recepcjonistka, w każdym razie pracownica przychodni, która układała pasjansa na komputerze. Miała znudzoną minę i ciężkie powieki, a kąciki jej ust wyraźnie opadały ku strefie niezadowolenia. Kiedy Calvino pokręcił głową, zapatrzyła się w jego oczy, jak gdyby szóstym zmysłem próbowała ogarnąć jego problem.

– Mój przyjaciel, pan Casey, polecił mi waszą przychodnię w celu zbadania wzroku.

– Proszę wypełnić ten formularz. – Położyła przed nim na kontuarze zadrukowany arkusz.

– Pamięta pani Casey'a?

Już po jej minie było widać, że go nie zna. Wyjął więc z kieszeni fotografię mężczyzny i podetknął jej pod nos.

– To jest Casey.

Wsunęła na nos okulary i spojrzała na zdjęcie. Po chwili skinęła głową.

– Tak, pamiętam go. Dopasowywaliśmy mu soczewki kontaktowe.

A więc jednak czegoś się dowiedział. Jednocześnie nawiązał z recepcjonistką rodzaj znajomości, który zawsze pozwala kobiecie się rozluźnić. Na jej policzkach znowu wykwitły rumieńce i nawet uśmiechnęła się słabo. W gruncie rzeczy oboje tak samo dobrze wiedzieli, że to właśnie Casey uwolnił ją od lęku przed nieznanym farangiem wkraczającym tu z ulicy.

– Czy już je odebrał? Zajrzała do karty pacjenta.

– Tak, wczoraj zszedł na dół, żeby je odebrać.

– No właśnie, skoro mieszka na górze.

Uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej uszczęśliwiona, że wie aż tyle na temat pacjenta.

– Zgadza się. Mieszka tutaj, nad nami.

Obróciła w jego stronę kartę, z której wynikało jasno, że zajmuje mieszkanie na dziewiątym piętrze.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Zamyśliła się na chwilę, jakby nagle nabrała podejrzeń co do intencji Calvino.

– Nie pamiętam.

Jemu to wystarczyło. Wyciągnął z niej wszystko, co było można, więc teraz po jej twarzy przetoczył się zimny front, zmrażając wszelkie odbijające się na niej uczucia.

– Może pan już wejść do lekarza – powiedziała. Spojrzał na zegarek.

– Zastanowię się jeszcze. Powinienem zjeść lunch. Lepiej nie robić badania wzroku przed posiłkiem, prawda? Na głodnego zawsze kiepsko widzę.

Wniosek dotyczący niezbędnego dowozu kalorii zawsze na Tajach robił pożądane wrażenie. Jakby w nawiązaniu do powszechnej, przerażającej obawy przed głodem stanowił tradycyjne powitanie: „Zjadłeś już swój ryż?”. Nikt nie miał śmiałości, aby się wtrącać w rozkład dnia osoby, która w danej chwili odczuwała głód. I absolutnie nikt nie ośmielał się oponować, jeśli ktoś wykazywał chęć jak najszybszego napełnienia brzucha. Tutaj tak to wyglądało. Tajowie nie znali pojęcia apetytu, wiedzieli tylko, że coś w ich trzewiach wywołuje nagle poczucie głodu. Calvino popatrzył jeszcze na cień czegoś w jej oczach, co mogło być wyrazem współczucia, zanim powtórzył, że jest głodny.

– Ale wróci pan do nas, prawda? – zapytała.

– Zaraz po tym, jak rozprawię się z solidną porcją klusek – powiedział, wyjmując jedną z ulotek tkwiących w stojaku na kontuarze.

Nie wypełnił formularza. Szczerze mówiąc, nie zrobił niczego, co pozwalałoby go zaliczyć do grona klientów przychodni – ograniczył się wyłącznie do garści pytań. Ale wychodząc, był pewien, że recepcjonistka go zapamięta. Mogła nawet zadzwonić do Caseya i uprzedzić go, że ktoś o niego pytał: jakiś farang, który wkroczył do kliniki zziębnięty od podmuchów klimatyzacji i tak zgłodniały, że postanowił rozprawić się najpierw z miską klusek. Tyle że głód nie powstrzymał go od zadania wielu pytań o charakterze osobistym. Aż nie mogła uwierzyć, że te pytania w jego umyśle zdołały pokonać chęć natychmiastowego napełnienia żołądka. Z takimi rzeczami Tajowie bardzo rzadko mieli do czynienia.

Zatrzymał się przed drzwiami i odwrócił.

– Lubi pani jazz?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Słyszała pani o jazzowym gitarzyście nazywanym „Kulką”?

Pochyliła głowę w bok, jakby usiłowała sobie przypomnieć ten pseudonim.

– Jest Tajem?

– Przynajmniej był wczoraj wieczorem, kiedy z przyjacielem ucieliśmy sobie z nim pogawędkę.

34

Pułkownik Pratt i Calvino zaczekali, aż „Kulka” wysiądzie ze swego czerwonego sportowego auta. Zaparkował w tym samym miejscu co zwykle, na wprost wejścia do klubu Saxophone. Kiedy zaś on ich zauważył, zaczął nerwowo przebierać kluczykami, jakby zamierzał wskoczyć z powrotem za kierownicę, lecz ta reakcja była wyraźnie spóźniona. Calvino wyrwał mu kluczyki z ręki i pchnął go plecami na błotnik auta.

– Zamierzasz dopuścić, żeby jakiś farang zrobił to twojej rodaczce?

Kulka zrobił zdumioną minę i obrzucił ich nienawistnym spojrzeniem, a dolna warga wyraźnie mu zadrżała. Ale pułkownik Pratt wpatrywał się w jego twarz z obojętną miną

– Są pewne niedokończone sprawy...

– Ale ja nie mam nic więcej do powiedzenia – rzucił desperacko muzyk, splatając ręce na piersi. – Przede wszystkim chcę się widzieć ze swoim adwokatem.

Było to żądanie wyjęte żywcem z amerykańskich seriali telewizyjnych, w których Amerykanów zawsze bronili wytrawni adwokaci. Tajowie nie czuli przed nimi respektu. Istniały siły dużo potężniejsze niż prawo i prawnicy występujący przeciwko tym siłom znikali bez śladu. Tak więc o wszystkim decydował strach, a Kulka musiał się właśnie zmierzyć ze swoim najgorszym nocnym koszmarem. Calvino musnął palcami dziurkę od klucza pod klamką w drzwiach samochodu.

– Taki wóz zapada ludziom w pamięć. Musisz bardzo uważać, żeby nie został zarysowany. Oczywiście możesz mnie zaskarżyć. – Mówiąc to, przeciągnął kluczykiem po drzwiach, zostawiając szeroką brzydką smugę w lakierze sportowego auta. – Nadal nie masz nic do powiedzenia? W końcu dopiero zacząłem swoją zabawę. – Podniósł rękę i wyciągnął ją nad maską, co poskutkowało tak, jakby wymierzył gitarzyście solidnego kopa między nogi.

Tamten skoczył do przodu i złapał go za rękę.

– Zaczekaj! Nie rób tego!

Calvino pchnął go na maskę samochodu.

– Lepiej ze mną nie zaczynaj, Kulko.

– Porozmawiajmy – wtrącił pojednawczo pułkownik Pratt.

Tubylec spojrzał na Calvina.

– Mogę dostać moje kluczyki?

– Jeśli zgodzisz się na krótką szczerą rozmowę – odparł detektyw.

– Naprawdę nie potrwa długo – dodał pułkownik. Calvino odsunął się o krok i stanął ramieniem w ramię z Pratem. Kulka nerwowo zerkał na jednego i na drugiego, jakby próbował znaleźć dla siebie najlepszą drogę wyjścia, bo nie wiedział jeszcze, z kim najlepiej się dogadywać. Odruchowo postawił na standardowe założenie: należało zaufać Tajowi, bo tylko on mógł pomóc.

– Nasz zespół zaraz wychodzi na scenę – rzekł, odwołując się do miłośnika jazzu, jakim był Pratt. – Jeśli nie zdążę na czas, zaczną mnie szukać.

– Donikąd się nie wybieramy – odparł pułkownik. – Wystarczy nam kilka minut, Kulko. Tyle możesz nam poświęcić, prawda?

Gitarzysta skinął głową, westchnął ciężko i ze wzrokiem wbitym w ziemię ruszył za Pratem do zaparkowanego nieopodal volva. Zajął miejsce z tyłu, obok pułkownika, a Calvino usiadł za kierownicą i uruchomił silnik, żeby włączyła się klimatyzacja. Kulka, wtulony w drzwi auta, siedział przygarbiony, jak dziecko oczekujące nieuchronnej kary. To detektyw podsunął pomysł takiego prywatnego przesłuchania, a Pratt uznał, że przyjazd do klubu i nakłonienie Kulki do rozmowy nie powinny przysporzyć problemów.

W tej samej chwili przed samochodem pojawiła się *ying*, która przystanęła, ujrzawszy Calvina za kierownicą. Uśmiechnęła się szeroko i zapukała w szybę. To była Amy, dziewczyna, która zamówiła całą butelkę Johnniego Walkera dla przyjaciół, a jego zlekceważyła. Szła właśnie na następne spotkanie z maszynką do robienia pieniędzy.

Opuścił szybę i powiedział:

– Do zobaczenia w środku.

Popatrzyła na mężczyzn siedzących z tyłu.

– Cześć, Kulko – rzuciła z uśmiechem. – Grasz dzisiaj?

– Tak, gram. Do zobaczenia w środku – odpowiedział, szczerząc zęby w uśmiechu.

Jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem całą trójkę. Calvino przypomniał sobie, że zapisała swój numer telefonu na podkładce od piwa i podała ją gitarzyście. Żaden nie odezwał się ani słowem.

– Jasne, spotkamy się później w środku.

Detektyw podniósł z powrotem szybę i dziewczyna po sekundzie zawróciła w stronę wejścia do klubu. Wykręcił się na fotelu i popatrzył ostro na Kulkę. Ten

uprzytomnił sobie, że oto nagle znalazł się sam na sam z dwoma mężczyznami, których wolałby już nigdy nie widzieć na oczy. Jeszcze bardziej się skulił przy drzwiach auta, tylko ramiona mu sterczały jak druty parasola. Przypominał nietoperza, który odpadł od stropu jaskini i przestraszony, mrugając szybko, rozglądał się nerwowo.

Pułkownik Pratt postanowił zatrzasać klapę pułapki.

– Casey rzucił cię na pożarcie. Powiedział, że to ty zabiłeś Nongluck w Pattai. Może się to dla ciebie bardzo źle skończyć.

– Powiedział, że to był twój pomysł, bo chciałeś w ten sposób pomóc Kocicy – dodał Calvino.

– Jeśli chcesz, żebyśmy wstawili się za tobą, lepiej powiedz szczerze, co się tam wydarzyło.

Na twarzy gitarzysty odmalowało się przerażenie. Szukał gorączkowo odpowiedzi, czy ten oficer policji wraz ze swoim przyjacielem farangiem nie próbują go w coś wrobić. Być może nie znał jeszcze gry zwanej „dylematem więźnia”, ale nie musiał jej znać, wystarczyło, że intuicyjnie pojmował jej zasady. A ów dylemat oznaczał konieczność podjęcia trudnej decyzji: czy należało wydać współnika przestępstwa, zanim on to zrobi, czy też niezależnie od twierdzenia policji można było zachować pakt dozgonnego milczenia. Gdy policja twierdzi, że współnik pierwszy zaczął sypać, właściwą reakcją jest uznanie tego za bluff. Tyle że strach i wątpliwości często rujnują zasady tej intelektualnej rozgrywki.

– Nie znam żadnego Caseya – zagrał na zwłokę Kulka.

– Nieprawda – rzekł Calvino. – Kierownik klubu widział, jak z nim rozmawiałeś.

– Rozmawiam z wieloma ludźmi, ale to nie oznacza, że wiem, jak oni się nazywają.

– Ten farang to były wojskowy. Dobrze zbudowany, muskularny, silny, zwykle nosi duże ciemne okulary. Nie zdejmuje ich nawet po zachodzie słońca. Tyle chyba wystarczy. Powinieneś go pamiętać – wyjaśnił pułkownik, obracając się nieco w stronę Kulki.

Gitarzysta zamyślił się na chwilę.

– Tak, chyba widziałem takiego faceta. I co z tego? Calvino wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Pratem. Muszla ostrygi rozchyliła się odrobinę, teraz trzeba było wygarnąć ze środka ciało małża i sprawdzić, czy nie ma tam perły.

Otworzył schowek w desce rozdzielczej, wyjął notes, wyrwał z niego kartkę i zapisał na niej numer telefonu komórkowego Caseya. Podał go Kulce i rzekł:

– Sam mi go podyktował. To zastrzeżony numer. Powiedział, że Nongluck go znała. I że ty także go znasz. Dodał, że na pewno zrozumiesz. Zapewne masz go w swoim notesie.

– Kiedy po raz ostatni widziałeś się z Caseyem? – zapytał Pratt.

Ball podniósł wzrok znad kartki z numerem telefonu.

– Kilka dni temu – odparł.

– Przed jego wyjazdem z miasta?

– Nie wiedziałem nawet, że wyjechał.

– Niektórzy twierdzą, że wiedziałeś – mruknął detektyw.

– Ale naszym zdaniem on jest nadal w Bangkoku – ciągnął pułkownik z kamienną miną, jakby przytaczał niezbity fakt.

– Nie wiem, czy jest w Bangkoku. – Kulka popatrzył na Pratta, jakby jeszcze liczył, że on weźmie jego stronę. – Naprawdę. Skąd miałbym to wiedzieć?

– Bzdura – warknął Calvino.

– I nie masz pojęcia, dlaczego zeznał, że to ty zabiłeś Nongluck? – zapytał pułkownik.

Ball zgniótł w garści kartkę z notesu.

– Więc opowiedz nam swoją wersję wydarzeń, Kulko – rzekł detektyw. – Ten farang chce cię wpakować w kłopoty po uszy. My to wiemy. Nie jesteś winien. Ale Casey to niebezpieczny gość. Wiem to równie dobrze jak ty. Masz pełne prawo się bać.

Swąd, który do tej pory oznaczał tylko ewentualność pułapki zastawionej przy tych dwóch, zmienił się w odrażający fetor możliwej zdrady Casey'a, toteż gitarzysta poczuł nagle, że musi jak najszybciej wyrównać rachunki. Casey przyłądził do Saxophone, żeby go bliżej poznać. Stawiał mu drinki, zaprzyjaźnił się z nim. Wreszcie zapytał, czy nie chciałby dla niego pracować. A że potrzebował wtedy gotówki, bez wahania zgodził się na intratną współpracę.

– Zaproponował ci pieniądze? – zapytał pułkownik.

– Tak. Po tym, jak mnie śledził.

– Śledził cię?

Muzyk wzruszył ramionami i zakołysał głową na boki, jakby grał na gitarze.

– Miało to coś wspólnego z Kocicą. Uczyłem jej siostrzeńca gry na gitarze.

– Ile ci zapłacił? – zainteresował się Calvino.

– Dwadzieścia tysięcy bahtów.

– Za miesiąc? Za rok? – wtrącił Pratt.

– Za tydzień.

Calvino uniósł brwi. Dla kogoś w rodzaju Kulki były to bardzo duże pieniądze. Wysokie miesięczne opłaty za jazdę sportowym autem wymagały pewnych kompromisów. Pozostawało pytanie, co takiego mógł on zapewnić Caseyowi, że było warte aż takiej sumy.

Casey musiał się dowiedzieć, że Kulkę łączą z Kocicą dość bliskie stosunki, i to nie tylko z zakresu muzyki, ale obejmujące też tak zwane „gig”, czyli dorywcze występy, tajską odmianę luźnego związku seksualnego bez żadnych zobowiązań.

W tym zakresie Kocica nie różniła się od innych dodatkowych żon, potrzebowała jakiejś odskoczni, czegoś dla zabicia czasu w oczekiwaniu na telefon i dla zabicia nudy przepełniającej długie okresy między niezbyt częstymi wizytami mecenasa. A Kulka jej się podobał. Potrafił ją rozbawić, pięknie grał i śpiewał piosenki o miłości. Często tańczyli na balkonie jej mieszkania. Poza tym nie były to „gig” w czystej postaci, gdyż Kocica płaciła mu za spotkania. Uzupełniając tymi pieniędzmi dochody z nauki gry na gitarze i doliczając niespodziewane zyski ze zleceń wykonywanych dla Casey, gitarzysta poczuł się tak, jakby jechał na gapę na dachu wagonu pełnego świń, zapomniał tylko, że ten pociąg na pewno skończy kurs w rzeźni.

– Co robiłeś dla Casey? – zapytał Calvino.

Tamten zagryzł wargi i obrzucił ich obu wzrokiem pełnym strachu i nienawiści.

– Przecież nie płacił ci za nic, Kulko. Czego chciał?

– Zapłacił za to, żebyś zabił Nongluck? – odezwał się Pratt.

Muzyk zmienił nagle nastawienie, wyprostował się i tak ciasno skrzyżował ręce na piersi, jakby był związany kaftanem bezpieczeństwa. Wiadomo było, że gdy ktoś taki jak on już zacznie gadać, to jakby strzeliła uszczelka w prysznicu i nagle wszyscy zostali zmoczeni. Zaczął od tego, że umowa z Caseyem była prosta. Miał mu donosić na temat stosunków Kocicy z Sompornem. Od tego się zaczęło. Ale gdy tylko wziął od Amerykanina pieniądze, ten oskarżył go o rozsiewanie plotek, po czym uznał, że można to wykorzystać, i powiedział mu o romansie Nongluck z Sompornem. Był pewien, iż ta informacja dotrze do Kocicy.

I tak się też stało. Dziewczyna bardzo źle to przyjęła. Dostała napadu wściekłości, stłukła wazon, wrzeszczała na całe gardło, płakała i pomstowała na znajomą. Była tylko dodatkową żoną, więc całe jej życie znalazło się w zagrożeniu. A naoglądała się wystarczająco dużo tajskich oper mydlanych, żeby rozumieć, iż Kulka spodziewa się – podobnie zresztą jak ona sama po sobie – jakiegoś dramatycznego wybuchu, choćby służącego wyłącznie rozładowaniu emocji. Podstawą było to, że nie zamierzała zrezygnować z kontaktów z Sompornem, nie chciała się nim dzielić z innymi dziewczynami. Istnienie prawdziwej żony w dostateczny sposób przyprawiało ją o ból głowy.

Niemniej układ, w którym miałyby jeszcze brać pod uwagę szereg *ying*, groził tym, że błyskawicznie złączą obowiązki inne prawa. Casey, jeśli wierzyć Kulce, nakłonił go do przekonania wzburzonej, szukającej rewanżu Kocicy, że dopóki Nongluck żyje, będzie istniało ryzyko anulowania jej przepustki do wielkich bogactw. Dostała istnej obsesji na punkcie zagrożenia i zaczęła mieć nocne koszmary o tym, że Somporn wyrzuci ją razem z siostrzeńcami z mieszkania na ulicę. To ona zawyrokowała, że jeśli Kulka naprawdę ją kocha, musi jej pomóc wyeliminować zagrożenie. W efekcie spełniły się wszelkie oczekiwania Casey. Gitarzysta stworzył

przed nim tylne drzwi do tajemnego życia Somporna. A Kulce bardzo się spodobało nowe, dobrze płatne zlecenie Caseya, toteż ochoczo dzielił się z nim na bieżąco wszelkimi informacjami po każdym spotkaniu z Kocią.

– Zatem chcąc pomóc Meow, zabiłeś Nongluck – podsumował Calvino.

– Nie zabiłem jej.

– Casey powiedział, że to zrobiłeś – dodał pułkownik Pratt.

– Nie zrobiłem tego.

– Więc kto? – odezwał się znowu detektyw.

– Casey – rzucił Kulka. – Ja go tylko zawiozłem do Pattai. Powiedziałem mu, że tego nie zrobię. A on odparł, że to bez znaczenia, bo znajdzie inny sposób załatwienia tej sprawy.

– Dlaczego Caseyowi miałyby zależeć na śmierci dziewczyny?

Nongluck była z synem Caseya, kiedy ten został uprowadzony w ciemnym zaułku. I ten nigdy się nie pogodził z faktem, że dziewczyna dopiero godzinę później zawiadomiła policję. Powiedziała, że była śmiertelnie przerażona, bo człowiek kierujący grupą, która porwała Joela, zagroził, że ją zabije, jeśli wezwie policję. Dlatego dopiero po godzinie zdobyła się na odwagę. Inna kobieta w jej sytuacji pewnie w ogóle by nie zadzwoniła. Ostatecznie Casey wybaczył jej to opóźnienie. Była młoda i przerażona, a tamci mieli broń. Dlatego bała się ryzykować. Ale i to nie zakończyło sprawy, gdyż Casey nabrał podejrzeń co do jej rzeczywistej roli w porwaniu. Czy naprawdę tylko przypadkiem zaproponowała tamtego wieczoru wcześniejszą kolację, do tego po drugiej stronie rzeki Chao Phraya, a więc już w Thornburi, w mało znanej i podejrzanej restauracji położonej na jakimś zadupiu?

Skąd zbirzy Somporna mogłyby wiedzieć, że zastaną Joela właśnie na tamtej ciemnej *soi*, dokładnie o tej porze, gdyby nie miały dostępu do informacji z pierwszej ręki? A któż lepiej od Joela troszczył się o to, by tego typu informacje pozostawały tajemnicą?

Ying Johna Dillingera była ubrana w czerwoną suknię, co stało się sygnałem dla polujących na niego ludzi. Policja otworzyła ogień i zabiła bandytę. To był dla niego i tak lepszy koniec od losu, jaki spotkał Joela. Wywieziono go sześćdziesiąt kilometrów za miasto, związano, bito, torturowano, wreszcie zastrzelono. Syna Caseya spotkał najgorszy z możliwych rodzaj śmierci, i to z ręki zbirów pragnących zamienić tę śmierć w jednoznaczny wiadomość: nie przysyłajcie tu ludzi mogących sprawiać kłopoty. A ponieważ Casey doskonale się znał na metodach i technikach tortur, na podstawie zdjęć syna wywnioskował, że starano mu się zadać jak najwięcej bólu.

Poprzedniej nocy, gdy Calvino wracał do biura, także zasmakował podobnego przesłania: nie stwarzaj więcej kłopotów. Dlatego teraz słuchał Kulki, potakując ruchem głowy, i tylko zerkał na pułkownika, a gdy wyczuł odpowiedni moment,

zapytał:

– Byłeś z Nongluck w hotelu, kiedy płaciła za zmianę mojej rezerwacji?

Gitarzysta zrobił zdziwioną minę.

– Zmianę rezerwacji? Nie rozumiem.

Wszystko wskazywało na to, że mówi prawdę. Niemniej, z punktu widzenia Caseya, Nongluck nie zasługiwała na jego uwagę, dopóki nie stwierdził, że coś ją łączy z Sompornem. Od razu wbił sobie do głowy, że ten związek narodził się jeszcze przed śmiercią Joela. I doszedł do wniosku, że dziewczyna nie ma już żadnych wytłumaczeń. Musiała być zamieszana w zabójstwo jego syna.

Tylko dlaczego postanowił wmieszać także mnie? – zapytał się w myślach Calvino. Ale to było pytanie wyłącznie do Caseya.

Zależało mu na pewnym i skutecznym planie załatwienia Somporna. Nie wierzył, by dało się skutecznie powiązać polityka z zabójstwem dziewczyny. Wcześniej wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na odpowiedzialność Somporna za śmierć jego syna, a mimo to nie został nawet postawiony w stan oskarżenia. Był bardzo przebiegły. Gdyby więc Casey poszedł tą drogą, musiałby znaleźć coś więcej niż znaki na niebie i ziemi wskazujące jego jako zabójcę. Śmierć Nongluck miała swoje własne, odrębne powody. Chyba najważniejszym z nich była chęć odwetu za śmierć syna. A gdyby jeszcze przy okazji udało się przygwoździć prywatnego detektywa, wynajętego wcześniej do śledzenia Kocicy, upiekłoby się dwie pieczenie przy jednym ogniu. Mimo to Calvino wciąż biedził się nad pytaniem, dlaczego Casey zadał sobie aż tyle trudu, żeby go wplątać w zabójstwo dziewczyny.

Pułkownik Pratt sięgnął nad kolanami Kulki i otworzył drzwi auta.

– Możesz już iść – powiedział. – Tylko pamiętaj, jeśli potwierdzi się wersja Caseya, a twoje słowa okażą się kłamstwem, znajdziesz się w takich kłopotach, jakich sobie nawet nie wyobrażasz.

– Mówiłem prawdę. Nie zabiłem Khun Nongluck.

– A widziałeś, że zrobił to Casey? – zapytał detektyw.

– Nic nie widziałem.

Kulka wysiadł z samochodu, szybkim krokiem obszedł maskę i zniknął w wejściu do klubu.

– I co o tym sądzisz, Pratt?

Pułkownik rozsiadł się wygodniej.

– Myślę, że kłamie.

Calvino uważał, że gitarzysta przedstawił wystarczająco dużo prawdziwych informacji, by się uwolnić od groźby natychmiastowego oskarżenia.

– Ale to oznacza, że Casey zaszył się gdzieś jak mysz pod miotłą – przyznał. – Powinien jednak chcieć tego, abym go znalazł.

– Pewnie myślał, że wylądujesz w więzieniu w Pattai i znikniesz mu z oczu –

odparł Pratt.

– Sądziś, że to dowód jego przebiegłości? Pułkownik utkwił spojrzenie w parze idącej ulicą. Zaczekał, aż znikną im z oczu, zanim odpowiedział:

– Nie wiem. Ale przestrzegałbym przed lekceważeniem go. Zastanów się, Vincent, powinieneś mieć jakiś pomysł, gdzie można by go znaleźć.

Calvino zamknął oczy i głośno westchnął.

– Został tak wyszkolony, żeby zniknąć bez śladu, bez zostawiania za sobą jakichkolwiek wskazówek. Od dawna jest związany z tajnymi operacjami specjalnymi. Jak można szybko odnaleźć człowieka tego rodzaju?

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Vincent.

– Naprawdę nie wiem, gdzie on mógł się ukryć – rzekł z naciskiem Calvino.

Pułkownik wysiadł z auta, podszedł do przednich drzwi i czekał, aż detektyw przesiądzie się na prawy fotel.

– Gdybyś go znalazł, daj mi znać, dobrze?

Calvino przygryzł wargi, sięgając dolnymi zębami prawie do podstawy nosa. Myślał o tym, że pod pewnymi względami niewiele się różni od Kulki. Też brał pieniądze od Casey'a, chociaż wiedział od początku, że to zlecenie z daleka zalatuje trzydniową rybą.

– Dobra, jak go spotkam, powiem mu, że go szukasz.

– Wiem, że już go tropisz – dodał pułkownik, przy czym ton jego głosu sugerował wyraźnie, iż nie oczekuje żadnego potwierdzenia tej tezy.

Ale Calvino i tak postanowił je przedstawić.

– Zabił kobietę i bardzo się postarał wplątać mnie w to zabójstwo. Więc chyba oczywiście, że go tropię.

Pułkownik wyjechał tyłem z miejsca parkingowego. Dobrze rozumiał, że dla Calvina ta sprawa ani trochę nie wiąże się z pieniędzmi. Detektyw faktycznie został wmanewrowany w niezręczną sytuację przez zawodowca, który wykorzystywał go z pełną premedytacją, tak zorganizował wypadnięcie dziewczyny za balkon pokoju hotelowego w Pattai, by zrzucić podejrzenie właśnie na niego. Zatem chodziło o porachunki osobiste. Casey wykorzystał Calvina do zdobycia pewnych informacji, a później chciał się go pozbyć, wplątując w morderstwo.

– Vincent, jako twój przyjaciel chciałbym ci coś doradzić.

– Jak zawsze słucham z uwagą.

Ilekroć pułkownik zaczynał przemowę od „Vincent, jako twój przyjaciel...”, dalsza część miała charakter znaku ostrzegawczego, niekiedy nawet nakazu stopu przed czyhającym niebezpieczeństwem.

– Sam powiedziałaś, że Casey został wyszkolony do prowadzenia tajnych operacji, których nawet nie próbowałeś zrozumieć. Pracował tu w tajnym więzieniu CIA. Wcześniej w innym więzieniu, w Bagdadzie. Jeśli będziesz próbował go dorwać

na własną rękę, zabije cię bez wahania.

Calvino odwrócił głowę i napotkał uważne spojrzenie pułkownika.

– Będę miał to na uwadze – odparł.

– Widzę, że nie doceniasz tego, jaką przewagę daje mu wojskowe wykształcenie – dodał Pratt z wyraźnie wyczuwalną frustracją w głosie.

– Chciał mnie zrobić. Więc dla mnie to sprawa osobista.

– Kiedy człowiek zaczyna coś traktować jak osobiste porachunki, zaczyna też popełniać błędy – rzekł pułkownik. – Casey jak dotąd nie popełnił jeszcze żadnego.

– Ale go popełni, możesz być pewien.

35

Tarczę słońca otaczała aureola utworzona przez pasy intensywne kolorów układających się w tęczę. Marisa stała na chodniku i osłaniając dłonią oczy od słonecznego blasku, wpatrywała się w to niezwykle zjawisko. Niebo przypominało wypolerowaną szarą taflę poprzetykaną okruchami bieli, podobnymi do kryształków mrozu na brudnej szybie. Wprost nie mogła oderwać wzroku od wspaniałej tęczy. Zadzwoiła nawet do Juana Carlosa, kazała mu wyjść na dwór i popatrzeć na to. Oboje zgodzili się, że niebo wygląda nadzwyczajnie. Marisa orzekła nawet, że to jakiś znak. Przed wiekami na taki widok wieśniacy padali na kolana i zanosili modły. Można było sądzić, że ów widok oznacza nadchodzący koniec świata.

Somporn całkowicie zawiódł Juana Carlosa, a jego żona także odmówiła jakiegokolwiek pomocy. „Prosisz o taki drobiazg, Juanie Carlosie”.

Po głowie kołatało jej się katalońskie przysłowie: „Kto ma córkę, ten ma chleb, kto ma syna, musi żebrać”.

Marisa z przygryzionymi wargami czekała na relację brata.

– Powiedział: „Nie rozumiesz sposobu myślenia Tajów”.

– Pamiętam, że w czasie lunchu chwalił cię, że świetnie rozumiesz Tajów.

– Widocznie zmienił zdanie.

– Co to może znaczyć?

W jego głosie pojawiły się nuty gorzkości i smutku, jakby jej brat, będący wiecznym optymistą, nagle przeszedł załamanie.

Odsunął się na krok i ustawił w strumieniu powietrza z klimatyzatora.

– Somporn powiedział, że na Zachodzie najważniejszych ludzi w biznesie czy w polityce łatwo się wymienia, jak przepalone żarówki. Wędrują na śmietnik, gdy tylko pojawi się coś jaśniejszego, lepszego, ładniejszego. Dla Tajów najważniejsi ludzie są niezastąpieni. Nikt nie rzuca im wyzwania. Nikt ich nie zmienia. Wojsko może obalić cywilny rząd. Prezes spółki może zostać zastrzelony. Ale to są ekstremalne przypadki. Zapytałem go wtedy, co to wszystko ma wspólnego

z odszukaniem ojca Fon. A on odparł: „Nie należy się mieszać w nie swoje sprawy. To niepisana zasada”. Odparłem: „Jej ojciec pracuje w jednej z pańskich fabryk, a więc to także nasza sprawa”. A on na to: „To logika Zachodu”.

Nic nie było w stanie odmienić stanowiska Somporna. Sprawa ojca Fon nie była jego sprawą. Pracował w jednej z wielu fabryk należących do niego, w sumie zatrudniających tysiące ludzi, których większość miała takie czy inne kłopoty. I w każdym wypadku to były ich sprawy, a nie jego.

– Zatem Fon i jej ojca łatwo zastąpić, ale jego nie? – zapytała Marisa. – Taki był wydźwięk jego wypowiedzi?

– Owszem. Kazał mi o wszystkim zapomnieć.

– I co, zamierzasz go posłuchać? Zapomnieć o Fon i żyć dalej?

– Jest politykiem...

– A kim ty jesteś?

Somporn zawsze powtarzał swoim znajomym: ochrona tradycyjnych wartości i uczciwy handel zagraniczny. Jego znajomi ze światka biznesu doskonale rozumieli to przesłanie: trzeba wspierać lokalne kartele oraz domagać się równych warunków na rynkach obcych. I to przesłanie zdawało się tworzyć ów rodzaj muzyki, jakiego ludzie wspierający jego kampanię wyborczą chcieli słuchać.

Kiedy się żegnali, w jej pamięć wrył się obraz brata stojącego przed nią ze łzami w oczach, podczas gdy ona osłaniała swoje ręką od jaskrawego blasku, patrząc na tęczową aureolę wokół słonecznej tarczy.

Wybrała numer Calvina.

– Prowadzę teraz obserwację – rzekł. – Trudno mi będzie znaleźć czas.

Poczuła w jego głosie rezerwę, jakby zimnym i wyrachowanym tonem rozmawiał ze swoją potencjalną klientką. Poczuła się urażona.

– Musimy się zobaczyć. To bardzo pilne. Podświadomie Calvino zaliczył Marisę do ludzi, którzy są mu coś winni. Ale przypomniał sobie też ową burzę z piorunami, jaka ich ogarnęła w jej sypialni.

– Też bym się chętnie z tobą zobaczył. To jej wystarczyło.

Wytłumaczył, jak dojechać do restauracji w Thong Lo, naprzeciwko wieżowca, gdzie mieściła się przychodnia okulistyczna i gdzie prawdopodobnie Casey wynajął mieszkanie. Dwadzieścia minut później, poruszona i zmieszana, z rozwianymi włosami, wysiadła z motocyklowej taksówki, zapłaciła kierowcy i wkroczyła do restauracji. Minęła detektywa, jakby go nie spostrzegła. Dopiero kelnerka wskazała jej miejsce przy jego stoliku. Siedział w kącie sali, twarzą do okna. Łatwo było go nie zauważyć, pewnie dlatego wybrał właśnie to miejsce.

Usiadła naprzeciwko niego, tyłem do witryny. Niezwykła aureola wokół słońca, rozmowa z bratem, przejazd motocyklem i ból z powodu losu Fon sprawiły, że była wyraźnie roztrzęsiona i podejrzliwa. A to, że on nawet nie spojrzał jej w oczy, tylko

nasiliło frustrację. Trzymał przy twarzy lornetkę i obserwował przez nią wejście do budynku Caseya. Kiedy się pochyliła, by znaleźć się na linii jego wzroku, odniosła wrażenie, że patrzy przez nią, jakby była przezroczysta.

– Wcale się nie cieszysz z tego spotkania – powiedziała.

Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie słynną kwestię Mae West na widok pistoletu w kieszeni mężczyzny: „...a może jednak się cieszysz, że mnie widzisz?”. Marisa wszakże mówiła ze śmiertelną powagą. Kiedy kobieta idzie z mężczyzną do łóżka, traci tę tajemnicę, ten skarb skrywany przed nim, toteż przy następnym spotkaniu z tęsknotą wypatruje oznak więzi, wszelkich przejawów tego, że on jest wciąż pod jej urokiem, bądź też dowodów na to, że wspólna przygoda miała charakter wyłącznie cielesny i nie ma co liczyć na żadną więź. Wpatrywała się więc w twarz detektywa, próbując rozgryźć, do której klasy mężczyzn ma go zaliczyć.

– Miło mi cię widzieć – odezwał się w końcu. Opuścił lornetkę, pochylił się ku niej i cmoknął ją najpierw w jeden policzek, potem w drugi, a następnie przekrzywił głowę na ramię. W jego rodzinie wszyscy zawsze witali się takimi pocałunkami w oba policzki. Podobne zwyczaje obowiązywały w kulturze katalońskiej. Był to jeden z tych powszechnych, przynoszących pocieszenie obyczajów, dzięki którym ludzie czuli się tak, jakby znali się od dzieciństwa.

– No właśnie, ja też się z tego cieszę. A co do wczorajszego wieczoru, nawet nie miałam okazji ci podziękować. Więc teraz bardzo dziękuję.

Oburącz serdecznie uścisnęła mu dłoń.

– Wybacz, ale prowadzę ważną obserwację. Zatem jestem w pracy. Chcę przez to powiedzieć, że wcale cię nie lekceważę. Ale muszę bacznie uważać na kogoś, kto może się pojawić po drugiej stronie ulicy.

Obejrzała się i popatrzyła za okno.

– Nie rób tego – rzekł szybko. – To przyciąga uwagę. Odchyliła się na oparcie krzesła, osunęła nieco w dół i z naburmuszoną miną z impetem postawiła torebkę na kolanach.

– Przecież każdy, kto spojrzy w to okno, zobaczy, że siedzisz z lornetką przy oczach. Chyba to bardziej przyciąga uwagę – zauważyła, kryjąc uśmiech.

Cóż, towarzystwo inteligentnej kobiety przypomina jazdę z pełną prędkością torem zakończonym betonowym murem. Można liczyć na to, że zdąży się wyhamować i zawrócić, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa wóz musi się zatrzymać na murze w kłębach pary z rozbitej chłodnicy. Calvino odłożył lornetkę na stół.

– Widziałaś ją w moich rękach, gdy wchodziłaś tu z ulicy?

– Nie, ale się nie przyglądałam.

– Szkło w oknie jest przyciemnione.

– A więc nikt nie zwróci na ciebie uwagi. To o co chodzi? – zagadnęła, gdyż

ostatnie słowo musiało należeć do niej.

Nie była jeszcze pewna, jak bardzo jej na nim zależy. Wiedziała jednak, że mogłoby jej naprawdę zależeć, gdyby sobie na to pozwoliła. Na razie jednak poczuła się na tyle odtrącona, że jedyne, czego chciała, to zobaczyć, czego on tak wypatruje po drugiej stronie ulicy.

Jednocześnie chłodny dreszcz przeszedł jej po plecach i poczuła się zła na siebie za łzy, które napłynęły jej do oczu. Miała ochotę natychmiast wyjść. Ale Calvino sięgnął przez stolik i zacisnął palce na jej dłoni.

– Nie zamierzałem lekceważyć twojej sprawy. Po prostu człowiek, którego szukam, wie, że próbuję go odnaleźć. A skoro on jest czujny, to i ja muszę.

– Rozumiem – powiedziała bez emocji. Jeszcze raz ścisnął jej dłoń i powiedział:

– Obserwuję mieszkanie w bloku naprzeciwko. Powiedziałaś przez telefon, że chcesz porozmawiać o Fon i że to pilne.

Z przyjemnością wciągnął w nozdrza zapach jej perfum, delikatną woń róż przypominającą mu o pękach kwiatów stojących w wazonach w lobby tamtego budynku. Marisa miała na sobie jasnoniebieską sukienkę podkreślającą jej zgrabną sylwetkę, a do tego srebrno-złote kolczyki kołyszące się niczym chińskie dzwonki na wietrze, ilekroć odgarniała włosy do tyłu. Odwrócił szybko głowę, gdyż przed oczyma stanął mu widok jej nagiej leżącej w łóżku. Westchnął i zaczerpnął głęboko powietrza, jakby chciał przystąpić do medytacji oddechowych. Miała w sobie coś, chociaż nie była ładna, jakby jej brat jeszcze w łonie matki zarezerwował dla siebie całą urodę. Ale jego to mało obchodziło. Należała bowiem do kobiet, przy których nie można się było skupić na pracy. Mimowolnie zerkał na nią od czasu do czasu, na jej twarz, sukienkę, dekolt, dłonie.

– Co się teraz dzieje z małą?

Nerwowo spłotła palce na stoliku i obejrzała się na kelnerkę, która przyniosła jej szklankę zimnej wody.

– Nic.

Calvino znowu oderwał wzrok od budynku naprzeciwko i spojrzał na nią zdumionym wzrokiem.

– Nic?

Marisa przytaknęła ruchem głowy.

– Co mogę zrobić, skoro wszyscy dokoła wmawiają mi, że nie sposób zrobić tego, co uważam za słuszne?

– Pogratulować sobie i odprężyć się, bo wreszcie dociera do ciebie, jak ten świat funkcjonuje – powiedział. – Albo...

– Nie chce mi się w to wierzyć – przerwała mu. Zalaż jej za skórę, nie wiedziała tylko jak głęboko i ile jeszcze będzie gotowa go tolerować.

– Nie pozwoliłaś mi skończyć – rzekł. – Wyluzuj trochę. W tej sytuacji nie masz

innego wyjścia, bo w przeciwnym razie nigdy nie zdołasz dopiąć swego, czyli tego, co uważasz za słuszne.

– Przecież musi być jakiś sposób, żeby pomóc temu dziecku – syknęła.

Wciąż miała przed oczyma zatroskaną minę Fon, gdy wychodziła z mieszkania na zebranie w agendzie ONZ. Mała złapała ją za rękę i poprosiła, żeby nie zostawiała jej samej. Marisa kucnęła wtedy, pogładziła ją po włosach i powiedziała:

– Wszystko będzie w porządku. Niedługo wrócę.

A Fon wpatrywała się w jej oczy, jakby szukała w nich czegoś, co pomoże jej zwalczyć wątpliwości. Zadała sobie wtedy pytanie, czy w ogóle istnieje coś, co mogłoby na zawsze odsunąć sprzed oczu tego dziecka widmo przerażenia.

Calvino zgarnął wierzchem dłoni łzę spływającą jej po policzku.

– Nie widzę żadnych dobrych rozwiązań ani dla dziecka, ani dla ciebie – powiedział po chwili. – Jeśli pozwolisz jej zamieszkać ze sobą, narazisz się na aresztowanie, utratę pracy i deportację z kraju, a ona będzie musiała wrócić tam, skąd przyszła. Jeśli od razu zwrócisz małą, zaoszczędzisz i sobie, i jej dramatu, do którego musi dojść.

Marisa przełknęła łzy.

– Spójrz na mnie, choćby na chwilę. – A kiedy popatrzył jej w oczy, jak gdyby zamglone od silnych wrażeń, dodała: – I nie mów mi, że z tej sytuacji nie ma wyjścia.

Są ludzie, którzy wierzą, że da się przekroczyć granice, ale są i tacy, których zdaniem istniejemy jeszcze na tym świecie tylko dlatego, że nasi przodkowie wytyczyli przebieg owych granic. Calvino wstał, wysunął sąsiednie krzesło, usiadł obok dziewczyny i zamknął ją w ramionach. Zaczepnęła kilka głębszych oddechów, opierając mu głowę na ramieniu. Jej bliskość do tego stopnia przyspieszyła bicie jego serca, że poczuł potrzebę rozpięcia kołnierzyka pod szyją. Delikatnie poklepał ją po plecach. W innym miejscu i innym czasie zakochałby się w niej bez pamięci; ale gdy teraz wpatrzył się w swoją przyszłość, zobaczył, że wciąż jest sam. Musiał przyznać, że był moment, kiedy Marisa podbiła mu serce i przyspieszyła bieg krwi. Ale zaraz potem nastał w nim zwykły chłód. Zazwyczaj pięć dni bliższego związku wystarczyło, by go wyleczyć z pierwszego zauroczenia. Nazywał to reakcją chemiczną, biologicznym imperatywem trafiającym we wszystkie wrażliwe przekaźniki w jego mózgu. Oczywiście pożądanie dawało znać o sobie, i to w takim stopniu, że nie mógł się skupić na obserwacji budynku po drugiej stronie ulicy, wiedział jednak – i zakładał, że ona także wie – iż nie ma dla nich wspólnej przyszłości.

– A co z Juanem Carlosem? Nie chciał się dalej zająć tą sprawą?

Lekko wzruszyła ramionami.

– Próbował.

– Ale Somporn odmówił pomocy – wpadł jej w słowo Calvino. – Bo jeszcze

straciłby elektorat, gdyby wsparł birmańskie dziecko.

Oczy jej się rozszerzyły.

– Dokładnie tak powiedział Juanowi Carlosowi. – Marisa wyprostowała się ze zręcznością lisicy polującej na myszkę skubiącą kawałek sera. – Troszczy się wyłącznie o swoje wpływy i pieniądze. Tak samo jak ludzie z Madrytu.

– W Tajlandii można za pieniądze kupić głosy.

– Tak samo jest w każdym kraju – odparła.

– Tyle że tu prawie wszystko jest na sprzedaż.

– Czyżbyś sugerował, że mogłabym kupić Fon? Znowu pochylił się nad stolikiem, podniósł lornetkę i nakierował ją na wejście budynku naprzeciwko. Prawda zaczęła wreszcie do niej docierać. Nie zastanawiał się głębiej nad implikacjami takiego podejścia, ale gdyby to zrobił, z pewnością doszedłby dokładnie do takiego wniosku, jaki ona ubrała w słowa. Postanowił jednak ująć to nieco inaczej.

– „Ciocia” potraktowała małą jak inwestycję. W końcu jest biznesmenką. Ocenia tylko perspektywiczne zyski i nie cierpi żadnych strat. Pewnie byłaby gotowa nawet poderżnąć komuś gardło, gdyby tylko uznała, że może w ten sposób ocalić swoje dochody. Zatem nie ma żadnego bliższego związku między dziewczynką a jej „ciocią”. To wyłącznie stosunek komercyjny. Ona jest właścicielką dziewczyny i chce, żeby zwróciły się jej nakłady. Ale cena może być wysoka. Bo będzie obejmować także utratę dobrego imienia, pomijając czystą wartość dziewczynki.

– Mógłbyś to załatwić? – zapytała szybko, wpatrując się w jego twarz.

Zamyślił się na chwilę, rozważając, czy warto się w to wplątywać.

– Poczynienie stosownych ustaleń zajmie trochę czasu.

– Nie mamy czasu. Jutro w południe dziewczynka musi wrócić.

Calvino dopił resztkę swojej kawy.

– Więc niech wraca do cioci. Przynajmniej wiemy, gdzie jej szukać. Negocjować będziemy później.

Marisa pokręciła głową.

– Zabierze ją ten kupiec z Tajwanu.

Cóż, tu trafiła w sedno. Ciocia już sprzedała dziewczynę. Pozostało jedynie dostarczyć nabywcy kupiony towar. Nie była to zwykła sytuacja. Przypadki wielokrotnej sprzedaży tego samego towaru odbijały się na tutejszym rynku szeroki echem. Sprytna rajfura mogła brać pieniądze od kilku klientów, lecz w efekcie dostarczała towar temu, który zapłacił najwięcej. I tu obowiązywały prawa rynkowe. Tymczasem Fon przedstawiała sobą bardzo łakomy kąsek, taki, który powinien przynieść duży zysk, toteż ciocia musiała mieć na uwadze wielkie straty, jakie powodowało jej zniknięcie.

– Posłuchaj, coś się nam przytrafiło wczoraj wieczorem. Dużo się nad tym zastanawiałam i przyznam, że nie wiem, dlaczego zaufałam ci od pierwszej chwili.

Przecież nie musiałeś nam pomagać na Soi Cowboy. A jednak to zrobiłeś. Dowodzi to chociażby, że kierujesz się słusznym pojęciem dobra.

– Kiedy mężczyzna ma do czynienia z nazbyt wieloma silnymi bodźcami, oznacza to, że jest gotów sprzedawać dobro i zło, byle zarobić na życie. To, co się wydarzyło na Soi Cowboy, zaszło szybciej, niż mogłem to sobie przemyśleć. Nie jestem świętym. A ty wpadłaś mi w oko akurat tamtego wieczoru. Czasami dopisuje mi szczęście i udaje mi się zrobić coś dobrego. Ale nie chcę, żeby weszły mi w nawyk operacje ratunkowe w sytuacjach beznadziejnych. Takie rzeczy mogą spalić wiele solidnych kontaktów, a i tak nie przyniosą nic dobrego.

Teraz to ona zacisnęła palce na jego dłoni.

– Masz bliskiego znajomego w dowództwie policji. Czy on nie mógłby czegoś zrobić w tej sprawie?

– Znajomość też ma swoje granice, a jeszcze silniejsze są, gdy to dotyczy przyjaciół.

Skrzywiła się. Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Sam wspomniał o znajomości z pułkownikiem Pratem, kiedy był w jej domu. Zatem odwoływał się tylko do rozpowszechnionego w Tajlandii przekonania, że jeśli ma się wysoko postawionego przyjaciela w policji, automatycznie dysponuje się ochroną, jakby się miało nieoficjalny immunitet.

– Wyjaśnię to w ten sposób – rzekł Calvino. – Nie tak dawno temu w pewnym prowincjonalnym mieście ojciec z synem wtargnęli na posterunek i na oczach dowódcy pobili do nieprzytomności pewnego policjanta. Rozeszła się plotka, że ten policjant spoliczkował syna miejscowego bossa kartelu. Gliniarz zeznał, że nie tknął chłopaka nawet jednym palcem. Ale to nie miało już większego znaczenia. Bo ojciec ślepo wierzył słowom syna. Czy to ci się nie kojarzy ze środowiskiem, przeciw któremu występujesz? Tutejsi ojcowie chrzestni mają olbrzymie wpływy. Chcę przez to powiedzieć, że nawet policja nie jest zabezpieczona przed atakami na swoich posterunkach. Wielu wysokich rangą oficerów boi się pomóc krewniakom, którym zbiry wypruwają bebechy niemalże na ich oczach. Paraliżuje ich strach. Gdy ktoś wpływowy decyduje, że chce wziąć odwet, oznacza to, że zostajesz absolutnie sam przeciwko niemu. Nie masz co liczyć, że pułkownik policji, choć jest moim bliskim przyjacielem, rzuci ci koło ratunkowe. Więc jeśli banda zbirów cioci zapragnie skrzywdzić ciebie albo dziewczynę, czy nawet mnie, zrobią to i nikt ich nie powstrzyma.

– Aż nie chce mi się wierzyć, żeby twój przyjaciel przyglądał się z boku, gdyby działa ci się krzywda.

– Może by się i nie przyglądał, ale to by oznaczało, że wkrótce sam zginie.

– Więc mam rozumieć, że mi nie pomożesz?

– Tego nie powiedziałem. Chciałem ci tylko dać do zrozumienia, że nie będzie to

łatwe. A w dodatku będzie bardzo dużo kosztowało.

– Jakąkolwiek stawkę podasz, zapłacę ci za pomoc.

– Nigdy więcej nie mów tak do nikogo. A w każdym razie upewnij się wcześniej, że nie chodzi o człowieka, którego kochasz. I który kocha ciebie.

– Lubię cię, Vincent... – zawiesiła głos, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale się rozmyśliła. Przeciągnęła dłonią po policzku i powiedziała: – Lepiej już pójde. Dzięki za wszystko.

– Nigdy nie dziękuj nikomu, dopóki nie masz tego, na czym ci zależało.

Przez jej wargi przemknął cień uśmiechu.

– Zawsze dostaję to, na czym mi zależy. Odprowadził ją spojrzeniem do wyjścia z restauracji. W drzwiach obejrzała się i uśmiechnęła ciepło. Ale chwilę potem zniknęła. Zdecydowanie znalazła się w niewłaściwym kraju, jeśli myślała, że postawienie na swoim będzie aż tak proste. Kiedy znowu uniósł lornetkę do oczu i nakierował ją na wyjście z budynku Caseya, przyszły mu na myśl wszystkie te rzeczy, które powinien był jej powiedzieć, ten rodzaj słów, jakie natychmiast przychodzą człowiekowi do głowy, gdy jest już za późno. Chciał ją przestrzec, że jeśli w Tajlandii wypada się na margines, trzeba się upewnić, że się na nikogo nie spadnie. Ta prawda wydobyła mu z pamięci obraz Nongluck spadającej przed jego balkonem – kiedy wyszedł z książką i szklaneczką w ręku, spoglądając na plażę w dole. Pożałował, że nie zdążył powiedzieć Marisie, by pamiętała, iż gdy zacznie spadać, nic już jej nie powstrzyma przed upadkiem na ulicę w dole.

36

Sygnal wywołania umilkł i włączyła się automatyczna sekretarka Caseya. Calvino stał w korytarzu przed mieszkaniem Amerykanina. Przełączył aparat na drugą kartę SIM i wybrał ponownie ten sam numer. Stał tuż przy drzwiach, więc świetnie słyszał, jak za nimi dzwoni telefon. Odzywał się standardowy dzwonek, typowy dla abonentów, którzy nie byli wrażliwi na jego dźwięk, gdyż nigdy nie przyszło im do głowy, że można go zmienić.

Casey odebrał po trzecim sygnale. Jednocześnie umilkł dzwonek telefonu dobiegający zza drzwi.

– Otwórz drzwi, Casey – rzucił detektyw, rozpinając marynarkę i sięgając do kolby swojego policyjnego rewolweru kalibru 9,65 milimetra.

– Nie jestem ubrany, Calvino, podobnie jak stojąca obok mnie dziewczyna. Wróć za godzinę, wtedy pogadamy.

Nut podniecenia seksualnego w męskim głosie, wynikających z zapowiedzianego kontekstu, w głosie Caseya jednak nie było. Wręcz przeciwnie, brzmiał spokojnie i rzeczowo jak u typowego żołnierza.

– Kulka zeznał na policji, co naprawdę przydarzyło się Nongluck – powiedział Calvino. – Mogę tu zaraz wezwać gliny, jeśli ci na tym zależy. Będą na miejscu najpóźniej za pięć minut. Nie wolałbyś jednak otworzyć drzwi, żebyśmy pogadali już teraz?

– Chcesz pieniędzy?

Calvino wyciągnął rewolwer i trzymając go lufą do ziemi, przywarł plecami do ściany tuż przy drzwiach. Pospiesznie rozejrzał się po pustym korytarzu. O tej przedpołudniowej porze mieszkańcy albo byli w pracy, albo jeśli należeli do gatunku gardzącego uczciwą robotą, leżeli jeszcze w łóżkach.

– Zajrzyj do gazet, Casey. Nie tylko Kongres amerykański i amerykańskie służby wojskowe próbują cię wytropić, robi to także tajaska policja.

– Jak też agenci CIA, FBI i DEA – odparł tamten.

– Możesz wymienić co najmniej jedną na każdą literę alfabetu. – Calvino urwał i zamienił się w słuch. – Albo ja zadzwonię na tutejszą policję i dam znać, gdzie mają cię szukać.

Chwilę później skoble w zasuwce drzwi stuknęły z determinacją straceńca ruszającego do ostatniego tańca. Drzwi otworzyły się powoli. Kiedy nikt się w nich nie pojawił, detektyw wszedł w głąb mieszkania i ostrożnie wyjrzał zza rogu. Trzymał oburącz swój rewolwer. Ale z tamtego miejsca roztaczał się tylko ograniczony widok na pokój. Dlatego cofnął się, nie mogąc zapomnieć o specjalistycznym wyszkoleniu Caseya.

– Porozmawiajmy, dobrze? – Zawahał się przed wkroczeniem w głąb mieszkania. Kątem oka złowił jakiś podejrzany ruch, jakby nietoperz zlatywał ze swojego miejsca pod sklepieniem jaskini.

Raptem Casey wyrósł przed nim jak spod ziemi i błyskawicznym ruchem wyprowadził cios w prawą rękę Calvina. Nie wypowiedział ani słowa, tylko od razu zaatakował. Siła uderzenia wytrąciła detektywowi rewolwer, który z łomotem wylądował na drewnianej podłodze i poleciał przed siebie, dopóki nie zatrzymał się na chromowanej nodze stojącego przed telewizorem stolika do kawy, obracając się wokół osi niczym bąk. Zanim detektyw zdążył zareagować, Amerykanin wymierzył mu cios stopą w środek piersi. Impet tego kopnięcia był tak potężny, że uniósł go z podłogi i cisnął na drzwi, w rezultacie czego Calvino rozciął sobie skórę z tyłu głowy, kiedy grzmotnął nią o klamkę. Casey złapał go za nogi i półprzytomnego wciągnął na środek dużego pokoju. Następnie podniósł policyjny rewolwer i wetknął go sobie za pasek spodni. Potem stanął nad nim, wyciągnął dziewięćmilimetrowy pistolet i z odległości kilku centymetrów wymierzył mu między oczy.

Calvino utkwiał wzrok w czarnej czeluści lufy broni pozbawionej tłumika.

– Wystrzał z tego narobi dużo hałasu – wystękał. Casey uśmiechnął się, muskając palcem język spustowy. Jego oczy były niewidoczne za dużymi ciemnymi okularami. Po chwili uniósł pistolet, wyprostował się, cofnął do drzwi i zamknął je na zasuwkę.

– Myślisz, że chcę cię zastrzelić? – zagadnął. – Dlaczego miałbym to robić? Przecież to przestępstwo, prawda?

Detektywowi nie spodobał się ton gospodarza. Niezależnie od tego, do czego zmierzał, w jego głosie pobrzmiwały śmiertelnie groźne nuty. Casey sięgnął lewą ręką do skórzanej kieszonki przy pasie i wyjął z niej kajdanki.

– Odwróć się, wyciągnij ręce za siebie, złóż je razem i nie ruszaj się.

– To twój rutynowy tekst służbowy?

– Widziałem mnóstwo takich przemądrzałych spryciarzy. Oni pierwsi zaczęli wyc do matek, żeby się zjawily i uwolnily ich od cierpień.

Skuł detektywowi ręce za plecami, po czym skrępował mu nogi w kostkach taśmą klejącą tak mocno, że aż kości zachrupały o siebie. Tą samą taśmą przytwierdził mu

do boków ręce w łokciach. Wreszcie podniósł go z podłogi i pchnął na fotel stojący tyłem do okna, w którym żaluzje były całkowicie zamknięte.

Kiedy Calvino rozejrzał się po pokoju, od razu zauważył rozstawiony na stoliku karabinek snajperski z celownikiem optycznym, stojący z lufą skierowaną ku drzwiom balkonowym. Casey usiadł na krzeselku ustawionym za karabinkiem, splótł dłonie za głową i uśmiechnął się szeroko, jakby usłyszał doskonały żart albo zgarnął całą pulę w pokerze. Wyjął zza paska policyjny rewolwer detektywa i wymierzył w niego.

– Pif-paf! – mruknął, po czym zaniósł się gromkim śmiechem. Obejrzał trzymaną broń i powiedział: – Nikt już nie używa takich rewolwerów, chyba że w kinie. To niezły kaliber, gdy się chce roztrzaskać zapinkę od stanika, ale bezużyteczny do powstrzymania uzbrojonego napastnika. Na pewno nie chciałbyś uzbrojony w coś takiego wpaść do jaskini pełnej lwów.

– Po co ten karabinek?

– Do łowów na grubego zwierza – odparł Casey. Zamknął lewe oko, pochylił się i spoglądając prawym przez lunetkę celownika, przez chwilę trwał w milczeniu niczym drapieżnik wypatrujący swej ofiary.

– Mnóstwo ludzi cię szuka – powiedział Calvino.

– Przecież nie ma mnie w kraju.

Detektyw znowu rozejrzał się uważnie. Mieszkanie było czyste i schludne. W zasięgu wzroku na podłodze nie wałała się ani jedna koszula bądź para skarpetek. Nie było też kolorowych czasopism, brudnych talerzy, resztek jedzenia czy butelek, zarówno pustych, jak i pełnych. Meble były nawoskowane, a podłoga zamieciona, w powietrzu unosił się sosnowy zapach płynu do mycia.

– Kogo chcesz zabić? Kogoś, kogo znam?

Casey westchnął i wstał od stolika. Kiedy spojrzał na detektywa, na twarzy pojawił mu się szeroki uśmiech.

– To niewłaściwe pytanie, Calvino. Powinieneś zapytać, kto ciebie zabije, skoro ja nie zamierzam tego robić.

Ten powoli obrócił głowę. Pierś bolała go tak, jakby stratowało go stado bawołów, pozostawiając na skórze dziesiątki śladów twardych kopyt. Kątem oka dostrzegł jeszcze jeden karabinek z celownikiem optycznym, stojący na drugim stoliku jakiś metr od niego. Przypomniał sobie nagle jedną ze swoich maksym: „Nigdy nie jesteś tak bezpieczny, jak ci się zdaje”.

– Wiem, że przymierzasz się do Somporna – powiedział. – Może wy, specje od operacji specjalnych, jesteście niezli w rozmaitych sztuczkach, ale nikt mi nie wmówi, że nawet ty dałbyś radę go trafić z tego okna.

– Zajmowałeś się obserwacją Kocicy, zatem wiesz bardzo dużo o tej sprawie.

– Co ty kombinujesz, Casey?

– Zamknij się, dobrze?

– Myślałem, że jesteś specjalistą od zmuszania ludzi do mówienia. Czyżbyś zamierzał zmienić zawód?

Casey wyprężył się na krześle jak struna, ściągnął razem łopatki i splótł dłonie za głową.

– Nasłałeś McPhaila, żeby mnie śledził. Jakież to podziemne kursy inwigilacji indywidualnej ukończył ten szczeniak? Chciałbym zobaczyć jego akta. Ale i tak pozwolę sobie zgadywać. Zbierał same dwójce, żeby nie powiedzieć gorzej. Siedział mi na ogonie bez przerwy. Ani razu nie dał się zgubić. I to nie wzbudziło twoich podejrzeń? Wobec kogoś, kto śledzi człowieka wyszkolonego specjalnie w technikach inwigilacji i ani razu nie gubi jego tropu? Nie, oczywiście, przecież to najwyższej klasy fachowiec. Jest przeświadczony, że stary Casey nawet nie zauważy, iż ktoś go śledzi. Uważa się za pieprzonego Sherlocka Holmesa, dlatego śmiało ci melduje o mojej wizycie w przychodni okulistyckiej. A Jet, dziewczyna siedząca tam w recepcji, ochoczo podaje ci mój adres. Coś ty sobie myślał? Że zadecydował twój wdzięk osobisty? I pewnie pomyślałeś: „Super, element zaskoczenia podziła na moją korzyść, bo Casey się mnie nie spodziewa”. Z jakich, wydanych w Trzecim Świecie, podręczników detektywistycznych czerpałeś tak głęboką wiedzę? Spójrzmy na to inaczej. To ja cię zaprosiłem, żebyś tu wpadł. A ty pomyślałeś: „Casey planuje coś wrednego. Lepiej poproszę mojego przyjaciela pułkownika, żeby przyjechał tu razem ze mną”. – Urwał nagle, jakby w jego głowie zadźwięczał dzwonek alarmowy, pochylił się i popatrzył przez lunetkę celowniczą broni. Po chwili mruknął: – Jeszcze nie. We współczesnych społeczeństwach zapomina się o różnicach dzielących drapieznika i podglądacza, a więc wykonawcę i obserwatora. Skuteczny snajper musi być jednym i drugim.

– Dlaczego zabiłeś Nongluck?

– A co? Pomachała ci, gdy przelatywała przed twoim balkonem?

Calvino z całej siły naciągnął za plecami łańcuszek kajdanek, ale nie była to tandetna podróbka łatwa do kupienia u ulicznych handlarzy w Patpong.

– Czemu po prostu jej nie zabiłeś? Czemu zadałeś sobie trud, żeby zmienić mi rezerwację na apartament, co pozwoliło ci wplątać mnie w jej zabójstwo?

– A co ty byś zrobił, gdyby dziewczyna twojego zabitego syna zaczęła szantażować jego zabójcę o duże pieniądze? – warknął, gwałtownie pozbawiając się swobodnego nastroju.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – rzekł Calvino. – Dlaczego próbowałeś mnie obciążyć śmiercią Nongluck?

Casey jeszcze raz popatrzył przez lunetkę celowniczą. Od karabinka snajperskiego zalatywało olejem maszynowym, a w błyszczącej lufie odbijało się światło. Kiedy Amerykanin znowu podniósł wzrok na detektywa, pokręcił głową na jedną i drugą

stronę, po czym daleko wypchnął dolną szczękę, jakby siedział w samolocie, w którym odczuwało się gwałtowną zmianę ciśnienia.

– Ze względów czysto praktycznych – odparł.

– Nie zaprzeczysz jednak, że obiektem twojej misji jest Somporn?

Tamten uśmiechnął się i opuścił swoje ciemne okulary.

– Przecież nie jesteś aż tak głupi. Musiałem wyrównać z nimi rachunki. Z Nongluck już się policzyłem. Chyba znasz podstawy księgowości, nie? Zyski i wydatki powinny się równoważyć. Uznaj się zatem za część rachunku księgowego.

– Ale to przecież nie wszystko – zaoponował detektyw.

Casey aż jęknął gardłowo.

– Chyba jednak się mylisz. Zbilansowałem już kilka podobnych ksiąg. I nigdy nie przepuściłbym okazji upieczenia dwóch pieczeni przy jednym ogniu. Ja to nazywam specjalnym bonusem. Ale niełatwo jest go zdobyć. Trzeba szczegółowo zaplanować każde posunięcie i przewidywać posunięcia przeciwnika, którego nie wolno lekceważyć. W mojej działce zasada się to na przeczesywaniu wszelkich tajemnic życia drugiego człowieka i wyszukiwaniu takich, do których istnienia sam nie chce się przyznawać. To właśnie ten etap, kiedy najłatwiej doprowadzić go do śmierci.

– I na pewno podzieliłeś się tymi mądrościami ze swoim synem Joelem. Zajmowałeś się torturowaniem ludzi w tajnych więzieniach. On wiedział, w jaki sposób zarabiasz na życie? Nauczyłeś go czerpać mądrość z chińskich ciasteczek z wróżbami, żeby też umiał przesłuchiwać ludzi? A może to jest magia, która działa tylko na terenie tajnych więzień? Może już przy pierwszej próbie jej zastosowania w tajskim biznesie rodzinnym wydał na siebie wyrok śmierci? Odkrył tajemnice tej rodziny i zaczął się domagać wyjaśnień, tyle że nie nauczyłeś go, jak to robić, bo jeśli nie ma się do czynienia z człowiekiem przetrzymywanym w celi, można ściągnąć na siebie zemstę. O tej lekcji zapomniałeś i teraz zżerają cię wyrzuty sumienia. Więc co postanowiłeś? Najpierw zrzuciłeś winę na Nongluck, żeby choć trochę ulżyć swojemu sumieniu. Całkiem nieźle, Casey. I co? Poczuliś się lepiej po tym, jak ją zabiłeś?

Widać było po napięciu mięśni karku i ramion Amerykanina, że ten ledwie się powstrzymuje, żeby nie podejść do niego i nie uciszyć go raz na zawsze. Ale Casey wziął głębszy oddech i odparł:

– W pierwszej kolejności trzeba zrozumieć swojego wroga, bo człowiek, który zdobędzie taką wiedzę, już nie da się pokonać.

– To maksyma Sun Tzu – rzekł Calvino. – Pomiąłeś jednak pewien bardzo istotny szczegół. Wcześniej trzeba zidentyfikować swojego wroga i ustalić, czym się różni od przyjaciół. Coś mi podpowiada, że zaliczyłeś dwóję za to, iż nie byłeś w stanie odróżnić złych chłopców od dobrych w tej swojej podziemnej szkole inwigilacji, do której cię wysłali z wojska.

– Jak na kogoś, komu pozostało najwyżej dziesięć minut życia, powinieneś się

raczej modlić, a nie martwić o zasady Sun Tzu.

Calvino dopiero teraz pojął znaczenie tego, co znajdowało się tuż za nim, co było tam już od dłuższego czasu, tyle że on nie rozumiał, w jakim celu. Chodziło o drugi karabinek snajperski z lunetką ustawiony za jego fotelem. Wykręcił szyję, żeby spojrzeć przez ramię, na ile tylko pozwalało mu wysokie oparcie fotela. I po raz pierwszy uzmysłowił sobie z całą mocą, jaką rolę wyznaczył mu Casey. A on, niczym ślepiec, śmiało wszedł w tę pułapkę.

– Jestem przynętą. – Odwrócił głowę i popatrzył na Caseya, człowieka znanego pod pseudonimem „Duch”.

– Cóż, wystarczy dać człowiekowi cygaro i sto dolarów – mruknął, zdejmując okulary i obracając czapkę baseballową, żeby jej daszek nie przeszkadzał mu patrzeć przez celownik optyczny karabinka. Powoli na jego ustach rozlał się szeroki uśmiech, gdy tylko spojrzał na lornetkę, którą po chwili zdemontował i położył na stoliku.

– Stawiam sto dolarów na to, że twoja sekretarka zorganizuje ci dokładnie taki pogrzeb, na jaki zasługujesz.

– A więc wiesz o Apicharcie i pustej trumnie przed jego biurem? – zapytał Calvino, jakby chciał zlekceważyć to, że Casey umiał się dokopać choćby do najbardziej intymnych szczegółów z jego osobistego i zawodowego życia.

Ale tamten się nawet nie wysilił na odpowiedź. Calvino spojrzał na niego, siedzącego przed stolikiem z rozstawionym karabinkiem snajperskim. Świetnie rozumiał, że siewcy strachu opierali się właśnie na takich ludziach jak Casey. Mogli im dawać carte blanche w zakresie wzbudzania prawdziwego strachu.

– Zrobili cię w zwykłego muła, Casey. Staniesz się prawdziwym chłopcem z plakatów w zakresie tortur. Twoja podobizna znajdzie się w każdej gazecie, w telewizji, a w internecie będziesz symbolem kogoś, kto z przyjemnością zadaje ból, i jeszcze bierze za to regularne uposażenie.

– Powinieneś spędzić swoje ostatnie chwile na ziemi, błagając Stwórcę o wybaczenie – odparł Casey. – Pozwól, że sam się zatroszczę o swoje sprawy.

Najwyraźniej władcy strachu odcięli się od niego, uznawszy go za człowieka straconego. Pozostawienie go w izolacji, bez możliwości ucieczki, przydawało mu jego własnej odmiany strachu. W końcu każdy człowiek jest bohaterem wyłącznie swojej historii. Pod tym względem Casey nie stanowił wyjątku. Każdy, kogo uśmiercił, zasługiwał na śmierć. Na jego warcie nie przytrafiały się przypadkowe zgony. Przebieg jego służby oraz historia pracy w firmie nie budziły, przynajmniej w jego pojęciu, żadnych zastrzeżeń. Mógł żałować tylko jednej rzeczy, jedynej skazy w aktach personalnych, to znaczy śmierci syna. Wystarczyło kilkaset dolarów, by zapłacić zbirom za uśmiercenie Joela. Zatem nic w jego życiu nie mogło się równać z satysfakcją ujżenia, jak znika ta plama na jego honorze.

37

Tracer powiódł spojrzeniem wzdłuż linii horyzontu, okno po oknie, dopóki w obiektywie lornetki nie ukazał się ponownie balkon mieszkania Kocicy. Ostrość była wystarczająca, żeby rozróżnić płatki orchidei stojącej w doniczce na parapecie. Zostało już tylko pół godziny do chwili, kiedy w mieszkaniu powinien się zjawić ich obiekt. Istniało więc niebezpieczeństwo, że każda minuta z tych trzydziestu będzie się ciągnęła w nieskończoność, nie do wytrzymania. Już poczuł na szyi, jak puls mu przyspiesza. Krew szumiała mu w uszach na sam widok bloków po drugiej stronie ulicy. Wypatrywał promienia celownika podczerwonego, który byłby widomą oznaką pułapki. Miał już do czynienia z takim efektem, widział promień w postaci sznura szybkich rozbłysków mącących ostrość widzenia. Gdyby ktoś ich namierzał z tamtej strony, on by go namierzył właśnie na podstawie promienia podczerwonego. Ale jak dotąd w lornetce termowizyjnej dostrzegał tylko zarysy ludzkich ciał i inne rozgrzane obiekty, na przykład strumień pary wodnej z czajnika. Nie poddawał się jednak, myśląc, że gdzieś tam, w tym dziwnym świecie obiektów termicznych, czai się promień celownika podczerwonego gotowy się zmienić w strumień krwi.

– W Nowym Orleanie poznałem faceta, który pojechał z naszym wojskiem do Korei – rzekł. – Żołnierze mieli odsłużyć cztery lata w kraju, w którym tubylcy zjadali szczury i popijali je winem ryżowym. Musieli więc poznać wymowę głodu, takiego, od którego kiszki bez przerwy marsza grają. Wszystkie inne potrzeby schodzą na plan dalszy, skoro nie ma co jeść.

Jarrett wiedział, że jego obserwator jest podenerwowany. Obserwatorzy w marines byli podobni. On ich postrzegał jak kobiety: zdarzali się dobrzy, lecz w większości byli do niczego, a jeśli któryś z nich przetrwał cały okres służby, miał naturalną tendencję do szukania pułapek na każdym polu działania i zabezpieczania sobie drogi odwrotu. Dla takich ludzi nie było autorytetów, nie liczyli się rodzice, bracia, siostry, doktorzy ani przyjaciele. Ważne było tylko skrzyżowanie nitek celownika i dotyk kolby karabinu na ramieniu. Tracer nie brał nawet pod uwagę

swojej muzułmańskiej spuścizny ze Stambułu, choć to właśnie ona w dużym stopniu sprawiała, że był tak cennym towarzyszem podczas akcji w terenie. Ale w chwili prawdy i o niej należało zapomnieć, jak o wszystkich innych czynnikach przeszkadzających w robocie.

On został wyszkolony, by postrzegać obiekt w kategoriach matematyczno-fizycznych. Należało go odczłowieczyć, a samo zabójstwo przekształcić w równanie. Nauczył się nawet uwzględniać w nim krzywiznę Ziemi, musiał znać dokładnie odległość i prędkość wiatru, obliczać prędkość początkową pocisku. Jak wszyscy snajperzy, Jarrett miał głęboko wryte w pamięć potrzebne wzory. W swoich snach widział je jak obiekty wysypujące się z kapelusza z białym piórkiem. A wartości liczbowe same zapisywały się na tablicy w jego śpiącym umyśle. Śnił o długich szeregach liczb, a każdy taki szereg kończył się podobizną zabitego człowieka. Czasami w obliczenia wkradał się błąd i pocisk nie trafiał idealnie celu. Margines błędu był bezlitosny. Mógł go spowodować nagły poryw wiatru, konieczność przestrzelenia szklanej tafli czy poruszenie się obiektu. Kiedy tak się działo, obiekt orientował się, że jest namierzany. A wtedy wszelkie równania, tablice danych i obliczenia można było wyrzucić do kosza na śmieci.

– Nie czuję się dobrze – powiedział Tracer. – Nie umiem dokładnie powiedzieć, co mi nie pasuje. Ale czuję w kościach, że coś jest nie tak. Jest coś, co powinniśmy zauważyć. Coś, co mamy tuż przed oczami.

– Na przykład? – zapytał Jarrett.

– Mieliśmy się przygotować do strzału w warunkach dziennych. Teraz to się zmieniło na warunki nocne. Czy ktoś namierzył nasz termolokator? Nie wiem. Mooney z samego rana zdjął celownik noktowizyjny i zamontował optyczny. Ale nie będziemy z niego korzystać. A jeśli gdzieś tam jest zespół kontruderzeniowy? Może już znać naszą lokalizację.

– A zauważyłeś promień celownika podczerwonego? Bo ja nie.

– Mogą włączyć podczerwień dopiero w ostatniej chwili. Już wiedzą, gdzie jesteśmy. Możesz lekceważyć to, co mówię.

– Nigdy nie lekceważę tego, co mówisz.

Znów powędrował myślami do tego, co się stało w Gijón. Nie dawało mu też spokoju, jak sprytnie Casey wstawił tu dokładnie taki sam stół bilardowy, jaki był w barze w Hua Hin, i to nie w byle jakim barze, ale właśnie w tym, gdzie przed laty razem z ojcem przygotowali się na spotkanie z Jackiem. W dodatku nie chcąc, by przeoczył tę pozornie przypadkową zbieżność, zadał sobie dodatkowy trud i zostawił w pokoju starą gazetę ze zdjęciem z Hua Hin. Jednakże i on nie zauważył do tej pory promienia podczerwonego.

– Nie zasypuj mnie swoimi przesadami – powiedział. – Dzisiejszy dzień jest jak każdy inny, niczym się nie wyróżnia. Musimy zrobić swoje. To sprawa honoru.

„Odpłata za Jacka”. To pożyteczne zadanie.

Słowo „honor” zawisło między nimi jak mantra, toteż w milczeniu wrócili do swoich zajęć. Z tym samym słowem na ustach tamtej nocy Harry zepchnął za burtę dwa ciała i przyglądał się, jak toną w Morzu Andamańskim. I to samo słowo sprowadziło ich do pokoju w Gijón. Przez stulecia stanowiło jeden z najważniejszych powodów do zabijania. Nic się nie zmieniło od zarania ludzkości, kiedy ktoś po raz pierwszy stwierdził, że honor znaczy więcej niż życie sprowadzone do stanu pohańbienia.

Honor był kiedyś jedną z najważniejszych cnót. Powiadano, że spadł w dół tej listy przez wynalazek pieniądza. Inni twierdzili, że honor istnieje wyłącznie w połączeniu z mistycyzmem. W kulturze zachodniej honor był w odwrocie, podobnie jak zabobony, ludzie zapominali więc, że w innych częściach świata stosunki międzyludzkie są nadal chronione kodeksem honorowym. Tracer kochał Jarretta właśnie za to, że był on jednym z nielicznych znanych mu ludzi, którzy wciąż wierzyli w pierwotne pojęcie honoru. Jeśli nawet z życia większości ludzi uleciało ono bezpowrotnie, to w sercu Jarretta tkwiło nadal, poczynając od tamtej chwili, kiedy przed laty razem z ojcem o mało nie zginęli, biorąc gorzką lekcję w letniskowym domku przy plaży w Hua Hin.

Tracer z Jarrettem razem poznawali fakty dotyczące Caseya, i każdy krok prowadził do następnego, jakby ktoś zapalał przed nimi zielone światło. To Waters jako pierwszy powiedział Jarrettwi, że sprawa pomocy w zemście Caseya to klasyczny przypadek „odpłaty za Jacka”. Joel Casey nie był żołnierzem. Ale jego ojciec tak, i to wielokrotnie odznaczonym. W CIA miał zieloną plakietkę. Pułkownik Waters przyznał, że zlecenie Caseya kilka razy przetoczyło się w kółko, zanim ostatecznie wpadło do kosza. Jego syna torturowano, dopiero później zabito. Ojciec był kiedyś w oddziałach specjalnych i wiernie służył ojczyźnie, chociaż zaważył sprawę podczas ostatniej misji w terenie i przez to zginął inny oficer. Waters mówił, że Casey przychodził do niego kilkakrotnie z prośbą o firmowy zespół do zadań specjalnych. Jego status dostępu do tajemnicy świadczył wyraźnie, że wie o istnieniu takich zespołów. Odpowiadał jednak, iż nie ma na co liczyć, dopóki Tajowie nie odmówią oficjalnie działania w tej sprawie. Casey musiał cierpliwie czekać. Wreszcie, gdy miejscowe władze odmówiły wniesienia oskarżenia, tłumacząc się brakiem wystarczających dowodów, po raz kolejny zwrócił się do Watersa o pomoc. I ten postanowił ominąć protokół firmy i przekazać zlecenie bezpośrednio swojemu zespołowi.

Jarrett pamiętał, jak Waters pokazał im wycinek z gazety opisującej zabójstwo Joela Caseya w Tajlandii. Przyszło mu wtedy do głowy, że gdyby coś podobnego spotkało kogoś z jego rodziny, z pewnością nie szukałby u nikogo pomocy. Ale w końcu nie musiałby o nią prosić, bo sam się tym zajmował.

Tracer sięgnął za siebie, wymacał pilota i wyłączył odtwarzacz. Blues umilkł, ciszę w pokoju mącił jedynie cichy warkot sprężarki klimatyzatora.

Stał na prawo od Jarretta i trzymając lornetkę przy oczach, wodził nią wolno na boki. Zaczął od balkonu Kocicy, od Pilota trzy dziewięć, i lustrując w zakresie dziewięćdziesięciu stopni, wodził spojrzeniem po panoramie pozostałych budynków – Rozpruwacza, Niedźwiedzia, Grizzly, Skorpiona, Feniksa, Gawrona i Czarnej Owcy – przyglądając się uważnie oknom na dziewiątym piętrze każdego z nich, żeby w ruchu powrotnym skupić się na piętrze dziesiątym. Przy każdym nawrocie unosił lornetkę nieco wyżej, przestawiając się kolejno na coraz wyższe piętra. Taką samą uwagę poświęcał mieszkaniom, jak i biurom. Gdyby gdzieś tam znajdował się inny zespół czekający w zasadzce, musiały być na podobnej wysokości. W warunkach wielkomiejskich strzał pod dużym kątem w górę czy w dół nie był nawet trudny, był niewykonalny.

– Sprawdź Skorpiona. Cztery stopnie w prawo, dwa stopnie powyżej obecnej pozycji.

Mniej więcej w połowie drogi między ich stanowiskiem a balkonem Kocicy Tracer spostrzegł coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Jarrett zgodnie ze wskazówkami zaczął przesuwac lunetkę, wodząc nitkami celownika po oknach budynków mieszkalnych. Miał wrażenie, jakby światła zapalały się i gasły, a ludzie pojawiali błyskawicznie w swoich oknach i zaraz znikali.

– Co zobaczyłeś? – spytał.

– Słaby refleks świetlny odbity od czegoś, jakby od szklanych soczewek.

Jarrett przyjrzał się wskazanej lokalizacji, lecz nie zauważył żadnego odbłasku. Mnóstwo źródeł światła mogło wzbudzać pozorne refleksy – migające ekrany telewizorów, zapalane bądź gaszone lampy, lampy błyskowe aparatów fotograficznych, punktowe jaskrawe nocne lampki do czytania umieszczone blisko okien, płomyki świec. Jarrett wyregulował ostrość i jeszcze raz skierował lunetkę na Skorpiona.

Tracer mlasnął nerwowo i pochylił się, żeby musnąć palcem krawędź lunetki.

– Jeśli widzisz to samo co ja, to jest niedobrze.

– Gdyby tam czyhał snajper, mógłby mnie zastrzelić już pół godziny temu. Ja bym tak zrobił na jego miejscu.

– Chyba że na coś czeka.

– Na przykład na co?

– Aż wykonamy zadanie. – Potarł palcami swój woreczek *mojo*. – Dopiero wtedy pociągnie za spust.

Jarrett wyprostował się, podnosząc wzrok znad karabinka.

– Co ty opowiadasz, Tracer? Kto miałby pociągnąć za spust? Gdzieś ty go wypatrzył? – Włożył z powrotem kapelusz na głowę i zsunął go sobie nisko na oczy.

– Zaczynasz wariować.

Tracer pokręcił głową.

– Wcale nie zaczynam wariować. Zastanów się tylko. A jeśli to Casey? Wiesz, że w szkole średniej został stanowym mistrzem zawodów strzeleckich? Bez trudu by ukończył szkolenie snajperskie. Woli jednak bliski kontakt z obiektem. Więc rezygnuje ze szkolenia. Ale ma umiejętności. No i jest pod ścianą. Dał się wpuścić w głęboki kanał, w taki, z którego już się nie wygrzebie.

– Odszedł ze służby razem z Watersem – rzekł Jarrett. – Poza tym to twardy sukinsyn.

U podstaw wyszkolenia Jarretta leżało to, aby wykonywać rozkazy bez pytania. Autorytet starszego oficera był niekwestionowany. Poczul się nieswojo na samą myśl, że Tracer mógł zasugerować taką ewentualność. Casey należał do tej samej społeczności, był jednym z nich, jak Waters i inni, z którymi kiedyś odbywali służbę. Łączyło ich swoiste braterstwo, w którym każdy rozumiał pozostałych w sposób niepojęty dla kogoś z zewnątrz. A wszyscy rozumieli wewnętrzne zasady pracy w terenie. Drobiazgi w rodzaju znajomości z handlarzami narkotyków przynosiły krociowe zyski, czy to w postaci pomiętych dziesiątek, dwudziestek i pięćdziesiątek, czy setek przeliczonych i oklejonych banderolą. Każdego dnia przybywało pieniędzy. Ich rzece nie było końca. Handlarze bali się ryzyka umieszczania swoich fortun w bankach, a ponieważ pieniędzy było aż tak dużo, jedynym sposobem ich zabezpieczenia wydawało się zakopanie. Intensywna woń mokrej ziemi dolatująca od niektórych banknotów świadczyła wymownie, skąd pochodzą. Była podobna do zapachu śmierci – kiedy raz się ją poczuło, nie dało się jej pomylić z niczym innym.

– A jeśli Casey zapłacił za tę robotę pieniędzmi wykopanymi z ziemi? W ten sposób nie załatwia się takich spraw. Ludzie, którzy posługują się wykopanymi pieniędzmi, zwykle mają złe, wrogie zamiary. Przeciwno takim rzeczom trzeba mieć specjalne *mojo*.

– Ja potrzebuję czegoś więcej, Tracer. Przedstaw mi coś, co zaświadczy, że Casey nie jest jednym z nas. Ten refleks mógł pochodzić od setek różnych rzeczy, od szklanego oka starej dziwki albo wyrobu z kryształu. Naprawdę chcesz mnie wystraszyć?

Tracer ponownie nakierował lornetkę na podejrzane źródło odbłasku. W oknie Feniksa pięć dziewięć zapaliło się światło. Jakaś kobieta stała przy lunecie astronomicznej i patrzyła przez nią w gwiazdy. Refleks pochodził od jej obiektywu. Obok kobiety pojawił się mężczyzna i podał jej lampkę czerwonego wina. Pocałowali się i chwilę później światło w pokoju zgasło, zapaliła się za to lampka na balkonie.

Jarrett oderwał wzrok od lunetki.

– Sam widziałeś, że jest ich dwoje, Tracer. To kochankowie. I miłośnicy gwiazd.

W szklach noktowizora tamta para pojawiła się jako dwie upiorne sylwetki, od

których emanowało ciepło.

Tracer westchnął przeciągle i wewnętrzną częścią dłoni potarł się po udzie.

Jarrett pochylił się szybko i przytknął oko do lunetki.

– No, pora przystąpić do pracy.

Somporn wyszedł na balkon, obejmując w pasie Kocicę i tuląc ją do siebie. Miała na sobie krótki szlafroczek, a we włosach niewielką tiarę połyskującą drogimi kamieniami. Uśmiechała się i chichotała, w wysokich szpilkach była prawie równa wzrostem z Sompornem, bez trudu go pocałowała. On wyglądał jak człowiek, który lada moment wygra wybory, jest tak pewny powodzenia kampanii, że może o niej na jakiś czas zapomnieć i poświęcić czas swojej *mia noi*.

Jarrett wprowadził się w ten dobrze sobie znany trans, jakby szedł wąską ścieżką między życiem i śmiercią. Obiekt pojawił się o wyznaczonej porze. Oparł palec na języku spustowym. Żadna chwila nie mogła się równać z tą, z tym wycinkiem czasu bezpośrednio poprzedzającym końcowy moment.

Kocica tańczyła z Sompornem, tak jak wcześniej z Kulką. W żyłach tej kobiety musi płynąć blues, pomyślał Tracer. Ale zaraz uzmysłowił sobie, że przez to utrzymuje ich obiekt w ciągłym ruchu, Jarrett musiał więc zaczekać, aż skończą tańczyć. Była mu potrzebna tylko krótka chwila bezruchu.

38

W ciemności zalegającej w salonie Caseya Calvino wykręcał ręce skrępowane za plecami, usiłując sięgnąć do latarki laserowej, którą miał w wewnętrznej kieszonce przy dolnej krawędzi sportowej marynarki. Miał jeszcze przed oczyma małą Fon, która wyciągała do niego rączkę z latarką, nalegając, by przyjął od niej ten prezent. Kieszonka była zapinana na rzep, między który musiał wsunąć palce, żeby sięgnąć do środka. Wreszcie wyciągnął latarkę, wymierzył ją w okno, ułożył kciuk na guziczku włącznika i posłał w świat trzy krótkie rozbłyski, potem trzy długie, a na końcu znowu trzy krótkie.

– Dysponują tyłoma środkami, że na pewno cię odnajdą, Casey. Gdziekolwiek byś się zaszył, na pewno znajdzie się ktoś, kto im zdradzi twoją kryjówkę.

– Zajmujesz się tropieniem niewiernych mężów. Co ty możesz wiedzieć na ten temat?

Detektyw po raz drugi posłał za okno SOS w alfabecie Morse’a nadane za pomocą latarki laserowej.

– A niby czego nie wiem?

– To będzie długa lista.

– Chcesz wyrównać rachunki za śmierć swojego syna. Czyli Somporn jest wrogiem numer jeden. – Casey odkaszlnął flegmę i splunął przez cały pokój, ale nie trafił w Calvina, chybiając o dobry metr. – Jak zamierzasz wyrównać te rachunki?

– Gdyby twój sprytny przyjaciel pułkownik nie zapłacił komendantowi policji z Pattai, siedziałbyś teraz w więzieniu, ale przynajmniej byś żył. Taki był mój pierwotny plan, Calvino. Ale nie przeszkadza mi za bardzo, że jesteś teraz ze mną.

– Pratt nigdy nie płacił ani nie brał łapówek – zaoponował detektyw.

– To przecież kraj rządzony przez mafię. Myślisz, że twój pułkownik jest wyjątkiem?

– Pieprz się, Casey.

Tamten zaśmiał się, obrócił czapkę baseballową daszkiem do przodu. To, że

zdołał wzbudzić złość Calvina, dało mu pewną satysfakcję. Wiedział z doświadczenia, którą strunę należy potrać. Jakimś dziwnym sposobem to go uspokajało. Wychodził z założenia, że przeciwnika można pokonać kombinacją przemocy, strachu i zaskoczenia. Calvino, przynajmniej z jego punktu widzenia, pod tym względem nie różnił się od innych, a to, że był cywilem, tylko ułatwiało mu zadanie.

Detektyw nie miał pojęcia, czy ów ktoś, kogo Casey zamierza wziąć na cel, dostrzeże błyski dziecięcej latareczki, a jeśli nawet, to czy zrozumie nadawane przez niego sygnały. Specjalnie wybrał alfabet Morse'a, bo nadany nim SOS musiał być zrozumiały dla każdego ze służb mundurowych, a więc po tajsku *mee see*. Sądząc po ustawieniu karabinu Caseya, jego cel musiał znajdować się na wprost. Mimo to pewność odbioru sygnału laserowego mógłby mieć dopiero wtedy, gdyby wyszedł z pokoju na balkon. Pierwszą zasadą skutecznej łączności jest eliminacja zakłóceń. Przy tyłu źródłach światła w wieżowcu wypatrzenie słabego źródła punktowego na pewno nie było łatwe, chyba że odbiorca miał wyćwiczony wzrok. Toteż gdy Calvino pomyślał o szybkiej okiennej, zdecydował, że musi spróbować się wydostać na dwór. Wsunął palce między listewki żaluzji i dotknął szkła. Istniał tylko jeden sposób, żeby dopiąć swego. Zaczął się rytmicznie kiwać na krześle w przód i w tył.

– Muszę się odlać – powiedział.

Zaczął się energiczniej kręcić na krześle. Później zrobił krótką przerwę i znów je rozkołysał.

Casey leżał z karabinem wyciągnięty na ławie, z prawym okiem przywartym do celownika optycznego, i czekał na błysk ognia z lufy broni Jarretta. Nie włączył jeszcze namiernika podczerwonego. Wcześniej ustalił dokładnie położenie snajpera i był gotów do oddania strzału.

Calvino pomyślał, że bez noktowizora Casey wygląda jak ktoś, kto po prostu wpadł na lunch do baru Pod Samotnym Jastrzębiem i załazł Staremu George'owi za skórę.

– Przestań się wiercić, do cholery.

Casey oderwał na moment wzrok od celownika, by zobaczyć, że Calvino na rozkołysanym krześle dochodzi do punktu krytycznego. Siedział w pobliżu okna balkonowego sięgającego od podłogi do sufitu, mimo to widać było tylko jego ciemną sylwetkę, a i to dzięki słabej smudze światła widocznej ponad jego ramieniem. Zresztą chwilę później światło zgasło i zarys człowieka siedzącego na krześle rozpląnął się w ciemności.

Calvino odczekał, aż Casey z powrotem ułoży się w pozycji strzeleckiej i skupi na obrazie widocznym w obiektywie noktowizora, naprowadzając nitki celownika na Jarretta. Po raz kolejny wcisnął guzik latarki i posłał za okno jeszcze jeden sygnał SOS. Modlił się w duchu, żeby ktoś zauważył te słabe błyski czerwonego dziecięcego

laserka. Nie umiał powiedzieć, czy ktoś stoi w którymś z okien wieżowców po drugiej stronie ulicy. Mógł tylko mieć taką nadzieję. Bo nic poza nadzieją już mu nie pozostało.

– W takim razie pozwól mi skorzystać z łazienki. Przestał się bujać i znieruchomiał lekko odchylony do tyłu, z przednimi nogami krzesła zawieszonymi nad podłogą. Casey nawet nie oderwał wzroku od celownika.

– Nie teraz, przyjacielu. Zaczyna się rock and roll. Calvino był fachowo unieruchomiony na krześle. Jeszcze raz popatrzył na okno balkonowe. Niewielki miał wybór. Mógł się na nie rzucić głową do przodu, ryzykując rozcięcie skóry odłamkami szkła czy nawet poważniejszy uraz, jak wstrząs mózgu, albo z wychylenia zaatakować szybę nogami, narażając na kontakt z odłamkami swoje genitalia. Zamyślił się na chwilę nad obiema możliwościami, po czym, jak przystało na mężczyznę, postanowił natrzeć na okno głową. Miał cichą nadzieję, że budowniczy tego wieżowca potajemnie zastosowali cieńsze szyby, niż przewidział to architekt, chcąc zaoszczędzić grosza.

Zaczerpnął głęboko powietrza, wstrzymał oddech, odchylił się z krzesłem jak najdalej do tyłu i z całym impetem rzucił do przodu. Jak przewidział, szyba od uderzenia roztrzaskała się na setki kawałków, a on, wraz z zerwanymi żaluzjami, wypadł na zewnątrz. Niemniej udany skok przez szybę występuje chyba tylko w filmach. Gdy potoczył się po balkonie, poczuł dziesiątki odłamków szkła wbijających mu się w ręce i nogi. Dostrzegł kątem oka, że gdyby wylądował o parę centymetrów w prawo, duży fragment szyby mógłby mu przeciąć tętnicę szyjną. Zanim opadające żaluzje przesłoniły mu widok, zauważył też, że Casey oderwał wreszcie wzrok od celownika karabinu.

Tracer pierwszy zauważył słabe rozbłyski czerwonej latarki laserowej detektywa. Były ledwie widoczne, ale jednak wyróżniające się na tle wysokiej budowli ze stali, chromu i szkła górującej na tle nocnego nieba. Zmarszczył brwi i wyregulował lornetkę. Od razu się zorientował, że nie jest to promień celownika podczerwonego. Niemniej szybko zlokalizował okno w wieżowcu po drugiej stronie Thong Lo, z którego pochodziły czerwone rozbłyski. Zaparł się łokciami o brzeg stołu i wypatrzył kolejny charakterystyczny ciąg błysków. Wszyscy w służbach specjalnych musieli znać alfabet Morse'a, więc natychmiast odczytał wezwanie SOS. Nie zdążył jeszcze opuścić lornetki, gdy nagle ktoś tam wypadł przez wysokie okno na balkon, rozbijając szybę.

– Gawron, strona Alfa, cztery dziewięć. Widzisz to samo co ja?

Jarrett błyskawicznie nakierował lornetkę noktowizyjną na dziewiąte piętro Gawrona i odliczył czwarty balkon od lewej. Dostrzegł połyskliwy biały zarys człowieka w pozycji embrionalnej, z nogami podciągniętymi do brzucha, leżącego na balkonie wśród odłamków szkła i zerwanych żaluzji. A tuż obok zauważył karabin.

– Karabin snajperski – rzucił Tracer.

– Mam go – szepnął Jarrett.

Leżący mężczyzna po raz kolejny wysłał sygnał SOS rozbłyskami laserowej latarki. Jarrett odłożył lornetkę i pochylił się do obiektywu celownika noktowizyjnego. Kiedy wyłowił w nim karabin, także wyposażony w celownik podczerwony, uświadomił sobie, że ma zaledwie ułamek sekundy na ustalenie biegu zdarzeń.

Przestawił broń zgodnie z nowymi koordynatami. Zdażył jeszcze spostrzec zapalający się czerwony promień namiernika w karabinku Caseya i bez wahania posłał w jego źródło pocisk kalibru 7,82 milimetra. Tłumik w znacznym stopniu pochłoniął huk wystrzału, dał się słyszeć jedynie taki odgłos, jakby na ulicy ktoś uruchamiał stary samochód z gaźnikowym silnikiem.

Tymczasem Tracer skierował lornetkę na balkon Kocicy. Dziewczyna nadal tańczyła z Sompornem, najwyraźniej nieświadoma, że przed chwilą w sąsiedztwie padł strzał z broni palnej. Para była widoczna w świetle padającym z pokoju. Kocica tak prowadziła swojego partnera, że Jarrett miał do wyboru kilka okazji do trafienia obiektu. Niczym toreador z czerwoną płachtą próbowała poprzez taniec utrzymać kontrolę nad jego ruchami.

Na dziewiątym piętrze Gawrona zapaliło się światło w salonie sąsiedniego mieszkania. W jego blasku dokładnie ukazało się wybite okno i zakrwawiony, szamoczący się człowiek na balkonie. Tracer przełączył lornetkę na tryb optyczny.

– Jasna cholera – syknął, podając ją partnerowi. – Tylko popatrz.

– Aha, widzę. Facet na balkonie – mruknął Jarrett. – Czy mnie wzrok nie myli?

– Nasz ulubiony prywatny detektyw.

– Co on wyrabia, do cholery?

– Wygląda na to, że jest związany.

– Uratował nam życie. Nie inaczej.

– A kim jest ten drugi, w środku?

– Raczej kim był. Niezależnie od wszystkiego, muszę przyznać, że przecucie cię nie myliło, Tracer.

– To Casey?

– Skąd mam wiedzieć, do pioruna?

– Mam na oku nasz obiekt – rzekł Tracer, znowu patrząc przez lornetkę na balkon Kocicy.

Przez chwilę nie spuszczał Somporna z oczu. Kocica jeszcze ciągnęła go do tańca, ale widać było, że on szybko traci zapał. Istniała obawa, że wkrótce mogą zniknąć w głębi mieszkania.

– Jack będzie miał swoją odpłatę, ale zastrzelenie Somporna nie ma tu już nic do rzeczy – orzekł Jarrett. – Kończymy akcję.

Tracer przytaknął ruchem głowy.

Przybili sobie piątki nad głowami. Jarrett zdjął słuchawki i kapelusz, włożył marynarkę i zacisnął węzeł krawata pod szyją. Tracer także zdjął słuchawki, potarł oburącz uszy, po czym sięgnął po swoją marynarkę wiszącą na oparciu krzesła. Wspólnie złożyli Kate i umieścili ją w walizce. Po niespełna pięciu minutach wyszli na parking, otworzyli bagażnik mercedesa i wstawili do niego walizkę.

Jarrett usiadł za kierownicą. Tracer zajął miejsce z tyłu, żeby udawać pracownika ambasady podróżującego służbowym samochodem z szoferem.

– Nie jedziemy do Pattai – oznajmił Jarrett.

– Mooney będzie się wściekał.

– A skąd wiesz, czy on nie wiedział, co tu się szykuje?

Tracer zmarszczył nos i pokręcił głową. Partner spojrział na jego odbicie we wstecznym lusterku i dodał:

– To zresztą i tak już nie ma żadnego znaczenia. Wyjechali z parkingu przed wieżowcem na Thong Lo i skręcili w stronę Petchaburi Road, skąd można się było dostać na autostradę wiodącą ku międzynarodowemu lotnisku.

Jarrett włączył odtwarzacz. Ciszę w samochodzie wypełniły słowa bluesowej piosenki śpiewanej przy akompaniamencie fortepianu, saksofonu i harmonijki ustnej: „Ukradłaś mi duszę, gdy ode mnie odeszłaś. Zakopałaś ją gdzieś, gdzie jej nigdy nie znajdę. Bo wiem dobrze, że nigdy już tutaj nie wrócisz. Zostawiłaś mnie na ulicy, po której chodzę jak trup”.

39

Na balkonie Gawron cztery dziewięć światła padające z okien sąsiednich mieszkań i z ulicy tworzyły mętną siatkę poprzecinaną wydłużonymi cieniami, wśród których Calvino próbował się wyswobodzić z więzów. Światło było wystarczające, by zauważyć, że w pokoju wyciągnięty na podłodze Casey w ogóle się nie rusza.

Calvino leżał przez pewien czas z policzkiem przywartym do płytek terakoty, bo w głowie mu się kręciło od zapachu krwi. Później zaczął się przesuwac na boku, wlokąc za sobą krzesło, jak jakiś mięczak resztki muszli, i nie bacząc na odłamki szkła kaleczące mu ramię, zbliżać się do drzwi balkonowych. Zauważył przy nich włącznik światła i zdołał się na tyle podnieść, żeby je zapalić. Popatrzył na swoje ręce. Były pocięte i zakrwawione. Wypatrzył duży trójkątny odłamek szyby tkwiący w ramie i tak się ustawił, by móc rozciąć o niego taśmę samoprzylepną krępującą mu nogi. Uwolnwszy nogi, powybił kopniakami resztki szkła w dolnej części wybitego okna i zgięty wpół, wciąż przytwierdzony do krzesła, drobnymi kroczkami przelazł z powrotem do pokoju.

Kolana już mu się trzęsły z wysiłku, gdy zbliżył się i usiadł przy zwłokach Caseya. Miały dość mocno odmienioną anatomię, gdyż przy ciele nie było już rozpoznawalnej głowy. Pozostał tylko wałek postrzępionych tkanek w górnej części szyi z połową dolnej szczęki oraz resztką zębów, otoczonych przez luźne płyty poszarpanej skóry. Resztki czaszki, tkanek miękkich i mózgu rozbryzgały się na przeciwległej ścianie, tworząc koszmarne graffiti. Skupiska szarej materii, mokre i połyskliwe, połyskiwały w mętnym blasku lampy balkonowej, jak gdyby na ścianie osiadła jakaś kolonia morskich stworzeń. Lecący z dużą prędkością pocisk o miękkim czubku rozpląszczył się w chwili trafienia w cel, przez co nie tylko rozbił głowę Caseya, ale starł jego chytry uśmiezek, porozrywał policzki, nos i czoło, porywając wszystko, co znajdowało się za nimi. Para unosiła się z wielkiej poszarpanej rany na miejscu, gdzie powinna być głowa. Ciało wylądowało na podłodze na brzuchu, z obiema rękoma i nogami wyciągniętymi w kierunku tekowego stolika.

To była chwila *chek bin*. Odpłata. Ktoś poczuł się przyparty do muru i wszystko, co zostało z Caseya, można było teraz uznać za dekorację pokoju.

Detektyw zaczął tłuc nogami krzesła o ścianę, dopóki nie poluzował trochę taśmy, która przytwierdzała go do oparcia przez pierś. Zachęcony tym efektem, uderzył jeszcze parę razy, aż uwolnił się od krzesła. Po raz pierwszy od dłuższego czasu mógł się wyprostować. Stał plecami do ściany, pochylił się, skutymi rękoma sięgnął wysoko i pstryknął włącznikiem światła.

Pokój zalał jaskrawy blask. Calvino podszedł do stolika, na którym stał umocowany na trójnogu karabin snajperski, powoli usiadł na krześle i z niechęcią popatrzył na świeże plamy krwi na swojej sportowej marynarce. Tym razem było ich co niemiara. Zaczął oddychać miarowo i głęboko, zasłuchany w szum powietrza w nozdrzach. Wciąż jeszcze lekko oszołomiony, musiał zebrać w sobie resztki energii. I kiedy poczuł się nieco lepiej, stanął nad zwłokami Caseya. Nisko pochylony, zaczął je odwracać ramieniem, ale bezwładne ciało stawiało duży opór. W końcu usiadł na podłodze i nogą dokończył dzieła.

Przesunął się bliżej ciała i macając na oślep dłońmi zakutymi w kajdanki, zaczął przetrząsać kieszenie trupa. Dość szybko znalazł klucze, ale musiał kilka razy przerzucać je na podłodze i obracać się, zanim zdołał schwycić w palce kluczyk od kajdanek. Ich rozpięcie poszło już szybko. Uwolnwszy ręce, przeszukał pozostałe kieszenie Amerykanina, przejrzał zawartość portfela, wyciągnął inne kółko z kluczami, schował telefon komórkowy. Na koniec wetknął kajdanki do kieszeni zabitego. Włączył telefon i zaczął od przejrzania wykazu ostatnich rozmów, połączeń odebranych i nieodebranych. Zobaczył dwa numery z telefonu Nongluck, jeden z nich był tym, pod który dzwonił zawsze do Caseya. Przeglądając książkę telefoniczną, natknął się na własny numer zapisany pod nazwą „Prywatny detektyw”. Większość wpisów nic mu nie mówiła, zawierała pseudonimy albo ciągi cyfr, na przykład „308”, „Obserwator”, „Prywaciarz”. Bezosobowe, typowo wojskowe kody lub uliczne ksywki chętnie wykorzystywane przez wojsko.

Spoglądając na trzymany aparat, wpadł nagle na pewien pomysł. Zapis „308” skojarzył mu się z kalibrem snajperskiej broni. Zaciekawilo go, kto odbierze pod tym numerem. Wcisnął klawisz połączenia i uniósł aparat do ucha. Chwilę później na linii rozległ się męski głos.

– To ty wystrzeliłeś tę kulę? – zapytał.

– A ty co, kur...!

Połączenie zostało przerwane.

Calvino uśmiechnął się i odłożył telefon. Przyszło mu na myśl, żeby zadzwonić po raz drugi, ale już wiedział to, na czym mu zależało. Ucieszył się, że jako pierwszy miał okazję przekazania właściwej osobie informacji o precyzji oddanego strzału. Bo nie wątpił już, że pod wpisem „308” w aparacie Caseya znajduje się numer telefonu

skutecznego snajpera.

Przypomniał sobie swoją zasadę: w wypadku wątpliwości zawsze należy skorzystać z telefonu.

Poszedł korytarzem, otworzył drzwi sypialni, zapalił światło i rozejrzył się. Usiadł na łóżku obok dużej otwartej walizki i zaczął wyjmować jej zawartość: płyty DVD, paszport, bilety, akta, mały notebook, nieco ubrań na zmianę. Casey niewiele rzeczy zamierzał zabrać ze sobą. Detektyw wziął pierwszą z brzegu płytę DVD, cofnął się do salonu i załadował ją do odtwarzacza stojącego na stoliku pod telewizorem. W ciemności, zaledwie parę metrów od leżących na podłodze zwłok, uruchomił odtwarzanie zapisu. Casey stał przed nagim śniadym mężczyzną przywiązany za ręce do żelaznej ramy, któremu w usta wlewano wodę. Jego nogi dyndały swobodnie w powietrzu, a twarz zakrywała biała muślinowa ściereczka. Miotał się w więzach, zmuszony do połykania lejącej się strumieniem wody. Bulgotanie i charczenie dobywające się z jego gardła stanowiły przerażające tło dźwiękowe nagrania. Wyglądało na to, że Casey skopiował je ze zniszczonej kasety nagranej w tajnym więzieniu. Calvino puścił odtwarzanie od początku, drugi raz obejrzał zapis, po czym kucnął obok zabitego. Przez chwilę spoglądał na niego, wreszcie wstał i wyszedł na balkon.

Trzask wybijanej szyby powinien był kogoś zaalarmować, lecz z ulicy w dole nie dolatywało wycie syren, nie było widać błyskających czerwono i niebiesko policyjnych kogutów. Mieszkańcy Bangkoku byli przyzwyczajeni do hałasów. Najwyżej czekali, czy się nie powtórzą, lecz dalej panował już tylko zwykły wielkomiejski szum. Puścili więc w niepamięć ten mało znaczący przerywnik. Wychylił się za poręcz i rozejrzył na wszystkie strony. Z sąsiednich mieszkań nie dobiegało nic nadzwyczajnego, nie zauważył żadnego poruszenia. Dotarło do niego, że odgłos pojedynczego wystrzału musiał utonąć wśród odgłosów ruchu ulicznego, dźwięków grających radioodbiorników i telewizorów, głosów rozmawiających ludzi. Wyglądało na to, że nawet trzask wybijanej przez niego szyby był głośniejszy od tego huk. Ale zaraz ponownie zaległa cisza. Jeśli jakikolwiek dźwięk miał się wybić ponad zwykłe nocne odgłosy smoka buszującego po ulicach Bangkoku, musiał być nie tyle donośny, ile przeciągły. Calvino nie miał też wątpliwości, że człowiek, który strzelał z karabinu, dawno już stamtąd uciekł. To była robota zawodowca, a profesjonaliści działający na tym polu potrafili się ulatniać jak para na wietrze. Dlatego uznał, że najwyższa pora, aby i on się stąd wynosił.

Pogasił światła, wyszedł z mieszkania i kluczem Caseya zamknął drzwi. Przemierzył korytarz i stanął na szczycie schodów. Uchylił drzwi i wyjrzał ostrożnie, ale nikogo nie zauważył. Ile czasu było potrzeba, żeby ktoś zawiadomił policję, a ta wtargnęła do mieszkania? Wycofał się na korytarz, po cichu zamknął za sobą drzwi, przeszedł do wyjścia ewakuacyjnego i zszedł schodami do podziemnego garażu. Przy

kółku z kluczami Caseya wisiał też mały elektroniczny pilot od centralnego zamka oraz gruby klucz ze znaczkiem firmowym BMW. Kiedy ostatni raz dzwonił do Pratta, na linii zapadła długa cisza, gdyż pułkownik czekał niecierpliwie na bliższe informacje o naturze kolejnego kłopotu, w jaki wpakował się jego przyjaciel. Tym razem Calvino miał go doprowadzić do ciała, którego głowa wyglądała jak owoc mango, który wpadł pod kosiarkę. Prattowi zależało na odzুকaniu Caseya, ale stan, w jakim ten się obecnie znajdował, daleki był od tego, co pułkownik miał na myśli. Dlatego detektyw zarzucił pomysł natychmiastowej rozmowy, zastanawiając się, czy nie ma lepszego sposobu na załatwienie tej sprawy. Pratt nie potrzebował takiego balastu. Zatem rozmowa z nim nie przyniosłaby niczego dobrego.

Calvino wyszedł na pierwszy poziom parkingu i zaczął się rozglądać za bmw. Wymierzał pilota w kolejne auta i naciskał guzik, ale nic się nie działo. Próbował z tej i z tamtej strony, lecz dopiero po pewnym czasie w oddali zapaliły się kierunkowskazy nowego czarnego auta. Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Wewnątrz unosił się zapach nowiutkiej tapicerki, a deska rozdzielcza wyglądała nieomal jak tablica przyrządów boeinga 747. Wrażenie pobytu w kabinie pilotów nasilały przyciemnione szyby samochodu. Wsunął kluczyk do stacyjki, uruchomił silnik i powoli wyprowadził wóz na ulicę. W oddali przed sobą dostrzegł dwa inne pojazdy. Nigdzie nie było widać policji, ani w garażu podziemnym, ani u wylotu alejki dojazdowej na poziomie ulicy. Pomyślał więc, że poza nim i snajperem nikt jeszcze nie wie, że Casey nie żyje.

40

Na pewno zadzwoni jeszcze raz – powiedział Jarrett. – Możesz być tego pewien.

– Nie trzeba było tak szybko przerywać połączenia.

– Przecież nie wiem, kto to jest.

Tracer mruknął gardłowo z tylnej kanapy.

– Gdyby facet nie dał znać tą latarką, już byś nie żył. Ja pewnie też byłbym trupem. Co on, do jasnej cholery, robił na tamtym balkonie? Czego od nas chce?

– Też ma szczęście. Gdyby nie my, Casey pewnie by go zabił. Albo ja bym go zastrzelił.

– Tak myślisz?

– W każdym razie uratowaliśmy jego dupsko. Tylko tyle chcę powiedzieć. A więc jesteśmy kwita.

Wyglądało na to, że Calvino miał się nigdy nie dowiedzieć, iż tylko o włos ominęło go bliskie spotkanie ze specjalnym snajperskim pociskiem o miękkim czubku. Ale Tracer miał rację, detektyw zdążył im ujawnić lokalizację Caseya, zanim ten zdążył nakierować na nich nitki celownika. Jarrett aż się wzdrygnął na tę myśl i mocniej zacisnął palce na kierownicy. Dziwne uczucie szybko minęło, ale pozostał po nim wyraźny ślad. Bo czasem bywa blisko, a czasem bardzo blisko. Podobnie jak orgazm, śmierć nadciąga do granicy, przebija się i albo zwala z całą mocą na człowieka, albo tylko łapie za coś i próbuje ciągnąć do siebie. Nigdy nie można być pewnym, toteż Jarrett wciąż usiłował przełknąć kłęb goryczy tkwiący mu w gardle. Ten jednak palił coraz bardziej, a im bardziej próbował się od niego uwolnić, tym mocniej ścisnął przełyk.

Znowu zadzwonił jego telefon komórkowy, ale on go zlekceważył. Chwilę później zadzwonił telefon Tracera i ten wymienił z Jarrettem szybkie spojrzenia.

– Odbierz – nakazał.

W blasku wskaźników na desce rozdzielczej zauważył na wyświetlaczu swojego aparatu, że to ten sam numer, co poprzednio.

Tracer wcisnął klawisz połączenia, ale nie odezwał się ani słowem.

– Mówi Vincent Calvino. Mam pytanie do „.308”. Dlaczego tak szybko się rozłączył?

Zakrył dłonią mikrofon i rzekł półgłosem:

– To Calvino.

– Zapytaj, czego chce.

– Chłopie, nie mam pojęcia, w co próbujesz z nami grać, ale chyba powinieneś, do ciężkiej cholery, trzymać się teraz z daleka od tamtego mieszkania i od nas. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Calvino westchnął głośno.

– Spotkajmy się.

– Wykluczone.

Na linii słychać było w tle szum ruchu ulicznego.

– Pozwolę sobie zgadywać, że jesteście w drodze na lotnisko. Wystarczy mój jeden telefon i policja je zamknie. Więc może jednak porozmawiamy?

– Oddzwonię – rzucił Tracer i przerwał połączenie. Chwilę później znowu zadzwonił telefon Jarretta. Tym razem odebrał.

– Calvino, nie masz najmniejszego pojęcia, w co się pakujesz. Lepiej wracaj do swojego biura i zajmuj się dalej śledzeniem niewiernych mężów z barowymi dziewczynami.

– Wolałbym jednak porozmawiać z wami dwoma. Też jadę na lotnisko. Pół godziny nie zrobi wam większej różnicy. Policja jeszcze o niczym nie wie. Gdy wychodziłem z mieszkania Casey'a, wokół było cicho i spokojnie. Nikt jeszcze nie wie, że on nie żyje. Macie więc czas.

– Casey'a? – wycedził Jarrett, a Tracer ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na widoczną w lusterku jego zbaraniałą minę. – Nie przesłyszałem się? Wspomniałeś coś o Casey'u?

– A jak myślisz, kogo zastrzeliłeś? – zapytał detektyw.

Coś mu podpowiadało, że tamci już wiedzą, iż zabili Casey'a, i tylko grają z nim w kotka i myszkę. Uznał jednak, że skoro jest im potrzebny ten drobny wykręt, niech się nim nacieszą.

Jarrett natomiast pomyślał, że to Calvino musiał uruchomić ostatni etap „odpłaty za Jacka”. Zatem Tracer i pod tym względem miał rację, detektyw uratował mu życie.

– Hala przylotów. Zadzwonił za pół godziny.

Jarrett przerwał połączenie i położył aparat na prawym fotelu.

– Zgodziłeś się na spotkanie z nim? – zdziwił się Tracer.

– Sam mówiłeś, że pewnie już bym nie żył, gdyby nie jego SOS.

Lotnisko międzynarodowe, obiekt mamucich rozmiarów, dzięki któremu wzbogaciły się całe klany polityków, był w jego mniemaniu wręcz idealnym

miejszem na spotkanie z detektywem. Port lotniczy postawiony w atmosferze korupcyjnego skandalu był tak wykonany, że pasy startowe ciągle pękały w wielu miejscach, a mieszkańcy okolicznych osiedli grozili zmasowaną akcją wypuszczania z okien balonów, jeśli samoloty nie przestaną startować i lądować. Ciągły ryk silników odrzutowych doprowadzał ich do szaleństwa. Wszystkie próby zapłacenia *kah pit pak*, czyli pieniędzy za milczenie, spełzały na niczym. Ludzie chcieli spokoju, a nie pieniędzy. Ale skandaliczna atmosfera wokół lotniska nie zmieniała faktu, że hale wzniesiono z rozmachem olbrzymiej szklarni zbudowanej na dachu nadzwyczaj zimnego centrum handlowego.

Jarrett ustawił samochód na parkingu długoterminowym i ruszył do hali odlotów w terminalu. Znaleźli długi rząd pustych krzesełek, przeszli tam i usiedli. Minęła najwyżej minuta, kiedy Tracer wstał i podszedł do elektronicznej tablicy z rozkładem najbliższych połączeń. Loty do Londynu, Nowego Jorku, Frankfurtu, Hanoi, Phnom Penh oraz Dżakarty wędrowały powoli w górę tablicy razem z godzinami startu oraz numerami bramek odprawy pasażerów. Mieli do wyboru wiele różnych punktów docelowych. Tracer odwrócił się, przecisnął przez tłum turystów z bagażami i usiadł z powrotem obok Jarretta.

– Casey – mruknął. – Pieprzony Casey. O mało nas nie załatwił. Mówiłem ci, że coś jest nie tak. Przeczynałem to. Jak tylko zobaczyłem w gazecie, że zniknął bez śladu, powiedziałem sobie: „Tracer, ten człowiek to chodząca bomba zegarowa, kiedy wybuchnie, narobi wokół siebie cholernie dużo szkód”. – Wyciągnął z kieszeni swój woreczek *mojo* i potarł nim o policzek. – Ale go dopadliśmy. Mieliśmy *mojo*, które tego wieczoru było po naszej stronie. Pan Mojo zobaczył, co się święci, i przysłał nam pomoc.

– Londyn w sierpniu jest bardzo ładny – powiedział Jarrett. – Znam pewne fajne miejsce w Bayswater. Proponuję tam polecieć, naprawdę warto.

Wokół nich kręciły się setki ludzi, ciągnących bądź dźwigających swoje walizki, pchających wózki bagażowe, jedzących lub pijących coś po drodze.

Tracer uśmiechnął się, uniósł pięść i lekko stuknął partnera w ramię.

– Wiesz co? Chyba się starzejemy. Zapytałeś mnie kiedyś, czy dociągniemy do czterdziestki. Według dawnej rachuby snajperskiej byłby to odpowiednik stu ośmiu normalnych lat. A ja odpowiedziałem: „Stary, jesteś pewien, że chciałbyś żyć aż tak długo?”. Dzisiaj o mało do tego nie doszło, niewiele brakowało, żebyśmy wymeldowali się przed czasem. Więc chyba nie przeżyliśmy po to, żeby teraz lecieć do Londynu. Ten pieprzony Casey miał jakiś plan. Czekał tylko na błysk ognia z lufy, żeby załatwić najpierw ciebie, a potem pewnie i mnie, zanim zdążyłbym zareagować.

– Dlaczego postanowił się nas pozbyć?

– Skąd mam to wiedzieć? A dlaczego wstawił ten niebieski stół bilardowy do naszego mieszkania? Myślisz, że wybrał taki przez przypadek? Czy może jednak

chciał nam dać coś do zrozumienia?

– Na temat Jacka?

Tracer energicznie potarł palcami woreczek *mojo*, jakby miał stamtąd wyskoczyć dzin, żeby spełnić jego trzy życzenia.

– Jacka... a może Kolumbijczyków... Jeśli się dobrze zastanowić, lista jest dość długa. Nie zapominaj, że nie jesteśmy jedynym zespołem wpłątany w akcje odpłaty.

– Casey wiedział o naszym zleceniu w Gijón.

– I wiedział też od Watersa, co razem z Harrym zrobiliście w Hua Hin. Znał szczegóły co najmniej kilku innych akcji.

Jarrett podrapał się po nosie.

– Zastanówmy się przez chwilę. Miał swoje potajemne kanały kontaktów z Kolumbijczykami. Z tymi, co zakopują pieniądze, zgadza się? Sam mówiłeś, czterdzieści kawałków od niego miało ten specyficzny zapaszek. Ale biznesmen z Perth, który nasłał zbirów, żeby zabili Jacka, także mógł zakopywać forszę. Więc nic nie jest pewne. Głowa zaczyna mnie boleć.

Tracer pochylił się nisko i zamknąwszy swoje *mojo* w obu dłoniach, zapatrzył się na woreczek, jakby szukał w nim inspiracji.

– Skup się na samym Caseyu, stary. W Bangkoku zaczynała mu się palić ziemia pod stopami. Musiał zdawać sobie sprawę, że jest tylko kwestią czasu, kiedy złapią go za dupę i wrzeszczącego zawloką do Waszyngtonu, żeby zeznał, co naprawdę robił w Bangkoku. Dlaczego Waters tego nie przewidział? Powinien był zaliczyć Casey'a do ludzi wysokiego ryzyka, odciąć mu dostęp do tajnych materiałów, odebrać zieloną plaketkę. Szczytem głupoty było pozostawienie go w terenie. Ale tak właśnie zrobił Waters. Nie chciał urazić dumy starego znajomego.

– Wygrałeś właśnie darmowy bilet na podróż do Las Vegas – powiedział Jarrett.

Po Londynie było to jego drugie docelowe miejsce pobytu.

– Jak myślisz, ile trzeba było zapłacić Caseyowi za to, żeby nas sprzątnął?

– Ten ktoś na pewno wiedział, że Casey'a można kupić, to tylko kwestia ceny. Nasza firma miała właśnie zamiar rzucić go na pożarcie wilkom. Zatem ktoś z kierownictwa musiał się dowiedzieć, że Casey jest w poważnych kłopotach, dlatego złożył mu ciekawą ofertę biznesową. – Jarrett pokręcił głową i prawą pięścią lekko postukał w otwartą lewą dłoń.

Tracer przełknął ślinę i też pokręcił głową, zerkając na partnera.

– Ale taki rezultat na pewno go wkurzy. Kiedy się przekona, że jego kontrahent nie skończył roboty, może zacząć szukać kogoś innego do jej skończenia.

Westchnął ciężko i powiódł spojrzeniem po twarzach przechodzących ludzi, młodych dziewcząt, pary staruszków, mężczyzny na wózku inwalidzkim, singapurskiej załogi samolotu w wyczyszczonych do połysku mundurach, ze stewardesami o wyglądzie gwiazd kina zdążających do studia filmowego. Wolałby

zaczekać na zewnątrz, pod rozgwieżdzonym niebem. Dla niego ciemność była bliskim przyjacielem człowieka, mogła mu zapewnić bezpieczne schronienie.

– Nie ulega wątpliwości, że ktoś zapłacił Caseyowi za tę robotę – rzekł w zamyśleniu Jarrett. – Tyle że on nie wykonał zadania.

– Moim zdaniem to niewątpliwie oznacza, że zostanie przysłany ktoś inny, żeby dokończył robotę – powtórzył swoją wcześniejszą myśl.

Jarrett uniósł nagle rękę, jak uczeń w szkole pragnący o coś zapytać.

– Ale i Casey musiał w tej akcji korzystać z czyjejś pomocy – rzekł. – Chciałbym wiedzieć, kto to taki.

– Może ktoś postawiony wysoko w hierarchii służbowej firmy.

– Któryś z garniaków? – zapytał Jarrett, wciąż mając w pamięci liczne powiązania biznesmena z Perth.

– A co powiesz na samego Watersa? – szepnął Tracer z oczami jak spodki.

– To nie mógł być Waters.

– Dlatego, że jest blisko związany z twoim ojcem? – Tracer miał już minę człowieka cierpiącego na syndrom wrażliwego jelita.

Jarrett spojrzał na niego. Tamten mówił o Watersie od kilku dni, pocierając i wykręcając przy tym swój woreczek *mojo*, jakby był to sznur koralików zapewniających spokój. Zatem musiał mieć kolejne przecucie, coś mu podpowiadało, że i ta niewiadoma nie pasuje do tego równania.

– Waters to jedyny człowiek, który zna wszystkie szczegóły naszej operacji – mruknął.

– I sądzisz, że Casey najął tego prywatnego detektywa, żeby nas śledził? – podsunął Tracer.

– Chciałeś chyba powiedzieć, że go najął, żeby zapewnić sobie drogę odwrotu.

– Więc wygląda na to, że pułkownik Waters wszedł w ten interes do spółki z Caseyem. – Tracer pokręcił głową i cicho gwizdnął przeciągle pod nosem. – Mamy długą historię kontaktów z tym człowiekiem. Harry go zwerbował, wspierał bez przerwy, dbał o jego awanse, a po odejściu na emeryturę zarekomendował go do kierownictwa firmy. To znaczy, że Waters ma u Harry'ego dług wdzięczności. Tym samym ma też dług u ciebie.

Z megafonów rozległ się komunikat wzywający pasażerów odlatujących do Paryża. Z korytarza wyszli dwaj uzbrojeni ludzie w granatowych mundurach z niemieckim owczarkiem na smyczy. Minęli jednak Tracera i Jarretta, nawet na nich nie patrząc.

– Możemy gadać o różnych ewentualnościach przez całą noc, a i tak ani trochę nie zbliżymy się do prawdy. Co najmniej kilka osób dysponuje wystarczająco dużymi pieniędzmi, żeby go przekupić, tak samo jak przekupiło Casey'a. Wystarczy tylko znaleźć cenę każdego człowieka, a podniesie kotwicę i pożegluje w dal. I nie będzie

się liczyło to wszystko, co Harry dla kogoś zrobił. To już historia. A my mamy dzień dzisiejszy.

Minął ich drugi patrol, tym razem policyjny, w brązowych mundurach, a Jarrett splótł ręce za głowę, ziewnął szeroko i wyciągnął nogi przed siebie, jakby się obawiał, że policjanci szukają właśnie ich. Ale obaj wyglądali na zwykłych podróżnych czekających na swój samolot. Niczym się nie wyróżniali pośród innych pasażerów, jakby byli tylko anonimowymi ludźmi w tłumie.

Tracer znowu westchnął, osunął się na foteliku, odchylił głowę na oparcie i zamknął oczy.

– Ludzie różnie reagują na pieniądze. Ale wyraźny smród gotówki nie zrobił wrażenia na Watersie. A to był smród mokrej gliny. Smród zakopanej forsy.

Próbował przypomnieć sobie zapach mokrej gleby z wielu różnych zakątków świata. Doszedł jednak do wniosku, że nie był w miejscu, którego ten właśnie zapach wryłby mu się w pamięć.

Jarrett trącił go łokciem, więc spojrzał na niego.

– Miałeś rację co do pieniędzy. Mówiłeś to już wcześniej. Ale problem polega na tym, że nie mamy niezbitego dowodu. Doszliśmy do naszych wniosków w rozmowie, lecz naprawdę niczego nie wiemy.

– Myślisz, że kiedykolwiek się dowiemy? Bardzo w to wątpię.

– Możesz uznać, że Waters współpracował z Caseyem. Ale to tylko słowa. Potrzebny nam jest jakiś dowód. W przeciwnym razie wpakujemy się w poważne kłopoty.

– To jasne – przyznał Tracer. – Jak bezpłodny facet, który decyduje się poddać wazektomii.

– Ostrożności nigdy za wiele.

– Tylko gdzie chciałbyś szukać tego dowodu? – Spostrzegł, że Jarrett szybko odwrócił wzrok, a więc równie dobrze jak on znał odpowiedź na to pytanie. – Zawsze możesz zadzwonić do ojca. I puścić tę sprawę przez niego.

Tamten pokręcił głową.

– Nie wiem, czy powinienem mieszać w to ojca. To mi wygląda na grubą sprawę, a jeśli tak jest, może powalić po drodze dużo potężnych drzew.

Harry powtarzał mu, że jest pewna kategoria zasadniczych wątpliwości, których żaden człowiek nie powinien nigdy próbować rozstrzygać.

– Myślę, że chcieli zapracować na sukces. Ciekawe, co teraz zadecyduje Waters. Kogo przyśle w celu dokończenia roboty Casey'a? A może będzie chciał to zrobić sam? W tym zakresie Harry mógłby podsunąć parę cennych pomysłów.

Jarrett nie odpowiedział. Uważał, że zaczynają rozstrzygać wątpliwości, z którymi każdy człowiek powinien nauczyć się żyć. Siedział w hali odlotów na lotnisku, mając wyłącznie plecak z ciuchami na zmianę, toteż chwilowo nie widział innego wyjścia,

jak ciągnąć sprawę dalej i robić to, co do nich należy. Powinni się gdzieś skutecznie zaszyć i odczekać jakiś czas, przynajmniej do chwili, aż zdołają ustalić, kogo mają za przeciwnika. To, czy Waters wiedział od początku o planie Caseya, czy też został przez niego wyprowadzony w pole, na razie nie miało znaczenia. Nie chciał przesądzać, że to właśnie Waters nagrał całą operację. Ale w zetknięciu z brutalną rzeczywistością przyznawał, że Waters musiał o wszystkim wiedzieć, a nawet więcej, co najmniej biernie odegrał swą rolę w zorganizowaniu operacji. Pozostawało zagadką tylko to, czy był czynnym graczem, który podjął decyzję o rozpoczęciu własnej rozgrywki z Caseyem. W tej sprawie mnóstwo pieniędzy pojawiło się niemalże znikąd, między innymi kupiono za nie akt zemsty. Pomyśl, że ostatecznym mechanizmem napędowym ludzkości jest seks, mógł zawierać jakieś ziarno prawdy, ale zemsta była tuż o krok za nim i do końca stwarzała zagrożenie, że pokona seks w tym wyścigu.

Jarrett wyjął swój telefon komórkowy, odszukał w spisie ostatnie połączenie i zapatrzył się na numer rozmówcy. Prywatny detektyw dzwonił spod numeru, z którym on wcześniej nie miał do czynienia. Pomyślał nagle o ludziach, którzy musieli znać numer jego komórki. Karta SIM była zarezerwowana wyłącznie do celów operacyjnych. Jej numer znał Tracer, jak również Waters. Oczywiście znał go także Harry. Ale nikt poza tym. Przynajmniej tak mu się zdawało. Nie znał go nawet Mooney, który wypożyczał im swą broń. Ale istniał też wąski krąg osób ze ścisłego kierownictwa firmy, które także miały dostęp do tego numeru. Obejmowała to standardowa procedura działania.

– Do kogo dzwonisz? – zapytał Tracer.

– Do wróżki. Chcę ją zapytać, o której godzinie byłoby najlepiej wystartować z Bangkoku.

– Każda godzina jest dobra, Jarrett.

– Mamy trochę czasu w zapasie – odparł porozumiewawczo, biorąc za dobrą monetę informację, że policja nie odnalazła jeszcze tego, co zostało z Caseya.

– Na pewno nie chcesz zadzwonić do nikogo innego? – zapytał podejrzliwie partner, spoglądając na ekranik własnego telefonu.

Jarrett przypomniał sobie nagle córkę pszczelarza i uśmiechnął się do siebie. Z przyjemnością posłuchałby teraz jej głosu. A potem przypomniał sobie tę dziewczynę z Hiszpanii, która zjawiała się w barze w towarzystwie dziewczynki, i nabrał ochoty, by powiedzieć jej przez telefon, jak bardzo żałuje, że stała się świadkiem zabójstwa na plaży.

– Do nikogo więcej nie chcę dzwonić – odparł.

– Casey obmyślił sobie jakąś porąbaną sztuczkę. Jarrett zamknął telefon i wsunął go do kieszeni.

– Zmiana planów – powiedział. – Wyjeżdżamy za granicę. – Wstał i obejrzał się

na Tracera.

– Ten pomysł mi się podoba.

Razem ruszyli w kierunku kas biletowych linii Thai International.

– Pieprzyć Mooneya.

– Pieprzyć Watersa i Kolumbijczyków.

– Samochód został na parkingu długoterminowym. Za kilka miesięcy go znajdą.

Każdy z nich miał ukryty pod ubraniem pas z kilkoma kartami kredytowymi, gotówką i fałszywymi paszportami. Dysponowali wystarczającymi funduszami, żeby kupić sobie bilety w klasie biznesowej i z pełnym szykiem odlecieć z Tajlandii. Wyszkolenie podpowiadało im, że tam, gdzie wylądują, będą musieli w pierwszej kolejności zdobyć nowe paszporty i załatwić sobie nowe dokumenty. Wymagało to sporo pieniędzy i czasu, ale nie więcej jak czterdzieści osiem godzin. Urządzenie sobie życia od nowa z pewnością musiało potrwać dużo dłużej. Musieli przecież ukrywać się przed firmą, przyjaciółmi i rodzinami. Nie było tylko jasne, jak długo będą zmuszeni pozostawać w głębokim cieniu.

– Waters na pewno zacznie nas szukać. Nie będzie miał innego wyjścia. Zdajesz sobie z tego sprawę? – zagadnął Tracer.

Jarrett uśmiechnął się, przekrzywił głowę na ramię i popatrzył na tablicę z wykazem najbliższych odlotów.

– My go odnajdziemy wcześniej niż policja znajdzie mercedesa.

To się Tracerowi spodobało.

– Przypominają mi się słowa pewnego bluesa: „Poprowadź mnie tą drogą, na której się zhańbiłem. Zabierz mnie do tych miejsc, w których kiedyś bywałem. O nic cię nie winię, skarbie, bo tak stać się musiało”.

Telefon Jarretta zadzwonił, ledwie stanęli przed kontuarem. Dzwonił tak długo, aż *ying* siedząca w kasie zapytała, czemu nie odbiera. Widocznie nabrała podejrzeń, że nie słyszy sygnału. Kiedy w końcu wyjął z kieszeni aparat i wcisnął klawisz połączenia, usłyszał głos mówiący ze znajomym brooklińskim akcentem:

– Jestem na lotnisku. Gdzie was szukać?

41

Calvino ujrzał dwóch Amerykanów w kawiarni, siedzących w najdalszym kącie, za całym morzem wymęczonych podróżnych i jeszcze bardziej od nich zaniedbanych stolików. Samoobsługowy lokal serwował ledwie ciepłe i tłuste kluski przygotowywane przez kucharza o zaskoczonym i wystraszonej wyglądzie człowieka trafionego ostrą amunicją. Tamci dwaj sprawiali wrażenie przeciętnych turystów próbujących umilać sobie oczekiwanie na samolot. Obaj tak samo trzymali oburącz wielkie filiżanki z kawą. Tracer pił czarną, którą wcześniej długo mieszał łyżeczką, jakby miał podejrzenia, że są w niej jakieś części nierozpuszczone. Natomiast Jarrett jak zwykle sładził dwiema porcjami cukru serwowanymi w wąskich i długich papierowych opakowaniach. W końcu uwielbiał wszystko, co słodkie, a zwłaszcza wyroby z miodem. Przy sąsiednich stolikach miejsca dookoła zajmowali dwójkami i trójkami Tajowie oraz turyści z zagranicy, najczęściej z bagażami ustawionymi przy krzesłach, a więc klienci najtańszych klas lotniczych, niemający dostępu do pomieszczeń dla VIP-ów.

Jarrett i Tracer siedzieli w milczeniu, próbując się wtopić w tłum. Ale wyróżniała ich doskonale widoczna czujność, której zwykle nie przejawiają ludzie czekający na samolot. Byli bardzo spięci, uważnymi spojrzeniami odprowadzali wszystkich dookoła, toteż Calvino od razu spostrzegł, że wciąż są napompowani adrenaliną, gotowi w każdej chwili skoczyć do akcji, gdyby tylko zdarzyło się coś niepokojącego. Dwóch młodych farangów, z których jeden był biały, a drugi czarny, wyglądało tak, jakby na ich barkach spoczywał cały ciężar tego świata. Calvino postawił aktówkę Caseya na stoliku i usiadł obok Tracera.

Był blady i opuchnięty po laniu, jakie spuścił mu Casey, w kilku miejscach miał porozcinaną skórę. W ubranie powbijały mu się drobne perełki okruchów szkła, a kostki dłoni miał pościerane do krwi od czołgania się po usłanym ostrymi odłamkami balkonie. Mógłby uchodzić za kogoś, kto patrzył w złym kierunku, przechodząc przez ulicę. Albo za niedołęznego starca, którego w ciemnym zaułku

napadł i pobił nędzny złodziejaszek.

– Jak cię w ogóle wpuścili na teren terminalu? – zdziwił się Jarrett.

– Powiedziałem, że żona Tajka zrobiła mi awanturę i wygrała. Dlatego muszę wyjechać z kraju. Przepuścili mnie z litości. Podejrzewam, że jeszcze do tej pory się ze mnie śmieją.

– Czego chcesz? – wtrącił Tracer.

Calvino sięgnął do prawej kieszeni, ale była pusta, sięgnął więc do lewej, odchylając się w bok na krześle. Z jej dna wyciągnął laserową latarkę, wymierzył ją w czoło Tracera i nacisnął guzik. Po chwili położył latarkę na stoliku.

– To zabawne, że takie śmieszne gadzety mogą ocalić człowiekowi życie – powiedział. Otworzył aktówkę, wyjął z niej telefon komórkowy Caseya i położył go obok latarki. – Znalazłem wasze numery w jego aparacie.

Jarrett podniósł komórkę.

– Figurujecie w spisie kontaktów jako „Snajper” i „Obserwator” – dodał detektyw, przyglądając się, jak tamten pospiesznie przegląda spis rozmówców i ich numery.

Jarrett odnalazł numer Watersa na samym końcu. Tego właśnie szukał. Pokazał telefon partnerowi i rzekł:

– Dużo miał tych wpisów.

– Mnie wpisał jako „Prywatnego detektywa”, ale nie mam o to pretensji. – Calvino nie chciał już wyjaśniać, że Nongluck figurowała w spisie jako „Dziwka 3”, a Kocica jako „Dziwka 2”. Pozostawało im tylko się domyślać, kogo zapisał jako „Dziwkę 1”.

Casey był znany ze starannego i dokładnego planowania swoich misji. Niczego nie załatwiał połowicznie. Został tak wyszkolony, żeby potajemnie organizować obserwację swoich najcenniejszych sprzymierzeńców. Chciał znać różne szczegóły. Polowanie na cenny obiekt wymagało odrębnego zestawu umiejętności, jeszcze inne były potrzebne do odszukania tego człowieka w tłumie. Był jak zabójca, którego jedynym życiowym celem stawało się zlikwidowanie pilnie strzeżonego obiektu. Każdy w tłumie obcych mógł niespodziewanie sięgnąć po broń. Tak więc Casey zwykle miał przewagę doświadczenia, w tej sytuacji jednak ono go zawiodło. Wystarczyła prosta arytmetyka, by przewidzieć, że to musi się tak skończyć. Talent i przygotowanie tylko minimalizowały ryzyko, nie eliminowały go zupełnie. Z punktu widzenia Caseya, o jego losie przesądził żalosny prywatny detektyw bez żadnego specjalistycznego wyszkolenia, któremu jednak dopisało szczęście w najbardziej pożądanej chwili. Zarówno Jarrett, jak i Tracer nie mogli się nadziwić, że Casey popełnił tak prosty błąd i pozwolił sobie myśleć, że wziął pod uwagę wszystkie czynniki i całkowicie panuje nad sytuacją.

– Spiszcie sobie wszystkie numery, na których wam zależy – mruknął Calvino,

patrząc obojętnie, jak Jarrett pospiesznie wykasowuje ze spisu najpierw swój numer, a potem partnera.

– Co tam jeszcze masz w tej aktówce? – zaciekał się Tracer.

– Paszport Caseya ze stemplem odprawy służb emigracyjnych sprzed dwóch dni oraz bilet powrotny z Londynu. Jego pierwsza połowa, na przelot z Bangkoku do Londynu, została wykorzystana.

Okazało się, że była to rezerwacja na ten sam lot, na który i oni mieli bilety. Tracer tylko uśmiechnął się ironicznie, patrząc na bilet Caseya.

– Dokładnie to zaplanował – ciągnął Calvino. – Sądząc z pozorów, Caseya nie ma teraz w Tajlandii. Jest gdzieś w Londynie. I jeszcze coś. Zostawiłem jego samochód na parkingu długoterminowym, bo w środku był bilet też wykupiony dwa dni temu.

Tracer i Jarrett wymienili szybkie spojrzenia.

– Jak on to załatwił? – zdziwił się Jarrett.

– Sam podmieniałem bilety z innym samochodem, który zastałem na wyższym poziomie.

– Więc Casey siedzi teraz w pubie i sączy ciepłe piwo – mruknął Tracer, pociągnąwszy łyk kawy.

– Ale tu został bałagan do sprzątnięcia. – Calvino pokazał im klucze na kółku. – Ja się nie zajmuję do roli sprzątaczk.

Tamci dwaj utkwili spojrzenia w kluczach.

– A co ty będziesz z tego miał? – zapytał po chwili Jarrett.

– Nie lubię, jak się mnie wrabia. I tak samo nie lubię sprzątania bałaganu zrobionego przez kogoś innego.

Rzucił klucze na stolik i pchnął je w kierunku Jarretta.

– Chyba nie zrozumiałeś mojego pytania. Czego chcesz od nas?

Calvino pokiwał głową, uśmiechnął się szeroko i poklepał snajpera po ramieniu.

– Ktoś usiłował mnie zrobić. Chciałbym mu się teraz odpłacić. Ale do tego potrzebna mi pomoc.

Jarrett uśmiechnął się i detektyw cofnął rękę.

– Już się odpłaciłeś. Casey nie żyje – odrzekł Tracer.

– To prawda – przytaknął Jarrett.

W tym momencie z jego pamięci wypłynął widok MacDonalda, który ze łzami w oczach patrzył na dwa trupy leżące na podłodze. Można było odnieść wrażenie, że dopadło go poczucie niedorzeczności poruszania się na własnych nogach czy oddychania. Podobny wyraz dostrzegł teraz na twarzy detektywa.

Rozczochrany, posiniaczony, z licznymi rozcięciami na twarzy i rękach wyglądał jak brygadzysta w fabryce szyb, którego rozwścieczeni robotnicy przepuścili przez jakąś maszynę.

– Ale to jeszcze nie koniec. Casey nie był samotnym myśliwym. Musiał z kimś

współpracować. Być może już wiecie, kto to był. Może właśnie dlatego chcecie wyjechać w takim pośpiechu. Domyślcie się, że zleceniodawcy nie zostawią tak tej sprawy. Dlatego nie rozumiem, czemu miałbym brać cały impet drugiego uderzenia na siebie. Rozumiecie, co mam na myśli?

– Jasne – mruknął Tracer.

Jarrett lekko wydał wargi, jakby nie był jeszcze przekonany.

– Czemu nie chcesz powiedzieć, co tam robiłeś u boku Caseya?

Calvino wzruszył ramionami i popatrzył na zbryzgany krwią rękaw swojej sportowej marynarki, myśląc, że żadna pralnia chemiczna nie podejmie się oczyszczenia jej z plam.

– Przyszedł do mojego biura ze zleceniem. – W jego głosie dał się słyszeć ślad niepokoju. – Na początku wyglądało to na normalne zlecenie dla prywatnego detektywa. Zapłacił, żebym śledził *mia noi* pewnego tajskiego biznesmena i meldował mu o ich spotkaniach. Jego syn zginął w Tajlandii, a ów biznesmen był wplątany w to zabójstwo. Sądziłem, że Casey ma dobry powód, aby się na nim mścić. Wygląda jednak na to, że zasadził się na was dwóch. Mimo wszelkich starań nie potrafię powiązać tych faktów.

Po wargach Jarretta przemknął uśmieszek zrozumienia.

– Słyszę, co mówisz, ale problem tkwi w czym innym. – Powiedział to w sposób charakterystyczny dla Tajów, jakby chciał enigmatycznie zakomunikować, że nagle pojawiła się góra uniemożliwiająca przejście na drugą stronę drogi. – Nie jesteśmy pewni, dlaczego zasadził się na nas.

– Nie upatrywałbym w tym problemu. To raczej szansa.

– Nie chcesz być w to wszystko zamieszany – oznajmił Tracer.

Calvino przekrzywił głowę na ramię i skinął nią ledwie zauważalnie.

– Już jestem zamieszany. I mam złe przeczucia, że to wszystko nie skończy się ze śmiercią Caseya. Udowodnij, że jestem w błędzie.

Jarrett postukał palcem w komplet kluczy.

– Problemem może być mieszkanie Caseya. – Rozejrzał się szybko i dodał szeptem: – Powinieneś wiedzieć, że kula snajperska kalibru 7,82 milimetra może przebić ścianę i trafić coś innego, na przykład drugiego człowieka na korytarzu. Nie da się wykluczyć, że ktoś wezwał policję i ta już jest na miejscu. Jak tylko wejdziemy do środka, usłyszymy od gliniarzy: „Witajcie, chłopcy! Nie zechcielibyście wytłumaczyć, co tu robicie i jakim sposobem głowa Caseya nie jest na swoim miejscu, a sąsiad po drugiej stronie korytarza ma wielką dziurę w piersi?”

– Nie zapominaj, że to był pocisk z miękkim czubkiem – wtrącił Tracer. – Nie powinien przelecieć swobodnie dwóch kilometrów.

Calvino, trzymając obie ręce na stole, popatrzył na swoich rozmówców.

– Kula nie przeszła przez ścianę. Jak tylko trafiła w czaszkę, musiała się

rozprysnąć na tysiąc kawałków.

Casey ledwie zdążył oderwać na chwilę oko od celownika na podczerwień i unieść nieco głowę, kiedy został trafiony ukosem w skroń, trochę powyżej czubka ucha.

Jarrett z Tracerem znów wymienili szybkie spojrzenia, po czym ten pierwszy pochylił się w bok i szepnął coś partnerowi.

– Jeśli próbujesz nas zrobić, szybko się przekonasz, że to poważny błąd – odezwał się snajper.

– Błędy to ja popełniałem w kontaktach z Caseyem. Nie zamierzam ich powtarzać – odparł Calvino. – A sądząc po waszej sytuacji, powiedziałbym, że i wy popełniście kilka błędów.

Jarrett z Tracerem znów wymienili nerwowe spojrzenia, gdyż ich wyobcowanie w tym kraju także budziło w nich poważny niepokój. Detektyw wyznał później pułkownikowi Prattowi, że dostrzegł wówczas coś w Jarretcie, co go przekonało – ten człowiek autentycznie chciał wrócić na miejsce zdarzenia, żeby się zmierzyć z kłopotami. Tracer najwyraźniej byłby uszczęśliwiony zamknięciem rozdziału obejmującego ich kontakty z Caseyem, ale zawsze sumiennie wykonywał polecenia partnera. Zatem ich trzech połączyła swoista więź: Casey pieczołowicie dążył do takiego rozwiązania, w którym wszyscy trzej zginą, a on jeszcze odbierze zapłatę za wykonane zadanie.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie wciągasz nas w zasadzkę? – zapytał Tracer.

– Nie musicie tego wiedzieć. Proponuję, byśmy razem wrócili na Thong Lo. Wy zostanieie w samochodzie na sąsiedniej uliczce. Jeśli będą tam gliny, wróćcie spokojnie na lotnisko. A jeśli teren okaże się czysty i mieszkanie Caseya będzie wyglądało tak, jak je zostawiłem, zadzwonię do was i wtedy dokończymy tę sprawę.

Jarrett zerknął na partnera, który skinął głową. Ale było jeszcze coś, co wiązało się z pobytem w barze Rena, a co nie dawało Jarrettowi spokoju. Zdecydował, że to najlepszy moment, by poruszyć tę sprawę.

– Co cię łączy z Wan? – zapytał.

Jakimś cudem wiele rzeczy sprowadzało się do *ying*.

– Nic mnie z nią nie łączy. Jeśli masz na myśli seks, to w ogóle nie ma o czym gadać. Pomogła nam tylko wyciągnąć tę dziewczynkę z Soi Cowboy. Znała przejście tylnymi schodami na dach i posłużyła nam za przewodnika. Tamtego wieczoru widziałem ją po raz pierwszy. Zapomnieliście o tym? – Rozwarł dłoń, w której spoczywała laserowa latarka. – Widzieliście tę małą. Dostałem to właśnie od niej. Zazwyczaj nie myśli się o takich rzeczach. Być może samo wybicie szyby balkonowej przyciągnęłoby waszą uwagę. Ale równie dobrze mogliście je zlekceważyć. I teraz coś mi podpowiada, że gdyby nie ta latarka od małej dziewczynki, obaj moglibyście już nie żyć. Ja pewnie też byłbym martwy. Czy to

wystarczająca odpowiedź na twoje pytanie?

Tamci jeszcze przez chwilę siedzieli ze spuszczoneymi głowami i palcami oplatającymi filiżanki z kawą, zastanawiając się głęboko. Nagle równocześnie podnieśli wzrok na prywatnego detektywa siedzącego naprzeciwko nich. Na dobrą sprawę, cóż wiedzieli o tym człowieku? Powrót z lotniska do miasta wiązał się dla nich z olbrzymim ryzykiem. Całe doświadczenie nakazywało im skierować się prosto do kontroli emigracyjnej, zasiąść w poczekalni strefy bezcłowej i zapomnieć o wszystkim. Jak dotąd Calvino wgniół im błotnik auta na Washington Square, potem uciekł z *ying* Jarretta, wreszcie za pomocą sygnalizacji latarką laserową ocalił im życie. Ale kim naprawdę był?

– Daj nam godzinę. Jeśli postanowimy wsiąść do samolotu, niech ci wystarczą podziękowania za sygnalizację latarką. Jeśli nie wsiądziemy, spotkamy się przed wyjściem hali przylotów. Do miasta będziemy mogli pojechać taksówką.

Calvino skinął głową, wstał i bez słowa odszedł od stolika. Jarrett spojrział na zegarek, po czym zadzwonił do swojego ojca, Harry'ego. Bardzo chciał mu zadać kilka pytań dotyczących Caseya. Ale kiedy wreszcie jego ojciec podniósł słuchawkę, Jarrett powiedział tylko:

– Jestem w sytuacji.

Harry doskonale wiedział, co to oznacza. Miał najwyżej godzinę.

42

Potrzebowali aż czterdziestu ośmiu godzin na uprzątnięcie miejsca zdarzenia, to znaczy systematyczne szorowanie, skrobanie i zmywanie mieszkania Caseya, przynajmniej z grubsza. Wiedzieli doskonale, że gdyby zjawiała się tu śledcza ekipa techniczna, błyskawicznie odnalazłaby mnóstwo dowodów. Ale ich robota była wystarczająca, zwłaszcza w sytuacji, w której najemca wyjechał z kraju na trzy miesiące, jeśli wierzyć zapisom w bazie danych służb emigracyjnych.

Kiedy rozpoczęli żmudną pracę, zmiatając okruchy szkła z balkonu i zbierając wszystkie odłamki do plastikowych worków na śmieci wyłożonych starymi gazetami, Calvino uniósł w zamyśleniu owalny kawałek szklanej tafli, obrócił go w palcach, a wrzucając do worka, oznajmił:

– Słusznie postąpiliście, odstępując od zabicia Somporna.

Jarrett pochwycił spojrzenie Tracera, w którym błysnął cień rezygnacji.

– W takim razie cieszę się, że wszystko skończyło się tak, jak się skończyło – odparł Jarrett.

– Stracilibyśmy twarz, gdybyśmy zastrzelili niewłaściwego człowieka – włączył się Tracer.

– Od samego początku nie powinniśmy się byli godzić na udział w tej akcji – dodał Jarrett.

Calvino obrzucił ich podejrzliwym wzrokiem.

– Wiecie co? Chciałbym wam wierzyć.

Dwa tygodnie później dostał list bez nazwiska nadawcy, w zwykłej białej kopercie znajdował się wycinek z jakiejś gazety z New Jersey. O nadawcy świadczyło jedynie to, że na znaczku był odbity stempel z Newark. Policja odnalazła zwłoki Watersa upchnięte w bagażniku auta na przedmieściach Port Elizabeth w stanie New Jersey. Został zastrzelony z bliskiej odległości, strzałem w głowę, jakby dokonano na nim egzekucji. Zabójcy zbeczcścili ciało, obcięli genitalia, które znajdowały się w zamkniętym na suwak woreczku obok zabitego. Władze z New Jersey nie ustaliły

żadnych podejrzanych, nie natrafiły na żaden trop sprawców zabójstwa, toteż uznały je za wynik porachunków zawodowców. Tylko w gestii Calvina leżało to, czy pokaże ów wycinek pułkownikowi Prattowi. Jego przyjaciel traktował tę sprawę z niezwykłą cierpliwością czy nawet roztargnieniem, w miarę zbliżania się do końca kampanii wyborczej. Wszyscy w jego wydziale czekali z zapartym tchem i nawzajem wróżyli sobie z fusów własną przyszłość pod kierunkiem nowych władz. Somporn wygrał w swoim okręgu i jeśli wierzyć plotkom, był brany pod uwagę w konstruowaniu nowego gabinetu rządzącego.

Calvino dysponował też pewnymi nowinami we własnym zakresie. Wan wróciła w rodzinne strony. Ojciec Fon rzekł się praw do opieki nad dziewczynką, toteż Wan zabrała małą ze sobą. Juan Carlos wydał pieniądze przeznaczone na *sinsor*, czyli na spłatę panny młodej, i dobił targu z „ciocią”, która z radością przekazała mu opiekę nad dziewczynką za umówioną sumę. Klient z Tajwanu początkowo nie godził się przyjmując zapłaty w wysokości miliona bahtów, jaką oferował Juan Carlos. Ten jednak mimo wszystko razem z Wan zabrał Fon na północ, gdzie zainwestował w nowe pasieki i nowe roje pszczół. Do tej pory jeszcze nie wrócił do Bangkoku. Jak skomentowała to Marisa: „Pomagał dziewczynie okiełznać pszczoły”.

Calvino świetnie rozumiał sytuację i szybko zmienił temat.

Ale Marisa skwitowała to śmiechem.

– Oczywiście, że powinieneś pojechać na spotkanie z Juanem Carlosem. Ja jednak wracam do Hiszpanii. Tam jest moje miejsce. Nie tutaj.

Zaskoczenie szybko minęło, gdy uświadomił sobie, że nikt z przyjezdnych nie ma tutaj swojego miejsca. Do szczęściarzy mogli się zaliczyć ci, którzy doszli do tego wniosku wystarczająco wcześnie, żeby ukrócić własne straty.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro.

– Nie zamierzałaś mnie o tym uprzedzić?

– Myślałam, że wiesz – odparła. – Przecież to twój świat, Vinny. Na co dzień masz do czynienia z tymi ludźmi. Wiem, że wszystkim powtarzasz, iż pochodzisz z Nowego Jorku. Lecz niewiele ma to wspólnego z prawdą. Pochodzisz stąd. Ja nigdy nie miałabym na to szans.

– To znaczy z Tajlandii? Naprawdę pochodzę z Nowego Jorku.

Uśmiechnęła się szeroko.

– To nie ma znaczenia, prawda? Któregoś dnia przyjedziesz do mnie w odwiedziny i wtedy porozmawiamy na ten temat – odparła. – Oboje potrzebujemy trochę czasu.

– A jeśli stanę na progu twojego domu? – Jego chytry uśmieszek sprawił, że i ona uśmiechnęła się szerzej.

Ale jej odpowiedź była wymijająca, niezobowiązująca, podobnie jak cały ich

związek. Postanowiła rozstać się z nim w zgodzie, toteż i on zgodził się na to, by rozciągnęła łączącą ich wątłą nić opartą na szacunku i nadziei aż poza horyzont.

43

Nie da się zabijać ludzi, żeby ich duchy nie prześladowały człowieka”. To powiedzenie wielokrotnie rzutowało na rozmowy Jarretta z ojcem. Harry sadowił się w fotelu na biegunach na werandzie domu i wcierał sobie w kark emulsje przeciw oparzeniom słonecznym. A jego syn otwierał piwo i z lubością sączył je prosto z butelki. Za nimi majaczyła perspektywa Hua Hin, skromnej rybackiej wioski, która zdążyła się już przekształcić w miasteczko rozciągnięte wzdłuż plaży. Minał tydzień od śmierci Caseya, zanim Harry zdecydował się przylecieć do Tajlandii. Syn czekał na lotnisku i samochodem z wypożyczalni zawiózł go do Hua Hin.

– Wiele się tu zmieniło – rzekł Alan, ruchem głowy wskazując miasto.

Harry wtarł resztki kremu do opalania w odkryte przedramię, szczególnie uważnie rozsmarowując go po nadgarstku.

– My też się zmieniliśmy. Podobnie jak cały świat, gdy nie śledzi się na bieżąco upływu czasu. – Zatarł ręce, splótł dłonie za głową i odchylił ramiona do tyłu. – Tak jest znacznie lepiej.

– Myślisz, że popełniliśmy błąd, pozwalając MacDonaldowi odejść wolno? – zapytał cicho Jarrett, gdyż ta sprawa nurtowała go od dłuższego czasu.

– Sam powiedziałaś, że na równi z Jackiem był wtedy ofiarą. A i mnie się wówczas zdawało, że to ważny argument. Zwłaszcza po tym, jak go uratowaliśmy. Miałem nadzieję, że nie zapomni o tym aż tak szybko.

Łódź kołysała się lekko na falach. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu ramie przy ramieniu, obserwując spławiki. W ciągu ostatnich kilku godzin Harry zdążył wyczerpująco powspominać mnóstwo ludzi, miejsc i zdarzeń, lecz Alanowi utkwił w pamięci właśnie MacDonald.

Harry miał dostęp do tajnych materiałów, lecz dużo bardziej cenił sobie wieloletnie doświadczenie i bliską znajomość zarówno z Watersem, jak i z Caseyem. Mimo to przyjął z dużym zaskoczeniem wiadomość, że ci dwaj mogli zdradzić wszystko, o co wcześniej walczyli. Oddzwonił do syna z zaszyfrowanego aparatu

i wtedy omówili rozmaite możliwości. Harry błyskawicznie ograniczył swoją listę podejrzanych do trzech ewentualności: Kolumbijczyków, Bośniaków i australijskiego biznesmena. Wszyscy mieli ważne powody i odpowiednie fundusze, żeby zorganizować taką operację. Tyle że bośniacki generał odpowiadał właśnie przed międzynarodowym trybunałem, oskarżony o zbrodnie wojenne, było więc bardzo mało prawdopodobne, by wplątywał się jeszcze w coś, co mogło wpłynąć na przebieg jego procesu. Zatem wśród podejrzanych pozostał klan z Cali zajmujący się szmuglowaniem narkotyków oraz biznesmen z Perth.

Zdażył jeszcze pogrzebać w różnych dokumentach i porozmawiać z ludźmi, z którymi nie miał kontaktu od lat, zanim zyskał pewność, dlaczego wydarzenia w Bangkoku przybrały taki, a nie inny obrót.

Harry zwinął żyłkę, sprawdził przynętę i ponownie zarzucił wędkę jak na filmie instruktażowym. Haczyk, ciężarek i spławik jednocześnie zanurzyły się z pluskiem pod powierzchnię.

– Mam kilka pomysłów, ale musisz mieć na uwadze, że większość ich opiera się wyłącznie na domysłach.

Jarrett zapatrzył się na puste morze przed nimi, wczuwając się zarazem w kołysanie łodzi.

– Co to za pomysły?

– Casey mógł działać pod presją. Wiesz, że pewne rzeczy ułożyły się nie po jego myśli podczas ostatniej tury służby w Bagdadzie. Znam człowieka, który przydzielał mu zadania w Bangkoku, próbując jednocześnie zamaskować problemy z Bagdadu. Do firmy trafił raport, poparty kilkoma niezależnymi aktami zgonu, według którego przesłuchiwanie przez niego mężczyźni zmarli śmiercią naturalną.

Jarrett popatrzył na ojca, który pociągnął łyk piwa z puszki. Staruszek jest ciągle w doskonałej formie, pomyślał. To zresztą on wpadł na pomysł wynajęcia łodzi w Hua Hin i wyruszenia na ryby.

– Czego dotyczyła jego umowa z Watersem?

Harry wyszczerzył zęby w uśmiechu i naciągnął czapeczkę baseballową głębiej na czoło.

– Do pioruna, już zapomniałem, jak tu jest.

– Pytałem o Watersa – powtórzył Jarrett.

– Casey zebrał bardzo dużo żetonów, licząc na to, że któregoś dnia mu się przydadzą. Wygląda na to, że jednym z najważniejszych jego dłużników stał się Waters. Wiesz już, że podczas służby w marynarce wojennej byli kumplami. Waters poznał Caseya w Bejrucie. Terrorysty wysadzili właśnie jakiś budynek, zabijając mnóstwo naszych ludzi. Waters powinien być wtedy w tamtym budynku, ale był gdzie indziej. Wkrótce potem Casey zaczął nalegać, aby pozostał w cieniu i pomógł mu się dostać do koryta. Oznaczało to, że uratował mu życie. Kilka lat później Casey

wystąpił jako drużba na weselu Watersa. Od tamtej pory pozostali w bliskim kontakcie. Po pierwszej wojnie w Zatoce Waters przeniósł się do Służb Oceny Ryzyka Logistycznego jako prywatny zleceniobiorca. Nawiasem mówiąc, ta nazwa zawsze mi się podobała, mogła się kojarzyć z towarzystwem ubezpieczeniowym. No i został wysłany do Iraku. Wtedy znaliśmy się z Watersem już od wielu lat. Dla nas wszystkich było czymś naturalnym, że wciąż pomagał nam tak samo jak w przeszłości. Był świetny w wynajdywaniu odpowiednich ludzi do poszczególnych zadań wykonywanych z wolnej stopy. Już wcześniej miał do czynienia z akcjami odwetowymi, sam go wprowadzałem w ich podstawy. Być może właśnie wtedy za dużo mówiłem mu na temat Jacka Malone'a i tego, co go spotkało. – Harry Jarrett westchnął ciężko, jak człowiek zdający sobie sprawę z ogromu swoich grzechów.

– Mówisz, że Waters i Casey już wcześniej pracowali razem w operacjach specjalnych? – zagadnął Jarrett. Dopił swoje piwo, długim łukiem cisnął pustą butelkę za burtę i spoglądał, jak unosi się na falach, a po chwili tonie.

– Nie złowimy żadnej ryby, jeśli dalej będziesz się tak zachowywał. – Harry zmarszczył nos, czując, jak skóra na nim piecze od słonecznego żaru.

– Przecież tylko udajemy, że łowimy ryby.

– Mów za siebie – ofuknął go ojciec, po raz kolejny wybierając żyłkę.

Opowiedział synowi o ostatnim spotkaniu Caseya z Watersem podczas corocznej uroczystości, która akurat się zbiegła z rocznicą ślubu Watersa. Nie miało znaczenia, gdzie każdy z nich akurat stacjonuje i gdzie mieszka, skoro zawsze spotykali się przed bazą lotniczą MacDill na Florydzie. Niedaleko była restauracja specjalizująca się w daniach z owoców morza, które Casey uwielbiał. Podczas ostatniego spotkania w tamtej restauracji wspólnie wysysali szczypce gotowanych krabów i popijali piwo, wspominając dawne dobre czasy. Bo poza tym niewiele radosnych tematów mogli wnieść do tego spotkania. Tajne więzienie w Tajlandii zostało zdemaskowane, a wojskowy adwokat przekonał Caseya, by w dochodzeniu niczego nie zatajał, powiedział całą prawdę. Wmówił mu, że rejestrowane na kasetach wideo zapisy z przesłuchań uległy zniszczeniu. Ten jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że po latach wykonywania żołnierskich obowiązków na rzecz ojczyzny staje wobec groźby, iż ta ojczyzna odwdzięczy mu się karą wieloletniego więzienia. A przecież Casey świetnie wiedział, jak działa ten system. Było tylko kwestią czasu, kiedy i on zostanie zwinięty na szpulkę i oddany w ręce inkwizycji.

Harry wstał, żeby rozprostować nogi. Podeszedł do wiadra z przynętami, zajrzał do niego, a po chwili splunął za burtę.

– Dalej wkraczamy w sferę domysłów.

Jarrett pokiwał głową i otworzył sobie następne piwo, pot spływał mu już strumykami po karku. Przytknął zimną butelkę do policzka, czekając, aż Harry wróci na swoje miejsce. Ten nadszedł po chwili z kilkoma kawałkami tuńczyka, nadział

jeden z nich na haczyk, resztę wyrzucił za burtę i ponownie zarzucił wędkę. Nie należał do ludzi, którzy spieszą się z przedstawianiem własnych osądów.

– Mogło to wyglądać tak. Casey spotkał się z Watersem przy kilku drinkach, żeby przedyskutować doniosłe życiowo sprawy. Powiedzmy, że spotkali się w barze nieopodal bazy, dużo lepszym lokalu od tych, w których zazwyczaj razem pili, ale tym razem Waters płacił rachunki. Casey był niespokojny, bez przerwy oglądał się przez ramię. Źle się czuł w lokalu takiej klasy, do której nie przywykł. Waters próbował go rozluźnić różnymi żartobliwymi opowiastkami i dowcipami. Ale w pewnej chwili powiedział coś w tym rodzaju, że rząd nigdy za bardzo się nie troszczył o wojskowych emerytów, a ich firma niewiele się w tym zakresie różni, dlatego prawdziwi ludzie honoru są coraz częściej zaszczuwani. Podejrzewam, że tą wypowiedzią zyskał mnóstwo punktów u Caseya, którego zdaniem należało się cieszyć, że nie ugrzęźli na zawsze w Bagdadzie i zostali przeniesieni do Bangkoku. Ale jego szczęście się wyczerpało, z chwilą gdy dostał wezwanie do złożenia zeznań przed komisją kongresową. Potem rozmawiali jeszcze o niedokończonych sprawach związanych ze śmiercią jego syna. W czasie obiadu uzgodnili, jak należałoby je załatwić, co obejmowało również krwawą zemstę za jego śmierć. Kiedy Waters przyszedł do mnie, traktując to jak formę spowiedzi, powiedziałem mu szczerze, że mam w tym zakresie poważne zastrzeżenia. Ale pozwoliłem mu się wygadać od serca.

– To znaczy?

Ojciec odwrócił głowę i wpatrywał się w niego dobre pół minuty.

– Zapytał: „A gdyby tu chodziło o twojego syna?”. Tym jednym pytaniem mnie załatwił.

– Skąd zdobył pieniądze? Harry uśmiechnął się i odparł:

– Zaoferuj człowiekowi milion dolarów, to zareaguje oburzeniem. Zaoferuj mu kilka milionów, a natychmiast diametralnie zmieni poglądy według wskazań kompasu moralnego.

Spławik wędki Harry’ego poszedł pod wodę, ten zaciął więc i zaczął zwijać żyłkę, wyczuwając na jej końcu wyraźny opór. Nie ulegało wątpliwości, że coś złowił na swój haczyk. Jarrett pomógł mu zwijać żyłkę, po czym z podbierakiem wychylił się za burtę i chwilę później wyciągnął na pokład dziesięciokilogramowego strzępiela, który wyginając się na boki i trzepocząc ogonem, zaczął podskakiwać na pokładzie kutra. Gigantyczny pysk rozwierał się i zamykał w poszukiwaniu tlenu. Harry sięgnął po pałkę, uniósł ją nad głowę, ale zastygł bez ruchu, spoglądając na walczącą o życie rybę.

– Zastanawiałeś się kiedyś, czemu jeden z gatunków strzępieli jest powszechnie nazywany „księdzem”? – zapytał.

– Bo wykorzystuje się go podczas ostatniej posługi? Harry obejrzał się na syna

z uśmiechem i energicznie walnął pałką w łeb złowioną rybę. Kiedy znieruchomiała, rzucił pałkę na pokład, uklęknął obok swej zdobyczy i przyjrzał się jej dokładnie, jak gdyby po raz kolejny śmierć połączyła ich na wodach Zatoki Tajlandzkiej. W całkowitym milczeniu Jarrett wypatroszył rybę i rzucił jej wnętrzności za burtę, na pożarcie krążącym tuż nad nimi mewom.

– Jak mówiłem, ktoś wyłożył naprawdę duże pieniądze na Caseya – podjął jego ojciec. – Sprawdziłem przelewy i wiem, że forsa wpłynęła na zagraniczne konto otwarte na nazwisko Caseya. Nie jestem tylko pewien, kto i dlaczego przelał mu te pieniądze. Mamy do czynienia z zawodowcami, których namierzenie będzie bardzo trudne.

– O jaką kwotę chodzi?

– Dwa miliony dolarów.

– To by wystarczyło.

– Raczej tak – przyznał Harry, obrzucając uważnym spojrzeniem złowioną rybę. – Wygląda na to, że nie musimy się martwić o kolację.

– To twoja zdobycz.

– Moim zdaniem Casey i Waters zawarli umowę. Postanowili ściągnąć ciebie i Tracera, żeby wzbogacić konto Fundacji Jacka Malone’a o kolejne czterdzieści tysięcy dolarów. Ja ich w tym popierałem. Sprawa wyglądała bez zastrzeżeń. Casey miał idealną przykrywkę do „odpłaty za Jacka”: jego syn został zamordowany w Tajlandii, gdzie policja nie cieszy się reputacją służby wyjaśniającej zbrodnie, jeśli przestępca nie przyzna się do winy i nie odtworzy przebiegu zdarzeń przed kamerami telewizyjnymi i gromadą dziennikarzy. Poza tym obaj znaleźliśmy Caseya z przeszłości. Waters stał za nim murem. Nic nie budziło podejrzeń.

– Tracer powtarzał, że pieniądze Caseya odznaczały się specyficznym zapachem, jakby były zakopane.

– Nie wiemy nawet, czy cała suma zapłaty wpłynęła na konto. Ale to prawda, że zapłacono gotówką. Kiedy mówimy o działalności przestępczej, w grę wchodzi miliardy dolarów rocznie. Któregoś dnia rządy stwierdzą, że jest więcej gotówki zakopanej niż pieniędzy na kontach bankowych. Oczywiście, to w większości brudna forsa.

Harry nie założył już kolejnej przynęty na haczyk. Odłożył wędkę na pokład.

– Chcesz wracać, tato?

– Niezły pomysł. Słońce daje mi się we znaki. Poza tym i tak mamy już to, po co wypłynęliśmy.

Jarrett ruszył, żeby uruchomić silnik, ale zatrzymał się, pochylił i spojrzał ojcu w twarz.

– Gdybyśmy zabili Somporna, a Casey zabił nas, tajska policja miałaby kolejną niewyjaśnioną zbrodnię, bez żadnych wskazówek co do jej motywów. Casey

skutecznie zamarkował swój wyjazd z kraju.

– Podejrzewam, że dał swój bilet Watersowi i to on wkroczył z nim na pokład samolotu do Londynu. Przeszedł odprawę na podstawie fałszywego paszportu na nazwisko Casey, ale miał autentyczną kartę pokładową.

– To tylko domysł, chociaż wydaje się sensowny. A kto zapłacił im czterdzieści kawałków w gotówce?

– Tu sprawa się mocno komplikuje – przyznał Harry, który doszedł do wniosku, że jego syn nie skieruje łodzi do brzegu, jeśli nie uzyska jeszcze kilku wyjaśnień. – Rozmyślałem o tej starej gazecie opisującej wydarzenia z Hua Hin, którą zostawił w mieszkaniu. I o stole bilardowym. Potem sprawdziłem parę rzeczy. Nie da się wykluczyć, że Casey chciał w ten sposób powiązać waszą śmierć z Clearym, który dalej prowadzi podejrzane interesy w Perth.

– Czemu miałyby zadawać sobie aż tyle kłopotów? Ironiczny uśmiezek Harry'ego przypominał uśmiech Tracera.

– Chciał nam wszystkim pomieszać szyki. To chyba najprostsze wyjaśnienie. Tylko pomyśl, w jaki sposób zarabiał na życie. W każdym razie na pewno uczynił z tego elementy swojej oferty handlowej.

– Więc mam rozumieć, że tego nie wiemy? Harry przytaknął ruchem głowy.

– Niestety tak. W tym zakresie w naszych informacjach widnieje luka, przez którą mógłby przelecieć transportowy C-130. Nie wiemy nawet, czy MacDonald opowiedział Cleary'emu, co się wydarzyło tamtego wieczoru.

Jarrett pomyślał, że jego ojciec pogubił się w tym wszystkim.

– Nie wierzę. MacDonald był śmiertelnie przerażony. Przypalali go papierosami.

– A gdybym ci powiedział, że mam pewne informacje wskazujące na to, że wrócili do swoich interesów? I jeszcze coś. Pamiętasz tego człowieka ze złotym kolczykiem w uchu?

Varley. Jarrett doskonale pamiętał moment jego zabicia.

– No, więc wygląda na to, że był bratankiem Cleary'ego. Wtedy myśleliśmy, że ci dwaj nie mogą być zawodowcami. I w tym zakresie mieliśmy rację. – Harry zapatrzył się na śniętą rybę, lekko trącając czubkiem buta jej szeroko rozwarty pysk. Kiedy podniósł głowę, nie miał nawet zmarszczonego czoła, lecz w jego oczach dominowała troska. – Nie da się wykluczyć, że naszprycowali kolesia z Perth i wtedy MacDonald rzucił: „A gdybym ci powiedział, że wiem, kto załatwił twojego bratanka i jego kumpla?”. Cleary natychmiast zamieniłby się w słuch, nie sądzisz?

– To też tylko domysł?

– Varley na pewno był jego bratankiem. To fakt.

– Nie chce mi się wierzyć, żeby MacDonald mógł tak postąpić – mruknął Jarrett, siadając z powrotem na plastikowym krzeselku.

Harry wzruszył ramionami, otworzył butelkę z olejkim przeciw oparzeniom

i zaczął nim sobie smarować twarz.

– A co z tym Calvino?

– Co ma być?

– To drugi MacDonald? Jeszcze jeden puszczone luzem koniec, z którym będziemy się spotykać w przyszłości?

Jarrett uśmiechnął się słabo.

– Sam powiedziałaś, że co do MacDonalda snujesz tylko domysły.

– To prawda.

– Calvino uratował nam tyłki.

– Tak jak my uratowaliśmy MacDonalda? – Harry tym razem się nie uśmiechnął. Zapomniał sobie nasmarować lewe ramię, spieczone już od słońca.

Jarrett popatrzył na gromadkę mew, które zniżyły lot nad łodzią i wypatrywały na falach dalszych rybich wnętrzności.

– To kwestia prawdopodobieństwa.

Ojciec skrzywił się, gdy dotknął oparzonego ramienia.

– Wszystko jest kwestią prawdopodobieństwa. Musisz prawidłowo odczytać jego intencje. I nawet mimo to w głębi ducha stawiać sobie pytanie: „Czy na pewno jestem gotów stracić stawkę?”.

Jarrett uruchomił silnik i skierował łódź z powrotem do Hua Hin. Mocno pachniała rybami. Podniósł głowę i popatrzył na mewy, które także ruszyły ich śladem. One również kierowały się prawdopodobieństwem.

Chuck Beckwith, ów niewierny mąż, którego Calvino sfotografował w barze przy Washington Square, już kilka sekund po spotkaniu z Jarrettem i Tracerem wtargnął do biura detektywa i zaczął mu wygrażać. Nie zdawał sobie sprawy, wbiegając na ten ring, że należy do innej kategorii wagowej.

Calwinowi, który znał chyba wszystkie możliwe oblicza Bangkoku, nigdy dotąd nie zdarzyło się spotkać kogoś równie żalosego jak Beckwith. Facet był skrajnym nieudacznikiem, jednym z tych emocjonalnych inwalidów, których tutejsze *ying* umiały bezbłędnie rozpoznawać, traktując ich jak solidne maszynki do robienia pieniędzy. Miewał już do czynienia z podobnymi klientami, prawdziwymi tyranami, którzy błyskawicznie pokornieli na pierwsze oznaki szarży ze strony swoich amerykańskich żon. Tak więc pobladły, trzęsący się z wściekłości Beckwith rzucił się na oślepa do ataku, wymachując rękoma jak cepami. Pierwszy cios wyprowadził tak, jak gdyby jeszcze nigdy w życiu nie próbował nikogo uderzyć. Calvino bez trudu odbił przedramieniem jego rękę, po czym błyskawicznie wyprowadził kontrę, trafił mężczyznę prosto w usta, a drugim ciosem w brzuch, przy czym spodziewał się zderzenia pięści z czymś podobnym do ceglanego muru, a tymczasem natrafił na coś bardziej przypominającego poduszkę. Trzeciego ciosu już nie musiał wyprowadzać. Beckwith wydał z siebie taki dźwięk, jakby z dziurawej opony uszło powietrze. Oczy wyszły mu z orbit niczym owadowi przekłutemu szpilką kolekcjonera. Calvino dokończył dzieła, stopą popychając agresywnego intruza na podłogę. Beckwith zgiął się wpół i zwymiotował. Z ust bluznęła mu struga kiepsko przeżutych jajek na bekonie, które cuchnęły gorzej niż zabrudzone pieluchy niemowlęcia Ratany.

– To kiepski posiłek jak na kogoś, kto szuka okazji do bójki – rzekł.

Rozwścieczony mężczyzna próbował się wyprostować, lecz kolana się pod nim ugięły i usiadł z impetem na podłodze, z szeroko rozstawionymi nogami. Intencja pokazania, jaki jest twardy, nie znalazła potwierdzenia w życiu. Naoglądał się podobnych scen w kinie i telewizji, tylko nie wziął poprawki, że w życiu nic nie idzie

tak gładko. Jego zamaszysty prawy sierp był naprawdę żalony. Poza tym facet nie miał żadnej wprawy. Był tylko farangiem w średnim wieku, który zapomniał, że nie jest już w liceum ani że nie podnosi ręki na swoją bezbronną żonę.

– Proszę mnie więcej nie nachodzić ze swoimi groźbami, panie Beckwith. Nie znoszę gróźb. Chyba pan to rozumie. Poza tym najęła mnie pańska żona. I wykonałem zlecenie. Więc pan musi ponieść konsekwencje. Nie życzę sobie, by próbował pan zwalać na mnie winę za kłopoty w swoim życiu małżeńskim. A teraz proszę się stąd wynosić. Jestem umówiony na spotkanie z krawcem.

Calvino pomógł mu wstać na nogi i odprowadził go przez sekretariat do wyjścia.

– O której mam to spotkanie? Ratana spojrzała do terminarza.

– Po lunchu z pułkownikiem Pratem.

Podawała mu kilka kartek wydruku komputerowego. Kolorowa drukarka atramentowa przedstawiła kilka fasonów sportowych marynarek, jakby to była całostronicowa reklama salonu mody w „Vanity Fair”.

– Polecam Armaniego.

Calvino odnalazł na wydruku wskazaną marynarkę. Podobała mu się.

– Armani?

– Brioni nie wytrzymał za długo – wyjaśniła. – Więc chyba pora na zmianę.

– Problemem okazał się materiał. Tym razem chcę mieć marynarkę z odpowiedniej tkaniny, którą łatwo będzie odplamić w chemicznej pralni.

Popatrzył na dziecięce ubranka suszące się na ramie kojca dla niemowląt.

– Krew trudno się spiera, jeśli jak najszybciej nie zmyje się jej zimną wodą.

– Spróbuj to zapamiętać – rzekł, składając kartki i wsuwając je do kieszeni.

*

Pułkownik Pratt wkroczył do sali kilka minut po tym, jak Calvino usiadł przy stoliku. Włoska restauracja przy Asoke działała dopiero od kilku miesięcy. Jej wykończenie odpowiadało pułkownikowi, a domowa lasagna była warta tej wizyty. Calvino oglądał jeszcze raz marynarkę Armaniego na wydruku, kiedy Pratt wysunął krzesło i usiadł obok niego.

– Elegancka marynarka – zauważył. Calvino uśmiechnął się lekko.

– Ratana pokazywała ci te zdjęcia Armaniego?

Znał już odpowiedź. Tych dwoje od pewnego czasu konspirowało, żeby ubrać go lepiej, lecz jak dotąd napotykali nieprzewidziane wyzwania, które maksymalnie przetestowałyby trwałość każdej marki ubrań.

– Ta od Brioniego też mi się podobała, ale okazała się mało wytrzymała – skwitował pułkownik.

Calvino bardzo lubił te chwile, gdy przyjaciel na chybił trafił testował humor farangów.

– Skoro już mowa o wytrzymałości, to Apichart został doradcą nowego rządu.

– Słyszałem. Podobno ma doświadczenie w tym zakresie.

– I ma też doświadczenie w sprytnym dobieraniu sobie różnych grup uderzeniowych – wtrącił detektyw.

– A nie tym właśnie zajmują się agencje reklamowe? Calvino wyjął z kieszeni wycinek z gazety z New Jersey. Zdjęcie przedstawiało zakryte brezentową płachtą zwłoki Watersa w bagażniku buicka.

– A to prezent – rzekł, wręczając przyjacielowi wycinek.

Pratt odchylił się na oparcie krzesła, wyjął okulary do czytania i pogрузzył się w lekturze artykułu. Kiedy podniósł głowę, zdejmując okulary, Calvino powiedział:

– Pamiętasz to tajskie przysłowie o rybie z wielką gębą? Więc masz tu kolejny przykład człowieka, który powinien był trzymać gębę na kłódkę.

– Myślałem, że masz jeszcze jakieś nowiny o Casey.

– Polecam lasagnę – odparł Calvino. – I sałatkę z rukoli. Oraz pół litra czerwonego wina szefa kuchni. To powinno wystarczyć.

– Wygląda na to, że nikt nie wie, gdzie szukać Casey. Wydaje mi się to dziwne, biorąc pod uwagę, jakimi środkami dysponują Amerykanie.

Detektyw uśmiechnął się, złożył wycinek z gazety i wsunął go z powrotem do kieszeni marynarki.

– A gdybym powiedział, że zarówno Kolumbijczycy, jak i Amerykanie tylko niepotrzebnie tracą pieniądze na poszukiwania?

– Nikt by ci nie uwierzył.

Calvino wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Otóż to. I tak będą go dalej szukać.

– Jeśli żyje, wcześniej czy później go znajdą. Ci ludzie nigdy się nie poddają.

– To byłoby niezłe – przyznał detektyw. – Mam nadzieję, że przynajmniej poskładają w całość elementy układanki.

Kelnerka podeszła do stolika i pułkownik zamówił bitki jagnięce i zupę z dyni. Calvino zawahał się na moment, ale poprosił jednak o lasagnę z sałatką.

– Niektórzy sądzą, że Casey skopiował z kasety zapis wideo z przebiegu przesłuchania. Ujawnienie tego nagrania wywołałoby skandal w kręgach rządowych – rzekł Pratt. – Dzisiejszej nocy miałem dziwny sen. Był w nim i Casey. Tyle że występował w tle, leżał nieruchomo wyciągnięty na jakimś podwyższonym postumencie. Z bocznych drzwi wyszedł jakiś mężczyzna i skierował się prosto do mnie. Wskazał mi Casey i powiedział: „Rozmawiałem z kimś, kto widział jego śmierć, i dowiedziałem się, że Casey otwarcie przyznał się do zarzucanych mu czynów, błagał o wybaczenie i przejawiał głęboką skruchę. Bo w całym swoim życiu nigdy nie dokonał niczego równie dobrego jak wtedy, gdy zmarł”.

– Czy to nie z Szekspira?

– Owszem, z *Makbeta*, w wolnym tłumaczeniu – przyznał pułkownik.

– No cóż, czasami sny są prawdziwe.

– Myślisz, że mój sen o Caseyu może być proroczy? Calvino wzruszył ramionami i utkwiał wzrok w swojej sałatce, która właśnie stanęła na stole.

– Casey jest jak obraz, który wypada z ramy i znika. Pratt odniósł wrażenie, że detektyw coś przed nim ukrywa.

– Czy to zniknięcie należy traktować jak śmierć czy jak zaszycie się w jakiejś kryjówce?

Calvino poruszył się niespokojnie na krześle, ale na szczęście kelnerka przyniosła zamówione przez nich dania. Obrzucił zaciekawionym spojrzeniem bitki jagnięce, zarazem wciągając głęboko w nozdrza apetyczny zapach swojej lasagnii.

– Nie jestem pewien. Ale gama możliwości jest spora. Weź na przykład to chińskie bóstwo, Guan Yu, uważane za opiekuna wojny i literatury. W Singapurze i Hongkongu ludzie wznoszą poświęcone mu świątynie. Ale Guan Yu jest także bóstwem braci policyjnej. Chińska Triada i inne organizacje gangsterskie również widzą w nim swojego patrona. Tak więc bandyci, gliniarze i poeci zanoszą swoje modły do tego samego bóstwa.

– Ale to nie Guan Yu odnajdzie Caseya.

Calvino spróbował lasagnii i od razu pożałował, że nie zamówił bitek jagnięcych.

– Trochę za słońa, ale w sumie niezła. – Wytarł usta serwetką, upił łyk wina i ciągnął: – To jasne, że Guan Yu nie odnajdzie Caseya. Z tym nie dyskutuję. Uważam jednak, że ci, którzy kierują poszukiwaniami, równie dobrze mogliby organizować polowanie na Świętego Mikołaja.

Tym razem to pułkownik Pratt się uśmiechnął.

– On nie żyje.

Calvino znieruchomiał z widelcem uniesionym w pół drogi do ust.

– Zgadza się, nie żyje.

– Następnym razem weź sobie bitki jagnięce.

– Naprawdę miałeś sen, w którym Casey jako duch podsuwał ci cytaty z Szekspira?

– Zaczynasz mówić jak moja żona – mruknął Pratt, odkrawając sobie spory kawałek mięsa.

Calvino popatrzył na kęs lasagnii stygnący na widelcu wciąż zawieszonym w powietrzu nad talerzem. Z jego pamięci wypłynęła Marisa i jego wcześniejsze rozważania o tym, czy mogłaby zostać jego żoną i czy w ogóle nadawała się na żonę. Siedzieli wtedy naprzeciwko siebie przy stoliku w restauracji, kiedy wyznała mu, że nade wszystko pragnie wrócić do domu. I że wie, iż jego dom jest tutaj.

Pułkownik uniósł kieliszek z winem. Nie doczekawszy się reakcji przyjaciela, sięgnął przez stół i lekko trącił jego podstawką w kieliszek detektywa.

– Chciałbym wznieść toast.

Calvino odłożył widelec z wystygłą porcją ciasta i podniósł kieliszek.

– Za Java Jazz Festival – rzekł Pratt, uśmiechając się szeroko.

Detektyw rozdziawił usta ze zdziwienia.

– Dostałeś zaproszenie? Pułkownik skinął głową.

– Wczoraj.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie?

Kelner dolał im wina. Calvino odchylił się na oparcie krzesła, gdyż nie mógł znaleźć właściwych słów. Rozmyślał, że rzadko się zdarza być świadkiem spełnienia się najgłębszych marzeń przyjaciela.

– Za braterstwo i honor – rzekł pułkownik, ponownie uniósł kieliszek i trącił nim lampkę Calvina. – Niechaj zawsze płyną w naszej krwi.

– To też Szekspir?

– Nie, Guan Yu.

*

Po lunchu Pratt podrzucił detektywa do jego biura. Ten wszedł na piętro, otworzył kluczem drzwi, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą. Po przeciwnej stronie ulicy klienci strumieniem wlewali się do salonu Klaszczącej Jednej Ręki. Ci, którzy wychodzili, zwykle z rozwiązanymi krawatami, leniwym krokiem ruszali w głąb małej bocznej uliczki. Calvino zamknął żaluzje, odwrócił się i przekręcił klucz w zamku szuflady biurka. Leżała tam koperta ze znalezionymi w walizce Caseya płytami DVD. Wybrał jedną z nich, włożył do czytnika komputera i zaczął cierpliwie, aż system uruchomi odtwarzanie. Odchyliwszy się na oparcie krzesła, zapatrzył się na znane już sobie nagranie ukazujące Caseya ze śniadym mężczyzną w ciasnym pokoju przesłuchań. Kiedy Amerykanin pojawił się w kadrze, był w czapeczce baseballowej i dużych ciemnych okularach. Powoli okrążył więźnia rozpiętego na ramie krokiem drapieżnika okrążającego bezbronną ofiarę. Obraz emanował dwoma skrajnie przeciwstawnymi doznaniem: poczuciem władzy absolutnej i poczuciem absolutnej, krańcowej bezradności. Nie było w nim ani krzty nadziei, pustkę zapełniało pierwotne, bezgraniczne przerażenie.

Po raz kolejny zadał sobie w duchu pytanie, co powinien zrobić z tymi płytami. Mógł je przekazać Prattowi, ale od tej chwili życie jego przyjaciela wywróciłoby się do góry nogami. Mógł je też przesłać w niepodpisanej kopercie do redakcji „New York Timesa”. Albo wysłać je kongresmanowi zasiadającemu w komisji badającej sprawę tajnych więzień CIA. Rozpatrywał w myślach wszelkie dostępne możliwości.

Świetnie wiedział, jak świat traktuje takich podrzędnych ludzi ujawniających wielką aferę: pod każdym względem był przeciwko nim. Nie miało większego znaczenia, komu by przekazał te nagrania, gdyż w ciągu kilku dni odbiorcy zdołaliby bez trudu zidentyfikować ich pochodzenie. Zapisy DVD jak gołębie pocztowe musiałyby wrócić do swojego gołębnika nad salonem Klaszczącej Jednej Ręki. I co

by się wtedy stało? To było łatwe do przewidzenia. Jego życie też wywróciłoby się do góry nogami i pewnie pozostałoby wywrócone aż do końca. Nawet Pratt by mu nie pomógł, gdyby wyszło na jaw, że miał cokolwiek wspólnego z tymi nagraniami. Próbował sobie wyobrazić skutki utraty twarzy, oficjalne wezwania do wszczęcia dochodzenia, ludzi pokroju Apicharta czy Somporna, wytykających palcem złego faranga. Bo skoro zabrakło Caseya, ktoś inny musiałby wziąć na siebie całą winę. Farang, anonimowy informator, wyśmienicie by się do tego nadawał.

Odtworzył jeszcze raz nagranie, spoglądając, jak Casey poddaje brutalnemu przesłuchaniu brodacza, mogącego mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Zatem więzień był w przybliżeniu równy wiekiem synowi Caseya. W głębi pokoju stało kilku tajskich oficerów. Ujawnienie tego zapisu wystarczyłoby, żeby skompromitować cały rząd Tajlandii, i mogło doprowadzić tylko do jednego wyniku, złego dla nich, tak samo jak dla niego. Ledwie się zakończyły wybory. Trzeba by zaczynać wszystko od początku. Zła atmosfera podsycana przez tysiące publikacji z całego świata sprawiłaby, że z celownika opinii publicznej zniknęliby bandyci o morderczych skłonnościach, którzy z radością podejmowali się akcji samobójczych i uśmiercali niewinnych cywilów, a ich miejsce zajęliby przedstawiciele władz amerykańskich i inicjatorzy sieci tajnych więzień. Co więc należało zrobić z tymi zabójcami uczestniczącymi w zamachach samobójczych? Nikt nie umiał na to odpowiedzieć, wszyscy wyrażali tylko swoje opinie, wśród których przeważało umieszczenie w obozie dla internowanych i torturowanie. Nie było prostego rozwiązania problemu. Niezależnie od tego, co by zrobił z tymi płytami DVD, i tak coś w rodzaju bóstwa Guan Yu miało się rozpanoszyć po wszystkich kontynentach, a pod jego opieką ci, którzy pragnęli dżihadu, musieli popaść w uwielbienie dla śmierci i krwi.

Przeniósł wzrok z ekranu komputera na wiszący na ścianie rysunek pułkownika Pratta przedstawiający rybę i zamyślił się nad starym tajskim przysłowiem: *pla moh taay praw pak* – co w tłumaczeniu znaczyło, że ryby giną przez swoją gębę. W tym kontekście rola małomównego Amerykanina wcale nie była taka zła.

Zwiększył głośność w komputerze i zasłuchał się w przeraźliwe wrzaski człowieka przekonanego zapewne, że tonie. Taki już był ten świat. Ludzie w rodzaju Caseya tworzyli ostatnią linię obrony przed innymi, których podstawowa instalacja wcale tak bardzo się nie różniła od tej Caseya.

Calvino miał bogatego tajskiego przyjaciela, który kazał sobie wymalować na suficie sypialni rozgwieżdżone niebo. Obraz ten ukazywał precyzyjne rozmieszczenie na niebie gwiazd i planet w chwili narodzin gospodarza. Calvino miał raz okazję podziwiać ten sufit i zadał sobie wtedy pytanie, jak to może być, kiedy się leży w łóżku i ma przed oczami niebo z tamtej nocy narodzin. Ściszył odtwarzacz komputera. Wrzaski stały się stłumione, jakby odległe. Zastanowiło go teraz, czy

w realnym świecie ludzi leżącym pod tą nieskończoną kopułą rozgwieżdżonego nieba istnieje jakiś wpływ gwiazd na tajne więzienia, drużyny snajperskie, handlarzy narkotyków i polityczne zakłamanie. Później jeszcze, przed wyłączeniem komputera, sprawdził pocztę elektroniczną. Nadeszła wiadomość od Jarretta, który pytał, czy interesowałoby go wynajęcie łodzi motorowej i wyruszenie w przyszłym tygodniu na ryby.

Znów odchylił się na oparcie krzesła i popatrzył na wiszący na ścianie rysunek ryby z szeroko rozwartym pyskiem. Nagle jakby dostrzegł w nim coś, czego dotąd nie widział. Ta ryba nie była martwa z powodu swojego wielkiego pyska; zginęła, ponieważ żyła w świecie, który bał się prawdy. Pospiesznie wysłał odpowiedź na odebranego maila, w której napisał, że zastanowi się nad tym zaproszeniem.

Jego krawiec obiecał mu, że marynarka Armaniego będzie gotowa w przyszłą środę. Przysięgał przy tym, że zastosuje nowy rodzaj tkaniny odpornej na wszelkie plamy. Zademonstrował mu to, rozsmarowując keczup na próbce materiału, który następnie dał się bez śladu usunąć. Tkanina miała być tak odporna, że mogłaby posłużyć do osłonięcia tarczy termicznej kosmicznego wahadłowca. Ale tylko czas mógł pokazać, czy faktycznie da się oczyścić ze śladów krwi, której rozbryzgi zdawały się obecne wszędzie na groźnych ulicach Bangkoku.

Podziękowania

Wiele osób zgłosiło trafne i cenne komentarze oraz propozycje do kolejnych wersji tej powieści. Joe Glazner, Bob Fitts i Bill Ellis. Norm Smith oraz J.C. Cummings po raz kolejny w samą porę przedstawili wyczerpujące informacje na temat broni snajperskiej i amunicji, jak również sposobów uwzględniania siły i kierunku wiatru. Inspiracją do opisów związanych z Hiszpanią były liczne wiadomości pochodzące od Marty Olivy, Claudii Casanovy oraz *Paco* Ignacia Taibo II. To oni wzięli mnie pod swoje skrzydła i stworzyli okazję, bym odkrył i poznał miasto Gijón.

Szczerze znam spore grono życzliwych ludzi, którzy hojnie dzielą się swoją wiedzą i doświadczeniem. Wdzięczny jestem Johnowi Millerowi, Peterowi Dennisowi, Richardowi Diranowi, Johnowi Mullerowi i Jimowi Gulkinowi, którzy zainspirowali mnie do ukazania pewnych miejsc w Bangkoku. W pełni polegam na ich opinii. Wszyscy tego potrzebują, nie tylko pisarze. Tacy ludzie mają wyjątkową zdolność wskazania czegoś, co mam dosłownie przed oczami, ale nie zwracam na to uwagi. Poza tym jednak wszelkie błędy i przeoczenia obciążają wyłącznie mnie.

Jamison Stoltz, mój wydawca z Atlantic Monthly Press, odznacza się niezwykle umiejętnością szacowania niezamierzonych szkód, ilekroć któraś z postaci mojej opowieści bądź jakiś jej element nie trafi celu. Niczym komandos z marynarki wojennej rzuca się wtedy za burtę w mroczne wody i szybko znajduje sposób likwidacji problemu. Jeśli trzeba w tym celu zrzucić jedną czy dwie bomby głębinowe, znajduje także delikatny sposób wyjaśnienia, co należy zrobić w celu usunięcia przeszkód. Nie ma się czym przejmować, bo to, co wskutek eksplozji zostaje wyrzucone wysoko w powietrze, i tak zalicza się do rzeczy, których nie warto czytać. Dziękuję mu za to, chętnie odznaczyłbym go jakimś medalem, gdybym tylko miał wystarczające uprawnienia. Martin Townsend dzięki swoim umiejętnościom korektorskim potrafi ujawnić wszystkie mielizny i niedopatrzania w warstwie językowej. A pomoc edytorska Richa Bakera zapewnia fachowe narzędzia do

usunięcia pojawiających się problemów.

Bridget Winter, moja agentka z Sagalyn Literary Agency, odznacza się takimi umiejętnościami dyplomatycznymi, przenikliwością w interesach i wyczuciem rynku wydawniczego, że mogłaby kierować państwem. Na szczęście dla mnie wciąż jest agentką literacką i tylko przechodzi samą siebie, wcielając się kolejno w rolę trenerki, spowiedniczki, negocjatorki, przyjaciółki, stratega i doradczyni. Gdyby Amerykanom przydarzył się kiedyś poważny impas w wyborze prezydenta, to z tej racji, że mieszka w Waszyngtonie, gorąco polecałbym wzięcie pod rozwagę jej kandydatury.

Moja żona, Busakorn Suriyasarn, której tę powieść zadedykowałem, czytała ją z uwagą i wnikliwością, po czym jak zwykle zgłosiła swoje spostrzeżenia dotyczące sekretów tajskiej kultury i języka, troszcząc się o to, by tajskie aspekty tej historii były wiarygodne. Przypomina mi też, że moje życie nie może się ograniczać do pisania, czyli że muszę znajdować czas dla naszej rodziny i pięciu psów.